ISAAC ASIMOV

Wydawnictwo Fantastyka

AGENT FUNDACJI

AGENT FUNDACJI

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Pięćset lat od założenia jej przez Hariego Seldona Pierwsza Fundacja jest największą potęgą w Galaktyce. Narządzonym twardą ręką przez burmistrz Branno monolicie pojawia się jednak rysa. Golan Trevize, członek Rady Wykonawczej na Terminusie, głosi pogląd, że zniszczona rzekomo Druga Fundacja nadal decyduje o losie Pierwszej. Tymczasem mentalista Stor Gendibal, jeden z trantorskich Mówców, podejrzewa istnienie organizacji kontrolującej z ukrycia obie Fundacje. Zarówno Trevize, jak i Gendibal wyruszają w przestrzeń, by dowieść swoich racji. Do ostatecznej rozgrywki, której stawką jest przyszłość Galaktyki, dochodzi w pobliżu rodzinnej planety Muła, tyle że do ścierających się sił dołącza jeszcze jedna…

Otrzymała nagrodę Hugo w 1983.
Nominowana do nagrody Nebula w 1982.

- Isaac Asimov
  - Prolog
  - Rozdział I
    - 1.
    - 2.
    - 3.
    - 4.
  - Rozdział II
    - 5.
    - 6.
    - 7.
    - 8.
  - Rozdział III
    - 9.
    - 10.
    - 11.
    - 12.
    - 13.
  - Rozdział IV
    - 14.
    - 15.
    - 16.
  - Rozdział V
    - 17.
    - 18.
    - 19.

- 20.
- Rozdział VI
  - 21.
  - 22.
- Rozdział VII
  - 23.
  - 24.
  - 25.
- Rozdział VIII
  - 26.
  - 27.
  - 28.
  - 29.
  - 30.
- Rozdział IX
  - 31.
  - 32.
- Rozdział X
  - 33.
  - 34.
  - 35.
  - 36.
  - 37.
  - 38.
- Rozdział XI
  - 39.
  - 40.
  - 41.
  - 42.
- Rozdział XII
  - 43.
  - 44.
  - 45.
  - 46.
  - 47.
  - 48.
  - 49.
- Rozdział XIII
  - 50.
  - 51.
  - 52.
  - 53.
  - 54.
- Rozdział XIV

- 55.
- 56.
- 57.

- Rozdział XV
  - 58.
  - 59.
  - 60.
  - 61.
  - 62.
  - 63.
- Rozdział XVI
  - 64.
  - 65.
  - 66.
  - 67.
  - 68.
  - 69.
- Rozdział XVII
  - 70.
  - 71.
  - 72.
  - 73.
  - 74.
- Rozdział XVIII
  - 75.
  - 76.
  - 77.
  - 78.
  - 79.
  - 80.
- Rozdział XIX
  - 81.
  - 82.
  - 83.
  - 84.
  - 85.
  - 86.
  - 87.
- Rozdział XX
  - 88.
  - 89.
  - 90.
  - 91.
  - 92.

Isaac Asimov
Agent Fundacji

Prolog

Pierwsze Imperium Galaktyczne chyliło się ku upadkowi. Rozsypywało się już od wielu set lat, ale tylko jeden człowiek zdawał sobie z tego w pełni sprawę.

Człowiekiem tym był Hari Seldon, ostatni wielki uczony Pierwszego Imperium. Seldon stworzył i wzniósł na najwyższy poziom rozwoju psychohistorię — naukę o ludzkich zachowaniach sprowadzonych do równań matematycznych.

Jednostka ludzka jest nieobliczalna, ale — jak odkrył Seldon — reakcje wielkich zbiorowisk są przewidywalne, gdyż można je ująć statystycznie. Im większe zbiorowisko, tym większa dokładność takich wyliczeń. A zbiorowisko, którym zajmował się Seldon, obejmowało ludność wszystkich zamieszkanych światów w Galaktyce. Były ich miliony.

Na podstawie swoich obliczeń Seldon doszedł do wniosku, że pozostawione same sobie Imperium runie i że minie trzydzieści tysięcy lat, nim na jego ruinach powstanie Drugie Imperium. Gdyby wszakże udało się odpowiednio zmienić niektóre czynniki, to okres tego interregnum można by było skrócić do zaledwie jednego tysiąclecia.

W tym właśnie celu założył dwie kolonie naukowców, które nazwał Fundacjami. Zgodnie ze starannie obmyślonym planem umieścił je „na dwóch przeciwnych krańcach Galaktyki". Utworzeniu Pierwszej Fundacji, której mieszkańcy koncentrowali swe zainteresowanie i wysiłki na naukach fizycznych, towarzyszył wielki rozgłos i zainteresowanie środków masowego przekazu. Istnienie Drugiej Fundacji spowite było tajemnicą.

Fundacja, Fundacja i Imperium oraz Druga Fundacja opowiadają o czterech pierwszych wiekach interregnum. Pierwsza Fundacja (zwana po prostu Fundacją, jako że o istnieniu drugiej nie wiedział prawie nikt) zaczynała jako niewielka społeczność, rzucona w pustkę najodleglejszych peryferii Galaktyki. Co pewien czas stawała ona w obliczu kryzysu, spowodowanego czynnikami społecznymi i gospodarczymi, który groził jej unicestwieniem. Podczas każdego z tych kryzysów jej swoboda działania była tak ograniczona, że możliwa była tylko jedna droga wyjścia. Kiedy wkraczała na tę drogę, otwierały się przed nią nowe horyzonty i perspektywy dalszego rozwoju. Wszystko to zostało zaprogramowane przez od dawna już nieżyjącego Hariego Seldona.

Pierwsza Fundacja, dysponując nieporównanie bardziej rozwiniętą nauką, zapanowała nad otaczającymi ją barbarzyńskimi planetami. Stawiła czoła wojowniczym władcom, którzy oderwali się od dogorywającego Imperium i pokonała ich. Za czasów ostatniego

silnego imperatora stawiła czoła resztkom samego Imperium i pokonała je.

Wydawało się, że Plan Seldona działa sprawnie i że nic nie powstrzyma Fundacji od ustanowienia we właściwym czasie — w minimalnie przez okres bezkrólewia zniszczonej Galaktyce — Drugiego Imperium.

Ale psychohistoria jest nauką statystyczną. Zawsze istnieje pewna niewielka możliwość, że coś potoczy się wbrew przewidywaniom. I rzeczywiście stało się coś, czego Hari Seldon nie był w stanie przewidzieć. Oto w pewnym momencie pojawił się nie wiadomo skąd jeden tylko człowiek, mutant. Człowiek ów, znany pod przydomkiem Muła, posiadał niezwykłą zdolność kształtowania uczuć innych ludzi wedle swojej woli i kierowania ich umysłami. Swych najzagorzalszych wrogów przemieniał on w całkowicie oddane mu sługi. Nie mogła mu nic zrobić żadna armia. Ugięła się przed nim i padła Pierwsza Fundacja, i wydawało się, że Plan Seldona legł w gruzach.

Pozostała owa tajemnicza Druga Fundacja, którą zupełnie zaskoczyło nagłe pojawienie się Mulą na scenie galaktycznej, ale która potem zaczęła stopniowo przygotowywać się do kontrataku. Znajdowała się ona w o tyle dobrej sytuacji, że nikt nie znał jej położenia. Muł szukał jej, aby zakończyć dzieło podboju Galaktyki. Uchodźcy z Pierwszej Fundacji szukali jej, aby uzyskać pomoc.

Nie znalazł jej jednak ani Muł, ani wierni swej ojczyźnie uchodźcy. Muła udało się powstrzymać na krótki czas Baycie Darell, jedynej kobiecie wśród uchodźców. Dzięki temu Druga Fundacja zyskała dość czasu, aby przygotować i podjąć odpowiednie przeciwdziałania i powstrzymać, już na stałe, jego dalsze podboje. Potem powoli przystąpiła do odbudowy Planu Seldona.

To wszystko spowodowało jednak, że Pierwsza Fundacja zdała sobie sprawę z istnienia Drugiej. Jej obywatelom nie odpowiadała wizja przyszłości, w której byliby nadzorowani przez mentalistów. Pierwsza Fundacja była największą fizyczną potęgą w Galaktyce, Drugiej krępował ruchy nie tylko ten fakt, ale również jej podwójne zadanie. Otóż musiała ona nie tylko powstrzymać Pierwszą Fundację, ale również odzyskać dawną anonimowość. Udało się to jej pod przywództwem największego z „Pierwszych Mówców”, Preema Palvera, który upozorował zwycięstwo Pierwszej, a zagładę Drugiej Fundacji. Potem Pierwsza Fundacja, zupełnie nieświadoma faktu, że Druga istnieje nadal, rosła coraz bardziej w siłę.

Minęło właśnie czterysta dziewięćdziesiąt osiem lat od założenia Pierwszej Fundacji. Jest ona u szczytu swej potęgi, ale znalazł się człowiek, który nie daje się zwieść pozorom…

Rozdział I
RADNY

1.

— Oczywiście nic wierzę w to — rzekł Golan Trevize, stojąc na szerokich schodach wiodących do Gmachu Seldona i spoglądając na lśniące w słońcu miasto.

Terminus miał łagodny klimat, a wody zajmowały na nim, w porównaniu z lądem, stosunkowo dużą powierzchnię. Wprowadzenie regulacji pogody sprawiło, że stał się jeszcze bardziej wygodnym i przyjemnym niż przedtem, lecz — zdaniem Trevizego — znacznie mniej ciekawym miejscem.

— Absolutnie nie wierzę — powtórzył i uśmiechnął się, błyskając równymi, białymi zębami.

Jego towarzysz i kolega z Rady, Munn Li Compor, który — wbrew panującym na Terminusie zwyczajom — używał dwóch imion, potrząsnął z dezaprobatą głową. — W co nie wierzysz? Że ocaliliśmy miasto?

— Ależ skąd! W to wierzę. Przecież zrobiliśmy to, prawda? A Seldon powiedział, że to właściwe posunięcie i że o tym, że tak postąpiliśmy, wiedział już pięćset lat temu.

Compor zniżył głos prawie do szeptu.

— Słuchaj, mnie możesz mówić takie rzeczy, bo traktuję to jako takie sobie gadanie, ale jeśli będziesz o tym rozpowiadał wszem i wobec, to wyznam ci, że nie chcę być blisko ciebie, kiedy spadnie cios. Nie jestem po prostu pewien, czy ten cios będzie wystarczająco precyzyjny.

Trevize nie przestał się uśmiechać. — Czy mówienie o tym, że miasto zostało ocalone to szkodliwa działalność? — rzekł. — Albo o tym, że udało się to osiągnąć bez wojny?

— Nie było jej z kim toczyć — powiedział Compor. Miał włosy żółte jak masło i oczy niebieskie jak niebo i stale kusiło go, aby zmienić na inne te niemodne kolory.

— Nie słyszałeś nigdy o wojnie domowej? — spytał Trevize. Był wysokim mężczyzną, o czarnych, lekko falujących włosach i miał zwyczaj chodzić z kciukami zatkniętymi za pas z miękkiej tkaniny, który stanowił nieodłączną część jego stroju.

— Wojna domowa z powodu sporów o miejsce lokalizacji stolicy?

— Niewiele brakowało, żeby te spory doprowadziły do kryzysu Seldona. Zniszczyły karierę polityczną Hannisa, a ciebie i mnie wyniosły podczas ostatnich wyborów do Rady i sprawa ważyła się na… — pokiwał powoli dłonią w przód i w tył, naśladując ruchy wskazówki wagi, wychylającej się to w jedną, to w drugą stronę pod wpływem równo obciążonych szalek.

Zatrzymał się w połowie schodów, nie zwracając uwagi na innych

członków rządu i przedstawicieli środków przekazu oraz ludzi z towarzystwa, bywalców wszelkich imprez, którzy w sobie tylko wiadomy sposób zdobyli zaproszenia na uroczystość powrotu Seldona, a w każdym razie jego holograficznej podobizny.

Wszyscy oni schodzili teraz po schodach rozmawiając głośno, śmiejąc się, podziwiając dokładność wszystkich prognoz i pławiąc się z rozkoszą w słowach aprobaty, które usłyszeli od Seldona.

Trevize stał nieruchomo i czekał, aż minie go kłębiący się tłum. Compor zrobił dwa kroki, ale zatrzymał się, jakby łączyła go z Trevizem niewidzialna nić.

— Nie idziesz? — spytał.

— Nie ma pośpiechu. Posiedzenie się nie zacznie, dopóki pani burmistrz nie naświetli sytuacji w swój zwykły, monotonny, powolny i nudny sposób. Wcale mi się nie spieszy, żeby wysłuchać jeszcze jednego nudnego przemówienia… Popatrz lepiej na miasto.

— Widzę je. Wczoraj też widziałem.

— A widziałeś je pięćset lat temu, kiedy powstawało?

— Czterysta dziewięćdziesiąt osiem lat temu — poprawił go automatycznie Compor. — Za dwa lata będziemy świętowali pięćsetlecie, a burmistrz Branno będzie nadal sprawowała swój urząd, stawiając czoło wypadkom o mniejszym, miejmy nadzieję, stopniu prawdopodobieństwa.

— Miejmy nadzieję — powtórzył sucho Trevize — Ale jak tu wszystko wyglądało pięćset lat temu? Przecież istniało wtedy tylko to jedno miasto! jedna mała mieścina, zamieszkana przez grupę ludzi przygotowujących encyklopedię, która nigdy nie została ukończona.

— Została.

— Masz na myśli obecną Encyklopedię Galaktyczną? To nie jest to, nad czym oni pracowali. Nasza jest w całości w komputerze i jest codziennie poprawiana i uzupełniana. Widziałeś kiedy niedokończony oryginał?

— Ten w Muzeum Hardina?

— W Muzeum im. Salvora Hardina, skoro tak dbasz o szczegóły. Widziałeś ją?

— Nie. A powinienem?

— Skądże, nie warto. Ale tak czy inaczej ta mała grupka Encyklopedystów stworzyła zalążek tego miasta, małej, mizernej mieściny na planecie absolutnie pozbawionej metali, krążącej wokół słońca odizolowanego od reszty Galaktyki, na samym jej skraju. A teraz, po pięciuset latach, jesteśmy światem willowym. Całe to miejsce to jeden wielki park. Metalu mamy, ile chcemy. I jesteśmy w centrum wszystkich wydarzeń.

— Niezupełnie — odparł Compor. — Nadal krążymy wokół słońca odizolowanego od reszty Galaktyki. I nadal znajdujemy się na jej

skraju.

— Mówisz bez zastanowienia. O to właśnie chodziło w tym małym kryzysie Seldona. Nie jesteśmy już samotnym światem ograniczającym się do Terminusa. Jesteśmy Fundacją, która obejmuje swoimi wpływami całą Galaktykę i która rządzi nią z miejsca na jej skraju. A może to robić właśnie dlatego, że nie jest odizolowana od reszty w niczym, z wyjątkiem położenia, a to się nie liczy.

— W porządku. Zgadzam się — Compor był wyraźnie znudzony tą rozmową. Zszedł o stopień niżej. Niewidoczna nić napięła się jeszcze bardziej.

Trevize wyciągnął rękę, jakby chciał z powrotem wciągnąć przyjaciela na schody. — Nie widzisz jakie ogromne konsekwencje ma ta zmiana, Compor? Przecież my jej nie akceptujemy. W głębi duszy pragniemy powrotu do starej, małej Fundacji, do spraw jednego świata, do dawnych czasów herosów ze stali i szlachetnych świętych, do czasów, które bezpowrotnie minęły.

— No dalej, mów o co chodzi.

— Właśnie o to. Popatrz choćby na Gmach Seldona. Podczas pierwszych kryzysów, za czasów Salvora Hardina, była to po prostu Krypta Czasu, mała salka, w której pojawiał się hologram Seldona. To było wszystko. A co mamy teraz? Potężne mauzoleum. Może prowadzi do niego pochylnia oparta na polu siłowym? Albo chodnik ślizgowy? A może winda grawitacyjna? Nic z tych rzeczy. Tylko schody, po których wspinamy się, jakbyśmy żyli w czasach Hardina. Tyle, że wtedy nie było tych schodów. W ciężkich chwilach szukamy otuchy i pomocy w przeszłości.

Wyciągnął gwałtownie rękę. — Czy w tej całej konstrukcji widzisz choć jeden metalowy element? Nie ma ani jednego! A dlaczego? Bo w czasach Hardina miejscowego metalu nie było wcale, a importowanego tyle co nic. Użyliśmy nawet do budowy tej bryły tak starego, porożowiałego ze starości plastyku, że turyści z innych światów zatrzymują się ze zdumieniem i wołają: „Na Galaktykę! Jaki cudny stary plastyk!”. Wiesz, co ci powiem, Compor? Że to oszustwo.

— I właśnie w to nie wierzysz? W autentyczność Gmachu Seldona?

— I we wszystko, co w nim jest — syknął Trevize. — Nie wierzę, że ukrywanie się tu, na skraju Wszechświata ma sens tylko dlatego, że tak robili nasi przodkowie. Uważam, że nasze miejsce jest tam, w centrum Galaktyki.

— Ale Seldon uważa, że jesteś w błędzie. Jego plan rozwija się tak, jak powinien.

— Wiem, wiem. Każde dziecko na Terminusie jest wychowywane w wierze, że Hari Seldon stworzył Plan, że pięćset lat temu przewidział wszystko, że założył tę Fundację dokładnie tak, żeby mógł

niezawodnie przewidzieć kryzysy, że jego hologram będzie się ukazywał podczas tych kryzysów i przekazywał nam to minimum wiedzy niezbędne do przetrwania i tak prowadził nas przez tysiąc lat, aż w końcu zbudujemy na gruzach starego, zmurszałego imperium, które zaczęło się chwiać pięćset lat temu i ostatecznie runęło przed dwustu laty, Drugie — potężniejsze — Imperium Galaktyczne.

— Dlaczego mi to wszystko mówisz, Golan?

— Dlatego, że to oszustwo. To wszystko oszustwo! Nawet jeśli na początku było tak naprawdę, to teraz jest to oszustwo. Nie jesteśmy panami naszych poczynań. To nie my wcielamy Plan w życie.

Compor spojrzał na niego badawczo. — Mówiłeś to już nie raz, Golan, ale zawsze myślałem, że żartujesz. Ale teraz, na Galaktykę, myślę, że mówisz poważnie. Naprawdę.

— Oczywiście, że mówię poważnie.

— Niemożliwe. Albo to jakiś skomplikowany kawał, na który chcesz mnie nabrać, albo zwariowałeś.

— Ani jedno, ani drugie — rzekł Trevize. Uspokoił się już i zatknął swym zwyczajem kciuki za pas, jakby nie potrzebował już rąk dla podkreślenia swych uczuć. — Przyznaję, że już wcześniej myślałem o tym, ale była to tylko intuicja. Dopiero ta dzisiejsza farsa spowodowała, że nagle wszystko sobie jasno uświadomiłem. I teraz mam zamiar przedstawić to równie jasno całej Radzie.

— Jesteś szalony! — powiedział Compor.

— Tak? No to chodź ze mną i posłuchaj.

Zeszli ze schodów. Byli ostatnimi, którzy opuszczali to miejsce. I kiedy Trevize wysunął się nieco do przodu, Compor poruszył bezgłośnie ustami rzucając w ślad za nim: „Głupiec!”

2.

Burmistrz Harla Branno przywołała zebranych na sesji członków Rady Wykonawczej do porządku. Nie zauważyła najmniejszego śladu zainteresowania na sali, ale nikt nie wątpił, że dokładnie odnotowała sobie wszystkich obecnych i wszystkich, którzy jeszcze nie przybyli.

Jej siwe włosy były starannie ułożone w stylu, który nie był ani wyraźnie kobiecy, ani nie naśladował męskiej fryzury. Był to po prostu sposób, w jaki się czesała, nic więcej. Jej rzeczowa twarz nie wyróżniała się pięknością, ale piękność jakoś nie była tym, czego szukano w jej twarzy. Była najzdolniejszym administratorem na planecie. Nikt nie posądzał jej nigdy o bystrość Salvora Hardina czy Hobera Mallowa, których rządy ożywiały historię pierwszych dwu stuleci istnienia Fundacji, ale też nikt nie mógł jej zarzucić żadnego z szaleństw dziedzicznych burmistrzów Indburów, którzy rządzili Fundacją tuż przed nastaniem Muła.

Jej przemówienia nie poruszały umysłów, nie miała też daru czynienia dramatycznych gestów, ale za to posiadała umiejętność podejmowania cichych decyzji i upierania się przy nich tak długo, jak długo była przekonana o swej racji. Nie miała charyzmy, ale miała talent przekonywania wyborców do tych właśnie cichych decyzji.

Ponieważ na mocy doktryny Seldona bieg historii jest bardzo trudno odwrócić (chyba że, o czym większość seldonistów — mimo przykrego incydentu z Mułem — zapomina, mamy do czynienia z czymś nieprzewidywalnym), stolicą Fundacji mógł w każdej sytuacji pozostać Terminus. Była to jednak tylko możliwość. Seldon, podczas swego dopiero co zakończonego pojawienia się w postaci pięćsetletniego hologramu, ocenił spokojnie stopień prawdopodobieństwa pozostania stolicy na Terminusie na 87,2 procenta.

Niemniej jednak, nawet dla seldonistów, oznaczało to, że możliwość przeniesienia stolicy w jakieś miejsce bliższe centrum Federacji Fundacyjnej, z wszystkimi strasznymi, zarysowanymi przez Seldona konsekwencjami takiego posunięcia, była prawdopodobna w 12,8 procenta. Ta możliwość nie stała się rzeczywistością z pewnością tylko dzięki pani burmistrz Branno.

Było pewne, że nigdy by do tego nie dopuściła. Mimo znacznego spadku popularności, trwała od dawna niezłomnie na stanowisku, że Terminus, który był od początku siedzibą Fundacji, powinien nią nadal pozostać. Przeciwnicy polityczni przedstawiali (dość udatnie, trzeba przyznać) w karykaturach jej wydatną szczękę jako grożący obsunięciem się granitowy blok.

I oto teraz Seldon poparł jej punkt widzenia i — przynajmniej w

tej chwili — dawało jej to miażdżącą przewagę nad przeciwnikami. Mówiono, że przed rokiem wyznała, iż jeśli Seldon za swym następnym pojawieniem się poprze ją, to uzna, iż wypełniła swe zadanie i wycofa się z czynnego życia, kontentując się rolą zasłużonego polityka i nie ryzykując sławy, którą mogłaby utracić w dalszych walkach politycznych.

Prawdę mówiąc, nikt w to nie wierzył. Walka polityczna to był jej żywioł i teraz, kiedy pojawił się i znikł hologram Seldona, nic w jej zachowaniu nie wskazywało na to, że zamierza się wycofać.

Mówiła czystym głosem, nie starając się ukryć swego fundacyjnego akcentu (była niegdyś ambasadorem w Mandress, ale nie przyswoiła sobie starego, imperialnego sposobu mówienia, który był teraz tak modny i łączył się nierozerwalnie z quasi — imperialnymi ciągotami ku wewnętrznym Prowincjom).

— Kryzys Seldona został zażegnany. Zgodnie ze starą, dobrą tradycją nie będziemy stosowali żadnych represji wobec tych, którzy opowiedzieli się po przeciwnej stronie. Nie będziemy ich także piętnować w oczach opinii publicznej. Wielu ludzi chciało tego, czego nie chciał Seldon, lecz działali oni w dobrej wierze. Nie ma sensu wypominać im błędów, gdyż broniąc swego dobrego imienia mogliby się posunąć nawet do tego, by zakwestionować cały Plan Seldona. Jest u nas w zwyczaju, że strona, która przegrała, przyjmuje swoją porażkę ze spokojem i bez dalszych, zbędnych dyskusji. A zatem zarówno my, jak i nasi niedawni przeciwnicy, uważamy sprawę za zamkniętą.

Przerwała na chwilę, popatrzyła po twarzach zebranych i podjęła na nowo:

— Minęło już pięćset lat, panowie radni, połowa tego czasu, który oddziela od siebie dwa imperia. Był to trudny okres, ale zrobiliśmy dużo. Już teraz jesteśmy niemal Imperium Galaktycznym i nie mamy żadnych poważnych zewnętrznych wrogów.

Gdyby nie Plan Seldona, bezkrólewie trwałoby trzydzieści tysięcy lat. Być może po trzydziestu tysiącach lat nie byłoby już w Galaktyce siły zdolnej stworzyć nowe imperium. Być może składałaby się ona tylko z odizolowanych od siebie i ginących cywilizacji.

Wszystko, co osiągnęliśmy, zawdzięczamy Hariemu Seldonowi i dalej na nim musimy polegać. Teraz, panowie radni, prawdziwe zagrożenie dla Planu stanowimy my sami. Dlatego od tej pory nie może być żadnych publicznych zastrzeżeń co do jego wartości. Umówmy się, że poczynając od dzisiaj,, nikt nie będzie oficjalnie poddawał planu w wątpliwość, krytykował go czy uznawał za niewłaściwy. Musimy przyjmować go bez zastrzeżeń. Jego słuszności dowiodło minione pięćset lat. Ma on zapewnić bezpieczną przyszłość rodzajowi ludzkiemu i nie wolno nam dopuścić do żadnych zmian czy odstępstw od niego. Czy zgadzacie się ze mną?

Odpowiedział jej cichy pomruk. Nie musiała rozglądać się po sali, by szukać bardziej wyraźnych dowodów aprobaty. Znała każdego członka Rady i wiedziała, jak zareaguje. Teraz, w chwili jej tryumfu, nikt nie odważy się sprzeciwić. Może za rok, ale nie teraz. A tym, co będzie za rok, będzie się przejmowała za rok.

Z tym, że zawsze…

— Czyżby kontrola myśli, pani burmistrz? — spytał Golan Trevize, schodząc wielkimi krokami po schodach między rzędami foteli i mówiąc donośnym głosem, jakby starał się zrekompensować w ten sposób milczenie pozostałych. Nie spojrzał nawet w stronę swego miejsca, które — jako że był nowym członkiem Rady — znajdowało się w tylnych rzędach.

Branno nadal nie podnosiła głowy. — Jak pan to ocenia, radny Trevize? — spytała.

— Tak, że rząd nie może znieść wolności słowa, że każdy obywatel — a więc oczywiście także radny czy radna, którzy zostali wybrani specjalnie w tym celu — ma prawo dyskutować na temat aktualnych wydarzeń politycznych, ale że żadne wydarzenie polityczne nie będzie rozpatrywane w oderwaniu od Planu Seldona.

Branno założyła ręce na piersi i podniosła głowę. Z jej twarzy nie można było nic wyczytać. — Radny Trevize — powiedziała — zabrał pan głos w tej debacie z naruszeniem regulaminu i porządku obrad. Ponieważ jednak prosiłam, by przedstawił pan swój punkt widzenia, odpowiem panu teraz.

Nie ma żadnych ograniczeń wolności wypowiedzi dotyczących Planu Seldona. To po prostu Plan, z samej swej istoty, ogranicza nas. Zanim hologram Seldona podejmie ostateczną decyzję, można interpretować zdarzenia na wiele różnych sposobów, ale z chwilą gdy decyzja ta już zostanie powzięta, jej zasadność nie może być kwestionowana na posiedzeniach Rady. Nie może też być kwestionowana z góry wypowiedziami typu: „Gdyby Seldon powiedział tak i tak, to myliłby się”.

— A gdyby ktoś rzeczywiście tak uważał, pani burmistrz?

— To mógłby dać temu wyraz jako osoba prywatna, omawiając tę sprawę w prywatnym gronie.

— A zatem ograniczenia dotyczące wolności wypowiedzi, które pani proponuje, mają dotyczyć tylko i jedynie wypowiedzi członków rządu.

— Tak. To nie jest żadna nowość w systemie prawnym Fundacji. Ta zasada była już stosowana przez burmistrzów, i to wywodzących się z różnych partii. Prywatny punkt widzenia jest bez znaczenia, natomiast opinia wyrażona oficjalnie ma swą wagę i może być niebezpieczna. Nie po to osiągnęliśmy tyle, żeby teraz narażać się na ryzyko przegranej.

— Pragnę zauważyć, pani burmistrz, że zasada, o której pani wspomniała, była stosowana, i to nadzwyczaj rzadko, w odniesieniu do konkretnych uchwał Rady. Natomiast nigdy nie zastosowano jej do czegoś tak ogólnego i nieokreślonego jak Plan Seldona.

— Plan Seldona wymaga szczególnej ochrony, ponieważ kwestionowanie jego rozstrzygnięć może być szczególnie niebezpieczne.

— Czy nie uważa pani… — Trevize odwrócił się, zwracając się teraz do członków Rady, którzy wstrzymali oddech, jak gdyby czekali na wynik pojedynku. — Czy nie uważacie panie i panowie, że mamy wszelkie powody, aby sądzić, że w ogóle nie ma żadnego Planu Seldona?

— Dzisiaj wszyscy byliśmy świadkami jego działania — rzekła burmistrz Branno, której spokój wydawał się wzrastać w miarę jak Trevizego ogarniał zapał krasomówczy.

— Właśnie dlatego, panie i panowie, że dzisiaj widzieliśmy jego działanie, możemy stwierdzić, że Plan Seldona, taki, w jaki nauczono nas wierzyć, nie może istnieć.

— Radny Trevize, łamie pan porządek obrad. Proszę zakończyć te wywody.

— Mam do tego prawo z racji mojej funkcji, pani burmistrz.

— Prawo to zostaje niniejszym zawieszone.

— Nie może go pani zawiesić. Pani oświadczenie ograniczające wolność wypowiedzi nie ma mocy prawa. Nie zostało przegłosowane przez Radę, a nawet gdyby zostało, miałbym prawo zakwestionować jego prawomocność.

— To zawieszenie, panie radny, nie ma nic wspólnego z moim oświadczeniem dotyczącym ochrony Planu Seldona.

— Na czym wobec tego się zasadza?

— Oskarżam pana o zdradę, panie radny. Ze względu na Radę nie chcę, ażeby aresztowano pana w sali posiedzeń, ale za drzwiami czekają ludzie z Urzędu Bezpieczeństwa, którzy zaprowadzą pana stąd wprost do aresztu. Proszę teraz, żeby pan spokojnie opuścił salę. Jeśli wykona pan jakiś podejrzany ruch, to oczywiście zostanie to potraktowane jako bezpośrednie zagrożenie i funkcjonariusze wkroczą na salę. Wierzę, że postara się pan, by do tego nie doszło.

Trevize zmarszczył czoło. W sali panowała zupełna cisza. (Czy ktokolwiek — ktokolwiek z wyjątkiem jego i Compora — spodziewał się tego?) Spojrzał na drzwi. Nic nie zauważył, ale nie miał wątpliwości, że burmistrz Branno nie udaje.

— Re… reprezentuję ważny okręg wyborczy, pani burmistrz — wykrztusił z wściekłością.

— Nie wątpię, że zawiodą się na panu.

— Na jakiej podstawie wnosi pani to szalone oskarżenie?

— To się okaże we właściwym czasie, ale mogę pana zapewnić, że mamy wszystko, czego nam potrzeba. Jest pan bardzo nierozważny, młodzieńcze. Powinien pan sobie uświadomić, że ktoś może być pana przyjacielem, ale nie na tyle, żeby zostać pana wspólnikiem w dziele zdrady.

Trevize gwałtownie odwrócił się i spojrzał w niebieskie oczy Compora. Ich spojrzenie było twarde jak kamień.

Burmistrz Branno powiedziała spokojnie:

— Wzywam wszystkich na świadków, że po moim ostatnim zdaniu radny Trevize odwrócił się i spojrzał na radnego Compora. Czy wyjdzie pan sam, panie radny, czy chce pan nas zmusić do nietaktu wobec Rady i zaaresztowania pana na sali posiedzeń?

Golan Trevize odwrócił się i wszedł na schody prowadzące do wyjścia. Za drzwiami stanęło po obu jego stronach dwóch dobrze uzbrojonych ludzi w mundurach.

Harla Branno odprowadziła go wzrokiem i syknęła przez zaciśnięte zęby: — Głupiec!

3.

Liono Kodell był dyrektorem Urzędu Bezpieczeństwa od początku kadencji burmistrz Branno. Lubił mawiać, że nie jest to wyczerpująca praca, ale oczywiście nikt nie był w stanie sprawdzić, czy mówi prawdę czy nie. Nie wyglądał na łgarza, ale to jeszcze niczego nie dowodzi.

Wyglądał miło i sympatycznie i być może właśnie taka powierzchowność była potrzebna w jego pracy. Wzrostu był raczej mniej niż średniego, tuszy raczej więcej niż średniej, miał sumiastego wąsa (rzecz raczej niezwykła u obywatela Terminusa), bardziej białego niż siwego, jasnobrązowe oczy i charakterystyczną naszywkę barwy podstawowej na górnej kieszeni płowego jednoczęściowego munduru.

— Proszę usiąść, panie Trevize — powiedział. — Postarajmy się porozmawiać po przyjacielsku.

— Po przyjacielsku? Ze zdrajcą? — Trevize wsunął kciuki za pas i nie zamierzał usiąść.

— Z oskarżonym o zdradę. Jeszcze nie jest tak źle, żeby oskarżenie, nawet rzucone przez burmistrza, było równoznaczne ze stwierdzeniem winy. I wierzę, że nigdy nie dojdzie do takiej sytuacji. Moim zadaniem jest przebadać pana. Wolałbym to zrobić teraz, kiedy nie stała się jeszcze panu żadna krzywda — no, może urażono pańską dumę — niż być zmuszonym do zrobienia z tego publicznego procesu. Mam nadzieję, że zgadza się pan ze mną w tym względzie.

Trevize nie zmiękł. — Dajmy spokój uprzejmościom. Pana zadaniem jest traktować mnie tak, jak gdybym był zdrajcą. Nie jestem zdrajcą i oburza mnie, że muszę to panu udowodnić. Bo niby dlaczego to nie ja miałbym żądać, żeby pan udowodnił mi, że jest wierny Fundacji?

— W zasadzie ma pan rację. Problem w tym, że niestety tutaj ja mam władzę, a nie pan. Dlatego ja mogę pytać, a pan nie. Nawiasem mówiąc, gdyby padło na mnie podejrzenie o zdradę czy choćby nielojalność, to przypuszczam, że zostałbym z miejsca zwolniony i wtedy to ja znalazłbym się na pańskim miejscu. I mam nadzieję, że osoba, która by mnie badała, nie traktowałaby mnie gorzej, niż ja chcę traktować pana.

— A jak pan chce mnie traktować?

— Jak przyjaciela i równego sobie, jeśli pan będzie traktował mnie tak samo.

— Mogę postawić panu drinka? — spytał ironicznie Trevize.

— Może później, ale teraz proszę, żeby pan usiadł. Proszę pana po przyjacielsku.

Trevize zawahał się, po czym usiadł. Dalszy upór wydał mu się nagle bezsensowny. — I co teraz? — spytał.

— Teraz proszę, żeby odpowiadał pan na moje pytania szczerze, wyczerpująco i bez wykrętów.

— A jeśli się do tego nie zastosuję? Czym mi pan zagrozi? Sondą psychiczną?

— Wierzę, że do tego nie — dojdzie.

— Ja też. W końcu jestem radnym. Sonda nie wykaże zdrady, a kiedy zostanę wobec tego uniewinniony, poleci pana głowa, a może też głowa pani burmistrz. Może by nawet warto było zmusić pana do użycia sondy.

Kodell zmarszczył czoło i wolno pokręcił głową. — O nie, tylko nie to. To mogłoby się skończyć uszkodzeniem mózgu. W takich przypadkach kuracja trwa niekiedy bardzo długo i myślę, że nie opłaciłoby się panu tak ryzykować. Na pewno. Wie pan, czasami, kiedy stosuje się sondę, straciwszy cierpliwość…

— Grozi mi pan, Kodell?

— Stwierdzam tylko fakt, Trevize… Proszę mnie źle nie zrozumieć, panie radny. Jeśli będę zmuszony użyć sondy, to zrobię to, i nawet jeśli jest pan niewinny, to nie uniknie pan tego.

— Co chce pan wiedzieć?

Kodell nacisnął przycisk wmontowany w biurko. — Wszystkie moje pytania i pana odpowiedzi — powiedział — będą nagrywane, tak obraz, jak i dźwięk. Proszę ograniczyć się tylko do odpowiedzi. Nie chcę żadnych nie związanych z pytaniami uwag czy komentarzy. Nie tym razem. Jestem pewien, że mnie pan rozumie.

— Rozumiem, że nagra pan tylko to, co będzie pan chciał — rzekł pogardliwie Trevize.

— Zgadza się, ale ponownie proszę, żeby pan mnie źle nie zrozumiał. Nie zniekształcę w najmniejszym stopniu pańskich wypowiedzi. Albo je wykorzystam, albo nie, i to wszystko. Ale pan będzie wiedział, czego nie nagrałem i mam nadzieję, że nie będzie pan tracił mojego i swojego czasu na próżno.

— Zobaczymy.

— Mamy powody, aby przypuszczać, radny Trevize — jego ton stał się bardziej oficjalny, co było wystarczającą wskazówką, że zaczął nagrywać — iż twierdził pan otwarcie, i to przy różnych okazjach, że nie wierzy pan w istnienie Planu Seldona.

— Jeśli mówiłem to otwarcie i przy różnych okazjach, to czego jeszcze pan chce? — spytał wolno Trevize.

— Niech pan nie łapie mnie za słowa. Wie pan, że to, czego chcę od pana, to otwarte przyznanie się, wypowiedziane pana głosem, z wyraźnymi śladami pana fal głosowych, w warunkach zapewniających panu pełną kontrolę swego zachowania.

— Bo, jak się domyślam, zastosowanie hipnozy, środków chemicznych czy jakichkolwiek innych zmieniłoby obraz śladów moich fal głosowych?

— I to dość znacznie.

— A pan chce wykazać, że nie użył pan w śledztwie żadnych niedozwolonych metod w stosunku do radnego? Nie mam panu tego za złe.

— Cieszę się, że nie ma mi pan tego za złe. A zatem idźmy dalej. Stwierdzał pan otwarcie, i to przy różnych okazjach, że nie wierzy pan w istnienie Planu Seldona. Czy przyznaje się pan do tego?

Trevize odparł wolno, starannie dobierając słowa:

— Nie wierzę, że to, co nazywamy Planem Seldona, ma takie znaczenie, jakie zazwyczaj mu się przypisuje.

— To bardzo ogólne stwierdzenie. Czy może pan to uściślić?

— Uważam, że powszechnie przyjęty pogląd, iż Hari Seldon pięćset lat temu, opierając się na matematyce psychohistorii, wytyczył bieg wydarzeń do ostatniego szczegółu i że kroczymy drogą, która ma nas doprowadzić od Pierwszego do Drugiego Imperium Galaktycznego zgodnie z zasadą największego prawdopodobieństwa, jest naiwny. To po prostu niemożliwe.

— Czy znaczy to, że pana zdaniem Hari Seldon to postać fikcyjna?

— Ależ nie. Oczywiście, że prawdziwa.

— A więc nie rozwinął psychohistorii?

— No nie, nic takiego nie powiedziałem. Niech pan słucha, dyrektorze. Gdyby mi pozwolono, wyjaśniłbym to Radzie, ale skoro stało się inaczej, wyjaśnię to panu. To, co zamierzam wyznać, jest tak proste…

Dyrektor Urzędu Bezpieczeństwa demonstracyjnie wyłączył zapis.

Trevize przerwał i zmarszczył czoło.

— Dlaczego pan to zrobił?

— Szkoda mojego czasu, panie radny. Nie prosiłem pana o przemowę.

— Ale prosił mnie pan, żebym wyjaśnił swój punkt widzenia, prawda?

— Nic podobnego. Prosiłem, żeby odpowiadał pan na pytania — krótko, prosto i zwięźle. Niech pan tylko odpowiada na pytania i nie serwuje mi tego, o co nie prosiłem. Jeśli pan się do tego zastosuje, to szybko skończymy.

— To znaczy, że chce pan uzyskać ode mnie zeznania, które potwierdzą oficjalną wersję tego, o co zostałem oskarżony.

— Prosimy pana tylko o to, żeby pan odpowiadał zgodnie z prawdą i zapewniam pana, że nie spreparujemy pana wyjaśnień. No, spróbujmy jeszcze raz. Mówiliśmy o Harim Seldonie. — Kodell

włączył zapis i powtórzył spokojnie: — A więc nie rozwinął psychohistorii?

— Oczywiście, że rozwinął naukę, którą określamy mianem psychohistorii — powiedział Trevize, na próżno starając się ukryć zniecierpliwienie i gestykulując z irytacją.

— Którą jak by pan zdefiniował?

— Na Galaktykę! Zwykle definiuje się ją jako tę gałąź matematyki, która zajmuje się ogólnymi reakcjami dużych skupisk ludzkich na dane bodźce w danych warunkach. Innymi słowy, przypuszcza się, że przewiduje ona zmiany społeczne i historyczne.

— Powiedział pan „przypuszcza się". Kwestionuje pan ten pogląd na podstawie ekspertyzy matematycznej?

— Nie — odparł Trevize. — Nie jestem psycho — historykiem. Tak jak nie jest nim nikt z rządu Fundacji, ani żaden obywatel Terminusa, ani żaden…

Kodell podniósł rękę. Powiedział łagodnie: — Proszę pana, panie radny… — i Trevize umilkł.

— Czy ma pan jakieś powody — spytał Kodell — aby przypuszczać, że Hari Seldon nie wykonał niezbędnych obliczeń, na podstawie których dobrał czynniki o największym stopniu prawdopodobieństwa i najkrótszym okresie działania w taki sposób, aby poprzez Fundację doprowadziły nas od Pierwszego do Drugiego Imperium?

— Nie było mnie przy tym — odparł zgryźliwie Trevize — więc skąd mam wiedzieć?

— Wie pan, że nie wykonał takich obliczeń?

— Nie.

— A może zaprzecza pan temu, że holograficzny obraz Hariego Seldona, który pokazywał się podczas każdego z serii kryzysów w czasie minionych pięciuset lat, jest faktycznie podobizną Hariego Seldona, wykonaną w ostatnim roku jego życia, na krótko przed założeniem Fundacji?

— Przypuszczam, że nie mogę temu zaprzeczyć.

— „Przypuszcza" pan. A może pan uważa, że to oszustwo, mistyfikacja, którą ktoś wymyślił w jakimś celu w minionych wiekach?

Trevize westchnął.

— Nie. Nie uważam tak.

— Czy uważa pan, że posłania, które nam Seldon przekazuje w ten sposób, są przez kogoś preparowane albo że ktoś nimi manipuluje?

— Nie. Nie widzę żadnych powodów, aby sądzić, że taka manipulacja jest możliwa czy komuś potrzebna.

— Rozumiem. Był pan świadkiem ostatniego pojawienia się hologramu Seldona. Czy — pana zdaniem — sporządzona przez

Seldona pięćset lat temu analiza sytuacji nie dość dokładnie uwzględnia obecne warunki?

— Przeciwnie — odparł Trevize z nagłym rozbawieniem. — Uwzględnia je bardzo dokładnie.

Kodell nie zareagował na zmianę nastroju swojego rozmówcy. — A jednak, panie radny — rzekł — mimo to utrzymuje pan, że Plan Seldona nie istnieje?

— Oczywiście, że nie istnieje. Twierdzę tak właśnie dlatego, że wykonana przez niego analiza dokładnie uwzględnia…

Kodell wyłączył zapis.

— Panie radny — powiedział kręcąc głową — znowu mnie pan zmusza do wymazania swojej odpowiedzi. Pytałem, czy pan podtrzymuje tę swoją dziwną opinię, a pan zaczyna mi tu wyliczać powody, które pana do tego skłaniają. Pozwoli pan, że powtórzę pytanie.

Włączył zapis i spytał raz jeszcze:

— A jednak, panie radny, mimo to utrzymuje pan, że Plan Seldona nie istnieje?

— A skąd pan o tym wie? Nikt nie miał okazji, żeby porozmawiać z tym donosicielem, Comporem, po ukazaniu się Seldona.

— Powiedzmy, że domyśliliśmy się tego. I powiedzmy, że pan już odpowiedział: „Oczywiście, że nie istnieje". Jeśli zechce pan powtórzyć to jeszcze raz, bez dodatkowych wyjaśnień, to będziemy mieli to za sobą.

— Oczywiście, że nic istnieje — odparł Trevize z ironicznym uśmiechem.

— W porządku — rzekł Kodell. — Wybiorę to: „Oczywiście, że nie istnieje", które brzmi bardziej naturalnie. Dziękuję, panie radny — i wyłączył zapis.

— To wszystko? — spytał Trevize.

— To wszystko, czego mi trzeba.

— Jest zupełnie jasne, że wszystko, czego panu trzeba, to zestaw pytań i odpowiedzi, który może pan przedstawić mieszkańcom Terminusa i całej naszej Federacji, żeby udowodnić, że wierzę bez zastrzeżeń w legendę o Planie Seldona. Jeśli potem spróbuję temu zaprzeczyć, to wyjdę na idiotę.

— Albo nawet na zdrajcę w oczach rozgorączkowanego tłumu, dla którego Plan jest gwarancją bezpieczeństwa Fundacji. Jeśli dojdziemy do porozumienia, to może opublikowanie tego nie będzie konieczne, ale jeśli będzie się pan upierał przy swoim, to dopilnujemy, żeby Fundacja wysłuchała tego nagrania.

Trevize zmarszczył czoło.

— Czy jest pan aż tak głupi, że zupełnie nie interesuje pana, co naprawdę mam do powiedzenia?

— Jako człowieka interesuje mnie to bardzo, i jeśli zdarzy się ku temu odpowiednia okazja, to naprawdę Wysłucham pana z uwagą i niezbędną dozą sceptycyzmu. Jednak jako dyrektor Urzędu Bezpieczeństwa mam w tej chwili wszystko, czego mi było potrzeba.

— Myślę, że zdaje pan sobie sprawę z tego, że ani panu, ani pani burmistrz nie wyjdzie to na dobre.

— Przykro mi, ale zupełnie nie podzielam tej opinii. A teraz pan wyjdzie. Oczywiście pod strażą.

— Gdzie mnie zabieracie?

W odpowiedzi Kodell tylko się uśmiechnął.

— Do widzenia, panie radny. Nie bardzo starał się pan mi pomóc, ale byłbym naiwny, gdybym na to liczył.

Wyciągnął rękę.

Trevize wstał, ale zignorował jego gest. Wygładził pas i rzekł: — Odwleka pan tylko to, co nieuchronnie musi nadejść. Inni muszą myśleć tak samo jak ja, a jeśli jeszcze tak nie myślą, to wkrótce do tego dojdą. Uwięzienie albo zgładzenie mnie wzbudzi zainteresowanie moją sprawą, i przyspieszy ten proces. W końcu zwycięży prawda i ja.

Kodell cofnął dłoń i wolno pokręcił głową.

— Trevize, pan naprawdę jest głupcem — powiedział.

4.

Trevize znalazł się w luksusowym, musiał to przyznać, pomieszczeniu w siedzibie głównej sił Bezpieczeństwa. Pokój, choć luksusowy, był zamknięty. Tak czy owak, mimo wyposażenia, była to cela więzienna.

Dopiero o północy przyszło po Trevizego dwóch strażników. Miał więc ponad cztery godziny, aby przemyśleć swoją sytuację. Większość tego czasu spędził chodząc z kąta w kąt i czyniąc sobie gorzkie wyrzuty.

Dlaczego zaufał Comporowi? A dlaczego miał mu nie ufać? Wydawał się z nim całkowicie zgadzać… Nie, to nie to. Wydawał się chętnie ulegać jego argumentom… Nie, to też nie to. Wydawał się tak głupi, tak łatwowierny i pozbawiony swojego zdania, że Trevize traktował go jako swego rodzaju płytę rezonansową. Compor pomagał mu sprecyzować i lepiej wyartykułować jego własne poglądy. Był po prostu użyteczny i Trevize ufał mu tylko dlatego, że było mu z tym wygodnie.

Teraz jednak zastanawianie się nad tym, czy nie powinien był być ostrożniejszy i przejrzeć zawczasu Compora, było bezcelowe. Powinien był postępować według starej i sprawdzonej zasady i nie ufać nikomu.

Ale czy można iść przez życie, nie mając do nikogo zaufania? Najwidoczniej trzeba tak postępować.

A kto by pomyślał, że Branno będzie aż tak bezczelna, że każe uwięzić radnego podczas sesji Rady… i że nikt z obecnych na sali nie powie ani słowa w obronie jednego ze swoich? Nawet gdyby absolutnie nie zgadzali się z Trevizem, nawet gdyby byli gotowi ryzykować swoimi głowami, że to Branno ma rację, to i tak, dla zasady, powinni byli zaprotestować przeciw takiemu pogwałceniu ich immunitetu. Czasami nazywano Branno żelazną kobietą i trzeba przyznać, że swym postępowaniem rzeczywiście potwierdziła to określenie…

Chyba, że sama znajdowała się już w garści…

Nie! To prowadzi do paranoi.

Ale jednak…

Wiedział, że kręci się w kółko, ale nie mógł oswobodzić się od natrętnie powracających myśli. Wtedy przyszli strażnicy.

— Będzie musiał pan pójść z nami, panie radny — powiedział poważnym, lecz beznamiętnym tonem starszy z nich. Dystynkcje na jego mundurze wskazywały, że jest porucznikiem. Miał niewielką bliznę na prawym policzku i wyglądał na znudzonego, jak gdyby za długo był już w służbie i miał za mało do roboty. Można było się tego

spodziewać po żołnierzu, którego ludzie od ponad stu lat nie uczestniczyli w żadnej bitwie.

Trevize nie ruszył się z miejsca. — Pana nazwisko, poruczniku? — spytał.

— Jestem porucznik Evander Sopellor, panie radny.

— Zdaje pan sobie sprawę, poruczniku Sopellor, że łamie pan prawo? Nie może pan aresztować radnego.

— Dostaliśmy ścisły rozkaz, proszę pana.

— To nieważne. Nikt nie może panu rozkazać aresztować radnego. Musi pan sobie uświadomić, że czeka pana za to sąd wojskowy.

— Pan nie jest aresztowany — odparł porucznik.

— A więc nie muszę iść z wami, prawda?

— Kazano nam odeskortować pana do domu.

— Znam drogę.

— I chronić pana w drodze.

— Przed czym? Albo przed kim?

— Przed tłumem, który może się tam zebrać.

— O północy?

— Właśnie dlatego czekaliśmy aż do północy. I teraz, mając na względzie ochronę pana osoby, prosimy, żeby poszedł pan z nami. Pragnę dodać, że jeżeli będzie to konieczne, mamy użyć siły. Mówię to nie po to, żeby grozić panu, ale żeby pan o tym wiedział.

Trevize widział, że byli uzbrojeni w bicze neuronowe. Podniósł się, mając nadzieję, że robi to z godnością. — A więc chodźmy do mnie. Czy może zamierzacie zabrać mnie do więzienia?

— Nie mamy rozkazu, żeby pana okłamywać — powiedział porucznik z lekkim odcieniem dumy w głosie. Trevize zrozumiał, że ma do czynienia z prawdziwym żołnierzem, który skłamałby tylko na wyraźny rozkaz, a i wtedy wyraz jego twarzy i ton jego głosu świadczyłby, że robi to z niechęcią. Powiedział: — Przepraszam pana, poruczniku. Nie wątpię w prawdziwość pańskich słów.

Na zewnątrz czekał na nich samochód. Ulica była pusta. Nie było żywego ducha, a cóż dopiero mówić o tłumie, ale porucznik nie kłamał. Nie powiedział przecież, że na zewnątrz stoi czy zbiera się tłum. Wspominał tylko o tłumie, „który może się tam zebrać".

Porucznik dobrze pilnował Trevizego, trzymając go między sobą i samochodem. Trevize nie miał żadnej szansy, żeby odwrócić Siei wziąć nogi za pas. Porucznik wszedł zaraz za nim i usiadł obok niego, w tyle wozu.

Ruszyli.

— Kiedy już się znajdę w domu — rzekł Trevize — to przypuszczam, że będę mógł się swobodnie zająć swoimi sprawami, na przykład wyjść, jeśli będę miał taką ochotę.

— Mamy rozkaz, żeby nie przeszkadzać panu w niczym, co nie łączy się z ochroną pana osoby.

— Co nie łączy się z ochroną mojej osoby? A co to znaczy?

— Polecono mi zakomunikować panu, że nie może pan opuszczać domu. Na ulicy nie jest pan bezpieczny, a ja odpowiadam za pana bezpieczeństwo.

— To znaczy, że jestem w areszcie domowym.

— Nie jestem prawnikiem, panie radny. Nie wiem, co to znaczy.

Patrzył prosto przed siebie, dotykając łokciem boku Trevizego. Trevize nie mógł wykonać żadnego, nawet najmniejszego, ruchu, który uszedłby uwagi porucznika.

Samochód zatrzymał się przed małym domkiem Trevizego na Flexner, przedmieściu Terminusa. Trevize mieszkał sam — jego przyjaciółka, Flavella, mając dosyć nieuporządkowanego trybu życia, do którego Zmuszały Trevizego obowiązki radnego, opuściła go — nie spodziewał się więc, by ktoś na niego czekał.

— Mogę teraz wysiąść? — spytał Trevize.

— Ja wyjdę pierwszy. Wprowadzimy pana do domu.

— W trosce o moje bezpieczeństwo?

— Tak, proszę pana.

Za drzwiami czekało na niego dwóch strażników. Paliło się nocne światło, ale ponieważ okna wykonane były z jednostronnie przezroczystego szkła, nie widać go było z zewnątrz.

Trevizego ogarnęło oburzenie z powodu tego bezczelnego wdarcia się do jego domu, ale szybko uspokoił się. Jeśli Rada nie była w stanie obronić go we własnej sali posiedzeń, to czy można się było dziwić, że jego dom nie jest już jego nietykalną własnością?

— Ilu jeszcze was tu jest? — spytał. — Cały pułk?

— Nie, panie radny — odpowiedział mu twardy i stanowczy głos. — Oprócz tych, których pan widzi, jest tu tylko jedna osoba. Dosyć długo czekałam na pana.

W drzwiach prowadzących do salonu stała Harla Branno, burmistrz Terminusa, we własnej osobie.

— Nie sądzi pan, że już czas, żebyśmy porozmawiali?

Trevize gapił się w osłupieniu. W końcu rzekł:

— Cała ta farsa po to, żeby…

Branno przerwała mu cicho, lecz stanowczo:

— Spokojnie, panie radny. A wy czterej — na zewnątrz! Wychodźcie. Nie będziecie tu potrzebni.

Czterej strażnicy zasalutowali i wyszli. Trevize i Branno zostali sami.

Rozdział II
PANI BURMISTRZ

5.

Branno czekała już od godziny, pogrążona w niewesołych myślach. Formalnie biorąc, popełniła przestępstwo — włamała się do cudzego domu. Co więcej, pogwałciła immunitet radnego zagwarantowany konstytucją. Na mocy prawa obowiązującego burmistrzów od blisko dwustu lat, od czasów Indbura III i Muła, mogła być za swe poczynania pociągnięta do odpowiedzialności sądowej.

Tego jednego jedynego dnia mogła, co prawda, pozwolić sobie na popełnienie wykroczenia. Ale ten dzień minie. Poruszyła się niespokojnie.

Pierwsze dwa stulecia istnienia Fundacji były złotym wiekiem, epoką bohaterów. Tak przynajmniej wyglądało to z obecnej perspektywy, bo ci, którzy żyli w tamtych niepewnych czasach, mogli mieć na ten temat inne zdanie. Salvor Hardin i Hober Mallow byli herosami, półbogami, stawianymi niemal na równi z samym Harim Seldonem. Na tej trójcy opierała się cała, legenda (a nawet historia) Fundacji.

Jednak w tamtych odległych czasach Fundacja ograniczała się do jednego malutkiego świata sprawującego niepewną kontrolę nad Czterema Królestwami i mającego słabe wyobrażenie o tym, w jak dużym stopniu chroni go Plan Seldona, który odsuwa odeń nawet niebezpieczeństwo grożące mu ze strony resztek potężnego Imperium Galaktycznego.

Jednak im potężniejsza gospodarczo i politycznie stawała się Fundacja, tym mniej znaczących miała — władców i żołnierzy. Lathan Devers był postacią niemal całkowicie zapomnianą. Jeśli jeszcze ten i ów pamiętał o nim, to raczej z powodu jego tragicznej śmierci podczas niewolniczej pracy w kopalni niż z racji jego niepotrzebnej, lecz zwycięskiej walki z Bel Riosem.

Zresztą Bel Riose, najszlachetniejszy z dawnych wrogów Fundacji, też stopniowo osuwał się w niepamięć, przyćmiony historią Muła, jedynego z wrogów, któremu udało się złamać Plan Seldona, pokonać Fundację i objąć nad nią władzę. Tylko on był potężnym wrogiem, prawdę powiedziawszy — ostatnim z potężnych.

Niemal nie pamiętano, że Muła pokonała praktycznie jedna osoba — kobieta, Bayta Darell — i że dokonała tego bez niczyjej pomocy, nawet bez pomocy Planu Seldona. Niemal zapomniano też już o tym, że jej syn i wnuczka, Toran i Arkady Darellowie pokonali Drugą Fundację, dzięki czemu ich Fundacja, Pierwsza Fundacja, stała się największą potęgą w Galaktyce.

Ci późniejsi zwycięzcy nie byli już herosami. Nastały czasy niemal

nieograniczonej ekspansji Fundacji i herosi skurczyli się do rozmiaru zwykłych śmiertelników. Nawet Arkady Darell, pisząc biografię swej babki, uczyniła z prawdziwej bohaterki postać z powieści przygodowej.

Od tamtej pory nie było już .nie tylko herosów, ale nawet bohaterów powieści przygodowych. Wojna z Kalganem była ostatnim przejawem agresji skierowanej przeciw Fundacji, i był to zupełnie niegroźny konflikt. A potem zapanował niczym nie zmącony pokój. W ciągu ostatnich stu dwudziestu lat żaden statek nie został choćby zadraśnięty.

Był to dobry, korzystny pokój. Branno nie mogła temu zaprzeczyć. Fundacja nie ustanowiła wprawdzie Drugiego Imperium Galaktycznego — zgodnie z Planem Seldona znajdowała się dopiero w połowie drogi do tego celu — ale uzależniła od siebie gospodarczo ponad jedną trzecią rozproszonych w Galaktyce jednostek politycznych, a i na te, które pozostały poza zasięgiem jej władzy, również wywierała pewien wpływ. Niewiele było już miejsc, gdzie oświadczenie: „Jestem z Fundacji" nie budziło respektu. Na milionach zamieszkałych światów nikt nie cieszył się większym poważaniem niż burmistrz Terminusa.

Tytuł był wciąż ten sam. Został odziedziczony po przywódcach małej, niemal nikomu nieznanej i lekceważonej pięćset lat temu mieściny leżącej na samotnym świecie zagubionym na kresach cywilizacji, ale nikt nie myślał nawet o tym, żeby go zmienić czy nadać mu choćby o jeden atom dostojniejsze brzmienie. Było to niepotrzebne, gdyż i w obecnej formie budził taki lęk i szacunek, że równać z nim mógł się tylko bynajmniej nie zapomniany tytuł imperatora.

Budził lęk i szacunek, ale nie tu, na Terminusie, gdzie władza burmistrza była silnie ograniczona. Pamięć Indburów była nadal żywa. Ludzie nie mogli zapomnieć nie tyle ich tyranii, ile faktu, że ponieśli klęskę z rąk Muła.

Teraz burmistrzem była ona, Harla Branno. Była dopiero piątą kobietą na tym stanowisku od początku istnienia Fundacji, ale bez wątpienia nie było od śmierci Muła równie potężnego jak ona burmistrza. Jednak dopiero dzisiaj mogła otwarcie skorzystać ze swej władzy.

Długo walczyła o to, by uznano, że ona wie najlepiej, co jest słuszne i co mają robić, ale w końcu — mimo zaciekłego oporu tych, którym marzyła się stolica w środku Galaktyki i splendor Imperium — zwyciężyła.

„Jeszcze nie teraz" — mówiła. Nie teraz! Pospieszycie się, sięgniecie po środek Galaktyki i przegracie z takiego a takiego powodu. I oto pojawił się Seldon i poparł jej stanowisko, używając

prawie identycznych argumentów. Uczyniło ją to w oczach całej Fundacji równie mądrą jak Seldon. Wiedziała jednak, że za jakiś czas zapomną o tym. A ten oto młody człowiek ośmielił się rzucić jej wyzwanie akurat w dniu jej tryumfu. Co gorsza, rniał rację!

W tym kryło się największe niebezpieczeństwo. Miał rację. I właśnie dlatego mógł doprowadzić do zagłady Fundacji.

Teraz była z nim sam na sam.

— Nie mógł pan porozmawiać ze mną prywatnie? — spytała ze smutkiem. — Musiał pan wykrzyczeć to wszystko w sali obrad? Tak bardzo zależało panu na tym, żeby zrobić ze mnie publicznie idiotkę? Coś ty zrobił, niemądry chłopcze?

6.

Trevize poczuł, że się rumieni, ale zdusił w sobie gniew. Branno była starzejącą się kobietą — za rok miała obchodzić sześćdziesiąte trzecie urodziny. Nie wypadało mu krzyczeć na osobę dwa razy starszą od niego.

Poza tym, mając za sobą tyle utarczek politycznych, na pewno dobrze wiedziała, że jeśli uda — się jej na samym początku wyprowadzić przeciwnika z równowagi, to jej zwycięstwo będzie prawie pewne. Z drugiej strony, taka taktyka była skuteczna tylko na szerszym audytorium, a tu nie było nikogo, przed kim mogłaby ośmieszyć czy upokorzyć przeciwnika. Byli przecież sami.

Ostatecznie zignorował jej słowa i starał się przyjrzeć jej spokojnie. Miał przed sobą starszą kobietę, ubraną w modny już od dwóch pokoleń strój unisex. Nie był to strój odpowiedni dla takiej osoby. Burmistrz Branno, przywódczyni Galaktyki — jeśli w ogóle Galaktyka mogła mieć przywódcę — była zwykłą starszą kobietą, którą, gdyby nie jej fryzura — gładko zaczesane do tyłu stalowosiwe włosy, można by łatwo wziąć za mężczyznę.

Uśmiechnął się. Nawet gdyby taki zgrzybiały przeciwnik starał się ze wszystkich sił, by słowo „chłopiec" zabrzmiało jak obelga, to nie zmieniłoby to faktu, że ów chłopiec ma nad nim tę właśnie przewagę, że jest młody i przystojny i w dodatku w pełni świadom tych swoich atutów.

— Szczera prawda — powiedział. — Mam trzydzieści dwa lata, więc można mnie nazwać chłopcem. Poza tym, jako radny, jestem, ex officio, niemądry. Na pierwszą przyczynę nie mam wpływu. Jeśli chodzi o drugą, to mogę tylko powiedzieć, że jest mi przykro z tego powodu.

— Czy wie pan, co pan zrobił? Niech pan tak nie stoi i nie wysila się, żeby wypaść dowcipnie. Proszę usiąść. Niech pan postara się uporządkować myśli i odpowiada mi rozsądnie.

— Wiem, co zrobiłem. Powiedziałem to, co moim zdaniem jest prawdą.

— I to właśnie dzisiaj próbował pan przeciwstawić mi tę swoją prawdę? Akurat w dniu, w którym zdobyłam takie uznanie, że mogłam pana usunąć z sali obrad i kazać zaaresztować, a nikt z członków Rady nie ośmielił się zaprotestować?

— Rada dojdzie do siebie i zaprotestuje. Może już układają protest. A szykany, które mnie za pani sprawą spotykają, spowodują, że tym chętniej będą mnie słuchali.

— Nikt nie będzie pana słuchał, bo jeśli dojdę do wniosku, że ma pan zamiar dalej robić to, co do tej pory, to potraktuję pana jako

zdrajcę, i to z całą surowością prawa.

— W takim razie będzie pani musiała wytoczyć mi proces. A w sądzie ja będę górą.

— Niech pan na to nie liczy. Uprawnienia burmistrza w czasie stanu wyjątkowego są praktycznie nieograniczone, chociaż rzadko się z nich korzysta.

— Na jakiej podstawie ogłosi pani stan wyjątkowy?

— Znajdę odpowiednią podstawę. Zostało mi jeszcze tyle inwencji. A jeśli chodzi o ryzyko polityczne, to się go nie boję. Niech mnie pan nie prowokuje, młodzieńcze. Albo dojdziemy dzisiaj do porozumienia, albo pożegna się pan na zawsze z wolnością. Nie żartuję.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem. W końcu Trevize spytał:

— Do jakiego porozumienia?

— Aha. Zainteresowało to pana. To już lepiej. Wobec tego możemy przejść od konfrontacji do rozmów. A zatem, jak pan widzi naszą sytuację?

— Wie to pani dobrze. Przecież była pani cały czas w kontakcie z tą szują Comporem, prawda?

— Ale chcę usłyszeć pana zdanie z pana własnych ust. Jak pan ocenia sytuaqę w świetle niedawnego kryzysu Seldona?

— No, skoro pani tego chce… (Niewiele brakowało, a byłby powiedział: „Skoro tego chcesz, staro babo”.) Jak na pięćset lat, które minęły od czasu, kiedy nagrywał swoje wystąpienie, Seldon za dobrze orientował się w naszych sprawach. To niewiarygodne. Zdaje mi się, że było to jego ósme pojawienie się. Parę razy nie było w Krypcie nikogo, żeby go wysłuchać. Przynajmniej raz, za Indbura III, to, co powiedział, zupełnie nie przystawało do rzeczywistej sytuacji. No, ale to było w czasach Muła, prawda? No więc, czy choć raz przedtem jego wywody pasowały tak dokładnie do sytuacji, jak teraz?

Trevize pozwolił sobie na uśmiech. — Opierając się na naszych nagraniach jego przemówień, można stwierdzić, pani burmistrz, że nigdy jeszcze nie udało się Seldonowi opisać naszej sytuacji tak dokładnie, ze wszystkimi, nawet drobnymi szczegółami, jak teraz.

— Chce pan przez to powiedzieć, że podobizna Seldona, jego holograficzny obraz, jest fałszerstwem, że jego wystąpienia zostały, być może, spreparowane przez kogoś ze współczesnych, na przykład przeze mnie, albo że podstawiono za Seldona jakiegoś aktora? — spytała Branno.

— To nie byłoby niemożliwe, ale nie o to mi chodzi. Prawda jest o wiele gorsza. Wierzę, że oglądaliśmy oryginalny hologram Seldona i że jego opis czasów, w których żyjemy, jest opisem, który on sam sporządził pięćset lat temu. Powiedziałem to już pani człowiekowi, Kodellowi, który starannie wyreżyserował przedstawienie, w którym

moja rola polegała, zdaje się, na tym, żeby utwierdzić niezdolnych do samodzielnego myślenia mieszkańców Fundacji w ich przesądach.

— Zgadza się. Jeśli okaże się konieczne, skorzystamy z tego nagrania, żeby pokazać ludziom, że w rzeczywistości nigdy nie był pan w opozycji wobec rządu.

Trevize rozłożył ramiona.

— Problem w tym, że ja jestem w opozycji. Nie ma żadnego Planu Seldona, i to od dobrych dwóch stuleci. Przynajmniej takiego, w jaki my wierzymy. Podejrzewałem to od dawna, a to, co miało miejsce w Krypcie Czasu dwanaście godzin temu, potwierdziło moje podejrzenia.

— Dlatego, że Seldon tak dokładnie opisał naszą sytuację?

— Właśnie dlatego. Proszę się nie śmiać. To ostateczny dowód.

— Jak pan widzi, nie śmieję się. Proszę mówić dalej.

— Jak to możliwe, żeby przewidział to wszystko tak dokładnie? Dwieście lat temu jego prognoza okazała się zupełnie nie trafiona. Minęło tylko trzysta lat od założenia Fundacji, a Seldon pomylił się zupełnie. Zupełnie!

— Parę minut temu sam pan już to wyjaśnił, panie radny. Stało się tak z powodu Muła. Muł był mutantem o niespotykanych zdolnościach psychicznych. Nie sposób było przewidzieć w Planie, że pojawi się ktoś taki.

— Ale się pojawił, bez względu na to, czy to ktoś przewidział, czy nie. Plan Seldona runął. Muł nie rządził długo i nie miał następcy. Fundacja odzyskała niezależność i władzę, ale w jaki sposób, po tak wielkich i nie przewidzianych zmianach, które naruszyły jego podstawową tkankę, mógł Plan zachować swoją aktualność?

Branno ciasno splotła pomarszczone dłonie i rzekła z groźną miną.

— Zna pan odpowiedź na to pytanie. Byliśmy jedną z dwu Fundacji. Czytał pan podręczniki historii.

— Czytałem napisaną przez Arkady biografię jej babki — w końcu jest to lektura obowiązkowa w szkole — i czytałem też jej powieści. Czytałem oficjalną wersję wydarzeń, które miały miejsce za czasów Muła i po nim. Czy wolno mi wątpić w to, co tam jest napisane?

— To znaczy w co?

— Według oficjalnej wersji my, to znaczy Pierwsza Fundacja, — mieliśmy uchronić od zapomnienia i rozwinąć nauki fizykalne. Mieliśmy działać otwarcie, a rozwój naszej Fundacji — bez względu na to, czy wiedzieliśmy o tym, czy nie — miał przebiegać zgodnie z Planem Seldona. Była jednak także Druga Fundacja, która miała zachować i rozwinąć nauki psychologiczne, w tym psychohistorię, a jej istnienie miało pozostać tajemnicą nawet dla nas. Druga Fundacja była zespołem dostrajającym, czuwającym nad Planem i mającym

dostosowywać bieg wydarzeń do Planu w momentach, kiedy zaczynały one przybierać kierunek niezgodny z zamierzeniami Seldona.

— W ten sposób sam pan odpowiedział na swoje wątpliwości — rzekła Branno. — Bayta Darell pokonała Muła, być może działając pod wpływem Drugiej Fundacji, choć jej wnuczka zdecydowanie temu zaprzecza. Jednak powrót Galaktyki po śmierci Muła na tor wytyczony przez Plan to bez wątpienia ich dzieło. A więc o czym u licha pan tu mówi?

— Pani burmistrz, jeśli mamy się trzymać relacji Arkady Darell, to powinno być zupełnie jasne, że starając się naprostować bieg wydarzeń w Galaktyce, Druga Fundacja zachwiała całym Planem Seldona, bo w wyniku tych starań ujawniła swoje istnienie i cele. Uświadomiliśmy sobie, że istnieje w Galaktyce Druga Fundacja, będąca jakby lustrzanym odbiciem naszej i świadomość tego, że ktoś kieruje naszymi poczynaniami, nie dawała nam żyć. Dlatego wytężaliśmy wszystkie siły, aby znaleźć i zniszczyć Drugą Fundację.

Branno skinęła potakująco głową. — I, zgodnie z relacją Arkady Darell, udało nam się to, ale — co wydaje się oczywiste — nie wcześniej niż Druga Fundacja skierowała z powrotem bieg wydarzeń na właściwy tor. Nadal jesteśmy na tym torze.

— I pani w to wierzy? Według tej relacji Druga Fundacja została odkryta, a jej członkowie odpowiednio potraktowani. Było to w 378 roku e.f., sto dwadzieścia lat temu. A więc od pięciu pokoleń działamy już samodzielnie, bez Drugiej Fundacji, a jednak to, co robimy, jest tak zgodne z Planem, że wypowiedzi pani i Seldona były prawie identyczne.

— Można to zinterpretować w ten sposób, że z wyjątkową przenikliwością rozpoznaję to, co najbardziej istotne w procesie dziejowym.

— Proszę mi wybaczyć, ale jestem innego zdania. Nie mam zamiaru poddawać w wątpliwość pani wyjątkowej przenikliwości, ale według mnie bardziej prawdopodobne jest to, że Druga Fundacja nie została wcale zniszczona. Nadal rządzi nami. Nadal kieruje naszymi poczynaniami. I właśnie dlatego wróciliśmy na tor wyznaczony przez Plan Seldona.

7.

Nawet jeśli stwierdzenie to zaszokowało burmistrz Branno, nie pokazała tego po sobie.

Była pierwsza po północy i Branno pragnęła doprowadzić już tę rozmowę do końca, ale nie mogła ponaglać swego rozmówcy. Trzeba było go złowić, więc nie chciała nieopatrznie spowodować, by zerwał żyłkę. Nie chciała się go po prostu pozbyć, kiedy mogła go wpierw użyć do swoich celów.

— Czyżby? — spytała. — Sugeruje pan zatem, że opowieść Arkady o wojnie z Kalganem i o zniszczeniu Drugiej Fundacji jest nieprawdziwa? Że została zmyślona? Że to oszukaństwo? Albo skutek czyichś machinacji?

Trevize wzruszył ramionami. — Niekoniecznie. To nie ma nic do rzeczy. Załóżmy, że relacja Arkady jest — na gruncie jej wiedzy — całkowicie prawdziwa. Załóżmy, że wszystko odbyło się tak, jak to opisała Arkady — że odkryto siedzibę Drugiej Fundacji i zniszczono ich. Ale skąd możemy mieć pewność, że dostaliśmy wszystkich? Druga Fundacja zajmowała się całą Galaktyką. Oni nie sterowali biegiem wydarzeń tylko na Terminusie, czy tylko w Fundacji. Ich zainteresowania nie ograniczały się do tego, co dzieje się na naszym stołecznym świecie czy nawet w całej naszej Federacji. Niektórzy z nich musieli być o tysiąc parseków stąd, a może jeszcze dalej. Czy to możliwe, że wyłapaliśmy wszystkich? A jeśli nie, to czy możemy twierdzić, że wygraliśmy? Czy Muł mógł tak twierdzić w swoim czasie? Podbił Terminusa, a razem z nim wszystkie światy, które mu podlegały, ale światy Niezależnych Handlarzy nadal się opierały. Opanował światy Niezależnych Handlarzy, ale pozostało troje uciekinierów: Ebling Mis, Bayta Darell i jej mąż. Obu mężczyzn miał pod kontrolą, ale Baytę — tylko ją — zostawił samą sobie. Jeśli wierzyć Arkady, zrobił tak ze względu na uczucie, które żywił do niej. I to wystarczyło. Według relacji Arkady tylko jedna osoba, właśnie Bayta, mogła robić to, co chciała i tylko dlatego Muł nie zdołał ustalić, gdzie znajduje się Druga Fundacja i w konsekwencji został pobity.

Zostawił swobodę działania jednej osobie i wszystko stracił. Oto, co — na przekór tym wszystkim legendom otaczającym Plan Seldona i głoszącym, że jednostka jest niczym, a masy wszystkim — znaczy jedna osoba.

A jeśli, co wydaje się zupełnie prawdopodobne, ocalała nie jedna, ale parę tuzinów osób należących do Drugiej Fundacji, to co wtedy? Czy nie połączyliby się, żeby odzyskać utracone pozycje, zwiększyć swoje szeregi przez nabór i szkolenie nowych członków i uczynić nas na powrót pionkami w swojej grze?

— Naprawdę pan tak myśli? — spytała poważnie Branno.

— Jestem tego pewien.

— A może mi pan wyjaśnić, po co mieliby to robić? Dlaczego ta nieszczęsna garstka niedobitków miałaby z takim uporem starać się nadal robić to, czego nikt od nich nie chce? Co niby zmusza ich do takiej troski o to, żeby Galaktyka nie zboczyła z drogi ku Drugiemu Imperium? A poza tym, gdyby nawet uparli się, żeby spełnić swoją misję, to co to nas obchodzi? Dlaczego nie mielibyśmy przystać na to, żeby wszystko szło zgodnie z Planem i być raczej wdzięczni, że dbają, żebyśmy nic zbłądzili ani nie zboczyli z tej drogi?

Trevize przetarł dłonią oczy. Z nich dwojga to on, choć młodszy, wydawał się bardziej zmęczony. Spojrzał na Branno i rzekł:

— Nie wierzę własnym uszom. Pani naprawdę uważa, że Druga Fundacja robi to dla nas? Że .są czymś w rodzaju idealistów? Czyżby pani znajomość polityki, praktyczna wiedza z zakresu władzy i sterowania ludźmi nie wykazywała pani wystarczająco jasno, że robią to wszystko dla siebie?

My jesteśmy tylko narzędziem. Maszyną, silnikiem czy siłą. Pracujemy w trudzie i znoju, a oni po prostu operują tym narzędziem. Tu wcisną guzik, tam dadzą wzmocnienie, a wszystko to bez wysiłku i najmniejszego ryzyka. A potem, kiedy już wszystko zostanie zrobione, po tysiącu lat wytężonej pracy, po stworzeniu Drugiego Imperium, zostaną klasą rządzącą i wszystko wezmą jak swoje.

— A więc chce pan wyeliminować Drugą Fundację? — spytała Branno. — Chce pan, byśmy — będąc w połowie drogi do Drugiego Imperium — wzięli sprawę w swoje ręce, dokończyli dzieła i sami stali się klasą rządzącą?

— Oczywiście! A pani tego nie chce? Ani pani, ani ja nie dożyjemy tego, ale ma pani wnuki, a ja może też je będę kiedyś miał, a one też będą miały wnuki, i tak dalej. Chcę, żeby to one korzystały z owoców naszej pracy, żeby wracały myślą do nas jako do źródła swej potęgi, żeby sławili nas za to, co dla nich zrobiliśmy. Mię chcę, żeby korzystali z tego jacyś konspiratorzy stworzeni przez Seldona, którego bynajmniej nie darzę czcią ani podziwem. Powiem pani, że według mnie on stanowi dla nas większe zagrożenie niż Muł, jeśli pozwolimy, by wszystko szło zgodnie z jego Planem. Na Galaktykę, żałuję, że Muł nie zniszczył zupełnie tego Planu. My byśmy przeżyli Seldona. Był tak samo śmiertelny, jak my. To Druga Fundacja wydaje się nieśmiertelna.

— Ale pan chciałby ją zniszczyć, czy tak?

— Gdybym tylko wiedział, jak to zrobić!

— Ponieważ jednak nie wie pan, jak to zrobić, nie sądzi pan, że jest całkiem prawdopodobne, że to oni zniszczą pana?

Trevize wydął pogardliwie usta.

— Pomyślałem sobie, że nawet pani może być pod ich wpływem.

To, że tak trafnie przewidziała pani, co nam powie Seldon, a także sposób, w jaki pani mnie potraktowała, to wszystko pachnie mi Drugą Fundacją. Być może pod powłoką pani burmistrz kryje się wytwór Drugiej Fundacji.

— Wobec tego dlaczego mówi mi pan o tym wszystkim?

— Dlatego, że jeśli znajduje się pani pod wpływem Drugiej Fundacji, to tak czy inaczej nie mam żadnych szans, więc chcę przynajmniej dać upust swojej złości… a także dlatego, że — prawdę mówiąc — zaryzykowałem i postawiłem na to, że jednak nie jest pani pod ich wpływem, ale po prostu nie zdaje pani sobie sprawy z tego, co robi.

— W takim razie dobrze pan postawił. Nie jestem pod niczyim wpływem i tylko ja sama kontroluję swoje postępowanie. Ale, mimo to, skąd ma pan pewność, że mówię prawdę? Czy gdybym była pod wpływem Drugiej Fundacji, to przyznałabym się do tego? A przede wszystkim, czy w ogóle bym wiedziała, że jestem pod ich wpływem? No, ale zostawmy te pytania, bo nic z nich nie wynika. Liczę, że nie jestem pod ich wpływem, a pan nie ma wyboru i musi też w to uwierzyć. Niech pan jednak weźmie pod uwagę, ze jeśli Druga Fundacja nadal istnieje, to na pewno najbardziej zależy im na tym, żeby nikt w całej Galaktyce nie dowiedział się o ich istnieniu. Plan Seldona działa tylko wtedy, kiedy pionki, to znaczy my, nie mają pojęcia, jak się to odbywa i w jaki sposób manipuluje się nimi. Druga Fundacja została zniszczona — a może powinnam powiedzieć „prawie zniszczona”? — w czasach Arkady tylko dlatego, że Muł zwrócił na nią uwagę Pierwszej Fundacji.

Możemy stąd wyciągnąć dwa wnioski. Po pierwsze, możemy zasadnie przypuszczać, że starają się jak najmniej ingerować bezpośrednio w nasze sprawy. To niemożliwe, żeby zdołali objąć swoją kontrolą nas wszystkich. Nawet Druga Fundacja, jeśli oczywiście istnieje, nie ma niczym nie ograniczonych możliwości wpływania na innych. Gdyby natomiast sterowali działaniami tylko pewnych osób, to mogłoby to zostać zauważone przez innych, a to z kolei doprowadziłoby do zniekształcenia Planu. A zatem dochodzimy do wniosku, że ingerują pośrednio, tak subtelnie i nieznacznie, jak to tylko możliwe, I właśnie dlatego ja nie jestem pod ich wpływem. Ani pan.

— To jeden wniosek — rzekł Trevize — i jestem skłonny go przyjąć… być może dlatego, że chciałbym, żeby tak było. A jaki jest drugi?

— Prostszy i bardziej oczywisty. Jeśli Druga Fundacja istnieje i pragnie zachować swoje istnienie w tajemnicy, to jedno jest pewne. Każdy, kto sądzi, że nadal istnieją i rozpowiada o tym wszem i wobec, musi zostać w jakiś nie budzący niczyich podejrzeń sposób usunięty.

Myślę, że pan doszedł do tego samego wniosku?

— Czy to dlatego wzięto mnie do aresztu, pani burmistrz? Dlatego, żeby uchronić mnie przed Drugą Fundacją?

— W pewnym sensie tak. Pańskie zeznania, tak starannie nagrane przez Liono Kodella, zostaną ogłoszone publicznie nie tylko po to, żeby pana głupie gadanie nie niepokoiło niepotrzebnie ludzi na Terminusie i w całej Fundacji, ale również po to, żeby nie niepokoić Drugiej Fundacji. Jeśli istnieje, to nie chcę, żeby zwrócili na pana uwagę.

— Wyobrażam to sobie — rzekł ironicznie Trevize. — Zrobiła to pani dla mnie? Dla moich pięknych brązowych oczu?

Branno poruszyła się i niespodziewanie wybuchnęła śmiechem.

— Nie jestem taka stara, panie radny — powiedziała — żeby nie spostrzec, że ma pan piękne brązowe oczy i być może trzydzieści lat temu byłby to dla mnie wystarczający powód, żeby tak postąpić. Teraz jednak nie ruszyłabym palcem, żeby je, czy całą resztę pana wdzięków ocalić, gdyby to tylko o nie chodziło. Problem w tym, że jeśli Druga Fundacja istnieje i jeśli zwróci na pana uwagę, to może nie poprzestać na tym. Chodzi o życie moje i wielu innych, bardziej inteligentnych i wartościowych od pana osób i o plany, które opracowaliśmy.

— Doprawdy? Czyżby zatem wierzyła pani w istnienie Drugiej Fundacji, że tak obawia się pani ich ewentualnej reakcji?

Branno uderzyła pięścią w stół.

— Oczywiście, że wierzę, ty głupcze! Czy obchodziłoby mnie to, co pan o nich wygaduje, gdybym nie wiedziała, że istnieją i nie walczyła z nimi najlepiej jak potrafię? Już na wiele miesięcy przed pana publicznym wystąpieniem chciałam pana uciszyć, ale nie miałam dość siły, żeby obejść się brutalnie z członkiem Rady. Pojawienie się Seldona dało mi tę siłę, choćby tylko na krótki czas, i akurat wtedy wystąpił pan publicznie. Natychmiast zareagowałam i teraz nie zawaham się ani mikrosekundy i nie będę miała żadnych skrupułów, żeby kazać pana zabić, jeśli nie zrobi pan dokładnie tak, jak panu powiem.

Cała nasza rozmowa tutaj, w porze, o której powinnam być już dawno w łóżku, miała doprowadzić do tego, żeby mi pan uwierzył, kiedy to wreszcie panu powiem. Chcę, żeby pan wiedział, że problem Drugiej Fundacji, który, zgodnie z moim zamiarem, sam pan tu nakreślił, jest dla mnie wystarczającym powodem, żeby zgładzić pana bez sądu. Trevize uniósł się z miejsca.

— Żadnych podejrzanych ruchów! — rzekła Branno. — Jestem co prawda tylko starą kobietą, jak niewątpliwie określa mnie pan w myślach, ale zanim zdąży mnie pan tknąć choćby palcem, będzie już po panu. Obserwują nas moi ludzie, głupi młokosie!

Trevize usiadł. Powiedział nieco drżącym głosem:

— W tym, co pani mówi, nie ma żadnego sensu. Gdyby pani wierzyła w istnienie Drugiej Fundacji, to nie mówiłaby pani o tym tak swobodnie. Nie wystawiałaby się pani na niebezpieczeństwo, na które według pani ja się wystawiam.

— Sam pan zatem widzi, że mam dużo więcej rozsądku niż pan. Innymi słowy, wierzy pan w istnienie Drugiej Fundacji, a mimo to mówi pan o tym swobodnie, gdyż jest pan głupi. Ja też wierzę w jej istnienie, i też mówię o tym swobodnie, ale tylko dlatego, że przedsięwzięłam odpowiednie środki ostrożności. Wydaje się, że przeczytał pan dokładnie historię Arkady, więc może pan sobie przypomina, że jej ojciec wynalazł urządzenie, które nazwał wytwornicą pola statycznego. Jest to ekran chroniący przed działaniem takiej siły psychicznej, jaką dysponuje Druga Fundacja. To urządzenie nie tylko nadal istnieje, ale nawet zostało udoskonalone, oczywiście w najgłębszej tajemnicy. Pana dom jest w tej chwili wystarczająco zabezpieczony przed ich szpiegami. A teraz, kiedy wyjaśniliśmy już tę sprawę, pozwoli pan, że przejdę do rzeczy i powiem, co ma pan robić.

— Cóż to takiego?

— Ma pan stwierdzić, czy sprawy naprawdę tak się mają, jak pan i ja myślimy, że się mają. Ma pan zorientować się, czy Druga Fundacja faktycznie istnieje, a jeśli tak, to gdzie się mieści. Znaczy to, że będzie pan musiał opuścić Terminus i lecieć nie wiadomo gdzie, nawet gdyby miało się w końcu okazać, jak za życia Arkady, że Druga Fundacja mieści się właśnie tu, pośród nas. Znaczy to, że nie powróci pan, dopóki nie będzie miał pan coś do powiedzenia na ten temat, a jeśli nie będzie pan miał nic do powiedzenia, to nie wróci pan nigdy, a na Terminusie będzie o jednego głupca mniej.

Trevize stwierdził naraz, że się jąka. — Jak, na Przestrzeń, mam ich szukać, nie wyjawiając tego faktu? Oni po prostu zgotują mi śmierć, a wy przez to nie będziecie nic a nic mądrzejsi.

— No to ich nie szukaj, naiwny dzieciaku! Szukaj czegoś innego. Szukaj czegoś innego, wkładając w to cały swój umysł i serce, a jeśli w trakcie tego natrafisz na nich, bo nie będą się tobą interesowali, to dobrze! Możesz w takim przypadku powiadomić nas o tym na zabezpieczonej przed podsłuchem, sekretnej hiperfali i w nagrodę za dobrą robotę wrócić do nas.

— Przypuszczam, że ma pani jakąś propozycję dotyczącą tego, czego mam szukać.

— Oczywiście. Zna pan Janova Pelorata?

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— Jutro pan się z nim spotka. Powie panu, czego będzie pan szukał i poleci razem z panem jednym z naszych najnowocześniejszych statków. Będzie tylko was dwóch, bo tylu

możemy zaryzykować. A jeśli spróbuje pan wrócić bez zadowalających nas informacji, to zostanie pan rozwalony razem ze statkiem, zanim zbliży się pan na parsek do Terminusa. To wszystko. Rozmowa skończona.

Podniosła się, popatrzyła na swe gołe dłonie i powoli wciągnęła rękawiczki. Odwróciła się w stronę drzwi i natychmiast weszło dwóch strażników z bronią w ręku. Odsunęli się, robiąc jej przejście.

Stojąc już w drzwiach, odwróciła się. — Na zewnątrz są jeszcze inni strażnicy. Niech pan nie robi niczego, co może im się wydać podejrzane, bo zaoszczędzi nam pan kłopotu związanego z pana wysłaniem.

— Straci pani wtedy korzyści, które mogę pani przynieść — powiedział Trevize, starając się nazbyt skutecznie, żeby zabrzmiało to beztrosko.

— Trudno — odparła Branno z niewesołym uśmiechem.

8.

Na dworze czekał na nią Liono Kodell. — Słyszałem wszystko, pani burmistrz — powiedział. — Wykazała pani niezwykłą cierpliwość.

— I jestem niezwykle zmęczona. Wydaje mi się, że ten dzień miał siedemdziesiąt dwie godziny. Teraz pan to przejmuje.

— Dobrze, ale proszę mi powiedzieć, czy naprawdę użyła pani wytwornicy pola statycznego, żeby ekranować ten budynek?

— Oj, Kodell — rzekła Branno znużonym głosem. — Przecież nie jest pan głupi. Czy coś wskazywało na to, że nas ktoś obserwuje? Myśli pan, że Druga Fundacja śledzi wszystko, wszędzie i zawsze? Ja nie jestem taką romantyczką jak Trevize. On mógł tak myśleć, ale ja nie. Już wyrosłam z tych lat. A zresztą nawet gdyby tak było, gdyby Druga Fundacja miała wszędzie oczy i uszy, to czy nie zdradziłaby nas z miejsca sama obecność wytwornicy? Czy jej użycie nie wskazałoby od razu Drugiej Fundacji, że ktoś się zabezpiecza przed nimi? Wystarczyłoby, żeby się zorientowali, że jakiś obszar opiera się ich działaniu, że ich siła psychiczna tam nie sięga. Czy dla utrzymania w sekrecie takiego urządzenia aż do chwili, kiedy będziemy mogli je w pełni wykorzystać, nie warto poświęcić nie tylko Trevizego, ale i pana, i mnie? A jednak…

Jechali samochodem. Prowadził Kodell. — A jednak? — powtórzył Kodell.

— A jednak co? — spytała Branno. — Ach tak. A jednak temu młokosowi nie brakuje inteligencji. Nazwałam go głupcem co najmniej parę razy, żeby go usadzić, ale z pewnością nim nie jest. Jest młody, naczytał się powieści Arkady Darell i myśli, że Galaktyka jest taka, jak w tych powieściach, ale ma intuicję i jest bystry. Szkoda, że go stracimy.

— A więc jest pani pewna, że go stracimy?

— Całkowicie — odparła smutnie Branno. — Ale to najlepsze wyjście. Nie potrzebujemy młodych paliwodów, walących na oślep i burzących w ułamku sekundy to, co mozolnie budowaliśmy przez lata. Poza tym, on nie zginie bezużytecznie. Na pewno zwróci na siebie uwagę Drugiej Fundacji, jeśli oczywiście oni istnieją i jeśli ich interesujemy. A kiedy zajmą się Trevizem, to być może nie będą się interesować nami. Może nawet zyskamy coś więcej niż tylko to, że przestaniemy być przedmiotem ich zainteresowania. Wolno nam mieć nadzieję, że zajmując się Trevizem, zdradzą się niechcący i dadzą nam sposobność do znalezienia odpowiednich środków przeciw nim.

— A więc Trevize ma na siebie ściągnąć burzę? Branno wykrzywiła usta. — O właśnie, to metafora, której szukałam. On jest

naszym piorunochronem. Przyjmie uderzenie i ochroni nas przed nieszczęściem.

— A ten Pelorat, który znajdzie się na drodze gromu?

— On też może ucierpieć. Nie ma na to rady. Kodell pokiwał głową. — Wie pani, co zwykł mawiać Salvor Hardin? „Nie daj się nigdy odwieść swoim zasadom moralnym od zrobienia tego, co słuszne”.

— W tej chwili nie myślę o zasadach — rzekła Branno, ziewając. — Myślę o tym, żeby iść spać. A jednak… mogłabym wymienić masę osób, które poświęciłabym chętniej niż Golana Trevize. To przystojny młodzieniec… I, oczywiście, wie o tym… — ostatnie słowa zabrzmiały bardzo niewyraźnie. Pani burmistrz zamknęła oczy i zapadła w sen.

Rozdział III
HISTORYK

9.

Janov Pelorat miał siwe włosy, a jego twarz, kiedy był w dobrym nastroju, miała raczej bezmyślny wyraz. Rzadko zdarzało się, że nie był w dobrym nastroju. Był średniego wzrostu i tuszy i zwykł poruszać się bez pośpiechu, i mówić z namysłem. Miał pięćdziesiąt dwa lata, ale wyglądał na znacznie starszego.

Nigdy nie opuszczał Terminusa, co było zupełnie niezwykłe, szczególnie, w przypadku osób jego profesji. On sam nie wiedział, czy ten osiadły tryb życia wziął się z jego obsesyjnego zainteresowania historią czy też przywykł do niego pomimo, a może wbrew swej pasji.

Zainteresowanie owo objawiło się zupełnie niespodziewanie, kiedy miał piętnaście lat i w czasie jakiejś choroby dostał zbiór legend z dawnych czasów, W legendach tych powtarzał się wątek samotnego odseparowanego od reszty Galaktyki świata, który jednak nie zdawał sobie sprawy ze swej izolacji, gdyż nie znał nic innego.

Od razu zaczął zdrowieć. Nie minęły dwa dni, a już zdążył przeczytać tę książkę trzy razy i wstał z łóżka. Następnego dnia siedział już przy swoim komputerze i sprawdzał, czy biblioteka uniwersytecka ma w swoich zbiorach coś na temat tych legend.

Od tamtej pory zajmował się właśnie takimi legendami. Biblioteka uniwersytecka na Terminusie nie spełniła niestety pokładanych w niej nadziei, ale kiedy podrósł, odkrył z radością, że istnieje coś takiego, jak wymiana międzybiblioteczna. Miał w swych zbiorach odbitki komputerowe, przesyłane przez nadprzestrzeń z miejsc tak odległych jak Ifhi.

Został w końcu profesorem historii starożytnej i po dwudziestu siedmiu latach od tej chwili właśnie rozpoczynał swój pierwszy roczny urlop od zajęć akademickich, o który wystąpił z zamiarem udania się (po raz pierwszy w życiu) w podróż kosmiczną aż do samego Trantora.

Pelorat zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że mieszkaniec Terminusa, który nigdy jeszcze nie był w przestrzeni, musi budzić ogólne zdumienie. Nigdy nie było jego zamiarem zyskać rozgłos w tak szczególny sposób. Po prostu tak się jakoś zawsze składało, że kiedy już miał wyruszyć w przestrzeń, wpadło mu w ręce jakieś nowe studium, nowa książka czy analiza. Odkładał wówczas podróż do czasu, aż dokładnie zbada owo novum i doda, jeśli to możliwe, jakiś fakt, spekulacje czy wyobrażenia o interesujących go sprawach do ogromnej góry informacji, które już zgromadził. Kończyło się zaś zawsze tak, że żałował tylko i jedynie tego, że ta akurat wyprawa, którą właśnie był przedsięwziął, nie doszła do skutku.

Trantor był stolicą pierwszego Imperium Galaktycznego. Przez

dwanaście tysięcy lat był siedzibą imperatorów, a przedtem stolicą jednego z najważniejszych królestw, które po trochu i powoli podbiło lub przyłączyło do siebie w inny sposób pozostałe królestwa i stworzyło Imperium.

Trantor był miastem obejmującym obszar całego świata, światem pokrytym w całości metalem. Pelorat czytał o tym w pracach Gaala Dornicka, który odwiedził Trantor za czasów samego Hariego Seldona. Dzieło Dornicka już od dawna było białym krukiem i Pelorat mógłby sprzedać swój egzemplarz za sumę równą, jego półrocznym dochodom, ale sama myśl o tym, że mógłby się rozstać z takim skarbem, napełniała go przerażeniem.

Oczywiście tym, co interesowało Pelorata na Trantorze, była Biblioteka Galaktyczna, która w czasach Imperium (kiedy nosiła nazwę Biblioteki Imperatorskiej) miała największe zbiory ze wszystkich bibliotek w Galaktyce. Trantor był stolicą najpotężniejszego i najludniejszego imperium w dziejach ludzkości. Był właściwie jednym wielkim miastem liczącym ponad czterdzieści miliardów mieszkańców, a jego biblioteka zgromadziła owoce całej twórczej (a także niezbyt twórczej) pracy ludzkości, sumę ówczesnej wiedzy. Była skomputeryzowana w tak zawiły sposób, że zatrudniała specjalnych fachowców od obsługi komputerów.

Co najbardziej istotne, Biblioteka przetrwała. I to było dla Pelorata najbardziej zdumiewające. Kiedy dwa i pół wieku temu Trantor padł i został doszczętnie złupiony i zniszczony, a jego ludność zdziesiątkowana, Biblioteka, chroniona (jak mówiono) przez studentów, którzy dysponowali jakąś fantastyczną bronią, pozostała nietknięta. (Niektórzy uważają, że historia obrony Biblioteki przez studentów jest w znacznej mierze zmyślona.)

W każdym razie, Biblioteka przetrwała okres zniszczeń. Ebling Mis pracował w nietkniętej Bibliotece otoczonej zewsząd ruinami, kiedy to znalazł się o krok od odkrycia położenia Drugiej Fundacji (tak przynajmniej przedstawiały to świadectwa z tamtych czasów, w które nadal wierzył jedynie lud Fundacji, historycy bowiem odnosili się zawsze do tych relacji z rezerwą). Trzy pokolenia Darellów — Bayta, Toran i Arkady — odwiedziły, każde w swoim czasie, Trantor. Jednak Arkady nie zwiedziła Biblioteki, a od jej czasów Biblioteka nie związała się już ani razu z historią Galaktyki.

Od stu dwudziestu lat nie odwiedził Trantora nikt z Fundacji, ale nie było powodu przypuszczać, że Biblioteka nie stoi dalej, nietknięta, na swoim miejscu; To, że Biblioteka nie pojawiła się więcej w historii, było najlepszym dowodem na jej dalsze istnienie, jej zagłada bowiem narobiłaby z pewnością hałasu.

Biblioteka była przestarzała, archaiczna — była taką już w czasach Eblinga Misa — ale to było nawet lepiej. Pelorat zawsze

zacierał ręce z zadowolenia, kiedy słyszał o jakiejś starej czy przestarzałej bibliotece. Im jakaś biblioteka była starsza, tym większe było prawdopodobieństwo, że zawiera to, czego on szuka. Marzył nawet czasami, że wchodzi do biblioteki i pyta z biciem serca: „Czy ta biblioteka została zmodernizowana? Może wyrzuciliście stare taśmy i dyski?" I zawsze wyobrażał sobie, że .stary, zakurzony bibliotekarz odpowiada: „Wszystko jest tak, jak dawniej".

I oto teraz jego marzenia miały się spełnić. Zapewniła go o tym sama pani burmistrz. Nie był pewien, skąd dowiedziała się, nad czym pracuje. Opublikował niewiele artykułów. Mało z tego, co zrobił, było na tyle solidnie podbudowane, żeby nadawało się do druku, a to, co się ukazało, przeszło bez echa. No, ale mówiono, że żelazna Branno wie o wszystkim, co się dzieje na Terminusie i ma wszędzie oczy i uszy. Pelorat byłby skłonny w to uwierzyć, ale jeśli wiedziała o jego pracy, to dlaczego, na Galaktykę, nie doceniła jej wagi i nie przyznała mu wcześniej choćby niewielkich funduszy?

Jakoś tak się składa, myślał z tą niewielką dozą goryczy, na jaką mógł się zdobyć, że Fundacja ma wzrok utkwiony w przyszłość. To, co ich pochłania, to ich przeznaczenie i Drugie Imperium. Nie mają czasu ani ochoty, aby spojrzeć wstecz i irytują ich ci, którzy to robią.

Oczywiście tym więksi z nich głupcy, ale sam nie mógł wyplenić głupoty. A poza tym może i lepiej, że jest tak właśnie. Może sam prowadzić te ważne poszukiwania i nadejdzie jeszcze chwila, w której wspomną o nim jako o wielkim pionierze tego, co istotnie ważne.

Znaczyło to, oczywiście (i miał tyle intelektualnej uczciwości, żeby to przyznać), że również on pochłonięty był myślą o przyszłości, przyszłości, w której zostanie uznany i doceniony i będzie stawiany na równi z Harim Seldonem. Prawdę mówiąc, on nawet będzie ważniejszą postacią, bo jak można porównywać wypracowanie planu na wyraźnie przedstawiające się przyszłe tysiąc lat z przecieraniem drogi przez minione dwadzieścia pięć tysięcy?

I nadszedł właśnie ten dzień, to był ten dzień.

Burmistrz zapowiedziała, że stanie się to zaraz po ukazaniu się obrazu Seldona. To był jedyny powód zainteresowania Pelorata Kryzysem Seldona, który od miesięcy zajmował umysły wszystkich na Terminusie i prawie wszystkich w Fundacji.

Dla niego to, czy stolica Fundacji pozostanie na Terminusie czy też zostanie przeniesiona gdzie indziej, nie robiło większej różnicy. A teraz, kiedy kryzys został zażegnany, Pelorat nie był pewien, którą stronę poparł Hari Seldon, a nawet czy ta sprawa w ogóle została przez niego wspomniana.

Ważne było, że Seldon się ukazał i że teraz nadszedł jego dzień.

Były dwie minuty po drugiej, kiedy przed stojącym nieco na uboczu domem, już właściwie poza granicami miasta, zatrzymał się

samochód.

Rozsunęły się tylne drzwiczki. Wysiadł strażnik w mundurze służby ochrony burmistrza, za nim młody mężczyzna i na koniec jeszcze dwóch strażników.

Wywarło to na Peloracie wielkie wrażenie. A więc burmistrz nie tylko wiedziała nad czym pracuje, ale uważała też, że jego praca ma ogromne znaczenie. Mężczyzna, który miał być jego towarzyszem podróży, przyjechał w honorowej asyście, a w dodatku obiecano dać im do dyspozycji statek pierwszej klasy, którym miał sterować jego towarzysz. To było naprawdę wzruszające. Naprawdę.

Gosposia Pelorata otworzyła drzwi. Mężczyzna wszedł do środka, a towarzyszący mu strażnicy stanęli po obu stronach drzwi. Pelorat widział przez okno, że trzeci strażnik został na zewnątrz i że podjechał drugi samochód. Z dodatkową strażą! To doprawdy zadziwiające!

Kiedy się odwrócił, młody mężczyzna był już w pokoju. Pelorat stwierdził z zaskoczeniem, że rozpoznaje w nim człowieka, którego widział w holowizji. — Pan jest tym radnym — powiedział. — Pan jest Trevize!

— Zgadza się. Golan Trevize. Profesor Janov Pelorat?

— Tak, tak — odparł Pelorat. — To pan ma…

— Będziemy towarzyszami podróży — powiedział sztywno Trevize. — Tak przynajmniej mi mówiono.

— Ale pan przecież nie jest historykiem.

— Nie. Jak pan rzekł, jestem radnym, politykiem.

— Tak… tak… Ale co ja tu wygaduję! Ja jestem historykiem, więc po co jeszcze drugi? Pan potrafi prowadzić statek kosmiczny.

— Tak, nawet bardzo dobrze.

— I to jest to, czego nam trzeba. Wspaniale! Obawiam się, młodzieńcze, że nie należę do ludzi zaradnych i praktycznie myślących, więc jeśli przypadkiem pan do takich należy, to stworzymy dobry zespół.

— W chwili obecnej nie zachwycam się akurat praktycznymi skutkami moich znakomitych pomysłów, ale wydaje się, że nie pozostaje nam nic innego, jak spróbować stworzyć dobry zespół.

— Miejmy zatem nadzieję, że potrafię przełamać swoje opory przed znalezieniem się w przestrzeni. Musi pan wiedzieć, panie radny, że nigdy jeszcze tam nie byłem. Jestem „świstakiem”… Zdaje się, że tak się właśnie określa takich ludzi? Przepraszam, może napije się pan herbaty? Powiem Kłodzie, żeby nam coś przygotowała. Przypuszczam, że mamy jeszcze parę godzin do odlotu, prawda? Zresztą ja jestem już gotowy. Mam wszystko, co będzie nam potrzebne. Pani burmistrz okazała naprawdę wielką pomoc,. To naprawdę zadziwiające, jak bardzo interesuje się tym projektem.

— A więc pan już wiedział o tym? — spytał Trevize. — Od

dawna?

— Burmistrz zagadnęła mnie — Pelorat zmarszczył lekko czoło, jakby dokonywał w myśli jakichś obliczeń — dwa, może trzy tygodnie temu. Byłem zachwycony. A teraz, kiedy już uświadomiłem sobie jasno, że potrzebuję pilota, a nie drugiego historyka, jestem ponownie zachwycony tym, że to pan, drogi przyjacielu, będzie moim towarzyszem podróży.

— Dwa, może trzy tygodnie temu — powtórzył Trevize, lekko oszołomiony. — A więc już od kilkunastu dni była na to przygotowana. A ja… — urwał.

— Słucham pana?

— Nic takiego, profesorze. Mam zwyczaj mówić sam do siebie. Jeśli nasza podróż potrwa dłużej, to będzie pan się musiał do tego przyzwyczaić.

— Potrwa, potrwa — rzekł Pelorat, popychając Trevizego w kierunku jadalni, gdzie gosposia przygotowywała w wymyślny sposób herbatę. — Mamy czasu, ile dusza zapragnie. Burmistrz powiedziała, że możemy podróżować tak długo, jak nam się podoba, że cała Galaktyka stoi przed nami otworem i, co więcej, że gdziekolwiek polecimy, możemy korzystać z funduszy Fundacji. Powiedziała, oczywiście, żebyśmy korzystali z nich rozsądnie. Tyle jej przyrzekłem — zachichotał i zatarł ręce. — Siadaj, drogi przyjacielu, siadaj. Może upłynąć wiele czasu, zanim usiądziemy do następnego posiłku na Terminusie.

Trevize usiadł. — Ma pan rodzinę, profesorze? — spytał.

— Mam syna. Jest na Uniwersytecie Santanijskim. Chyba chemikiem, czy kimś w tym rodzaju. Poszedł w ślady matki. Już od dawna nie mieszka ze mną, więc, jak pan widzi, nie mam żadnych zobowiązań, nie zostawiam żony ani dzieci. Ufam, że pan też nie… proszę się częstować kanapkami, mój chłopcze.

— W tej chwili nie. Kilka kobiet, ale one przychodzą i odchodzą.

— Tak. Tak; To jest rozkoszne, kiedy to wychodzi. A jeszcze bardziej rozkoszne, kiedy okazuje się, że nie trzeba tego brać poważnie… Rozumiem, że dzieci pan nie ma?

— Nie.

— To dobrze. Wie pan, jestem w świetnym nastroju. Przyznaję, że na początku, kiedy pan wszedł, byłem zaskoczony. Ale teraz stwierdzam, że świetny z pana kompan. Młodość, entuzjazm i ktoś, kto potrafi odnaleźć właściwą drogę w Galaktyce to wszystko, czego mi potrzeba. Będziemy prowadzić poszukiwania. Niezwykłe poszukiwania.

Trevize zmrużył oczy. — Niezwykłe poszukiwania?

— Tak. Wśród wielu tysięcy milionów zamieszkanych światów Galaktyki kryje się perła o nieoszacowanej wartości, a my mamy

bardzo mgliste wskazówki, jak jej szukać. W każdym razie, jeśli ją znajdziemy, to będzie niewiarygodny sukces. Jeśli pan i ja dokonamy tego, mój chłopcze — przepraszam, powinienem był powiedzieć „panie Trevize", bo nie chcę pana traktować paternalistycznie — to nasze nazwiska będą powtarzane przez wszystkie następne stulecia aż do końca wszechświata.

— Ten sukces, o którym pan mówi… ta perła o nieoszacowanej wartości to…

— To brzmi tak, jak słowa Arkady Darell, tej pisarki, no wie pan, kiedy pisała o Drugiej Fundacji, co? Nic dziwnego, że wygląda pan na zaskoczonego.

Pelorat odchylił głowę do tyłu, jakby miał zamiar wybuchnąć głośnym śmiechem, ale tylko się uśmiechnął. — Zapewniam pana, że to nic z tych rzeczy. To nie jakieś bzdury.

— Jeśli nie mówi pan o Drugiej Fundacji, profesorze, to o czym wobec tego pan mówi?

Pelorat nagle spoważniał, a nawet przybrał przepraszający wyraz twarzy.

— Ach, więc pani burmistrz nie powiedziała panu?… Wie pan, to dziwne. Przez parę dziesiątków lat miałem rządowi za złe, że nie potrafi zrozumieć wagi tego, nad czym pracuję, aż tu teraz burmistrz Branno okazuje mi taką wspaniałomyślność i hojność.

— Tak — rzekł Trevize, nie starając się ukryć ironii — to nadzwyczaj skryta filantropka, — ale nic powiedziała mi o co w tym wszystkim chodzi.

— A zatem nie orientuje się pan jaki jest cel moich poszukiwań?

— Przykro mi, ale nie.

— Nie musi się pan usprawiedliwiać. Wszystko w porządku. Nie wzbudzałem sensacji. Zaraz panu to wyjaśnię. Pan i ja udajemy się w przestrzeń, aby szukać — i znaleźć, bo mam wspaniały pomysł — Ziemię.

10.

Trevize źle spał tej nocy. Bez przerwy myślał o więzieniu, które ta starucha wybudowała wokół niego. Nigdzie nie mógł znaleźć wyjścia.

Został skazany na wygnanie i nie mógł nic na to poradzić. Branno była spokojna, nieugięta i nawet nie starała się ukryć, że łamie prawo. Powoływał się na prawa, które przysługiwały mu jako radnemu i obywatelowi Federacji, ale ona nie próbowała nawet stworzyć pozorów, że coś dla niej znaczą.

A teraz znowu ten Pelorat, zdziwaczały uczony, który zdawał się nie wiedzieć na jakim świecie żyje, mówi mu, że ta straszna baba przygotowywała się do tego od paru tygodni.

Czuł się faktycznie jak chłopiec, którym go nazwała.

Miał się udać na wygnanie z historykiem, który bez przerwy zwracał się do niego „drogi przyjacielu" i który wydawał nie posiadać się z radości, że rozpoczyna poszukiwania jakiejś Ziemi.

Czym, na babkę Muła, była ta Ziemia?

Przecież pytał o to. Oczywiście! Zapyta! od razu, kiedy Pelorat wymienił tę nazwę. Powiedział:

— Proszę mi wybaczyć, profesorze. Jestem zupełnym ignorantem w pana dziedzinie i mam nadzieję, że nie będzie pan mi miał za złe, jeśli poproszę o wyjaśnienie w przystępnych słowach. Co to jest Ziemia?

Pelorat gapił się na niego dobre dwadzieścia sekund, zanim odpowiedział:

— To planeta. Ta, na której po raz pierwszy pojawiły się istoty ludzkie, drogi przyjacielu.

Teraz Trevize wytrzeszczył oczy na Pelorata.

— Pojawiły się po raz pierwszy? Skąd?

— Znikąd. To planeta, na której, w drodze ewolucji od niższych zwierząt, narodził się rodzaj ludzki.

Trevize myślał chwilę, po czym potrząsnął głową.

— Nie rozumiem.

Na twarzy Pelorata pojawił się grymas irytacji, ale szybko zniknął. Profesor chrząknął i powiedział: — Był taki czas, kiedy na Terminusie nie było istot ludzkich. Został zasiedlony przez ludzi z innych światów. Przypuszczam, że o tym pan wie?

— Oczywiście — odparł ze zniecierpliwieniem Trevize. Denerwował go mentorski ton jego rozmówcy.

— Bardzo dobrze. Tak samo było na wszystkich innych światach. Na Anakreonie, Santanni, Kalganie — na wszystkich. Każdy z nich został, w jakimś okresie przeszłości, założony. Ludzie przybyli tam z innych światów. To dotyczy nawet Trantora. Był wielką metropolią

może przez dwadzieścia tysięcy lat, ale nie przedtem.

— No a jaki był przedtem?

— Pusty. A przynajmniej nie było tam ludzi.

— Trudno w to uwierzyć

— Ale to prawda. Świadczą o tym stare zapiski.

— A skąd przybyli ludzie, którzy go skolonizowali?

— Nie ma co do tego pewności. Są setki planet, których mieszkańcy utrzymują, że były one zasiedlone już w okrytej mrokiem starożytności, i opowiadają fantastyczne historie o przybyciu tam pierwszych ludzi. Historycy nie dają wiary tym opowieściom i starają się rozwiązać Problem Pochodzenia.

— A co to takiego? Nigdy o tym nie słyszałem.

— Nie dziwi mnie to. Przyznaję, że w obecnych czasach kwestia ta nie cieszy się zbytnim zainteresowaniem historyków, ale był taki okres u schyłku Imperium, że była dość popularna wśród intelektualistów. Salvor Hardin wspomina o tym krótko w swoich pamiętnikach. To problem ustalenia planety, na której się to wszystko zaczęło. Jeśli będziemy patrzeć wstecz, to przekonamy się, że ludzie zamieszkali na świeżo założonych światach wywodzili się ze starszych światów, tamci z jeszcze starszych i tak dalej, aż w końcu dojdziemy do świata, gdzie się to wszystko zaczęło, czyli do kolebki ludzkości.

Trevize od razu wychwyci! oczywisty błąd w rozumowaniu Pelorata. — A nie mogło być więcej tych kolebek?

— Oczywiście, że nie. Wszystkie istoty ludzkie w Galaktyce należą do jednego rodzaju. A jeden rodzaj nie może się wywodzić z więcej niż jednej planety. To zupełnie niemożliwe.

— Skąd pan wie?

— Po pierwsze… — Pelorat odchylił pierwszym palcem prawej ręki pierwszy palec lewej dłoni i w tym momencie najwidoczniej uświadomił sobie, że musiałby wygłosić długi i zawiły wykład. Opuścił obie ręce i powiedział z wielką powagą: — Drogi przyjacielu, daję ci słowo honoru, że tak jest.

Trevize zrobił głęboki ukłon i rzekł: — Nawet mi przez myśl nie przemknęło, żeby panu nie wierzyć, profesorze. Powiedzmy więc, że tylko jedna planeta była kolebką ludzkości, ale czy nie mogłyby sobie rościć praw do tego zaszczytu setki planet?

— Nie tylko mogłyby, ale faktycznie roszczą. Jednak wszystkie z tych roszczeń są bezpodstawne. Na żadnej z planet, które aspirują do tytułu kolebki ludzkości, nie znaleziono żadnych śladów społeczności prehiperprzestrzennej, nie mówiąc już o śladach ewolucji od organizmów niższych.

— I twierdzi pan, że jest planeta, która rzeczywiście była kolebką ludzkości, ale z jakichś przyczyn nic domaga się uznania tego faktu?

— Trafił pan dokładnie.

— I ma pan zamiar odszukać ją?

— My mamy zamiar. To nasza misja. Zorganizowała to wszystko burmistrz Branno. Doprowadzi pan nasz statek na Trantor.

— Na Trantor? On przecież nie był kolebką ludzkości. Sam pan to przed chwilą powiedział.

— Oczywiście, że nie był. Była nią Ziemia.

— No to dlaczego nie mówi mi pan, że mam poprowadzić statek na Ziemię?

— Nie wyraziłem się jasno. Ziemia to nazwa legendarna, uświęcona przez starożytne mity. Jakie było pierwotne znaczenie tej nazwy, nie wiemy, ale jest wygodnym, jedno wy razowy m synonimem określenia „planeta, na której narodził się rodzaj ludzki". Natomiast która planeta była faktycznie określana tym mianem — nie wiadomo.

— A na Trantorze będą to wiedzieć?

— Mam nadzieję znaleźć tam odpowiednie informacje. Trantor ma Bibliotekę Galaktyczną, największą bibliotekę w całym systemie.

— Ta biblioteka została na pewno przeszukana przez ludzi, którzy — jak pan powiedział — interesowali się tym zagadnieniem w czasach Pierwszego Imperium.

Pelorat pokiwał w zamyśleniu głową. — Tak, ale może nie dość dokładnie. Mam dużo wiadomości dotyczących Problemu Pochodzenia, których ci ludzie, żyjący pół tysiąca lat temu, być może nie znali. Widzi pan, ja mógłbym zbadać te stare przekazy z większą znajomością rzeczy, z lepszym zrozumieniem. Rozmyślam nad tym od dość dawna i mam pewną hipotezę.

— Myślę, że powiedział pan o tym wszystkim pani burmistrz i uzyskał jej aprobatę?

— Aprobatę? Drogi przyjacielu, przyjęła to wręcz entuzjastycznie. Powiedziała mi, że Trantor jest na pewno tym miejscem, gdzie znajdę wszystko, czego mi potrzeba.

— Bez wątpienia — mruknął Trevize.

To między innymi nie, dawało mu spać tej nocy. Burmistrz Branno wysyłała go, żeby dowiedział się, czego tylko będzie mógł o Drugiej Fundacji. Wysyłała z nim Pelorata, żeby mógł ukryć prawdziwy cel swej podróży pod przykrywką poszukiwania Ziemi, poszukiwania, które mogło zawieść go w każdy kąt Galaktyki. Prawdę mówiąc, była to doskonała przykrywka i wzbudziła w nim podziw dla pomysłowości pani burmistrz.

Ale Trantor? Gdzie tu sens? Jak tylko znajdą się na Trantorze, Pelorat natychmiast zagrzebie się w bibliotece i nikt go stamtąd nie wyciągnie. Mając do dyspozycji niezmierzone stosy książek, taśm i dysków, zapisanych według nieprzeliczonych systemów komputerowych i symbolicznych, na pewno nie będzie miał ochoty

wyjść stamtąd.

Poza tym… Kiedyś, w czasach Muła, na Trantor poleciał Ebling Mis. Wieść niosła, że odkrył położenie Drugiej Fundacji i umarł, zanim zdążył to wyjawić. Ale potem znalazła się tam Arkady Darell i jej również udało się odkryć, gdzie znajduje się Druga Fundacja. Ale miejsce, które odkryła, znajdowało się na samym Terminusie i tam gniazdo Drugiej Fundacji zostało zniszczone. Bez względu zatem na to, gdzie się teraz znajdowała Druga Fundacja, było to na pewno zupełnie inne miejsce, a więc o czym jeszcze mogliby się dowiedzieć na Trantorze? Gdyby miał szukać Drugiej Fundacji, to mógłby udać się gdziekolwiek, ale nie na Trantor.

Poza tym… Co jeszcze planuje Branno, nie wiedział, ale nie miał zamiaru wyświadczać jej przysługi. Branno przyjęła entuzjastycznie projekt podróży na Trantor, tak? No to właśnie, że nie polecą na Trantor! Obojętnie gdzie, ale nie na Trantor.

Kiedy zmęczony Trevize zapadł wreszcie w nierówny sen, zbliżał się. już świt.

11.

Następny dzień po aresztowaniu Trevizego był pomyślny dla burmistrz Branno. Chwalono ją bardziej, niż na to zasłużyła, nie wspominając ani słowem o incydencie na posiedzeniu Rady.

Mimo to wiedziała dobrze, że Rada wkrótce otrząśnie się i podniesie tę kwestię. Musiała szybko działać. Odkładając więc na bok wszystkie inne sprawy, zajęła się sprawą Trevizego.

W czasie kiedy Trevize dyskutował z Peloratem o Ziemi, Branno spotkała się w swoim biurze z radnym Munnem Li Comporem. Ponieważ Compor, zupełnie odprężony, siedział naprzeciw niej, po drugiej stronie biurka, mogła go jeszcze raz ocenić.

Był niższy i drobniejszy od Trevizego i tylko dwa lata starszy. Obaj byli radnymi od niedawna, obaj byli młodzi i śmiali i to musiała być jedyna łącząca ich więź, gdyż poza tym różnili się pod każdym względem.

Podczas gdy Trevize zdawał się groźnie promieniować, Compor świecił łagodnym blaskiem niezachwianej pewności siebie. Być może wrażenie takie sprawiały jego jasne włosy i niebieskie oczy, nieczęsto spotykane u mieszkańców Fundacji. Nadawały mu one niemal dziewczęcą delikatność, dzięki czemu (jak osądziła Branno) był mniej atrakcyjny dla kobiet niż Trevize. Mimo to Compor był wyraźnie dumny ze swego wyglądu. Włosy nosił długie i starannie ułożone, a powieki miał umalowane na jasnoniebiesko, aby podkreślić kolor oczu. (W ostatnim dziesięcioleciu cieniowanie powiek na różne kolory stało się bardzo modne wśród mężczyzn.)

Nie był kobieciarzem. Żył statecznie z żoną, ale dotąd nie zgłosił zamiaru posiadania dzieci, a poza tym było wiadomo, że ma stałą kochankę, z którą spotyka się potajemnie. Tym również różnił się od Trevizego, który zmieniał partnerki równie często jak utrzymywane w krzykliwych kolorach pasy, z czego był bardzo znany.

W życiu obu radnych było niewiele szczegółów, których nie udało się wykryć ludziom Kodella, a sam Kodell siedział cicho w rogu pokoju, promieniując, jak zawsze, życzliwością.

— Radny Compor — powiedziała Branno — wyświadczył pan Fundacji wielką przysługę, ale nie jest ona niestety tego rodzaju, żeby można było panu wyrazić publicznie uznanie albo wynagrodzić to w normalny sposób.

Compor uśmiechnął się. Miał białe, równe zęby i Branno przez chwilę zastanawiała się, zupełnie bez związku ze sprawą, czy tak wyglądają wszyscy ludzie z sektora Syriusza. Opowieści Compora o tym, że wywodzi się z tego, raczej peryferyjnego, regionu opierały się na relacjach jego babki ze strony matki, która również była blondynką

o niebieskich oczach i utrzymywała, jakoby jej matka pochodziła z sektora Syriusza. Jednak według Kodella nie było na to pewnych dowodów.

„Wiadomo, jakie są kobiety — powiedział Kodell. — Mogła sobie zmyślić pochodzenie z dalekiego i egzotycznego świata, żeby wydać się bardziej atrakcyjną niż była w istocie".

„To takie są kobiety? — spytała sucho Branno, a Kodell uśmiechnął się i wybąkał, że oczywiście miał na myśli zwyczajne kobiety".

— Nie jest konieczne, żeby mieszkańcy Fundacji dowiedzieli się o wyświadczonej przeze mnie przysłudze, wystarczy, że pani o tym wie — rzekł Compor.

— Wiem i nie zapomnę. I nie zrobię jeszcze jednej rzeczy, a mianowicie nie pozwolę, żeby pan przypuszczał, że pańskie zobowiązania na tym się skończyły. Obrał pan trudny kurs i musi pan go kontynuować. Chcemy wiedzieć więcej o Trevizem.

— Powiedziałem wszystko, co wiem.

— Może chciałby pan, żebym tak myślała. Może nawet sam pan tak myśli. Niemniej jednak) proszę odpowiedzieć na moje pytania. Zna pan gentlemana o nazwisku Janov Pelorat?

Czoło Compora zmarszczyło się, ale niemal natychmiast wygładziło z powrotem. Rzekł ostrożnie: — Może bym go poznał, gdybym go zobaczył, ale nazwisko nic mi nie mówi.

— Jest naukowcem.

Usta Compora ułożyły się w raczej pogardliwe, choć niewypowiedziane „O!", jak gdyby był zdziwiony, że burmistrz podejrzewa go o znajomości z naukowcami.

— Pelorat to interesujący człowiek, który z osobistych powodów pragnie odwiedzić Trantor. Będzie mu towarzyszył radny Trevize. Otóż, skoro był pan bliskim przyjacielem Trevizego i być może zna jego sposób myślenia, niech mi pan powie, czy zdaniem pana Trevize zgodzi się lecieć na Trantor?

— Jeśli dopilnuje pani, żeby Trevize wsiadł na statek i jeśli statek ten poleci na Trantor, to czy będzie mógł on zrobić coś innego niż lecieć tam? — odparł Compor. — Na pewno nie sugeruje pani, że wznieci bunt i przejmie statek.

— Nie zrozumiał pan. On i Pelorat będą sami na statku, a Trevize będzie siedział za sterami.

— Pyta pani, czy dobrowolnie poleci na Trantor?

— Tak, pytam właśnie o to.

— Pani burmistrz, skąd mogę wiedzieć, co on zrobi?

— Radny Compor, był pan blisko z Trevizem. Wie pan, że wierzy on w istnienie Drugiej Fundacji. Czy nigdy nie mówił panu, gdzie jego zdaniem mieści się Druga Fundacja, gdzie można ją znaleźć?

— Nigdy, pani burmistrz.

— Myśli pan, że ją znajdzie?

Compor roześmiał się. — Myślę, że Druga Fundacja, bez względu na to, czym była i jak była ważna, została zniszczona za czasów Arkady Darell. Wierzę w jej opowieść.

— Naprawdę? W takim razie dlaczego zdradził pan przyjaciela? Jeśli szuka tego, co nie istnieje, to jaką szkodę mógłby nam wyrządzić rozpowszechniając swoje dziwaczne teorie?

— Nie tylko prawda może być szkodliwa — odparł Compor. — Jego teorie może są dziwaczne, ale głosząc je, mógłby wzbudzić niepokój w społeczeństwie Terminusa i wyzwalając wątpliwości i obawy co do roli Fundacji w wielkim dramacie historii Galaktyki, osłabić jej przewodnią rolę w Federacji i zniweczyć marzenia o Drugim Imperium Galaktycznym. Musiała pani sama tak pomyśleć, bo w przeciwnym razie nie kazałaby go pani aresztować w sali posiedzeń Rady, a teraz nie zmuszałaby go pani do udania się na wygnanie bez procesu sądowego. Dlaczego pani to zrobiła, pani burmistrz, jeśli wolno mi spytać?

— Może dlatego, że byłam na tyle ostrożna, by przypuścić, że istnieje, niewielka co prawda, możliwość, że on ma rację i że w związku z tym otwarte głoszenie takich poglądów może być dla nas jak najbardziej bezpośrednio niebezpieczne?

Compor nic na to nie powiedział.

— Zgadzam się z panem — mówiła dalej Bran — no — ale z racji mego urzędu jestem zmuszona wziąć taką możliwość pod uwagę. Pozwoli pan, że jeszcze raz spytam, czy wie pan o czymś, co mogłoby nam wskazać gdzie, jego zdaniem, mieści się Druga Fundacja i gdzie mógłby się udać.

— Nie wiem o niczym.

— Nigdy o niczym nie napomykał?

— Nie, oczywiście, że nie.

— Nigdy? Niech się pan tak nie spieszy z odpowiedzią. Proszę pomyśleć. Nigdy?

— Nigdy — rzekł stanowczo Compor.

— Nie robił żadnych aluzji? Nie dowcipkował na ten temat? A może rysował czy pisał coś machinalnie? A może zamyślał się w chwilach, które teraz, kiedy pan do nich wróci pamięcią, okażą się znaczące?

— Nic z tych rzeczy. Mówię pani, że te jego rojenia na temat Drugiej Fundacji są zupełnie mgliste. Wie pani o tym i traci pani tylko niepotrzebnie czas i zdrowie, zajmując się tym.

— Czy pan przypadkiem nie zmienił nagle frontu i nie broni przyjaciela, którego mi pan wydał?

— Nie — odparł Compor. — Wydałem go w pani ręce, bo tak mi

nakazywał patriotyzm. Nie widzę żadnego powodu, żebym musiał tego żałować albo zmienić swój stosunek do tej sprawy.

— A zatem nie potrafi mi pan dać żadnej wskazówki co do tego, gdzie on się może udać, skoro tylko dostanie statek?

— Jak już powiedziałem…

— Jednak, panie radny — tu zmarszczki na twarzy pani burmistrz ułożyły się tak, by nadać jej wyraz zadumy — chciałabym wiedzieć dokąd poleci.

— Myślę, że w takim razie powinna pani umieścić na jego statku nadajnik nadprzestrzenny.

— Pomyślałam o tym, panie radny. Trevize jest jednak podejrzliwy i obawiam się, że odkryje nadajnik, choćbyśmy nie wiem jak przemyślnie go ukryli. Oczywiście można by go zainstalować w taki sposób, żeby nie dało się go było usunąć nie uszkadzając przy tym statku, co zmusiłoby go do zostawienia nadajnika na miejscu…

— Znakomity pomysł.

— Tylko że — podjęła Branno — w takiej sytuacji czułby się kontrolowany i mógłby nie polecieć tam, gdzie by poleciał, gdyby czuł się wolny i nieskrępowany. Wiedza, którą bym wtedy zdobyła, byłaby dla mnie bezwartościowa.

— Wygląda na to, że w tej sytuacji nie może pani W żaden sposób dowiedzieć się dokąd poleci.

— Mogę, bo mam zamiar użyć bardzo prymitywnych środków. Osoba, która spodziewa się bardzo wyrafinowanych metod i nastawia się na obronę przed nimi, raczej nie pomyśli o metodach prymitywnych… Myślę o tym, żeby posłać kogoś, kto go będzie śledził.

— Śledził?

— Tak. Inny pilot w innym statku. Zaskoczyło to pana, co? On byłby równie zaskoczony. Może nie pomyśli o tym, żeby przebadać przestrzeń i sprawdzić, czynie towarzyszy mu jakaś masa, a w każdym razie postaramy się o to, żeby jego statek nie był wyposażony w urządzenia do wykrywania masy.

— Pani burmistrz — rzekł Compor — pozostaję dla pani z całym szacunkiem, ale muszę zwrócić pani uwagę na fakt, że nie jest pani ekspertem w sprawach lotów kosmicznych. Posłać jeden statek za drugim, żeby go śledził — tego się nigdy nie robi, bo to jest po prostu niemożliwe. Trevize ucieknie przy okazji pierwszego skoku przez nadprzestrzeń. Nawet jeśli nie będzie wiedział, że ktoś za nim leci, to i tak pierwszy skok będzie skokiem w wolność. Jeśli nie będzie miał na pokładzie nadajnika, to nie będzie go można wyśledzić.

— Przyznaję, że nie mam doświadczenia w tych sprawach. W przeciwieństwie do pana i Trevizego nie zostałam przeszkolona w zakresie lotów kosmicznych. Niemniej jednak wiem od swoich

doradców — którzy przeszli takie przeszkolenie — że jeśli obserwuje się statek bezpośrednio przed skokiem, to jego prędkość, przyspieszenie oraz kierunek lotu pozwalają, choć w sposób ogólny, odgadnąć jaki to będzie skok. Jeśli się ma przy tym dobry komputer i umiejętność trafnego przewidywania, to można zdublować ten skok na tyle dokładnie, żeby podjąć trop wyjściowy, szczególnie kiedy ten, kto dubluje, dysponuje dobrym detektorem masy.

— To się może udać raz — zaprotestował energicznie Compor — nawet dwa razy, jeśli ma się szczęście, ale na tym koniec. Nie można polegać na takich metodach.

— My być może możemy… Panie radny, pan w swoim czasie brał udział w wyścigach w nadprzestrzeni. Jak pan widzi, dużo wiemy o panu. Jest pan znakomitym pilotem, a jeśli chodzi o ściganie rywala w czasie skoku, dokonywał pan zdumiewających rzeczy.

Compor wytrzeszczył oczy. Prawie zwinął się na krześle. — Wtedy byłem na studiach. Teraz jestem starszy.

— Nie jest pan taki stary. Nie ma pan jeszcze trzydziestu pięciu lat. W związku z tym, to pan będzie śledził Trevizego, panie radny. Poleci pan za nim, tam, gdzie i on, i prześle pan nam meldunek o tym. Wyleci pan zaraz po nim, a on rusza za kilka godzin. Jeśli pan odmówi, zostanie pan oskarżony o zdradę i uwięziony. Jeśli weźmie pan statek, który dostarczę panu, i nie poleci za Trevizem, to nie musi pan zawracać sobie głowy powrotem. Zostanie pan zestrzelony, jeśli spróbuje pan wrócić.

Compor poderwał się na równe nogi.

— Mam swoje życie! Mam pracę! Mam żonę! Nie mogę tego wszystkiego zostawić.

— Będzie pan musiał. Ci z nas, którzy wybrali służbę Fundacji, muszą być zawsze gotowi służyć jej w razie potrzeby, nawet jeśli jest to dla nich niewygodne i długo trwa.

— Oczywiście moja żona leci ze mną.

— Ma mnie pan za idiotkę? Oczywiście zostaje tutaj.

— W charakterze zakładniczki?

— Jeśli pan chce tak to nazwać. Ja osobiście wolę stwierdzenie, że pana misja jest bardzo niebezpieczna i z dobroci serca pragnę, aby została tu, gdzie nic jej nie grozi… Zresztą rzecz nie podlega dyskusji. Jest pan aresztowany, tak jak Trevize, i pewna jestem, że pan rozumie, iż muszę działać szybko — zanim zniknie euforia, która teraz przepełnia mieszkańców Terminusa. Obawiam się, że moja gwiazda zacznie wkrótce gasnąć.

12.

— Nie patyczkowała się z nim pani — powiedział Kodell.

— A niby dlaczego miałabym się patyczkować? — odparła pogardliwie pani burmistrz. — Zdradził przyjaciela.

— To było dla nas korzystne.

— Tak, tym razem. Ale następna zdrada mogłaby już nie być korzystna.

— A dlaczego miałaby być następna?

— Niech pan posłucha, Liono — odparła ze zniecierpliwieniem Branno — proszę nie udawać durnia. Nie można ufać komuś, kto już raz pokazał, że potrafi prowadzić podwójną grę, bo w każdej chwili może podjąć ją na nowo.

— On może wykorzystać te swoje umiejętności po to, żeby znowu skumać się z Trevizem. Razem mogą…

— Sam pan w to nie wierzy. W swoim zaślepieniu i naiwności Trevize zmierza do celu prostą drogą. On nie uznaje zdrady i nigdy, w żadnych okolicznościach, nie zaufa już Comporowi.

— Przepraszam, pani burmistrz — powiedział Kodell — ale chciałbym się upewnić, czy dobrze panią rozumiem. Na ile zatem może pani zaufać Comporowi? Skąd pani wie, czy on naprawdę poleci za Trevizem i czy uczciwie będzie informował o tym, co robi? Liczy pani, że zmusi go do tego obawa o żonę? Pragnienie powrotu do niej? — I jedno, i drugie to ważne czynniki, ale za bardzo na nie liczę. Na statku Compora będzie nadajnik nadprzestrzenny. Trevize może podejrzewać, że będziemy go śledzić, więc może szukać nadajnika. Natomiast Compor, który będzie śledził, raczej nie spodziewa się, że sam będzie śledzony i przypuszczam, że nie będzie szukał. Oczywiście mogę się mylić i wtedy musimy liczyć na jego przywiązanie do żony.

Kodell roześmiał się.

— I pomyśleć, że kiedyś to ja musiałem panią uczyć. A jaki jest cel tego śledzenia?

— Podwójne zabezpieczenie. Jeśli Trevize zostanie schwytany, to być może Comporowi uda się umknąć i przekazać nam informacje, których nie będzie mógł nam dostarczyć Trevize.

— Jeszcze jedno pytanie. A co będzie, jeśli Trevize odnajdzie Drugą Fundację i dowiemy się o tym od niego albo od Compora, albo jeśli będziemy mieli powody podejrzewać, że ona istnieje, mimo że obaj zginą?

— Myślę, że Druga Fundacja istnieje, Kodell — odparła Branno. — W każdym razie Plan Seldona nie będzie nam już długo służył. Wielki Hari Seldon opracował go w ostatnich dniach ginącego Imperium, kiedy skończył się zupełnie postęp technologiczny. Seldon

też był produktem swej epoki bez względu na to jak wspaniała była ta na poły mityczna psychohistoria, nie mogła się ona oderwać od korzeni, z których wyrosła. Z pewnością nie uwzględniła faktu, że nastąpi tak szybki postęp technologiczny, jaki dokonał się w Fundacji, szczególnie w ostatnim stuleciu. Mamy detektory masy, o jakich nie śniło się ludziom w czasach Imperium, komputery, które reagują na polecenia wydawane w myśli, a przede wszystkim ekrany chroniące przed ingerencją obcej woli czy siły psychicznej. Druga Fundacja już niedługo nie będzie mogła nami manipulować, nawet jeśli w tej chwili może to jeszcze robić. U schyłku swoich rządów chcę być tą osobą, która wprowadzi Fundację na nową drogę.

— A jeśli nie ma Drugiej Fundacji?

— To wejdziemy na nową drogę od razu.

13.

Niespokojny sen, w który w końcu zapadł Trevize, nie trwał długo. Obudziło go powtórne dotknięcie czyjejś dłoni na ramieniu. Zerwał się, rozglądając się nieprzytomnie i wyraźnie nie mogąc zrozumieć, dlaczego nie budzi się w swoim łóżku. — Co… Co… — wyjąkał.

— Przepraszam pana, Trevize — powiedział Pelorat. — Jest pan moim gościem i powinienem pozwolić panu porządnie wypocząć, ale jest tu pani burmistrz.

Pelorat stal obok jego łóżka w flanelowej piżamie i lekko dygotał. Trevize oprzytomniał i przypomniał sobie wszystko.

Burmistrz Branno siedziała w salonie Pelorata, opanowana jak zawsze. Był z nią Kodell. Siedział, gładząc swój siwy wąs.

Trevize obciągnął i wygładził pas, zastanawiając się, jak długo tych dwoje może obejść się bez siebie. — Czyżby rada doszła już do siebie? — spytał szyderczo — Czyżby jej członkowie zainteresowali się nieobecnością jednego spośród nich?

— Widać pewne oznaki powrotu do życia — odparła Branno — ale są one jeszcze zbyt słabe, żeby mógł pan wiązać z nimi jakieś nadzieje. Bez wątpienia jestem nadal na tyle silna, żeby zmusić pana do opuszczenia Terminusa. Zostanie pan przewieziony na Kosmodrom Krańcowy…

— A nie do Portu Kosmicznego na Terminusie, pani burmistrz? Czy mam zostać pozbawiony widoku tłumu żegnającego mnie ze łzami w oczach?

— Widzę, panie radny, że wróciła panu ochota do błazeństw i cieszę się z tego. Ucisza to moje ewentualne wyrzuty sumienia. Pan i profesor Pelorat wystartujecie bez rozgłosu z Kosmodromu Krańcowego.

— I nigdy nie wrócimy?

— I być może nigdy nie wrócicie. Oczywiście — tu uśmiechnęła się lekko — jeśli odkryje pan coś tak bardzo ważnego, że nawet ja chętnie ujrzę pana z powrotem, wróci pan. Może nawet zostanie pan powitany z honorami.

Trevize skinął niedbale głową. — I to się może zdarzyć — rzekł.

— Prawie wszystko może się zdarzyć. W każdym razie będzie się panu podróżować wygodnie. Dostaje pan dopiero co ukończony krążownik kieszonkowy nazwany, na pamiątkę statku Hobera Mallowa, „Odległą Gwiazdą”. Do obsługi wystarczy jedna osoba, chociaż mogą się w nim wygodnie pomieścić trzy.

Trevize nagle zapomniał o swej starannie wystudiowanej niedbałej pozie i ironii. — Z pełnym uzbrojeniem? — spytał.

— Bez uzbrojenia, ale poza tym całkowicie wyposażony. Gdziekolwiek się udacie, jesteście obywatelami Fundacji i możecie zwrócić się do naszego konsula, nie będziecie więc potrzebowali broni. W razie potrzeby będziecie mogli korzystać z naszych funduszy… Nie są one nieograniczone, warto dodać.

— Jest pani hojna.

— Wiem o tym, panie radny. I jeszcze jedno. Pomaga pan profesorowi Peloratowi w jego poszukiwaniach Ziemi. Bez względu na to, czego pana zdaniem pan szuka, poszukujecie Ziemi. Musi to być jasne dla wszystkich, których spotkacie. I niech pan pamięta o tym, że „Odległa Gwiazda" jest nieuzbrojona.

— Poszukuję Ziemi — powiedział Trevize. — Doskonale o tym wiem.

— A zatem ruszajcie.

— Proszę mi wybaczyć, ale są jeszcze pewne sprawy, których nie omówiliśmy. W swoim czasie prowadziłem różne statki, ale nigdy nie siedziałem za sterami najnowszego modelu krążownika kieszonkowego. Co będzie, jeśli się okaże, że nie potrafię nim kierować?

— Powiedziano mi, że „Odległa Gwiazda" jest całkowicie skomputeryzowana… I od razu wyjaśniam, żeby pan nie pytał, że nie musi pan wiedzieć, jak posługiwać się komputerem najnowszej generacji. On sam panu wyjaśni wszystko, co będzie pan musiał wiedzieć. Ma pan jeszcze jakieś życzenia?

Trevize spojrzał ponuro na swoje spodnie. — Chcę zmienić ubranie.

— Znajdzie pan ubranie na statku. Także te pasy czy jak to się nazywa. Profesor Pelorat też został zaopatrzony w to, czego mu trzeba. Wszystko, co mieści się w granicach rozsądku, jest już na statku, chociaż muszę dodać, że nie obejmuje to towarzystwa pań.

— To niedobrze — rzekł Trevize. — Byłoby przyjemniej, chociaż tak się składa, że akurat w tej chwili nie widzę odpowiedniej kandydatki. No, ale przypuszczam, że Galaktyka jest raczej gęsto zaludniona i że kiedy już będę daleko od Terminusa, będę mógł robić, co mi się podoba.

— Jeśli chodzi o towarzystwo? To pana sprawa.

Podniosła się ciężko. — Nie odwiozę pana na kosmodrom — powiedziała — ale są tu tacy, co to zrobią i radzę nie próbować robić nic poza tym, co panu powiedziano. Myślę, że zastrzelą pana, jeśli tylko spróbuje pan ucieczki. Ponieważ nie będzie mnie tam, nie będą mieli żadnych zahamowań.

— Nie wykonam żadnego podejrzanego ruchu, pani burmistrz, ale…

— Słucham.

Trevize zastanawiał się przez chwilę i w końcu powiedział z uśmiechem, który — miał nadzieję — wyglądał na niewymuszony: — Może przyjść taki moment, że poprosi mnie pani, żebym spróbował coś zrobić. Postąpię wtedy tak, jak będę uważał za stosowne, ale będę pamiętał ostatnie dwa dni.

Burmistrz Branno westchnęła. — Niech mi pan oszczędzi słuchania melodramatycznych przemówień. Jeśli taki moment nadejdzie, to trudno, ale na razie nie proszę o nic.

Rozdział IV
PRZESTRZEŃ

14.

Statek wyglądał jeszcze bardziej okazale, niż Trevize spodziewał się na podstawie tego, co zapamiętał z krzykliwej reklamy towarzyszącej wprowadzeniu krążowników nowej generacji.

To nie jego rozmiary wywierały takie wrażenie, bo statek był raczej mały. Przy jego projektowaniu brano pod uwagę szybkość i zwrotność, to, że będzie miał całkowicie grawitacyjny napęd, a przede wszystkim fakt, że zostanie wyposażony w najnowocześniejsze komputery. Duże rozmiary byłyby nie tylko zbyteczne, ale nawet utrudniałyby osiągnięcie założonego celu.

Tym, co budziło podziw, było urządzenie pozwalające jednej osobie kierować statkiem lepiej, niż było to możliwe w przypadku tradycyjnych krążowników, których załoga musiała liczyć co najmniej dwanaście osób. Jeśli na pokładzie była jeszcze jedna lub — dwie osoby dla zmiany wachty, to statek taki mógł pokonać całą flotyllę znacznie większych, nie pochodzących z Fundacji statków. W dodatku mógł prześcignąć każdy z istniejących typów statków.

Jego kształt był doskonale celowy — nie było tam ani jednej zbytecznej linii czy krzywizny, i to zarówno zewnątrz, jak i wewnątrz. Każdy metr sześcienny wnętrza został wykorzystany do maksimum, tak że — paradoksalnie — wydawało się ono bardzo przestronne. Nic z tego, co burmistrz Branno mówiła o znaczeniu jego misji, nie wywarło na Trevizem takiego wrażenia jak statek, na którym miał wyruszyć w tej misji.

Żelazna Branno, pomyślał ze smutkiem, wpakowała go w niebezpieczne przedsięwzięcie o nadzwyczajnym znaczeniu. Na pewno nie zgodziłby się na to tak łatwo, gdyby nie ułożyła wszystkiego tak, że zapragnął jej pokazać, na co go stać.

Jeśli chodzi o Pelorata, to nie posiadał się z zachwytu. — Czy uwierzyłby pan — rzekł, dotykając delikatnie palcem kadłuba, zanim wszedł do środka — że nigdy jeszcze nie znalazłem się tak blisko statku kosmicznego?

— Jeśli pan tak mówi, profesorze, to oczywiście wierzę w to, ale jak się panu udało tego dokonać?

— Szczerze mówiąc, drogi przy… to znaczy, drogi panie Trevize, sam nie wiem. Przypuszczam, że to dlatego, że byłem całkowicie pochłonięty swoimi badaniami. Wie pan, jeśli ktoś ma w domu naprawdę dobry komputer, który może się połączyć z każdym innym komputerem w dowolnym miejscu Galaktyki, to nie potrzebuje się ruszać z miejsca… Jakoś zawsze mi się wydawało, że statki kosmiczne są większe niż ten tutaj.

— Ten model jest mały, ale i tak jest znacznie większy w środku

niż jakikolwiek inny statek o tych rozmiarach.

— Jak to możliwe? Żartuje sobie pan z mojej niewiedzy.

— Ależ nie. Mówię poważnie. To jeden z pierwszych statków, które poruszają się całkowicie na zasadzie grawitacji.

— A co to znaczy? Ale, proszę, niech mi pan nic nie wyjaśnia, jeśli to wymaga dobrej znajomości fizyki. Uwierzę panu na słowo, tak jak pan wczoraj mnie w sprawie jednego rodzaju ludzkiego i jednego miejsca pochodzenia.

— Spróbujmy, profesorze. Przez te wszystkie tysiące lat lotów kosmicznych korzystaliśmy z silników o napędzie chemicznym, jonowym i hiperjądrowym, a były to ogromne urządzenia. Flota starego Imperium posiadała statki o pięćsetmetrowej długości, na których przestrzeń dla załogi była wielkości małego mieszkania. Na szczęście, na skutek braku zasobów naturalnych, Fundacja wyspecjalizowała się w ciągu stuleci w miniaturyzacji. Ten statek jest jej szczytowym osiągnięciem. Została tu wykorzystana siła antygrawitacji, a urządzenie, które do tego służy, nie zajmuje w ogóle miejsca i jest wbudowane w pokrywę kadłuba. Gdyby nie fakt, że nadal potrzebujemy hiperjądrowych…

W tym momencie podszedł do nich strażnik w mundurze służby bezpieczeństwa. — Musicie wsiadać, panowie.

Niebo już pojaśniało, chociaż było jeszcze pół godziny do wschodu słońca.

Trevize rozejrzał się. — Czy załadowano mój bagaż?

— Tak, panie radny. Przekona się pan, że statek został całkowicie wyposażony.

— Pewnie w odzież, która na mnie nie pasuje albo nie jest w moim guście.

Strażnik niespodziewanie uśmiechnął się. — Myślę, że pasuje — powiedział. — Pani burmistrz zagnała nas do pracy po godzinach. Pracowaliśmy bez przerwy trzydzieści albo i czterdzieści godzin i dobraliśmy dokładnie takie rzeczy, jak pan miał. Pieniądze nie grały roli. Słuchajcie — rozejrzał się wokół, aby się upewnić, czy nikt nie widzi jego nagłego spoufalenia się z eskortowanymi — wy dwaj macie szczęście. To najlepszy statek w Galaktyce. Kompletnie wyposażony, tylko bez uzbrojenia. Pływacie jak pączki w maśle.

— Pewnie w zjełczałym — odparł Trevize. — No, profesorze, jest pan gotów?

— Teraz tak — rzekł Pelorat unosząc do góry kwadratowy opłatek o boku długości około dwudziestu centymetrów i chowając go do srebrzystej plastikowej koperty. Trevize uświadomił sobie nagle, że Pelorat nie rozstawał się z tym przedmiotem od chwili, kiedy wyjechali z jego domu, przekładał go z ręki do ręki i nigdy nie odkładał, nawet wtedy, gdy zatrzymali się, aby zjeść szybkie

śniadanie.

— Co to takiego, profesorze?

— Moja biblioteka. Jest skatalogowana według tematów i miejsc pochodzenia książek i naniosłem ją całą na jedną płytkę. Jeśli pan uważa, że ten statek to cudo, to co pan powie o tej płytce? Cała biblioteka! Wszystko, co zebrałem. Cudowne! Cudowne.

— Tak — rzekł Trevize — pływamy jak pączki w maśle.

15.

Trevize wpadł w prawdziwy zachwyt na widok wnętrza statku. Przestrzeń została fantastycznie wykorzystana. Był tam magazyn z zapasami żywności, ubrań, filmów i gier. Był pokój do ćwiczeń gimnastycznych, salon i dwie, prawie identyczne, sypialnie.

— Ta musi być pana, profesorze — powiedział Trevize. — W każdym razie jest tu czytnik FX.

— Dobrze — rzekł Pelorat z zadowoleniem. — Co za osioł ze mnie, że tak unikałem podróży kosmicznych. Mógłbym tutaj żyć całkiem wygodniej mój drogi Trevize.

— Jest przestronniej, niż myślałem — stwierdził Trevize z przyjemnością.

— A te silniki znajdują się naprawdę w pokrywie kadłuba?

— W każdym razie są tam urządzenia sterujące. Nie musimy magazynować paliwa ani zużywać go od razu. Korzystamy z podstawowego źródła energii we wszechświecie i nasze silniki i paliwo są ot, tam, na zewnątrz — zatoczył łuk ręką.

— No dobrze, ale gdy tak teraz myślę o tym… Co będzie, jeśli coś się zepsuje?

Trevize wzruszył ramionami. — Uczono mnie latać w przestrzeni, ale nie na takich statkach. Jeśli wysiądzie grawityka, to obawiam się, że nic na to nie będę mógł poradzić.

— Ale potrafi pan prowadzić ten statek? Kierować nim?

— Sam jestem tego ciekaw.

— Myśli pan, że ten statek jest całkowicie zautomatyzowany? — spytał Pelorat. — Może jesteśmy tylko pasażerami? Może mamy tu tylko siedzieć i nic nie robić?

— Mają takie rzeczy na promach kursujących między planetami i stacjami orbitalnymi w układach słonecznych, ale nigdy nie słyszałem o zautomatyzowanym statku do podróży przez nadprzestrzeń. Przynajmniej dotychczas nie słyszałem… Dotychczas…

Raz jeszcze rozejrzał się wokół i poczuł nagły lęk. Czyżby ta wiedźma Branno aż tak go nabrała? A może Fundacja faktycznie zautomatyzowała już podróże międzygwiezdne i on, Trevize, miał zostać przewieziony na Trantor wbrew swej woli, mając w tej sprawie do powiedzenia tyle, co wyposażenie statku.

Powiedział ze sztucznym ożywieniem: — Niech pan usiądzie, profesorze. Burmistrz mówiła, że statek jest całkowicie skomputeryzowany. Skoro w pana kabinie jest czytnik FX, to w mojej powinien być komputer. Niech się pan tu rozgości, a ja tymczasem rozejrzę się w swojej kabinie.

Pelorat nagle się zaniepokoił.

— Trevize, drogi przyjacielu… Nie chce pan chyba wysiąść, co?

— Nie mam najmniejszego zamiaru. A zresztą, gdybym spróbował wyjść, to może być pan pewien, że zaraz by mnie zatrzymano. Pani burmistrz nie życzy sobie, żebym stąd odszedł. Chcę po prostu zorientować się jak działa układ sterowniczy „Odległej Gwiazdy". — Uśmiechnął się. — Nie opuszczę pana, profesorze.

Wchodząc do pomieszczenia, które — jak sądził — miało być jego sypialnią, miał wciąż jeszcze uśmiech na ustach, ale gdy zamknął cicho drzwi za sobą, jego twarz spoważniała. Na pewno musiało gdzieś tu być jakieś urządzenie umożliwiające nawiązanie łączności z planetą, koło której mógł się znaleźć statek. Trudno było sobie wyobrazić, żeby pojazd był celowo odizolowany od otoczenia i dlatego gdzieś tu — może w jakiejś wnęce — musiał się znajdować aparat. Mógłby się połączyć z biurem burmistrza i zapytać o pulpit sterowniczy.

Dokładnie zbadał ściany, zagłówek łóżka i zgrabne, gładkie mebelki. Jeśli tu nie znajdzie nic, to przeszuka resztę statku.

Miał się już odwrócić, gdy wzrok jego padł na plamkę światła widoczną na gładkiej, jasnobrązowej płycie biurka. W krążku światła zgrabne litery układały się w napis „Instrukcja obsługi komputera".

A więc jednak! Mimo to serce zabiło mu szybciej. Były komputery i komputery, a także programy, na opanowanie których trzeba długiego czasu. Trevize nigdy nie wątpił w swoją inteligencję, ale z drugiej strony nie był geniuszem. Byli tacy, którzy mieli smykałkę do komputerów i tacy, którzy jej nie mieli, a Trevize dobrze wiedział, do której kategorii się zalicza.

W czasie służby we flocie wojennej Fundacji doszedł do stopnia porucznika i zdarzało mu się pełnić obowiązki dowódcy wachty. Miewał wtedy okazję do posługiwania się komputerem pokładowym. Jednak nigdy obsługa komputera nie należała wyłącznie do niego i nigdy nie wymagano od niego jako od dowódcy wachty, żeby znał się na tym dokładnie i potrafił dokonywać innych operacji niż zwykłe rutynowe czynności.

Przypomniał sobie opasłe tomy wydruków zawierające pełen opis programu komputera i ogarnęło go przygnębienie. Przypomniał sobie też, jak zachowywał się sierżant techniczny Krasnet przy pulpicie komputera. Przebierał palcami po klawiszach, jak gdyby był to najbardziej skomplikowany instrument muzyczny w Galaktyce, a robił to z taką nonszalancją, jakby nudziło go obsługiwanie tak prostego urządzenia, ale nawet on musiał czasami zaglądać do opisu programu, klnąc przy tym ile wlezie.

Po chwili wahania Trevize dotknął palcem świetlnej plamki i od razu krąg światła rozszerzył się, obejmując całe biurko. Na jego blacie widniał zarys dwu dłoni, prawej i lewej. Niemal w tej samej chwili

blat obrócił się i ustawił pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Trevize usiadł przy biurku. Nie potrzebował żadnych wyjaśnień. Było oczywiste, co ma zrobić.

Położył dłonie w oznaczonych miejscach. Miejsca te zostały tak dobrane, że mógł siedzieć wygodnie, nie naprężając ramion i nie czując zmęczenia. Powierzchnia biurka wydawała się miękka w dotyku, jakby zrobiona z aksamitu. Czuł, jak dłonie zanurzają się w niej. Patrzył ze zdumieniem, gdyż wzrok mówił mu co innego. Jego ręce nie zagłębiły się w blacie ani na milimetr, spoczywały na powierzchni dokładnie tak, jak je położył, choć mógłby przysiąc, że czuje łagodny i ciepły uścisk na dłoniach.

Co to wszystko znaczy?

Co teraz?

Rozejrzał się, a potem, pod wpływem nagłego impulsu, zamknął oczy. Nic nie słyszał. Nic nie słyszał! Ale wyraźnie dotarło do niego, jakby zrodzone w jego własnym umyśle, zdanie „Zamknij oczy. Odpręż się. Nawiążemy kontakt".

Przez ręce?

Kiedy dawniej zastanawiał się nad możliwością nawiązania kontaktu myślowego z komputerem, to wyobrażał sobie, że konieczny do tego będzie odpowiedni kask, wyposażony w elektrody umieszczane na czaszce i nad oczami. Ale kontakt przez ręce?

A właściwie dlaczego nie? Trevize czuł ogarniającą go senność. Wydawało mu się, że odpływa w jakąś dal, ale wszystko to nie stępiło w najmniejszym stopniu jego zdolności trzeźwego myślenia. Dlaczego nie przez ręce?

Oczy były tylko narządami zmysłu widzenia. Mózg tylko centralną tablicą rozdzielczą, zamkniętą w kościanej obudowie i oddzieloną od pracujących urządzeń, od ciała. Tymi pracującymi urządzeniami były ręce, ręce, które napotykały opór materii i urządzały po swojemu wszechświat.

Istoty ludzkie myślały dzięki rękom. To ich ręce zaspokajały ciekawość, to one dotykały i szczypały, obracały i podnosiły, i ważyły. Istniały zwierzęta, które miały mózgi o wzbudzających szacunek rozmiarach, ale nie miały rąk i na tym właśnie polegała cała różnica.

Gdy komputer „ujął" jego ręce, ich myślenie stopiło się w jedno i nie było już ważne, czy oczy ma otwarte czy zamknięte. Otwarcie oczu nie poprawiło ostrości widzenia, a zamknięcie nie zaciemniło obrazu. Czy miał je zamknięte, czy otwarte — widział kabinę z tą samą jasnością, i to nie ten akurat fragment, w kierunku którego był zwrócony, ale całe pomieszczenie, zarówno to, co było za nim, jak i to, co nad nim i pod nim.

Mało tego, widział wszystkie pomieszczenia statku i to, co było na zewnątrz. Na horyzoncie ukazało się słońce, skąpane jeszcze w

porannej mgle, ale mógł patrzeć prosto w nie bez mrużenia oczu, gdyż komputer automatycznie filtrował fale świetlne.

Czuł łagodny powiew wiatru i temperaturę powietrza, i dźwięki otaczającego statek świata. Rejestrował pole magnetyczne planety i drobne ładunki elektryczne na ścianach statku.

Uświadomił sobie, że wie jak kierować statkiem, chociaż nie znał szczegółów układu sterowniczego. Wiedział tylko tyle, że gdyby zechciał, by statek wzniósł się, obrócił, przyśpieszył czy zrobił cokolwiek innego, to byłby to taki sam proces jak w przypadku analogicznych czynności jego własnego ciała. Było to zależne od jego woli.

Ale jego wola nie była niczym nieskrępowana. Komputer mógł sam podejmować pewne decyzje. W tej właśnie chwili dotarło do jego świadomości stworzone bez udziału jego woli zdanie; wiedział już dokładnie, kiedy i jak statek wystartuje. Jeśli o to chodziło, nie było dyskusji. Ale potem — z tego zdawał sobie sprawę równie jasno — będzie mógł decydować już on sam.

Stwierdził — wyrzucając na zewnątrz sieć wzmocnionych przez komputer zmysłów — że może rozpoznać stan górnej warstwy atmosfery, że może przedstawić sobie mapę pogody, że jest w stanie wykryć statki wzbijające się w górę i lądujące. Wszystko to trzeba było wziąć pod uwagę i komputer brał to pod uwagę. Uświadomił sobie też, że gdyby komputer tego nie zrobił, to wystarczyłoby, żeby on, Trevize, pomyślał, że trzeba to zrobić i zostałoby to z miejsca zrobione.

Tak więc, jeśli chodzi o grube tomy z opisem oprogramowania, to nie było żadnych. Trevize pomyślał o sierżancie technicznym Krasnecie i uśmiechnął się. Wiele czytał o rewolucji technicznej, którą wywoła upowszechnienie grawityki, ale połączenie komputera i umysłu ludzkiego było nadal tajemnicą państwową. Ujawnienie tego spowodowałoby na pewno o wiele większą rewolucję.

Zdawał sobie sprawę z upływu czasu. Wiedział dokładnie, która jest godzina według lokalnego czasu Terminusa i według standardowego czasu galaktycznego.

W jaki sposób przerwać kontakt z komputerem i wstać?

Zaledwie o tym pomyślał, gdy poczuł, że ręce ma wolne. Blat biurka wrócił do pierwotnego położenia i Trevize został sam ze swoimi nie wspieranymi już przez komputer zmysłami.

Czuł się ślepy i bezbronny, jak gdyby znalazł się pod opieką jakiejś nadludzkiej, istoty, a potem został porzucony. Gdyby nie wiedział o tym, że w każdej chwili może znowu nawiązać kontakt z komputerem, to uczucie to być może przywiodłoby go do płaczu.

W tej sytuacji starał się jednak odzyskać orientację i ponownie przystosować do granic postrzegania wyznaczonych przez nieuzbrojone zmysły. W końcu stanął niepewnie na nogach i wyszedł z

kabiny.

Pelorat podniósł głowę. Nastawił, oczywiście, czytnik, więc teraz powiedział: — Działa bardzo dobrze.

Ma świetny program poszukiwań… Znalazłeś pulpit sterowniczy, mój chłopcze?

— Tak, profesorze. Wszystko jest w porządku.

— Czy w takim razie nie powinniśmy czegoś zrobić w związku ze startem? Chodzi mi o zabezpieczenie się. Może powinniśmy zapiąć pasy, czy coś takiego? Szukałem jakichś instrukcji, ale nic nie znalazłem i to mnie zdenerwowało. Musiałem wrócić do swojej biblioteki. Jakoś, kiedy zajmuję się swoją pracą…

Trevize wyciągnął ręce w stronę profesora, jakby chciał powstrzymać potok jego słów. Ponieważ nie odniosło to skutku, musiał go przekrzyczeć.

— To zupełnie zbyteczne, profesorze. Antygrawitacja jest odpowiednikiem braku bezwładności. Nie czujemy przyspieszenia, kiedy zmienia się prędkość, ponieważ wszystko, co znajduje się na statku, podlega tej zmianie w tym samym czasie.

— Chce pan przez to powiedzieć, że nie poczujemy, kiedy oderwiemy się od planety i znajdziemy się w przestrzeni?

— Dokładnie tak, bo właśnie w tej chwili startujemy. Za kilka minut przejdziemy przez górne warstwy atmosfery, a za pół godziny będziemy w otwartej przestrzeni.

16.

Pelorat jakby skurczył się w sobie. Gapił się na Trevizego osłupiałymi oczyma. Jego długa, prostokątna twarz nie wyrażała nic, ale zdawał się z niej wprost promieniować ogromny niepokój. Po chwili zerknął ostrożnie w prawo, potem w lewo.

Trevize pamiętał, jak on sam czuł się podczas pierwszej podróży poza atmosferę.

Powiedział, starając się, by głos jego zabrzmiał jak najbardziej rzeczowo: — Janov (po raz pierwszy zwrócił się do profesora tak familiarnie, ale w tym przypadku osoba doświadczona zwracała się do niedoświadczonej i było konieczne, by stworzył pozory, iż to on jest starszy), jesteśmy tu całkowicie bezpieczni. Znajdujemy się w metalowym łonie statku floty wojennej Fundacji. Nie mamy pełnego uzbrojenia, ale nie ma takiego miejsca w Galaktyce, gdzie nie chroniłoby nas samo imię Fundacji. Nawet gdyby ktoś zwariował i zaatakował nas, to i tak w jednej chwili zdołalibyśmy umknąć poza zasięg jego pocisków. I zapewniam cię, że przekonałem się, iż potrafię doskonale kierować tym statkiem.

— Go… Golan, to myśl o nicości…

— Co też znowu? Przecież Terminus jest zewsząd otoczony nicością. Między nami na powierzchni, a nicością nad nami znajduje się tylko cienka warstwa rzadkiego powietrza. Wystarczy tylko przejść przez tę lichą warstwę. I właśnie to robimy.

— Może jest licha, ale w niej żyjemy i oddychamy.

— Tutaj też oddychamy. Powietrze na statku jest czyściejsze niż naturalna atmosfera Terminusa i będzie takie przez cały czas.

— A meteoryty?

— Co — meteoryty?

— Atmosfera chroni nas przed meteorytami. Przed promieniowaniem też, jeśli już o tym mowa.

— Zdaje mi się — rzekł Trevize — że ludzie podróżują w przestrzeni już od dwudziestu tysięcy lat…

— Od dwudziestu dwu tysięcy lat. Jeśli posłużymy się chronologią Hallblocka, to jest zupełnie jasne, że licząc…

— Wystarczy! Słyszałeś kiedy o wypadku spowodowanym przez meteoryt albo o czyjejś śmierci w wyniku promieniowania kosmicznego? To znaczy ostatnio?… To znaczy, jeśli chodzi o statki Fundacji?

— Nie śledzę takich wydarzeń, ale jestem historykiem, mój chłopcze, i…

— Historia oczywiście zna takie przypadki, ale technika stale się rozwija. Nie ma meteorytów na tyle dużych, żeby mogły uszkodzić

nasz statek, gdyby zbliżyły się do nas na niebezpieczną odległość, zanim zdążylibyśmy podjąć odpowiednie przeciwdziałania. Mogłyby nas załatwić dopiero cztery meteoryty zbliżające się do nas równocześnie z czterech wierzchołków czworościanu, ale gdybyś obliczył stopień prawdopodobieństwa zaistnienia takiego zdarzenia, to przekonałbyś się, że masz miliard miliardów razy większe szansę umrzeć spokojnie ze starości niż zaobserwować to interesujące zjawisko.

— To znaczy, gdyby posługiwać się komputerem?

— Nie — odparł drwiącym tonem Trevize. — Gdybym posługiwał się komputerem, opierając się na swoich własnych obserwacjach, to meteoryt rąbnąłby we mnie zanim bym się zdążył zorientować, co się dzieje. To wykonuje sam komputer, który reaguje na sytuacje milion razy szybciej niż ty czy ja. — Wyciągnął nagle rękę. — Chodź, Janov, pokażę ci, co potrafi komputer. Przy okazji zobaczysz, czym jest przestrzeń.

Pelorat gapił się na niego wybałuszonymi oczami. Potem roześmiał się.

— Nie jestem pewien, Golan, czy chciałbym to widzieć.

— Jasne, że nie jesteś pewien, bo nie wiesz, co tam czeka na poznanie. Spróbuj, Janov! Chodź do mojej kabiny!

Trevize wziął go za rękę i trochę prowadząc go, a trochę ciągnąc, przywiódł do swojej kabiny. Gdy już zasiadł przy komputerze, spytał: — Czy widziałeś kiedy Galaktykę, Janov? Patrzyłeś na nią?

— To znaczy chcesz wiedzieć, czy patrzyłem na niebo? — spytał Pelorat.

— Tak, jasne. A na co?

— Pewnie, że patrzyłem i widziałem. Każdy widział. Wystarczy podnieść głowę do góry.

— A czy przyglądałeś się kiedyś niebu podczas ciemnej, bezchmurnej nocy, kiedy Diamenty są pod horyzontem?

Nazwa „Diamenty” odnosiła się do tych kilku gwiazd, które były na tyle blisko i miały na tyle silny blask, by świecić w miarę jasno na nocnym niebie Terminusa. Było to małe skupisko, zajmujące szerokość nie większą niż dwadzieścia stopni, i przez większą część nocy znajdowało się pod horyzontem. W bok od tego skupiska był zaledwie dostrzegalny nieuzbrojonym okiem zamglony rój gwiazd. Właściwie widać było tylko mleczne lśnienie Galaktyki, widok, którego można było się spodziewać na świecie takim jak Terminus, leżącym na samym końcu zewnętrznego ramienia spirali galaktycznej.

— Myślę, że tak, ale dlaczego miałbym się przyglądać? To pospolity widok.

— Oczywiście, że to pospolity, widok — powiedział Trevize. — I właśnie dlatego nikt nie zwraca na to uwagi. Po co przyglądać się

czemuś, co się zawsze widzi? Ale teraz zobaczysz to, i to nie z Terminusa, gdzie zawsze przeszkadzają jakieś mgły czy chmury. Zobaczysz to, czego nigdy nie dostrzegłbyś z Terminusa, i to bez względu na to, jak byś wysilał wzrok i jak ciemna i bezchmurna byłaby noc. Jak bardzo pragnąłbym, by była to moja pierwsza podróż w przestrzeni i bym — tak jak ty — mógł po raz pierwszy podziwiać piękność nagiej Galaktyki.

Pchnął fotel w kierunku Pelorata. — Usiądź tam, Janov. Może mi to zająć trochę czasu. Jeszcze się nie zdążyłem przyzwyczaić do tego komputera. Z tego co do tej pory zrobiłem, wiem, że obraz jest holograficzny, nie będzie więc nam potrzebny żaden ekran ani nic w tym rodzaju. Komputer ma bezpośredni kontakt z moim mózgiem, ale myślę, że uda mi się uzyskać obiektywny obraz, który ty też będziesz mógł zobaczyć… Wyłącz światło, dobrze?… Nie, to głupie z mojej strony. Zrobi to komputer. Zostań na miejscu.

Trevize nawiązał kontakt z komputerem, czując ciepły, niemal intymny uścisk na dłoniach.

Światła ściemniały, a potem zgasły zupełnie. Siedząc w ciemności, Pelorat zaczął wiercić się na fotelu.

— Nie denerwuj się, Janov — powiedział Trevize. — Mogę mieć trochę problemów ze sterowaniem tym komputerem, ale zacznę powoli. Musisz uzbroić się w cierpliwość. O, widzisz to? Ten półksiężyc?

Wisiał w ciemnościach przed nimi. Najpierw był trochę zamglony i migotał, ale stopniowo stawał się coraz jaśniejszy i coraz bardziej wyraźny.

— To Terminus? — w głosie Pelorata słychać było strach. — Jesteśmy już tak daleko od niego?

— Tak, statek posuwa się z dużą szybkością. Wchodzili łukiem w cień pogrążonej w nocy części Terminusa, który pojawił się jaka szeroki, jasno świecący sierp. Przez chwilę korciło Trevizego, by skierować statek po szerszym łuku nad półkulę, na której był dzień, i pokazać planetę w całej jej urodzie, ale powstrzymał się przed tym.

Być może widok ten byłby czymś nowym i ciekawym dla Pelorata, ale dla niego nie miał już żadnego uroku. Było zbyt wiele zdjęć, zbyt wiele map, zbyt wiele modeli Terminusa. Każde dziecko wiedziało jak wygląda. Planeta bogata, aż nadmiernie, w wodę i uboga w minerały, o dobrze rozwiniętym rolnictwie i praktycznie bez przemyski ciężkiego, ale za to przodująca w całej Galaktyce w wysoko zaawansowanej inżynierii, technice i miniaturyzacji.

Gdyby mógł skłonić komputer do wykorzystania mikrofal i skonstruowania modelu optycznego, to ujrzeliby wszystkie z dziesięciu tysięcy zamieszkałych wysp Terminusa, wraz z tą, która była na tyle duża, że mogła być uważana za kontynent, z tą, na której leżało

miasto Terminus i…

„Zmień obraz!”

Była to tylko myśl, próba sprawdzenia wpływu jego woli, ale obraz zmienił się od razu. Świecący półksiężyc przesunął się w stronę krawędzi obrazu i znikł za nią. Uderzyła go w oczy absolutna ciemność bezgwiezdnej przestrzeni.

Pelorat chrząknął. — Chciałbym, mój chłopcze, żebyś znowu wywołał obraz Terminusa. Mam wrażenie, że oślepłem — w jego glosie dało się wyczuć wyraźne napięcie.

— Nie oślepłeś. Patrz!

W polu widzenia pojawił się blado świecący, lekko przejrzysty obłok. Rozszerzał się i świecił coraz jaśniej, aż w końcu cala kabina wypełniła się blaskiem.

„Skurcz obraz!”

Była to następna próba woli. Galaktyka cofnęła się, jakby oglądana przez pomniejszający teleskop, którego siła pomniejszania stale rosła. Obraz skurczył się i zagęścił, a Galaktyka wyglądała teraz jak struktura utworzona z punktów o różnej jasności.

„Rozjaśnij obraz!”

Obraz pojaśniał, nie zmieniając wymiarów, a ponieważ układ gwiezdny, do którego należał Terminus, znajdował się powyżej płaszczyzny Galaktyki, widzieli ją nieco z ukosa, w silnym skrócie perspektywicznym, jako podwójną spiralę, spomiędzy ramion której wystrzeliwały w stronę oświetlonej części Terminusa, znacząc ją ciemnymi smugami, zakrzywione pasma mgławicy. Śmietankowej barwy jądro Galaktyki wydawało się małe i nieważne.

— Masz rację — szepnął Pelorat z podziwem. — Nigdy nie widziałem tego w ten sposób. Nigdy nie przypuszczałem, że jest tam takie bogactwo szczegółów.

— I nic w tym dziwnego. Nie mogłeś dojrzeć drugiej połowy Galaktyki, bo między nią a tobą była atmosfera Terminusa. Z naszej planety trudno zobaczyć nawet jądro.

— Jaka szkoda, że oglądamy ją prawie z boku.

— Nie jesteśmy na to skazani. Komputer może ją pokazać z dowolnej strony i pozycji. Wystarczy, że wyrażę swoje życzenie, i to nawet po cichu.

„Zmień współrzędne!”

Na pewno nie było to precyzyjne polecenie, ale kiedy obraz Galaktyki zaczął się powoli zmieniać, Trevize pokierował w myśli komputerem i uzyskał to, co chciał.

Galaktyka obracała się wolno, tak że mogli ją oglądać pod kątem prostym w stosunku do jej płaszczyzny. Wyglądała jak ogromny wir, wsysający jarzącą się ognistymi punkcikami ciemność do płonącego jaskrawo środka.

— Jak komputer może zarejestrować ten obraz z miejsca oddalonego o ponad pięćdziesiąt tysięcy parseków? — spytał Pelorat, ale zaraz dodał zduszonym głosem: — Przepraszam za to pytanie. Nic a nic się w tym nie wyznaję.

— Jeśli chodzi o ten komputer, to wiem niewiele więcej niż ty — powiedział Trevize. — Jednak nawet prosty komputer potrafi dobrać współrzędne i przedstawić obraz Galaktyki z dowolnego miejsca, wychodząc od danych, które może zebrać w pozycji naturalnej statku, to znaczy opierając się na tych danych, które odnoszą się do jego rzeczywistej pozycji w przestrzeni. Oczywiście opiera się tylko na danych wyjściowych, nic więc dziwnego, że kiedy pokazuje duży obraz, to są w nim luki, a pewne partie są niewyraźne czy zamazane. Ale w tym przypadku…

— Tak?

— Mamy naprawdę świetny obraz. Myślę, że do naszego komputera wprowadzono kompletną mapę Galaktyki, w związku z czym może nam ją pokazać z tą samą dokładnością pod dowolnym kątem.

— Co masz na myśli mówiąc „kompletna mapa”?

— To, że współrzędne przestrzenne każdej gwiazdy muszą znajdować się w pamięci komputera.

— Każdej gwiazdy? — spytał z podziwem Pelorat.

— No, może nie wszystkich trzystu miliardów. Ale na pewno zawiera współrzędne gwiazd, wokół których krążą zamieszkane planety, a prawdopodobnie też wszystkich gwiazd klasy spektralnej K i jaśniejszych. To znaczy, przynajmniej siedemdziesięciu pięciu miliardów.

— Każdej gwiazdy zamieszkanego układu?

— Nie dam za to głowy. Może nie wszystkie. W końcu w czasach Hariego Seldona było dwadzieścia pięć milionów zamieszkanych układów gwiezdnych, co wydaje się dużą liczbą, ale znaczy, że zamieszkany był tylko jeden na dwadzieścia tysięcy układów. Od tamtej pory minęło pięćset lat, a upadek Imperium przecież nie powstrzymał procesu kolonizacji. Myślę, że nawet przyspieszyliśmy ten proces. Jest jeszcze wiele planet, na których można żyć, więc teraz ogólna liczba zamieszkanych układów może sięgać trzydziestu milionów. Jest zupełnie możliwe, że w rejestrach Fundacji nie ma wszystkich nowo zasiedlonych.

— A te dawno zasiedlone? Chyba są tam wszystkie, bez wyjątku.

— Tak myślę. Oczywiście nie mogę za to ręczyć, ale zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że jakiś od dawna zamieszkany układ nie jest odnotowany w rejestrach Fundacji. Pozwól, że ci coś pokażę — jeśli potrafię na tyle sterować tym komputerem.

Trevize napiął nieco mięśnie rąk, jakby chciał je bardziej zagłębić

w płytę biurka i nawiązać ściślejszy kontakt z komputerem. Być może nie było to potrzebne, może wystarczyłoby, żeby rzucił w myśli hasło „Terminus!”

Pomyślał o tym i w odpowiedzi na samym skraju wiru pojawił się błyszczący czerwony romb.

— To nasze słońce — powiedział z podnieceniem. — To słońce, wokół którego krąży Terminus.

— Ach! — westchnął przeciągle Pelorat.

W samym jądrze Galaktyki, ale dobrze w bok od płonącego środka, pojawił się jasnożółty świetlny punkt. Był raczej bliżej tej krawędzi, na której znajdował się Terminus, niż przeciwnej.

— A to — powiedział Trevize — jest słońce Trantora.

Pelorat wydał jeszcze jedno westchnienie, a potem spytał:

— Jesteś pewien? Zawsze słyszałem, że Trantor znajduje się w środku Galaktyki.

— W pewnym sensie tak jest. Znajduje się tak blisko środka, jak tylko nadająca się do zamieszkania planeta może się znajdować. Znajduje się bliżej środka niż którykolwiek z większych i zamieszkanych układów. Rzeczywisty środek Galaktyki to czarna dziura z około milionem gwiazd, a więc niebezpieczne miejsce. O ile nam wiadomo, nie ma tam życia i pewnie nie może tam ono istnieć w żadnej formie. Trantor znajduje się w najbliższym środka skręcie spiralnych ramion Galaktyki i, wierz mi, gdybyś ujrzał nocą niebo nad nim, to pomyślałbyś, że znajduje się w jej samym środku. Jest otoczony morzem gwiazd.

— Byłeś na Trantorze, Golan? — zapytał Pelorat z wyraźną zazdrością.

— Osobiście nie byłem, ale widziałem obrazy holograficzne jego nieba.

Trevize patrzył ponuro na Galaktykę. Jakie cuda wyczyniano z jej mapami w czasie wielkich poszukiwań Drugiej Fundacji za panowania Muła i ile tomów napisano i sfilmowano na ten temat!

A wszystko dlatego, że Hari Seldon powiedział na początku, iż Druga Fundacja zostanie założona „na drugim końcu Galaktyki”, w miejscu, które nazwał Krańcem Gwiazdy.

Na drugim końcu Galaktyki! Zaledwie Trevize pomyślał o tym, na obrazie pojawiła się cienka niebieska linia prowadząca od Terminusa przez czarną dziurę w środku Galaktyki do jej drugiego końca. Trevize aż podskoczył z wrażenia. Nie wydał polecenia komputerowi, aby wprowadził do obrazu tę linię, ale pomyślał o niej dość jasno i to wystarczyło.

Ale, oczywiście, prosta jak strzelił droga na drugą stronę Galaktyki niekoniecznie musiała prowadzić do „drugiego końca”, o którym mówił Seldon. Arkady Darell, jeśli wierzyć jej autobiografii,

użyła zwrotu „koło nie ma końca”, aby wskazać na to, co teraz wszyscy zgodnie uważali za prawdę…

Chociaż Trevize starał się zaraz zdusić tę myśl, komputer był szybszy. Niebieska linia znikła, a zamiast niej pojawiło się koło, które opasało Galaktykę, przecinając na niebiesko intensywnie czerwoną kropkę oznaczającą słońce Terminusa.

Koło nie ma końca, więc jeśli zaczynało się na Terminusie, to szukając drugiego końca trzeba było po prostu wrócić na Terminusa. I faktycznie odkryto tam Drugą Fundację. Na tym samym świecie, na którym znajdowała się Pierwsza.

Ale jeśli w rzeczywistości nie odkryto jej, jeśli tak zwane odkrycie Drugiej Fundacji było tylko złudzeniem, to co dalej? Co, oprócz prostej linii i koła miało sens w tym kontekście?

— Tworzysz iluzje? — odezwał się Pelorat. — Co to za niebieskie koło?

— Po prostu wypróbowywałem komputer… Chcesz zlokalizować Ziemię?

Przez minutę czy dwie panowała cisza, aż w końcu Pelorat rzekł:

— Żarty sobie stroisz?

— Nie. Spróbuję. Spróbował. I nic.

— Przykro mi — powiedział Trevize.

— Nie ma jej tam? Nie ma Ziemi?

— Być może źle sformułowałem polecenie, ale to wydaje się mało prawdopodobne. Myślę, że jest bardziej prawdopodobne, że Ziemia nie została wprowadzona do pamięci komputera.

— Może jest pod inną nazwą — powiedział Pelorat.

Trevize natychmiast się tego uczepił.

— Pod jaką inną nazwą, Janov?

Pelorat nic nie odrzekł i Trevize uśmiechnął się w ciemności. Przyszło mu do głowy, że być może wszystko zaczyna się układać. Tylko tak dalej. Nie ma się co spieszyć. Trzeba poczekać, aż się to wyklaruje. Celowo zmienił temat.

— Zastanawiam się, czy możemy pokierować czasem — powiedział.

— Czasem! A jak moglibyśmy to zrobić?

— Galaktyka obraca się. Na jeden pełen obieg po dużym obwodzie Galaktyki Terminus potrzebuje prawie pół miliarda lat. Oczywiście gwiazdy, które znajdują się bliżej środka, kończą obrót znacznie szybciej. Ruch każdej gwiazdy względem zajmującej środek czarnej dziury może być zakodowany w pamięci komputera, a w takim przypadku można wydać mu polecenie, aby przyśpieszył ten ruch parę milionów razy, dzięki czemu można by to zobaczyć. Mogę spróbować, czy to się da zrobić.

Wytężył wolę, napinając mimowiednie mięśnie, jak gdyby

własnymi rękami chwytał Galaktykę, skręcał ją i przyspieszał jej bieg, jak gdyby — pokonując ogromny opór — zmuszał ją do wirowania.

Galaktyka poruszała się. Powoli, majestatycznie, kręciła się w kierunku, który musiał ścisnąć jej ramiona.

Gdy tak patrzyli, czas — nierzeczywisty, sztuczny czas — płynął niewiarygodnie szybko, a w miarę jego upływu gwiazdy zmieniały się, stając się efemeryda — mi.

Niektóre z większych gwiazd — w różnych miejscach Galaktyki — poczerwieniały i stały się bardziej jaskrawe, powiększając się i zmieniając w czerwone olbrzymy. Potem jakaś gwiazda ze skupiska znajdującego się blisko środka eksplodowała bezgłośnie z oślepiającym błyskiem, który na ułamek sekundy pogrążył w mroku Galaktykę, i znikła. Potem eksplodowała inna, na jednym ze spiralnych ramion, a potem jeszcze jedna, niedaleko od tamtej.

— Supernowe — powiedział Trevize lekko drżącym głosem.

Czy to możliwe, żeby komputer mógł dokładnie przewidzieć, która gwiazda eksploduje i kiedy to się stanie? Czy może raczej był to uproszczony model, który pokazywał przyszłość gwiazd w znaczeniu ogólnym, a nie w odniesieniu do konkretnych ciał?

Pelorat powiedział ochrypłym szeptem:

— Galaktyka wygląda jak żywa istota pełznąca przez przestrzeń.

— Rzeczywiście — przytaknął Trevize — ale jestem zmęczony. Jeśli nie nauczę się robić tego z mniejszym napięciem, to nie będę mógł się długo bawić w tę grę.

Przerwał. Galaktyka zwolniła, potem zatrzymała się, a potem przechyliła się, aż w końcu ukazała się z tej strony, z której widzieli ją na początku.

Trevize zamknął oczy i głęboko odetchnął. — Czuł (czy widział), jak Terminus zostaje coraz bardziej z tyłu i kurczy się, jak ostatnie dostrzegalne strzępki atmosfery znikają z ich otoczenia. Czuł wszystkie przelatujące w ich pobliżu statki.

Nie przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić, czy któryś z tych statków nie wyróżnia się czymś szczególnym. Czy nie ma wśród nich takiego, jak jego własny, o napędzie grawitacyjnym, podążającego kursem zbyt zbliżonym do jego, żeby mógł to być przypadek.

Rozdział V
MÓWCA

17.

Trantor.

Przez osiem tysięcy lat Trantor był stolicą jednostki politycznej, która obejmowała swym zasięgiem stale rozszerzający się związek układów planetarnych. Przez następne dwanaście tysięcy lat był stolicą jednostki politycznej, która obejmowała swym zasięgiem całą Galaktykę. Był centrum, sercem, istotą Imperium Galaktycznego. Nie sposób było myśleć o Imperium nie myśląc o Trantorze.

Trantor osiągnął szczyt rozwoju, kiedy rozkład Imperium był już daleko posunięty. Prawdę mówiąc, właśnie dlatego, że Trantor błyszczał polerowanym metalem, nikt nie spostrzegł, że Imperium straciło swój pęd i rozmach i że zamarł wszelki postęp.

Szczyt jego rozwoju przypadł na moment, kiedy był jednym obejmującym całą planetę miastem. Jego ludność utrzymywała się na (regulowanym przez prawo) poziomie czterdziestu pięciu miliardów, a jedynymi pokrytymi zielenią miejscami był teren wokół pałacu imperatora i Zespół Uniwersytecki połączony z biblioteką.

Powierzchnia Trantora pokryta była metalowym płaszczem. I pustynie, i żyzne ziemie zostały wchłonięte przez miasto i zamienione w rojowiska ludzi, dżungle urzędów, skomputeryzowane gigantyczne ośrodki, rozległe magazyny żywności i części zamiennych. Łańcuchy górskie zostały zrównane, a przepaści zasypane. Pod powierzchnią kontynentów wykopano niekończące się korytarze, a oceany zamieniono w rozległe podziemne zbiorniki wodnorolnicze, które stały się jedynym (nie wystarczającym dla zaspokojenia potrzeb) rodzimym źródłem żywności i minerałów.

Połączenia z zewnętrznymi światami, z których Trantor otrzymywał potrzebne produkty i surowce, podtrzymywało tysiąc portów kosmicznych, sto tysięcy statków handlowych i milion frachtowców kosmicznych, a chroniło dziesięć tysięcy statków wojennych.

Żadne inne tak rozległe miasto w dziejach ludzkości nie miało tak rozbudowanego zamkniętego obiegu wody. Żadna inna planeta w Galaktyce nie wykorzystywała tak dużych ilości energii słonecznej ani nie przedsięwzięła tak radykalnych środków, aby pozbywać się zużytego ciepła. Błyszczące radiatory sterczały w niebo, sięgając aż do cienkiej zewnętrznej warstwy atmosfery, na pogrążonej w nocnym mroku półkuli, a po drugiej, skąpanej w blasku dnia, schowane były pod metalową osłoną. W miarę obrotu planety i przechodzenia dnia w noc, wynurzały się stopniowo, podczas gdy te, które znajdowały się po stronie, gdzie zaczynało dnieć, chowały się pod metalową skorupę. W ten sposób Trantor zachowywał zawsze sztuczną symetrię, która stała

się niemal jego symbolem.

Wtedy, będąc u szczytu swego rozwoju, Trantor rządził Galaktyką.

Rządził kiepsko, ale nikt i nic, żadna planeta, nie mogło rządzić dobrze takim imperium. Było ono zbyt rozległe, nawet dla najbardziej energicznych — władców. A poza tym, czy Trantor mógł rządzić dobrze, skoro w czasach rozkładu Imperium jego koroną frymarczyli przebiegli politycy, skoro nosili ją nieudolni władcy, a biurokracja wytworzyła specyficzną podkulturę przekupstwa?

Ale nawet w najgorszym okresie maszyna ta, raz puszczona w ruch, kręciła się sama. Imperium Galaktyczne nie mogło się obyć bez Trantora.

Imperium kruszyło się, ale tak długo jak Trantor pozostawał Trantorem, istniało jego jądro, a w nim atmosfera potęgi, dumy z liczącej tysiące lat tradycji i… egzaltacji.

Dopiero kiedy nastąpiło to, co było dotąd nie do pomyślenia, kiedy Trantor padł i został złupiony, kiedy zginęły miliony jego mieszkańców, a miliardy zaczęły ginąć z głodu, kiedy jego potężna metalowa skorupa została podziurawiona i porozrywana w wyniku ataku „barbarzyńskiej" floty, dopiero wtedy uznano, że Imperium przestało istnieć. Pozostali przy życiu niedobitkowie dokonali dzieła, i tak, za życia jednego pokolenia, Trantor przeistoczył się z największej planety, jaką kiedykolwiek władał rodzaj ludzki w niezmierzone morze ruin.

Minęło blisko dwieście pięćdziesiąt lat od tamtej chwili, ale Trantor wciąż trwał w pamięci mieszkańców reszty Galaktyki. Był ulubionym miejscem akcji powieści historycznych, ulubionym symbolem przeszłości, a jego nazwa stałym elementem takich powiedzeń, jak „Wszystkie statki lądują na Trantorze", „To tak, jakby szukać kogoś na Trantorze" czy „Tak się ma do tego, jak do Trantora".

Tak było w całej Galaktyce, ale nie na Trantorze. Tam zapomniano o świetnej przeszłości. Metalowy płaszcz okrywający przedtem planetę znikł prawie doszczętnie. Trantor był teraz rzadko zaludnionym światem samowystarczalnych rolników, miejscem, do którego rzadko zawijały statki handlowe, a te, które zawijały, nie były zbyt życzliwie witane. Samo słowo „Trantor", mimo że nadal oficjalnie używane, zniknęło z języka potocznego. Współcześni Trantor — czycy mówiąc o nim, używali po prostu słowa „tutaj", a siebie zwali Tutejszymi.

Quindor Shandess rozmyślał o tym i o innych sprawach, siedząc wygodnie w fotelu w stanie błogiej półdrzemki i pozwalając, by jego mózg snuł sam z siebie przędzę nieskoordynowanych myśli.

Był Pierwszym Mówcą Drugiej Fundacji już od osiemnastu lat i — jeśli jego umysł zachowa sprawność i jeśli dalej będzie w stanie brać

udział w rozgrywkach politycznych — może nim pozostać jeszcze przez następnych dziesięć czy dwanaście.

Był analogiem, lustrzanym odbiciem, burmistrza Terminusa, który sprawował rządy w Pierwszej Fundacji, ale różnił się od niego (od niej) pod każdym względem. Burmistrza Terminusa znała cała Galaktyka, a Pierwsza Fundacja była dla wszystkich światów po prostu „Fundacją", bez żadnych określeń. Pierwszego Mówcę Drugiej Fundacji znali tylko jego towarzysze.

A jednak to właśnie Druga Fundacja, tak za jego czasów, jak i za czasów jego poprzedników, sprawowała faktyczną władzę. Pierwsza Fundacja była potęgą w dziedzinie fizyki, techniki i — broni. Druga Fundacja była potęgą w dziedzinie psychologii, woli i umiejętności wpływania na innych. Gdyby doszło do konfliktu między Fundacjami, to jakie znaczenie miałoby to, iloma statkami i jaką bronią rozporządza Pierwsza Fundacja, skoro Druga mogłaby kierować poczynaniami tych, którzy kierują statkami i dysponują bronią?

Ale jak długo będzie mógł się rozkoszować swą ukrytą siłą?

Był dwudziestym piątym z kolei Pierwszym Mówcą i jego kadencja trwała już nieco dłużej niż przeciętna kadencja. Być może nie powinien już sprawować swej funkcji i dopuścić młodszych kandydatów? Choćby Mówcę Gendibala, najbystrzejszego, mimo że o najkrótszym stażu, uczestnika posiedzeń. Dzisiejszy wieczór mieli spędzić razem i Shandess właśnie go oczekiwał. Czy powinien oczekiwać również tego, by Gendibal zastąpił go pewnego dnia?

Problem w tym, że Shandess nie myślał poważnie o ustąpieniu ze swego stanowiska. Za bardzo je polubił.

Był stary, ale w pełni umysłowo sprawny i doskonale wywiązywał się ze swych obowiązków. Włosy miał już co prawda siwe, ale zawsze miały one jasny kolor, a poza tym strzygł je tylko na cal, tak że kolor niewiele znaczył. Miał wyblakłe niebieskie oczy, a jego ubiór dostosowany był do szarych strojów rolników trantorskich.

Gdyby chciał, Pierwszy Mówca mógłby uchodzić wśród tutejszej ludności za jednego z nich, ale istniała jeszcze jego skrywana moc. Wystarczyłoby, żeby skoncentrował wzrok i myśli na którymś z nich, by ten zrobił wszystko, co mu Shandess nakaże i zapominał zaraz o tym na zawsze.

Mógł to zrobić w każdej chwili, ale korzystał z tego rzadko. Prawie nigdy. Złota zasada Drugiej Fundacji głosiła: „Nie rób nic, dopóki nie musisz, a kiedy musisz działać — zastanów się".

Pierwszy Mówca westchnął cicho. Żyjąc na terenie dawnego uniwersytetu i widząc majestatyczne ruiny pałacu imperatora znajdujące się nieopodal, miał nieraz okazję podziwiać słuszność owej złotej zasady.

W dniach Wielkiej Grabieży złota zasada omal nie została

złamana. Nie można było ocalić Trantora nie poświęcając przy tym Planu Seldona i nie przekreślając nadziei na stworzenie Drugiego Imperium. Uratowanie czterdziestu pięciu miliardów istnień ludzkich byłoby niewątpliwie bardzo szlachetnym uczynkiem, ale nie można ich było uratować nie zachowując jednocześnie jądra Pierwszego Imperium, a to by tylko opóźniło to, co i tak nieuchronnie musiało nastąpić. Ba, doprowadziłoby to po kilku stuleciach do jeszcze większej katastrofy i być może Drugie Imperium nigdy by…

Nim doszło do zagłady, ówcześni Pierwsi Mówcy przez dziesiątki lat łamali sobie głowy nad tym, jak do niej nie dopuścić, ale nie znaleźli żadnego rozwiązania — żadnego sposobu, by ocalić Trantor i równocześnie zapewnić warunki dla utworzenia w przyszłości Drugiego Imperium. Trzeba było wybrać mniejsze zło, więc Trantor zginął.

Członkowie Drugiej Fundacji zdołali tylko — starając się w jak najmniejszym stopniu zdradzić ze swymi umiejętnościami — ocalić od zagłady zespół uniwersytecko — biblioteczny, a i to miano im odtąd za złe. Mimo iż nikt nigdy nie wykazał, że ocalenie tego zespołu doprowadziło w końcu do zawrotnej, choć krótkotrwałej kariery Muła, to zawsze istniało podejrzenie, że między tymi wydarzeniami był jakiś związek. Jak niewiele brakowało, by ten postępek zniszczył wszystko!

Ale po Wielkiej Grabieży i po Mule nastąpił złoty wiek Drugiej Fundacji. Wcześniej, przez dwieście pięćdziesiąt lat po śmierci Seldona, ludzie Drugiej Fundacji kryli się, niczym krety, w podziemiach biblioteki, starając się tylko o to, by schodzić z oczu ludziom Imperium. Żyjąc w rozkładającym się społeczeństwie, które coraz mniej obchodziła Biblioteka Galaktyczna, traktowana jako anachroniczny przeżytek, co najbardziej odpowiadało interesom Drugiej Fundacji, Fundacjoniści byli bibliotekarzami.

Było to podłe życie. Ich całe działanie ograniczało się do ochrony Planu, podczas gdy na końcu Galaktyki Pierwsza Fundacja — bez żadnej pomocy ze strony Drugiej, a praktycznie też i bez wiedzy o niej — walczyła z coraz to potężniejszymi wrogami o przetrwanie.

To właśnie Wielka Grabież przyniosła wolność Drugiej Fundacji. Był to jeszcze jeden (młody Gendibal, który miał odwagę, by to powiedzieć, twierdził, że główny) powód, dla którego nie zrobiono nic, żeby jej zapobiec.

Po Wielkiej Grabieży Imperium przestało istnieć i od tej pory ci z Trantorczyków, którym udało się przeżyć, nigdy nie ośmielili się wejść nieproszeni na terytorium Drugiej Fundacji. Fundacjoniści zadbali o to, by zespół uniwersytecko — biblioteczny, który przetrwał nienaruszony czasy Wielkiej Grabieży, przetrwał w takim samym stanie czasy Wielkiej Odnowy. Uchroniono też od tego ruiny pałacu imperatora. Z całej prawie reszty planety zdarto metal. Ogromne,

niekończące się korytarze zasypano, zniszczono, zakryto i w końcu zapomniano o nich. Wszystko przykryła — ziemia, z wyjątkiem tych miejsc, gdzie metal wciąż odgradzał dawne otwarte przestrzenie.

Można je było uważać za pomniki dawnej wielkości, za grobowiec Imperium, ale dla Trantorczyków — teraz Tutejszych — były to miejsca nawiedzone, opanowane przez duchy, których lepiej było nie niepokoić. Tylko członkowie Drugiej Fundacji stąpali niekiedy po posadzkach starożytnych korytarzy i dotykali ścian z lśniącego tytanu.

A mimo to niewiele brakowało, by wszystko zniweczył Muł.

On sam zjawił się na Trantorze. Co by było, gdyby odkrył prawdziwe oblicze świata, na którym się znalazł? Jego broń fizyczna była potężniejsza niż ta, którą rozporządzała Druga Fundacja, a broń psychiczna prawie tak potężna, jak ich własna. Drugą Fundację powstrzymałby przed działaniem zakaz robienia czegokolwiek oprócz tego, co musiała robić, jak również świadomość, że zwycięstwo nad bezpośrednio zagrażającym w danej chwili wrogiem może grozić nieuchronną klęską w dalszej przyszłości.

Gdyby nie Bayta Darell i jej szybkie działanie… I to też odbyło się bez pomocy Drugiej Fundacji.

A potem nastał złoty wiek, kiedy to ówcześni Pierwsi Mówcy znaleźli jakoś sposób na to, żeby zacząć działać, powstrzymać Muła przed dalszymi podbojami i w końcu zdobyć władzę nad jego umysłem, a dalej na to, żeby powstrzymać samą Pierwszą Fundację, która zaczęła się zanadto interesować istotą i działaniem Drugiej Fundacji. To Preem Palver, dziewiętnasty i największy z Pierwszych Mówców, zdołał zażegnać wszystkie te niebezpieczeństwa i — nie bez bolesnych ofiar — uratować Plan Seldona.

Teraz, od stu dwudziestu lat, Druga Fundacja jest ponownie taka, jak dawniej i kryje się w zakamarkach Trantora. Nie kryje się już przed ludźmi z Imperium, lecz nadal przed Pierwszą Fundacją, która jest niemal tak potężna jak dawne Imperium Galaktyczne, a w dziedzinie techniki nawet potężniejsza niż ono.

Pierwszemu Mówcy zrobiło się ciepło i przyjemnie. Opadły mu powieki i zapadł w ten nieokreślony stan błogiego odprężenia, który nie jest jeszcze snem, ale nie jest już jawą.

Dość już tych ponurych rozważań. Wszystko dobrze się ułoży. Trantor wciąż jeszcze jest stolicą Galaktyki, bo istnieje tu Druga Fundacja, która jest potężniejsza i lepiej panuje nad sytuacją niż jakikolwiek imperator w jego dziejach. Pierwsza Fundacja zostanie okiełznana i tak pokierowana, żeby robiła to, co do niej należy. Choćby miała nie wiadomo jak wspaniałe statki i broń, nie może nic zrobić, dopóki można, w razie potrzeby, sterować myślami jej przywódców.

I w końcu powstanie Drugie Imperium, ale nie będzie ono

podobne do pierwszego. Będzie federacją, której poszczególne części będą miały znaczną autonomię, dzięki czemu nie będzie ono stwarzało pozorów siły przy faktycznej słabości, jak to zawsze ma miejsce w scentralizowanych, autokratycznie rządzonych państwach. Nowe Imperium, składające się z luźniej połączonych części, stanie się strukturą bardziej giętką i elastyczną, bardziej odporną na wewnętrzne napięcia, a poza tym zawsze — zawsze — kierować nim będą z ukrycia mężczyźni i kobiety z Drugiej Fundacji. Trantor pozostanie zatem na zawsze jego stolicą, a czterdzieści tysięcy psychohistoryków będzie lepszą gwarancją jego potęgi niż zamieszkujące go dawniej czterdzieści pięć miliardów…

Pierwszy Mówca nagle się ocknął. Słońce było już nisko. Czyżby mruczał coś do siebie? Czyżby coś głośno mówił?

Jeśli Druga Fundacja musiała dużo wiedzieć i mało mówić, to Mówcy, którzy sprawowali władzę, musieli wiedzieć jeszcze więcej i mówić jeszcze mniej, a Pierwszy Mówca musiał wiedzieć najwięcej i mówić najmniej.

Uśmiechnął się krzywo. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że w Drugiej Fundacji rozbudzi się patriotyzm lokalny — że Drugie Imperium stanie się dla niej środkiem dla ustanowienia w Galaktyce hegemonii Trantora. Seldon ostrzegał przed tym. Przewidział to niebezpieczeństwo na pół tysiąca lat przed jego pojawieniem się.

Drzemka Pierwszego Mówcy nie trwała jednak zbyt długo. Było jeszcze dużo czasu do posłuchania wyznaczonego Gendibalowi.

Shandess wiązał z tym spotkaniem w cztery oczy pewne nadzieje. Gendibal był na tyle młody, żeby mieć świeże spojrzenie na Plan, a przy rym na tyle bystry, by dojrzeć to, co mogło umknąć innym. I było zupełnie możliwe, że Shandess może się czegoś od niego nauczyć.

Nikt się nigdy nie dowie ile Preem Palver — r sam wielki Palver — zawdzięczał rozmowie z młodym, nie mającym jeszcze trzydziestki, Kołem Benjoamem, który przyszedł podzielić się z nim uwagami na temat możliwych sposobów pokierowania Pierwszą Fundacją. Benjoam, który został później uznany za największego teoretyka od czasów Seldona, nigdy nie wspominał o tej rozmowie, ale w końcu został dwudziestym pierwszym Pierwszym Mówcą. Byli tacy, którzy wielkie sukcesy osiągnięte przez Drugą Fundację za rządów Palvera przypisywali raczej Benjoamowi niż Palverowi.

Shandess zastanawiał się, co też takiego może mu powiedzieć Gendibal. Zgodnie z tradycją, rokujący duże nadzieje młodzieńcy przedstawiali w czasie swego pierwszego spotkania z Pierwszym Mówcą swój wniosek już w pierwszym zdaniu. I na pewno nie zabiegali o to cenne pierwsze posłuchanie z błahych powodów, dla jakiegoś drobiazgu, który — gdyby został przez Pierwszego Mówcę poczytany za dowód ich niskiej sprawności intelektualnej — mógł

zniszczyć ich całą przyszłą karierę.

Cztery godziny później Gendibal stanął naprzeciw niego. Nie zdradzał żadnych oznak zdenerwowania. Czekał spokojnie, aż przemówi Pierwszy Mówca.

— Prosiłeś o prywatną audiencję w sprawie wielkiej wagi — rzekł Shandess. — Czy mógłbyś mi krótko streścić o co chodzi?

— Pierwszy Mówco, Plan Seldona nie ma sensu! — powiedział Gendibal tak spokojnie, jakby opowiadał p tym, co właśnie jadł na obiad.

18.

Stor Gendibal nie potrzebował uznania innych, aby znać swoją wartość. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek miał jakieś wątpliwości co do tego, że jest niezwykłym człowiekiem. Został zwerbowany do Drugiej Fundacji, kiedy miał zaledwie dziesięć lat, przez agenta, który w porę zauważył jego nieprzeciętne zdolności.

Dawał sobie świetnie radę z nauką, a psychohistoria pociągała go tak, jak pole grawitacyjne przyciąga statek. Pociągała go, a on nieuchronnie zmierzał ku niej, czytając prace Seldona poświęcone jej podstawom, podczas gdy jego rówieśnicy próbowali dopiero rozwiązywać równania różniczkowe.

Kiedy miał piętnaście lat, rozpoczął studia na Uniwersytecie Galaktycznym (tak brzmiała oficjalna nazwa uniwersytetu trantorskiego). W czasie rozmowy kwalifikacyjnej przed rozpoczęciem studiów na pytanie o to, jakie są jego plany, odpowiedział zdecydowanie: „Zostać Pierwszym Mówcą zanim dojdę do czterdziestki".

Nie przejmował się tym, że nie ma odpowiednich kwalifikacji, żeby ubiegać się o taki urząd. To, że w taki czy inny sposób dojdzie do tej godności, było dla niego zupełnie oczywiste. Chodziło mu tylko o to, żeby uzyskać ją w młodym wieku. Nawet Preem Palver został Pierwszym Mówcą dopiero w czterdziestym drugim roku życia.

Twarz egzaminatora drgnęła, kiedy usłyszał odpowiedź Gendibala, ale bystry młodzieniec znał już nieco psychojęzyk i zorientował się, co znaczy to drgnienie. Wiedział już, że w jego aktach znajdzie się krótka uwaga, iż będzie nim trudno kierować. Był tego tak pewien, jakby egzaminator oświadczył mu to wprost.

No i bardzo dobrze.

Gendibal chciał, żeby było nim trudno kierować.

Teraz miał trzydzieści lat. Za dwa miesiące będzie miał trzydzieści jeden, a już był członkiem Stołu Mówców. Zostało mu najwyżej dziewięć lat, żeby zostać Pierwszym Mówcą i wiedział, że nim zostanie. To spotkanie z obecnym Pierwszym Mówcą miało przełomowe znaczenie, więc przygotowując się dokładnie do tego, by zrobić na nim odpowiednie wrażenie, nie starał się nawet dobierać bardziej eleganckich sformułowań psychojęzyka.

Kiedy dwóch Mówców z Drugiej Fundacji komunikuje się ze sobą, to ich język nie przypomina żadnego innego języka. Jest to w takim samym stopniu język ulotnych gestów jak słów, jest to raczej odczytywanie wzorów zmian fal mózgowych u rozmówców niż cokolwiek innego.

Obcy słyszałby z tej rozmowy niewiele lub zgoła nic, a tymczasem

umysły pozostające ze sobą w bezpośrednim kontakcie wymieniałyby informacje, które w ich literalnej formie, mogłyby być przekazane tylko innemu Mówcy.

Język Mówców posiadał tę przewagę nad innymi, że umożliwiał bardzo szybkie przekazanie nieskończenie dokładnych, subtelnych i niewyrażalnych w inny sposób informacji, ale jednocześnie miał pewną istotną wadę. Otóż było prawie niemożliwe, posługując się nim, ukryć swój prawdziwy sąd o temacie rozmowy.

Gendibal dobrze wiedział, co sądzi o obecnym Pierwszym Mówcy. W jego odczuciu Pierwszy Mówca miał już za sobą szczytowy okres sprawności umysłowej. Pierwszy Mówca nie spodziewał się — w ocenie Gendibala — żadnego kryzysu, nie miał odpowiedniego przygotowania, żeby mu stawić czoła, gdyby się pojawił, ani koniecznej przenikliwości, żeby mu zaradzić. Przy całej swej dobrej woli i życzliwości Shandess wręcz prowokował katastrofę.

Gendibal musiał uważać, aby nic z tego, co naprawdę sądził o Pierwszym Mówcy, nie pojawiło się nie tylko w jego słowach czy gestach, ale nawet w myślach. Za dobrodusznością i życzliwością Pierwszego Mówcy, zupełnie zresztą nieskrywaną i raczej szczerą, Gendibal wyczuwał pewną protekcjonalność i rozbawienie, wzmocnił więc kontrolę wewnętrzną, aby nie ujawnić, że go to oburza, a przynajmniej nie dopuścić do tego, aby jego irytacja stała się zbyt wyraźna.

Pierwszy. Mówca uśmiechnął się i poprawił się w fotelu. Nie położył co prawda nóg na biurku, ale jego poza zawierała akurat tyle spokojnej pewności siebie a jednocześnie życzliwości, by utrzymać Gendibala w niepewności co do efektu, jaki wywarło na Pierwszym Mówcy jego oświadczenie.

Ponieważ Gendibal nie otrzymał zaproszenia, żeby usiąść, miał niewielki wybór gestów i póz dla ukrycia tej niepewności. Było niemożliwe, żeby Pierwszy Mówca nie wiedział o tym.

— A więc Plan Seldona nie ma sensu? — spytał Pierwszy Mówca. — To doprawdy nadzwyczajne stwierdzenie! Czy korzystałeś ostatnio z Pierwszego Radianta?

— Często korzystam z jego informacji, Pierwszy Mówco. To dla mnie zarówno obowiązek, jak i przyjemność.

— A czy przypadkiem nie korzystasz tylko z tych informacji, które dotyczą tego, czym się obecnie zajmujesz? Czy nie korzystasz z danych w mikroskali, studiując tu jakiś zespół równań, tam ciąg poprawek i uzupełnień? To jest oczywiście bardzo ważne, ale zawsze uważałem, że prześledzenie całego wyliczenia jest wspaniałym ćwiczeniem dla umysłu. Studiowanie po kawałku rozwiązań zawartych w Pierwszym Radiancie jest pożyteczne, owszem — ale prześledzenie całości rozumowania jest inspirujące. Prawdę mówiąc,

Mówco, ja sam już od dawna tego nie robiłem. Może zrobilibyśmy to razem?

Gendibal nie śmiał zbyt długo zwlekać z odpowiedzią. Trzeba to było zrobić, i to w sposób lekki i przyjemny, albo można sobie to było w ogóle darować. — To byłby dla mnie prawdziwy zaszczyt i przyjemność, Pierwszy Mówco — odrzekł.

Pierwszy Mówca nacisnął dźwignię umieszczoną z boku biurka. Taka dźwignia znajdowała się w gabinecie każdego Mówcy i ta, która była w gabinecie Gendibala, nie była w niczym gorsza od dźwigni w biurku Pierwszego Mówcy. W sprawach czysto zewnętrznych, a więc nieistotnych, Druga Fundacja była społecznością ludzi absolutnie równych. Jedyną oficjalną prerogatywą Pierwszego Mówcy było to, na co wskazywał jego tytuł, że zawsze zabierał głos pierwszy.

Z naciśnięciem dźwigni pokój pogrążył się w ciemności, ale ciemność ta zaraz zmieniła się w perłową szarość. Obie dłuższe ściany pokoju przybrały lekko kremowy kolor, potem jeszcze bardziej pojaśniały i stały się zupełnie białe, aż w końcu pojawiły się na nich zgrabne rządki równań, ale tak małe, że z trudnością można je było odczytać.

— Jeśli nie masz nic przeciw temu — powiedział Pierwszy Mówca tonem, który wskazywał, że jest to czysta grzeczność, bo i tak żaden sprzeciw nie zostanie uwzględniony — to zmniejszę powiększenie, żebyśmy mogli objąć spojrzeniem jak najwięcej.

Rządki równań wyglądały teraz jak cienkie, o grubości zaledwie włosa, czarne linie, wijące się niczym meandry na białoperłowej powierzchni ścian.

Pierwszy Mówca położył rękę na klawiszach małego pulpitu wbudowanego w poręcz fotela. — Cofniemy się do początku, do czasów Hariego Seldona i nastawimy aparat na powolne przesuwanie. Nastawimy przesłonę tak, żeby widzieć na raz tylko jedną dekadę. Będziemy czuć bieg historii, nie rozpraszając uwagi na śledzenie szczegółów. Ciekaw jestem, czy robiłeś to już kiedy.

— W dokładnie taki sposób nigdy, Pierwszy Mówco.

— A powinieneś. To cudowne uczucie! Zauważ jak rzadkie są odgałęzienia tych linii na początku. W kilku pierwszych dziesięcioleciach istniało tylko bardzo niewielkie prawdopodobieństwo alternatywnych dróg biegu wydarzeń. Jednak w miarę upływu czasu linia główna rośnie wykładnikowo. Gdyby nie fakt, że jak tylko wypadki zaczynają toczyć się wzdłuż którejś z tych odnóg, to automatycznie przestają się liczyć i znikają inne możliwości, to zorientowanie się w tej plątaninie, a co dopiero rozsupłanie jej, byłoby absolutnie niemożliwe. Oczywiście, zajmując się przyszłością, musimy być ostrożni w usuwaniu tych linii, które — naszym zdaniem — przestają się liczyć.

— Wiem o tym, Pierwszy Mówco — w odpowiedzi Gendibala dał się wyczuć ślad zniecierpliwienia, którego nie potrafił ukryć.

Pierwszy Mówca nie zareagował na to. — Zwróć uwagę na te wijące się ciągi czerwonych symboli. Jest w nich jakaś prawidłowość. Sądząc z pozorów, ich rozmieszczenie powinno być przypadkowe, jako — że każdy Mówca zdobywa swą pozycję dzięki wprowadzeniu poprawki czy rozwinięciu jakiegoś punktu pierwotnego Planu Seldona. Mogłoby się wydawać, że nie ma sposobu, żeby przewidzieć, w którym miejscu znajdzie się taka poprawka albo co zainteresuje jakiegoś Mówcę czy co będzie odpowiadało jego szczególnym zamiłowaniem lub zdolnościom, a jednak już od dawna podejrzewam, że to dodawanie przez Mówców czerwonych usprawnień do czarnego oryginału Seldona odbywa się zgodnie z jakimś ścisłym prawem, które jest zależne od czasu i chyba od niczego więcej.

Gendibal patrzył jak mijają lata i jak czarne i czerwone symbole układają się w niemal hipnotyzujący wzór. Ten wzór sam w sobie oczywiście nic nie znaczył. To, co się liczyło, to były symbole, z których wzór ten był utworzony.

To tu, to tam pojawiał się jasnobłękitny sznurek równań, pęczniał, rozrastał się, wypuszczał odnogi, aby wreszcie skurczyć się, zapaść i rozpłynąć w morzu czerni i czerwieni.

— Błękit dewiacji — powiedział Pierwszy Mówca i uczucie niesmaku, rodzące się na widok tego błękitu w każdym z nich, zalegało między nimi.

— Pojawia się coraz częściej, aż w końcu dojdziemy do stulecia Dewiacji.

No i doszli. Można było dokładnie stwierdzić w którym momencie ów zadziwiający fenomen, Muł, rozpoczął swą niszczycielską, rozsadzającą Galaktykę działalność, gdyż obraz wypełniły nagle rozrastające się i rozpadające na liczne odnogi ciągi niebieskich symboli, a było ich tyle, że nie wszystkie mogły być doprowadzone do końca — aż w końcu cały pokój zdawał się pogrążony w błękitnej poświacie, tak gęstniejące rządki niebieskich równań zanieczyściły (było to jedyne odpowiednie słowo) go swym blaskiem.

W pewnym momencie zanieczyszczenie to osiągnęło szczyt, a potem błękit zaczął stopniowo zanikać, niebieskie linie stawały się coraz cieńsze, aż wreszcie — po dobrym stuleciu — rozpłynęły się bez śladu. Kiedy ostatecznie znikły i Plan powrócił do czerni i czerwieni, było jasne, że przyłożył do tego rękę Preem Palver.

Dalej, dalej…

— To czasy obecne — rzekł z widocznym zadowoleniem Pierwszy Mówca.

Dalej, dalej… i w końcu ukazał się prawdziwy węzeł ciasno splecionych czarnych rzędów znaków z czerwoną kropką pośrodku.

— To moment ustanowienia Drugiego Imperium — powiedział Pierwszy Mówca.

Wyłączył Pierwszy Radiant i pokój zalało normalne światło.

— Było to wielkie przeżycie — rzekł Gendibal.

— Tak — uśmiechnął się Pierwszy Mówca — i jesteś na tyle ostrożny, żeby nie nazwać tego przeżycia bardziej precyzyjnie, a przynajmniej żeby starać się nie móc go określić. Ale to nieważne. Pozwól, że teraz przedstawię swoje uwagi.

Otóż, po pierwsze, zauważ, że poczynając od czasów Preema Palvera, nic ma w Planie prawie zupełnie błękitu Dewiacji. Weź pod uwagę, że nie istnieje żadna licząca się możliwość wystąpienia dewiacji powyżej piątek klasy w najbliższych pięciuset latach. Zauważ też, że zaczęliśmy stosować najnowsze zdobycze psychohistorii do okresu po ustanowieniu Drugiego Imperium. Jak na pewno wiesz, Hari Seldon, który niewątpliwie był geniuszem, nie był jednak, bo nie mógł być, wszechwiedzącym. Udoskonaliliśmy jego naukę. Wiemy dziś o psychohistorii więcej niż on.

Seldon zakończył swoje obliczenia na Drugim Imperium, a my prowadzimy je dalej. Mogę tu powiedzieć bez niczyjej obrazy, że nowy plan, Hiperplan, który obejmuje okres już po ustanowieniu Drugiego Imperium, jest w dużej części moim dziełem i jemu właśnie zawdzięczam swoje obecne stanowisko.

Mówię ci o tym wszystkim po to, żeby zaoszczędzić ci zbytniego gadania. Jak w tej sytuacji możesz twierdzić, że Plan Seldona nie ma sensu? Plan jest bezbłędny. Już sam fakt, że przetrwał stulecie Dewiacji jest — przy całym szacunku dla geniusza Palvera — tego niezbitym dowodem. Gdzie jest ten błąd, młodzieńcze, który — twoim zdaniem — czyni cały Plan bezsensownym?

Gendibal stał sztywno wyprostowany. — Masz rację, Pierwszy Mówco. Plan Seldona nie ma słabych punktów.

— A więc wycofujesz swoje oskarżenie?

— Nie, Pierwszy Mówco. Właśnie brak błędów jest jego błędem. Ta bezbłędność jest katastrofalna.

19.

Pierwszy Mówca patrzył na Gendibala ze spokojem. Nauczył się kontrolować swoje reakcje i bawiła go niezaradność Gendibala w tym względzie. Podczas każdej wymiany zdań młody człowiek starał się jak mógł ukryć swe emocje, ale za każdym razem ujawniał je w całej pełni.

Shandess przyglądał mu się chłodnym okiem. Gendibal był chudym mężczyzną, o wzroście nieco powyżej średniego, cienkich ustach i kościstych, niespokojnych rękach. Miał ciemne, poważne oczy, — w których zdawał się tlić ogień.

Pierwszy Mówca wiedział, że będzie ciężko wyperswadować mu jego poglądy.

— Lubisz paradoksy, Mówco.

— To brzmi jak paradoks, Pierwszy Mówco, bo wiele z tego, co jest zawarte w Planie Seldona, przyjmujemy za niepodważalny pewnik i za coś, czego nie sposób kwestionować.

— Co zatem kwestionujesz?

— Samą podstawę Planu. Wszyscy wiemy, że Plan przestanie działać, jeśli o jego istocie, a nawet tylko o istnieniu, dowie się zbyt wielu z tych, których zachowania ma przewidywać.

— Wydaje mi się, że Hari Seldon zdawał sobie z tego sprawę. Wydaje mi się nawet, że uczynił z tego jeden z dwóch podstawowych aksjomatów psychohistorii.

— Ale nie przewidział pojawienia się Muła, Pierwszy Mówco, a zatem nie mógł też przewidzieć do jakiego stopnia Druga Fundacja stanie się obsesją ludzi z Pierwszej Fundacji, kiedy Muł uświadomi im jej znaczenie.

— Hari Seldon… — zaczął Pierwszy Mówca, ale w tej chwili wzdrygnął się i zamilkł.

Wszyscy członkowie Drugiej Fundacji wiedzieli jak wyglądał Hari Seldon. Wszędzie pełno było jego dwu — i trójwymiarowych podobizn, fotografii i hologramów, rzeźb i płaskorzeźb, przedstawiających go w postawie siedzącej i stojącej. Wszystkie te podobizny przedstawiały go takim, jakim był w ostatnich latach swego życia, a więc jako starszego dobrodusznego pana, o mądrej, pokrytej zmarszczkami twarzy, która była niejako kwintesencją ludzkiego geniuszu.

Ale oto Pierwszy Mówca przypomniał sobie fotografię, która miała przedstawiać Seldona w latach młodości. Fotografia ta nie była znana ani uznawana, jako że samo zestawienie „młody Seldon” brzmiało niemal jak sprzeczność. Ale Shandess widział ją i teraz błysnęła mu nagle myśl, że Stor Gendibal przypomina do złudzenia

młodego Seldona.

Bzdura! Było to przesądne uczucie, z rodzaju tych, które od czasu do czasu nawiedzają każdego, nawet stuprocentowych racjonalistów. Po prostu uległ złudzeniu. Gdyby miał przed sobą tę fotografię, to na pewno z miejsca by spostrzegł, że nie istnieje między Gendibalem a Seldonem żadne podobieństwo. Ale dlaczego ta głupia myśl przyszła mu do głowy akurat teraz?

Otrząsnął się. Było to chwilowe zaburzenie — przelotna utrata kontroli nad myślami, zbyt krótka, aby mógł ją spostrzec ktokolwiek poza Mówcą. Gendibal może to sobie interpretować, jak mu się podoba.

— Hari Seldon — powtórzył, tym razem stanowczo — bardzo dobrze wiedział, że istnieje nieskończona liczba możliwości, których nie może przewidzieć i właśnie dlatego powołał do istnienia Drugą Fundację. My też nie przewidzieliśmy pojawienia się Muła, ale poznaliśmy się na nim od razu, jak tylko wziął się za nas, i powstrzymaliśmy go. Nie przewidzieliśmy, że w następstwie działalności Muła Pierwsza Fundacja dostanie obsesji na naszym punkcie, ale zorientowaliśmy się w czym rzecz, kiedy się to zaczęło i położyliśmy temu kres. Czy możesz nam tu coś zarzucić?

— Po pierwsze — rzekł Gendibal — to obsesyjne zainteresowanie Pierwszej Fundacji nami bynajmniej nie wygasło.

Gendibal nie odnosił się już do Pierwszego Mówcy z taką pokorą, jak poprzednio. Dostrzegł w jego glosie ślad tego zaburzenia (tak ocenił to Shandess) i zinterpretował to sobie jako niepewność. Trzeba to było naprawić.

— Uprzedzę to, co chcesz powiedzieć — rzekł energicznie Pierwszy Mówca. — Znajdą się w Pierwszej Fundacji ludzie, którzy — porównując ogromne trudności, z jakimi musieli się mierzyć w czasie pierwszych czterech stuleci jej istnienia ze spokojną egzystencją, którą wiodą od dwunastu dziesiątków lat — dojdą do wniosku, że byłoby to niemożliwe, gdyby Druga Fundacja nie dbała o realizację Planu i — oczywiście — będą mieli rację. Pomyślą, że Druga Fundacja nie została jednak zniszczona i oczywiście będą mieli rację. Prawdę mówiąc, otrzymaliśmy doniesienia, że na stołecznym świecie Pierwszej Fundacji, na Terminusie, jest pewien młody człowiek, członek ich rządu, który jest całkowicie przekonany o tym… Zapomniałem, jak się nazywa…

— Golan Trevize — powiedział cicho Gendibal. — To ja pierwszy zwróciłem uwagę na te doniesienia i ja skierowałem tę sprawę do pana biura, Pierwszy Mówco.

— Ach tak? — rzekł Shandess z przesadną uprzejmością. — A jak to się stało, że skupiłeś na nim swoją uwagę?

— Jeden z naszych agentów na Terminusie przysłał nudny raport

o nowo wybranych członkach ich Rady — zwykły formalny raport, jakie napływają stale i są lekceważone przez Mówców. Ten akurat zainteresował mnie z racji opisu jednego z.nowych radnych, Golana Trevize. Sądząc z tego opisu, jest to niezwykle pewny siebie i wojowniczy osobnik.

— Rozpoznałeś w nim pokrewną duszę, tak?

— Nic podobnego — odparł sztywno Gendibal. — Wydaje się, że jest lekkomyślny i lubi robić absurdalne rzeczy, a ten opis nie pasuje do mnie. W każdym razie przeprowadziłem dokładne badania. Szybko się zorientowałem, że byłby dla nas cennym nabytkiem, gdyby został zwerbowany w młodym wieku.

— Być może — powiedział Pierwszy Mówca — ale wiesz, że nie werbujemy na Terminusie.

— Wiem o tym dobrze. Tak czy inaczej, nawet bez naszego szkolenia ma niezwykłą intuicję. Oczywiście jest ona całkowicie niezorganizowana. Nie byłem więc szczególnie zaskoczony, że odkrył fakt dalszego istnienia Drugiej Fundacji. Uważałem, że jest to na tyle ważne, żeby skierować w rej sprawie notatkę do pana biura.

— Z twojego zachowania wnioskuję, że jest w tej sprawie coś nowego.

— Odkrywszy, dzięki swej wyjątkowej intuicji, fakt naszego istnienia, postąpił potem z tym odkryciem w charakterystyczny dla siebie, nierozsądny sposób i w rezultacie został skazany na wygnanie.

Pierwszy Mówca uniósł brwi. — Nagle przerwałeś. Chcesz, żebym docenił wagę tej sprawy i zinterpretował ją. Pozwól, że nie będę korzystał z komputera i dokonam w myśli przybliżonych obliczeń według równań Seldona. Zgaduję, że bystra burmistrz Terminusa, która może sama podejrzewać, że Druga Fundacja nadal istnieje, woli się pozbyć niezdyscypLionowanego osobnika, który mógłby wykrzyczeć swoje rewelacje na całą Galaktykę i tym samym ostrzec Drugą Fundację o grożącym jej niebezpieczeństwie. O ile dobrze zrozumiałem, Żelazna Branno zdecydowała, że Terminus będzie bezpieczniejszy bez Trevizego.

— Mogła go uwięzić albo zgładzić po cichu.

— Jak dobrze wiesz, nie można za bardzo polegać na równaniach w odniesieniu do pojedynczych osób. Stosują się one tylko do dużych skupisk ludzkich. Stąd zachowanie się poszczególnych jednostek jest nieprzewidywalne i można przypuścić, że burmistrz jest osobą, która uważa, że uwięzienie, nie mówiąc już o zabójstwie, jest okrucieństwem.

Gendibal przez chwilę nic nie mówił. Było to wymowne milczenie. Milczał tak długo, aby Pierwszy Mówca poczuł się niepewnie, ale nie na tyle długo, by wywołać jego gniew.

Obliczył, że wystarczy sekunda. Po jej upływie powiedział:

— Moja interpretacja jest inna. Uważam, że Trevize jest teraz ostrzem największego niebezpieczeństwa, jakie kiedykolwiek zawisło nad Drugą Fundacją, że jest dla nas nawet groźniejszy niż Muł.

20.

Gendibal był zadowolony. Siła tego stwierdzenia podziałała. Pierwszy Mówca nic spodziewał się takiego obrotu sprawy i został wytrącony z równowagi. Od tej chwili inicjatywa należała do Gendibala. Jeśli nawet nie był tego zupełnie pewien, to następna wypowiedź Pierwszego Mówcy rozproszyła jego wątpliwości.

— Czy to ma jakiś związek z twoim twierdzeniem, że Plan Seldona nie ma sensu?

Gendibal zagrał ostro, udał całkowitą pewność siebie i przyjął mentorską pozę, starając się nie dopuścić do tego, żeby Pierwszy Mówca się pozbierał. Powiedział:

— Pierwszy Mówco, opinia, że to Preem Palver uratował Plan po strasznych zniekształceniach, do których doszło w wieku Dewiacji, i że skierował Galaktykę ponownie na właściwe tory, stała się dla nas swego rodzaju artykułem wiary. Jeśli przestudiuje pan dokładnie to, co podaje Pierwszy Radiant, to przekona się pan, że dewiacje zanikają dopiero dwadzieścia lat po śmierci Palvera i że potem doszło też do niejednego zniekształcenia. Ich usunięcie można oczywiście przypisać Pierwszym Mówcom, którzy nastąpili po Palverze, ale to nieprawdopodobne.

— Nieprawdopodobne? Z pewnością nikt z nas nie był nowym Palverem, ale dlaczego miałoby to być nieprawdopodobne?

— Jeśli pozwolisz, Pierwszy Mówco, to zaraz tego dowiodę. Posługując się matematyką psychohistorii, jestem w stanie niezbicie wykazać, że prawdopodobieństwo całkowitego usunięcia dewiacji było stanowczo zbyt małe, aby mogła tego w jakikolwiek sposób dokonać Druga Fundacja. Zajęłoby mi to pół godziny, ale jeśli nie masz czasu czy ochoty na uważne prześledzenie moich wywodów, to nie musisz mnie słuchać. Mogę zamiast tego zażądać zwołania walnego zgromadzenia Mówców i przedstawić to na tym zebraniu. Oznaczałoby to jednak stratę czasu i niepotrzebne spory.

— Tak, a dla mnie utratę twarzy. Przedstaw mi to teraz. Ale ostrzegam cię — Pierwszy Mówca czynił heroiczne wysiłki, aby dojść do siebie. — Jeśli to, co mi przedstawisz, okaże się bezwartościowe, nie zapomnę tego.

— Jeśli okaże się bezwartościowe — powiedział Gendibal z takim spokojem i godnością, że zrobiło to wrażenie na Pierwszym Mówcy — to z miejsca złożę rezygnację.

Zajęło to jednak znacznie więcej czasu niż pół godziny, gdyż Pierwszy Mówca kwestionował prawidłowość obliczeń z bliską furii zaciekłością.

Przeciągnęłoby się to jeszcze bardziej, gdyby nie wprawa, z jaką

Gendibal korzystał z mikroradianta. Urządzenie to, dzięki któremu można było szybko odnaleźć i przedstawić holograficznie dowolną część niezmiernie obszernego Planu bez potrzeby korzystania z pustej ściany i aparatury wielkości biurka — weszło w użycie dopiero dekadę wcześniej i Pierwszy Mówca nigdy nie posiadł sztuki posługiwania się nim. Gendibal wiedział o tym, a Pierwszy Mówca zdawał sobie sprawę z tego, że Gendibal wie.

Gendibal zawiesił mikroradiant na kciuku prawej dłoni, a pozostałymi palcami naciskał odpowiednie guziki, jak gdyby grał na jakimś instrumencie. (Prawdę powiedziawszy, napisał nawet swego czasu niewielki artykuł na temat analogii między operowaniem mikroradiantem a grą na instrumencie klawiszowym.)

Równania, które Gendibal ukazywał (i odnajdywał z zadziwiającą łatwością), poruszały się niczym posłuszne jego rozkazom węże, to wysuwając się w przód, to cofając dla zilustrowania odpowiednich partii jego teorii. W miarę potrzeby pojawiały się to definicje, to aksjomaty, to znów wykresy, i to zarówno dwu — jak i trójwymiarowe (nie mówiąc już o wielowymiarowych zależnościach).

Komentarz Gendibala był jasny i przekonujący, więc Pierwszy Mówca dał za wygraną. Przyznał słuszność Gendibalowi i powiedział: . — Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział analizę tego rodzaju. Czyje to dzieło?

— Moje własne, Pierwszy Mówco. Opublikowałem podstawy matematyki, którą tu zastosowałem.

— To bardzo pomysłowe, Mówco Gendibalu. Coś takiego może ci zapewnić godność Pierwszego Mówcy, jeśli umrę… lub ustąpię ze stanowiska.

— Wcale o tym nie myślałem, Pierwszy Mówco… ale ponieważ nie sądzę, żebyś mi uwierzył, odwołuję to oświadczenie. A więc tak, myślałem o tym i mam nadzieję, że zostanę Pierwszym Mówcą, bo ten, kto obejmie po tobie to stanowisko, będzie musiał zrobić coś, co tylko ja wiem, jak zrobić.

— Tak — rzekł Pierwszy Mówca — fałszywa skromność może być bardzo niebezpieczna. Ale co będzie musiał zrobić? Być może obecny Pierwszy Mówca będzie w stanie tego dokonać. Chociaż jestem za stary, żeby wpaść na to, na co ty wpadłeś, to nie jestem taki stary, żeby nie potrafić zrobić tego, co mi wskażesz.

To, że Pierwszy Mówca zdawał się na niego, pochlebiło Gendibalowi, więc poczuł, raczej nieoczekiwanie, że serce mu mięknie, choć w tej samej chwili uświadomił sobie, że o to właśnie chodziło Pierwszemu Mówcy.

— Dziękuję ci. Pierwszy Mówco, bo będę bardzo potrzebował twojej pomocy. Nie sądzę, żebym zdołał przekonać zgromadzenie bez twego światłego przewodnictwa. (Pochlebstwo za pochlebstwo.) A

więc przypuszczam, że moje wywody przekonały cię, iż było zupełnie niemożliwe, żeby nasze zabiegi zlikwidowały straszliwe skutki stulecia Dewiacji albo zapobiegły występowaniu zniekształceń po tym okresie.

— Jest to dla mnie oczywiste — odparł Pierwszy Mówca. — Jeśli w twojej matematyce nie ma błędu, to po to, by Plan został uratowany, co faktycznie się stało, i działał tak znakomicie, jak wydaje się działać, musielibyśmy być w stanie obliczyć i przewidzieć reakcje niewielkich grup ludzi, nawet jednostek, i to z dość znaczną pewnością.

— Dokładnie tak. A ponieważ matematyka, na której opiera się psychohistoria, nie pozwala na dokonanie takich obliczeń, dewiacje nie tylko by nie znikły, ale nawet powstałyby nowe. Rozumiesz teraz, Pierwszy Mówco, co miałem na myśli mówiąc, że błędem Planu Seldona jest właśnie jego bezbłędność.

— A zatem — powiedział Pierwszy Mówca — albo Plan Seldona zawiera od początku momenty prowadzące do jego zniekształceń i dewiacji, albo w twojej matematyce jest jakiś błąd. Ponieważ muszę przyznać, że Plan Seldona przez całe stulecie, a nawet dłużej, nie wykazywał żadnej tendencji do dewiacji, musi być jakiś błąd w twoich obliczeniach, z tym, że ja nie wykryłem w nich żadnych pomyłek ani fałszywych kroków.

— Źle czynisz, Pierwszy Mówco — rzekł Gendibal — wykluczając trzecią możliwość. Jest przecież możliwe, że Plan Seldona nie zawiera niczego, co prowadziłoby do dewiacji, a mimo to moje obliczenia wskazujące, że to jest niemożliwe, są też bezbłędne.

— Nie widzę trzeciej możliwości.

— Przypuśćmy, że Plan Seldona jest regulowany i uzupełniany za pomocą jakiejś metody psychohistorycznej, która jest tak rozwinięta, że pozwala przewidywać zachowania małych grup ludzi, a nawet być może poszczególnych jednostek, za pomocą metody, której my, Druga Fundacja, nie znamy. Wtedy i tylko wtedy moje obliczenia wykazywałyby, że Plan Seldona faktycznie nie ulega żadnym zniekształceniom!

Przez chwilę (według pojęć Drugiej Fundacji) Pierwszy Mówca nic nie mówił. Potem powiedział:

— Nie ma takiej, na tyle zaawansowanej metody, która byłaby znana mnie czy, sądząc z twego przedstawienia tej sprawy, tobie. Jeśli nie znamy jej ani ty, ani ja, to prawdopodobieństwo, że jakiś inny Mówca, czy grupa Mówców, stworzył taką mikropsycho — historię — jeśli można ją tak nazwać — i utrzymał to w tajemnicy przed resztą, jest nieskończenie małe. Chyba się ze mną zgodzisz?

— Zgadzam się.

— A więc albo wykonana przez ciebie analiza jest błędna, albo mikropsychohistoria jest narzędziem w rękach jakiejś grupy ludzi

spoza Drugiej Fundacji.

— No właśnie, Pierwszy Mówco, ta druga możliwość musi być prawdziwa.

— Możesz udowodnić prawdziwość tego twierdzenia?

— W sposób formalny nie mogę, ale zastanów się… Czy nie było do tej pory nikogo, kto potrafił wpłynąć na Plan Seldona, zajmując się jednostkami?

— Przypuszczam, że masz na myśli Muła.

— Oczywiście.

— Muł potrafił tylko niszczyć. Problem polega na tym, że Plan Seldona działa zbyt dobrze, że jest o wiele bliższy perfekcji, niż dopuszczają to twoje obliczenia. Trzeba by tu jakiegoś anty — Muła, kogoś, kto potrafiłby, tak jak Muł, zmienić Plan, ale kto działałby z zupełnie innych pobudek, kto zmieniałby nie po to, żeby niszczyć, ale po to, żeby poprawiać.

— Właśnie, Pierwszy Mówco. Żałuję, że sam nie pomyślałem o takim sformułowaniu. Kim był Muł? Mutantem. Ale skąd pochodził? Skąd się wziął? Nikt tego nie wie. A może jest ich więcej?

— Z pewnością nie. Jedyne, co dobrze wiemy o nim, to to, że był bezpłodny. Stąd jego przydomek. A może uważasz, że to bajka?

— Nie miałem na myśli jego potomków. Czy Muł nie mógł być anormalnym członkiem jakiejś większej grupy ludzi o takich samych zdolnościach, którzy — dla jakichś ważnych dla nich powodów — nie tylko nie niszczą — Planu Seldona, ale nawet go chronią?

— A dlaczego, na Galaktykę, mieliby go chronić? — A dlaczego my go chronimy? Chcemy stworzyć Drugie Imperium, w którym my, a raczej nasi intelektualni potomkowie, będą decydentami. Jeśli jakaś inna grupa chroni Plan bardziej skutecznie niż my, to na pewno nie po to, żeby później zostawić nam decydowanie o losach Drugiego Imperium. To oni będą decydowali, ale jaki będą mieli w tym cel? Czy nie powinniśmy postarać się dowiedzieć do jakiego Drugiego Imperium nas prowadzą?

— A jak, twoim zdaniem, mamy się o tym dowiedzieć?

— Dlaczego burmistrz Terminusa skazała na wygnanie Golana Trevizego? Robiąc to, pozwoliła potencjalnie niebezpiecznej osobie poruszać się swobodnie po całej Galaktyce. Nie wierzę, że zrobiła to z powodów humanitarnych. Władcy Pierwszej Fundacji zawsze postępowali racjonalnie, to znaczy, nie dbając o zasady moralne. Jeden z ich bohaterów, Salvor Hardin, nawet zalecał, żeby postępować wbrew zasadom moralnym. Nie, myślę, że burmistrz Terminusa działała pod wpływem agentów tych anty — Mułów, używając twojego, Pierwszy Mówco, sformułowania. Myślę, że Trevize został przez nich zwerbowany i że jest on grotem niebezpieczeństwa, które zawisło nad nami. Śmiertelnego niebezpieczeństwa.

— Na Seldona, możesz mieć rację! — rzekł Pierwszy Mówca. — Ale jak przekonamy o tym walne zgromadzenie?

— Nie doceniasz swych możliwości, Pierwszy Mówco.

Rozdział VI
ZIEMIA

21.

Trevize był zgrzany i zdenerwowany. Siedział z Peloratem w niewielkim pomieszczeniu służącym im za jadalnię. Właśnie skończyli jeść obiad.

— Jesteśmy w przestrzeni dopiero od dwóch dni, a już zdążyłem się przyzwyczaić — powiedział Pelorat. — Czuję się świetnie, chociaż brak mi świeżego powietrza, przyrody i tak dalej. To dziwne! Jakoś nigdy nie zauważałem tych rzeczy, kiedy miałem je wokół siebie. Niemniej jednak, dzięki mojemu dyskowi i temu twojemu wspaniałemu komputerowi, mam tu całą swoją bibliotekę, a w każdym razie to, co mi potrzebne. I w najmniejszym stopniu nie przejmuję się teraz tym, że jestem w przestrzeni. Zadziwiające!

Trevize mruknął coś wymijająco. Wzrok miał nieobecny. Najwyraźniej był czymś bardzo pochłonięty.

— Nie chcę się narzucać, Golan — rzekł cicho Pelorat — ale wydaje mi się, że nie słuchasz, co do ciebie mówię. Wiem, że nie jestem szczególnie ciekawą osobą — zawsze byłem trochę nudziarzem — ale zdaje się, że teraz nie o to chodzi. Martwisz się czymś… Marny kłopoty? Możesz mi śmiało powiedzieć. Nie sądzę, żebym mógł ci wiele pomóc, ale nie obawiaj się, drogi przyjacielu, nie wpadnę w panikę.

— Kłopoty? — Trevize zmarszczył czoło. Wyglądało na to, że przychodzi do siebie.

— Ze statkiem. To nowy model, więc myślę, że coś może być nie w porządku — Pelorat uśmiechnął się niepewnie.

Trevize energicznie pokręcił głową. — Co za idiota ze mnie, Janov, że tak długo trzymam, cię w niepewności! Ze statkiem wszystko jest w porządku. Wszystko świetnie działa. Chodzi o to, że zastanawiam się, gdzie tu może być schowany nadajnik nadprzestrzenny.

— Ach, tak, rozumiem… To znaczy, nie rozumiem. Co to takiego — nadajnik nadprzestrzenny?

— Hmm, zaraz ci to wyjaśnię, Janov. Jestem w kontakcie z Terminusem, a przynajmniej mogę się z nim w każdej chwili skontaktować, i tak samo Terminus ze mną. Znają położenie statku, bo można je obliczyć na podstawie obserwacji jego trajektorii. Zresztą, nawet gdyby go nie znali, to mogą nas w każdej chwili zlokalizować, przeszukując przestrzeń za pomocą detektora masy, który wykaże obecność statku, ewentualnie meteorytu w danym miejscu. Odkrywszy jakiś obiekt, mogę następnie ustalić jego wzór energetyczny, dzięki czemu można nie tylko odróżnić statek od meteoroidu, ale zidentyfikować każdy statek, jako że nie ma dwóch statków, które

wykorzystywałyby energię dokładnie w ten sam sposób. Nasz wzór jest charakterystyczny tylko dla naszego statku i w pewnym sensie pozostaje zawsze taki sam, choćbyśmy włączali i wyłączali nie wiem jakie przyrządy i urządzenia. Oczywiście statek może być nieznany, ale jeśli jego wzór energetyczny został — tak jak wzór naszego statku — wprowadzony do rejestrów na Terminusie, to zostanie on zidentyfikowany jak tylko zostanie wykryty.

— Wydaje mi się, Golan, że rozwój cywilizacji zmierza w kierunku coraz większego ograniczania prawa jednostki do intymności — powiedział Pelorat.

— Być może masz rację. Jednak wcześniej czy później będziemy musieli wejść w nadprzestrzeń, bo inaczej przez resztę życia będziemy skazani na przebywanie w odległości parseka czy dwóch od Terminusa. W takim przypadku moglibyśmy sobie tylko pomarzyć o podróżach międzygwiezdnych. Natomiast przechodząc przez nadprzestrzeń, doświadczamy nieciągłości zwykłej przestrzeni. Przechodzimy stąd dotąd — co znaczy czasami setki parseków — w ułamku odczuwanego przez nas czasu. Odnajdujemy się nagle daleko od miejsca, w którym przed chwilą się znajdowaliśmy, a że można tak się poruszać w dowolnym kierunku, nie sposób przewidzieć, gdzie ponownie wynurzy się statek, więc praktycznie nie można go już śledzić.

— Rozumiem… Tak…

— Chyba że na pokładzie umieszczono nadajnik nadprzestrzenny. Nadajnik przesyła przez nadprzestrzeń sygnał, sygnał charakterystyczny dla danego statku, i w ten sposób władze na Terminusie wiedziałyby cały czas, gdzie się znajdujemy. Jak widzisz, potwierdza to twoje przypuszczenie. Jeśli jest tu gdzieś przekaźnik nadprzestrzenny, to nie ma w całej Galaktyce miejsca, gdzie moglibyśmy się skryć i żadna kombinacja skoków przez nadprzestrzeń nie pozwoli nam umknąć przed ich detektorami.

— Ale czy nie chcemy, żeby Fundacja nas ochraniała, Golan? — spytał cicho Pelorat.

— Owszem, Janov, ale tylko wtedy, gdy o to poprosimy. Powiedziałeś, że postęp cywilizacji oznacza coraz większe ograniczenie prawa jednostki do intymności… A ja nie chcę być aż taki postępowy. Chcę mieć swobodę poruszania się i nie chcę być śledzony, dopóki sam o to nie poproszę. Tak więc czułbym się lepiej, znacznie lepiej, gdyby na pokładzie naszego statku nie było nadajnika nadprzestrzennego.

— A znalazłeś go, Golan?

— Nie, nie znalazłem. Gdybym znalazł, to może udałoby mi się jakoś go wyłączyć.

— A zorientowałbyś się, że to właśnie nadajnik, gdybyś go

zobaczył?

— To właśnie jedna z trudności. Może nie potrafiłbym go rozpoznać. Mam ogólne pojęcie o tym, jak wygląda nadajnik nadprzestrzenny i znam sposoby sprawdzania podejrzanych przedmiotów, ale to jest statek najnowszego typu, przeznaczony do specjalnych zadań. Zupełnie możliwe, że został wbudowany w konstrukcję statku, tak by nic nie zdradzało, że jest tutaj.

Z drugiej strony, może nie ma tu żadnego nadajnika nadprzestrzennego i dlatego nie udało mi się go znaleźć. Boję się przyjmować tę drugą ewentualność i nie myślę robić skoku dopóki nie będę wiedział na pewno, czy tu jest, czy nie.

Pelorat wyglądał, jakby doznał olśnienia. — To dlatego dryfujemy w przestrzeni! Zastanawiałem się, czemu dotąd nie skoczyliśmy. Słyszałem o skokach, rozumiesz, i trochę się denerwowałem, to znaczy… zastanawiałem się, dlaczego nie każesz mi zapiąć pasów albo wziąć jakąś pigułkę czy coś takiego.

Trevize zdobył się na uśmiech. — Nie masz się czego obawiać. Nie żyjemy w dawnych czasach. Na takim statku jak ten zostawia się to wszystko komputerowi. Dajesz instrukcje, a on już robi resztę. Nie zorientujesz się nawet, że coś się zdarzyło, tyle że nagle zmieni się obraz przestrzeni. Jeśli kiedy oglądałeś projekcję przeźroczy, to wiesz, co się dzieje, kiedy jedno przeźrocze zastąpi się nagle innym. No i właśnie mniej więcej takie wrażenie masz przy skoku.

— O rany! Nic się nie czuje? To dziwne. Jestem trochę rozczarowany.

— Ja w każdym razie nigdy nic nie czułem, a latałem na statkach, którym było daleko do tego… Ale nie tylko z powodu tego nadajnika zwlekam ze skokiem. Musimy się jeszcze trochę oddalić od Terminusa… i od słońca. Im dalej będziemy od jakiegokolwiek ciała o dużej masie, tym łatwiej będzie nam panować nad statkiem w czasie skoku i wynurzyć się w tym miejscu przestrzeni, w którym chcemy. W razie nagłej potrzeby można zaryzykować skok znajdując się w odległości dwustu kilometrów od powierzchni planety i liczyć na to, że się ma szczęście i że się wyjdzie z tego cało. Ponieważ w Galaktyce jest o wiele więcej bezpiecznej niż niebezpiecznej przestrzeni, można się tego spodziewać całkiem zasadnie. Jednak, mimo to, istnieje zawsze możliwość, że jakieś przypadkowe czynniki spowodują, że wynurzysz się o parę milionów kilometrów od jakiejś dużej gwiazdy w centrum Galaktyki i spłoniesz, zanim zdążysz mrugnąć okiem. Im dalej jest się od ciała o dużej masie, tym mniej tych czynników i tym mniejsze szansę, że wydarzy się coś niemiłego…

— Wobec tego zalecam rozwagę. Nic nas nie zmusza do takiego pośpiechu.

— Właśnie. Tym bardziej, że chciałbym znaleźć ten nadajnik

nadprzestrzenny, zanim wykonam jakiś ruch. Albo coś, co przekona mnie, że nie ma tu żadnego przekaźnika.

Wyglądało na to, że Trevize ma zamiar znowu pogrążyć się w swych rozmyślaniach, więc Pelorat powiedział, podnosząc nieco głos, aby przebić się przez barierę zaabsorbowania, którą jego towarzysz odgradzał się od świata.

— Ile jeszcze musimy czekać?

— Co?

— Pytam o to, kiedy wykonałbyś skok, gdybyś nie musiał szukać tego nadajnika.

— Przy naszej obecnej szybkości i trajektorii lotu powiedziałbym, że czwartego dnia podróży. Obliczę odpowiedni moment na komputerze.

— No to masz jeszcze dwa dni na poszukiwania. Czy mogę ci podsunąć pewien pomysł?

— Mów.

— Podczas mojej pracy, oczywiście zupełnie innej niż twoja, ale chyba możemy to uogólnić, przekonywałem się wielokrotnie, że bezwzględne koncentrowanie się na jakimś jednym problemie kończy się z reguły niepowodzeniem. Lepiej jest odprężyć się i porozmawiać o czymś zupełnie innym, a tymczasem umysł uwolniony spod presji skoncentrowanej myśli i pracujący bez udziału twojej świadomości może sam znaleźć rozwiązanie.

Trevize spojrzał na niego z irytacją, ale po chwili roześmiał się.

— No cóż, mogę spróbować… Powiedz mi, co spowodowało, że zainteresowałeś się Ziemią? Skąd wziął się ten dziwny pomysł, że jest jakaś jedna planeta, z której wywodzimy się my wszyscy?

— Hmm — Pelorat w zamyśleniu pokiwał głową. — To się zaczęło kawałek czasu temu. Ponad trzydzieści lat temu. Miałem zamiar zostać biologiem, kiedy poszedłem na uniwersytet. Szczególnie interesowały mnie różnice między gatunkami zwierząt na różnych planetach. Różnice te, jak wiesz… no, możesz o tym nie wiedzieć, więc chyba nie masz nic przeciw temu, że ci o tym powiem — są bardzo niewielkie. Wszystkie formy życia w Galaktyce, przynajmniej wszystkie znane nam, powstają i rozwijają się w wyniku procesów chemicznych, w których główną rolę grają woda, białko i kwas nukleinowy.

— Chodziłem do szkoły wojskowej, gdzie największy nacisk kładziono na grawitykę i nukleonikę, ale nie jestem aż tak wąskim specjalistą, żebym nie miał pojęcia o niczym oprócz swojej dziedziny. Wiem trochę o chemicznych podstawach życia. Uczono, mnie, że tylko woda, białko i kwasy nukleinowe mogą być podstawą powstania życia.

— Taki wniosek jest, myślę, nieuzasadniony. Bezpieczniej jest

powiedzieć, że nie znaleziono jeszcze — a w każdym razie nie rozpoznano — żadnej innej formy życia, i na tym poprzestać. Bardziej zastanawiające jest to, że gatunki endemiczne, to znaczy gatunki, których obecność stwierdzono tylko na jednej planecie i nigdzie indziej, są bardzo nieliczne. Większość istniejących gatunków, w tym w szczególności homo sapiens, rozprzestrzeniła się na wszystkie lub prawie wszystkie, zamieszkałe światy w Galaktyce i jest bardzo zbliżona do siebie pod względem biochemicznym, fizjologicznym i morfologicznym. Gatunki endemiczne, z drugiej strony, bardzo się różnią cechami od form szeroko rozprzestrzenionych i między sobą nawzajem.

— No i co z tego?

— Wniosek z tego taki, że jeden świat w Galaktyce, tylko jeden świat, różni się od reszty. Na dziesiątkach milionów światów Galaktyki — nikt dokładnie nie wie ilu — powstało życie. Były to proste, słabo rozwinięte, rzadko rozsiane i niezbyt skomplikowane formy życia. Nie miały dużej siły przetrwania i niełatwo się rozprzestrzeniały. Ale na jednym świecie, tylko na jednym świecie, rozwinęło się życie w milionach form. Powstały miliony gatunków, niektóre bardzo wyspecjalizowane, wysoko rozwinięte, zdolne do szybkiego rozmnażania się i rozprzestrzeniania. Jednym z tych gatunków jesteśmy my. Byliśmy na tyle inteligentni, żeby stworzyć cywilizację, opanować loty w nadprzestrzeń, skolonizować Galaktykę i — rozprzestrzeniając się na całą Galaktykę — zabraliśmy ze sobą inne formy życia, formy spokrewnione ze sobą nawzajem i z nami.

— Jeśli zastanowić się nad tym chwilę — rzekł Trevize obojętnie — to wydaje się to rozsądne. Chodzi mi o to, że żyjemy w ludzkiej Galaktyce. Jeśli założymy, że to wszystko zaczęło się na jakimś jednym świecie, to ten świat musiałby być inny. A zresztą dlaczego nie? Szansę na powstanie życia w taki kapryśny sposób muszą być faktycznie nikłe, może jedna na sto milionów, a więc możliwe jest, że zdarzyło się to tylko na jednym ze stu milionów światów, na których istniało życie w pierwotnej formie. Tak, musiał być tylko jeden taki świat.

— Ale co spowodowało, że ten jeden świat tak bardzo różnił się od innych? — powiedział z ożywieniem Pelorat. — Jakie to warunki złożyły się na jego unikalność?

— Może był to czysty przypadek. W końcu istoty ludzkie i te formy życia, które zabrały one ze sobą, egzystują teraz na dziesiątkach milionów planet, z których każda ma odpowiednie warunki do tego. Wniosek stąd taki, że mogło się to zacząć na każdej z nich.

— Nie! Kiedy już powstał i rozwinął się rodzaj ludzki, kiedy stworzył technikę, kiedy zahartował się w ciężkiej walce o przetrwanie, to mógł przystosować się do życia na każdej planecie,

która choćby w minimalnym stopniu nadawała się do tego — na przykład na Terminusie. Ale czy możesz sobie wyobrazić, żeby na Terminusie rozwinęły się istoty inteligentne? Kiedy, w czasach Encyklopedystów, pojawili się na Terminusie pierwsi ludzie, to najwyższą formą życia roślinnego, którą tam zastali, były mchopodobne porosty naskalne, a najwyżej zorganizowanymi przedstawicielami fauny podobne do korali zwierzęta żyjące w oceanie i owadopodobne organizmy na lądzie. Wytępiliśmy je niemal doszczętnie i zapełniliśmy morza rybami, a lądy królikami, kozami, trawą, zbożem, drzewami i tak dalej. Z miejscowej flory i fauny uchowało się tylko to, co jest w ogrodach zoologicznych i akwariach.

— Hmm — mruknął Trevize.

Pelorat przyglądał mu się dobrą minutę, a potem westchnął i powiedział:

— Tak po prawdzie, to nic cię to nie obchodzi, co? To nadzwyczajne! Jakoś nie mogę znaleźć nikogo, kogo by to obchodziło. Myślę, że to moja wina. Nie potrafię przedstawić tego w interesujący sposób, mimo że sam tak bardzo się tym interesuję.

— To przecież jest interesujące. Na pewno. Ale… ale… co z tego?

— Czy nie rozumiesz, że to może być interesujące doświadczenie naukowe — móc zbadać świat, na którym istniała jedyna w Galaktyce trwała równowaga ekologiczna między endemicznymi formami życia?

— Dla biologa może tak. Ale ja nie jestem biologiem. Musisz mi wybaczyć.

— Oczywiście, drogi przyjacielu. Chodzi właśnie o to, że nigdy nie spotkałem biologa, którego by to interesowało. Mówiłem ci, że wybrałem najpierw biologię. Zwróciłem się z tym problemem do swojego profesora i okazało się, że go to nie interesuje. Powiedział mi, żebym zajął się jakimś praktycznym zagadnieniem. To mnie tak rozczarowało, że przeszedłem na historię, która zresztą była moim hobby od dzieciństwa, i zająłem się Problemem Pochodzenia od tej strony.

— No, ale przynajmniej zapewniło ci to pracę na całe życie, więc powinieneś być wdzięczny temu profesorowi za to, że okazał się taki nieoświecony.

— Tak, myślę, że można na to tak spojrzeć. A przy tym praca ta jest naprawdę interesująca i nigdy mnie nie nuży… Ale szkoda, że ciebie to nie interesuje. Mam stale uczucie, że mówię sam do siebie. Nie cierpię tego uczucia.

Trevize odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się serdecznie.

Pelorat poczuł się dotknięty do żywego. — Dlaczego się ze mnie śmiejesz? — spytał.

— Nie z ciebie, Janov — odparł Trevize. — Śmiałem się ze swojej własnej głupoty. Jeśli chodzi o ciebie, to jestem ci bardzo wdzięczny.

Wiesz, miałeś faktycznie rację.

— Że zająłem się sprawą początków ludzkości?

— Nie, nie… To znaczy, to też, owszem… Ale mówiąc, że miałeś faktycznie rację, miałem na myśli twoją radę, żeby przestać myśleć o tym, co mnie zaprząta i zająć umysł czymś innym. To podziałało. Kiedy mówiłeś o sposobie, w jaki rozwijało się życie, uświadomiłem sobie nagle, że wiem jak znaleźć ten nadajnik nadprzestrzenny — jeśli w ogóle jest tu zamontowany.

— Ach, o to chodzi!

— Tak, o to. To jest w tej chwili moją obsesją. Szukałem tego nadajnika zupełnie tak, jakbym był na mojej starej szkolnej łajbie. Oglądałem dokładnie każdą część statku, szukając czegoś, co by odstawało od reszty. Zupełnie zapomniałem, że statek, na którym jestem, to owoc tysięcy lat ewolucji technologicznej. Nie rozumiesz?

— Niestety, Golan.

— Mamy przecież na pokładzie komputer. Jak mogłem o tym zapomnieć?

Machnął ręką i poszedł do swojej kabiny, ciągnąc Pelorata za sobą.

— Muszę tylko spróbować się połączyć — powiedział umieszczając dłonie na płycie kontaktowej komputera.

„Połącz! Mów!" Było to zupełnie tak, jak gdyby zakończenia jego nerwów rozgałęziały się i wydłużały, rosnąc z oszałamiającą prędkością — z prędkością światła, oczywiście — i sięgając miejsca, z którym chciał uzyskać połączenie.

Trevize czuł, że dotyka… nie, nie dotyka, ale czuje… nie, niezupełnie czuje, ale — nie, nie istniało odpowiednie słowo na określenie tego, co odczuwał.

Czuł, że Terminus jest w jego zasięgu i mimo że odległość między nim a planetą zwiększała się z każdą sekundą o dwadzieścia kilometrów, połączenie było tak doskonałe, jakby statek spoczywał w bezruchu i dzieliło go od jego świata nie więcej niż kilka metrów.

Nic nie mówił. Zacisnął szczęki. Sprawdzał tylko zasadę komunikowania się, ale nie korzystał z niej czynnie.

Tam gdzieś, w odległości ośmiu parseków, „na podwórku" — według kryteriów galaktycznych, znajdował się Anakreon, najbliższa duża planeta. Wysłanie na Anakreona wiadomości za pomocą tego samego systemu, który umożliwił mu połączenie z Terminusem, to znaczy z prędkością światła, i otrzymanie odpowiedzi na tę wiadomość, zajęłoby pięćdziesiąt dwa lata.

„Złap Anakreon! Myśl o Anakreonie". Myśl tak wyraźnie, jak potrafisz. Znasz jego położenie względem Terminusa i jądra Galaktyki, studiowałeś jego planetografię i historię, rozwiązywałeś zagadnienia natury wojskowej związane z potrzebą odbicia Anakreona (w

nieprawdopodobnym w obecnych czasach przypadku, to znaczy, gdyby został zajęty przez nieprzyjaciela). Na przestrzeń! Był na Anakreonie.

Przedstaw jego obraz! Przedstaw jego obraz! Tak, jakbyś widział go za pomocą nadajnika nadprzestrzennego.

Nic! Zakończenia jego nerwów zadrgały i spoczęły w nieokreślonej przestrzeni.

Trevize oderwał się od pulpitu. — Na pokładzie „Odległej Gwiazdy" nie ma żadnego nadajnika, Janov. Jestem tego pewien. Ciekaw jestem, ile czasu zajęłoby mi ustalenie tego, gdybym nie posłuchał twojej rady.

Twarz Pelorata, mimo że nie drgnął w niej żaden mięsień, wyraźnie pojaśniała. — Tak się cieszę, że mogłem być w czymś pomocny — powiedział. — Czy to znaczy, że skaczemy?

— Nie, poczekamy jeszcze dwa dni, żeby nic nam nie groziło. Musimy oddalić się od ciężkich ciał, pamiętasz? Normalnie, biorąc pod uwagę fakt, że mam nowy, niewypróbowany jeszcze statek, którego prawie zupełnie nie znam, musiałbym stracić dwa dni, żeby dokładnie wszystko obliczyć, w szczególności odpowiednią siłę ciągu potrzebną do wykonania pierwszego skoku, ale czuję, że to wszystko zrobi za mnie komputer.

— O rany, to znaczy, że mamy przed sobą jeszcze kawał czasu. Wydaje mi się, że się porządnie wynudzimy.

— Wynudzimy? — uśmiechnął się szeroko Trevize. — Na pewno nie! Będziemy rozmawiali o Ziemi, Janov.

— Naprawdę? — spytał Pelorat. — Chcesz sprawić przyjemność staremu maniakowi? To miło z twojej strony. Naprawdę miło.

— Bzdura! Chcę sprawić przyjemność sobie. Ja — nov, masz przed sobą neofitę. Po tym, co mi powiedziałeś, uświadomiłem sobie, że Ziemia jest najważniejszym i najbardziej interesującym obiektem w całym wszechświecie.

22.

Musiało to na pewno uderzyć Trevizego już w chwili, kiedy Pelorat przedstawił swoją wizję Ziemi. Nie zareagował od razu tylko dlatego, że jego umysł pochłonięty był sprawą nadajnika nadprzestrzenne — go. Jak tylko problem nadajnika przestał istnieć, myśli Trevizego skupiły się na tym, co mimo woli zasugerował Pelorat.

Chyba najbardziej znaną wypowiedzią Hariego Seldona była jego uwaga dotycząca Drugiej Fundacji, a mówiąca o tym, że znajduje się ona „na przeciwnym końcu Galaktyki" niż Terminus. Seldon nawet wymienił nazwę tego miejsca. Miało ono znajdować się „na Krańcu Gwiazdy".

Zostało to zapisane przez Gaala Dornicka w jego relacji z dnia poprzedzającego proces Seldona przed sądem Imperium. „Drugi koniec Galaktyki" — tak brzmiały słowa, które Seldon skierował do Dornicka, słowa, nad znaczeniem których łamano sobie od tamtej pory głowy.

Co łączyło jeden koniec Galaktyki z tym „drugim końcem"? Czy była to linia prosta czy spirala, czy koło, czy jeszcze coś innego?

I oto teraz stało się nagle jasne dla Trevizego, zupełnie jakby doznał olśnienia, że nie była to ani linia prosta, ani krzywa, którą trzeba by, czy można by, wytyczyć na mapie Galaktyki. Określenie Seldona było o wiele bardziej subtelne.

Było całkowicie jasne, że na jednym końcu Galaktyki znajdował się Terminus. Leżał on na samym skraju Galaktyki — tak, na skraju ich Fundacji — co nadawało słowu „koniec" dosłowne znaczenie. Był on jednak w czasie kiedy Seldon wypowiadał swe słowa również najmłodszym światem Galaktyki, światem, który dopiero miał być zasiedlony, światem, który właściwie jeszcze nie istniał.

Co, w tym świetle, mogło być drugim końcem Galaktyki? Drugim skrajem Fundacji? Chyba tylko najstarszy świat. I zgodnie z argumentacją, którą przedstawił Pelorat, nie wiedząc w ogóle, że ją przedstawia, mogła to być tylko Ziemia. Druga Fundacja mogła znajdować się na Ziemi.

Ale Seldon powiedział przecież, że drugi koniec Galaktyki był na krańcu gwiazdy. Czy jednak można było stwierdzić, że nie było to określenie metaforyczne? Jeśli prześledzić wstecz historię ludzkości, tak jak to zrobił Pelorat, i przeprowadzić linię prowadzącą od jednego systemu planetarnego do drugiego, od jednej gwiazdy, która świeciła na zamieszkanej planecie do drugiej, z której mogli przybyć na tę pierwszą emigranci, od tej z kolei do innej, która była słońcem systemu planetarnego zasiedlonego jeszcze wcześniej, stamtąd do

jeszcze innej i tak dalej, to w końcu musi się dojść do miejsca, gdzie zbiegają się te wszystkie linie, do planety, na której powstała ludzkość. „Krańcem Gwiazdy” była gwiazda, która była słońcem Ziemi.

Trevize uśmiechnął się i rzekł niemal czule:

— Janov, powiedz mi coś więcej o Ziemi.

Pelorat potrząsnął głową.

— Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Naprawdę. Więcej znajdziemy na Trantorze.

— Nie, Janov. Nic tam nie znajdziemy. A dlaczego? Dlatego, że nie lecimy na Trantor. Ja kieruję tym statkiem i zapewniam cię, że tam nie lecimy.

Pelorat otworzył usta ze zdziwienia. Przez chwilę starał się złapać oddech i wreszcie powiedział zrozpaczonym głosem:

— Och, drogi przyjacielu!

— Daj spokój, Janov! — odparł Trevize. — Nie rób takiej miny. Znajdziemy Ziemię.

— Ale tylko na Trantorze można…

— Nie, nie można. Trantor jest miejscem, gdzie możesz tylko studiować pokryte kurzem dokumenty i kruche filmy i w końcu stać się tak samo zakurzony i kruchy jak one.

— Przez dziesiątki lat marzyłem…

— Marzyłeś o znalezieniu Ziemi.

— Ale to tylko…

Trevize wstał, pochylił się nad Peloratem, schwycił fałdę jego tuniki i powiedział:

— Nie powtarzaj tego, profesorze. Nie powtarzaj już tego. Kiedy powiedziałeś mi, zanim w ogóle jeszcze wsiedliśmy na ten statek, że mamy szukać Ziemi, to dodałeś, że jesteś pewien, że ją znajdziemy, bo — cytuję twoje własne słowa — „masz wspaniały pomysł”. Teraz nie chcę już słyszeć ani słowa o Trantorze. Chcę, żebyś opowiedział mi o tym wspaniałym pomyśle.

— Ale to musi najpierw zostać potwierdzone! Na razie to tylko pomysł, nadzieja, pewna możliwość.

— Dobrze. Powiedz mi o tym.

— Nie rozumiesz mnie. Po prostu nie rozumiesz. To jest dziedzina, w której nikt poza mną nie przeprowadzał żadnych badań. Nie ma tu nic pewnego. Nic nie jest stwierdzone czy rzetelnie udokumentowane. Mówi się o Ziemi tak, jakby jej istnienie było faktem, ale również tak, jakby było mitem. Są na ten temat miliony sprzecznych opowieści…

— No dobrze, to na czym wobec tego polegają twoje badania?

— Jestem zmuszony zbierać wszelkie podania, wszelkie legendy, mgliste mity, okruchy rzekomej historii. Nawet dzieła literackie.

Słowem, wszystkie teksty, które zawierają słowo Ziemia czy wyrażenie „planeta, z której pochodzi ludzkość”. Od ponad trzydziestu lat zbieram wszystko, co można znaleźć na ten temat na jakimkolwiek świecie. Gdybym teraz mógł zdobyć jakieś bardziej wiarygodne informacje w Bibliotece Galaktycznej na… Ale nie chcesz, żebym nawet wymawiał tę nazwę.

— Tak… Nie wymawiaj jej. Powiedz mi lepiej, że jedna z tych wzmianek zwróciła twoją uwagę i wyjaśnij, dlaczego uważasz, że ta jedna jedyna może być prawdziwa.

Pelorat potrząsnął głową. — Wybacz mi, Golan, to co powiem, ale mówisz jak polityk albo żołnierz. Historyk nie postępuje w taki sposób.

Trevize wziął głęboki oddech, żeby opanować zniecierpliwienie.

— W porządku, Janov. Powiedz mi, jak postępuje historyk. Mamy dwa dni. Oświeć mnie.

— Nie można opierać się na jakimś jednym micie czy nawet na jednej grupie mitów. Musiałem zebrać je wszystkie, przeanalizować, poklasyfikować, zastąpić odpowiednimi symbolami różne aspekty przedstawionych w nich sytuacji, takie, na przykład, jak opowieści o nieprawdopodobnych warunkach pogodowych, szczegóły astronomiczne systemów planetarnych będące w sprzeczności ze stanem faktycznym, miejsce pochodzenia mitycznych herosów, których przekazy określają jako przybyłych z innych planet i setki innych rzeczy. Nie ma sensu przedstawiać tu pełnej listy. Nie starczyłoby nawet dwóch dni. Poświęciłem na to ponad trzydzieści lat, mówię ci.

Potem opracowałem dla komputera specjalny program, który miał mi umożliwić znalezienie elementów wspólnych dla wszystkich tych mitów, legend i tak dalej i wyeliminowanie faktycznych niedorzeczności i nieprawdopodobieństw. W ten sposób stopniowo uzyskałem model planety, któremu musiała odpowiadać Ziemia. W końcu, jeśli wszystkie istoty ludzkie pochodzą z jednej planety, to ta planeta musi posiadać cechę, o której mówią wszystkie mity o pochodzeniu, wszystkie opowieści o herosach… Chcesz, żebym ci to przedstawił ze wszystkimi szczegółami matematycznymi?

— Nie w tej chwili, dziękuję — powiedział Trevize. — A skąd wiesz, że te twoje obliczenia nie wywiodą cię w pole? Wiemy na pewno, że Terminus został założony pięćset lat temu i że pierwsi osadnicy przybyli tu co prawda z Trantora, ale zostali zebrani z dziesiątków, jeśli nie setek, innych światów. Gdyby jednak ktoś nie wiedział o tym, to mógłby przypuszczać, że Hari Seldon i Salvor Hardin, z których żaden nie urodził się na Terminusie, przybyli tam z Ziemi i że Trantor był w rzeczywistości inną nazwą

Ziemi. A sam Trantor, gdyby szukano go, opierając się na jego

opisie z czasów Seldona, przedstawiającym go jako świat pokryty w całości metalem, nigdy nie zostałby znaleziony i mógłby też być poczytany za mit. Pelorat wyglądał na zadowolonego.

— Cofam to, co powiedziałem wcześniej, porównując cię do polityka i żołnierza, drogi przyjacielu. Masz zdumiewającą intuicję. Oczywiście, musiałem sprawdzić swoje hipotezy. Wymyśliłem dobrą setkę opowieści opartych na rzeczywistych wydarzeniach historycznych, ale zniekształcających je i imitujących ten rodzaj mitów, które zbierałem. Potem spróbowałem włączyć je do modelu stworzonego przez komputer. Jedna z wymyślonych przeze mnie historyjek była nawet oparta na zdarzeniach z wczesnych dziejów Terminusa. I komputer odrzucił je wszystkie. Co do jednej. Z pewnością, może to znaczyć tylko tyle, że brak mi talentu, żeby stworzyć coś przekonującego, ale starałem się, jak mogłem.

— Jestem o tym przekonany, Janov. A czego dowiedziałeś się z tego modelu o Ziemi?

— Sporo rzeczy o różnym stopniu prawdopodobieństwa. Otrzymałem coś w rodzaju zarysu. Na przykład, około 90 procent zamieszkanych planet w Galaktyce ma okresy obrotu wynoszące od dwudziestu dwóch do dwudziestu sześciu Standardowych Godzin Galaktycznych. No więc…

— Mam nadzieję, Janov, że nie traciłeś czasu na zajmowanie się tą sprawą. Nie ma w niej nic tajemniczego. Żeby planeta nadawała się do zamieszkania, nie może obracać się zbyt szybko, bo w takim przypadku cyrkulacja powietrza powoduje ustawiczne burze, ani zbyt wolno, gdyż wówczas różnice temperatury są nie do zniesienia. To jest właściwość, która z miejsca eliminuje takie planety z grupy nadających się do zasiedlenia. Istoty ludzkie wolą planety, których właściwości zapewniają im odpowiednie warunki do życia, toteż kiedy niektórzy, widząc jak wszystkie zamieszkane planety są do siebie podobne pod względem tych właściwości, powiadają „Co za zadziwiający zbieg okoliczności!”, to nie jest to nie tylko zadziwiające, ale nawet nie ma w tym żadnego zbiegu okoliczności.

— Prawdę mówiąc — powiedział spokojnie Pelorat — jest to zjawisko dobrze znane naukom społecznym. Przypuszczam, że fizyce też, ale nie jestem fizykiem, więc nie twierdzę, że jest tak na pewno. W każdym razie określa się to mianem zasady antropomorfizacji. Obserwator wpływa na zdarzenia, które obserwuje przez sam fakt obserwowania ich czy nawet przez samą swoją obecność przy tych zdarzeniach. Ale, wracając do tematu, powstaje pytanie, gdzie jest ta planeta, która posłużyła jako model? Która planeta ma okres obrotu równy jednemu Standardowemu Dniowi Galaktycznemu składającemu się z dwudziestu czterech Standardowych Godzin Galaktycznych?

Trevize zamyślił się. Wysunął dolną wargę i powiedział: —

Myślisz, że to mogła być Ziemia? Przecież Standardowy Dzień Galaktyczny może się opierać na cechach szczególnych dowolnego świata.

— To niemożliwe. Byłoby to sprzeczne z naszymi ludzkimi nawykami myślenia. Trantor był przez dwanaście tysięcy lat stolicą Galaktyki, był przez dwanaście tysięcy lat najludniejszym światem, a mimo tego czas jego obrotu, który równa się 1,08 Standardowego Dnia Galaktycznego, nie stał się miarą czasu używaną w całej Galaktyce. Obrót Terminusa wynosi 0,91 SDG, ale nie narzucamy go planetom, nad którymi sprawujemy władzę. Każda planeta używa w swych wewnętrznych obliczeniach miar czasu opartych na Lokalnym Dniu Planetarnym, a w sprawach wagi międzyplanetarnej posługuje się jednostkami SDG, przeliczając za pomocą komputerów SDG na LDP i odwrotnie. Standardowy Dzień Galaktyczny musi wywodzić się z Ziemi!

— Dlaczego „musi”?

— Po pierwsze, skoro Ziemia była kiedyś jedynym zamieszkanym światem, to z natury rzeczy ziemski rok i dzień były standardowymi miarami czasu i — prawdopodobnie na zasadzie inercji — pozostały nimi, kiedy już skolonizowano inne planety. Poza tym, model Ziemi, który na podstawie posiadanych przeze mnie informacji stworzył komputer, przedstawiał planetę, której obrót wokół własnej osi trwał dokładnie dwadzieścia cztery Standardowe Godziny Galaktyczne, a obrót wokół jej słońca dokładnie jeden Standardowy Rok Galaktyczny.

— Może to zwykły zbieg okoliczności? Pelorat roześmiał się. — Teraz znowu ty zaczynasz opowiadać o zbiegach okoliczności. Założyłbyś się, że taka rzecz mogła się zdarzyć przez zbieg okoliczności?

— No, no… — mruknął Trevize.

— Właściwie jest jeszcze coś, co przemawia za tą tezą. Jest taka archaiczna miara czasu, która nazywa się miesiącem…

— Słyszałem o niej.

— Otóż odpowiada ona najwyraźniej okresowi obiegu Ziemi przez jej satelitę. Jednakże…

— Tak?

— Widzisz, mój model wykazuje jedną raczej zaskakującą cechę, mianowicie ten satelita, o którym przed chwilą mówiłem, jest potężny — jego średnica mierzy ponad jedną czwartą średnicy Ziemi.

— Pierwszy raz słyszę o czymś takim, Janov. Nie ma w całej Galaktyce zamieszkanej planety z takim satelitą.

— No i bardzo dobrze — rzekł z ożywieniem Pelorat. — Jeśli Ziemia, ze względu na różnorodność istniejących na niej gatunków biologicznych i powstanie istot inteligentnych, była światem unikalnym w skali Galaktyki, to musi posiadać jakieś unikalne cechy

fizyczne.

— Ale co wspólnego może mieć duży satelita z różnorodnością gatunków biologicznych, istotami inteligentnymi i tymi wszystkimi rzeczami?

— Otóż to! Dotknąłeś istoty problemu. Naprawdę nie wiem. Ale warto to zbadać, nie uważasz?

Trevize wstał, założył ręce na piersi i rzekł:

— No to gdzie tu problem? Przejrzyj dane statystyczne zamieszkanych planet i znajdź tę, której okresy obrotu wokół własnej osi i wokół słońca wynoszą dokładnie jeden Standardowy Dzień Galaktyczny i jeden Standardowy Rok Galaktyczny. A jeśli przy tym będzie miała gigantycznego satelitę, to po problemie. Z tego, co mówiłeś o swoim „znakomitym pomyśle", wnioskuję, że już to zrobiłeś i znalazłeś ten swój świat.

Pelorat zrobił zakłopotaną minę. — Tak, ale niezupełnie jest tak, jak myślisz. Przejrzałem dane statystyczne, a w każdym razie zrobił to dla mnie wydział astronomii i — mówiąc krótko — nie ma takiego świata.

Trevize usiadł gwałtownie.

— Ależ to znaczy, że cała twoja teoria zawaliła się.

— Myślę, że niezupełnie.

— Jak to, niezupełnie? Tworzysz model ze wszystkimi szczegółami i nie możesz znaleźć nic, co do niego pasuje. To znaczy, że ten model jest do niczego. Musisz zaczynać od początku.

— Nie muszę. Znaczy to tylko tyle, że dane statystyczne dotyczące zamieszkanych planet są niekompletne. W końcu są dziesiątki milionów takich planet, a niektóre są zupełnie zapomniane. Nie ma, na przykład, porządnych danych o ludności prawie połowy z nich. A w przypadku sześciuset czterdziestu tysięcy światów dane ograniczają się do podania ich nazw i, czasami, położenia. Niektórzy galaktografowie uważają, że liczba zamieszkanych planet, które w ogóle nie są ujęte w żadnych statystykach, może wynosić około dziesięciu tysięcy. Prawdopodobnie jest to na rękę ich mieszkańcom. W epoce imperium stwarzało im to możliwość uniknięcia podatków.

— A w późniejszych wiekach — zauważył cynicznie Trevize — stwarzało im to możliwość założenia baz pirackich, co w pewnych sytuacjach mogło przynosić większe zyski niż handel.

— Nic mi o tym nie wiadomo — rzekł Pelorat z powątpiewaniem.

— Tak czy inaczej, wydaje mi się, że Ziemia, bez względu na to, co sobie życzą jej mieszkańcy, powinna znajdować się na liście zamieszkanych planet. Jeśli twoja teoria jest prawdziwa, to jest ona najstarszą siedzibą ludzkości, więc nie mogła zostać przeoczona ani zapomniana w pierwszych wiekach rozwoju cywilizacji galaktycznej. A gdyby raz znalazła się na liście, to już by tam została na zawsze. Na

zasadzie inercji, o której już wspomniałeś.

Pelorat zawahał się na chwilę, po czym rzekł ze zbolałą miną:

— Prawdę mówiąc, jest na liście zamieszkanych planet taka, która zwie się Ziemia.

Trevize otworzył szeroko oczy. — Mam wrażenie, jakbyś przed chwilą twierdził, że Ziemi nie ma na tej liście — powiedział.

— Nie ma jej pod tą nazwą, ale jest za to Gaja.

— A co to ma wspólnego z Ziemią. Gayah?

— Nie. Przeliteruję ci. G — A — J — A. Znaczy to — Ziemia.

— A niby dlaczego Gaja ma znaczyć Ziemia, a nie coś innego? Dla mnie to słowo nic nie znaczy.

Nieruchomą zazwyczaj twarz Pelorata wykrzywił grymas. — Nie wiem, czy w to uwierzysz, ale… Z przeprowadzonej przeze mnie analizy mitów wynika, że na Ziemi używano wielu różnych, wzajemnie niezrozumiałych języków.

— Co?

— Tak. W końcu w Galaktyce mamy tysiąc różnych sposobów mówienia…

— W Galaktyce jest na pewno wiele różniących się między sobą dialektów, ale nie są one wzajemnie niezrozumiałe. A nawet jeśli niektóre z nich trudno zrozumieć, to mamy przecież wspólny dla wszystkich uniwersalny język galaktyczny.

— Oczywiście, ale mamy też ciągłe podróże międzygwiezdne. A gdyby jakiś świat był odizolowany od reszty przez dłuższy czas?

— Przecież mówisz o Ziemi. O jednej planecie. Gdzie tu izolacja?

— Nie zapominaj, że Ziemia jest kolebką ludzkości, i że jej mieszkańcy byli kiedyś istotami tak prymitywnymi, że trudno to sobie wyobrazić. Nie znali nie tylko podróży międzygwiezdnych i komputerów, ale nawet żadnej technologii. Przecież wywodzili się od zwierzęcych przodków.

— To naprawdę śmieszne.

Pelorat zwiesił głowę z zakłopotaniem.

— Chyba nie ma sensu dyskutować o tym, przyjacielu. Jeszcze nigdy nie udało mi się kogoś o tym przekonać. To na pewno moja wina.

Trevize natychmiast spoważniał. — Wybacz mi, Janov — powiedział ze skruchą. — Mówiłem bez zastanowienia. Ale w końcu po raz pierwszy w życiu usłyszałem coś takiego. Tworzyłeś swoją teorię przez ponad trzydzieści lat, a mnie przedstawiłeś ją od razu… Słuchaj, mogę sobie wyobrazić, że oto mamy na Ziemi prymitywnych ludzi, używających dwu zupełnie różnych, wzajemnie niezrozumiałych języków…

— Pewnie pół tuzina — wtrącił nieśmiało Pelorat. — Ziemia mogła dzielić się na wiele kontynentów i całkiem możliwe, że

początkowo nie było między nimi żadnej łączności. W takiej sytuacji mieszkańcy każdego z kontynentów mogli stworzyć swój, zupełnie inny od pozostałych język.

— A kiedy mieszkańcy tych kontynentów — powiedział Trevize, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej poważnie — uświadomili sobie, że istnieją też inne lądy i że żyją na nich ludzie, mogli zainteresować się Problemem Istnienia i zacząć zastanawiać się, na którym z nich powstały z innych zwierząt pierwsze istoty ludzkie.

— Z pewnością mogło tak być, Golan. Byłoby to zupełnie naturalne.

— I w jednym z tych języków Gaja znaczyło Ziemia. Natomiast słowo „Ziemia" pochodzi z innego z tych języków.

— Tak, tak.

— I podczas gdy uniwersalny język galaktyczny powstał z języka, w którym „Ziemia" znaczyło „Ziemia", to ludzie na Ziemi woleli z jakichś względów nazwać swoją planetę słowem „Gaja" wywodzącym się z innego języka.

— Tak jest! Jesteś naprawdę bystry, Golan.

— Niemniej jednak wydaje mi się, że niepotrzebnie gmatwasz tę sprawę. Jeśli Gaja, mimo innej nazwy, jest Ziemią, to — zgodnie z twoimi wcześniejszymi wywodami — okres jej obrotu wokół własnej osi powinien wynosić jeden Dzień Galaktyczny, okres obrotu wokół jej słońca — jeden Rok Galaktyczny, a poza tym powinna mieć gigantycznego satelitę, który obiega ją w okresie jednego miesiąca.

— Tak powinno być.

— No więc jak, czy Gaja spełnia te wymogi, czy nie?

— Nie wiem. W tabelach nie ma nic na ten temat.

— Tak? No to ee, Janov, lecimy na Gaje, żeby zmierzyć czas jej obrotów i zobaczyć jej satelitę?

— Bardzo bym tego chciał, Golan — Pelorat urwał na chwilę. — Kłopot w tym, że jej położenie też nie jest nigdzie dokładnie podane.

— Chcesz powiedzieć, że wszystko, co masz na ten temat, ogranicza się do nazwy? I to jest ten twój znakomity pomysł?

— No przecież właśnie dlatego chciałem przejrzeć zbiory Biblioteki Galaktycznej!

— Zaraz, zaczekaj. Mówisz, że tablice nie podają jej dokładnego położenia. A podają w ogóle jakieś informacje na ten temat?

— Umiejscawiają ją w sektorze Sayshell… ze znakiem zapytania.

— No to, Janov, nie martw się. Polecimy do sektora Sayshell i jakoś znajdziemy Gaje.

Rozdział VII
WIEŚNIAK

23.

Stor Gendibal biegł sobie wolno drogą wśród pól. Członkowie Drugiej Fundacji nie mieli raczej zwyczaju zapuszczać się na tereny zamieszkane przez rolników. Oczywiście nikt im tego nie zabraniał, ale mimo to, jeśli już ktoś z nich zaryzykował wyprawę poza teren uniwersytetu, to nie była ona daleka i nie trwała długo.

Gendibal był wyjątkiem i dawniej zastanawiał się, dlaczego. Zastanawianie się nad sobą oznaczało badanie swojego umysłu, a więc coś, co Mówca powinien był robić. Umysł Mówcy był zarazem jego bronią i tarczą, musiał więc on dbać o to, by był zawsze sprawny i gotowy tak do ataku, jak i do obrony.

Gendibal, ku swemu wielkiemu zadowoleniu, odkrył, co było powodem jego odmienności. Otóż pochodził on z planety, która była większa i chłodniejsza niż większość pozostałych zamieszkanych planet. Kiedy zatem sprowadzono go, jako młodego chłopca, na Trantor (za pośrednictwem siatki agentów Drugiej Fundacji, która wyławiała z Galaktyki dzieci o odpowiednich zdolnościach), znalazł się w słabszym polu grawitacyjnym i łagodniejszym klimacie. Nic więc dziwnego, że o wiele bardziej niż inni lubił przebywać na powietrzu.

Już w pierwszych latach swego pobytu na Trantorze zorientował się, że jest wątłej budowy ciała, toteż obawiał się, że wygodny tryb życia może z niego zrobić zupełnego słabeusza. Żeby do tego nie dopuścić, zaczął intensywnie uprawiać ćwiczenia fizyczne, które co prawda nie uczyniły z niego atlety, ale dały mu wigor i energię. Do ćwiczeń tych należały długie marsze i biegi, na co część Mówców patrzyła trochę krzywym okiem. Gendibal jednak nie przejmował się ich gadaniem i robił swoje, chociaż — w przeciwieństwie do reszty Mówców, którzy należeli do drugiego lub trzeciego pokolenia Fundacjonistów, a więc kultywowali pewne tradycje rodzinne — był człowiekiem nowym. Zresztą wszyscy oni byli starsi od niego. Czy więc można się było dziwić, że mruczą na niego?

Zgodnie ze starym zwyczajem, nikt nie krył swych myśli podczas zebrań Stołu Mówców (pozornie, gdyż rzadko się zdarzało, by któryś z Mówców nie zachował jakiegoś kącika prywatności, co oczywiście nie udawało się na dłuższą metę), więc Gendibal wiedział, że uczucie, które do niego żywią, to zawiść. Oni zresztą też o tym wiedzieli, podobnie jak Gendibal, który był w pełni świadom tego, że jego postawa wobec nich jest zdominowana przez niczym nieposkromioną ambicję. O tym też wiedzieli.

Poza rym (umysł Gendibala wrócił do powodów jego wypraw na tereny nieuniwersyteckie) spędził dzieciństwo nie na jakimś ograniczonym kawałku przestrzeni, ale na dużym, otwartym świecie o

bardzo urozmaiconej rzeźbie terenu. Bardzo dobrze pamiętał żyzną dolinę, otoczoną najpiękniejszymi — jego zdaniem — górami w całej Galaktyce. Wyglądały szczególnie pięknie zimą. A zimy były tam wyjątkowo surowe. Nie zapomniał ojczystej planety i uroków — odległego już dzieciństwa. Często śnił o tamtych dniach. Czy w tej sytuacji mógł się dobrowolnie zgodzić na stałe przebywanie na paru dziesiątkach mil kwadratowych zabudowanych starodawnymi gmachami?

Biegnąc patrzył na otoczenie z pewnym lekceważeniem. Trantor był światem o łagodnym, przyjemnym klimacie, ale o monotonnym, nieciekawym krajobrazie. Mimo iż był światem rolniczym, nie był żyzną planetą. I nigdy nią nie był. Być może był to właśnie jeden z czynników, które spowodowały, że stał się centrum administracyjnym pierwszego związku planet, a potem Imperium Galaktycznego. Nie dysponował niczym, co mogłoby predestynować go do innej roli. Nie był na tyle dobry, żeby stać się czymś innym.

Po splądrowaniu Trantora jedyną rzeczą, która umożliwiła mu przetrwanie, były ogromne zasoby metali. Stał się jakby wielką kopalnią, zaopatrującą pół setki innych światów w tanią stal, aluminium, tytan, miedź i magnez, zwracając w ten sposób to, co brał od nich przez tysiące lat i eksploatując swoje zasoby w tempie sto razy szybszym, niż je poprzednio gromadził.

Miał zresztą nadal ogromne zasoby metali, ale znajdowały się one pod ziemią i były trudne do wydobycia. Tutejsi wieśniacy (którzy nigdy nie określali się mianem Trantorczyków, uważając, iż przynosi ono nieszczęście, skutkiem czego ograniczało się ono tylko do członków Drugiej Fundacji) stracili ochotę do zajmowania się metalem. Niewątpliwie był to zwykły przesąd.

Zresztą było to głupie. Metal, który pozostał pod ziemią, mógł zatruwać glebę i jeszcze bardziej obniżać jej żyzność. Ale, z drugiej strony, gospodarstwa były bardzo rozproszone, tak że wszystkie mogły utrzymać się z uprawy roli. No, a poza tym, zawsze jednak sprzedawano innym światom pewne ilości metali.

Gendibal błądził wzrokiem po rozległej, płaskiej aż po horyzont równinie. Na Trantorze, jak niemal na wszystkich zamieszkanych planetach, nadal trwały procesy geologiczne, ale minęło już przynajmniej sto milionów lat od ostatniego poważniejszego okresu górotwórczego. Wszystkie istniejące niegdyś na Trantorze góry zmieniły się, w wyniku erozji, w łagodne wzgórza. Zresztą wiele z nich zostało zrównanych w okresie, kiedy pokrywano planetę metalowym płaszczem.

Na południu, poza zasięgiem wzroku, znajdowała się Zatoka Stołeczna, a za nią rozciągał się Ocean Wschodni. Zarówno zatoka, jak i ocean pojawiły się ponownie po zniszczeniu podziemnych

zbiorników.

Na północy wznosiły się wieżowce Uniwersytetu Galaktycznego, zasłaniające niską, lecz rozległą Bibliotekę (której większa część znajdowała się pod ziemią) i szczątki Pałacu Imperatora, leżącego jeszcze dalej na północ.

Po obu stronach drogi rozciągały się pola, na których tu i ówdzie rozrzucone były budynki gospodarstw. Mijał stada bydła, kóz, kur i innych zwierząt domowych, jakie można było znaleźć w każdym gospodarstwie na Trantorze. Nie zwracały na niego uwagi.

Gendibal pomyślał przelotnie, że zwierzęta te można spotkać w całej Galaktyce, na każdej z ogromnej liczby zasiedlonych planet, i że na żadnych dwu światach nie są one dokładnie takie same. Przypomniał sobie kozy ze swej rodzinnej planety, szczególnie jedną, łagodną kózkę, którą sam doił. Były większe i bardziej uparte niż te małe, filozoficznie nastawione przeżuwacze, które sprowadzono na Trantor po Wielkiej Grabieży. Na zamieszkanych światach Galaktyki wyhodowano prawie nieprzeliczoną liczbę ras wszystkich gatunków zwierząt domowych i na każdej planecie znalazł się zawsze jakiś mądrala, który udowadniał, że ta właśnie konkretna rasa jest najlepsza ze względu na mięso, wełnę, jaja czy jeszcze coś innego.

Jak zwykle, nie było w polu widzenia żadnego Tutejszego. Gendibal miał wrażenie, że wieśniacy celowo unikali spotkania z tymi, których określali mianem „badawców".

Zerknął na słońce. Znajdowało się dość wysoko na niebie, ale j ego promienie nie były palące. W tej szerokości geograficznej panowało zawsze przyjemne ciepło, nie było upałów ani przenikliwego zimna (Gendibalowi nawet brakowało czasami szczypiących mrozów, a może tak mu się tylko wydawało. Od przybycia na Trantor nigdy nie odwiedził swego ojczystego świata. Być może dlatego — przyznawał sam przed sobą — że obawiał się rozczarowania). Czuł przyjemne napięcie rozgrzanych mięśni, zdecydował więc, że starczy już biegu. Zaczął spokojnie iść, oddychając głęboko.

Był teraz gotów stawić czoła walnemu zgromadzeniu Mówców i przeforsować zmianę polityki, zmienić ich nastawienie, by uświadomili sobie zagrożenie narastające ze strony Pierwszej Fundacji i nie tylko, by przestali wreszcie ślepo wierzyć w „bezbłędne" działanie Planu. Kiedy wreszcie zrozumieją, że ta bezbłędność jest właśnie najpewniejszą oznaką zbliżającego się niebezpieczeństwa?

Wiedział, że gdyby przedstawił to ktoś inny, ktokolwiek, byle nie on, to projekt zostałby przyjęty bez większych sprzeciwów. Tak jednak, jak się rzeczy miały, nie obejdzie się bez protestów, ale projekt i tak przejdzie, bo ma poparcie starego Shandessa. Shandess na pewno się nie wycofa, bo nie chciałby figurować w przyszłych podręcznikach

historii jako ten Pierwszy Mówca, za którego kadencji Druga Fundacja straciła swe znaczenie. Tutejszy!

Gendibal był zaskoczony. Wyczuł umysł, zanim zobaczył osobę. Był to umysł Tutejszego — prostacki umysł nieokrzesanego wieśniaka. Gendibal wycofał się ostrożnie z jego jaźni, zostawiając ślad tak nikły, że praktycznie nie do wykrycia. W tym względzie obowiązywały w Drugiej Fundacji surowe zasady. Wieśniacy nieświadomie tworzyli osłonę dla nich. Musieli pozostać nietknięci, a w każdym razie należało ingerencje ograniczyć do niezbędnego minimum.

Nikt, kto przybywał na Trantor w celach handlowych czy turystycznych, nie widział nigdy nikogo poza wieśniakami i ewentualnie paroma żyjącymi przeszłością uczonymi. Wystarczyło usunąć wieśniaków albo zacząć ingerować w ich psychikę, by owi uczeni zaczęli nagle być widoczni. Skutki byłyby straszliwe. (Było to jedno z klasycznych ćwiczeń, które nowo przyjęci na uniwersytet musieli rozwiązać sami. Pierwszy Radiant pokazywał, że dewiacje, do których doszłoby w wyniku niewielkiej nawet ingerencji w psychikę wieśniaków, byłyby ogromne.)

Gendibal ujrzał go. Był to na pewno wieśniak, stuprocentowy Tutejszy. Wydawał się prawie karykaturą chłopa trantorskiego — wysoki, potężny w ramionach, o ogorzałej cerze, ciemnych włosach i oczach. Poruszał się niezgrabnie, wielkimi krokami. Miał na sobie prosty ubiór z grubego materiału. Ramiona miał gołe. Gendibalowi wydawało się, że cały przesiąknięty jest zapachem obory. (Tylko bez wyższości — pomyślał. — Preem Palver nie miał nic przeciwko graniu roli wieśniaka, kiedy okazało się to potrzebne dla zrealizowania jego planu. Zresztą było w nim coś z wieśniaka — był niski i przysadzisty. To jego umysł, nie wygląd, wprowadził w błąd kilkunastoletnią Arkadię.)

Wieśniak szedł w jego kierunku, stąpając ciężko i patrząc mu prosto w twarz — co spowodowało, że Gendibal zmarszczył czoło. Żaden Tutejszy ani Tutejsza nie odważyli się nigdy patrzeć na niego w ten sposób. Nawet dzieci uciekały i przyglądały się dopiero z bezpiecznej odległości.

Gendibal nie zwolnił kroku. Było dość miejsca, żeby minąć tamtego bez słowa, a nawet bez patrzenia na niego i zdecydował się, że tak będzie najlepiej. Postanowił trzymać się z daleka od umysłu wieśniaka.

Zszedł na bok drogi, ale wieśniak wyraźnie nie miał zamiaru go minąć. Stanął, rozstawił szeroko nogi, rozpostarł potężne ramiona, jakby chciał mu zagrodzić przejście i rzekł tubalnym głosem: — Hej, ty! Ty badawca?

Wbrew swemu wcześniejszemu postanowieniu, Gendibal nie mógł się powstrzymać od wysondowania zamiarów chłopa. Wyczuł w nim

wyraźną chęć do zwady. Zatrzymał się. Nie mógł w tej sytuacji przejść bez słowa, choć rozmowa z wieśniakiem musiała być, sama w sobie, bardzo męcząca. Dla kogoś, kto jak on przywykł do bezpośredniej, szybkiej i precyzyjnej wymiany myśli, kto w niewielkim stopniu korzystał z głosu, mimiki i gestów, wypowiadanie się tylko za pomocą kombinacji słów było czynnością bardzo uciążliwą. Było to zupełnie tak, jakby próbował podważyć głaz ramieniem, gdy tymczasem tuż obok leżał i aż prosił się o użycie poręczny łom.

— Tak, jestem badaczem — powiedział spokojnym głosem, starannie ukrywając zniecierpliwienie i gniew, Gendibal.

— Ooo! Jestem badawco… Po jakiemu to gada! Co, ja oczów ni mam, czy co? Toć widzę, że badawca. Jestem badawco! — pochylił nagle głowę w szyderczym ukłonie. — Taki blady chudziak z pomarszczono gembo, co się tak wypina, to niby chto ma być?

— Czego chcesz ode mnie, Tutejszy? — spytał Gendibal, nie zmieniając tonu.

— Rufirant mnie wołają. Karoll — mówił osiłek z coraz silniejszym tutejszym akcentem, gardłowo wymawiając „r”.

— Czego ode mnie chcesz, Karollu Rufirant? — powtórzył Gendibal.

— A ciebie, badawca, jak wołają?

— A co to ma do rzeczy? Możesz dalej mówić do mnie „badawca”.

— Jak się pytam, chudziaku, to musi, co ma do rzeczy.

— No dobrze. Jestem Stor Gendibal. A teraz muszę już iść do swojej pracy.

— Do jakiej pracy?

Gendibal poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Czuł inne umysły. Nie musiał się odwracać. Wiedział, że stoi za nim jeszcze trzech Tutejszych. A dalej byli jeszcze inni. Zapach, który wydzielali, stawał się coraz bardziej intensywny.

— Nic ci do mojej pracy, Karollu Rufirant.

— Tak gadasz? Chłopy, on gada, co nic nam do jego pracy!

Z tylu rozległ się śmiech, a potem ktoś powiedział: — Dobrze gada, bo się babra w ksionżkach i pucuje konfuter. To nie je robota la chłopa.

— Nieważne, czym się zajmuję. Teraz idę do swojej pracy — rzekł stanowczo Gendibal.

— Taa? A jak niby to zrobisz, chudziaku? — zarechotał Rufirant.

— Zwyczajnie. Pójdę dalej przed siebie.

— A jak ja cię zatrzymie, to co? Ni masz stracha?

— Wy mnie zatrzymacie? A może ty sam jeden? — Gendibal przeszedł nagle na gwarę Tutejszych. — Ni masz stracha?

Prawdę mówiąc, nie powinien był się tak odzywać, gdyż mógł w

ten sposób jeszcze bardziej rozdrażnić osiłka, ale jeśli chciał uniknąć bezpośredniej ingerencji w ich umysły, to nie mógł dopuścić do tego, by rzucili się na niego wszyscy naraz.

Podziałało. Twarz Rufiranta wydłużyła się. — Jak tu chto ma stracha, to ty. Chłopy, zróbta miejsce. Odsuńta się, niech przejdzie i zobaczy, czy ja mam stracha. — Rozłożył swe potężne ramiona i odsunął resztę na boki.

Gendibal nie obawiał się pięściarskich umiejętności przeciwnika, ale zawsze istniała możliwość, że na jego szczęce wyląduje potężny cios. Podszedł do niego ostrożnie, zająwszy się jednocześnie delikatnie jego mózgiem. Nie zmienił w nim wiele — było to zaledwie muśnięcie — ale wystarczyło, by spowolnić reakcje tego akurat fałdu, który decydował o walce. Potem szybko wycofał się i zajął się resztą Tutejszych, których przybywało coraz więcej. Myśl Gendibala uderzała precyzyjnie i szybko wycofywała się, nie zatrzymując się w żadnym z mózgów na tyle długo, by zostawić jakiś ślad jego ingerencji, ale wystarczająco długo, by wykryć tam coś, co mogłoby mu się przydać.

Zbliżał się do wieśniaka jak kot, stąpając miękko i ostrożnie. Był czujny, ale jednocześnie rozluźniony, gdyż wiedział, że nikt inny nie wmiesza się do bójki.

Rufirant nagle uderzył potężnie, ale Gendibal odczytał ten zamiar w jego mózgu, zanim zdążył się napiąć choćby jeden jego mięsień i zrobił unik. Cios przeszedł tuż obok głowy. Gendibal stał nietknięty. Reszta wydala przeciągłe westchnienie.

Gendibal nie próbował odparować ciosu ani odpowiedzieć kontratakiem. Nie mógł zablokować uderzenia nie ryzykując przy tym sparaliżowania całej ręki, a kontratak nie zdałby się na nic, bo wieśniak wytrzymałby jego cios bez trudu.

Mógł tylko robić uniki, jak przed atakiem rozjuszonego byka. Mogło to zawstydzić przeciwnika i sprawić, że da mu spokój, podczas gdy jakiekolwiek uderzenie rozjuszyłoby, go na pewno jeszcze bardziej.

Rufirant jednak nie dawał za wygraną. Pieniąc się i rycząc z wściekłości, usiłował dosięgnąć Gendibala. Ten jednak uprzedzał każdy cios, odchylając się albo odskakując na boki. Cios — unik. Cios — unik.

Oddech Gendibala stawał się coraz bardziej świszczący. Walka nie wymagała z jego strony dużego fizycznego wysiłku, ale ciągłe, śledzenie pracy mózgu Rufiranta z zachowaniem ostrożności, by nie zostawić tam żadnych śladów ingerencji, było niezwykle wyczerpujące. Wiedział, że nie wytrzyma już długo.

Powiedział więc, starając się, by wypadło to jak najbardziej spokojnie i jednocześnie próbując jak najdelikatniej wpłynąć na mechanizm blokujący uczucie strachu, by wyzwolił stłumiony teraz co

prawda, ale na pewno głęboko zakodowany w umyśle Rufiranta przesądny lęk przed badaczami:

— Teraz idę do swojej pracy.

Twarz Rufiranta wykrzywił grymas wściekłości, ale na chwilę osiłek zastygł w bezruchu. Gendibal śledził jego myśli. „Ten chudziak — badawca rozpływa się w powietrzu… to jakieś czary". Gendibal czuł, że w umyśle Rufiranta rodzi się lęk i za chwilę…

Ale nagły przypływ wściekłości stłumił lęk. Rufirant wrzasnął:

— Chłopy! Badawca się miga. Skaka, robi uniki i śmieje się z nas. Nie bije się jak chłop. Złapta go i trzymajta. Bedziem się bić po naszemu. Cios za cios. Niech on wali pierwszy, ja będę… ja będę ostatni.

Gendibal dostrzegł luki w otaczającej go ciżbie. Jego jedyną szansą było utrzymanie jakiejś luki na tyle długo, by zdążył się wymknąć i uciec, ufając swej szybkości i umiejętności powstrzymania na moment wieśniaków przed udaniem się za nim w pościg.

Jego myśli uwijały się wśród wieśniaków, to doskakując, to cofając się, aż wydawało mu się, że mózg drętwieje mu z wysiłku.

Na próżno. Było ich zbyt wielu, a bezwzględna konieczność ścisłego przestrzegania zasad obowiązujących członków Drugiej Fundacji nie pozwalała na podjęcie bardziej stanowczej akcji.

Poczuł dłonie na ramionach. Mieli go.

Musiałby opanować przynajmniej kilka mózgów. Byłoby to niewybaczalne pogwałcenie zasad i koniec jego kariery. Ale zagrożone było jego życie, już nie kariera, lecz życie.

Jak mogło dojść do tego?

24.

Otwarcie posiedzenia Stołu Mówców przeciągało się, bo członkowie nie stawili się w komplecie.

Nie było zwyczaju czekać na spóźnionych Mówców. Zresztą, tak czy inaczej, zgromadzeni nie mieli na to ochoty. Stor Gendibal był najmłodszy z nich, a w dodatku zdawał się nie dostrzegać tego faktu albo nie rozumieć jego konsekwencji. Zachowywał się tak, jakby młodość była cnotą samą w sobie, a wiek dojrzały i podeszły dyskwalifikował człowieka, w każdym razie pozwalał go lekceważyć. Gendibal nie cieszył się sympatią innych Mówców. Szczerze mówiąc, on, Shandess, też nie darzył go zbytnią sympatią.

Ale nie sympatia miała być tematem obrad.

Jego rozmyślania przerwała Delora Delarmi. Patrzyła na niego swymi dużymi niebieskimi oczami. Wyglądała jak wcielenie niewinności, ale jej okrągła, przyjazna twarz kryła (przed wszystkimi oprócz towarzyszy z Drugiej Fundacji) przenikliwy umysł zdolny do niezwykłej koncentracji i niemiły charakter.

— Czekamy jeszcze, Pierwszy Mówco? — spytała z uśmiechem (zebranie formalnie jeszcze się nie rozpoczęło, mogła więc zacząć rozmowę, choć inny Mówca może zaczekałby, aż zabierze głos Shandess, któremu należało się to z racji jego stanowiska potwierdzonego tytułem.)

Mimo jej niezbyt uprzejmego odezwania, Shandess spojrzał na nią rozbrajająco.

— W normalnej sytuacji nie czekalibyśmy, Mówco Delarmi, ale ponieważ zebraliśmy się tu specjalnie po to, aby wysłuchać Mówcy Gendibala, wypada zrobić pewne odstępstwo od reguł i zaczekać.

— A gdzie on teraz jest, Pierwszy Mówco?

— Tego nie wiem, Mówco Delarmi.

Delarmi popatrzyła na twarze siedzących wokół prostokątnego stołu. Był tam Pierwszy Mówca i dziesięciu (a powinno być jedenastu) pozostałych członków Stołu. Cały Stół składał się zaledwie z dwunastu osób. W ciągu pięciuset lat Druga Fundacja wzrosła w siłę, rozszerzyły się jej wpływy i obowiązki, ale rada nadal liczyła dwanaście osób.

Było ich dwunastu po śmierci Seldona, kiedy ustanowił ten organ drugi z kolei Pierwszy Mówca (Seldon był zawsze uważany za pierwszego), i dwunastu pozostało. Nie powiodły się żadne próby zwiększenia składu Stołu.

Dlaczego akurat dwunastu? Liczba ta dawała się łatwo podzielić na grupy o identycznej liczebności. Zatem rada była wystarczająco mała, aby mogła się zbierać w całości i wystarczająco duża, aby pracować w podgrupach. Gdyby członków było więcej, rada byłaby

zbyt ociężała i mało sprawna, gdyby ich było mniej, byłaby za mało elastyczna.

Takie były oficjalne wyjaśnienia. W rzeczywistości nikt naprawdę nie wiedział, dlaczego zdecydowano się na tę właśnie liczbę ani dlaczego musiała ona pozostać niezmienna. No cóż, nawet Druga Fundacja mogła być bardzo przywiązana do pewnych tradycji.

Rozmyślania te zajęły Delarmi dokładnie tyle czasu, ile potrzebowała na to, aby obrzucić spojrzeniem wszystkie twarze i ogarnąć myślą wszystkie umysły, czyli jedną chwilę. Na koniec popatrzyła szyderczo na puste miejsce, miejsce dla najmłodszego członka rady.

Stwierdziła z zadowoleniem, że Gendibal nie cieszy się sympatią członków rady. Zawsze uważała, że ma on akurat tyle wdzięku, co stonoga i że powinien być jak stonoga traktowany. Jak dotąd, tylko jego niekwestionowany przez nikogo talent powstrzymywał Mówców od otwartego wystąpienia z wnioskiem o usunięcie go ze składu rady (w całej pięćsetletniej historii Drugiej Fundacji zdarzyły się tylko dwa wypadki postawienia Mówców w stan oskarżenia, ale żadnemu z nich nie udowodniono winy).

Jednakże tak oczywiste zlekceważenie rady jak opuszczenie jej posiedzenia było wykroczeniem poważniejszym niż jakakolwiek zniewaga i Delarmi z satysfakcją stwierdziła, że nastroje zebranych zbliżyły się do punktu, w którym żądanie przeprowadzenia rozprawy nad Gendibalem będzie sprawą chwili.

— Pierwszy Mówco — powiedziała — jeśli nie wiesz, gdzie znajduje się Mówca Gendibal, to z chęcią poinformuję cię o tym.

— Słucham.

— Któż spośród nas nie wie, że ten młody człowiek (mówiąc o nim, pominęła jego tytuł, co oczywiście zostało przez wszystkich zauważone) ma stale jakieś konszachty z Tutejszymi? Nie wnikam w to, jakiego rodzaju są to sprawy, ale jest teraz wśród nich i, jak widać, uważa to za ważniejsze niż posiedzenie rady.

— Zdaje mi się — odezwał się któryś z Mówców — że on po prostu uprawia biegi czy marsze, traktując to jako pewnego rodzaju ćwiczenia fizyczne.

Delarmi znów się uśmiechnęła. Lubiła się uśmiechać. Nic to ją nie kosztowało. — Uniwersytet, Biblioteka, pałac i cały rejon wokół tych budynków należą do nas. W porównaniu z całą planetą, jest to co prawda obszar niewielki, ale — myślę — wystarczająco duży dla uprawiania ćwiczeń fizycznych. Pierwszy Mówco, — nie moglibyśmy już zacząć?

Pierwszy Mówca westchnął w głębi duszy. Miał wystarczające uprawnienia, aby zmusić radę do dalszego czekania, a nawet odroczyć zebranie do czasu, aż zjawi się Gendibal. Jednakże żaden Pierwszy

Mówca nie mógł działać sprawnie bez przynajmniej biernego poparcia innych Mówców, więc zawsze lepiej było nie irytować ich. Nawet Preem Palver bywał czasami zmuszony uciekać się do pochlebstw, by przeprowadzić swój projekt. A poza tym nieobecność Gendibala zaczynała denerwować nawet Pierwszego Mówcę. Ten młody Mówca mógłby wreszcie pojąć, że sam nie stanowi praw dla siebie.

Więc teraz przemówił już oficjalnie jako Pierwszy Mówca, jako ten, który zabiera głos pierwszy:

— Zaczniemy. Mówca Gendibal przedstawił kilka wstrząsających wniosków, do których doszedł na podstawie analizy danych Pierwszego Radianta. Uważa on, że istnieje jakaś organizacja, która dba o realizację Planu Seldona bardziej skutecznie niż my i czyni to dla swoich własnych celów. Dlatego musimy, jego zdaniem, dowiedzieć się czegoś więcej o tej organizacji i przedsięwziąć środki obrony. Wszyscy zostaliście o tym poinformowani, a to zebranie ma wam dać możliwość zwrócenia się do Mówcy Gendibala z ewentualnymi pytaniami oraz posłużyć nam dla wypracowania wytycznych co do naszej przyszłej polityki.

Prawdę mówiąc, nie musiał mówić aż tyle. Myślał otwarcie, więc wszyscy wiedzieli, o co chodzi.

Jego przemówienie było po prostu kurtuazyjnym gestem.

Delarmi rozejrzała się szybko. Pozostała dziesiątka wydawała się zadowolona, że wzięła na siebie rolę rzecznika przeciwników Gendibala. — Ale Gendibal (znowu opuściła jego tytuł) nie wie i nie potrafi powiedzieć, co to za organizacja ani kto ją stworzył — rzekła.

Było to niedwuznaczne, niemal obraźliwe stwierdzenie i znaczyło tyle, co „Po co tyle gadasz, i tak wiem, co myślisz".

Pierwszy Mówca oczywiście natychmiast zrozumiał jej intencje, ale szybko zdecydował, że lepiej będzie zignorować obelgę.

— Fakt, że Mówca Gendibal (w przeciwieństwie do Delarmi, Shandess ani razu nie pominął jego tytułu, ale też nie podkreślał tego faktu, akcentując ów tytuł zbyt mocno) nie wie i nie potrafi powiedzieć, co to za organizacja, nie znaczy, że organizacja taka nie istnieje. Ludzie z Pierwszej Fundacji przez bardzo długi czas absolutnie nic o nas nie wiedzieli, a i teraz wiedzą prawie tyle, co nic. Czy to znaczy, że my nie istniejemy?

— Z tego, że nic o nas nie wiedzą, chociaż istniejemy, wcale nie wynika, że po to, żeby coś istniało wystarczy, żeby nikt o tym nic nie wiedział — powiedziała Delarmi i roześmiała się beztrosko.

— Faktycznie. I właśnie dlatego trzeba dokładnie przeanalizować twierdzenie Mówcy Gendibala. Opiera się ono na ścisłych wyliczeniach, które sam przestudiowałem i z którymi wy wszyscy też powinniście się zapoznać. Usilnie was o to proszę. Nie jest to wywód (zastanawiał się przez ułamek sekundy nad doborem stanu umysłu,

który najlepiej oddawałby jego zdanie) nieprzekonywający.

— A ten człowiek z Pierwszej Fundacji, Golan Trevize, o którym myślisz, ale którego nie wymieniasz? — spytała Delarmi. (Był to kolejny nietakt i tym razem Pierwszy Mówca nieco się zarumienił.) — Co on ma z tym wspólnego?

— Zdaniem Mówcy Gendibala — odparł Shandess — ten człowiek, Trevize, jest narzędziem, być może nieświadomym, w rękach tej organizacji i dlatego musimy na niego zwrócić uwagę.

— Jeśli — powiedziała Delarmi, poprawiając się na krześle i odgarniając z czoła swe siwiejące włosy — ta organizacja istnieje, bez względu na to, czym faktycznie jest, jeśli dysponuje tak potężnymi i niebezpiecznymi dla nas możliwościami wpływania na psychikę innych i jeśli się tak starannie kryje, to dlaczego miałaby się posłużyć tak otwarcie osobą tak znaną jak radny z Pierwszej Fundacji? Czy to prawdopodobne?

— Można by pomyśleć, że nie — odparł poważnie Pierwszy Mówca. — A jednak zauważyłem coś bardzo niepokojącego. Nie rozumiem tego. — Niemal bezwiednie ukrył tę myśl, jakby zawstydzony, że mogą ją zauważyć.

Zauważyli to wszyscy Mówcy i, zgodnie z rygorystycznie przestrzeganą zasadą, uszanowali jego prawo do ukrycia uczucia wstydu. Zrobiła to również Delarmi, ale z wyraźną irytacją. Powiedziała, używając wymaganej w takiej sytuacji formułki: — Prosimy, żebyś podzielił się z nami swoimi myślami, jako że rozumiemy i wybaczamy twoje zawstydzenie.

— Tak jak wy — rzekł na to Pierwszy Mówca — nie rozumiem na jakiej podstawie można podejrzewać radnego Trevize o to, że jest narzędziem w rękach innej organizacji. Nie rozumiem też w jakim celu mieliby się nim posłużyć, gdyby rzeczywiście był ich narzędziem. Jednak Mówca Gendibal wydaje się całkowicie pewny swego, a nie można lekceważyć intuicyjnego przeczucia u kogoś, kto został przygotowany do roli Mówcy. Dlatego też spróbowałem zastosować Plan do Trevizego.

— Do jednej osoby? — spytał któryś z Mówców z zaskoczeniem i z miejsca wyraził skruchę za towarzyszącą pytaniu myśl, która była dokładnym odpowiednikiem okrzyku „Co za głupiec!”.

— Do jednej osoby — odparł Pierwszy Mówca. — Masz rację. Co za głupiec ze mnie! Wiem bardzo dobrze, że Plan nie może być stosowany w odniesieniu do pojedynczych osób ani nawet w odniesieniu do niewielkich grup ludzi. Niemniej, byłem ciekaw. Wyekstrapolowałem interpersonalne punkty przecięcia znacznie poza dopuszczalne granice, ale zrobiłem to na szesnaście różnych sposobów. Uzyskałem w ten sposób coś, co można raczej określić mianem rejonu niż punktu. Potem wykorzystałem wszystko, co wiemy

o Trevizem — radny Pierwszej Fundacji nie jest osobą zupełnie nieznaną — i o burmistrzu Fundacji. Następnie wrzuciłem to wszystko razem, pomieszane — obawiam się — jak groch z kapustą… — przerwał.

— No i? — spytała Delarmi. — Wnoszę z tego, że… Czy wyniki były zaskakujące?

— Jak można było przypuszczać, nie było żadnych wyników — odparł Pierwszy Mówca. — Nic nie można zrobić, jeśli chodzi o pojedynczą osobę, a jednak… a jednak…

— A jednak co?

— Od czterdziestu lat analizuję wyniki i doszedłem do tego, że zupełnie wyraźnie przeczuwam, jakie one będą, zanim jeszcze je uzyskam. Bardzo rzadko zdarza mi się pomylić. Otóż w tym przypadku, mimo iż nie uzyskałem żadnych wyników, czuję, że Gendibal ma rację i że nie można Trevizego zostawić samego sobie.

— A dlaczegóż to, Pierwszy Mówco? — spytała Delarmi, wyraźnie zaskoczona intensywnością tego uczucia promieniującą od Pierwszego Mówcy.

— Wstyd mi — rzekł Pierwszy Mówca — że uległem pokusie użycia Planu do celu, do którego nie jest przeznaczony. Wstyd mi, że pozwalam sobie kierować się czystą intuicją… Ale muszę tak postępować, bo jestem o tym wewnętrznie przekonany. Jeśli Mówca Gendibal ma rację, jeśli grozi nam niebezpieczeństwo z niewiadomego kierunku, to czuję, że gdy nadejdzie czas rozstrzygnięć, osobą, która będzie miała w ręku atutową kartę i rozegra ją, będzie właśnie Trevize.

— A na jakiej podstawie opierasz to przeczucie. Pierwszy Mówco? — spytała zaskoczona Delarmi.

Pierwszy Mówca, Shandess popatrzył na zebranych z przygnębieniem. — Niestety, nie mam do tego żadnych racjonalnych podstaw. Obliczenia psychohistoryczne nic nie wykazały, ale kiedy śledziłem grę zależności różnych czynników, wydało mi się, że kluczem do wszystkiego jest Trevize. Trzeba uważać na tego młodego człowieka.

25.

Gendibal wiedział, że nie zdąży wrócić przed rozpoczęciem posiedzenia Rady. Być może nigdy już nie wróci.

Trzymali go mocno. Rozpaczliwie starał się zorientować, jak najlepiej zmusić ich do puszczenia go.

Stanął przed nim Rufirant z triumfującą miną.

— No co, badawca, możem zaczynać? Cios za cios, po tutejszemu. No to ju, ty mniejszy, to wal pierwszy.

— A ciebie kto będzie trzymał, jak mnie tu trzymią? — powiedział Gendibal.

— Puśćta go — rzekł Rufirant. — Nie, nie. Tyło rence. Puśćta rence, ale trzymajta za nogi. Co by nie skakał.

Gendibal czuł się tak, jakby przyszpilono go do ziemi. Ręce miał wolne.

— No wal, badawca! — krzyknął Rufirant. — Uderz mnie.

I właśnie w tym momencie umysł Gendibala znalazł coś, czego mu było trzeba — oburzenie, litość i uczucie, że dzieje się niesprawiedliwość. Nie miał wyboru — musiał zaryzykować i bezpośrednio wzmocnić to uczucie, a potem improwizować w oparciu o…

Nie było takiej potrzeby. Nie zdążył nawet dotknąć tego umysłu, a mimo to reakcja była taka, jakiej sobie życzył. Dokładnie taka.

Zauważył nagle niewielką, krępą postać o długich, splątanych czarnych włosach i wyciągniętych rękach, która przepychała się gwałtownie w stronę jego przeciwnika.

Była to kobieta. Gendibal pomyślał ponuro, że fakt, iż zdał sobie sprawę z jej obecności dopiero w chwili kiedy ją zobaczył, najlepiej świadczył o jego napięciu i zaabsorbowaniu sytuacją.

— Rufirant! — wrzasnęła na wieśniaka. — Taki byk i taki tchórz! Cios za cios, po tutejszemu? Toć ty dwa razy wienkszy od tego badawcy. Ze mno by ci poszło trudniej! A to ci dopiro chwała stłuc takiego kurdupla! Bedo cię pokazować palcamy i gadać „Ło, to ten Rufirant, co leje dzieciaków”. Śmiać się z ciebie bedo, nicht porzondny się z tobo nie napije i żadna dziewucha nie będzie chciała z tobo gadać.

Rufirant próbował powstrzymać ten potok słów, zasłaniając się przed jej ciosami i mówiąc pojednawczo: — No co ty, Sura. No co ty, Sura.

Gendibal uświadomił sobie, że nikt go już nie trzyma, że Rufirant już nie patrzy na niego, że umysły zebranych nie są już zwrócone na niego.

Sura też nie zwracała na niego uwagi. Jej wściekłość skupiła się

tylko na Rufirancie. Doszedłszy do siebie, Gendibal zastanawiał się jakich użyć środków, aby podtrzymać jej wściekłość i spotęgować uczucie wstydu ogarniające umysł Rufiranta, nie zostawiając przy tym żadnego śladu swojej ingerencji, ale i tym razem okazało się, że nie ma takiej potrzeby.

— Cofnijta się wszystkie — powiedziała jego wybawicielka. — Patrzajta no, to nie wystarczy, że ten byk Rufirant je jak olbrzym przy tym głodomorze, ale jeszcze pomaga mu z pieńciu abo i sześciu chłopów. No, idźta tera do domu się chwalić jakie z was bohatery, jak lejeta dzieciaków! Idź jeden z drugim i powiedz: „Ja trzymał tego kurdupla za renkie, jak Rufirant walnoł go w pysk". A ty powiedz: „Ale ja go trzymał za nogie, to i ja sławny". A ty, Rufirant, powiedz: „Ja go nie mog sam dostać, ale moje kumple go przytrzymali we sześciu i dał ja mu manto".

— Ale co ty, Sura — prawie jęknął Rufirant — ja jemu powiedział, co by on lał pierwszy.

— No i bojał ty się jego cienkich renków, co? Chodźta. Niech se idzie, dzie ma iść, a wy wracajta do domów, żeli was tam bedo chcieli widzieć. Chcielibyśta teraz, żeby nalepi zapomnieli jakie z was bohatery. Akurat! Jak mnie jeszcze barziej zgniewa — ta, to się wszystkie naobkoło o tem dowiedzo.

Oddalili się grupkami, cicho i ze spuszczonymi głowami, nie oglądając się za siebie.

Gendibal popatrzył za nimi, a potem przeniósł wzrok na kobietę. Była ubrana w bluzę i spodnie, na nogach miała proste obuwie. Jej twarz była mokra od potu. Ciężko oddychała. Miała dość duży nos, ciężkie piersi (co było widać mimo luźnej bluzy) i gołe, muskularne ramiona. No cóż, kobiety tutejsze pracowały w polu razem z mężczyznami.

Patrzyła na niego surowo, ująwszy się pod boki. — No, badawca, czemu tu jeszcze stoisz. Idź do Miejsca Badawców. Boisz się? Chcesz, żeby cię odprowadzić?

Gendibal czuł zapach potu bijący od dawno nie pranej odzieży, ale w tych okolicznościach byłoby grubiaństwem i niewdzięcznością okazać, że budzi w nim to wstręt.

— Dziękuję, panno Sura…

— Nazywam się Novi — powiedziała szorstko. — Sura Novi. Może mówić Novi. Nie trza nic dodawać.

— Dziękuję ci, Novi. Bardzo mi pomogłaś. Cieszę się, że chcesz mnie odprowadzić, ale nie dlatego, że się boję, tylko dlatego, że to będzie dla mnie prawdziwa przyjemność. — Ukłonił się z wdziękiem, jak gdyby była młodą damą z uniwersytetu.

Novi zarumieniła się. Zawahała się chwilę, a potem, starając się naśladować go, oddała mu niezgrabnie ukłon. — Przyjemność …

będzie po mojej stronie — powiedziała wolno, jakby szukając słów, które dobrze wyraziłyby, co czuje i pokazały, że nie jest pozbawiona ogłady.

Poszli spacerkiem. Gendibal zdawał sobie sprawę z tego, że każdy krok w tym tempie coraz bardziej zwiększa jego i tak niewybaczalne spóźnienie na zebranie, ale ponieważ zdążył już sobie przemyśleć to, co się wydarzyło, fakt, że spóźnienie rośnie, napawał go zimną satysfakcją.

Zaczęły się już wyłaniać z oddali budynki uniwersyteckie, kiedy Sura zatrzymała się i rzekła z ociąganiem: — Panie badawca…

Gendibal pomyślał, że w miarę jak zbliżają się do tego, co określała mianem Miejsca Badawców, stawała się coraz grzeczniejsza. Naszła go ochota, aby powiedzieć „Nie mówisz już do mnie «kurduplu»?", ale powstrzymał się, gdyż na pewno niesamowicie by ją to zmieszało.

— Słucham, Novi.

— Barzo pienknie i bogato je w Miejscu Badawców?

— Jest przyjemnie — odparł Gendibal.

— Ja se tak kiedyś roiła, co ja je tam. I… i co ja jest badawca.

— Kiedyś pokażę ci je — rzekł Gendibal uprzejmie.

Jej spojrzenie wymownie świadczyło, że nie wzięła tego za zwykłą uprzejmość. — Ja umie pisać — powiedziała. — Nauczyciel mię nauczył. Jak napisze list do was — starała się, by zabrzmiało to obojętnie — to co mam zaznaczyć, żeby do was doszedł?

— Po prostu „Dom Mówców, pokój nr 27". Na pewno dojdzie. Ale teraz muszę już iść, Novi.

Ponownie ukłonił się i ponownie starała się naśladować jego ruch. Poszli w przeciwnych kierunkach i Gendibal z miejsca przestał o niej myśleć. Teraz myślał o posiedzeniu Stołu Mówców, a szczególnie o Mówczyni Delorze Delarmi. Jego myśli nie były przyjazne.

Rozdział VIII
WIEŚNIACZKA

26.

Mówcy siedzieli wokół stołu, schowani za swymi ekranami psychicznymi. Wyglądało to tak, jakby na dany znak schowali swe umysły, aby nie urazić Pierwszego Mówcy tym, co sobie o nim pomyśleli, usłyszawszy jego zdanie na temat Trevizego. Spoglądali ukradkiem w stronę Mówczyni Delarmi i to już było bardzo wymowne. Była ona najbardziej z nich wszystkich znana z braku szacunku dla przyjętych zasad. Nawet Gendibal lepiej udawał, że przestrzega konwenansów.

Delarmi widziała te spojrzenia i zdawała sobie sprawę, że nie ma innego wyboru niż stawić czoła wyzwaniu i spróbować się odnaleźć w tej niesamowitej sytuacji. Zresztą, prawdę mówiąc, nie chciała się uchylać przed tym, czego od niej oczekiwali. W całej historii Drugiej Fundacji nie zdarzyło się nigdy, by Pierwszemu Mówcy postawiono zarzut błędnego rozeznania sytuacji (to sformułowanie było wymyślonym przez nią eufemizmem na określenie tego, czego nikt otwarcie nie ośmieliłby się stwierdzić, a mianowicie niekompetencji). Teraz stało się to możliwe. Za nic nie cofnęłaby się przed postawieniem takiego zarzutu.

— Pierwszy Mówco! — powiedziała łagodnie. Jej cienkie, blade wargi jeszcze bardziej niż zwykle stopiły się w jedno z ogólną bladością jej twarzy.

— Sam powiedziałeś, że nie możesz oprzeć swej opinii na żadnych racjonalnych podstawach, że obliczenia psychohistoryczne nic nie wykazały. Czy chcesz, żebyśmy podjęli przełomową decyzję w oparciu o jakieś mistyczne przeczucia?

Pierwszy Mówca podniósł głowę i zmarszczył czoło. Czuł, że wszyscy schowali się za swoimi ekranami. Wiedział, co to oznacza. Powiedział zimno:

Nie kryję tego, że nie mam dowodów. Nie ofiarowuję wam niczego fałszywie. To, co wam daję, to intuicyjne, lecz silne przeczucie Pierwszego Mówcy o kilkudziesięcioletnim doświadczeniu, który niemal całe życie spędził analizując dokładnie Plan Seldona. — Rozejrzał się wokół, spoglądając na Mówców z rzadko u niego widywaną dumą i stanowczością, i ekrany psychiczne z wolna zmiękły i, jeden po drugim, opadły. Ekran Delarmi (kiedy zwrócił się w jej stronę) opadł jako ostatni.

Powiedziała z rozbrajającą szczerością, która wypełniła jej umysł, jakby nigdy nie było tam nic innego:

— Oczywiście przyjmuję twoje stwierdzenie, Pierwszy Mówco. Niemniej sądzę, że mógłbyś je być może raz jeszcze przemyśleć. Gdy myślisz o tym teraz, przyznawszy już, że wstyd ci polegać na intuicji,

może życzyłbyś sobie, by twoje uwagi zostały wymazane z zapisu obrad… jeśli, twoim zdaniem, powinny by one…

Przerwał jej głos Gendibala:

— Co to za uwagi, które powinny zostać wymazane z zapisu?

Oczy wszystkich, jak na komendę, zwróciły się na niego. Gdyby w krytycznej chwili nie kryli się byli za swoimi ekranami, wyczuliby, że nadchodzi, jeszcze zanim znalazł się w drzwiach.

— A więc przed chwilą wszyscy kryli się za ekranami? Nikt nie wyczuł mego nadejścia? — spytał drwiąco Gendibal. — Jakież banalne jest to dzisiejsze posiedzenie Stołu. Nikt nie czuwał, żeby być gotowym na moje przyjście? A może wszyscy byliście pewni, że nie przyjdę?

Ten wybuch był jaskrawym pogwałceniem wszystkich reguł. Już to, że Gendibal spóźnił się, było naganne. To, że przybył bez zapowiedzi, jeszcze bardziej. A już najgorsze było to, że odezwał się, zanim Pierwszy Mówca oficjalnie stwierdził jego obecność.

Pierwszy Mówca odwrócił się w jego stronę. Wszystko inne zostało odsunięte na bok. Najważniejsza stała się sprawa dyscypliny.

— Mówco Gendibal — powiedział — spóźniłeś się. Przybyłeś bez zapowiedzi. Zabierasz głos nieproszony. Powinieneś zostać zawieszony w prawach Mówcy na okres trzydziestu dni. — Czy masz coś na swoje usprawiedliwienie?

— Oczywiście. Sprawa zawieszenia mnie w prawach Mówcy nie powinna być w ogóle rozpatrywana, zanim nie ustalimy, kto postarał się o to, żebym na pewno się spóźnił i dlaczego to zrobił — słowa Gendibala były spokojne i wyważone, ale umysł miał przepełniony gniewem i nie zwracał uwagi na to, że ktoś może to wyczuć.

Wyczuła to na pewno Delarmi. Powiedziała gwałtownie:

— Ten człowiek jest szalony!

— Szalony? To ta kobieta jest szalona, żeby tak mówić. Albo świadoma winy… Pierwszy Mówco, proszę o zapewnienie, że nie zostaną w stosunku do mojej osoby wyciągnięte żadne konsekwencje za to, co teraz powiem.

— Co chcesz powiedzieć?

— Pierwszy Mówco, oskarżam jedną z obecnych tu osób o usiłowanie popełnienia morderstwa.

Zdawało się, że w tym momencie pokój eksplodował. Wszyscy Mówcy poderwali się na równe nogi. W rozgardiaszu słów, min, gestów i myśli nie można było nic rozróżnić.

Pierwszy Mówca uniósł w górę obie ręce. — Musimy dać Mówcy Gendibalowi możliwość przedstawienia tego oskarżenia — krzyknął. Nie odniosło to żadnego skutku, poczuł się więc zmuszony do narzucenia zebranym posłuchu w sposób, którego nie przystało używać w tym miejscu, ale nie miał wyboru. Natężył całą siłę woli.

Gwar zaczął powoli cichnąć. Gendibal czekał nieruchomo aż zebrani zupełnie umilkną i uspokoją swoje myśli. Wreszcie rzekł:

— Śpiesząc tutaj z szybkością, która na pewno zapewniłaby mi punktualne przybycie na zebranie, zostałem zatrzymany na drodze przez grupę tutejszych wieśniaków i ledwie uniknąłem pobicia, a może nawet śmierci. Dlatego zjawiłem się dopiero teraz. Chciałbym na wstępie zwrócić waszą uwagę na fakt, że od czasu Wielkiej Grabieży nie zdarzyło się ani razu, aby Tutejsi zwrócili się do kogoś z Drugiej Fundacji bez szacunku, nie mówiąc już o tym, by ośmielili się zatrzymać go siłą. W każdym razie ja o niczym takim nie słyszałem.

— Ja też — rzekł Pierwszy Mówca.

— Nikt z nas nie ma zwyczaju spacerować samotnie po terytorium Tutejszych! — wrzasnęła Delarmi. — Sam się prosiłeś o to, co cię spotkało!

— To prawda — rzekł na to Gendibal — że mam zwyczaj spacerować samotnie po terytorium Tutejszych. Robiłem to już co najmniej trzysta razy i to w różnych miejscach. Jednak nigdy jakoś nie zostałem przez nikogo zaczepiony ani nawet zagadnięty. Inni nie korzystają z przechadzek w takim stopniu jak ja, ale nikt z nas nie odgradza się od świata ani nie zamyka się na całe życie w murach uniwersytetu, a mimo to nikt nigdy nie został zaczepiony. Przypominam sobie, że Delarmi… — tu przerwał, jakby zorientowawszy się po niewczasie, że pominął jej tytuł i — pozornie naprawiając potknięcie — rzekł coś, co zabrzmiało jak obelga — że Mówczyni Delarmi też bywała niekiedy na terytorium Tutejszych ale jej jakoś nikt nie zaczepił.

— Może dlatego — powiedziała Delarmi, patrząc na niego z wściekłością — że nie odzywałam się do nich pierwsza i że zawsze zachowywałam dystans. Dlatego, że zachowywałam się tak, jakby należał mi się szacunek, odnosili się do mnie z szacunkiem.

— To dziwne — powiedział Gendibal. — Miałem już powiedzieć, że dlatego, iż wyglądasz groźniej niż ja. W końcu nawet tutaj niewielu ośmiela się do ciebie zbliżyć… Ale powiedz mi, dlaczego mając tyle okazji, żeby mnie zaczepić, Tutejsi wybrali właśnie dzisiejszy dzień, dzień, w którym miałem wziąć udział w ważnym posiedzeniu Stołu?

— Jeśli nie sprowokowałeś ich swoim zachowaniem, to musiał to być przypadek — powiedziała Delarmi. — O ile mi wiadomo, nawet cała matematyka Seldona nie wyeliminowała z historii Galaktyki roli przypadku, a już na pewno, jeśli chodzi o zdarzenia dotyczące pojedynczych osób. A może ty też mówisz pod wpływem jakiejś inspiracji czy intuicji? (Jeden czy dwóch Mówców przyjęło z wewnętrznym westchnieniem to pchnięcie zadane mimochodem Pierwszemu Mówcy.)

— To nie było spowodowane moim zachowaniem. To nie był

przypadek. To była przemyślana ingerencja — odparł Gendibal.

— A skąd możemy o tym wiedzieć? — spytał łagodnie Pierwszy Mówca. Ostatnia uwaga Delarmi spowodowała, że patrzył teraz życzliwszym okiem na Gendibala.

— Mój umysł jest przed tobą otwarty, Pierwszy Mówco. Przekazuję ci — i całemu Stołowi — moją pamięć zdarzeń.

Przekaz trwał zaledwie kilka sekund. Kiedy się zakończył, Pierwszy Mówca powiedział:

— To wstrząsające! Zachowałeś się, Mówco, bardzo dobrze w tych warunkach. Zgadzam się, że zachowanie Tutejszych jest nienormalne i daje podstawę do wszczęcia śledztwa. Tymczasem proszę, żebyś zajął miejsce…

— Chwileczkę! — przerwała mu Delarmi. — A skąd możemy mieć pewność, że jego przekaz jest wierny?

Była to obelga. Nozdrza Gendibala rozdęły się z gniewu, ale zachował spokój. — Mój umysł jest otwarty — powtórzył.

— Znałam otwarte umysły, które wcale nie były otwarte.

— Nie wątpię w to — rzekł Gendibal — jako że, jak wszyscy z nas, musisz cały czas kontrolować swój umysł. Jednak mój umysł kiedy jest otwarty, to jest otwarty.

— Skończmy już z tymi… — zaczął Pierwszy Mówca.

— Przepraszam, że przerywam, Pierwszy Mówco — powiedziała Delarmi — ale domagam się prawa głosu.

— W jakiej sprawie, Mówco?

— Mówca Gendibal powiedział, że ktoś spośród nas usiłował popełnić morderstwo, przypuszczalnie nakłaniając tego wieśniaka do zaatakowania go. Dopóki oskarżenie to nie zostanie wycofane, ja, jak każda inna z obecnych tu osób, włączając w to ciebie, Pierwszy Mówco, muszę być uważana za przypuszczalnego mordercę.

— Czy wycofujesz to oskarżenie, Mówco Gendibal? — spytał Pierwszy Mówca.

Gendibal zajął swoje miejsce, objął dłońmi ramiona, ściskając je mocno, jak gdyby chciał je objąć w posiadanie i powiedział:

— Wycofam je natychmiast, gdy tylko ktoś mi wytłumaczy, dlaczego tutejszy wieśniak, dobierając sobie jeszcze paru kompanów, zasadził się specjalnie na mnie, aby zatrzymać mnie w drodze na to zebranie.

— Mogło być tysiąc powodów — rzekł Pierwszy Mówca. — Powtarzam, że ten wypadek zostanie zbadany. Czy teraz, w interesie kontynuowania obecnej dyskusji, wycofasz, Mówco Gendibal, swoje oskarżenie?

— Nie mogę, Pierwszy Mówco. Przez wiele minut próbowałem, tak delikatnie, jak mogłem, znaleźć w jego umyśle coś, dzięki czemu mógłbym zmienić jego zachowanie bez szkody dla jego mózgu, ale nic

takiego nie znalazłem. Jego umysł nie miał tej elastyczności, którą powinien był posiadać. Jego uczucia były sztywne, jak gdyby utrwalone przez jakiś inny umysł.

— I myślisz, że to ktoś z nas był tym innym umysłem? — powiedziała Delarmi z uśmieszkiem. — A czy nie mogła to być ta twoja tajemnicza organizacja, która z nami rywalizuje i która jest potężniejsza od nas?

— Mogła — zgodził się Gendibal.

— W takim razie my, którzy nie jesteśmy członkami tej organizacji znanej tylko tobie — jesteśmy niewinni i powinieneś wycofać swoje oskarżenie. A może oskarżasz kogoś o to, że znajduje się pod wpływem tej dziwnej organizacji? Może ktoś z nas jest niezupełnie tym, kim się wydaje?

— Może — odparł bez wahania Gendibal, zdając sobie doskonale sprawę z tego, że Delarmi kręci na niego pętlę.

— Mogłoby się wydawać — powiedziała Delarmi, ujmując pętlę i gotując się do zaciśnięcia jej wokół jego szyi — że twój sen o tajemniczej, nieznanej, ukrytej gdzieś organizacji jest halucynacją paranoika. Pasowałoby to zresztą świetnie do twoich paranoicznych rojeń, że tutejsi wieśniacy są pod wpływem z zewnątrz oraz że Mówcy są przez kogoś skrycie manipulowani. Chcę jednak jeszcze przez chwilę podążać tokiem twojego rozumowania. Jak sądzisz, Mówco, kto z nas tu obecnych jest manipulowany? Może ja?

— Nie przypuszczam, Mówco — odparł Gendibal — Gdybyś chciała usunąć mnie w tak okrężny sposób, to nie okazywałabyś tak otwarcie swojej niechęci do mnie.

— A może właśnie o to mi chodziło, żebyś tak myślał? — rzekła Delarmi. Niemal mruczała z zadowolenia. — To byłby naturalny wniosek dla paranoika.

— Być może. Masz większe doświadczenie w tych sprawach niż ja.

W tym momencie wtrącił się Mówca Lestim Gianni:

— Słuchaj, Mówco, jeśli wycofujesz swoje oskarżenie w stosunku do Mówcy Delarmi, to tym bardziej godzisz w pozostałych. Jaki ktoś z nas miałby w tym interes, żeby opóźnić twoje przyjście na zebranie, nic mówiąc już o zabiciu ci??

Gendibal odparł szybko, jakby czekał na to pytanie:

— Kiedy tu wszedłem, dyskutowano właśnie nad usunięciem z zapisu obrad uwag, które zgłosił Pierwszy Mówca. Otóż ja byłem jedynym Mówcą, który nie mógł wysłuchać tych uwag. Zapoznajcie mnie z nimi, a sądzę, że będę mógł przedstawić wam powód, dla którego starano się opóźnić moje przybycie.

— Stwierdziłem — rzekł Pierwszy Mówca — i było to coś, do czego Mówca Delarmi i pozostali mieli poważne zastrzeżenia — że,

opierając się na mojej intuicji i bardzo niewłaściwym użyciu matematyki psychohistorii, doszedłem do wniosku, iż cała przyszłość Planu może zależeć od wygnanego z Pierwszej Fundacji Golana Trevize.

— To, co myślą inni Mówcy, jest ich sprawą — powiedział Gendibal. — Jeśli jednak chodzi o mnie, to zgadzam się z tą hipotezą. Trevize jest kluczem do całej sprawy. Uważam, że jego nagłe wydalenie z Pierwszej Fundacji było zbyt dziwne, żeby traktować je jako nieszkodliwe.

— Czyżbyś chciał powiedzieć przez to, Mówco Gendibalu — rzekła Delarmi — że Trevize albo ci, którzy skazali go na wygnanie, znajdują się we władzy tej tajemniczej organizacji? A może kontrolują oni wszystkich i wszystko, z wyjątkiem ciebie i Pierwszego Mówcy… i mnie, bo — jak oświadczyłeś — nie jestem manipulowana.

— Na te szalone brednie nie trzeba dawać żadnej odpowiedzi. Zamiast tego chciałbym spytać, czy jest tu jakiś Mówca, który zgadza się w tej sprawie z Pierwszym Mówcą i ze mną? Czytaliście, przypuszczam, matematyczne opracowanie tego problemu, które — za zgodą Pierwszego Mówcy — wam udostępniłem.

Odpowiedziało mu milczenie.

— Ponawiam pytanie — rzekł Gendibal. — Czy ktoś się zgadza?

Odpowiedziało mu milczenie.

— Pierwszy Mówco, masz oto powód, dla którego starano się opóźnić moje przybycie.

— Wyjaśnij to dokładnie — powiedział Pierwszy Mówca.

— Stwierdziłeś, że trzeba zająć się Trevizem, tym wygnańcem z Pierwszej Fundacji. To ważna inicjatywa, zmierzająca do zmiany naszej polityki i jeśli Mówcy przeczytali moje opracowanie, to z grubsza wiedzieli o co chodzi. Jeśli jednak jednomyślnie — jednomyślnie — opowiedzieli się przeciwko twojej inicjatywie, to zgodnie z naszą starą zasadą samoograniczania się nie mógłbyś jej wprowadzić w życie. Natomiast gdyby poparł cię przynajmniej jeden Mówca, to mógłbyś zmienić naszą politykę. Każdy, kto czytał moje opracowanie, dobrze wiedział, że ja byłem tym jedynym Mówcą, który poparłby cię. Dlatego za nic nie wolno było dopuścić mnie do udziału w zebraniu. Ta sztuczka prawie się udała, ale jestem tu teraz i udzielam Pierwszemu Mówcy swego poparcia. Zgadzam się z nim i teraz, zgodnie z tradycją, może nie zważać na sprzeciw innych i robić, co uważa za stosowne.

Delarmi uderzyła pięścią w stół.

— Z tego wynika, że ktoś wiedział z góry, co zaproponuje Pierwszy Mówca, że wiedział z góry, że poprze to Mówca Gendibal, a cała reszta nie… że ktoś wiedział to, czego w żaden sposób nie mógł wiedzieć. Wynika też z tego, że inicjatywa Pierwszego Mówcy nie

podoba się tej organizacji z paranoicznych halucynacji Mówcy Gendibala i że usilnie starają się zapobiec jej i że dlatego jedna lub więcej osób spośród nas znajduje się pod wpływem tej organizacji.

— Tak istotnie z tego wynika — przyznał Gendibal. — Przeprowadziłaś tę analizę po mistrzowsku.

— No więc, kogo oskarżasz? — krzyknęła Delarmi.

— Nikogo. Proszę Pierwszego Mówcę, żeby zajął się tą sprawą. Jest oczywiste, że w naszej organizacji jest ktoś, kto pracuje przeciw nam. Proponuję, żeby umysły wszystkich pracujących dla Drugiej Fundacji poddać dokładnej analizie. Wszystkich, włącznie z Mówcami. Włączając w to nawet mnie… i Pierwszego Mówcę.

Jeszcze nigdy zebranie Stołu nie kończyło się w atmosferze takiego podniecenia i zmieszania.

A kiedy Pierwszy Mówca ogłosił w końcu zamknięcie posiedzenia, Gendibal — nie odzywając się do nikogo słowem — wrócił do swego pokoju. Wiedział dobrze, że wśród Mówców nie ma żadnego przyjaciela, że nawet to poparcie, które może mu zapewnić Pierwszy Mówca, będzie wymuszone.

Nie potrafił powiedzieć, czy boi się o siebie czy o całą Drugą Fundację. Czuł w sercu gorycz, jakby już poniósł klęskę.

27.

Gendibal nie spał dobrze. Śnił, że kłóci się z Delorą Delarmi. W jednym z tych snów doszło nawet do osobliwego zlania się w jedno Delarmi z tutejszym wieśniakiem, Rufirantem, tak że Gendibal znalazł się nagle naprzeciw nieproporcjonalnie zbudowanej Delarmi nacierającej na niego z uniesionymi do ciosu potężnymi pięściami i pokazującej w swym słodkim jak zwykle uśmiechu zęby ostre jak szpilki.

Kiedy się w końcu obudził, później niż zazwyczaj, czuł się tak, jakby w ogóle nie spał. Na nocnym stoliku hałasował, umieszczony tam, brzęczyk. Przekręcił się, aby zakryć ręką kontakt.

— Słucham… O co chodzi?

— Mówco — usłyszał głos pedla z jego piętra. W głosie było mniej szacunku niż powinno było być. — Ma pan gościa.

— Gościa? — Gendibal wcisnął klawisz, żeby spojrzeć w kalendarz umówionych spotkań i zerknął na ekran. Nie miał żadnego spotkania przed południem: Nacisnął guzik zegara. Była 8.32 rano. — Kto to jest, na przestrzeń i czas? — spytał z irytacją.

— Nie chce podać nazwiska, Mówco. — Po chwili dodał z wyraźną dezaprobatą: — To ktoś z tych Tutejszych, Mówco. Mówi, że przychodzi na pana zaproszenie. — Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane z jeszcze większą dezaprobatą.

— Niech zaczeka w recepcji, aż przyjdę. Zajmie to trochę czasu.

Gendibal nie spieszył się. Dokonywał porannych ablucji pogrążony w myślach. To, że ktoś użył tego Tutejszego, aby pokrzyżować mu szyki, było pewne, ale chciałby wiedzieć, kim był ten ktoś. A co miało znaczyć to nowe najście Tutejszego, i to w jego własnym domu? Czyżby była to jakaś przemyślna zasadzka?

Jak, na miłość Seldona, mógł się Tutejszy dostać na teren Uniwersytetu? Jaki mógł podać powód? I jaki miał faktyczny powód?

Przez chwilę Gendibal zastanawiał się, czy nie powinien zabrać ze sobą broni, ale niemal natychmiast odrzucił ten pomysł. Był całkowicie pewien, że na terenie Uniwersytetu jest w stanie kierować wolą i zachowaniem każdego pojedynczego wieśniaka bez obawy o siebie i bez zostawienia jakichkolwiek wykrywalnych śladów ingerencji w jego umyśle.

Stwierdził też, że incydent z Karollem Rufirantem stanowczo zbyt silnie go poruszył… A może to właśnie on tu przyszedł? Być może wpływ, który ten ktoś czy to coś wywierało na niego, już ustał? W takim przypadku niewykluczone, że — bojąc się kary — mógł tu przyjść, aby przeprosić Gendibala za swoje wczorajsze zachowanie. … Ale skąd wiedziałby, gdzie go znaleźć? Skąd wiedziałby, do kogo się

zwrócić?

Gendibal przeszedł przez korytarz i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi do recepcji. Stanął, zaskoczony, w progu, a potem zwrócił się do pedla, który krzątał się w swej szklanej budce, udając, że jest bardzo zajęty.

— Nie powiedziałeś, że gościem jest kobieta. Pedel odparł spokojnie:

— Mówco, powiedziałem, że to ktoś z Tutejszych. Nie pytał pan dalej.

— Minimum informacji, tak? Muszę zapamiętać, że to jedna z twoich cech szczególnych. (Musi też sprawdzić, czy pedel nie jest protegowanym Delar — mi. Musi też pamiętać, żeby — poczynając od tej pory — zwracać uwagę na otaczający go personel pomocniczy, na „Niższych", których — jeśli się jest od niedawna Mówcą — tak łatwo lekceważyć i nie dostrzegać.) Czy jest wolny któryś z pokojów konferencyjnych?

— Wolna jest tylko czwórka, Mówco — odparł pedel. — Będzie potrzebna dopiero za trzy godziny. — Zerknął na Tutejszą, a potem spojrzał z niewinną miną na Gendibala.

— Skorzystam z czwórki i radzę ci uważać na to, co myślisz — Gendibal uderzył. Ekran pedla opadł o wiele za wolno. Gendibal wiedział, że zmaltretowanie niższego umysłu nie licowałoby z jego godnością Mówcy, ale z drugiej strony osoba, która nie potrafiła ukryć niestosownych myśli na temat swych przełożonych, powinna dostać nauczkę, że nie można sobie pozwalać na coś takiego. Pedel będzie miał przez kilka godzin lekki ból głowy. Zasłużył sobie na to.

28.

Gendibal nie mógł sobie na poczekaniu przypomnieć jej nazwiska, a nie był w nastroju, żeby szukać w głębszych pokładach pamięci. Zresztą na pewno nie spodziewała się, że będzie je pamiętał.

— Jesteś… — powiedział poirytowanym głosem.

— Ja Novi, panie — wykrztusiła. — Na pierwsze mam Sura, ale wołają mnie prosto Novi.

— Tak, Novi. Teraz sobie przypominam… spotkaliśmy się wczoraj. Nie zapomniałem, że stanęłaś W mojej obronie — jakoś nie potrafił przejść na dialekt Tutejszych na terenie uniwersytetu. — A jak się tu dostałaś?

— Pan mówił, co mogie napisać list. Pan mówił, co by na nim stało „Dom Mówców, pokój 27". Ja sama go przyniosła. Pokaże pisanie — moje własne pisanie, panie — powiedziała nieśmiało, ale z pewną dumą. — Pytajo mnie „do kogo te pisanie"? Ja słyszała pana przezwisko, jak pan mówił do tego głupiego barana Rufiranta. No to ja mówię, co to la pana badawcy Stora Gendibala.

— I pozwolili ci wejść, Novi? Nie kazali sobie pokazać tego listu?

— Ja się wystraszyła. Myślała, co może oni mnie nie puszczo. No to ja powiedziało „Badawca Gendibal przyobiecał, co mnie pokaże Miejsce Badawców". I oni się śmiali. Jeden przy bramie powiedział do takiego drugiego „I pewnie jej jeszcze co inne pokaże". I pokazali mnie jak iść i mówili, co by nigdzie indziej, bo mnie z miejsca wyrzuco.

Gendibal lekko, poczerwieniał. Na Seldona, gdyby się chciał zabawić z Tutejszą, to nie robiłby tego tak otwarcie i wybrałby z większym gustem. Popatrzył na nią kręcąc wewnętrznie głową.

Wydawała się dosyć młoda. Pewnie była młodsza, niż na to wyglądała, ale ciężka praca w gospodarstwie postarzała każdego. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. W tym wieku kobiety Tutejszych były już zazwyczaj zamężne. Jej czarne włosy były zaplecione w warkocze, co oznaczało, że jest panną — a właściwie dziewicą — i nie dziwiło go to. Jej wczorajszy występ pokazał, że miała nadzwyczajne zadatki na sekutnicę, więc wątpił, czy znalazłby się Tutejszy, który miałby ochotę skazywać się na jej ostry język i tęgie kuksańce. Jej powierzchowność też nie była zbytnio atrakcyjna. Chociaż widać było, że się bardzo starała o swój wygląd, to jednak nic nie mogło ukryć faktu, że ma kanciastą, niezbyt urodziwą twarz i czerwone, żylaste ręce. Na ile pozwalało to ocenić jej luźne ubranie, natura stworzyła jej figurę z myślą raczej o przetrwaniu niż o wdzięku.

Pod jego badawczym spojrzeniem spuściła oczy. Zaczęła jej drżeć

dolna warga. Widział zupełnie wyraźnie jej zmieszanie i lęk, więc ogarnęło go współczucie. W końcu naprawdę pomogła mu wczoraj i tylko to się liczyło.

Powiedział, starając się, by zabrzmiało to życzliwie i uspokajająco:

— A więc przyszłaś, aby zobaczyć… eee… Miejsce Badaczy?

Otworzyła szeroko swe czarne oczy (były raczej ładne) i rzekła:

— Panie, nie gniewaj się na mnie, ale ja przyszła co by sama być badawco.

Spadło to na Gendibala jak piorun z jasnego nieba. — Chcesz być badacze m? — powiedział. — Moja dobra kobieto… — zaczął i przerwał. Jak na przestrzeń mógłby wyjaśnić prostej kobiecie wiejskiej, jaką trzeba mieć inteligencję, jaką siłę umysłu i ile trzeba ćwiczyć, aby zostać tym, kogo Trantorczycy zwali „badawcą”?

Ale Sura Novi zawzięła się:

— Ja pisze i czytam. Ja przeczytała kupę ksionżek, od poczontku do końca. I ja chce być badawco. Ja nie chce być żono chłopa. Ja nie chce na gospodarkie. Nic wyjdę za gospodarza i nie będę z nim miała dzieciów. — Podniosła głowę i powiedziała dumnie: — O mnie się starali. Nie raz. A ja zawsze „nie”. Grzecznie, ale „nie”.

Gendibal widział doskonale, że kłamie. Nikt się o nią nigdy nie starał. Nie pokazał tego jednak po sobie. — Co z sobą zrobisz, jeśli nie wyjdziesz za mąż? — spytał.

Novi położyła dłoń płasko na stole.

— Będę badawco. Nie będę gospodynie.

— No a jeśli nie uda mi się zrobić z ciebie badacza?

— To nic ze mnie nie będzie i będę czekać na śmierć. Jak nie będę badawco, to nic ze mnie nie będzie.

Przez chwilę miał ochotę przeszukać jej mózg i stwierdzić, jak silne jest jej pragnienie zostania badaczem. Ale byłoby to niewłaściwe z jego strony. Mówca nie zabawia się szperaniem w bezbronnych mózgach innych osób. Nauka i technika kontroli umysłowej, mentalistyka, miała — jak inne profesje — swój kodeks zawodowy. A przynajmniej powinna mieć. .(W tej chwili ogarnęły go wyrzuty sumienia, że uderzył pedla.)

— A dlaczego nie chcesz być gospodynią, Novi? — spytał. Mógłby bez zbytniego wysiłku sprawić, by zapragnęła zostać gospodynią i równie łatwo skłonić jakiegoś Tutejszego prostaka, by się z nią ożenił i był szczęśliwy. Nie zrobiłby jej w ten sposób żadnej krzywdy. Byłby to dobry uczynek… Niestety, było to sprzeczne z prawem i nie do pomyślenia.

— Nie będę — powiedziała. — Chłop to je snop. Wionże snopy i sam się robi jak snop. Jak by ja została gospodynie, to by też była jak snop. Nie miała by czasu czytać i pisać i by zapomniała. Moja głowa

— dotknęła ręką skroni — by była pusta. Nie! Badawcą je inny. Rozważny! (Jak Gendibal zauważył, słowo to oznaczało dla niej raczej „inteligentny” niż „rozsądny”.)

— Badawcą — mówiła — żyje ksionżkami i… i… ja zapomniała jak to się nazywa. — Zrobiła jakiś nieokreślony gest, który miał wyjaśnić, o co jej chodzi, ale nic nie mówiłby Gendibalowi, gdyby nie kierował się on promieniowaniem wysyłanym przez jej mózg.

— Mikrofilmami — powiedział. — Gdzie słyszałaś o mikrofilmach?

— W ksionżkach ja czytała o różnych rzeczach — powiedziała z dumą.

Gendibal nie był już w stanie dłużej opierać się chęci dowiedzenia się czegoś więcej. Novi była niezwykłą Tutejszą; nigdy nie słyszał o kimś takim.

Nigdy nic werbowali członków spośród Tutejszych, ale gdyby Novi była młodsza, powiedzmy, o piętnaście lat…

Jaka strata! Nie niepokoiłby jej, absolutnie nie niepokoiłby, ale co za sens miałoby bycie Mówcą, gdyby nie można było badać niezwykłych umysłów i uczyć się w ten sposób? Powiedział:

— Novi, chcę, żebyś na chwilę tam usiadła. Bądź cicho. Nic nie mów. Nawet nie myśl o tym, żeby coś powiedzieć. Myśl o tym, że chcesz zasnąć. Rozumiesz?

Znowu ogarnął ją lęk. — Po co ja to musze robić, panie?

— Po to, żebym mógł się zastanowić, jak z ciebie zrobić badacza.

W końcu, bez względu na to, co czytała, nie mogła się w żaden sposób dowiedzieć, co naprawdę znaczyło słowo „badacz”. Dlatego trzeba było się przekonać czym — w jej mniemaniu — był badacz.

Sondował jej umysł bardzo ostrożnie i delikatnie, wyczuwając, co myśli bez dotykania jej mózgu — zupełnie jakby kładł dłoń na płycie z gładkiego, polerowanego metalu, nie zostawiając na niej odcisków palców. „Być badaczem” znaczyło „być kimś, kto stale czyta książki”. Nie miała najmniejszego pojęcia po co się czyta. „Zostać samą badaczem” znaczyło wykonywać pracę, którą dobrze znała — obraz w jej umyśle był wyraźny — gotować, sprzątać, robić sprawunki, ale na terenie uniwersytetu, gdzie były dostępne książki i gdzie miałaby czas je czytać i — w jakimś nieokreślonym sensie — „zostać uczoną”. Sprowadzało się to do tego, że chciała zostać służącą — jego służącą.

Gendibal zmarszczył czoło, Tutejsza służąca, do tego taka, która nie ma ani wdzięku, ani wykształcenia, która zaledwie potrafi czytać i pisać. To rzecz zupełnie nie do pomyślenia.

Musi po prostu skierować jej umysł na inne tory. Musi być jakiś sposób nastawienia jej pragnień tak, aby pogodziła się z rolą wieśniaczki, sposób, który nie zostawi żadnych śladów, który nawet Delarmi nie da okazji do oskarżeń.

… A może to Delarmi ją nasłała? Może była to misterna intryga, którą obmyśliła po to, by dał się skusić na manipulowanie umysłem Tutejszej, aby potem złapać go na gorącym uczynku i oskarżyć?

Nie, to śmieszne. Był na najlepszej drodze do paranoi. Gdzieś wśród prostych wici jej nieskomplikowanego umysłu biegł strumień myśli, który trzeba było tylko nieznacznie uregulować. Wystarczy lekkie pchnięcie i wszystko będzie dobrze.

Było to co prawda sprzeczne z prawem, ale nie wyrządzi to jej żadnej szkody i nikt tego nigdy nawet nie zauważy.

Zatrzymał się.

Zaraz, zaraz — musi się cofnąć. Jeszcze trochę. I jeszcze trochę.

Na przestrzeń! Omal tego nie przegapił!

Czyżby padł ofiarą złudzenia?

Nie! Teraz, kiedy skoncentrował na tym całą uwagę, mógł to dostrzec zupełnie wyraźnie. Najdrobniejsza wić była minimalnie skrzywiona — nienormalnie skrzywiona. Było to jednak odchylenie nadzwyczaj delikatne — wić nie rozwidlała się — ani nic miała żadnych wypustek.

Gendibal wycofał się. Powiedział łagodnie: — Novi.

Ocknęła się. Powiedziała: — Słucham, panie.

— Możesz pracować ze mną — rzekł Gendibal. — Zrobię z ciebie badacza.

Zawołała radośnie, z blaskiem w oczach:

— Panie…

Odkrył natychmiast jej zamiar. Chciała się rzucić do jego stóp. Położył jej ręce na ramionach i trzymając ją mocno, zmusił, by nie wstawała.

— Nie ruszaj się, Novi. Zostań tu, gdzie jesteś… Zostań! — Czuł pod palcami jej twarde mięśnie.

Równie dobrze mógłby tak mówić do częściowo ułożonego zwierzęcia. Kiedy upewnił się, że polecenie do niej dotarło, puścił ją. Powiedział:

— Jeśli chcesz zostać badaczem, to musisz się zachowywać jak badaczowi przystało. Znaczy to, że zawsze musisz mówić cicho i spokojnie, zawsze robić to, co ci powiem. I musisz się nauczyć mówić tak, jak ja. Będziesz również musiała poznać innych badaczy. Nie będziesz się bała?

— Nie będę się bojała — bała, panie, jak będziesz ze mno.

— Będę przy tobie. Ale teraz… przede wszystkim muszę ci znaleźć pokój, załatwić, żeby przydzielono ci łazienkę, miejsce w jadalni, a także ubranie. Będziesz musiała nosić ubranie bardziej odpowiednie dla badacza, Novi.

— To je wszystko, co… — zaczęła płaczliwie.

— Dostaniesz inne.

Oczywiście będzie musiał znaleźć jakąś kobietę, która załatwi nowe ubranie dla Novi. Będzie musiał się także postarać o kogoś, kto nauczy ją dbać o higienę osobistą. W końcu, mimo iż ubranie, które miała na sobie, było prawdopodobnie najlepszym, jakie posiadała, nadal czuć było od niej niezbyt przyjemny zapach.

I będzie musiał postarać się o to, żeby istota związku między nim i Novi była dla wszystkich jasna. Było tajemnicą poliszynela, że mężczyźni (i kobiety) z Drugiej Fundacji brali sobie dla przyjemności od czasu do czasu kogoś z Tutejszych. Jeśli obywało się to bez ingerencji w umysły Tutejszych, to nikt nie myślał nawet o tym, żeby robić szum z tego powodu. Gendibal nigdy nie pozwalał sobie na takie rozrywki i pochlebiał sobie, że nie bierze w tym udziału dlatego, iż nie czuje potrzeby ani nie ma ochoty na seks bardziej wulgarny czy pikantny niż ten, któryjest dostępny na terenie uniwersytetu. Kobiety z Drugiej Fundacji były na pewno bledsze niż Tutejsze, ale za to miały gładką skórę i były czyste.

Ale nawet gdyby cała ta sprawa została opacznie zrozumiana i chichotano by za jego plecami, że oto znalazł się Mówca, który nie tylko posmakował w Tutejszych kobietach, ale nawet ściągnął sobie jedną do domu, to i tak będzie musiał to znieść. Tak jak się sprawy miały, Sura Novi była jego kluczem do zwycięstwa w nieuchronnym pojedynku z Mówcą Delarmi i resztą Stołu.

29.

Gendibal nie widział Novi aż do poobiedniego odpoczynku, kiedy to przyprowadziła ją do niego kobieta, której musiał bez końca wyjaśniać tę sytuację, a przynajmniej jej nieseksualny charakter. Wreszcie zrozumiała, a przynajmniej nie śmiała pokazać, że nie rozumie, co chyba na jedno wychodziło.

Novi stanęła przed nim zarazem zawstydzona i dumna z siebie, zakłopotana i triumfująca — zaiste przedziwna mieszanka wykluczających się uczuć.

— Wyglądasz bardzo dobrze, Novi — powiedział.

Ubranie, które dostała, zdumiewająco pasowało do jej figury i nie było wątpliwości, że nie wygląda w nim śmiesznie. Czyżby ścisnęli ją w talii? A może podnieśli jej piersi? A może po prostu przedtem zniekształcało jej sylwetkę wiejskie ubranie?

Miała dość wydatne pośladki, ale nie sprawiało to przykrego wrażenia. Rysy jej twarzy pozostały, oczywiście, pospolite, ale kiedy zblednie jej opalenizna i kiedy nauczy się dbać o cerę, nie będzie zupełnie brzydka.

Na Stare Imperium, ta kobieta naprawdę pomyślała, że Novi jest jego przyjaciółką. Starała się zrobić ją piękną dla niego.

A potem pomyślał: „A właściwie, czemu nie?”

Novi będzie musiała stanąć przed Stołem Mówców i im bardziej wyda się atrakcyjna, tym łatwiej będzie mu przeprowadzić swój zamiar.

Właśnie o tym myślał, kiedy dotarła do niego . wiadomość od Pierwszego Mówcy. Było to zjawisko szczególnego rodzaju, jakie zwykle spotyka się w społeczności mentalistów. Określano je, mniej czy bardziej nieoficjalnie, jako „efekt koincydencji”. Jeśli myślisz luźno o kimś w tym samym czasie, kiedy ten ktoś myśli o tobie, to dochodzi do wzajemnej, potęgującej się stymulacji, dzięki której w ciągu paru sekund skierowane ku sobie myśli obu osób nabierają ostrości i precyzji i, sądząc z wszelkich oznak, stają się równoczesne.

Może to wywrzeć wrażenie nawet na osobie, która rozumie to zjawisko, szczególnie jeśli poprzedzające ten proces luźne myśli były tak nieokreślone, że — u jednej czy drugiej strony (albo nawet u obu) — znajdowały się pod progiem świadomości.

— Nie mogę być z tobą dziś wieczorem, Novi — powiedział Gendibal. — Mam coś do zrobienia. Zaprowadzę cię do twojego pokoju. Będzie tam trochę książek, więc będziesz mogła poćwiczyć sobie czytanie. Pokażę ci jak się uruchamia dzwonek — gdybyś potrzebowała w czymś pomocy. Zobaczymy się jutro.

30.

— Tak, Pierwszy Mówco — rzekł grzecznie Gendibal.

Shandess skinął tylko głową. Miał surowe spojrzenie i w pełni wyglądał na swój wiek. Wyglądał jak człowiek, który nigdy nie pije, ale tym razem trochę sobie pozwolił. W końcu powiedział: — Wezwałem cię…

— Bez pomocy posłańca. Z tego bezpośredniego „wezwania" wnoszę, że to ważna sprawa.

— Tak. Twoja zdobycz… ten człowiek z Pierwszej Fundacji… Trevize…

— Tak?

— Nie leci na Trantor.

Gendibal nie wydawał się zaskoczony. — A dlaczego miałby tu lecieć? Z informacji, którą otrzymaliśmy, wynika, że odleciał z profesorem historii starożytnej, który poszukuje Ziemi.

— Tak, legendarnej Pierwotnej Planety. I właśnie dlatego powinien przylecieć na Trantor. W końcu, czy ten profesor wie, gdzie znajduje się Ziemia? Czy ty to wiesz? Albo ja? Czy możemy mieć pewność, że w ogóle istnieje albo kiedykolwiek istniała? Na pewno powinni przylecieć do naszej biblioteki, aby uzyskać konieczne informacje… gdyby je można było gdzieś tu znaleźć. Aż do tej pory uważałem, że sytuacja nie jest jeszcze kryzysowa… że ten Trevize przyleci tutaj, że dowiemy się przez niego tego, co nam trzeba.

— Co na pewno jest powodem, żeby mu nie pozwolili na przylot tutaj.

— Ale wobec tego dokąd on leci?

— Rozumiem, że tego jeszcze nie wierny.

— Wydaje się, że cię to nie zmartwiło — powiedział z rozdrażnieniem Pierwszy Mówca.

— Zastanawiam się, czy to nie lepiej, że tak się stało — rzekł Gendibal. — Chciałbyś, żeby przyleciał na Trantor, bo wtedy miałbyś go na oku i wykorzystał jako źródło informacji. Ale czy nie stanie się on źródłem znacznie ważniejszych informacji, dotyczących osób ważniejszych niż on, jeśli poleci tam, gdzie chce lecieć i .zrobi to, co chce zrobić, o ile oczywiście nie stracimy go z pola widzenia?

Niezupełnie! powiedział Pierwszy Mówca. Wmówiłeś mi, że istnieje nowy wróg naszej Fundacji i teraz nie mam spokoju. Co gorsza, ja sam wmówiłem sobie, że musimy tu zatrzymać Trevize — go, bo inaczej wszystko stracimy. Nie mogę uwolnić się od uczucia, że on, tylko on — jest kluczem do rozwiązania tego problemu. Gendibal powiedział z naciskiem:

Cokolwiek się stanie, Pierwszy Mówco, my nie przegramy To

byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby ta społeczność anty — Mułów — żeby raz jeszcze użyć .twego określenia ryła pod nami niezauważona. Jeśli będziemy ze sobą współpracować, to na następnym posiedzeniu Stołu zaczniemy kontratak.

— To nie sprawa Trevizego spowodowała, że cię wezwałem. — rzekł Pierwszy Mówca. — Zacząłem od niej, bo wydawało mi się, że jest to moja osobista porażka. Błędnie zanalizowałem ten aspekt sytuacji. Źle zrobiłem, stawiając osobiste niepowodzenia ponad sprawy dotyczące wszystkich i przepraszam za to. Jest jeszcze inna sprawa.

— Bardziej poważna, Pierwszy Mówco?

— Bardziej poważna, Mówco Gendibal. — Pierwszy Mówca westchnął i zaczął bębnić palcami po biurku. Gendibal stał i cierpliwie czekał.

W końcu Pierwszy Mówca powiedział oględnie, jakby chcąc złagodzić cios:

— Na nadzwyczajnym posiedzeniu Stołu, zwołanym z inicjatywy Mówcy Delarmi…

— Bez twojej zgody, Pierwszy Mówco?

— Do tego, czego chciała, potrzebna jej była zgoda tylko trzech innych Mówców, nie włączając w to mnie. Na nadzwyczajnym posiedzeniu, które zostało potem zwołane, zostałeś, Mówco Gendibalu, postawiony w stan oskarżenia. Postawiono zarzut, że nie jesteś godzien stanowiska Mówcy i w związku z tym zostanie ci wytoczony proces. Po raz pierwszy od trzystu lat wniesiono oskarżenie przeciw Mówcy…

— Chyba ty sam nie głosowałeś za wniesieniem tego oskarżenia? — powiedział Gendibal, tłumiąc wzbierający w nim gniew.

— Ja nie, ale mój głos był odosobniony. Reszta Mówców była jednomyślna i wynik głosowania brzmiał — dziesięć przeciw jednemu za oskarżeniem. Jak wiesz, do wniesienia oskarżenia wymagane jest osiem głosów, jeśli jest w tej liczbie głos Pierwszego Mówcy albo dziesięć, jeśli on jest przeciw czy wstrzymuje się od głosu.

— Ale ja nie byłem obecny.

— Nie mógłbyś brać udziału w głosowaniu.

— Mógłbym powiedzieć coś w swojej obronie.

— Nie na tym etapie. Jest tylko kilka precedensów, ale są one oczywiste. Będziesz mógł zabrać głos w swojej obronie na procesie, który naturalnie odbędzie się tak szybko, jak to tylko możliwe.

Gendibal pochylił głowę w zamyśleniu. Potem powiedział:

— Nie przejmuję się tym zbytnio, Pierwszy Mówco. Myślę, że instynktownie ustaliłeś właściwą hierarchię spraw. Sprawa Trevizego jest ważniejsza. Czy nie mógłbyś na tej podstawie odroczyć procesu?

Pierwszy Mówca wzniósł dłoń do góry. — Nie dziwię ci się,

Mówco, że nie rozumiesz sytuacji. Postawienie Mówcy w stan oskarżenia jest tak rzadkim przypadkiem, że ja sam zostałem zmuszony do odszukania odpowiedniej procedury prawnej. Nic teraz nie jest ważniejsze od tej sprawy. Jesteśmy zmuszeni przygotować proces, odsuwając wszystko inne na później.

Gendibal oparł się pięściami o biurko i pochylił w stronę Pierwszego Mówcy:

— Nie mówisz chyba tego poważnie?

— Takie jest prawo.

— Nie można pozwolić na to, aby prawo przesłoniło oczywiste, aktualnie zagrażające nam niebezpieczeństwo.

— Dla Stołu, Mówco Gendibalu, ty jesteś oczywistym i aktualnie zagrażającym nam niebezpieczeństwem… Chwileczkę, wysłuchaj mnie! Prawo to opiera się na przekonaniu, że nic nie może być ważniejsze niż przypadek korupcji albo nadużycia władzy przez Mówcę.

— Ale ja, Pierwszy Mówco, nie popełniłem ani jednego, ani drugiego, i dobrze wiesz o tym. To osobista zemsta Mówczyni Delarmi. Jeśli można tu mówić o nadużyciu władzy, to tylko z jej strony. Moją winą jest to, że nigdy nie zabiegałem o zdobycie popularności, przyznaję to, i za mało uwagi poświęcałem głupcom, którzy są na tyle starzy, że cierpią na uwiąd starczy, ale jednocześnie na tyle młodzi, że mają władzę.

— Takim jak ja? Gendibal westchnął.

— Widzisz, i znowu mnie poniosło. Nie ciebie miałem na myśli, Pierwszy Mówco… A zatem dobrze, niech proces odbędzie się niezwłocznie. Jutro. A jeszcze lepiej dziś wieczorem. Załatwmy to i zajmijmy się sprawą Trevizego. Nie wolno nam zwlekać.

— Mówco Gendibal — rzekł Pierwszy Mówca. — Nie wydaje mi się, żebyś zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Były już przypadki postawienia Mówców w stan oskarżenia… nie było ich dużo — tylko dwa. Żaden nie zakończył się wyrokiem skazującym. Ale ty zostaniesz skazany! Nie będziesz już członkiem Stołu i nie będziesz miał już nic do powiedzenia w sprawach naszej polityki. Nie będziesz nawet miał prawa głosu na corocznych walnych zgromadzeniach.

— I nie zrobisz nic, żeby temu zapobiec?

— Nie mogę. Zostałbym natychmiast jednomyślnie przegłosowany. Wtedy musiałbym ustąpić i myślę, że o to im właśnie chodzi.

— A Pierwszym Mówcą zostałaby Delarmi?

— To jest bardzo prawdopodobne.

— Ależ nie można do tego dopuścić!

— Właśnie! I dlatego będę musiał głosować za wyrokiem skazującym cię.

Gendibal wciągnął głęboko powietrze.

— Nadal domagam się, żeby proces odbył się niezwłocznie.

— Musisz mieć czas, żeby przygotować sobie obronę.

— Jaką obronę? Nie będą słuchali żadnej obrony. Chcę, żeby proces odbył się niezwłocznie!

— Stół musi mieć czas, żeby zgromadzić dowody.

— Nie mają i nie będą mieli żadnych dowodów. W swoich myślach uznali mnie już za winnego i skazali, i nie potrzebują nic więcej. Prawdę mówiąc, będą woleli skazać mnie raczej jutro niż pojutrze… raczej dziś wieczorem niż jutro. Zostaw to im.

Pierwszy Mówca podniósł się z miejsca. Popatrzyli na siebie ponad biurkiem. Pierwszy Mówca spytał: — Dlaczego tak ci się spieszy?

— Sprawa Trevizego nie może czekać.

— Co będzie można zrobić, kiedy zostaniesz skazany, a ja stanę sam przeciwko całemu zjednoczonemu w oporze Stołowi?

Gendibal szepnął z optymizmem:

— Nie obawiaj się! Na przekór wszystkim, nie zostanę skazany!

Rozdział IX
NADPRZESTRZEŃ

31.

— Jesteś gotowy, Janov? — spytał Trevize. Pelorat podniósł wzrok znad książki, którą oglądał, i powiedział:

— To znaczy, do skoku, drogi przyjacielu?

— Tak. Do skoku przez nadprzestrzeń. Pelorat przełknął ślinę. — No cóż, skoro jesteś pewien, że nie będzie to się wiązało z żadnymi nieprzyjemnymi wrażeniami… Wiem, że to głupio z mojej strony mieć jakieś obawy, ale sama myśl 0 tym, że mam zostać zredukowany do niematerialnych tachyonów, których nikt nigdy nie widział ani nie zaobserwował…

— Daj spokój, Janov, to dokładnie sprawdzona i opanowana metoda. Słowo honoru! Ze skoków, jak sam mówiłeś, korzysta się od dwudziestu dwóch tysięcy lat i nigdy nie słyszałem, żeby zdarzył się jakiś nieszczęśliwy wypadek w nadprzestrzeni. Możemy się wyłonić z nadprzestrzeni w niespodziewanym miejscu, ale wówczas wypadek zdarzyłby się w przestrzeni, a nie wtedy, kiedy składalibyśmy się z tachyonów.

— Wydaje mi się, że to niewielka pociecha.

— Nie wyjdziemy z nadprzestrzeni w złym miejscu. Jeśli mam ci powiedzieć prawdę, to myślałem, żeby przeprowadzić ten manewr, nie mówiąc ci o tym ani słowa, tak że w ogóle nie zorientowałbyś się, że jest już po wszystkim. Doszedłem jednak do wniosku, że lepiej będzie, jeśli przeżyjesz to świadomie. Przekonasz się, że to żaden problem i nie będziesz już na to więcej zwracał uwagi.

— No cóż… — powiedział Pelorat z powątpiewaniem. — Przypuszczam, że masz rację, ale, szczerze mówiąc, nie spieszy mi się tak bardzo.

— Zapewniam cię…

— Nie, nie, przyjacielu, przyjmuję twoje zapewnienia bez zastrzeżeń. Tylko… Czytałeś kiedy Santerestila Matta)

— Oczywiście. Nie jestem analfabetą.

— Tak, tak. Nie powinienem był o to pytać. Pamiętasz treść?

— Nie cierpię też na amnezję.

— Wygląda na to, że mam wyjątkowy talent do obrażania ludzi. Chcę tylko powiedzieć, że myślę o tych scenach, gdzie Santerestil i jego przyjaciel, Bań, uciekli z Planety 17 i czują się zagubieni w przestrzeni. Myślę o tych naprawdę hipnotyzujących scenach, kiedy znajdują się wśród gwiazd poruszających się leniwie w przejmującej ciszy, w odwiecznym trwaniu, w… Widzisz, nigdy nie wierzyłem, że ten opis jest prawdziwy. Wzruszał mnie i porywał, ale naprawdę nigdy nie wierzyłem, że jest prawdziwy. Teraz jednak, kiedy przywykłem już do przebywania w przestrzeni, sam widzę to wszystko, sam tego

doświadczam i… wiem, że to niemądre… ale nie chcę tego przerywać. Wydaje mi się, jakbym sam był Santerestilem…

— A ja Banem — powiedział Trevize z lekką nutą zniecierpliwienia.

— W pewnym sensie. To małe, rzadkie skupisko przyćmionych gwiazd, o tam, wydaje się trwać w bezruchu, z wyjątkiem, oczywiście, naszego słońca, które musi się teraz kurczyć i niknąć, ale my tego nie widzimy. Galaktyka roztacza przed nami cały swój nieruchomy majestat. Otacza nas cisza przestrzeni i nic nie rozprasza mojej uwagi i nie przeszkadza mi w kontemplacji.

— Nic, oprócz mnie.

— Oprócz ciebie… Ale muszę ci powiedzieć, Golan, stary druhu, że rozmowa z tobą o Ziemi i o prehistorii, próba przekazania ci części wiedzy o tym, ma również swoje uroki. I też nie chciałbym, żeby się to już skończyło.

— Nie skończy się. W każdym razie, nie zaraz. Chyba nie przypuszczasz, że zrobimy skok i wylądujemy na powierzchni jakiejś planety, co? Nadal będziemy znajdowali się w przestrzeni, a skok zajmie tyle czasu, że nie będzie go można w ogóle zmierzyć. Może potrwać z tydzień, zanim znajdziemy się na jakiejś planecie, możesz się więc odprężyć.

— Mówiąc o planecie, z pewnością nie masz na myśli Gai? Kiedy wyjdziemy z nadprzestrzeni, możemy znaleźć się w rejonie, gdzie w ogóle nie ma Gai.

— Wiem o tym, Janov, ale znajdziemy się we właściwym sektorze — jeśli, oczywiście, twoje dane są prawdziwe. A jeśli nie… no cóż…

Pelorat potrząsnął głową i rzekł posępnie:

— A co to nam pomoże, że znajdziemy się we właściwym sektorze, jeśli nie znamy współrzędnych Gai?

— Janov — rzekł na to Trevize — wyobraź sobie, że jesteś na Terminusie i chcesz się dostać do Argyropolu. Nie wiesz, gdzie leży to miasto, ale wiesz, że znajduje się gdzieś nad przesmykiem. No i co robisz, kiedy już znajdziesz się nad tym przesmykiem?

Pelorat przez chwilę milczał, jak gdyby obawiał się, że musi to być jakieś niezwykle skomplikowane zadanie. W końcu poddał się:

— Przypuszczam, że bym po prostu kogoś spytał.

— Bardzo dobrze! Czy można zrobić coś innego?… No co, jesteś już gotów?

— Już? To znaczy teraz? — Pelorat wygramolił się z fotela. Jego miła, lecz nie ukazująca nigdy żadnych uczuć twarz teraz nieomal zdradzała niepokój. — Co mam robić? Usiąść? Stać? Czy zrobić jeszcze coś innego?

— Na czas i przestrzeń, Janov, nie musisz nic robić. Chodź po prostu ze mną do mojej kabiny, żebym mógł skorzystać z komputera,

a tam możesz sobie siedzieć, stać albo fikać koziołki. Możesz sobie robić, co ci się podoba. Proponuję ci jednak, żebyś usiadł przed ekranem i dokładnie go obserwował. To na pewno będzie zajmujące. Chodź!

Przeszli krótkim korytarzem do kabiny Trevizego i Trevize usiadł przy komputerze. — A może ty chciałbyś to zrobić, Janov? — spytał nagle. — Podam ci liczby i wystarczy, żebyś je pomyślał. Całą resztę wykona komputer.

— Nie, dziękuję — odparł Pelorat. — Ten komputer jakoś niezbyt dobrze ze mną współpracuje. Wiem, co powiesz — że brak mi wprawy, ale nie wierzę w to. Jest coś w twoim umyśle, Golan…

— Nie opowiadaj głupstw.

— Ależ skąd. Ten komputer wydaje się po prostu pasować do ciebie. Kiedy się z nim połączysz, to wydaje się, że tworzycie jeden organizm. Kiedy ja się połączę, to jest to zespół dwu działających podmiotów — Janova Pelorata i komputera. To nie to samo.

— To śmieszne — powiedział Trevize, ale stwierdzenie Pelorata sprawiło mu satysfakcję. Pogładził niemal z miłością wgłębienia na dłonie.

— Tak, że wolę raczej patrzeć — rzekł Pelorat. — To znaczy, wolałbym, żebyśmy w ogóle tego nie robili, ale skoro się uparłeś, to wolę patrzeć. — Utkwił wzrok w ekran, który ukazywał zamgloną Galaktykę, jakby posypaną pudrem bladych gwiazd na pierwszym planie. — Daj mi znać, kiedy będziesz miał zacząć. — Oparł się powoli o ścianę i zbierał siły na ten moment.

Trevize uśmiechnął się. Włożył dłonie we wgłębienia na płycie biurka i poczuł, że ma kontakt umysłowy z komputerem. Z dnia na dzień przychodziło mu to łatwiej, a przy tym kontakt stawał się jak gdyby bardziej intymny i mimo iż kpił sobie z tego, co mówił Pelorat, faktycznie czuł to. Wydawało się, że nawet nie musi wyraźnie myśleć o współrzędnych, tak jak gdyby komputer wiedział, czego on chce, nawet bez wyraźnego formułowania poleceń. Sam czerpał informację z mózgu Trevize — go.

Ale, mimo to, Trevize „powiedział", czego chce i polecił, by poprzedzić skok dwuminutowym odliczaniem.

— W porządku, Janov. Mamy dwie minuty: 120 — 115 — 110 — … Patrz tylko na ekran.

Pelorat wpatrywał się intensywnie w ekran, zaciskając kąciki ust i wstrzymując oddech.

Trevize mówił cicho: 15 — 10 — 5 — 4 — 3 — 2 — 1 — 0.

Obraz na ekranie zmienił się bez żadnego zauważalnego ruchu. Pelorat nie odczuł absolutnie nic. Gwiazdy wyraźnie się zagęściły i Galaktyka znikła.

Pelorat drgnął i spytał:

— Czy to było to?

— Czy to było co? Drgnąłeś. Ale to twoja wina. Nie czułeś nic. Przyznaj się.

— Przyznaję.

— A więc to jest to. Dawniej, kiedy podróże w nadprzestrzeń były względną nowością — przynajmniej tak podają książki — towarzyszyło temu dziwne uczucie, jakby lekkie szarpnięcie, i niektórzy ludzie odczuwali nudności albo lekki zawrót głowy. Może było to zjawisko psychogenne, a może nie. W każdym razie w miarę jak ludzie zdobywali coraz większe doświadczenie w zakresie skoków i doskonalono aparaturę, doznania te stawały się coraz rzadsze. Przy takim komputerze jak ten na pokładzie wpływ wywierany przez skok na organizm znajduje się poniżej progu percepcji. Przynajmniej ja tak to odczuwam.

— Muszę przyznać, że ja też. Gdzie teraz jesteśmy, Golan?

— Tylko o krok dalej. W rejonie Kalgana. Mamy jeszcze długą drogę przed sobą i zanim wykonamy następny skok, musimy sprawdzić, czy ten był precyzyjny.

— Niepokoi mnie, gdzie się podziała Galaktyka.

— Jest wszędzie wokół nas, Janov. Teraz jesteśmy już wewnątrz niej. Jeśli nastawimy odpowiednio ekran, to ujrzymy jej bardziej oddalone rejony w postaci jasnego pasma na niebie.

— Droga Mleczna! — krzyknął radośnie Pelorat. — Prawie każdy świat ma ją na swoim niebie, ale my, na Terminusie, nie widzimy jej. Pokaż mi ją, stary druhu!

Obraz na ekranie przechylił się, tak iż zdawało się, że przepływa przezeń strumień gwiazd, a potem pokazał się szeroki, jarzący się perłowym światłem pas, który wypełnił prawie cały ekran. Ekran przesunął się wzdłuż niego, ukazując jak zwęża się, a potem znowu rozszerza.

— Im bliżej środka Galaktyki, tym jest gęściejsza. Nie jest jednak tak gęsta ani tak jasna, jak mogłaby być, gdyż w spiralnych ramionach są ciemne chmury. Coś takiego jak teraz mógłbyś zobaczyć z większości zamieszkanych światów.

— I z Ziemi…

— To nie jest żadna wskazówka. Nie można tego traktować jako cechy rozpoznawczej.

— Oczywiście, że nie. Ale wiesz co… Nie studiowałeś historii nauki, prawda?

— Rzeczywiście nie, chociaż, naturalnie, coś z tego liznąłem. Mimo to, jeśli masz jakieś pytania, nie traktuj mnie jak eksperta.

— Nie, chodzi mi tylko o to, że ten skok przypomniał mi o czymś, co zawsze mnie zastanawiało. Można stworzyć opis wszechświata, w którym podróże nadprzestrzenne są niemożliwe i w którym prędkość

światła w próżni jest absolutnie największą prędkością.

— Oczywiście.

— W takich warunkach geometria wszechświata jest tego rodzaju, że jest niemożliwością odbyć podróż, którą właśnie rozpoczęliśmy, w czasie krótszym niż ten, którego potrzebuje promień światła dla przebycia określonej drogi. I gdybyśmy podróżowali z prędkością światła, to dla nas upływ czasu byłby inny niż dla całego wszechświata. Jeśli punkt, w którym się teraz znajdujemy, jest oddalony, powiedzmy, o pięćdziesiąt parseków od Terminusa, to gdybyśmy dotarli tu z prędkością światła, nie czulibyśmy w ogóle upływu czasu, natomiast na Terminusie i w całej Galaktyce minęłoby sto trzydzieści lat. Tymczasem dotarliśmy tu nie z prędkością światła, ale z prędkością większą od niej tysiąc razy i nie ma żadnej różnicy w upływie czasu między nami a jakimkolwiek innym miejscem w Galaktyce. Przynajmniej mam nadzieję, że nie ma.

— Nie spodziewaj się, że wyłożę ci tu zaraz teorię nadprzestrzeni Olanjena. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że gdybyś podróżował z prędkością światła w zwykłej przestrzeni, to — jak to opisałeś — czas mijałby dla ciebie wolniej o 3,26 roku na parsek. Tak zwany względny wszechświat, którego istotę ludzkość znała już tak dawno, jak sięgają nasze badania prehistoryczne — chociaż myślę, że to akurat twoja dziedzina — nie zmienił swych własności, a prawa w nim obowiązujące nie zostały uchylone. Jednak podczas skoków nadprzestrzennych znajdujemy się w stanie, kiedy warunki determinujące względność po prostu nie istnieją i w związku z tym działają inne prawa. Traktowana nadprzestrzennie Galaktyka jest mikroskopijnym obiektem, idealnie bezwymiarowym punktem, gdzie nie zachodzą żadne efekty względności.

Prawdę mówiąc, w matematycznych formułach kosmologii używa się dwóch symboli na oznaczenie Galaktyki — Gw na oznaczenie „Galaktyki względnej”, gdzie największą możliwą prędkością jest prędkość światła i GN, na oznaczenie „Galaktyki nadprzestrzennej”, gdzie prędkość nie ma zupełnie żadnego znaczenia, po prostu nie istnieje. W nadprzestrzeni wartość każdej prędkości jest równa zeru, nic więc się tam nie porusza, natomiast to samo ciało ma względem przestrzeni nieskończoną prędkość. Nie potrafię tego dokładnie wyjaśnić.

Aha, warto dodać, że ulubioną pułapką profesorów zastawianą na studentów podczas ćwiczeń z fizyki teoretycznej jest wstawianie symboli czy wartości, które mają znaczenie w Gw do równań odnoszących się do GN i odwrotnie. Najczęściej student wpada w taką pułapkę i nie może się stamtąd nijak wydostać. Poci się i męczy, bo nic mu nie wychodzi, dopóki nie zlituje się nad nim któryś ze starszych kolegów i nie wyjaśni w czym rzecz. Ja też dałem się kiedyś

na to nabrać.

Pelorat przez chwilę poważnie zastanawiał się nad tym, a potem zmieszany spytał:

— No, ale która z tych Galaktyk jest prawdziwa?

— I jedna, i druga — w zależności od tego, co w danej chwili robisz. Jeśli znajdziesz się na powrót na Terminusie, to po to, żeby przebyć jakąś odległość lądem, skorzystasz z samochodu, a po to, żeby przebyć taką samą odległość morzem — ze statku. W każdym z tych przypadków warunki są inne. No i który Terminus jest prawdziwy — ląd czy morze?

Pelorat pokiwał głową. — Analogie są zawsze ryzykowne — powiedział — jednak w tym przypadku wolę przyjąć twoje wyjaśnienia niż zastanawiając się dłużej nad nadprzestrzenią ryzykować popadniecie w chorobę psychiczną. Skoncentruję się na tym, co robimy teraz.

— Spójrz na to, co właśnie zrobiliśmy — rzekł Trevize — jako na nasz pierwszy skok w kierunku Ziemi.

„I zastanawiam się, ku czemu jeszcze” — pomyślał.

32.

— No tak — rzekł Trevize — zmarnowałem dzień.

— O! — zdziwił się Pelorat — podnosząc głowę znad swych katalogów. — Jak to?

Trevize rozłożył ręce. — Nie ufałem komputerowi. Nie śmiałem mu wierzyć, więc porównałem naszą obecną pozycję z pozycją, którą chcieliśmy osiągnąć po skoku. Różnica była nieuchwytna. Nie było żadnego zauważalnego błędu.

— To chyba dobrze, co?

— Więcej niż dobrze. To niewiarygodne. Nigdy o niczym takim nie słyszałem. Wykonałem wiele skoków, wiele skoków sam obliczyłem różnymi sposobami i przy użyciu różnych urządzeń. Kiedy byłem jeszcze w szkole, musiałem obliczyć parametry pewnego skoku na ręcznym komputerze, a potem sprawdziłem wynik za pomocą nadajnika nadprze — strzennego. Naturalnie nie mogłem wysłać prawdziwego statku, gdyż — pomijając już koszty — mógłbym go wpakować w sam środek jakiejś gwiazdy na drugim końcu drogi przez nadprzestrzeń.

Oczywiście nigdy nie skończyło się aż tak źle — kontynuował Trevize — ale zawsze był jakiś, i to spory, błąd. Błędy zdarzają się zawsze, nie mogą się przed nimi ustrzec nawet eksperci. Po prostu nie sposób nie popełnić błędu, jeśli ma się do czynienia 2 tyloma zmiennymi. Ujmijmy to w ten sposób — geometria przestrzeni jest zbyt skomplikowana, aby można sobie było z nią łatwo poradzić, a nadprzestrzeń, ze swą własną złożoną naturą, co do której nawet nie udajemy, że potrafimy ją zrozumieć, komplikuje sprawę jeszcze bardziej. Właśnie dlatego musimy posuwać się etapami, zamiast wykonać jeden wielki skok stąd aż do Sayshell. Wraz ze wzrostem odległości wzrasta rozmiar błędu.

— Ale powiedziałeś, że ten komputer nie zrobił błędu — rzekł na to Pelorat.

— To on, komputer, powiedział, że nie zrobił błędu. Poleciłem mu, aby porównał naszą rzeczywistą pozycję z pozycją wcześniej zaplanowaną i wyliczoną, „to, co jest" z „tym, co miało być". Powiedział, że — w granicach jego możliwości pomiaru — obie pozycje są identyczne, a ja pomyślałem „A jeśli kłamie?"

Aż do tej chwili Pelorat trzymał w ręku kopiarkę. Teraz odłożył ją. Wydawał się poruszony tym, co usłyszał:

— Chyba żartujesz! Komputer nie potrafi kłamać. Chyba że chcesz przez to powiedzieć, że myślałeś czy nie jest zepsuty.

— Nie, wcale tak nie myślałem. Na przestrzeń! Myślałem, że kłamie. Ten komputer jest tak doskonały, że nie mogę o nim myśleć

inaczej, jak o istocie ludzkiej, a może nawet nadludzkiej. O istocie na tyle ludzkiej, żeby mogła czuć dumę… i żeby kłamała. Dałem mu polecenie, aby wytyczył przez nadprzestrzeń kurs do pozycji znajdującej się w pobliżu planety Sayshell, stolicy Związku Sayshellskiego. Zrobił to. Wytyczył kurs w dwudziestu dziewięciu skokach, co jest arogancją w najwyższym stopniu.

— Dlaczego arogancją?

— Błąd popełniony podczas pierwszego skoku sprawia, że drugi jest o wiele mniej pewny, błąd popełniony przy drugim skoku sprawia, że trzeci jest jeszcze bardziej niepewny, i tak dalej. Jak można obliczyć dwadzieścia dziewięć skoków od razu? Dwudziesty dziewiąty mógłby się skończyć w jakimkolwiek miejscu w Galaktyce, dosłownie w każdym miejscu. Tak więc poleciłem mu wykonać tylko pierwszy skok. Będziemy mog i sprawdzić wynik, zanim zdecydujemy się na następne.

— To ostrożne podejście — powiedział Pelorat z uznaniem. — Popieram to!

— Tak, ale czy zrobiwszy pierwszy skok komputer nie poczuje się dotknięty moim brakiem zaufania? Czy nie będzie czuł się zmuszony ocalić swą dumę mówiąc mi, że kiedy go pytałem, nie było w jego wyliczeniach żadnego błędu? Czy nie stwierdzi, że nie może się przyznać do pomyłki, do swojej niedoskonałości? Gdyby miało tak być, to równie dobrze moglibyśmy nie mieć żadnego komputera.

Długa, łagodna twarz Pelorata posmutniała:

— Co możemy zrobić w takim przypadku, Golan?

— Możemy zrobić to, co właśnie zrobiłem — zmarnować dzień. Sprawdziłem pozycje wielu z otaczających nas gwiazd stosując najbardziej prymitywne metody — obserwację teleskopową, fotografię i pomiar ręczny. Porównałem rzeczywistą pozycję każdej z nich z tymi, w których powinny się znajdować, gdyby w obliczeniach nie było błędu. Praca ta zajęła mi cały dzień, a wyniki zupełnie mnie załamały.

— No, a co się stało?

— Znalazłem dwa ogromne błędy, sprawdziłem, je ponownie i okazało się, że tkwią w moich obliczeniach. To ja sam je popełniłem. Poprawiłem obliczenia, a potem wykonałem je od samego początku za pomocą komputera — po to tylko, żeby zobaczyć, czy on sam da identyczne rozwiązania. Oprócz tego, że przedstawił wyniki z dokładnością do wielu miejsc po przecinku, okazało się, że moje liczby były prawidłowe, a one wykazały, że komputer nie popełnił żadnego błędu. Ten komputer może być aroganckim Mulim synem, ale ma coś, co mu daje faktyczny powód do takiej arogancji.

Pelorat wciągnął głęboki haust powietrza. — No to dobrze.

— Istotnie. A więc mam zamiar polecić mu, żeby wykonał

pozostałe dwadzieścia osiem skoków.

— Wszystkie za jednym zamachem? Ale…

— Nie za jednym zamachem. Nie martw się. Jeszcze nie jestem wariatem. Będzie robił skoki jeden po drugim, ale po każdym sprawdzi nasze otoczenie i dopiero jeśli okaże się, że jesteśmy mniej więcej w miejscu, w którym powinniśmy być, będzie mógł wykonać następny. Jeśli za którymś razem okaże się, że różnica jest zbyt duża — a wierz mi, granicy błędu nie ustaliłem zbyt wysoko — to będzie musiał przerwać i na nowo wyliczyć pozostałe skoki.

— Kiedy masz zamiar to zrobić?

— Kiedy? Zaraz… Widzę, że katalogujesz swoje zbiory…

— Tak, Golan, to dla mnie jedyna okazja, żeby to zrobić. Już od paru lat miałem się za to zabrać, ale zawsze coś stawało mi na przeszkodzie.

— Nie mam nic przeciwko temu. Zajmij się swoją pracą i nie przejmuj się. Skup się na katalogowaniu, a ja zajmę się całą resztą.

Pelorat potrząsnął głową. — Nie żartuj. Nie uspokoję się, dopóki nie będziemy tego mieli za sobą. Prawie trzęsę się ze strachu.

— A więc nie powinienem ci tego mówić, ale… muszę się tym z kimś podzielić, a oprócz ciebie nie ma tu nikogo. Wyznam ci szczerze, że zawsze istnieje możliwość, że znajdziemy się co prawda w dokładnie wyliczonym miejscu w przestrzeni międzygwiezdnej, ale będzie to akurat miejsce, gdzie znajdzie się lecący z dużą prędkością meteoryt albo mała czarna dziura. Wtedy będzie i po statku, i po nas. Teoretycznie rzecz biorąc, może się coś takiego zdarzyć, chociaż prawdopodobieństwo zaistnienia takiej sytuacji jest małe…

No, ale równie dobrze może się zdarzyć, że siedzisz sobie w swoim gabinecie na Terminusie i przeglądasz swoje zbiory albo śpisz smacznie w swoim własnym łóżku, a jakiś zabłąkany meteoryt, który przedostał się przez atmosferę, trafia cię prosto w głowę i kładzie trupem. Ale, jak powiedziałem, jest to mało prawdopodobne.

Szczerze mówiąc,, prawdopodobieństwo przecięcia po zakończeniu skoku drogi jakiemuś ciału, zetknięcie z którym groziłoby nam katastrofą i śmiercią, ale które byłoby zbyt małe, by zdołał je wykryć komputer, jest o wiele mniejsze niż prawdopodobieństwo zostania ofiarą uderzenia meteorytu w swoim własnym domu. A inne rodzaje ryzyka, jak na przykład wylądowanie w środku jakiejś gwiazdy, są jeszcze mniejsze.

— No to po co mi mówisz o tym wszystkim, Golan? — spytał Pelorat.

Trevize zawahał się, potem spuścił głowę, jakby zastanawiał się, co ma odpowiedzieć, i wreszcie rzekł:

— Widzisz, myślę, że choćby ryzyko katastrofy było nie wiem jak małe, to jeśli wystarczająco duża liczba ludzi podejmuje to ryzyko,

kiedyś musi w końcu dojść do katastrofy. I chociaż jestem absolutnie pewien, że nie przydarzy się nam nic złego, to jednak jakiś wewnętrzny głos mówi mi „A może stanie się to akurat tym razem". A to sprawia, że czuję się wobec ciebie winny… Myślę, że właśnie dlatego mówię ci o tym. Janov, jeśli stanie się coś złego, to wybacz mi.

— Ależ, Golan, drogi przyjacielu, jeśli stanie się coś złego, to obaj zginiemy w tej samej sekundzie. Ani ja nie będę ci mógł wybaczyć, ani ty nie usłyszysz mego wybaczenia.

— Wiem o tym, więc wybacz mi teraz, dobrze? Pelorat uśmiechnął się:

— Nie wiem dlaczego, ale to mi dodaje ducha. Jest w tym coś zabawnego. Oczywiście, Golan, wybaczam ci. W literaturze światowej jest wiele mitów o istnieniu w jakiejś formie życia pozagrobowego i jeśli rzeczywiście istnieje gdzieś takie miejsce — a szansę, że istnieje, są, myślę, takie same jak szansę wylądowania w czarnej minidziurze albo nawet mniejsze — i jeśli obaj znajdziemy się w tym miejscu, to zaświadczę słowem honoru, że zrobiłeś, co mogłeś, aby mnie uratować i że nie jesteś winien mojej śmierci.

— Dziękuję ci. Teraz mi ulżyło. Chcę zaryzykować, ale nie dawała mi spokoju myśl, że w ten sposób ty też zaryzykujesz, nic o tym nie wiedząc.

Pelorat uścisnął mu dłoń:

— Wiesz, Golan, znam cię dopiero niecały tydzień i przypuszczam, że nie powinienem w takich sprawach wydawać pospiesznych sądów, ale myślę, że jesteś wspaniałym facetem. A teraz zróbmy to i miejmy to już z głowy.

— Oczywiście! Wystarczy tylko, żebym nacisnął ten mały klawisz. Komputer dostał już instrukcje i tylko czeka, aż powiem „Start!"… Może chciałbyś…

— Nigdy! To twoja sprawa! I twój komputer.

— W porządku. I moja odpowiedzialność. Jak widzisz, stale staram się jej uniknąć. Nie spuszczaj oka z ekranu!

Z uśmiechem, który wyglądał na całkowicie autentyczny i nieudawany, Trevize położył dłonie na pulpicie i nawiązał kontakt z komputerem.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem obraz pola gwiezdnego zmienił się — potem raz jeszcze — i jeszcze raz. Gwiazdy widziane na ekranie stawały się coraz gęściejsze i jaśniejsze.

Pelorat liczył, wstrzymując oddech. Kiedy doszedł do piętnastu, obraz zatrzymał się, jak gdyby coś się zacięło w aparacie.

Pelorat spytał szeptem, wyraźnie obawiając się, że jakiś głośniejszy dźwięk może fatalnie uszkodzić mechanizm:

— Co się stało? Coś się zepsuło? Trevize wzruszył ramionami:

— Myślę, że koryguje obliczenia. Jakiś obiekt w przestrzeni — obiekt nie uwzględniony w obliczeniach — karzeł, którego nie ma na mapach albo wędrująca planeta — spowodował zauważalne zaburzenia i odkształcił ogólne pole grawitacyjne…

— Czy grozi to nam niebezpieczeństwem?

— Skoro jeszcze żyjemy, to prawie na pewno niczym to nam nie grozi. Jeśli to planeta, to może być oddalona od nas nawet o sto milionów kilometrów, co nie przeszkadza, że zmiany powodowane przez nią w polu grawitacyjnym wymagają przeprowadzenia obliczeń na nowo. Karzeł może być nawet o dziesięć miliardów kilometrów stąd, ale…

Obraz znowu się zmienił i Trevize zamilkł. Zmieniał się jeszcze kilkakrotnie. Wreszcie, kiedy Pelorat doliczył do dwudziestu ośmiu, ruch ustał.

Trevize skontaktował się z komputerem. — Jesteśmy na miejscu — powiedział.

— Liczyłem pierwszy skok jako „l”, a w tej serii zacząłem liczyć od 2. To w sumie dało dwadzieścia osiem skoków, a mówiłeś, że ma być dwadzieścia dziewięć.

— Korekta obliczeń przy skoku 15 prawdopodobnie skróciła całą podróż o jeden skok. Mogę, jeśli chcesz, sprawdzić to na komputerze, ale naprawdę nie ma takiej potrzeby. Jesteśmy w pobliżu planety Sayshell. Tak podaje komputer i wierzę mu. Gdybym nastawił ekran na odpowiedni kierunek, to ujrzelibyśmy jasne słońce, ale nie ma sensu przeciążać bez potrzeby jego wydolności. Planeta Sayshell to ta czwarta, o widzisz, tam. Jesteśmy — teraz od niej oddaleni o 3,2 miliona kilometrów, a to jest odległość, przy której wypada już zakończyć skoki. Możemy tam być za trzy dni… za dwa, jeśli się pospieszymy.

Trevize zaczerpnął głęboko powietrza i czekał, aż opuści go napięcie.

— Zdajesz sobie sprawę, Janov, co to znaczy? — spytał. — Żaden statek, na którym byłem czy o którym słyszałem, nie wykonałby tych skoków bez przynajmniej jednego dnia przerwy, wypełnionego pracochłonnymi obliczeniami i sprawdzaniem wyników obliczeń, między kolejnymi skokami. I to nawet z wykorzystaniem, komputera. Ta podróż zajęłaby nam prawie miesiąc. No, może dwa albo trzy tygodnie, gdybyśmy szarżowali. A odbyliśmy ją w ciągu pół godziny. Kiedy każdy statek będzie wyposażony w taki komputer jak nasz…

— Zastanawiam się, dlaczego burmistrz dała nam do dyspozycji tak nowoczesny statek — powiedział Pelorat. — Musi być niewiarygodnie kosztowny.

— To statek eksperymentalny — rzekł sucho Trevize. — Być może ta dobra kobieta chciała, abyśmy go wypróbowali, żeby się przekonać,

czy nie wyjdą na jaw jakieś braki albo usterki.

— Mówisz to poważnie?

— Nie denerwuj się. W końcu nie ma się czym przejmować. Nie ma tu żadnych usterek. Ale nie zdziwiłbym się, gdyby były, a my posłużylibyśmy jako króliki doświadczalne. Na pewno nie musiałaby walczyć z własnym sumieniem, żeby zrobić coś takiego. Poza tym nie zaufała nam na tyle, żeby wyposażyć statek w broń zaczepną, a to bardzo zmniejszyło koszty.

— Myślę o tym komputerze — powiedział z zadumą Pelorat. — Wydaje się znakomicie dostosowany do ciebie… nie można go równie dobrze dostosować do każdego. Ze mną ledwie współpracuje.

— Tym lepiej dla nas, że tak dobrze współpracuje z jednym z nas.

— Zgoda, ale czy to zwykły przypadek?

— A co innego, Janov?

— Na pewno burmistrz zna cię bardzo dobrze.

— Myślę, że tak. Stara krążownica.

— Czy nie mogła polecić zaprojektowania komputera specjalnie dla ciebie?

— A to dlaczego?

— Właśnie zastanawiam się, czy przypadkiem nie lecimy tam, gdzie komputer chce, żebyśmy lecieli.

Trevize otworzył szeroko oczy ze zdumienia:

— Chcesz powiedzieć, że kiedy jestem połączony z komputerem, to on, a nie ja, jest tym, który kieruje?

— Tylko się nad tym zastanawiam.

— To absurd! Paranoja. Daj spokój, Janov.

Trevize wrócił do komputera, aby nastawić ekran na planetę Sayshell i wytyczyć kurs do niej przez zwykłą przestrzeń.

Zupełny absurd!

Ale dlaczego Pelorat nabił mu tym głowę?

Rozdział X
STÓŁ

33.

Minęły dwa dni i Gendibal stwierdził, że jest nie tyle przygnębiony, ile wściekły. Nie było żadnego powodu, żeby zwlekać ż przesłuchaniem go. Gdyby był nieprzygotowany, gdyby potrzebował czasu, o, to wtedy — był całkowicie tego pewien — przesłuchanie zarządzono by natychmiast.

No, ale skoro Druga Fundacja stanęła w obliczu czegoś tak nieistotnego jak największy kryzys od czasów Muła, mogli sobie pozwolić na zwłokę. Marnowali czas po to tylko, żeby go zirytować.

I faktycznie, zirytowali go, ale, na Seldona, skutek tego będzie taki, że jego kontratak będzie tym silniejszy. Był na to całkowicie zdecydowany.

Rozejrzał się. Przedpokój był pusty. Sytuacja ta trwała od dwóch dni. Był człowiekiem napiętnowanym, Mówcą, który — jak wszyscy wiedzieli — utraci wkrótce, w wyniku akcji nie mającej precedensu w całej, pięćsetletniej historii Drugiej Fundacji, swoje stanowisko i pozycję. Zostanie zdegradowany do roli zwykłego, szeregowego członka Drugiej Fundacji.

I owszem, status szeregowego członka Drugiej Fundacji, szczególnie jeśli towarzyszył mu godny tytuł, a Gendibal mógł zachować swój tytuł nawet po procesie, to nie było byle co, ba, to był zaszczyt. Ale zostać zdegradowanym ze stanowiska Mówcy do roli szeregowego członka, to była zupełnie inna sprawa. Ale — myślał z wściekłością Gendibal — nigdy do tego nie dojdzie, nawet jeśli od dwóch dni wszyscy go starannie unikali. Tylko Sura Novi traktowała go tak, jak poprzednio, lecz ona była zbyt naiwna, aby orientować się w sytuacji. Dla niej Gendibal nadal był „panem".

Gendibala irytował fakt, że była ona dla niego pewną pociechą w tych dniach. Ogarnął go wstyd, kiedy zauważył, że jej bałwochwalcze spojrzenie dodaje mu ducha. Czyżby zaczynał już być wdzięczny za tak niewiele?

Z izby posiedzeń wyszedł urzędnik, aby poinformować go, że Stół czeka na niego. Gendibal wkroczył do środka. Urzędnik był dobrze znany Gendibalowi, należał on do gatunku tych, którzy dokładnie wiedzieli, ile szacunku należy się temu, a ile innemu Mówcy i z jaką — w związku z tym — dozą uprzejmości można się do każdego z nich odnosić. W tej chwili jego szacunek dla Gendibała był przerażająco mały. A więc nawet urzędnik uważał, że jego los jest już przesądzony.

Wszyscy siedzieli już wokół stołu w czarnych togach wkładanych specjalnie na proces. Mieli poważne miny. Pierwszy Mówca Shandess sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego, ale pilnie baczył, aby na jego twarzy nie pojawiła się nawet najmniejsza oznaka sympatii. Delarmi

— jedna z trzech kobiet wśród Mówców — nawet nie spojrzała na Gendibala.

Pierwszy Mówca zaczął:

— Mówco Storze Gendibalu, jesteś oskarżony o zachowanie niegodne Mówcy. W obecności nas wszystkich tu zebranych oskarżyłeś Stół o zdradę i o usiłowanie popełnienia morderstwa, nie przedstawiając na to żadnych dowodów. Dałeś jasno do zrozumienia, że umysły wszystkich członków Drugiej Fundacji, włączając w to Mówców razem z Pierwszym Mówcą, powinny zostać poddane dokładnej analizie w celu stwierdzenia komu spośród nas nie można już ufać. Takie zachowanie niszczy łączące nas więzy, więzy, bez których Druga Fundacja nie byłaby w stanie kontrolować skomplikowanej i potencjalnie wrogiej nam Galaktyki, bez których nie moglibyśmy z pewnością stworzyć zdrowego Drugiego Imperium.

Ponieważ wszyscy byliśmy świadkami tego zniesławienia, pominiemy tu przedstawienie formalnego aktu oskarżenia. Możemy zatem przejść od razu do następnej fazy. Mówco Storze Gendibalu, czy masz coś na swoją obronę?

W tym miejscu Delarmi — nadal nie patrząc na niego — pozwoliła sobie na złośliwy uśmieszek.

— Jeśli prawda może świadczyć na moją korzyść — rzekł Gendibal — to mam coś na swoją obronę. Są powody, by przypuszczać, że istnieją stąd przecieki. Może t o się łączyć z poddaniem przez kogoś kontroli psychicznej jednego lub więcej członków Drugiej Fundacji, nie wykluczając osób tu obecnych, a to stawia Drugą Fundację w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Jeśli faktycznie przyspieszyliście ten proces, gdyż nie chcecie tracić czasu, to być może wszyscy niejasno zdajecie sobie sprawę z powagi sytuacji, ale dlaczego w takim przypadku zmarnowaliście dwa dni, mimo iż złożyłem formalny wniosek o natychmiastowy proces? Proszę łaskawie wziąć pod uwagę, że właśnie to śmiertelne niebezpieczeństwo zmusiło mnie do powiedzenia tego, co powiedziałem. Zachowałbym się w sposób niegodny Mówcy, gdybym tego nie zrobił.

— On po prostu powtarza zniesławienie, Pierwszy Mówco — powiedziała słodko Delarmi.

Krzesło Gendibala ustawiono w większej odległości od stołu niż krzesła pozostałych Mówców, co samo w sobie było już oznaką degradacji. Odsunął je jeszcze dalej, jak gdyby nie dbał o to, i powstał.

— Oskarżycie i skarzecie mnie z miejsca, mając prawo za nic, czy mogę kontynuować swoją obronę? — spytał.

Odpowiedział mu Pierwszy Mówca.

— To nie jest posiedzenie zwołane wbrew prawu czy niezgodne ,z prawem, Mówco. Chociaż nie ma zbyt wielu precedensów, którymi

moglibyśmy się kierować w tej sprawie, to jednak dajemy ci pełną możliwość wypowiedzenia się. Uważamy bowiem, że gdyby nasze ponadludzkie zdolności miały doprowadzić nas do pogwałcenia zasad sprawiedliwości, to lepiej by było uniewinnić winnego niż skazać niewinnego. Dlatego, aczkolwiek sprawa, którą tu rozpatrujemy, jest zbyt poważna, byśmy pochopnie mieli uwolnić z zarzutów winnego, pozwalamy ci przedstawić tu twoje argumenty w taki sposób, jaki uznasz za stosowny i mówić tak długo, jak będziesz potrzebował, dopóki wszyscy, włączając w to mnie (zaakcentował to, podnosząc głos), nie uznamy jednomyślnie, że usłyszeliśmy już dosyć.

— Pozwólcie zatem, że zacznę od informacji, iż Golan Trevize, ten radny z Pierwszej Fundacji, który został skazany na wygnanie i który — zdaniem Pierwszego Mówcy i moim — jest ostrzem nadciągającego niebezpieczeństwa, oddalił się w nieoczekiwanym kierunku.

— W kwestii formalnej — rzekła słodko Delarmi. — Skąd ten mówca (intonacja wyraźnie wskazywała na to, że słowo „mówca" wypowiedziała z małej litery) wie o tym?

— Zostałem o tym poinformowany przez Pierwszego Mówcę — rzekł Gendibal — ale potwierdzam to na podstawie swojej własnej wiedzy. Jednak w obecnej sytuacji, mając na względzie fakt, że — jak już powiedziałem — nie ma gwarancji, iż nic z tego, co się tu mówi, nie przedostanie się poza ściany tej sali, nie mogę ujawnić źródeł swoich informacji.

— Na razie wstrzymujemy się od osądu w tej sprawie — powiedział Pierwszy Mówca. — Będziemy kontynuować bez tej informacji, jednak jeśli — w opinii Stołu — okaże się to konieczne, Mówca Gendibal będzie musiał ujawnić swoje źródła.

— Jeśli ten mówca nie ujawni ich teraz — odezwała się Delarmi — to będę miała powody przypuszczać, że ma on swojego prywatnego agenta, którego zatrudnił dla swych własnych celów i o którym Stół nic nie wie. Nie możemy mieć pewności, czy taki agent przestrzega zasad obowiązujących personel Drugiej Fundacji.

Pierwszy Mówca rzekł z lekką irytacją:

— Zdaję sobie doskonale sprawę z wszystkich implikacji stwierdzenia Mówcy Gendibala, Mówco Delarmi. Nic musisz mi ich tu wykładać jak dziecku.

— Wspominam o tym, Pierwszy Mówco, tylko dlatego, by umieszczono to w aktach sprawy. Jest to dodatkowa okoliczność obciążająca, nie ma jej jednak w akcie oskarżenia, który — nawiasem mówiąc — nie został tu w pełni przedstawiony. Zgłaszam zatem wniosek, by uzupełniono oskarżenie o tę okoliczność.

— Proszę umieścić ten punkt w akcie oskarżenia — rzekł Pierwszy Mówca, zwracając się do urzędnika. — Zostanie rozwinięty i

sformułowany zgodnie z literą prawa w odpowiednim czasie. … Mówco Gendibal (on przynajmniej wymawiał jego tytuł z dużej litery), jak dotąd, twoje wyjaśnienia faktycznie pogarszają tylko twoją sytuację. Mów dalej.

— Trevize — podjął na nowo Gendibal — nie tylko udał się w nieoczekiwanym kierunku, ale w dodatku podróżuje z nieznaną dotąd prędkością. Z moich informacji, których nie zna jeszcze Pierwszy Mówca, wynika, że przebył blisko dziesięć tysięcy parseków w czasie niespełna godziny.

— Jednym skokiem? — spytał z niedowierzaniem któryś z Mówców.

— Nie jednym, lecz ponad dwudziestoma skokami, następującymi jeden po drugim, bez prawie żadnych przerw między nimi — odparł Gendibal — co nawet trudniej sobie wyobrazić niż jeden tak wielki skok. Nawet jeśli uda się teraz ustalić jego położenie, to dotarcie do niego zajmie sporo czasu, a jeśli nas wyśledzi i będzie chciał nam umknąć, to absolutnie nie będziemy w stanie go dogonić… A wy tu tracicie czas na zabawy w oskarżenia i procesy i nawet zwlekacie z tą sprawą dwa dni, żeby się nią jeszcze bardziej delektować.

Pierwszemu Mówcy udało się ukryć zniecierpliwienie. — Proszę, Mówco Gendibalu — powiedział — żebyś wyjaśnił nam, jakie to, twoim zdaniem, ma znaczenie.

— Świadczy to wymownie, Pierwszy Mówco, o niesłychanym postępie technologicznym, który nastąpił w Pierwszej Fundacji. Są oni teraz o wiele potężniejsi niż w czasach Preema Palvera. Gdyby nas odkryli i mogli swobodnie działać, to nie mielibyśmy żadnych szans.

Mówca Delarmi podniosła się z miejsca. — Pierwszy Mówco — powiedziała — szkoda naszego czasu na słuchanie takich rzeczy. To nie ma nic wspólnego ze sprawą. Nie jesteśmy dziećmi, żeby nas tu straszyć bajkami Babci Czarnej Dziury. Dopóki jesteśmy w stanie kontrolować ich wolę i umysły, fakt, że posiadają fantastyczne maszyny, nie ma żadnego znaczenia.

— Co na to powiesz. Mówco Gendibal? — spytał Pierwszy Mówca.

— Tylko to, że kontrolą woli i umysłu zajmiemy się w odpowiednim czasie. Na razie chcę po prostu podkreślić ogromną — i stale rosnącą — przewagę technologiczną Pierwszej Fundacji.

— Przejdź do następnego punktu, Mówco Gendibal — rzekł Pierwszy Mówca. — Muszę ci wyznać, że to, co powiedziałeś do tej pory, nie wydaje mi się zbytnio związane z zarzutami zawartymi w akcie oskarżenia.

Zachowanie reszty Mówców wymownie świadczyło, że zgadzają się w pełni ze zdaniem Pierwszego Mówcy.

— Proszę bardzo, już przechodzę — powiedział Gendibal. —

Trevize nie podróżuje sam. Towarzyszy mu niejaki — przerwał na chwilę, zastanawiając się jak wymawia się to nazwisko — Janov Pelorat, uczony bez jakichś specjalnych osiągnięć, który poświęcił całe życie na zbieranie mitów i legend dotyczących Ziemi.

— Widzę, że wiesz o nim wszystko — wtrąciła się Delarmi, która z widoczną przyjemnością przyjęła na siebie rolę oskarżyciela. — Pewnie to znowu owo tajemnicze źródło informacji?

— Owszem, wiem o nim wszystko — odparł spokojnie Gendibal. — Kilka miesięcy ternu burmistrz Terminusa, zdolna i energiczna kobieta, zainteresowała się nim bez żadnego wyraźnego powodu, a więc siłą rzeczy ja też się nim zainteresowałem. Zresztą nie robiłem z tego tajemnicy. Wszystkie informacje, które udało mi się uzyskać, przekazałem Pierwszemu Mówcy.

— Potwierdzam to — rzekł cicho Pierwszy Mówca.

Jeden ze starszych Mówców spytał:

— A co to takiego ta Ziemia? Czy to ten znany z baśni świat, z którego jakoby wywodzi się ludzkość? Ten, wokół którego było tyle zamieszania w starym Imperium?

Gendibal skinął twierdząco głową.

— Znany z bajek Babci Czarnej Dziury, jak by powiedziała Mówczyni Delarmi… Podejrzewam, że marzeniem Pelorata była podróż na Trantor i przeszukanie Biblioteki Galaktycznej w celu znalezienia informacji dotyczących Ziemi, informacji, których nie mógł uzyskać za pośrednictwem działającej na Terminusie międzygwiezdnej wymiany bibliotecznej.

Kiedy odlatywał z Trevizem z Terminusa, musiał być przekonany, że jego marzenie ma się właśnie spełnić. W każdym razie my spodziewaliśmy się ich przybycia i liczyliśmy na to, że będziemy mogli, dla naszego dobra, przebadać ich. Jak się okazuje, i jak już teraz wszyscy wiecie, nie przylecą tu. Nie wiadomo jeszcze dokąd i po co lecą.

Delarmi, z miną aniołka na swej pucołowatej twarzy spytała:

— A dlaczego ma to nas niepokoić? Z pewnością ich nieobecność na Trantorze nie pogorszyła naszej sytuacji. Prawdę mówiąc, fakt, że tak łatwo zrezygnowali z odwiedzenia Trantora, zdaje się wskazywać, iż Pierwsza Fundacja nie wie nic o jego prawdziwym charakterze. Możemy tylko podziwiać kunszt Preema Palvera.

— Gdybyśmy nie zastanawiali się nad tym głębiej, to faktycznie moglibyśmy dojść do takiego pocieszającego wniosku. Ale czy nie mogło być tak, że zmiana ich planów nie wynikła bynajmniej z braku orientacji co do roli Trantora? A może zmiana ta spowodowana została właśnie obawą, by Trantor — przebadawszy ich obu — nie zorientował się, jak ważną rolę odgrywa w tym wszystkim Ziemia? Wśród Mówców zapanowało poruszenie.

— Każdy — powiedziała zimno Delarmi — potrafi wymyślać znakomite hipotezy i przedstawiać je w sugestywnych zdaniach. Ale czy to znaczy, że są one tylko dlatego sensowne? Czy miałoby kogokolwiek obchodzić to, co Druga Fundacja myśli o Ziemi? To, czy jest ona naprawdę planetą, z której pochodzi rodzaj ludzki, czy tylko mitem, a przede wszystkim czy w ogóle jest jakaś jedna planeta, z której pochodzą ludzie, jest na pewno problemem, którym powinni się zajmować historycy, antropolodzy i zbieracze podań, tacy jak ten twój Pelorat. Ale dlaczego mielibyśmy się tym zajmować my?

— No właśnie, dlaczego? — podchwycił Gendibal. — A dlaczego w bibliotece nie ma żadnej wzmianki na temat Ziemi? Jak to możliwe?

Po raz pierwszy w atmosferze panującej wokół Stołu dało się odczuć coś innego niż wrogość.

— A nie ma? — powiedziała Delarmi.

— Kiedy dotarła do mnie wiadomość — rzekł zupełnie spokojnie Gendibal — że Trevize i Pelorat mogą przybyć tutaj w poszukiwaniu informacji dotyczących Ziemi, to oczywiście poleciłem naszemu komputerowi bibliotecznemu, żeby sporządził listę dokumentów zawierających takie informacje. Specjalnie się nie przejąłem, kiedy okazało się, że w bibliotece nie ma nic na ten temat. Zupełnie nic. Najmniejszej wzmianki… Nic!

Ale potem uparliście się kazać mi czekać dwa dni na ten proces i w tym samym czasie dowiedziałem się, że w końcu Trevize i Pelorat nie mają zamiaru tu przylecieć. To pobudziło moją ciekawość. Zresztą musiałem się jakoś rozerwać i czymś zająć. A więc podczas gdy — jak głosi stare porzekadło — siedzieliście tu popijając wino, a dom się walił, ja przejrzałem stare książki historyczne w swoich prywatnych zbiorach. Znalazłem w nich ustępy, które wyraźnie mówiły o badaniach dotyczących „Problemu Pochodzenia", prowadzonych u schyłku Imperium. Powoływano się tam na konkretne dokumenty, zarówno druki, jak i mikrofilmy, a nawet cytowano niektóre z nich. Poszedłem więc raz jeszcze do biblioteki i sam próbowałem je znaleźć. Zapewniam was, że nie znalazłem nic.

— Nawet jeśli jest tak, jak mówisz — powiedziała Delarmi — to niekoniecznie musi być w tym coś dziwnego. Jeśli Ziemia jest faktycznie mitem…

— To znalazłbym coś na ten temat w dziale mitologii. Gdyby była to opowieść Babci Czarnej Dziury, to znalazłbym to w zbiorze opowieści Babci Czarnej Dziury. Gdyby był to wytwór chorego umysłu, to znalazłbym to w dziale psychopatologii. Jest faktem, ,że istnieje coś na temat Ziemi, bo w przeciwnym razie nikt z was nic by o tym nie słyszał, a tymczasem z miejsca zorientowaliście się, że jest to nazwa planety, z której przypuszczalnie pochodzi rodzaj ludzki.

Dlaczego wobec tego nie ma na ten temat ani jednej wzmianki w bibliotece, i to w żadnym dziale?

Delarmi tym razem nic nie powiedziała, za to odezwał się inny Mówca. Był to Leonis Cheng, dość niski mężczyzna, o encyklopedycznej zaiste wiedzy na temat najdrobniejszych szczegółów Planu Seldona, ale o krótkowzrocznym stosunku do faktycznie istniejącej Galaktyki. Miał zwyczaj mrugać szybko powiekami, kiedy mówił.

— Jest rzeczą ogólnie znaną, że u swego schyłku Imperium starało się stworzyć kult imperatora, starannie tłumiąc wszelkie objawy zainteresowania czasami przedimperialnymi.

Gendibal skinął głową:

— Tłumienie to precyzyjny termin, Mówco Cheng. Nie jest to równoznaczne z niszczeniem dowodów. Powinieneś wiedzieć o tym lepiej niż ktokolwiek z tu obecnych, że inną charakterystyczną cechą okresu schyłkowego Imperium był nagły przypływ zainteresowania wcześniejszymi — i przypuszczalnie lepszymi — czasami. Mam tu na myśli wzrost zainteresowania „Problemem Pochodzenia" w czasach Hari Seldona. Cheng przerwał mu głośnym chrząknięciem:

— Wiem o tym bardzo dobrze, młody człowieku. O społecznych problemach okresu schyłkowego Imperium wiem o wiele więcej, niż przypuszczasz. Proces „imperializacji" wziął ostatecznie górę nad tymi dyletanckimi rozważaniami dotyczącymi Ziemi. Za rządów Cleona II, w ostatnim okresie pewnego ożywienia Imperium, proces ten osiągnął punkt kulminacyjny i ustały wszelkie spekulacje na temat Ziemi. Było to dwieście lat po Seldonie. W czasach Cleona został nawet wydany edykt, w którym zainteresowanie takimi rzeczami określano (myślę, że cytuję dokładnie) jako „jałowe i nieproduktywne spekulacje, które prowadzą do podważenia zaufania i miłości ludu do tronu Imperium".

Gendibal uśmiechnął się.

— A zatem, Mówco Cheng, skłonny byłbyś datować zniszczenie wszystkich danych dotyczących Ziemi na okres panowania Cleona II?

— Nie wyciągam żadnych wniosków. Po prostu stwierdziłem to, co stwierdziłem.

— Sprytnie się z tego wywinąłeś, nie wyciągając żadnych wniosków. Za czasów Cleona Imperium mogło przeżywać pewien renesans, ale przynajmniej Uniwersytet i biblioteka znajdowały się w naszych rękach, a w każdym razie w rękach naszych poprzedników. Usunięcie jakichkolwiek materiałów z biblioteki bez wiedzy Mówców z Drugiej Fundacji było niemożliwe. Prawdę mówiąc, zadanie to zostałoby powierzone właśnie Mówcom, choć ginące Imperium nie zdawałoby sobie z tego sprawy.

Gendibal przerwał, ale Cheng nie powiedział nic, spoglądając w jakiś punkt ponad jego głową.

— Wynika z tego — podjął Gendibal na nowo — że materiały dotyczące Ziemi nie mogły zostać usunięte z biblioteki za czasów Seldona, gdyż zainteresowanie Problemem Pochodzenia było wówczas zbyt duże. Nie mogły też zostać usunięte później, gdyż wówczas biblioteka znajdowała się już w pieczy Drugiej Fundacji. A mimo to nie ma ich teraz w bibliotece. Jak to możliwe?

— Może przestaniesz wreszcie rozwodzić się nad tym dylematem, Gendibal — wtrąciła niecierpliwie Delarmi. — Rozumiemy, o co chodzi. Jakie jest, twoim zdaniem, rozwiązanie? Że ty sam usunąłeś te dokumenty?

— Jak zwykle, Delarmi, zaskakujesz swą przenikliwością — Gendibal pochylił głowę w szyderczym ukłonie (na który odpowiedziała lekkim wydęciem ust). — Jedno z możliwych rozwiązań tej zagadki jest takie, że oczyścił bibliotekę z tych materiałów któryś z Mówców Drugiej Fundacji, czyli ktoś, kto wiedział, jak skłonić do tego kustoszy, nie zostawiając żadnego śladu o tym w ich pamięci, i jak skorzystać z komputerów, nie zostawiając żadnego śladu w ich danych.

Pierwszy Mówca Shandess poczerwieniał.

— To absurd, Mówco Gendibal. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby zrobił to jakiś Mówca. Czym miałby się w tym kierować? Nawet gdyby, z jakiegoś powodu, materiały dotyczące Ziemi zostały usunięte, to dlaczego miałoby to się odbyć w tajemnicy przed innymi Mówcami? Dlaczego ktoś miałby ryzykować całą swoją karierę robiąc jakieś machinacje w bibliotece, kiedy szansę, że się to nie wykryje, były tak nikłe? Poza tym, nie sądzę, żeby nawet najzdolniejszy Mówca był w stanie dokonać tego nie zostawiając żadnego śladu.

— A zatem, Pierwszy MÓWCO, nie zgadzasz się z sugestią Mówcy Delarmi, że zrobiłem to ja.

— Oczywiście, że nie — odparł Pierwszy Mówca. — Czasem mam wątpliwości, czy zachowujesz się rozsądnie, ale nie przypuszczam, żebyś kompletnie zwariował.

— Wobec tego, Pierwszy Mówco, coś takiego nie mogło w ogóle mieć miejsca. Ponieważ wyeliminowaliśmy wszystkie możliwe sposoby usunięcia z biblioteki materiałów dotyczących Ziemi, powinny się one tam nadal znajdować. A jednak nie ma ich.

— No dobrze już, dobrze, kończmy to — powiedziała Delarmi ze sztucznym znużeniem. — Powtarzam raz jeszcze, jakie jest — twoim zdaniem — rozwiązanie? Jestem pewna, że masz jakiś pomysł.

— Jeśli ty jesteś tego pewna, Mówco, to my też możemy być pewni. Moim zdaniem, biblioteka została wyczyszczona z tych materiałów przez kogoś z Drugiej Fundacji, kto znajdował się pod wpływem jakiejś subtelnie działającej siły spoza Drugiej Fundacji. Nie zauważono zniknięcia tych materiałów, ponieważ ta sama siła

dopilnowała, żeby nikt z nas tego nie spostrzegł.

Delarmi roześmiała się.

— Aż wreszcie ty to odkryłeś! Ty — jedyna osoba, na którą nikt nie ma, bo nie może mieć wpływu! Jeśli ta tajemnicza siła naprawdę istnieje, to jak to się stało, że odkryłeś brak tych materiałów w bibliotece? Dlaczego nie wywarli na ciebie wpływu, żebyś niczego nie odkrył?

— Nie ma w tym nic do śmiechu, Mówco — rzekł poważnie Gendibal. — Może uważają, tak jak my, że wpływanie na innych i manipulowanie ich zachowaniami powinno ograniczać się do niezbędnego minimum. Kiedy kilka dni temu moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie, to więcej myślałem o tym, jak powstrzymać się od ingerencji w umysł wieśniaka niż jak się bronić. Tak samo może być z nimi — jak tylko zorientowali się, że pora przestać, zaprzestali ingerencji. I to jest realne niebezpieczeństwo, śmiertelne niebezpieczeństwo. Fakt, że mogłem odkryć, co się stało z tymi materiałami, może oznaczać, że już im na tym nie zależy. A fakt, że już im na tym nie zależy, może oznaczać, że uważają, iż już wygrali. A my tu gramy w swoje gierki!

— Ale jaki mają w tym wszystkim cel? Jaki mogą mieć w tym cel? — nalegała Delarmi, szurając nogami i zagryzając wargi. Czuła, że jej wpływ słabnie w miarę jak Mówcy zaczynają odczuwać coraz większe zainteresowanie wywodami Gendibala.

— Pomyśl tylko… — rzekł Gendibal. — Pierwsza Fundacja, z jej niesłychanie potężnym arsenałem broni fizycznej, szuka Ziemi. Upozorowali wygnanie dwóch osób, mając nadzieję, że się na to nabierzemy, ale czy daliby im do dyspozycji statek o niewiarygodnych wręcz zaletach — statek, który może przebyć dziesięć tysięcy parseków w czasie niespełna godziny — gdyby byli to naprawdę wygnańcy?

Natomiast my, Druga Fundacja, ani nie szukaliśmy, ani nie szukamy Ziemi.” Co więcej, podjęto — o czym nie mieliśmy absolutnie żadnego pojęcia — odpowiednie kroki, aby nie dopuścić nas do żadnych informacji na temat Ziemi. Pierwsza Fundacja jest teraz tak blisko, a my tak daleko od znalezienia jej, że…

Gendibal przerwał i Delarmi natychmiast spytała:

— Że co? Kończ te swoje dziecinne gadki. Wiesz coś czy nie?

— Nie wiem wszystkiego, Mówco. Nie wiem, jak mocna jest ta sieć, która nas oplata, ale wiem, że ona istnieje. Nie wiem, jakie może mieć znaczenie znalezienie Ziemi, ale jestem pewien, że Druga Fundacja, a wraz z nią Plan Seldona i przyszłość całej ludzkości znalazły się w wielkim niebezpieczeństwie.

Delarmi wstała z miejsca. Nie uśmiechała się już. Powiedziała napiętym, ale nie wymykającym się spod jej kontroli głosem:

— To bzdury! Pierwszy Mówco, połóż temu wreszcie kres! Zebraliśmy się tu po to, aby ocenić zachowanie oskarżonego. To, co nam tu opowiada, jest nie tylko zupełnie dziecinne, ale w dodatku nie ma nic do rzeczy. Nie może on usprawiedliwić swojego zachowania tworząc istną plątaninę teorii, które mają sens tylko w jego mniemaniu. Domagam się, abyśmy zaraz przystąpili do głosowania w tej sprawie, abyśmy jednomyślnie uznali, że jest winien.

— Chwileczkę! — rzekł ostro Gendibal. — Powiedziano mi, że będę miał możliwość obrony. Została mi jeszcze jedna sprawa… tylko jedna sprawa. Pozwólcie, że ją przedstawię, a potem możecie przystąpić do głosowania bez żadnego sprzeciwu z mojej strony.

Pierwszy Mówca przetarł oczy znużonym gestem.

— Możesz mówić dalej, Mówco Gendibalu — rzekł. — Pozwolę sobie zwrócić uwagę Stołu na fakt, że uznanie Mówcy za winnego zarzucanych mu w oficjalnym akcie oskarżenia czynów jest sprawą tak wielkiej wagi, zdarzeniem nie mającym precedensu w całej naszej historii, że nie możemy pozwolić na to, aby był choć cień podejrzenia, że nie dano oskarżonemu pełnej możliwości obrony. Pamiętajcie też o tym, że może się zdarzyć tak, że choć końcowy werdykt zadowoli nas, to nie zadowoli tych, którzy przyjdą po nas, a nie wątpię w to, że członek Drugiej Fundacji, zajmujący nawet najniższe stanowisko, zdaje sobie doskonale sprawę z wagi i roli perspektywy historycznej. Działajmy tak, abyśmy mogli być pewni uznania dla naszych postanowień ze strony Mówców, którzy przyjdą po nas.

— Ryzykujemy, Pierwszy Mówco, że potomność będzie śmiała się z nas za to, że niepotrzebnie traciliśmy czas na wyjaśnienie tego, co było zupełnie oczywiste — zauważyła zgryźliwie Delarmi. — To ty podjąłeś decyzję, żeby mógł kontynuować swą obronę.

Gendibal wziął głęboki oddech:

— Zgodnie zatem z twoją decyzją, Pierwszy Mówco, chcę powołać świadka — młodą kobietę, którą spotkałem trzy dni temu i bez której, zamiast się spóźnić na posiedzenie Stołu, nie dotarłbym tu w ogóle.

— Czy kobieta, o której mówisz, jest znana Stołowi? — spytał Pierwszy Mówca.

— Nie, Pierwszy Mówco. To rodowita mieszkanka tej planety.

Delarmi szeroko otworzyła oczy. — Tutejsza?

— Tak. Właśnie tak!

— A co mamy wspólnego z kimkolwiek z nich? To, co mogą mieć do powiedzenia, nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Oni dla nas nie istnieją!

Wargi Gendibala ściągnęły się, odsłaniając zęby. Na pewno nikt nie mógł wziąć tego za uśmiech.

— Fizycznie, wszyscy Tutejsi istnieją — rzekł ostro. — Są istotami

ludzkimi i odgrywają odpowiednią rolę w Planie Seldona. Chroniąc pośrednio Drugą Fundację, odgrywają bardzo istotną rolę. Pragnę odciąć się zdecydowanie od nieludzkiej postawy Mówcy Delarmi. Mam nadzieję, że jej uwaga znajdzie się w dokładnym brzmieniu w protokole procesu i zostanie potraktowana jako dowód, że nie powinna sprawować funkcji Mówcy… A może reszta Stołu zgadza się z niesamowitą opinią Mówcy Delarmi i chce pozbawić mnie możliwości powołania świadka?

— Możesz wezwać swego świadka, Mówco — rzekł Pierwszy Mówca.

Wargi Gendibala rozluźniły się i jego twarz przybrała na powrót beznamiętny wyraz, charakterystyczny dla Mówcy w stanie napięcia. Jego umysł był skupiony w sobie i odgrodzony od innych, ale schowany za tą ochronną barierą czuł, że niebezpieczeństwo minęło i że już wygrał.

34.

Sura Novi wyglądała na zdenerwowaną. Miała rozszerzone oczy, a jej dolna warga lekko drżała. Bez przerwy zaciskała i rozwierała dłonie, a jej pierś nieznacznie falowała. Włosy miała zaczesane do tyłu i zaplecione w kok. Spaloną słońcem twarz przebiegał co pewien czas skurcz. Przebierała dłońmi w fałdach długiej spódnicy. Zerkała szybko to na jednego, to na drugiego Mówcę przestraszonym wzrokiem.

Patrzyli na nią z mieszaniną pogardy i zażenowania. Delarmi spoglądała gdzieś ponad jej głową, jakby jej nie dostrzegała.

Gendibal delikatnie dotknął powłoki jej jaźni, uspakajając ją i dodając jej ducha. Mógłby to równie dobrze zrobić, głaszcząc jej dłoń lub gładząc policzek, ale w tych warunkach było to oczywiście niemożliwe.

— Pierwszy Mówco — powiedział — wyłączam jej świadomość, aby jej świadectwo nie zostało zniekształcone przez lęk. Może zechcesz — może wszyscy zechcecie — przyłączyć się do mnie i sprawdzić, że w żaden sposób nie zmieniam jej jaźni.

Novi cofnęła się w popłochu na dźwięk jego głosu. Gendibal nie był tym zaskoczony. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie słyszała rozmawiających ze sobą członków Drugiej Fundacji w tej randze. Nigdy przedtem nie miała okazji spotkać się z tą dziwną mieszaniną szybko rzucanych słów, min, gestów i myśli. Jednakże lęk znikł równie szybko, jak się pojawił, gdyż Gendibal uśmierzył go. Jej twarz rozpogodziła się.

— Za tobą stoi krzesło, Novi — powiedział Gendibal. — Usiądź na nim.

Novi niezgrabnie skłoniła się i usiadła sztywno.

Mówiła zupełnie wyraźnie, ale w momentach kiedy uciekała się do gwarowych określeń, Gendibal prosił ją o powtórzenie wypowiedzi. A ponieważ, z szacunku dla Stołu, sam posługiwał się językiem urzędowym, musiał też niekiedy powtarzać swoje pytania, by go zrozumiała.

Opisała spokojnie i dokładnie scenę jego walki z Rufirantem.

— Sama to wszystko widziałaś, Novi? — spytał Gendibal.

— Nie, panie, bo jak ja by widziała, to by szybciej go zatrzymała. Rufirant to dobry chłop, ale wolno myśli.

— Ale opisałaś wszystko. Jak to możliwe, skoro nie widziałaś wszystkiego?

— Rufirant mnie potem opowiedziała jak ja go pytała. Wstydził się.

— Wstydził? Czy widziałaś wcześniej, żeby tak się zachowywał?

— Rufirant? Nie, panie. On je duży, ale spokojny. Z niego nie je

żaden zabijaka i on się boi badawców. Czensto mówi, że oni so mocne i rzondzo tu.

— Dlaczego nie czuł strachu, kiedy mnie spotkał?

— To dziw. Nie idzie zrozumieć. — Potrząsnęła głową. — Nie wie, co się z nim zrobiło. Ja go pytała „Ty tempa głowo, jak ty mog chcieć zabić badawce?" A on mnie mówi „Ja nie wiem, jak to się stało. Ja czuje, jakby ja stał z boku i patrzał, jakby to nie był ja".

Przerwał jej Mówca Cheng.

— Pierwszy Mówco, jaką wartość ma dla nas to, co ta kobieta opowiada? Relacjonuje, co jej powiedział jakiś człowiek. Czy tego człowieka nie można przesłuchać?

— Można — odparł Gendibal. — Jeśli Stół będzie życzył sobie nowych dowodów, kiedy ta kobieta złoży swoje zeznania, to chętnie wezwę Karolla Rufiranta, mojego byłego przeciwnika, na rozprawę. Jeśli nie, to Stół będzie mógł wydać wyrok, jak tylko skończę z tym świadkiem.

— Bardzo dobrze — powiedział Pierwszy Mówca. — Pytaj dalej swego świadka.

— A ty, Novi? — spytał Gendibal. — Czy to do ciebie podobne, żeby w taki sposób mieszać się do bójki?

Przez chwilę Novi nie odpowiadała. Między jej gęstymi brwiami pojawiła się i zaraz znikła niewielka zmarszczka. Powiedziała:

— Nie wiem. Ja nie chce, coby badawcom się co stało. Coś mnie pchło i ja nawet nie myślała, co robię. — Przerwała na chwilę, a potem dodała: — Zrobię to jeszcze raz jak będzie trza.

— Novi, teraz zaśniesz — powiedział Gendibal. — Nie myśl o niczym. Odpoczniesz i nawet nie będzie ci się nic śnić.

Novi coś wymamrotała, a potem oczy jej się zamknęły i głowa przechyliła się na oparcie krzesła. Gendibal odczekał chwilę i powiedział:

— Pierwszy Mówco, bardzo proszę, żebyś wniknął ze mną w głąb umysłu tej kobiety. Przekonasz się, że jest niezwykle prosty i symetryczny, co jest szczęśliwą okolicznością, gdyż w przeciwnym razie to, co zobaczysz, mogłoby umknąć obserwacji. … Tutaj… tutaj. Widzisz to? Może reszta Mówców też zechce się zagłębić… będzie łatwiej, jeśli zrobi się to za jednym razem.

Wśród Mówców podniósł się szmer, który coraz bardziej się potęgował.

— Czy ktoś z was ma jakieś wątpliwości? — spytał Gendibal.

— Ja mam — powiedziała Delarmi — bo… — Przerwała, gdyż nawet dla niej było to nie do wypowiedzenia.

Zrobił to za nią Gendibal:

— Myślisz, że specjalnie manipulowałem w jej umyśle, aby uzyskać fałszywe dowody mojej niewinności, tak? A więc uważasz, że

potrafię dokonać tak delikatnej zmiany? Że potrafię odkształcić tylko jedno włókno, nie naruszając w najmniejszym nawet stopniu jego otoczenia? Czy musiałbym urządzać takie przedstawienia, gdybym potrafił to zrobić? Czy dopuściłbym do tego poniżającego dla mnie procesu? Czy wysilałbym się, żeby was przekonać? Gdybym potrafił zrobić to, co widzicie w umyśle tej kobiety, to zanim zdołalibyście się zorientować, bylibyście już wszyscy w mojej mocy… Jest niepodważalnym faktem, że nikt z was nie potrafiłby wywołać takiej zmiany, jaką wywołano w umyśle tej kobiety. Ja też tego nie potrafię. A mimo to, ktoś to zrobił.

Przerwał, popatrzył po kolei na każdego z Mówców, a potem utkwił wzrok w Delarmi.

— A teraz — rzekł wolno — jeśli chcecie dodatkowych dowodów, wezwę tego wieśniaka, Karolla Rufiranta, którego umysł też zbadałem i z którym zrobiono to samo, co z tą kobietą.

— To nie będzie potrzebne — powiedział Pierwszy Mówca. Na jego twarzy widać było trwogę. — To, co zobaczyliśmy, jest przerażające.

— W takim razie — rzekł Gendibal — mogę chyba zbudzić i odprawić tę Tutejszą? Postarałem się, żeby na zewnątrz czekał na nią ktoś, kto pomoże jej dojść do siebie.

Gendibal odprowadził Novi, delikatnie trzymając ją za łokieć, do drzwi, a kiedy wyszła, powiedział:

— Postaram się teraz szybko wszystko podsumować. Można, jak widać, wpływać na umysły metodami, które są dla nas niedostępne. W taki sam sposób być może postąpiono z kustoszami, którzy usunęli z biblioteki materiały odnoszące się do Ziemi. Nie wiedzieliśmy o tym ani my, ani oni. Wiemy teraz, w jaki sposób postarano się o to, żebym spóźnił się na posiedzenie Stołu. Zagrożono memu życiu, a potem mnie uratowano. W wyniku tego zostałem oskarżony. W rezultacie tego pozornie naturalnego zbiegu okoliczności mogę zostać odsunięty od udziału w podejmowaniu decyzji i gorąco propagowana przeze mnie zmiana kursu naszej polityki, zmiana, której ci ludzie się obawiają, może nie dojść do skutku.

Delarmi pochyliła się do przodu. Była wyraźnie wstrząśnięta.

— Jeśli ta tajemnicza organizacja jest tak sprytna, to jak ci się udało wpaść na jej trop?

Teraz Gendibal mógł się już swobodnie uśmiechnąć.

— To nie jest żadna wielka zasługa z mojej strony — powiedział. — Nie uważam się za lepszego od innych Mówców, a już na pewno nie od Pierwszego Mówcy. Po prostu ta organizacja anty — Mułów — jak ich trafnie określił Pierwszy Mówca — nie składa się ani z nieskończenie mądrych, ani z zupełnie niezależnych od przypadku ludzi. Być może wybrali akurat tę Tutejszą właśnie dlatego, że

potrzebna była tylko niewielka zmienna, aby dostosować jej umysł do ich celów. Była z natury nastawiona przychylnie do tych, których nazywa badawcami i bardzo ich podziwiała.

Ale nie przewidzieli tego, że krótkotrwały kontakt ze mną pobudzi jej fantazję i że sama zapragnie zostać uczoną. Przyszła do mnie nazajutrz po incydencie z tym właśnie zamiarem. Zaintrygowała mnie ta jej ambicja zostania uczoną i zbadałem jej umysł, czego z pewnością w innej sytuacji bym nie zrobił. I tak, raczej przez przypadek, odkryłem tę zmianę i zrozumiałem jej znaczenie. Gdyby wybrali inną kobietę, o słabszych skłonnościach do nauki, to być może musieliby się więcej napracować, żeby ją przystosować do swoich potrzeb, ale nie miałoby to takich następstw ł nigdy bym się o tym nie dowiedział. Organizacja anty — Mułów przeliczyła się albo — nie była w stanie wszystkiego przewidzieć. Fakt, że zdarzają im się błędy, napełnia mnie otuchą.

— Pierwszy Mówca i ty — odezwała się Delarmi — nazywacie tę organizację anty — Mułami dlatego, jak przypuszczam, że starają się, aby Galaktyka kroczyła drogą wytyczoną przez Plan Seldona, zamiast, jak Muł, próbować ten Plan zniweczyć. Jeśli tak postępują, to dlaczego mają być dla nas niebezpieczni?

— A dlaczego starają się to robić? Muszą mieć w tym swój cel. Nie wiemy, co jest tym celem. Cynik mógłby powiedzieć, że mają zamiar wkroczyć w jakimś momencie i zwrócić bieg wydarzeń w kierunku, który będzie bardziej dogodny dla nich niż dla nas.

Ja sam tak uważam, mimo iż cynizm jest mi z natury obcy. Czyżby Mówca Delarmi, kierując się miłością i ufnością, które — jak wszyscy wiemy — tworzą zasadniczy zrąb jej charakteru, chciała nam powiedzieć, że są to jacyś kosmiczni altruiści, którzy wykonają za nas naszą pracę, nie myśląc nawet o nagrodzie?

Cały Stół zareagował na to cichym śmiechem i Gendibal wiedział już, że wygrał. A Delarmi wiedziała, że przegrała, gdyż przez szorstką zasłonę opanowania skrywającą jej umysł przebił się, jak promień słońca przez gęste listowie, błysk wściekłości.

— Kiedy spotkał mnie ten incydent z Tutejszym — podjął na nowo Gendibal — doszedłem, zbyt pospiesznie, do wniosku, że kryje się za tym inny Mówca. Kiedy jednak dostrzegłem zmianę w umyśle tej kobiety, zrozumiałem, że miałem rację widząc w tym spisek, ale myliłem się co do osoby spiskowca. Przepraszam za błędną interpretację wypadków i proszę, byście potraktowali niezwykły charakter tej sytuacji jako okoliczność łagodzącą.

— Myślę — powiedział Pierwszy Mówca — że możemy to uważać za przeprosiny…

Przerwała mu Delarmi. Doszła już do siebie i była znowu spokojna i łagodna — jej twarz promieniowała życzliwością, a głos

miała słodki jak sacharyna:

— Jeśli wolno mi coś wtrącić, Pierwszy Mówco… Zostawmy już sprawę oskarżenia. W tej chwili nie mogłabym już głosować za uznaniem go za winnego i przypuszczam, że reszta uważa tak samo. Proponowałabym nawet usunąć wszelkie wzmianki o tym procesie z naszych, będących dotąd bez skazy, akt. Mówca Gendibal znakomicie oczyścił się z wszelkich zarzutów. Gratuluję mu tego, jak również odkrycia grożącego nam niebezpieczeństwa, na które zapewne nikt z nas nie zwróciłby uwagi. Pociągnęłoby to za sobą zupełnie nieobliczalne skutki. Przepraszam Mówcę Gendibala z całego serca za niechęć, którą mu przedtem okazałam.

Dosłownie promieniowała życzliwością dla Gendibala, który — mimo całej niechęci do niej — nie mógł się oprzeć uczuciu podziwu dla zręczności, z jaką nagle zmieniła swoje nastawienie, ratując w ten sposób twarz. Był pewien, że to, co zaraz nastąpi, nie będzie bynajmniej przyjemne.

35.

Kiedy Mówca Delora Delarmi starała się być czarująca, używała zawsze tych samych sposobów. Przemawiała miękkim, łagodnym głosem, uśmiechała się życzliwie, patrzyła promiennie i w ogóle cała zamieniała się w jedną wielką słodycz. W takich razach nikt nie śmiał jej przerywać i każdy czekał na cios.

— Dzięki Mówcy Gendibalowi — mówiła teraz — wszyscy, myślę, wiemy, co mamy robić. Nie znamy tych anty — Mułów i nic o nich nie wiemy. Jedynym dowodem ich istnienia i działania są te ulotne ślady, które zostawili w umysłach ludzi właśnie tutaj, w głównej twierdzy Drugiej Fundacji. Nie wiemy, co knuje ośrodek władzy Pierwszej Fundacji. Możemy nagle stanąć wobec sojuszu tych anty — Mułów i Pierwszej Fundacji. Nie wiadomo, co się może jeszcze zdarzyć.

Wiemy natomiast, że ten Golan Trevize i jego towarzysz, którego nazwiska nie mogę sobie teraz przypomnieć, lecą w nieznanym kierunku i że Pierwszy Mówca i Gendibal uważają, iż Trevize ma w swym ręku klucz do zażegnania grożącego nam Wielkiego Kryzysu. Co zatem mamy robić? Jest oczywistym, że musimy dowiedzieć, ile się da o Trevizem, dokąd zmierza, co obmyśla, jaki może mieć cel, czy w ogóle leci w jakieś konkretne miejsce, czy coś obmyśla, czy w rzeczywistości nie jest tylko narzędziem w rękach kogoś potężniejszego od siebie.

— Jest pod obserwacją — powiedział Gendibal. Delatmi uśmiechnęła się pobłażliwie:

— Pod czyją obserwacją? Któregoś z naszych agentów spoza Trantora? Czy można liczyć na to, że tacy agenci oprą się potędze, której próbkę możliwości właśnie zobaczyliśmy? Na pewno nie. W czasach Muła, a także później, Druga Fundacja nie wahała się wysłać, a nawet poświęcić ochotników rekrutujących się spośród jej najzdolniejszych członków, gdyż inni mogliby nie dać sobie rady. Kiedy trzeba było ratować Plan Seldona, sam Preem Palver przemierzył, w przebraniu handlarza trantorskiego, Galaktykę i sprowadził tu tę dziewczynkę, Arkady. Teraz, kiedy grozi nam może większe jeszcze niebezpieczeństwo niż w przypadku tych dwóch poprzednich kryzysów, nie możemy siedzieć tu z założonymi rękami i czekać. Nie możemy liczyć na podrzędnych funkcjonariuszy — obserwatorów i posłańców.

— Chyba nie proponujesz, żeby i tym razem zrobił to Pierwszy Mówca? — powiedział Gendibal.

— Oczywiście, że nie — odparła Delarmi. — Tutaj jest bardziej potrzebny. Ale przecież mamy ciebie, Mówco Gendibal. To ty wyczułeś i trafnie oceniłeś zagrażające nam niebezpieczeństwo. To ty

odkryłeś w bibliotece i umysłach Tutejszych ślady ingerencji z zewnątrz. To ty broniłeś twardo swego stanowiska przed zmasowanym atakiem całego Stołu i wygrałeś. Nikt nie widział tego tak jasno jak ty i na nikim nie można w tej sprawie polegać tak jak na tobie. Moim zdaniem, to ty musisz udać się w podróż i stawić czoła wrogowi. Czy mogę sprawdzić, jakie jest w tej sprawie stanowisko Stołu?

Nie było trzeba przeprowadzać formalnego głosowania, żeby poznać stanowisko Stołu. Każdy z Mówców znał myśli pozostałych i stało się nagle przeraźliwie jasne dla oszołomionego Gendibala, że w momencie jego zwycięstwa i klęski Delarmi ta niezwykła kobieta zdołała odwrócić sytuację i zesłać go nieodwołalnie na wygnanie, że udało się jej obarczyć go zadaniem, którego wykonanie może nie wiadomo jak długo trzymać go z dala od Trantora, gdy tymczasem ona zostanie tu i zdominuje cały Stół, skazując być może tym samym Drugą Fundację, a przez to całą Galaktykę na zagładę.

A gdyby Gendibalowi udało się jednak w jakiś sposób zebrać informacje, dzięki którym Druga Fundacja mogłaby uniknąć niebezpieczeństwa, to cała chwała za to spadłaby na Delarmi, która wpadła na pomysł wysłania go z tą misją, i jego sukces utwierdziłby tylko jeszcze bardziej jej władzę.

Był to wspaniały manewr, niewiarygodne zwycięstwo.

Nawet teraz tak zdominowała resztę Mówców, że panoszyła się pr,zy stole, jakby to ona była Pierwszym Mówcą. Gendibal właśnie myślał o tym, gdy wyczuł falę wściekłości płynącą od Pierwszego Mówcy. Obrócił się w jego stronę. Pierwszy Mówca nie starał się nawet ukryć swego gniewu i stało się jasne, że dopiero co szczęśliwie zażegnany kryzys wewnętrzny ustępuje miejsca nowemu.

36.

Quindor Shandess, dwudziesty piąty Pierwszy Mówca, nie miał żadnych złudzeń co do swej osoby.

Wiedział, że nie jest jednym z tych kilku dynamicznych Pierwszych Mówców, którzy dodawali blasku pięćsetletnim dziejom Pierwszej Fundacji, ale w końcu nie musiał takim być: Nie było takiej potrzeby. Okres, w którym przewodniczył Stołowi, okres spokoju i dobrobytu panującego w całej Galaktyce, nie wymagał od przywódców dynamizmu. Wydawało się, że jest to czas, kiedy wystarcza pilnować tego, co się ma i Shandess świetnie nadawał się do tej roli. Z tego właśnie powodu wybrał go jego poprzednik.

— Nie jesteś poszukiwaczem przygód. Jesteś badaczem — powiedział dwudziesty czwarty Pierwszy Mówca. — Ochronisz Plan, podczas gdy poszukiwacz przygód mógłby go — zniszczyć. Chronić! Niech to słowo stanie się hasłem przewodnim w czasie twojej kadencji.

I starał się to robić, choć oznaczało to bierność, a czasami poczytywane było za przejaw słabości. Co pewien czas pojawiały się plotki, że zamierza zrezygnować ze swej funkcji i otwarcie snuto intrygi, aby zapewnić sukcesję tej czy innej orientacji.

Shandess nie miał żadnych wątpliwości, że prym w tych walkach wiodła Delarmi. Była najsilniejszą osobowością w składzie Stołu i nawet Gendibal, mimo swej młodzieńczej pasji i bezkompromisowości, rejterował przed nią tak, jak to zrobił teraz. Lecz on, Shandess, może być bierny, może być nawet słaby, ale, na Seldona, jest jedna prerogatywa tego urzędu, której nigdy nie oddał żaden z Pierwszych Mówców, i której on także nie zamierza oddać. Podniósł się, aby przemówić i od razu zrobiło się cicho. Kiedy Pierwszy Mówca podnosił się, aby przemówić, nie mógł się nikt wtrącić. Nawet Delarmi i Gendibal nie ośmieliliby się mu przerwać.

— Mówcy! — powiedział. — Zgadzam się, że stoimy wobec wielkiego niebezpieczeństwa i musimy podjąć odpowiednio silne przeciwdziałanie. To ja powinienem wyruszyć na spotkanie wroga. Mówca Delarmi, z wrodzoną sobie szlachetnością, chce uwolnić mnie od tego obowiązku, twierdząc, że jestem potrzebny tutaj. Prawda jednak jest taka, że nie jestem potrzebny ani tutaj, ani tam. Starzeję się, moje obowiązki zaczynają mi już za bardzo ciążyć. Od dawna oczekuje się, że lada dzień złożę rezygnację ze swego urzędu i być może powinienem to zrobić. Kiedy szczęśliwie przezwyciężymy obecny kryzys, zrezygnuję.

Ale, oczywiście, jest przywilejem Pierwszego Mówcy wyznaczyć swego następcę. Mam zamiar zrobić to teraz. Jest wśród nas Mówca,

który od dawna nadaje ton posiedzeniom Stołu, Mówca, który z racji siły swej osobowości często przejmował przewodnictwo z moich rąk. Wszyscy wiecie, że myślę o Mówcy Delarmi.

Przerwał na chwilę, a potem mówił dalej:

— Mówco Gendibalu, ty jeden wyrażasz dezaprobatę dla moich słów. Czy mogę spytać dlaczego? — Usiadł, tak że Gendibal miał teraz prawo odpowiedzieć.

— Nie wyrażam dezaprobaty, Pierwszy Mówco — powiedział cicho Gendibal. — Jest twoim przywilejem wybrać następcę.

— I skorzystam z niego. Kiedy powrócisz zapoczątkowawszy proces, który doprowadzi do przezwyciężenia tego kryzysu, nadejdzie pora, abym złożył rezygnację. Ten, kto nastąpi po mnie, będzie wówczas mógł prowadzić taką politykę, jaka okaże się konieczna dla pomyślnego zakończenia tego procesu… Czy masz coś do powiedzenia, Mówco Gendibal?

— Kiedy uczynisz Mówcę Delarmi swoim następcą — odparł cicho Gendibal — mam nadzieję, że będziesz uważał za stosowne poradzić jej, aby…

Pierwszy Mówca przerwał mu szorstko:

— Mówiłem o Mówcy Delarmi, ale nie nazwałem jej swoim następcą, A teraz co masz jeszcze do powiedzenia?

— Przepraszam, Pierwszy Mówco. Powinienem był powiedzieć „zakładając, że uczynisz Mówcę Delarmi swoim następcą po moim powrocie z tej misji, czy będziesz uważał za stosowne poradzić jej, aby…”

— Nie uczynię jej swoim następcą również w przyszłości pod żadnym warunkiem. A co teraz masz do powiedzenia? — Pierwszy Mówca nie potrafił ukryć satysfakcji, z jaką wymierzył tym oświadczeniem cios Delarmi. Nie mógł jej bardziej upokorzyć. — No więc, Mówco Gendibalu, co masz do powiedzenia?

— Że jestem zmieszany.

Pierwszy Mówca podniósł się znowu. Powiedział:

— Mówca Delarmi nadaje ton posiedzeniom i przewodzi, ale to nie jest wszystko, co jest potrzebne na stanowisku Pierwszego Mówcy. Mówca Gendibal dostrzegł to, czego my nie dostrzegliśmy. Stawił czoła całemu wrogo nastawionemu do niego Stołowi, zmusił nas do ponownego przemyślenia sprawy i do przyjęcia jego argumentów. Podejrzewam, że Mówca Delarmi kierowała się nieco innymi motywami niż te, które tu wyłożyła, składając odpowiedzialność za odszukanie Golana Trevizego na barki Mówcy Gendibala, ale jest faktem, że obarczyła nią właściwą osobę. Wiem, że mu się to uda… ufam w tym względzie swojej intuicji… a kiedy wróci, to on zostanie dwudziestym szóstym Pierwszym Mówcą.

Usiadł. W chaosie dźwięków, myśli, min i gestów, który potem

zapanował, poszczególni Mówcy starali się wyrazić jasno swoje opinie. Pierwszy Mówca nie zwracał uwagi na tę kakofonię, patrząc obojętnie przed siebie. Teraz, kiedy już to zrobił, uświadomił sobie z pewnym zaskoczeniem, jak przyjemnie jest zdjąć ze swych barków ciężar odpowiedzialności. Powinien był zrobić to wcześniej… ale nie mógł. Dopiero teraz znalazł godnego następcę, W chwili kiedy to myślał, jego umysł nawiązał jakoś kontakt z umysłem Delarmi. Spojrzał na nią. Na Seldona! Była spokojna i uśmiechała się. Nie okazywała rozczarowania… a więc nie poddała się. Przebiegło mu przez myśl, czy przypadkiem nie ułatwił jej zadania. Co teraz pozostawało jej zrobić?

37.

Delora Delarmi nie zawahałaby się okazać otwarcie rozpaczy i niezadowolenia, gdyby mogło jej to przynieść jakąś korzyść.

Sprawiłoby jej wielką satysfakcję, gdyby uderzyła w tego zgrzybiałego głupca, który kierował Stołem albo w tego młodego idiotę, któremu sprzyjał los, ale satysfakcja nie była tym, czego chciała. Chciała czegoś więcej. Chciała zostać Pierwszym Mówcą.

A skoro została jeszcze jedna karta, którą można było zagrać, zagra nią. Uśmiechnęła się łagodnie i uniosła rękę, jak gdyby miała zaraz coś powiedzieć. Trwała w tej pozycji wystarczająco długo, by się upewnić, że kiedy zacznie mówić, będzie nie tylko cicho, ale wszyscy będą słuchać jej z uwagą. Wreszcie powiedziała:

— Pierwszy Mówco, powiem to samo, co wcześniej Mówca Gendibal — nie wyrażam dezaprobaty. Wybór następcy to twój przywilej. Jeśli zabieram teraz głos, to robię to tylko po to, by przyczynić się do powodzenia misji Mówcy Gendibala. Czy mogę powiedzieć, co myślę, Pierwszy Mówco?

— Proszę — odparł krótko Pierwszy Mówca. Wydawała mu się podejrzanie zgodna i przymilna.

Delarmi pochyliła głowę. Już się nie uśmiechała. Powiedziała z wyrazem powagi na twarzy:

— Mamy statki. Nie są one takimi cudami techniki, jak statki Pierwszej Fundacji, ale można nimi latać. Myślę, że Mówca Gendibal potrafi, jak każdy z nas, poprowadzić statek. Mamy swoich przedstawicieli na każdej większej planecie w Galaktyce, więc wszędzie będzie godnie przyjmowany. Co więcej, teraz kiedy zdaje sobie sprawę z natury grożącego nam niebezpieczeństwa, potrafi się obronić przed tymi anty — Mułami. Zresztą nawet gdybyśmy nie zdawali sobie z tego sprawy, to podejrzewam, że wolą oni zajmować się klasami niższymi, .nawet wieśniakami na Trantorze. Oczywiście zbadamy dokładnie umysły wszystkich członków Drugiej Fundacji, nie wyłączając Mówców, ale jestem pewna, że pozostały one nietknięte. Nie ośmieliliby się ingerować w nasze umysły.

Nie ma wszakże powodu, żeby Mówca Gendibal ryzykował bardziej, niż musi. Nie ma przecież zamiaru dokonywać żadnych bohaterskich czynów i byłoby najlepiej, gdyby jego misja została ukryta pod przykrywką jakiejś innej wyprawy — żeby zaskoczył ich nieprzygotowanych. Myślę, że dobrze będzie, jeśli wyruszy jako tutejszy kupiec. Preem Palver, jak wszyscy wiemy, udawał kupca.

— Preem Palver miał w tym swój cel, a Mówca Gendibal nie ma — rzekł Pierwszy Mówca. — Jeśli okaże się, że będzie potrzebne jakieś przebranie, to jestem pewien, że Mówca Gendibal sam potrafi

wymyśleć coś odpowiedniego.

— Pozostając z całym szacunkiem, Pierwszy Mówco, dla twego zdania, chciałabym zaproponować znakomite przebranie. Jak zapewne pamiętasz, Preem Palver zabrał ze sobą w podróż swą żonę. Nic tak nie podkreślało jego chłopskiego pochodzenia, jak właśnie fakt, że podróżuje z żoną. To rozpraszało wszelkie podejrzenia.

— Ale ja nie mam żony — rzekł Gendibal. — Miałem co prawda przyjaciółki, ale wątpię, żeby któraś z nich zgodziła się teraz odgrywać rolę mojej żony.

— Dobrze o tym wiemy, Mówco Gendibalu — powiedziała Delarmi — ale ludzie wezmą za twoją żonę każdą kobietę, która będzie z tobą. Na pewno da się znaleźć jakąś ochotniczkę. A jeśli uważasz, że będzie dodatkowo potrzebny jakiś dokument poświadczający, że jesteście małżeństwem, to da się to załatwić. Uważam, że powinna z tobą lecieć jakaś kobieta.

Gendibal na chwilę aż zaniemówił z wrażenia. Chyba nie chce ona przez to powiedzieć, że…

Czyżby była to sztuczka, która miała jej zapewnić udział w jego sukcesie? Czyżby chciała uzyskać stanowisko Pierwszego Mówcy na zasadzie współudziału albo rotacji?

— Pochlebia mi — powiedział ponuro — że Mówca Delarmi uważa, iż sama…

W tym momencie Delarmi wybuchnęła głośnym śmiechem i spojrzała na Gendibala niemal z prawdziwym uczuciem. Dał się złapać w potrzask i wyszedł na głupiego. Stół na pewno tego nie zapomni.

— Mówco Gendibał — powiedziała — nie jestem taką impertynentką, żeby próbować wkręcić się do udziału w twoim przedsięwzięciu. Jest to twoje i tylko twoje zadanie, tak jak stanowisko Pierwszego Mówcy będzie twoje i tylko twoje. Nie śmiałabym nawet pomyśleć, że chciałbyś mnie wziąć ze sobą. Naprawdę, Mówco, w moim wieku nie uważam się już za atrakcyjną…

Na twarzach Mówców pojawił się wyraz rozbawienia. Nawet Pierwszy Mówca starał się ukryć uśmiech.

Gendibal odczuł ten cios i starał się nie powiększać swej wpadki przez zbyt poważne przyjęcie jej lekkich słów. Ale starał się na próżno. Spytał, próbując przynajmniej ukryć ogarniającą go wściekłość:

— Co zatem proponujesz? Zapewniam cię, że nie pomyślałem nawet przez chwilę, że chciałabyś mi towarzyszyć. Wiem, że najlepiej czujesz się na posiedzeniach Stołu, a nie w rozgardiaszu Galaktyki.

— Zgoda, Mówco Gendibalu, zgoda — odparła Delarmi. — Moja propozycja łączy się bezpośrednio z poprzednią, mianowicie, żebyś udawał tutejszego kupca. Czy komuś przyjdzie do głowy, że nim nie jesteś, jeśli będziesz miał przy sobie Tutejszą, chłopkę?

— Chłopkę? — Już po raz drugi w krótkim okresie czasu Gendibal dał się zaskoczyć i Stół dobrze się bawił.

— Tak, chłopkę — powiedziała Delarmi. — Tę, która uratowała cię przed pobiciem. Tę, która patrzy na ciebie z taką czcią. Tę, której umysł zbadałeś, i — która uratowała cię ponownie, tym razem przed czymś o wiele poważniejszym niż pobicie. Proponuję, żebyś wziął ją ze sobą.

Gendibal w pierwszej chwili chciał się żachnąć, ale wiedział, że to byłaby akurat ta reakcja, której oczekiwała. Oznaczałoby to jeszcze lepszą zabawę dla Stołu. Stało się teraz jasne, że Pierwszy Mówca, chcąc uderzyć w Delarmi, zrobił błąd i niepotrzebnie przedwcześnie wyjawił, że jego następcą będzie Gendibal, a w każdym razie, że Delarmi natychmiast wykorzystała to dla swoich celów.

Gendibal był najmłodszym z Mówców. Najpierw rozzłościł cały Stół, a potem udało mu się uniknąć potępienia i kary. Faktycznie upokorzył ich. Trudno było oczekiwać, by ktoś z nich przyjął bez niechęci wyznaczenie go przez Pierwszego Mówcę na swojego następcę.

Już i tego było dosyć, by stawili mu silny opór, a tu jeszcze doszła ta sprawa. Będą zawsze pamiętali, Z jaką łatwością Delarmi go ośmieszyła i jak im się to podobało. A Delarmi nie omieszka skorzystać z tego, by przekonać ich bez zbytnich trudności, że nie nadaje się na stanowisko Mówcy, bo jest za młody i brak mu doświadczenia. Kiedy jego nie będzie tutaj, Pierwszy Mówca zmieni, pod ich silną presją, swoją decyzję. A jeśli Pierwszy Mówca się nie ugnie, to Gendibal, zastąpiwszy go na tym stanowisku, będzie bezradny wobec ich zjednoczonej opozycji.

Potrzebował zaledwie ułamka sekundy, by sobie to wszystko uświadomić, a więc, kiedy odezwał się, wyglądało na to, że mówi bez żadnego wahania czy namysłu.

— Mówco Delarmi — rzekł — podziwiam twą przenikliwość. Myślałem, że moja decyzja zaskoczy was wszystkich. Rzeczywiście miałem zamiar zabrać ze sobą tę chłopkę, aczkolwiek z nieco innych względów niż te, które tu przedstawiłaś. Otóż chcę ją zabrać ze sobą ze względu na zalety jej umysłu. Wszyscy mogliśmy zbadać jej umysł. Przekonaliście się, jaki jest zadziwiająco bystry, ale nadto prosty, jasny i szczery, bez najmniejszych oznak przebiegłości czy chytrości. Żadna, nawet najmniejsza ingerencja w jej umysł z zewnątrz nie może pozostać niezauważona. Jestem pewien, że wszyscy doszliście do tego wniosku.

Zastanawiam się, Mówco Delarmi, czy przyszło ci do głowy, że ta wieśniaczka może zostać wykorzystana jako wspaniały system wczesnego ostrzega — . nią. Sądzę, że w jej umyśle wykryłbym pierwsze symptomy ingerencji psychicznej o wiele szybciej niż w

swoim.

Reakcją na te słowa była pełna zaskoczenia cisza. Zakończył więc niefrasobliwą uwagą:

— Ach, więc nikt z was na to nie wpadł. No cóż, mniejsza z tym! A teraz już sobie pójdę. Nie mamy czasu do stracenia.

— Zaczekaj — powiedziała Delarmi, widząc jak po raz trzeci inicjatywa wymyka się jej z rąk. — Co chcesz zrobić?

— Po co wnikać w szczegóły? — spytał Gendibal z lekkim wzruszeniem ramion. — Im mniej Stół wie, tym większa szansa, że anty — Muły nie będą próbowali ingerować w jego sprawy.

Zabrzmiało to tak, jak gdyby bezpieczeństwo Stołu było dla niego sprawą największej wagi. Wypełnił tym uczuciem cały swój umysł i postarał się, żeby wszyscy to dostrzegli.

To im na pewno pochlebi. Co więcej, zadowolenie płynące z tego faktu może powstrzymać ich przed zastanawianiem się, czy Gendibal naprawdę wie dokładnie, co zamierza robić.

38.

Tego wieczoru Pierwszy Mówca rozmawiał z Gendibalem w cztery oczy.

— Miałeś rację — powiedział. — Nie mogłem się powstrzymać przed wysondowaniem tego, co naprawdę myślałeś. Stwierdziłem, że uważasz moje oświadczenie za błąd. Istotnie, był to błąd. Miałem już dosyć tego jej stałego uśmieszku ł ciągłego przywłaszczania sobie moich praw i władzy, więc trochę mnie poniosło i nie zastanowiłem się nad wszelkimi konsekwencjami tego, co robię.

— Być może byłoby lepiej — rzekł łagodnie Gendibal — gdybyś powiedział mi o tym prywatnie. Wtedy zaczekalibyśmy do mego powrotu.

— Tak, ale nie miałbym wtedy okazji, żeby jej przyłożyć… Wiem, że to motywacja trochę dziwna jak na Pierwszego Mówcę.

— To jej nie powstrzyma, Pierwszy Mówco. Będzie dalej intrygowała, żeby dostać to stanowisko i być może okoliczności jej sprzyjają. Jestem pewien, że znajdzie się parę osób, które są zdania, że nie powinienem przyjąć twojej nominacji. Nietrudno byłoby przekonać im resztę, że Mówca Delarmi jest najlepszym umysłem przy Stole i że ona byłaby najlepszym Pierwszym Mówcą.

— Najlepszym umysłem przy Stole, ale nie poza nim — mruknął Shandess. — Dla niej rzeczywistymi wrogami są tylko inni Mówcy. Ona nie powinna była w ogóle zostać Mówcą. Ale zostawmy to. Chcesz, żebym zabronił ci zabrać tę chłopkę ze sobą? Wiem, że to Delarmi cię w to wrobiła.

— Nie, nie, powód, który przedstawiłem, jest prawdziwy. Ona naprawdę posłuży mi jako system wczesnego ostrzegania i powinienem być wdzięczny Mówcy Delarmi, że mnie do tego popchnęła, bo wtedy uświadomiłem sobie płynącą z tego korzyść. Jestem przekonany, że ta kobieta bardzo mi się przyda.

— A więc dobrze. Przy okazji — ja też nie kłamałem. Jestem naprawdę pewien, że zrobisz to, co trzeba, aby zakończyć ten kryzys… Myślę, że mogę polegać na swojej intuicji.

— Myślę, że ja też mogę na niej polegać, bo zgadzam się w pełni z tobą. Przyrzekam ci, że bez względu na to, co się wydarzy, wrócę z lepszymi osiągnięciami, niż odlatuję. Wrócę i zostanę Pierwszym Mówcą, choćby te anty — Muły… czy Mówca Delarmi… stawały na głowie, żeby do tego nie dopuścić.

Mówiąc to, Gendibal zastanawiał się, dlaczego sprawia mu to taką satysfakcję. Dlaczego tak bardzo zależało mu na tej samotnej wyprawie w przestrzeń? Powodem była, oczywiście, ambicja. Coś takiego zrobił kiedyś Preem Palver i on, Stor Gendibal, pragnął

wykazać, że nie jest od niego gorszy. A potem nikt już nie ośmieli się mówić, że nie należy mu się stanowisko Pierwszego Mówcy. A może kryło się za tym coś więcej niż ambicja? Może kusiła go perspektywa stoczenia walki? Może było to pragnienie zmierzenia się ze światem, nie dziwne u kogoś, kto przez całe swe dotychczasowe życie skazany był na uprawianie swojej grządki na zabitej deskami planecie? Nie wiedział dokładnie, jakie kierowały nim motywy, ale wiedział na pewno, że bardzo pragnie udać się na tę wyprawę.

Rozdział XI
SAYSHELL

39.

Janov Pelorat patrzył po raz pierwszy w życiu, jak — po manewrze, który Trevize określił mianem mikroskoku — jasna gwiazda zmienia się powoli w kulę. Sayshell, cel ich podróży, czwarta i jedyna zamieszkana planeta systemu, rósł jednak znacznie wolniej. Na zbliżenie się do niego potrzebowali kilku dni.

Komputer wykreślił jego mapę i przedstawił na małym, przenośnym ekranie, który Pelorat trzymał w rękach.

Trevize, ze spokojem i pewnością kogoś, kto w swoim czasie zwiedził parę dziesiątków planet, powiedział:

— Nie oczekuj, że od razu dużo zobaczysz. Najpierw będziemy musieli przejść przez stację wejściową, a to może być nudne.

Pelorat podniósł głowę znad ekranu:

— Ale to na pewno tylko formalność.

— Tak. Niemniej jednak może to być nudne.

— Ale przecież w Galaktyce panuje pokój.

— Oczywiście. Znaczy to, że nas wpuszczą. Ale jest jeszcze sprawa równowagi ekologicznej. Żadna planeta nie chce dopuścić do tego, żeby została zachwiana, jest więc zupełnie naturalne, że dokładnie sprawdzają każdy statek, szukając niepożądanych organizmów. To zupełnie zrozumiała ostrożność.

— Wydaje mi się, że na naszym statku nie ma nic z tych rzeczy.

— Oczywiście, że nie ma, ale muszą to sprawdzić. Pamiętaj też o tym, że Sayshell nie jest członkiem Federacji Fundacyjnej, a więc na pewno będą trochę przeciągać formalności, ażeby zademonstrować swoją niezależność.

Podleciał do nich mały statek służby granicznej i na pokład wszedł urzędnik celny. Trevize mówił energicznym głosem, krótkimi zdaniami. Nie zapomniał jeszcze czasów, kiedy odbywał służbę wojskową.

— „Odległa Gwiazda", z Terminusa. Papiery — statku — powiedział, wręczając je urzędnikowi. — Nieuzbrojony, prywatny statek. Oto mój paszport. Mam jednego pasażera. To jego paszport. Jesteśmy turystami.

Urzędnik celny miał na sobie uniform w jaskrawych kolorach, z przewagą szkarłatu. Policzki i górną wargę miał gładko wygolone, ale nosił rozwidloną na końcu brodę. — Statek z Fundacji? — spytał.

W rzeczywistości powiedział „statek z Fundacji", ale Trevize pilnował się, aby nie pokazać niczym, że go to rozśmieszyło. Nie próbował też go poprawiać. Uniwersalny język galaktyczny miał tyle odmian, ile było planet i mieszkańcy każdej z nich mówili po swojemu. Skoro potrafili się między sobą porozumieć, to różnice

między poszczególnymi dialektami były nieistotne.

— Tak — rzekł Trevize. — Statek z Fundacji. Prywatny.

— Bardzo dobrze… Jaki macie przewóz?

— Przepraszam, co?

— Przewóz. Co przewozicie?

— A, ładunek… Oto dokładny spis. Tylko rzeczy osobiste. Nie przylecieliśmy tu na handel. Jak już mówiłem, jesteśmy turystami.

Urzędnik rozejrzał się z zaciekawieniem. — Trochę za dobry statek, jak na turystów — powiedział.

— Ale nie według kryteriów Fundacji — odparł Trevize, udając, że jest w świetnym nastroju. — Poza tym dobrze mi się powodzi i mogę sobie na taki pozwolić.

— Chce pan przez to powiedzieć, że mogę się wzbogacić? — urzędnik spojrzał na niego, a potem szybko odwrócił wzrok.

Trevize wahał się przez chwilę, nie wiedząc jak zinterpretować jego słowa, ale szybko zdecydował się. — Nie, skądże, nie chcę pana przekupić — powiedział. — Nie mam powodu tego robić… a poza tym nie wygląda pan na kogoś, kogo można przekupić, nawet gdybym tego chciał. Może pan przeszukać statek, jeśli pan chce.

— Nie ma potrzeby — rzekł urzędnik, odkładając kieszonkowy szperacz. — Wasz statek został już przebadany pod kątem ewentualnego przemytu jakiejś infekcji i nic nie znaleźliśmy. Przydzielono wam falę radiową, która naprowadzi was na lądowisko.

I wyszedł. Cała procedura trwała piętnaście minut.

— Mógł nam robić trudności? — spytał cicho Pelorat. — Naprawdę spodziewał się, że dostanie w łapę?

Trevize wzruszył ramionami. — Przekupywanie celników jest równie stare jak Galaktyka i na pewno dałbym mu łapówkę, gdyby jeszcze raz zrobił do tego jakąś aluzję. Ale przypuszczam, że wolał nie próbować na statku Fundacji, do tego takim dziwnym. Ta stara jędza Branno mówiła, że wszędzie, gdzie się znajdziemy, będzie nas chroniła nazwa Fundacji i nie myliła się… Mogło to nam zająć o wiele więcej czasu.

— Dlaczego? Wydawało mi się, że dowiedział się wszystkiego, czego chciał.

— Tak, ale był na tyle uprzejmy, że sprawdził statek przez radiodetektor, na odległość. Gdyby chciał, to mógłby przeszukać statek za pomocą urządzenia ręcznego, a to trwałoby długie godziny. Poza tym mógł nas umieścić w szpitalu polowym i trzymać tam przez wiele dni.

— Co takiego? Ależ, drogi przyjacielu!

— Nie podniecaj się tak. Przecież nie zrobił tego. Myślę, że mógł, ale nie zrobił. Znaczy to, że możemy swobodnie lądować. Najchętniej zrobiłbym to grawitacyjnie, co zajęłoby nam piętnaście minut, ale nie

wiem, gdzie nam wyznaczyli lądowisko i nie chcę im. sprawiać kłopotu. Znaczy to, że będziemy musieli się kierować sygnałem radiowym i zrobić parę okrążeń wokół planety, co potrwa parę godzin. Pelorat zrobił zachwyconą minę:

— To wspaniale, Golan. Czy będziemy lecieli na tyle wolno, żeby przyjrzeć się planecie? — Podniósł swój przenośny ekran, pokazujący mapę Sayshell w niedużym powiększeniu.

— W pewnym sensie. Musimy zejść poniżej pułapu chmur, a będziemy się poruszali z prędkością kilku kilometrów na sekundę. To nie to samo, co podróż balonem, ale zorientujesz się w planetografii tego miejsca.

— Wspaniale! Wspaniale!

— Zastanawiam się jednak — rzekł z namysłem Trevize — czy zostaniemy na Sayshell tyle czasu, żeby warto było przestawić zegar pokładowy na czas lokalny.

— Myślę, że to zależy od tego, co mamy zamiar tu robić. Jak myślisz, Golan, co będziemy robić?

— Naszym zadaniem jest znaleźć Gaje. Nie wiem ile czasu nam to zabierze.

— Możemy przestawić nasze zegarki, a zegar pokładowy zostawić w spokoju — powiedział Pelorat.

— Dobra myśl — rzekł Trevize. Spojrzał na planetę rozciągającą się pod nimi. — Nie ma sensu dłużej czekać. Nakieruję komputer na przydzieloną nam falę radiową. Z jego pomocą możemy tak ustawić nasz napęd grawitacyjny, żeby nasz lot przypominał lot z użyciem silników konwencjonalnych. A więc, Janov, schodzimy do lądowania. Zobaczymy, co uda nam się znaleźć.

Patrzył w zamyśleniu na planetę, a tymczasem statek zaczął wchodzić na kurs przystosowany do pola grawitacyjnego planety.

Trevize nigdy przedtem nie był w Związku Sayshellskim, ale wiedział, że przez ostatnie sto lat był on nastawiony zdecydowanie nieprzyjaźnie do Fundacji. Był zaskoczony — i trochę skonsternowany — faktem, że tak szybko i gładko poszło im z Urzędem Celnym. Coś mu tu nie pasowało.

40.

Urzędnikiem celnym, który ich wpuścił, był Jogoroth Sobhaddartha. Spędził on na swej placówce pół życia, z niewielkimi przerwami.

Nie uskarżał się na takie życie, bo dzięki temu mógł przebywać co trzeci miesiąc z ulubionymi książkami, przy ulubionej muzyce, z dala od żony i dorastającego syna.

Oczywiście irytowało go, że od dwu lat szefem Urzędu Celnego był Śniciel. Trudno o bardziej nieznośną osobę niż ktoś, kto każde swoje działanie tłumaczy tym, że zostało mu ono nakazane w snach.

Sobhaddartha absolutnie nie wierzył w takie rzeczy, ale był na tyle przezorny, żeby tego głośno nie rozpowiadać. Większość mieszkańców Sayshell odnosiła się nieżyczliwie do ludzi powątpiewających w realność tego rodzaju zjawisk psychicznych. Gdyby zyskał sobie opinię materialisty, to jego emerytura stanęłaby pod znakiem zapytania.

Pogładził oba końce swej brody, jeden lewą, drugi prawą ręką, odchrząknął dość głośno i spytał, z raczej nieodpowiednią w stosunku do zwierzchnika obojętnością:

— Czy to ten statek, szefie?

Szef, który nosił tak samo sayshellskie nazwisko jak Sobhaddartha, a mianowicie nazywał się Namarath Godhisavatta, był akurat zajęty jakimiś danymi komputerowymi, więc nie podniósł nawet głowy. — Jaki statek? — spytał.

— „Odległa Gwiazda", ten statek z Fundacji. Ten, który właśnie przepuściłem. Ten, który zholografowaliśmy z każdej strony. Czy to właśnie ten, który widział pan w śnie?

Teraz Godhisayatta podniósł głowę znad biurka. Był niskim mężczyzną, o niemal zupełnie czarnych oczach otoczonych siecią zmarszczek, które bynajmniej nie powstały od ciągłego uśmiechania się. — Dlaczego pan pyta?

Sobhaddartha wyprostował się i ściągnął swe ciemne, gęste brwi, tak że tworzyły prawie jedną kreskę.

— Powiedzieli, że są turystami, ale nigdy jeszcze nie widziałem takiego statku. Moim zdaniem, to agenci Fundacji.

Godhisayatta usiadł wygodniej na krześle.

— Kochany panie, nie przypominam sobie, żebym pytał o pańskie zdanie.

— Uważam, szefie, że jest moim patriotycznym obowiązkiem zwrócić pana uwagę na…

Godhisayatta skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał groźnie na podwładnego, który (choć wyglądał bardziej okazale niż on) pod tym

spojrzeniem skurczył się nieco i przybrał niepewną minę. — Drogi panie — powiedział — jeśli dba pan trochę o swoje interesy, to niech pan robi, co pan ma robić, bez żadnych komentarzy, bo jeśli jeszcze raz usłyszę, że zabiera pan głos w sprawach, które do pana nie należą, to postaram się, żeby nie dostał pan emerytury.

— Tak jest, proszę pana — odparł cicho Sobhaddartha, ale zaraz dodał z podejrzaną służalczością w głosie: — Czy zameldowanie panu, że w zasięgu naszych ekranów znalazł się drugi statek, należy do moich obowiązków?

— Niech pan uważa, że już pan o tym zameldował — rzekł z irytacją Godhisayatta i powrócił do swych zajęć.

— Jest to statek — rzekł Sobhaddartha jeszcze bardziej uniżonym głosem — o cechach bardzo podobnych do tego, który właśnie przepuściłem.

Godhisayatta oparł ręce na biurku i podniósł się. — Drugi taki sam? — powiedział.

Sobhaddartha uśmiechnął się w duchu. Ten zrodzony z nieprawego łoża osobnik o krwiożerczych instynktach (miał na myśli swego przełożonego) najwidoczniej nie śnił o dwu statkach. — Wszystko na to wskazuje — powiedział głośno. — Zaraz wracam na swoje stanowisko i czekam na rozkazy. Mam nadzieję, że…

— Słucham?

Sobhaddartha nie mógł się powstrzymać od złośliwego komentarza, nawet za cenę utraty prawa do emerytury:

— Mam nadzieję, że przepuściliśmy właściwy.

41.

„Odległa Gwiazda” leciała szybko nad powierzchnią planety. Pelorat patrzył, zafascynowany, na przesuwające się w dole widoki. Warstwa chmur nad Sayshell była cieńsza i rzadsza niż nad Terminusem, a lądy, dokładnie tak, jak pokazywała mapa, bardziej zwarte i rozległejsze. Sądząc z rdzawego koloru dużych połaci lądów, znaczną część kontynentów zajmowały pustynie.

Nie widać było żadnych oznak życia. Sayshell wydawał się składać wyłącznie z jałowych pustyń, szarych równin, rozległych pofałdowań, które prawdopodobnie były łańcuchami górskimi i oczywiście z oceanów.

— Wygląda na świat pozbawiony życia — mruknął Pelorat.

— Chyba nie spodziewasz się dojrzeć oznak życia z tej wysokości — powiedział Trevize. — Kiedy zejdziemy niżej, zobaczysz pasma zieleni. Ale przedtem ujrzysz po stronie, gdzie jest teraz noc, krajobraz — usiany punkcikami świateł. Istoty ludzkie mają skłonność do oświetlania swoich światów nocą. Nigdy nie słyszałem, żeby jakiś świat był wyjątkiem od tej reguły. Innymi słowy, pierwsza oznaka życia, którą dostrzeżesz, będzie technologicznej natury.

— W końcu istoty ludzkie są stworzeniami dziennymi — rzekł z zadumą Pelorat. — Wydaje mi się, że jednym z najważniejszych zadań zaawansowanej techniki będzie zmiana nocy w dzień. Prawdę mówiąc, jeśli jakiś świat rozwijał technikę od zera, to rozwój ten można prześledzić studiując stopniowy wzrost siły oświetlenia jego zacienionej strony. Jak myślisz, ile czasu zajęłoby przejście od jednolitej ciemności do jednolitej jasności?

Trevize roześmiał się:

— Masz dziwne pomysły, ale myślę, że to się bierze stąd, że zajmujesz się mitami. Nie sądzę, żeby jakiś świat osiągnął kiedykolwiek jednolitą jasność. Oświetlenie nocne jest proporcjonalne do zagęszczenia ludności, a zatem żaden kontynent nie może być oświetlony równomiernie. Nawet Trantor u szczytu swego rozwoju, kiedy był jednym wielkim miastem, nie był jednakowo oświetlony we wszystkich miejscach.

Tak jak Trevize powiedział, pojawiły się na powierzchni planety smugi zieleni, a podczas ostatniego okrążenia globu Trevize wskazał Peloratowi plamy, które według niego były miastami. — To nie jest typowo miejski świat. Nigdy przedtem nie byłem w Związku Sayshellskim, ale z informacji, których dostarczył mi komputer, wynika, że są przywiązani do przeszłości. Technika kojarzy się całej Galaktyce z Fundacją i dlatego tam, gdzie Fundacja nie cieszy się sympatią, ludzie chętnie pielęgnują tradycję i podkreślają swe związki

z przeszłością… Nie dotyczy to, rzecz jasna, broni. Zapewniam cię, że w tym względzie Sayshell bynajmniej nie jest staroświecki.

— Ojej, Golan, to chyba nie będzie nieprzyjemne, co? Jesteśmy przecież obywatelami Fundacji znajdującymi się na terytorium wroga…

— To nie jest terytorium wroga, Janov. Nie bój się, na pewno będą dla nas bardzo uprzejmi. Po prostu Fundacja nie cieszy się tu sympatią i tyle. Sayshell nie jest członkiem Federacji Fundacyjnej. I ponieważ są dumni ze swej niezawisłości, a także dlatego, że nie chcą się przyznać sami przed sobą, iż są znacznie słabsi od Fundacji i swoją niepodległość i niezawisłość zawdzięczają tylko temu, że Fundacji akurat to odpowiada, mogą sobie pozwolić na luksus nielubienia nas.

— Boją się, że tak czy inaczej pobyt tutaj nie będzie dla nas przyjemny — powiedział z przygnębieniem Pelorat.

— Skądże znowu — rzekł Trevize. — Daj spokój, Janov. Mówię o oficjalnym stanowisku rządu sayshellskiego. Natomiast pojedynczy ludzie na tej planecie są takimi samymi ludźmi jak my i jeśli tylko będziemy w stosunku do nich uprzejmi i nie będziemy się zachowywali, jakbyśmy byli panami Galaktyki, to oni też będą uprzejmi. Nie przylecieliśmy tutaj po to, żeby ustanowić panowanie Fundacji. Jesteśmy zwykłymi turystami i będziemy pytać tylko o to, o co zapytałby każdy turysta.

A jeśli sytuacja na to pozwoli, to trochę się zabawimy. Nic złego się nie stanie, jeśli zostaniemy tu parę dni i skorzystamy z rozrywek, które oferują turystom. Może mają ciekawą kulturę, ciekawe krajobrazy, dobre jedzenie, a jeśli nie, to może są tu atrakcyjne kobiety. Mamy przecież pieniądze.

Pelorat zmarszczył czoło. — Ależ, drogi przyjacielu! — westchnął.

— Daj spokój — rzekł Trevize. — Nie jesteś taki stary. Nie interesuje cię to?

— Nie powiem, żebym kiedyś nie potrafił dobrze grać tej roli, ale teraz nie czas na to. Mamy misję do spełnienia. Musimy odnaleźć Gaje. Nie mam nic przeciwko rozrywkom, naprawdę, ale jeśli damy się w nie wciągnąć, to może nam być trudno oderwać się od nich. — Potrząsnął głową i powiedział: — Myślę, że bałeś się, że Biblioteka Galaktyczna na Trantorze może mnie tak wciągnąć, że nie będę mógł się od niej oderwać. Otóż atrakcyjna czarnooka panienka albo pięć czy sześć panienek może być dla ciebie tym samym, czym dla mnie Biblioteka.

— Nie jestem hulaką Janov, ale nie mam też zamiaru zostać ascetą. Dobrze więc, obiecuję ci, że zajmiemy się Gają, ale jeśli zdarzy mi się spotkać coś przyjemnego, to nie widzę żadnego powodu, żebym nie miał zareagować normalnie.

— Jeśli tylko będziesz stawiał sprawę Gai na pierwszym

miejscu…

— Będę. Ale pamiętaj, nie mów nikomu, że jesteśmy z Fundacji. I tak będą o tym wiedzieli, bo mamy kredyty fundacyjne i mówimy dialektem terminuskim, ale jeśli nie będziemy nic o tym mówili, to będą nas traktowali przyjaźnie, jakbyśmy pochodzili z całkiem innej planety. Natomiast jeśli będziemy podkreślali, że jesteśmy z Fundacji, to co prawda będą się do nas zwracali uprzejmie, ale nic nam nie powiedzą, nic nam nie pokażą, nigdzie nas nie zaprowadzą i w ogóle będziemy zdani sami na siebie.

— Nigdy nie zdołam zrozumieć ludzi — westchnął Pelorat.

— To nie ma nic do rzeczy. Wystarczy, żebyś się przyjrzał dokładnie sam sobie, a zrozumiesz innych. Niczym nie różnimy się od innych ludzi. Czy Seldon mógłby opracować swój Plan, nawet posługując się nie wiem jak doskonałą matematyką, gdyby nie rozumiał ludzi? I jak mógłby zrozumieć ludzi, gdyby nie było to łatwe? Pokaż mi kogoś, kto nie potrafi zrozumieć ludzi, a ja ci wykażę, że to ktoś, kto stworzył fałszywy obraz swej własnej osoby. Nie bierz tego do siebie.

— Nie biorę. Muszę przyznać, że brak mi doświadczenia w tych sprawach i że prowadziłem raczej samotne życie, nie zwracając uwagi na innych. Być może, że tak naprawdę nigdy nie spróbowałem przyjrzeć się sam sobie. A więc tam, gdzie chodzi o innych ludzi, będę polegał na twoich radach.

— Dobrze. Wobec tego przyjmij moją radę i na razie oglądaj krajobraz. Niedługo wylądujemy. Zapewniam cię, że nic nie poczujesz. Komputer i ja zajmiemy się wszystkim.

— Golan, nie złość się na mnie. Jeśli jakaś kobieta…

— Daj już temu spokój. Teraz muszę się zająć przygotowaniami do lądowania.

Pelorat skupił uwagę na planecie, ku której się zbliżali, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi. Będzie to pierwszy obcy świat, na którym stanie. Świadomość tego zrodziła w nim w jakiś niewytłumaczalny sposób przeczucie, że spotka ich coś złego. A przecież wszystkie z tych milionów zamieszkanych planet w Galaktyce zostały skolonizowane przez ludzi, którzy się na nich nie urodzili. „Wszystkie, z wyjątkiem jednej” — pomyślał z dreszczykiem emocji.

42.

W porównaniu z portami Fundacji, port kosmiczny na Sayshell nie był duży, ale dobrze utrzymany. Trevize dopilnował odstawienia „Odległej Gwiazdy" na miejsce postojowe. Dostali szczegółowy kwit, z mnóstwem zakodowanych danych.

— Zostawimy tak statek? — spytał cicho Pelorat.

Trevize skinął głową i położył uspokajającym gestem dłoń na jego ramieniu. — Nie martw się — powiedział równie cichym głosem.

Wsiedli do samochodu, który wypożyczyli na miejscu i Trevize zaczął studiować mapę miasta, którego wieżowce widać było na horyzoncie.

— Sayshell, stolica planety — powiedział. — Miasto, planeta i gwiazda, wokół której krąży — wszystko ma tę samą nazwę, Sayshell.

— Niepokoję się o statek — rzekł Pelorat.

— Nie ma się o co niepokoić — odparł Trevize. — Wieczorem wrócimy, bo jeśli będziemy musieli zostać tu dłużej niż parę godzin, będziemy nocować na statku. Musisz też wiedzieć, że we wszystkich portach Galaktyki przestrzega się międzygwiezdnego kodeksu moralnego i — o ile mi wiadomo — nie złamano jego zasad ani razu, nawet podczas wojny. Statki, które przylatują w pokojowych celach, są nietykalne. Gdyby nie przestrzegano tej zasady, to nikt nie czułby się bezpiecznie i nie byłoby w ogóle mowy o handlu. Gdyby jakiś świat złamał tę zasadę, to zostałby zbojkotowany przez wszystkich pilotów w Galaktyce. Możesz być pewien, że żaden świat nie chciałby tego ryzykować. Poza tym…

— Poza tym co?

— Poza tym komputer otrzymał polecenie, żeby każdy, kto nie wygląda i nie mówi jak my, został zabity przy próbie dostania się na statek. Pozwoliłem sobie wyjaśnić to komendantowi portu. Powiedziałem mu bardzo grzecznie, że chciałbym wyłączyć to urządzenie przez wzgląd na dobrą sławę, jaką cieszy się w Galaktyce port kosmiczny Sayshell, jeśli chodzi o bezpieczeństwo i nienaruszalność obcych statków, ale że nasz statek jest nowym modelem i po prostu nie wiem, jak się to wyłącza.

— Na pewno ci nie uwierzył.

— Oczywiście, że nie. Ale musiał udawać, że wierzy, bo w przeciwnym razie musiałby poczuć się obrażony. A ponieważ w takim przypadku nie mógłby nic zrobić, byłoby to dla niego upokorzeniem. A ponieważ nie chciał zostać upokorzony, to jedynym wyjściem było udawać, że mi wierzy.

— To ma być kolejny przykład na to, jacy są ludzie?

— Tak. Przyzwyczaisz się do tego.

— A skąd wiesz, że ten samochód nie jest na podsłuchu?

— Pomyślałem, że to całkiem możliwe i kiedy mi zaproponowali wóz, to wybrałem inny, na chybił trafił. A jeśli wszystkie są na podsłuchu… w końcu nie rozmawiamy o niczym strasznym, prawda?

Pelorat miał nieszczęśliwą minę. — Nie wiem, jak to powiedzieć. Nie wypada się skarżyć, ale nie podoba mi się ten zapach. Jakoś tu… śmierdzi.

— W samochodzie?

— Przede wszystkim w porcie. Myślę, że to normalny zapach portu kosmicznego, ale ten smród został w samochodzie. Może otworzymy okna?

Trevize wybuchnął śmiechem. — Przypuszczam, że potrafiłbym znaleźć odpowiedni przycisk na desce rozdzielczej, ale to nic nie pomoże. To ta planeta śmierdzi. Czy ci to aż tak bardzo przeszkadza?

— Ten zapach nie jest silny, ale wyczuwalny… i trochę mnie odrzuca. Cały ten świat tak śmierdzi?

— Stale zapominam, że nigdy jeszcze nie byłeś na żadnym obcym świecie. Każdy zamieszkany świat ma swój specyficzny zapach. To w głównej mierze sprawa lokalnej roślinności, ale myślę, że dokładają się do tego zwierzęta, a nawet ludzie. O ile mi wiadomo, nikomu nie podoba się zapach świata, na którym po raz pierwszy się znajdzie. Ale przyzwyczaisz się do tego, Janov. Zobaczysz, że za parę godzin nie będziesz już tego czuł.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że wszystkie światy pachną tak, jak ten.

— Skądże. Powiedziałem już, że każdy ma swój własny zapach. Gdybyśmy na to zwracali szczególną uwagę albo gdybyśmy mieli czulszy węch, jak na przykład anakreońskie psy, to prawdopodobnie moglibyśmy po zapachu rozpoznać każdy świat. Kiedy byłem we flocie wojennej, to podczas pierwszego dnia pobytu na jakimś nowym świecie nie mogłem w ogóle jeść. Potem poznałem stary przestrzeniarski sposób — trzeba podczas lądowania na jakimś świecie wąchać chusteczkę z zapachem tego świata. Kiedy się potem człowiek znajdzie na wolnym powietrzu, nic już nie czuje. A po pewnym czasie obojętnieje się na to w ogóle; po prostu przestaje się zwracać uwagę na takie rzeczy… Prawdę mówiąc, najgorszy jest zawsze powrót do domu.

— Dlaczego?

— Myślisz, że Terminus nie ma swojego zapachu?

— Chcesz przez to powiedzieć, że ma?

— Oczywiście, że ma. Kiedy się już przyzwyczaisz do zapachu innego świata, powiedzmy Sayshell, to dopiero przekonasz się, jak śmierdzi Terminus. W dawnych czasach, kiedy po dłuższej służbie w przestrzeni statek wracał i otwierały się luki, cała załoga krzyczała „Z

powrotem w domu i w gównie".

Pelorat zrobił obrażoną minę.

Wieżowce były coraz bliżej, ale Pelorat przyglądał się najbliższemu otoczeniu. W obu kierunkach mknęły samochody, a od czasu do czasu pokazywał się samolot, ale Pelorat przyglądał się drzewom.

— Dziwne są tutaj rośliny. — powiedział. — Jak myślisz, czy któreś z nich są endemiczne?

— Wątpię — odparł Trevize, pochłonięty czym innym. Studiował mapę i starał się nastawić programowanie komputera samochodowego. — Wśród zamieszkanych przez ludzi planet nie ma takiej, na której zachowałoby się dużo endemicznych form życia. Osadnicy zawsze sprowadzali ze sobą rośliny i zwierzęta — albo już w momencie osiedlenia się, albo niedługo potem.

— A jednak tutejsze rośliny wydają się dziwne.

— Nie spodziewasz się chyba, Janov, że na każdym świecie znajdziesz te same odmiany. Ktoś mi kiedyś mówił, że Encyklopedyści, wiesz ci od Encyklopedii Galaktycznej, opracowali atlas odmian roślin i zwierząt, który składał się z osiemdziesięciu siedmiu grubych dysków komputerowych, a mimo to nie był kompletny, a co więcej — w chwili, kiedy został ukończony, był już nieaktualny.

Kiedy tak rozmawiali, samochód szybko mknął przed siebie i po chwili rozwarły się przed nimi i pochłonęły ich przedmieścia Sayshell. Pelorat lekko drżał. — Niezbyt mi się podoba ich architektura — powiedział.

— Co kraj, to obyczaj — odparł Trevize obojętnym tonem obieżyświata.

— A dokąd właściwie jedziemy?

— Ba, żebym to ja wiedział — powiedział Trevize z lekką irytacją. — Próbuję nastawić komputer, żeby zaprowadził nas do centralnej informacji turystycznej. Mam nadzieję, że ten komputer orientuje się w ulicach jednokierunkowych i zasadach ruchu, bo ja nie.

— A co tam mamy robić, Golan?

— Po pierwsze jesteśmy turystami, a to jest właśnie miejsce, od którego zaczyna każdy normalny turysta. Nie chcemy się rzucać w oczy, więc musimy się zachowywać jak najnaturalniej. A po drugie, gdzie chciałbyś zdobyć wiadomości na temat Gai?

— Na uniwersytecie… albo w jakimś towarzystwie antropologicznym… albo w muzeum… Na pewno nie w centralnej informacji turystycznej.

— No i jesteś w błędzie. W informacji turystycznej będziemy wyglądali na intelektualistów, którzy chcą dostać wykaz wyższych uczelni znajdujących się w mieście, muzeów i tak dalej. Potem pomyślimy, gdzie się najpierw skierować i tam, gdzie pojedziemy,

możemy znaleźć kompetentne osoby, które udzielą nam informacji z dziedziny historii starożytnej, galaktografii, mitologii, antropologii czy co tam jeszcze będziesz chciał. Ale musimy zacząć od informacji turystycznej, żeby wiedzieć gdzie co jest.

Pelorat nic na to nie powiedział. Samochód włączył się do ruchu ulicznego i posuwał się już wolniej, zwalniając, stając i przyspieszając na przemian. Skręcili w jakąś boczną ulicę i jechali mijając znaki, które być może oznaczały zakazy, nakazy i inne instrukcje, ale miały tak zawiłe napisy, że prawie nie sposób było je odcyfrować.

Na szczęście samochód zachowywał się tak, jak gdyby sam znał drogę i kiedy zatrzymał się i ustawił na parkingu, zobaczyli znak z napisem „Sayshellskie środowisko przybyszów z innych światów", zredagowanym tym samym zawiłym pismem, co inne znaki drogowe i tabliczkę z normalnymi, łatwymi do odczytania literami głoszącą, że jest to „Centralna Informacja Turystyczna na Sayshell".

Weszli do budynku, który okazał się mniejszy, niż można było sądzić przyglądając mu się z zewnątrz. Nie było tam zbyt dużego ruchu.

Z jednej strony znajdował się rząd kabin, z których jedna zajęta była przez mężczyznę czytającego paski z najnowszymi wiadomościami wysuwające się wolno z niewielkiego aparatu, inna przez dwie kobiety, które wydawały się pochłonięte skomplikowaną grą w karty i jakieś płytki. Za komputerem, stanowczo zbyt dużym dla niego, nad klawiaturą, która wydawała się zbyt skomplikowana, tkwił znudzony urzędnik w uniformie, który przypominał wielobarwną szachownicę. Pelorat zagapił się na niego i rzekł szeptem:

— Mają tu ekstrawagancką modę.

— Tak — odparł Trevize. — Zdążyłem to zauważyć. No cóż, każdy świat, a niekiedy każdy region tego samego świata, ma swoją modę. Zresztą moda zmienia się. Niewykluczone, że pięćdziesiąt lat temu na Sayshell wszyscy ubierali się na czarno. Nie zwracaj na to uwagi, Janov.

— Myślę, że będę musiał się do tego zastosować — powiedział Pelorat — ale — wolę naszą własną modę. Przynajmniej nie razi oczu.

— Dlatego, że tylu ludzi u nas lubi szary kolor? To razi wiele osób. Sam słyszałem, jak ktoś nazwał to „ubieraniem się w brudne łachy". A poza tym, to prawdopodobnie nasze szare ubiory spowodowały, że ludzie tutaj stroją się we wszystkie kolory tęczy. Chcą w ten sposób podkreślić swoją odmienność i niezawisłość. Tak czy inaczej, przyzwyczaisz się do tego wszystkiego… Idziemy, Janov.

Skierowali się w stronę urzędnika i w tej samej chwili mężczyzna czytający dotąd wiadomości podniósł się, wyszedł z kabiny i z uśmiechem podszedł do nich. Jego ubranie było szare.

Trevize w pierwszej chwili nie zwrócił na niego uwagi, ale kiedy

spojrzał, zamarł.

Zaczerpnął głęboko powietrza. — Na Galaktykę… — zawołał. — To ten zdrajca!

Rozdział XII
AGENT

43.

Munn Li Compor, radny z Terminusa, wyciągnął z niepewną miną rękę do Trevizego. Trevize obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem i rzekł, jakby mówił w powietrze:

— Nie chcę stwarzać sytuacji, w wyniku której mógłbym zostać zaaresztowany za zakłócanie spokoju na obcej planecie, ale jeśli to indywiduum zrobi jeszcze krok w moją stronę, to nie odpowiadam za siebie.

Compor zatrzymał się w pół kroku. Przez chwilę nie wiedział, co robić, a potem — rzuciwszy niepewne spojrzenie na Pelorata — rzekł cicho:

— Czy mogę chwilę z tobą porozmawiać? Chcę coś wyjaśnić. Wysłuchasz mnie?

Pelorat spoglądał to na jednego, to na drugiego, lekko marszcząc swą długą twarz. — O co tu chodzi, Golan? — spytał. — Ledwie przylecieliśmy na ten odległy świat, a już spotykasz jakiegoś znajomego?

Trevize miał wzrok utkwiony w Compora, ale obrócił nieco tułów, aby było jasne, że zwraca się do Pelorata. — To indywiduum tutaj, istota ludzka, sądząc z pozorów, było kiedyś moim przyjacielem. Ufałem mu, tak jak się ufa przyjaciołom. Zwierzyłem mu się z moich myśli, których raczej nie należało szeroko rozgłaszać, a on powtórzył wszystko szczegółowo władzom i nie zadał sobie trudu, żeby mnie o tym fakcie powiadomić. Tym sposobem wpadłem w zręcznie zastawioną pułapkę i w efekcie jestem teraz na wygnaniu. I teraz to indywiduum chce, żebym traktował go jak przyjaciela.

Obrócił się całym ciałem do Compora i przeczesał palcami włosy, przez co stały się jeszcze bardziej potargane. — Słuchaj no — powiedział. — Mam do ciebie pytanie. Co tutaj robisz? W Galaktyce jest tyle światów, a ty znalazłeś się akurat na tym. Dlaczego? I dlaczego właśnie teraz?

Wyciągnięta aż do tej chwili ręka Compora opadła i uśmiech zniknął z jego twarzy. Zniknęła też jego zwykła pewność siebie. Wyglądał teraz na młodszego, niż był w istocie. Wydawał się też nieco przygnębiony. — Zaraz wszystko wyjaśnię — powiedział — ale muszę zacząć od początku.

Trevize rozejrzał się szybko. — Tutaj? Naprawdę chcesz mówić o tym tutaj? W miejscu publicznym? Chcesz, żebym cię walnął tutaj, kiedy już będę miał dosyć twoich łgarstw?

Compor podniósł obie ręce w uspokajającym geście. — Tu jest najbezpieczniej, wierz mi. — I zaraz, domyślając się, co Trevize ma zamiar powiedzieć, poprawił się: — Zresztą, jak chcesz, to możesz mi

nie wierzyć. To nieważne. Mówię szczerą prawdę. Jestem na tej planecie parę godzin dłużej niż wy i sprawdziłem to. Dzisiaj jest jakiś szczególny dzień dla mieszkańców Sayshell. Jest to, z jakiegoś powodu, dzień medytacji. Prawie wszyscy są w swoich domach, a przynajmniej powinni tam być… Widzisz, jakie tu pustki. Chyba nie przypuszczasz, że jest tu tak codziennie.

Pelorat kiwnął głową i powiedział: — Właśnie zastanawiałem się, dlaczego tu tak pusto. — Nachylił się do ucha Trevizego i szepnął: — Dlaczego nie chcesz go wysłuchać, Golan? Wygląda na nieszczęśliwego i może chce spróbować cię przeprosić. To niełądnie nie dać mu takiej szansy.

— Wydaje się, że profesor Pelorat ma ochotę cię wysłuchać — rzekł Trevize. — Wyświadczę mu tę przysługę, ale ty mnie wyświadczysz przysługę, jeśli będziesz się streszczał. W dzisiejszym dniu mogę sobie pozwolić na to, żeby stracić cierpliwość. Jeśli wszyscy pogrążeni są w medytacji, to być może zakłócenie spokoju w miejscu publicznym nie ściągnie stróżów prawa. Juro mogę już nie mieć takiej okazji. Dlaczego nie miałbym więc skorzystać z tej, która właśnie mi się nadarza?

— Słuchaj — powiedział Compor nieswoim głosem — jeśli chcesz mnie walnąć, to proszę bardzo. Nawet nie będę próbował się bronić. No śmiało — uderz mnie, ale wysłuchaj tego, co chcę powiedzieć.

— No więc mów. Daję ci parę minut.

— Po pierwsze, Golan…

— Proszę, żebyś mówił do mnie Trevize. Nie jestem już z tobą po imieniu.

— Po pierwsze, Trevize, dobrze zrobiłeś, przekonując mnie do swoich poglądów…

— Dobrze ukryłeś to swoje przekonanie. Przysiągłbym, że cię tym tylko ubawiłem.

— Udawałem ubawionego, żeby ukryć przed samym sobą niepokój, jaki we mnie wzbudziłeś… Słuchaj, usiądźmy tam, pod ścianą. Jest tu co prawda pusto, ale może ktoś wejść, a sądzę, że nie musimy niepotrzebnie rzucać się komuś w oczy.

Przeszli powoli przez całą salę. Compor znowu miał na twarzy niepewny uśmiech, ale na wszelki wypadek trzymał się w bezpiecznej odległości od Trevizego.

Usiedli w fotelach, których siedzenia poddały się ciężarowi ich ciał i dopasowały się do kształtów ich bioder i pośladków. Pelorat zrobił zaskoczoną minę i wykonał ruch, jak gdyby chciał się podnieść.

— Niech pan się uspokoi, profesorze — powiedział Compor. — Ja mam już to za sobą. Jak widać, wyprzedzili nas w pewnych rzeczach. Sayshell to świat, gdzie ceni się drobne wygody.

Obrócił się do Trevizego, kładąc rękę na oparciu fotela. Teraz

mówił już spokojnym głosem.

— Wzbudziłeś we mnie niepokój. Zacząłem wierzyć, że Druga Fundacja naprawdę istnieje i było to bardzo nieprzyjemne uczucie. Zastanów się, co by się stało, gdyby istnieli. Czy nie jest prawdopodobne, że zajęliby się tobą? Że usunęliby cię w jakiś sposób, żebyś im nie przeszkadzał? Otóż gdybym zachowywał się tak, jak gdybym ci uwierzył, to mnie też mogliby usunąć. Rozumiesz o co mi chodzi?

— Rozumiem, że jesteś tchórzem.

— A co by komu przyszło z tego, że zachowywałbym się jak bohater jakiejś powieści przygodowej? — spytał Compor spokojnie, ale w jego oczach widać było oburzenie. — Czy ty albo ja mamy jakieś szansę z. organizacją, która może dowolnie kształtować nasze uczucia i myśli? Jeśli chce się walczyć z takimi ludźmi i wygrać, to trzeba zacząć od tego, żeby starannie ukryć fakt, że się w ogóle coś wie o nich.

— A więc ukryłeś ten fakt i czułeś się bezpiecznie, tak? Ale jakoś nie zatroszczyłeś się o to, żeby ukryć go przed Branno, prawda? To przecież było ryzykowne.

— Tak. Ale myślałem, że to się opłaci. Nasze rozmowy na ten temat mogły doprowadzić tylko do tego, że zaczęliby manipulować naszymi myślami albo doprowadzili nas do zupełnej demencji. Z drugiej strony, jeśli powiedziałem o tym burmistrzowi, to … Wiesz o tym, że znała dobrze mojego ojca. Obaj z ojcem byliśmy emigrantami ze Smyrno, a babka Branno…

— Tak, tak — przerwał mu niecierpliwie Trevize — a twoi przodkowie sprzed iluś tam pokoleń wywodzili się z sektora Syriusza. Opowiadasz o tym wszystkim swoim znajomym. Daj już temu spokój, Compor.

— No dobrze… A więc wysłuchała mnie. Gdybym mógł, używając twoich argumentów, przekonać burmistrza, że z tej strony grozi nam niebezpieczeństwo, to Federacja mogłaby podjąć odpowiednie działania. Nie jesteśmy już tacy bezbronni jak w czasach Muła, a w najgorszym wypadku fakt istnienia Drugiej Fundacji stałby się szeroko znany i my dwaj nie bylibyśmy już w takim niebezpieczeństwie, jak przedtem.

— No tak, lepiej wystawić na niebezpieczeństwo całą Fundację i ocalić własną skórę — rzekł drwiąco Trevize. — To się nazywa patriotyzm.

— To byłaby najgorsza ewentualność. Liczyłem na najlepszą — czoło Compora pokryło się kroplami potu. Widać było, że bardzo męczy go walka z niezłomną pogardą, którą okazywał mu Trevize.

— Ale nie pomyślałeś o tym, żeby mi powiedzieć o tym swoim sprytnym planie, co?

— Nie, nie pomyślałem i bardzo cię za to przepraszam, Trevize. Burmistrz mi zabroniła. Powiedziała, że chce wiedzieć wszystko, co ty wiesz, ale że jesteś taki, że zaraz byś się zamknął w. sobie, gdybyś się zorientował, że przekazuję jej twoje opinie.

— I miała rację!

— Nie wiedziałem… nie domyślałem się… nie przyszło mi do głowy, że chce cię zaaresztować i zesłać na wygnanie.

— Czekała tylko na odpowiedni moment, na chwilę, kiedy moja pozycja radnego nie będzie mnie mogła przed tym uchronić. Nie przewidziałeś tego?

— A jak miałem to przewidzieć? Ty sam się tego nie spodziewałeś.

— Gdybym wiedział, że zna moje opinie, to bym się spodziewał.

— Łatwo tak mówić po fakcie — powiedział Compor. W tej sytuacji wyglądało to na bezczelność.

— A czego chcesz tutaj ode mnie? Teraz ty też mówisz po fakcie.

— Chcę to wszystko naprawić. Chcę naprawić krzywdę, którą ci niechcący — niechcący — wyrządziłem.

— Coś takiego — rzekł sucho Trevize. — To bardzo miło z twojej strony. Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jak to się stało, że znalazłeś się na tej samej planecie, co ja?

— Odpowiedź jest prosta. Przyleciałem twoim śladem! — odparł Compor.

— Przez nadprzestrzeń? Po całej serii skoków, które zrobiłem?

Compor potrząsnął głową. — Nie ma w tym nic tajemniczego. Mam taki sam statek jak ty, z takim samym komputerem. Wiesz o tym, że zawsze miałem pewną intuicyjną zdolność zgadywania w jakim kierunku poleci przez nadprzestrzeń dany statek. Nie robiłem tego bezbłędnie — myliłem się dwa razy na trzy, ale z komputerem idzie mi to o wiele lepiej. A przy tym na początku trochę zwlekałeś ze skokiem, co dało mi możliwość ocenienia kierunku twego statku i szybkości, z jaką się poruszałeś, jeszcze zanim wszedłeś w nadprzestrzeń. Wprowadziłem do komputera odpowiednie dane razem z moimi intuicyjnymi wyliczeniami, a on zrobił resztę.

— I zdążyłeś dotrzeć tu przede mną?

— Tak. Nie korzystałeś z grawitacji, a ja tak. Domyśliłem się, że przylecisz do stolicy, więc udałem się tam prostą drogą, gdy tymczasem ty… — Compor zatoczył palcami krótką spiralę, naśladując statek okrążający planetę zgodnie z naprowadzającym sygnałem radiowym.

— Mogłeś narazić się na kłopoty z sayshellską biurokracją.

— No cóż… — na twarzy Compora pojawił się rozbrajający uśmiech i Trevize poczuł, że jego niechęć z wolna zaczyna topnieć. — Nie zawsze jestem tchórzem.

Trevize ponownie nasrożył się. — Jak to się stało, że dostałeś taki sam statek jak ja?

— Dostałem go dokładnie tak samo, jak ty. Przydzieliła mi go Branno.

— Dlaczego?

— Jestem z tobą całkowicie szczery. Miałem za zadanie śledzić cię. Burmistrz chciała wiedzieć dokąd się udasz i co będziesz robić.

— I myślę, że informowałeś ją wiernie o wszystkim… A może ją także zawiodłeś?

— Informowałem ją. Praktycznie nie miałem wyboru. Umieściła na moim statku nadajnik nadprzestrzenny. Myślała, że go nie znajdę, ale znalazłem.

— No i co?

— Niestety, został tak zainstalowany, że nie można go usunąć nie unieruchamiając statku. A w każdym razie, ja tego nie potrafię. W konsekwencji wie, gdzie jestem… a stąd, gdzie ty.

— Załóżmy, że nie mógłbyś za mną lecieć. Wtedy przecież nie dowiedziałaby się, gdzie jestem. Nie pomyślałeś o tym?

— Oczywiście, że pomyślałem. Myślałem już o tym, żeby donieść jej, że zgubiłem twój ślad, ale przecież nie dałaby temu wiary. W takim przypadku nie mógłbym powrócić na Terminusa przez nie wiadomo ile czasu. A ja jestem w innej sytuacji, Trevize, niż ty. Nie jestem samotną osobą, bez żadnych zobowiązań. Zostawiłem na Terminusie żonę, która akurat jest w ciąży i chcę do niej wrócić. Ty możesz myśleć tylko o sobie. Ja nie mogę… Poza tym przyleciałem tu, żeby cię ostrzec. Na Seldona, naprawdę chcę to zrobić, ale ty mnie nie słuchasz. Cały czas mówisz o czym innym.

— Twoja nagła troska o mnie nie robi na mnie wrażenia. Przed czym możesz mnie ostrzec? Wydaje mi się, że właśnie ty jesteś tym, przed czym trzeba mnie ostrzec. Zdradziłeś mnie, a teraz depczesz mi po piętach, żeby mnie zdradzić jeszcze raz. Nikt inny mi nie szkodzi.

— Człowieku, zostaw te teatralne gesty — powiedział żarliwie Compor. — Trevize, ty masz ściągnąć na siebie burzę! Masz być naszym piorunochronem! Zostałeś wysłany, żeby sprowokować Drugą Fundację… jeśli ona faktycznie istnieje. Moja intuicja nie ogranicza się tylko do wyczuwania kierunku statków w nadprzestrzeni. Jestem pewien, że o to właśnie jej chodzi. Jeśli będziesz nadal próbował znaleźć Drugą Fundację, to zorientują się, jakie masz zamiary i zrobią coś, żeby cię powstrzymać. A jeśli to zrobią, to w ten sposób zdradzą się. I wtedy Branno dobierze się do nich.

— Szkoda, że zabrakło ci intuicji, kiedy Branno planowała moje uwięzienie.

Compor zaczerwienił się i wybąkał:

— Wiesz, że intuicja niekiedy zawodzi.

— Za to teraz podpowiada ci, że ona chce zaatakować Drugą Fundację. Nigdy nie odważy się tego zrobić.

— Myślę, że się odważy. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że teraz posłużyła się tobą jako przynętą.

— A więc?

— A więc, na wszystkie czarne dziury w przestrzeni, daj temu spokój! Nie szukaj Drugiej Fundacji. Ją nie obchodzi nic a nic, że możesz zginąć, ale mnie to obchodzi. Czuję się winny i dlatego nie chcę do tego dopuścić.

— Jestem tym naprawdę głęboko wzruszony — rzekł zimno Trevize — ale tak się składa, że w tej chwili mam zupełnie inny cel na oku.

— Naprawdę?

— Pelorat i ja jesteśmy na dobrej drodze do znalezienia Ziemi, planety, która — zdaniem pewnych badaczy — była pierwotną siedzibą ludzkości. Prawda, Janov?

Pelorat skinął głową. — Tak, to sprawa czysto naukowa, która od dawna mnie interesuje.

Compor zmieszał się. — Szukacie Ziemi? — spytał po chwili. — Ale po co?

— Aby ją zbadać — powiedział Pelorat. — Powinna być fascynującym obiektem badań, jako jedyny świat, na którym powstały istoty ludzkie — prawdopodobnie z niższych form życia — a nie, jak na innych światach gdzie przybyły ostatecznie już uformowane.

— I — powiedział Trevize — jako świat, na którym być może dowiem się czegoś więcej o Drugiej Fundacji… Być może.

— Ale przecież nie ma żadnej Ziemi — rzekł Compor. — Nie wiecie o tym?

— Nie ma Ziemi? — Pelorat. zrobił obojętną minę, jak zawsze, kiedy upierał się przy czymś. — Chce pan powiedzieć, że nie ma planety, na której narodziła się ludzkość?

— Ależ skąd! Oczywiście, Ziemia istniała. Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Ale teraz nie ma już Ziemi. A w każdym razie nie jest zamieszkana. Już po niej!

— Istnieją przekazy… — zaczął niewzruszony Pelorat.

— Chwileczkę, Janov — przerwał mu Trevize. — A ty skąd o tym wiesz, Compor?

— Jak to skąd? To należy do mojej rodzinnej tradycji. Muszę znowu przypomnieć fakt, którego powtarzanie tak cię nudzi — mój ród wywodzi się z sektora Syriusza. W tym sektorze wiedzą o Ziemi wszystko. Leży ona właśnie w tym sektorze. Znaczy to, że nie jest częścią Federacji Fundacyjnej i dlatego właśnie nie obchodzi nikogo na Terminusie. Ale nie zmienia to faktu, że Ziemia jest właśnie tam.

— Istnieje taka hipoteza, zgoda — powiedział Pelorat. — W

czasach Imperium „teoria Syriusza”, jak wtedy nazywano tę hipotezę, miała wielu gorących zwolenników.

— To nie jest teoria — rzekł porywczo Compor. — To fakt.

— A co by pan powiedział, gdybym panu oznajmił, że słyszałem o wielu różnych miejscach w Galaktyce, które są lub były zwane Ziemią przez ludzi żyjących w ich sąsiedztwie? — spytał Pelorat.

— Ale to jest rzecz pewna — powiedział Compor. — Sektor Syriusza jest najstarszą zamieszkaną częścią Galaktyki. Wszyscy o tym wiedzą.

— Rzeczywiście, tak twierdzą Syriańczycy — powiedział niewzruszonym głosem Pelorat.

Compor miał przygnębioną minę. — Mówię wam…

— Powiedz lepiej, co się stało z Ziemią — przerwał mu Trevize. — Powiedziałeś, że nie jest już zamieszkana. Dlaczego?

— Ze względu na radioaktywność. Cała jej powierzchnia jest radioaktywna. Może w wyniku reakcji jądrowych, które wymknęły się spod kontroli, a może z powodu wojny jądrowej — nie wiem, ale nie może tam istnieć życie.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, a potem Compor widocznie stwierdził, że musi to powtórzyć. — Mówię wam, że nie ma żadnej Ziemi. Nie ma sensu jej szukać — powiedział.

44.

Twarz Pelorata straciła naraz poprzedni, obojętny wyraz. Nie znaczy to, że pojawił się na niej gniew, złość czy jakieś inne niestałe uczucie. Ale jego oczy zwęziły się i — napiął się każdy mięsień jego twarzy.

— Skąd — powiada pan — wie pan o tym? — spytał. W jego głosie nie było ani śladu typowej dla niego niepewności.

— Mówiłem już, że to należy do mojej rodzinnej tradycji — powiedział Compor.

— Niech pan nie będzie niemądry, młody człowieku. Jest pan radnym. Znaczy to, że musiał się pan urodzić na którymś ze światów Federacji… Na Smyrno, wydaje mi się, powiedział pan wcześniej.

— Zgadza się.

— No to o jakiej tradycji rodzinnej pan mówi? Chce pan mi wmówić, że w pana syriańskich genach zakodowane są syriańskie mity dotyczące Ziemi? Że to wiedza wrodzona?

— Ależ skąd! — żachnął się Compor.

— No to o czym pan właściwie mówi?

Compor milczał przez chwilę i zdawał się zbierać myśli. W końcu powiedział cicho:

— Moja rodzina posiada stare książki dotyczące historii Syriusza. Jest to więc wiedza nabyta, nie wrodzona. To nie jest coś, o czym rozmawiamy z obcymi, szczególnie jeśli ktoś jest zdecydowany zrobić karierę polityczną.

Trevize pewnie myśli, że ja o tym marzę, ale — wierzcie mi — to, co wam powiedziałem, mówię tylko dobrym przyjaciołom.

W jego głosie brzmiała gorycz. — Teoretycznie, wszyscy obywatele Fundacji są równi, ale ci, którzy pochodzą ze światów od dawna należących do Federacji, są równiejsi, a ci, których rodziny pochodzą ze światów spoza Federacji, są najmniej równi. Ale mniejsza z tym. Oprócz tego, że czytałem te książki, odwiedziłem kiedyś te stare światy. Trevize, hej…

Trevize podczas tej rozmowy podszedł do drugiej ściany i właśnie wyglądał przez trójkątne okno. Ukazywało ono niebo i pomniejszony widok miasta, dając więcej światła i stwarzając bardziej intymny nastrój. Trevize wspiął się na palce, aby spojrzeć na dół.

Teraz wrócił do nich. — Ciekawe okno — powiedział. — Wołałeś mnie, Compor?

— Tak. Pamiętasz, jak wybrałem się w tę podróż po studiach?

— Po studiach? Pamiętam doskonale. Byliśmy przyjaciółmi. Była to dozgonna przyjaźń. Wzajemne zaufanie. Mieliśmy ramię w ramię ruszyć na podbój świata. Ty wybrałeś się w tę swoją podróż. Ja,

przepełniony patriotyzmem, wstąpiłem do floty wojennej. Jakoś nie czułem pokusy, żeby się wybrać z tobą… powstrzymywał mnie przed tym jakiś instynkt. Szkoda, że później mi go zabrakło.

Compor udał, że nie chwyta aluzji. — Poleciałem na Comporellon — powiedział. — Według rodzinnej tradycji stamtąd pochodzili moi przodkowie, przynajmniej ze strony ojca. W zamierzchłych czasach, zanim wchłonęło nas Imperium, mój ród władał tą planetą, od niej właśnie pochodzi moje nazwisko… tak w każdym razie podaje tradycja rodzinna. W naszym języku zachowała się stara, poetycka nazwa gwiazdy, wokół której krążył Comporellon — Epsilon Eridani.

— Co to znaczy? — spytał Pelorat.

Compor potrząsnął głową. — Nie mam pojęcia. Nie wiem, czy to w ogóle coś znaczy. Ot, po prostu tradycja. W ogóle kultywują tam różne tradycje. To stary świat. Mają długie, szczegółowe opisy historii Ziemi, ale nie lubią o tym rozmawiać. Są w tym względzie bardzo przesądni. Za każdym razem, kiedy pada to słowo, podnoszą w górę obie ręce ze skrzyżowanymi palcami środkowym i wskazującym, co ma odegnać nieszczęście.

— Mówiłeś o tym komuś, po powrocie stamtąd?

— Oczywiście, że nie. Kogo by to zainteresowało? Nie miałem zamiaru zmuszać nikogo do słuchania takich opowieści. Nie, dziękuję! Chciałem zrobić karierę polityczną i podkreślanie mojego obcego pochodzenia byłoby ostatnią rzeczą, na którą bym się zdecydował.

— A co z satelitą? Niech pan powie, jak wyglądał — rzekł ostro Pelorat.

Na twarzy Compora pojawiło się zdumienie.

— Nic o tym nie wiem — powiedział.

— Nie ma satelity?

— Nie przypominam sobie, żebym o tym słyszał albo czytał. Ale jestem pewien, że gdyby pan przejrzał zapisy comporelliańskie, to znalazłby pan informacje o tym.

— Ale pan nic o tym nie wie?

— O satelicie — nic. Nie przypominam sobie.

— Ha! A jak doszło do tęgo, że Ziemia stała się radioaktywna?

Compor potrząsnął głową i nic nie powiedział.

— Niech pan pomyśli! — rzekł Pelorat. — Musiał pan coś słyszeć.

— To było siedem lat temu, profesorze. Nie przypuszczałem wtedy, że teraz będzie mnie pan o to wypytywał. Jest tam jakaś legenda o tym… oni uważają, że to prawdziwa historia…

— Jaka to legenda?

— Że Ziemia była radioaktywna… że Imperium miało do niej zły stosunek i nie chciało z nią utrzymywać żadnych kontaktów… że kurczyła się liczba jej mieszkańców… że Ziemia chciała w jakiś sposób zniszczyć Imperium.

— Jeden ginący świat miałby zniszczyć całe Imperium? — wtrącił się Trevize.

— Mówiłem, że to legenda — powiedział, usprawiedliwiając się, Compor. — Nie znam szczegółów.

Wiem, że miał z tą opowieścią jakiś związek Bel Afvardan.

— A kto to był? — spytał Trevize.

— Postać historyczna. Sprawdziłem to. Był rzetelnym archeologiem, żyjącym w początkach istnienia Imperium. Utrzymywał, że Ziemia leży w sektorze Syriusza.

— Słyszałem to nazwisko — powiedział Pelorat.

— On jest bohaterem opowieści ludowych na Comporellonie. Słuchajcie, jeśli interesują was te rzeczy, to lećcie na Comporellon. Nie ma sensu tkwić tutaj.

— Więc — jak pan powiada — Ziemia zamierzała zniszczyć Imperium? — spytał Pelorat.

— Nie wiem — w głosie Compora słychać już było pewne zniecierpliwienie.

— Czy ta radiacja miała z tym coś wspólnego?

— Nie wiem. Opowieści mówią o jakimś urządzeniu wynalezionym na Ziemi, które jakoby miało potęgować możliwości mózgu… o jakimś synapsofikatorze czy o czymś takim.

— Czy to urządzenie wytwarzało supermózgi? — spytał Pelorat z głębokim niedowierzeniem.

— Nie wiem. Pamiętam tylko, że to się nie udało. Ludzie zyskiwali nadzwyczajne zdolności intelektualne, ale młodo umierali.

— To prawdopodobnie umoralniająca opowieść mitologiczna — powiedział Trevize. — Jeśli chcesz mieć za dużo, to tracisz nawet to, co już masz.

— A co ty możesz wiedzieć o umoralniających opowieściach mitologicznych? — rzekł do niego z nagłą irytacją Pelorat.

Trevize uniósł w górę brwi. — To, że nie jestem ekspertem w twojej dziedzinie, Janov, nie znaczy jeszcze, że jestem w tych sprawach zupełnym ignorantem — powiedział.

— Pamięta pan coś więcej, panie radny — zwrócił się Pelorat do Compora — o tym urządzeniu, które nazywa pan synapsyfikatorem?

— Nie pamiętani i nie mam zamiaru poddawać się

dłużej temu przesłuchaniu. Śledziłem was na polecenie burmistrz Branno. Branno nie kazała mi kontaktować się z wami osobiście. Zrobiłem to tylko po to, żeby was ostrzec, że jesteście śledzeni i że, wysyłając was, Branno miała w tym swój cel. Nie rozmawiałbym z warni o niczym więcej, gdybyście niespodziewanie nie poruszyli sprawy Ziemi. A więc powtarzam jeszcze raz — to wszystko, co było w przeszłości, Bel Arvardan, synapsyfikator i wszystko inne, nie ma nic wspólnego z tym, co jest teraz. Mówię wam jeszcze raz: Ziemia jest

martwą planetą. Radzę wam gorąco — lećcie na Comporellon. Tam dowiecie się wszystkiego, co chcecie wiedzieć. Tylko nie zostawajcie tutaj.

— A ty, oczywiście natychmiast zameldujesz burmistrz Branno, że lecimy na Comporellon… i polecisz za nami, żeby się upewnić, czy naprawdę tam się udamy. A może Branno wie już o tym? Przypuszczam, że dokładnie ci powiedziała, co masz nam tu mówić i że nauczyłeś się tego na pamięć i powtarzasz słowo w słowo, bo ona chce, żebyśmy polecieli na Comporellon. Może nie?

Twarz Compora pobladła. Poderwał się na równe nogi. Powiedział, z trudem starając się opanować głos:

— Starałem się wyjaśnić sprawę. Starałem się wam pomóc. Nie powinienem był tego robić. Trevize, możesz się zapaść w czarną dziurę.

Odwrócił się na pięcie i odszedł szybko, nie oglądając się.

Pelorat miał z lekka osłupiałą minę. — To było trochę nietaktowne, Golan. Może udałoby mi się wyciągnąć z niego coś więcej.

— Na pewno nie udałoby ci się — odparł poważnie Trevize. — Nie udałoby ci się wyciągnąć z niego nic oprócz tego, co sam chciał powiedzieć. Nie znasz go, Janov… Do dzisiejszego dnia ja też go nie znałem.

45.

Trevize siedział nieruchomo w swym fotelu, pogrążony w myślach. Pelorat nie mógł się zdecydować, żeby przerwać te rozmyślania. W końcu przełamał się i rzekł:

— Będziemy tak siedzieć całą noc, Golan? Trevize drgnął. — Nie, skąd! Masz rację, poczujemy się lepiej wśród ludzi. Chodź!

Pelorat wstał. — Nie znajdziemy żadnych ludzi. Compor mówił, że dziś jest tu jakiś dzień medytacji — powiedział.

— Tak mówił? Był ruch na ulicach, kiedy tu jechaliśmy samochodem?

— Tak, niewielki.

— Ja myślę, że całkiem duży. A zresztą, czy miasto było puste, kiedy tu przybyliśmy?

— Nie bardzo… Mimo to musisz przyznać, że tutaj jest pusto.

— Owszem, jest. Zauważyłem to… Ale idziemy, Janov. Jestem głodny. Musi być tu gdzieś jakieś miejsce, gdzie można coś zjeść. Możemy sobie pozwolić na dobry lokal. W każdym razie możemy znaleźć jakiś lokal, gdzie podają jakieś specjalności kuchni sayshellskiej, a jeśli nam to nie posmakuje, to zamówimy sobie coś z dań ogólnogalaktycznych… No chodź, a jak znajdziemy się w bezpiecznym otoczeniu, to powiem ci, co — moim zdaniem — naprawdę się tu wydarzyło.

46.

Trevize oparł się o poręcz krzesła z przyjemnym uczuciem odprężenia. Restauracja była z pewnością oryginalna i, w porównaniu z lokalami na Terminusie, niedroga. Potrawy przygotowywano na otwartym palenisku, które, znajdując się w sali, częściowo ją ogrzewało. Mięso podawano pokrajane na małe kawałki, z dodatkiem przeróżnych ostrych sosów. Jadło się je palcami, ujmując — aby się nie pobrudzić i nie poparzyć — przez gładkie, zielone liście, które były chłodne i wilgotne i miały lekko miętowy smak. Zawijało się kawałek mięsa w liść i wkładało się cały kęs do ust. Kelner dokładnie wytłumaczył im, jak się to robi. Najwidoczniej przyzwyczajony do gości z innych planet, uśmiechał się pobłażliwie, kiedy Trevize i Pelorat ostrożnie zabierali się do parujących kawałków mięsa i był wyraźnie ucieszony, kiedy zobaczył, z jaką ulgą stwierdzili, że liście nie tylko chronią palce przed poparzeniem, ale także ochładzają nieco mięso wkładane do ust.

— Pyszne! — stwierdził Trevize i zamówił jeszcze raz to samo. Pelorat też.

Siedzieli teraz nad gąbczastym, o słodkawym smaku, deserem i kawą, która miała zapach karmelu. Pokręcili nieco głowami i dodali do niej syropu, na co z kolei kelner pokręcił głową.

— No więc, co się zdarzyło w centralnej informacji turystycznej? — spytał Pelorat.

— Myślisz o Comporze?

— A czy stało się coś jeszcze, o czym warto by było rozmawiać?

Trevize rozejrzał się. Siedzieli w głębokiej niszy, w pewnym odosobnieniu od reszty sali, ale w restauracji było tłoczno i naturalny w takiej sytuacji gwar doskonale zagłuszał ich rozmowę, chroniąc przed ewentualnym podsłuchem. Powiedział cicho:

— Czy to nie dziwne, że leciał za nami aż do Sayshell?

— Powiedział, że ma intuicyjną zdolność odgadywania kierunku, w którym leci jakiś statek.

— Tak, był uniwersyteckim mistrzem w tropieniu statków przez nadprzestrzeń. Aż do dzisiejszego dnia nie dziwiło mnie to. Rozumiem, że — jeśli się ma odpowiednie wrodzone zdolności — to na podstawie czyichś przygotowań do skoku można przewidzieć, gdzie się ten ktoś znajdzie po skoku, ale nie rozumiem, jak można przewidzieć całą serię skoków. Przygotowujesz się tylko przed pierwszym skokiem, pozostałe oblicza komputer. Tropiciel może przewidzieć ten pierwszy, ale za pomocą jakich czarów może odgadnąć, co obliczy komputer?

— Ale on to zrobił, Golan.

— Oczywiście, że zrobił — rzekł Trevize — i jedyne możliwe wytłumaczenie tego faktu jest takie, że z góry wiedział, gdzie chcemy lecieć. Że wiedział, a nie, że przewidział.

Pelorat zastanawiał się nad tym przez chwilę. — Nie, mój drogi, to zupełnie niemożliwe — powiedział w końcu. — Skąd mógłby o tym wiedzieć? O tym, dokąd lecimy, zdecydowaliśmy dopiero wtedy, kiedy byliśmy już na pokładzie „Odległej Gwiazdy".

— Wiem o tym… A ta historia z dniem medytacji?

— Compor nic kłamał, jeśli chodzi o to. Kelner przecież potwierdził, że dzisiaj jest dzień medytacji.

— Owszem, potwierdził, ale powiedział też, że restauracje nie są w tym dniu zamknięte. Dokładnie powiedział tak: „Nie jesteśmy jakąś zapadłą dziurą. Życie u nas nie zamiera". Mówiąc innymi słowy, mieszkańcy Sąyshell święcą co prawda dzień medytacji, ale nie dotyczy to wielkich miast, gdzie ludzie są bardziej światli i gdzie nie ma miejsca na małomiasteczkową pobożność. I dlatego na ulicach jest ruch. Może nie tak duży, jak w normalny dzień, ale jest.

— Jednak kiedy byliśmy w centralnej informacji turystycznej, nikt tam nie wszedł. Widziałem dobrze, że nikt nie wszedł.

— Ja też to zauważyłem. W pewnej chwili podszedłem nawet do okna, żeby się przekonać, czy na ulicach jest pusto. Wyjrzałem i stwierdziłem, że jest pełno pieszych i samochodów, ale mimo to nikt jakoś nie wszedł do budynku. Dzień medytacji był doskonałym wytłumaczeniem tego faktu. Nie przyszłoby nam do głowy zastanawiać się, jak to dziwnie szczęśliwie dla Compora złożyło się, że byliśmy z nim tam sami, gdybym nie postanowił mieć się na baczności i absolutnie mu nie ufać.

— No i o czym to wszystko ma świadczyć? — spytał Pelorat.

— Myślę, Janov, że to proste. Oto mamy tu kogoś, kto, mimo iż znajduje się w innym statku, od pierwszej chwili naszej podróży wie, dokąd lecimy. Dalej — mimo iż wokół budynku znajdują się ludzie — potrafił zadbać o to, żeby nikt do niego nie wszedł, żebyśmy mogli rozmawiać w pustej sali.

— Chcesz, żebym uwierzył, że on potrafi czynić cuda?

— Oczywiście. Jeśli tak się składa, że Compor jest agentem Drugiej Fundacji i potrafi wpływać na umysły innych ludzi, jeśli potrafi odczytać twoje i moje myśli, chociaż znajdujemy się w statku znacznie oddalonym od niego, jeśli potrafi tak wpłynąć na celników, że natychmiast przepuszczają jego statek, jeśli potrafi wylądować grawitacyjnie nie zatrzymywany przez żaden patrol z powodu pogwałcenia zasad ruchu i jeśli potrafi tak wpływać na umysły, że nikt nie wejdzie do budynku, kiedy on tego nie chce, to jak to nazwać?

Na wszystkie gwiazdy! — ciągnął dalej Trevize z wyraźną nutą żalu. — Teraz dopiero widzę, że tak samo było wtedy, kiedy

skończyliśmy studia. Nie poleciałem z nim w tę podróż. Pamiętam, że nie chciałem lecieć. Czy to nie on skłonił mnie do tego, że nie chciałem? Musiał być sam. Gdzie on wtedy naprawdę poleciał?

Pelorat odsunął od siebie naczynie, jak gdyby chciał mieć więcej miejsca, żeby spokojnie pomyśleć. Gest ten był chyba sygnałem dla robota, samoczynnie poruszającego się stolika, bo zjawił się zaraz koło nich i czekał aż ułożą na nim naczynia i sztućce.

Kiedy robot odjechał, Pelorat powiedział:

— To szalony pomysł. Nie zdarzyło się nic takiego, co nie mogłoby się zdarzyć zupełnie naturalnie. Kiedy wbijesz sobie do głowy, że ktoś kieruje zdarzeniami, to możesz wszystko interpretować w ten sposób i nigdzie nie znajdziesz żadnego zupełnie przekonującego, rozsądnego wyjaśnienia. Daj spokój, przyjacielu, to wszystko sprawa przypadku i można to różnie tłumaczyć. Nie pogrążaj się w paranoję.

— Ale nie mam też zamiaru pogrążać się w błogostanie.

— No dobrze, przeanalizujmy to logicznie. Załóżmy, że Compor jest agentem Drugiej Fundacji. Dlaczego miałby wzbraniać komuś wstępu do biura informacji, ryzykując w ten sposób, że wzbudzi w nas podejrzenia? Czy powiedział coś aż tak ważnego, że nie chciał, żeby było przy tym nawet parę osób znajdujących się w innym miejscu sali .i zajętych przecież swoimi własnymi sprawami?

— Odpowiedź na to jest prosta, Janov. Musiał śledzić reakcje naszych umysłów, więc nie chciał, żeby mu w tym przeszkadzały fale wytworzone przez mózgi innych osób. Nie życzył sobie żadnego pola statycznego. Chciał wyeliminować możliwość chaosu w przestrzeni psychicznej.

— To znowu tylko twoja interpretacja. O jakich to ważnych sprawach rozmawialiśmy z nim? Możemy przyjąć, że — jak sam mówił — spotkał się z nami tylko po to, żeby się wytłumaczyć z tego, co zrobił, przeprosić cię i przestrzec nas przed ewentualnymi kłopotami. To ma sens. Dlaczego mamy się w tym doszukiwać jakichś innych powodów?

Znajdujący się na drugim końcu stołu kasownik zamrugał dyskretnie i w jego okienku pojawiły się cyfry wskazujące rachunek za kolację. Trevize wsunął rękę za pas, szukający karty kredytowej, która — mając nadruk Fundacji — była respektowana w każdym miejscu Galaktyki, a w każdym razie w każdym miejscu, do którego mógł się udać obywatel Fundacji. Włożył ją w odpowiedni otwór. Opłacenie rachunku zajęło chwilę. Trevize (z charakterystyczną dla Fundacjonistów dokładnością w interesach) sprawdził resztę, zanim wsunął kartę z powrotem do kieszeni.

Rozejrzał się wokół z pozornym roztargnieniem, aby upewnić się, czy na twarzach kilku znajdujących się jeszcze w restauracji gości nie

widać niepożądanego zainteresowania jego osobą, a potem powiedział:

— Pytasz, dlaczego mamy się w tym doszukiwać jakichś innych powodów? Dlaczego? Dlatego, że mówił nie tylko o tym. Mówił też o Ziemi. Powiedział nam, że Ziemia jest martwa i bardzo nalegał, żebyśmy polecieli na Comporellon. No i co, polecimy?

— Zastanawiałem się nad tym, Golan — przyznał Pelorat.

— Po prostu odlecimy stąd?

— Możemy tu wrócić po sprawdzeniu sektora Syriusza.

— Nie przyszło ci do głowy, że jedynym powodem jego spotkania z nami było odciągnięcie nas od Sayshell i pozbycie się nas stąd? Że chodziło mu o to, żebyśmy polecieli gdziekolwiek, byleby tu nie zostawać?

— Dlaczego?

— Tego nie wiem. Zauważ, że spodziewali się, iż polecimy na Trantor. To było to, co ty chciałeś zrobić i możliwe, że liczyli na to. Tymczasem ja się wmieszałem i wszystko pokręciłem, upierając się, żebyśmy lecieli na Sayshell, a to jest ostatnia rzecz, jakiej sobie życzą, a więc teraz muszą się nas stąd pozbyć.

Pelorat miał wyraźnie nieszczęśliwą minę. — Ależ, Golan, to są czcze słowa. Dlaczego mieliby nie życzyć sobie nas na Sayshell?

— Nie wiem, Janov. Ale wystarczy, że nie chcą, żebyśmy tutaj byli. Ja zostaję. Nie mam zamiaru ruszać się stąd.

— Ale… ale… słuchaj, Golan, gdyby Druga Fundacja chciała, żebyśmy stąd odlecieli, to czy po prostu nie wpłynęłaby tak na nasze umysły, że sami chcielibyśmy stąd odlecieć? Dlaczego mieliby się wysilać, żeby nas do tego przekonać?

— Skoro sam podniosłeś tę sprawę… czy przypadkiem nie zrobili tak w twoim przypadku? — Trevize zmrużył podejrzliwie oczy. — Czy ty nie chcesz odlecieć?

Pelorat spojrzał ze zdziwieniem na Trevizego. — Po prostu myślę, że to nie jest takie głupie.

— Oczywiście tak właśnie byś myślał, gdyby wpłynęli na twój umysł.

— Ale nie…

— Oczywiście przysiągłbyś też, że nie wpłynęli, gdyby wpłynęli.

— To są twierdzenia bez pokrycia, ale jeśli dyskutujesz w ten sposób, to wszystkie moje argumenty zdadzą się na nic. Co zamierzasz zrobić?

— Zostanę na Sayshell. Ty też zostaniesz. Nie potrafisz sam pokierować statkiem, więc jeśli Compor wpłynął na twój umysł, to wybrał nie ten umysł, który trzeba.

— Bardzo dobrze. Pozostaniemy na Sayshell dopóki nie będziemy mieli innych powodów, żeby stąd odlecieć. W końcu najgorsze, co

możemy zrobić, znacznie gorsze od pozostania tu czy odlecenia stąd, to pokłócić się. No, stary, powiedz, czy gdybym był pod wpływem Drugiej Fundacji, to byłbym w stanie rozmyślić się i bez żalu zostać z tobą? Bo właśnie mam zamiar to zrobić.

Trevize zastanawiał się przez chwilę, a potem jak gdyby otrząsnął się, uśmiechnął i wyciągnął dłoń:

— Zgoda, Janov. Teraz wracajmy na statek, a jutro znowu wybierzemy się na poszukiwania… Jeśli zdołamy obmyśleć jakiś plan.

47.

Munn Li Compor nie pamiętał, kiedy został zwerbowany. Po pierwsze był wtedy dzieckiem, a po drugie agenci Drugiej Fundacji starali się zacierać ślady tak dokładnie, jak to tylko było możliwe.

Compor był „obserwatorem" i było to od razu jasne dla każdego członka Drugiej Fundacji, który się z nim zetknął.

Oznaczało to, że Compor był obeznany z mentalistyką i mógł się w pewnej mierze porozumiewać z członkami Drugiej Fundacji w charakterystyczny dla nich sposób, ale też to, że znajdował się na najniższym szczeblu w hierarchii społeczeństwa Drugiej Fundacji. Potrafił czytać w myślach, ale nie potrafił kierować nimi. Nigdy nie osiągnął takiego poziomu edukacji. Był obserwatorem, a nie manipulatorem.

Jego rola była zatem drugorzędna, ale nie przejmował się tym za bardzo. Znał swoje miejsce.

W pierwszych stuleciach swego istnienia Druga Fundacja nie doceniała ogromu stojącego przed nią zadania. Myślała, że garstka jej członków może kontrolować całą Galaktykę i że dla właściwego funkcjonowania Planu Seldona wystarczy tylko od czasu do czasu wprowadzić zupełnie minimalną korektę.

Muł pozbawił ich tych iluzji. Pojawił się nagle znikąd, wziął Drugą Fundację (i oczywiście Pierwszą, ale to nie miało znaczenia) przez zaskoczenie i spowodował, że stali się zupełnie bezradni. Przygotowanie kontrataku zajęło im całe pięć lat, a i tak operacja ta pochłonęła wiele ofiar.

Doszli do siebie dopiero za czasów i za sprawą Palvera, choć i tym razem nie obyło się bez znacznych strat. Ostatecznie jednak podjęli odpowiednie kroki, aby nie dopuścić do takiej sytuacji w przyszłości. Palver zadecydował, że trzeba znacznie rozszerzyć działalność Drugiej Fundacji, minimalizując jednak możliwości jej wykrycia, i powołał do życia korpus obserwatorów.

Compor nie wiedział ilu obserwatorów jest w Galaktyce, a nawet ilu jest ich na Terminusie: To nie była jego sprawa. Między obserwatorami nie powinno być żadnych wykrywalnych związków, aby ewentualna wpadka jednego z nich nie pociągnęła za sobą wpadki drugiego. Wszyscy obserwatorzy kontaktowali się bezpośrednio tylko ze swymi zwierzchnikami na Trantorze.

Marzeniem i ambicją Compora było znaleźć się kiedyś na Trantorze. Zdawał sobie sprawę, że jest to bardzo mało prawdopodobne, wiedział jednak, że zdarzało się niekiedy, że ktoś z obserwatorów był wzywany na Trantor i awansował. Były to jednak rzadkie przypadki. Cechy, dzięki którym można było być dobrym

obserwatorem, nie były jednak cechami, które kwalifikowałyby kogoś do Stołu Mówców.

Na przykład taki Gendibal był cztery lata młodszy od Compora. Musiał zostać, podobnie jak Compor, zwerbowany kiedy jeszcze był chłopcem, ale jego zabrano od razu na Trantor i teraz był już Mówcą. Compor nie miał żadnych wątpliwości co do tego, dlaczego tak się stało. Ostatnio często kontaktował się z Gendibalem i przekonał się o sile jego umysłu. Nie mógłby mu stawić oporu nawet przez sekundę.

Compor niezbyt często miał okazję, żeby odczuć swą niską pozycję. W końcu („tak jak w przypadku innych obserwatorów" myślał) pozycja ta była niska tylko wtedy, kiedy oceniało się ją według kryteriów przyjętych na Trantorze. Na swoich ojczystych planetach, żyjąc w normalnych, niementalistycznych społecznościach, obserwatorzy łatwo osiągali wysokie pozycje i stanowiska.

Compor, na przykład, nigdy nie miał problemów z dostaniem się do dobrej szkoły czy do dobrego towarzystwa. Potrafił w prosty sposób skorzystać ze swej znajomości mentalistyki, aby wzmóc swą naturalną intuicję (był pewien, że to właśnie dzięki tej wrodzonej zdolności został zwerbowany przez Drugą Fundację) i stać się asem gonitw w nadprzestrzeni. Już na uniwersytecie był gwiazdą tego sportu i dzięki temu wspiął się na pierwszy szczebel kariery politycznej. Nie można nawet przewidzieć, jak wysoko zajdzie kiedy zakończy się obecny kryzys.

Jeśli kryzys zakończy się szczęśliwie, a nie wątpił, że tak się stanie, to czy będą pamiętać, że to on właśnie, Compor, pierwszy właściwie ocenił Trevizego nie jako człowieka (bo to w końcu mógłby zrobić każdy), ale jako umysł?

Poznał Trevizego na uniwersytecie i początkowo widział w nim tylko wesołego i bystrego kompana. Jednak pewnego ranka, budząc się ze snu, poczuł w strumieniu podświadomości, który towarzyszył temu nieokreślonemu stanowi pół — snu, pół — jawy, żal, że Trevize nie został zwerbowany.

Trevize oczywiście nie mógł zostać zwerbowany, ponieważ był rodowitym Terminusczykiem, a nie, jak Compor, potomkiem rodu z innej planety. A zresztą i tak było już na to za późno. Tylko zupełnie młode osoby, dzieci, mają wystarczająco plastyczne umysły, aby można je było poddać kształceniu mentalistycznemu.

Żmudne wprowadzanie zasad tej sztuki — bo było to coś więcej niż nauka — do umysłów dorosłych, okrzepłych w nawykach i poruszających się utartymi koleinami, było konieczne tylko przez pierwsze dwa pokolenia po Seldonie.

Ale skoro Trevize nie mógł zostać zwerbowany z powodu pewnych, obowiązujących w Drugiej Fundacji zasad, a poza tym i tak już dawno przekroczył wiek, w którym można by go było zwerbować,

to dlaczego Compor tak się tym przejął?

Otóż przy następnym spotkaniu z Trevizem Compor zagłębił się w jego umysł i odkrył to, co musiało go zaniepokoić na początku. Umysł Trevizego charakteryzował się cechami zupełnie nie pasującymi do reguł, których nauczono Compora. Po prostu wymykał się mu. Śledząc pracę jego mózgu, Compor odkrył luki… nie, właściwie to nie były luki, raczej miejsca, gdzie nic nie było. Były to miejsca, w których zupełnie nie można było prześledzić myśli Trevizego. Po prostu Compor nie był w stanie przeniknąć tak głęboko.

Compor nie potrafił określić, co to znaczy, ale zaczął uważnie analizować zachowanie Trevizego w świetle tego, co odkrył i nabrał podejrzenia, że Trevize ma niesamowitą zdolność wyciągania trafnych wniosków z danych, które wydawały się dalece niekompletne.

Czy miało to coś wspólnego z owymi lukami? Z pewnością był to problem, którego rozwiązanie przekraczała jego siły i wymagało zaangażowania wybitnych mentalistów, może nawet samego Stołu.

Compor miał przykre uczucie, że Trevize sarn nie w pełni zdaje sobie sprawę ze swych niezwykłych umiejętności podejmowania trafnych decyzji i że może jest nawet w stanie zrobić…

Co zrobić? Wiedza Compora w tym zakresie była niewystarczająca. Prawie dostrzegał znaczenie zdolności, które posiadał Trevize, ale nie potrafił tego dokładnie określić. Domyślał się intuicyjnie, a może raczej odgadywał, że Trevize może potencjalnie być osobą o nadzwyczajnym znaczeniu.

Musiał założyć, że tak właśnie jest i zaryzykować, że może to być przez Stół pocz} tane jako dowód, że nie nadaje się na swoje stanowisko. Ale w końcu, gdyby okazało się, że ma rację…

Teraz, spoglądając wstecz, sam nie wiedział, skąd wziął odwagę, aby trwać przy swym postanowieniu. Nie mógł się przebić przez administracyjne bariery odgradzające Stół od takich jak on. Już prawie pogodził się z myślą, że będzie miał nadszarpniętą reputację. W końcu zrobił rozpaczliwy krok i zwrócił się do najmłodszego członka Stołu. Stor Gendibal odpowiedział na jego wezwanie.

Gendibal wysłuchał go cierpliwie i od tamtej pory utrzymywał z nim specjalne stosunki. To Gendibal polecił mu kontynuować przyjaźń z Trevizem i udzielił wskazówek, jak ma zaaranżować sytuację, która doprowadziła do skazania Trevizego na wygnanie. I właśnie za pośrednictwem Gendibala Compor mógł (zaczynał mieć taką nadzieję) zrealizować swoje marzenie i dostać awans na Trantorze.

Jednak wszystkie przygotowania biegły w tym kierunku, aby ściągnąć Trevizego na Trantor. Jego odmowa udania się tam zupełnie zaskoczyła Compora i — jak myślał — także Gendibal nie przewidział takiego obrotu rzeczy.

W każdym razie Gendibal miał przybyć na miejsce i dla Compora

oznaczało to, że kryzys jest znacznie głębszy, niż przypuszczał.

Compor wysłał swój sygnał przez nadprzestrzeń.

48.

Gendibala wyrwało ze snu lekkie muśnięcie czyjejś myśli. Nie było to przykre, choć wywarło odpowiedni skutek. Został muśnięty ośrodek dyspozycji snu, więc po prostu Gendibal się przebudził.

Siadł na łóżku. Zsunęło się prześcieradło, którym był okryty, ukazując dobrze zbudowane ciało. Od razu rozpoznał to muśnięcie. Różnice między myślowymi dotykami poszczególnych osób były dla mentalistów równie wyraźne jak różnice głosów dla tych, którzy porozumiewali się głównie za pomocą słów.

Gendibal wysłał normalny sygnał potwierdzający odbiór i spytał, czy może się nieco spóźnić. W odpowiedzi usłyszał, że nic nie nagli. A zatem, bez zbytniego pośpiechu, zabrał się do zwykłych czynności porannych. Był jeszcze pod prysznicem (zużyta woda poddawana była procesowi powtórnego uzdatniania), kiedy znowu nawiązał kontakt.

— Compor?

— Słucham, Mówco.

— Rozmawiałeś z Trevizem i tym drugim.

— Z Peloratem. Z Janovem Peloratem. Tak.

— Dobrze. Poczekaj jeszcze pięć minut, to ustanowię kontakt wzrokowy. Idąc do sterowni, minął Surę Novi. Spojrzała na niego pytająco i zrobiła taki ruch, jakby chciała coś powiedzieć, ale położył palec na ustach i od razu wycofała się. Gendibal wciąż jeszcze czuł się nieco skrępowany intensywną mieszanką adoracji i szacunku, którą widział w jej umyśle, ale powoli zaczynał się do tego przyzwyczajać jak do czegoś normalnego, a nawet sprawiało mu to pewną przyjemność.

Połączył jedną z wypustek swego umysłu z jej umysłem i nie sposób było teraz wpłynąć na nią, nie alarmując go od razu. Prostota jej umysłu (Gendibal nic mógł się oprzeć myśli, że kontemplacja prostej, szlachetnej symetrii jej mózgu była wspaniałym przeżyciem estetycznym) sprawiała, że było niemożliwe, aby pojawiło się w ich pobliżu jakieś obce pole myślowe i pozostało niewykryte. Poczuł nagły przypływ radości, że kiedy tak stał z nią wtedy przed bramą uniwersytetu, zrodził się w nim szlachetny odruch, który doprowadził niespodziewanie do tego, iż zjawiła się akurat w momencie, kiedy mogła być bardzo przydatna.

— Compor? — rzekł.

— Tak, Mówco.

— Odpręż się, proszę. Muszę zbadać twój umysł. Nie obrażaj się.

— Jak sobie życzysz, Mówco. Czy mogę wiedzieć w jakim celu?

— Aby upewnić się, czy nie zostałeś przez kogoś odmieniony.

— Wiem, Mówco, że masz przeciwników wśród członków Stołu

— powiedział Compor — ale na pewno nikt z nich…

— Nie spekuluj, Compor. Odpręż się… Tak, jesteś nietknięty. Teraz, jeśli mi pomożesz, nawiążemy kontakt wzrokowy.

To, co potem nastąpiło, było iluzją w dosłownym znaczeniu tego terminu, bo nikt poza dysponującym siłą mentalną i do tego dobrze wyszkolonym członkiem Drugiej Fundacji nie byłby w stanie nic wyśledzić, i to nie tylko korzystając z własnych zmysłów, ale nawet posługując się urządzeniami do wykrywania.

Było to budowanie obrazu twarzy z konturów umysłu i nawet najlepszy mentalista nie potrafił stworzyć nic więcej poza mglistą J nieco nieokreśloną postacią. Gendibal ujrzał przed sobą, jakby zawieszoną w przestrzeni, twarz Compora. Oglądał ją jak przez falującą cienką warstwę gazy i wiedział, że jego własna twarz pojawiła się dokładnie w taki sam sposób przed Comporem.

Można było ustanowić łączność fizyczną, przez nadprzestrzeń, i wówczas obraz byłby tak wyraźny, że rozmówcy oddaleni od siebie o tysiące parseków widzieliby się tak dokładnie, jak gdyby stali twarzą w twarz. Statek Gendibala był wyposażony w odpowiednią do tego aparaturę.

Jednak wizja mentalistyczna miała swoje zalety. Podstawowa zaleta polegała na tym, że obrazu tego nie można było przechwycić za pomocą żadnych znanych Pierwszej Fundacji urządzeń. Zresztą, jeśli już o tym mowa, nie mógł go uchwycić także inny członek Drugiej Fundacji. Można było, co prawda, śledzić wymianę myśli, ale subtelne zmiany wyrazu twarzy, które były istotną cechą tego rodzaju komunikacji, pozostawały ukryte.

A jeśli chodzi o anty — Mułów… Czysty obraz umysłu Novi był najlepszym dowodem, że żadnego z nich nie było w pobliżu.

— Compor, zrelacjonuj mi dokładnie rozmowę, którą przeprowadziłeś z Trevizem i tym Peloratem. Z dokładnością do stanu umysłu — rzekł Gendibal.

— Oczywiście, Mówco — powiedział Compor.

Nie zajęło to dużo czasu. Połączenie dźwięku, wyrazu twarzy i myśli skondensowało całą rozmowę, mimo iż na poziomie umysłu było o wiele więcej do powiedzenia niż gdyby relacja ta ograniczała się tylko do przekazania słów.

Gendibal patrzył w skupieniu. W wizji mentalistycznej nie było zbędnych szczegółów, a jeśli nawet, to niewiele. W normalnym przekazie obrazu, a nawet w przekazie przez nadprzestrzeń, widziało się więcej podczas przekazu informacji niż to było absolutnie niezbędne dla ich zrozumienia, w związku z czym można było coś przeoczyć bez obawy.

Natomiast w przypadku wizji mentalistycznej zyskiwało się absolutną pewność, że informacje przekazywane tą drogą nie dotrą do

nikogo niepowołanego, ale w zamian trzeba było skoncentrować całą uwagę, aby nie uronić nic z przekazu. Każdy szczegół był istotny.

Na Trantorze instruktorzy przekazywali uczniom opowieści grozy, opowieści, które miały im uświadomić jak ważna jest koncentracja. Ta, która była najczęściej powtarzana, była najmniej wiarygodna. Była to opowieść o pierwszym raporcie o podbojach Muła, wysłanym zanim jeszcze zajął on Kalgan.

Otóż urzędnik, który otrzymał raport, miał wrażenie, że chodzi tylko o jakieś zwierzę podobne do konia, ponieważ nie zauważył albo nie zrozumiał lekkiego ruchu ręki, który znaczył „nazwisko". Zdecydował zatem, że jest to kwestia zbyt małej wagi, aby przekazywać ją na Trantor. Kiedy nadszedł następny raport, było już za późno, żeby podjąć przeciwdziałania i ta chwila nieuwagi kosztowała Drugą Fundację pięć lat ciężkich zmagań.

Było prawie pewne, że zdarzenie to nigdy nie miało miejsca, ale było to nieistotne. Ta dramatyczna opowieść miała po prostu skłonić uczniów do intensywnej koncentracji na przekazie, który otrzymywali. Gendibal dobrze pamiętał, jak jemu samemu zdarzyło się w czasie nauki popełnić w odbiorze błąd, który wydawał mu się minimalny i absolutnie bez znaczenia. Jego nauczyciel, stary Kendast, tyran do samych korzeni móżdżka, uśmiechnął się tylko szyderczo i powiedział „Zwierzę podobne do konia, co, gołowąsie?" i co wystarczyło, żeby Gendibal zatrząsł się ze wstydu.

Compor skończył.

— Podaj mi, proszę, swoją ocenę reakcji Trevizego — rzekł Gendibal. — Znasz go lepiej niż ja, lepiej niż ktokolwiek inny.

— To było zupełnie jasne — odparł Compor. — Reakcje jego umysłu były jednoznaczne. Uważa, że to, co robiłem i mówiłem, świadczyło o tym, że usilnie pragnę, aby poleciał na Trantor, czy do sektora Syriusza, czy gdziekolwiek, byle nie tam, gdzie się faktycznie wybiera. Moim zdaniem, znaczy to, że zostanie tam, gdzie jest. Krótko mówiąc, fakt, że przywiązywałem tak wielkie znaczenie do tego, żeby zmienił miejsce, spowodował, że on te ż zaczął do tego przywiązywać duże znaczenie, a ponieważ uważa, że jego interesy różnią się diametralnie od moich, będzie rozmyślnie postępował na przekór temu, czego — jak uważa — ja pragnę.

— Jesteś tego pewien?

— Zupełnie pewien.

Gendibal zastanawiał się nad tym przez chwilę i doszedł do przekonania, że Compor ma rację. — Jestem z ciebie zadowolony — powiedział. — Wykazałeś się dobrą robotą. Twoja opowieść o radioaktywnej zagładzie Ziemi została zręcznie przygotowana i wywołała właściwą reakcję bez potrzeby uciekania się do bezpośredniej ingerencji w jego umysł. Zasłużyłeś na pochwałę!

Przez krótką chwilę Compor wydawał się prowadzić wewnętrzne zmagania. — Mówco — powiedział w końcu — nie zasłużyłem na tę pochwałę. Nie wymyśliłem tej opowieści. Jest ona prawdziwa. W sektorze Syriusza jest naprawdę planeta zwana Ziemią i naprawdę uważa się, że ona była kolebką ludzkości. Była radioaktywna albo od początku, albo potem taką się stała i stopień napromieniowania stale się zwiększał, aż zamarło na niej życie. Ten wynalazek, który miał potęgować możliwości mózgu i z którego ostatecznie nic nie wyszło, to też prawda. Na planecie, z której pochodzili moi przodkowie, uważa się to wszystko za fakty historyczne.

— Naprawdę? To interesujące — powiedział Gendibal bez widocznego przekonania. — To nawet lepiej. Temu, kto wie, kiedy wystarczy szczera prawda, należą się wyrazy uznania, bo żadnej nieprawdy nie można przekazać z takim szczerym przekonaniem jak prawdy. Palver powiedział kiedyś „Kłamstwo jest tym lepsze, im jest bliższe prawdy, a sama prawda, jeśli można z niej skorzystać, jest najlepszym kłamstwem".

— Muszę powiedzieć jeszcze jedno — rzekł Compor. — Wypełniając twoje instrukcje i starając się zatrzymać Trevizego w sektorze Sayshell do czasu twojego przybycia — za wszelką cenę, jak powiedziałeś — posunąłem się tak daleko, że jest teraz dla mnie oczywiste, że podejrzewa mnie, iż jestem pod wpływem Drugiej Fundacji.

Gendibal skinął głową. — To, myślę, jest w tych okolicznościach nieuniknione. Jego obsesja na naszym punkcie sprawia, że widzi Drugą Fundację nawet tam, gdzie jej nie ma. Po prostu musimy się z tym liczyć.

— Mówco, jeśli jest absolutnie konieczne, żeby Trevize pozostał tam, gdzie jest aż do czasu twego przybycia, to uprościłoby sprawę, gdybym wyleciał na twoje spotkanie, wziął cię na mój statek i przywiózł tutaj. To nie zajęłoby nawet jednego dnia…

— Nie, Obserwatorze — uciął ostro Gendibal. — Nie zrobisz tego. Na Terminusie wiedzą, gdzie jesteś. Masz na pokładzie nadajnik nadprzestrzenny, którego nie możesz usunąć, prawda?

— Tak, Mówco.

— A jeśli Terminus wie, że wylądowałeś na Sayshell, to wie też o tym jego ambasador na Sayshell… i wie też, że wylądował tam Trevize. Ten nadajnik nadprzestrzenny na twoim statku poinformuje tych na Terminusie, że udałeś się w pewne miejsce odległe o wiele parseków od Sayshell i wróciłeś z powrotem, a ambasador przekaże im, że Trevize pozostał tymczasem w sektorze. Na podstawie tego mogą się czegoś domyśleć. Burmistrz Terminusa, wszystko na to wskazuje, to bystra kobieta i zaniepokoić ją jakimś zagadkowym twoim posunięciem byłoby głupotą z naszej strony. Nie chcę, żeby

wylądowała nam tu na karku ze swoją flotą. A prawdopodobieństwo tego jest w każdym razie niepokojąco duże.

— Za pozwoleniem, Mówco… — rzekł Compor. — Dlaczego mamy się obawiać floty, kiedy możemy poddać naszej kontroli jej dowódcę?

— Nawet jeśli powody do obawy są minimalne, to będą jeszcze mniejsze, kiedy nie będzie tu tej floty. Zostań, gdzie jesteś, Obserwatorze. Kiedy do ciebie dotrę, to przejdę na twój statek i wtedy…

— Co wtedy, Mówco?

— No jak to co, wtedy ja przejmę dowództwo.

49.

Gendibal nie ruszył się z miejsca po zakończeniu seansu łączności. Siedział tam wiele minut i rozmyślał.

Podczas tej długiej podróży na Sayshell, długiej, bo jego statek absolutnie nie mógł się równać z technicznie o wiele bardziej zaawansowanymi produktami Pierwszej Fundacji, przestudiował dokładnie wszystkie raporty o Trevizem. Obejmowały one okres blisko dziesięciu lat.

Zawarte w nich informacje, szczególnie w świetle ostatnich wydarzeń, nie pozostawiały żadnej wątpliwości, że Trevize byłby wspaniałym nabytkiem dla Drugiej Fundacji, gdyby nie przestrzegano skrupulatnie obowiązującej od czasów Palvera zasady, że nigdy nie rekrutuje się ludzi urodzonych na Terminusie.

Nie sposób było powiedzieć, ilu potencjalnych kandydatów najwyższej klasy zostało bezpowrotnie straconych dla Drugiej Fundacji przez tych kilkaset lat jej istnienia. Nie sposób było oceniać przydatności każdego z trylionów ludzi zamieszkujących Galaktykę. Jednak na pewno żaden z nich nie posiadał większych zdolności niż Trevize i z pewnością żaden nie mógłby być w bardziej newralgicznym punkcie.

Gendibal lekko potrząsnął głową. Trevize nie powinien był zostać przeoczony, bez względu na to, czy urodził się na Terminusie gzy nie… I Obserwatorowi Comporowi należy się uznanie za to, że dostrzegł to, mimo iż lata zniekształciły nieco osobliwe cechy umysłu Trevizego.

Oczywiście teraz Trevize nie nadawał się już dla nich. Był za stary na to, aby można było właściwie ukształtować jego umysł, ale nadal posiadał ową wrodzoną intuicję, ową zdolność znajdowania trafnego rozwiązania problemu na podstawie absolutnie niedokładnych informacji i coś… coś…

Stary Shandess, który — mimo iż miał już swe najlepsze lata za sobą — był Pierwszym Mówcą i, ogólnie biorąc, dobrze wywiązywał się ze swych obowiązków, też coś w Trevizem dostrzegł, chociaż nie dysponował odpowiednimi danymi i analizą, którą Gendibal zrobił podczas swej podróży. Trevize był, zdaniem Shandessa, kluczem do rozwiązania obecnego kryzysu.

Ale dlaczego Trevize znalazł się na Sayshell? Co planował? Co miał zamiar zrobić?

Nie wolno było nawet tknąć jego umysłu! Tego Gendibal był pewien. Dopóki nie było dokładnie wiadomo, jaką rolę gra w tym wszystkim, byłoby karygodnym błędem próbować nim manipulować. Ponieważ sprawa wiązała się z anty — Mułami, kimkolwiek byli czy

czymkolwiek mogli być, jakiekolwiek niewłaściwe posunięcie w stosunku do Trevizego (przede wszystkim do Trevizego) mogło sprawić, że zupełnie niespodziewanie eksplodowałoby im prosto w twarz jakieś miniaturowe słońce.

Wyczuł, że wokół jego umysłu krąży jakiś inny umysł i bezwiednie trzepnął go, jakby ogarniał się od jakiegoś dokuczliwego owada trantorskiego, choć zrobił to oczywiście myślą, nie ręką. Natychmiast odczuł dochodzącą z tamtej strony falę bólu i podniósł głowę.

Sura Novi pocierała dłonią swe gęste brwi. — Przepraszam, panie, nagle rozbolała mnie głowa — powiedziała.

Gendibalowi natychmiast zrobiło się jej żal. — Przepraszam, Novi. Nie myślałem… a raczej myślałem zbyt intensywnie. — Szybko i delikatnie wygładził — zmierzwione wici jej umysłu.

Novi uśmiechnęła się nagle radośnie. — Przeszło już. Miły dźwięk twoich słów, panie, dobrze działa na mnie.

— Dobrze — rzekł Gendibal. — Czy coś się stało? Dlaczego tu przyszłaś? — Powstrzymał się przed wkroczeniem w jej myśli i zbadaniem samemu o co chodzi. Z upływem czasu czuł coraz większą niechęć do naruszania jej prywatności.

Novi zawahała się. Pochyliła się lekko w jego stronę. — Przestraszyłam się. Patrzyłeś, panie, w puste miejsce i coś mruczałeś, i twoja twarz się kurczyła. Stałam tam cała sztywna ze strachu, że jesteś chory… i nie wiedziałam co robić.

— To nic takiego, Novi. Nie bój się — pogładził jej dłoń. — Nie ma powodu do obaw. Rozumiesz?

Obawa, czy jakieś inne silne uczucie, nieco zepsuło symetrię jej umysłu. Wolał, gdy umysł jej był spokojny, łagodny i szczęśliwy, ale nie mógł zdecydować się na przywrócenie go do stanu pierwotnego przez wpływ z zewnątrz. Jego wcześniejszą ingerencję wzięła za skutek działania jego słów i wydawało mu się, że woli, żeby tak było.

— Novi, dlaczego nie chcesz, żebym mówił do ciebie Sura? — spytał.

Spojrzała na niego nagle posmutniałym wzrokiem. — Och nie, panie, nie mów tak.

— Ale Rufirant odzywał się tak do ciebie tego dnia, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy. Teraz znam cię już dość dobrze…

— Wiem dobrze, panie, że się tak odzywał. Tak mówi mężczyzna do dziewczyny, która nie ma mężczyzny, która nie jest zaręczona, która… nie jest zupełna. Wtedy mówi się do niej po imieniu. To dla mnie większy zaszczyt, kiedy mówisz, panie, „Novi” i jestem dumna, że tak mówisz. I chociaż nie mam teraz mężczyzny, to mam pana i jestem zadowolona. Mam nadzieję, że nie obrazisz się, panie, za to, że chcę, żebyś mówił „Novi”.

— Oczywiście, że nie, Novi.

W odpowiedzi na to jej umysł ponownie odzyskał swą piękną gładkość. Sprawiało to Gendibalowi przyjemność. Aż za dużą. Czy powinien odczuwać aż taką przyjemność?

Przypomniał sobie z pewnym zawstydzeniem, że podobno w taki sam sposób wpłynęła na Muła ta kobieta z Pierwszej Fundacji, Bayta Darell, i to na jego zgubę.

Oczywiście on był w innej sytuacji. Ta chłopka była jego tarczą chroniącą go przed obcymi umysłami i chciał, żeby służyła temu celowi jak najlepiej.

Nie, to nieprawda. Skompromitowałby się jako Mówca, gdyby przestał rozumieć swój własny umysł albo gdyby, co gorsza, celowo źle interpretował własne myśli, aby ukryć przed sobą samym prawdę. A prawda była taka, że sprawiało mu przyjemność, kiedy była cicha, spokojna i szczęśliwa sama z siebie, bez jego ingerencji, i że sprawiało mu to przyjemność po prostu dlatego, że ją lubił i (pomyślał wyzywająco) nie było w tym nic złego.

— Usiądź, Novi — powiedział.

Usiadła, balansując niebezpiecznie na. brzeżku krzesła i trzymając się w takiej odległości, na jaką pozwalały ograniczone rozmiary kabiny. Jej umysł przepełniał szacunek.

— Kiedy widziałaś, jak coś mruczę, Novi — powiedział — rozmawiałem na dużą odległość, sposobem badaczy.

Novi odparła ze smutkiem, spuszczając oczy:

— Tak, panie, teraz wiem, że w sposobach badawców jest wiele rzeczy, których nie rozumiem i nie mogę sobie wyobrazić. To trudna sztuka. Wstyd mi, panie, że przyszłam do ciebie, żebyś zrobił ze mnie badawcę. Jak to się stało, że mnie nie wyśmiałeś?

— To nie wstyd mieć wyższe aspiracje, nawet jeśli ich realizacja jest niemożliwa. Masz już za dużo lat, żebym mógł zrobić z ciebie badacza w moim stylu, ale nie jesteś za stara na to, żeby nauczyć się nowych rzeczy i opanować nowe umiejętności. Opowiem ci trochę o tym statku. Zanim dotrzemy do celu naszej podróży, będziesz już wiedziała dość dużo o nim.

Był zachwycony swoim pomysłem. Bo niby dlaczego nie miałby tego zrobić? Zupełnie rozmyślnie odrzucał stereotypowe wyobrażenia o Tutejszych. W końcu jakie prawo miała heterogeniczna społeczność Drugiej Fundacji do tworzenia takich stereotypów? Dzieci pochodzące z ich małżeństw bardzo rzadko nadawały się na stanowiska piastowane przez rodziców. Dzieci Mówców prawie nigdy nie miały cech kwalifikujących je na Mówców. Co prawda trzysta lat temu zdarzyło się, że trzy kolejne pokolenia Linguesterów sprawowały tę funkcję, ale podejrzewano, że drugi z nich nie nadawał się do tego. A jeśli tak było w — istocie, to jakie podstawy mieli ludzie z

uniwersytetu, żeby stawiać się na piedestale? Widział, że oczy Novi rozbłysły i sprawiło mu to przyjemność.

— Będę się pilnie starała nauczyć wszystkiego, panie — powiedziała.

— Jestem pewien, że będziesz się starała — powiedział i zawahał się. Uświadomił sobie, że podczas rozmowy z Comporem w ogóle nie wspomniał, że nie jest sam. Niczym nie zasygnalizował mu, że ma towarzyszkę.

To, że jest z kobietą, będzie, być może, zrozumiałe, a przynajmniej Compor na pewno nie będzie tym zaskoczony. Ale że tą kobietą jest chłopka Trantorska?

Na chwilę, mimo jego usilnych starań, stereotyp wziął jednak górę i Gendibal pomyślał z ulgą, że na szczęście Compor nigdy nie był na Trantorze i nie zorientuje się, że Novi jest Tutejszą.

Otrząsnął się. To, czy Compor — czy ktokolwiek inny — wie o tym, czy nie, nie ma znaczenia. W końcu on, Gendibal, jest Mówcą z Drugiej Fundacji i może robić, co zechce, byleby trzymał się ram Planu Seldona. Nikomu nic do tego, co robi, dopóki nie wyłamuje się z reguł ustalonych przez Seldona.

— Panie, czy rozstaniemy się, kiedy już dotrzemy do celu? — spytała Novi.

Spojrzał na nią i powiedział, z większym chyba naciskiem, niż zamierzał:

— Nie rozstaniemy się, Novi.

Uśmiechnęła się nieśmiało i z tym uśmiechem wyglądała jak każda inna kobieta.

Rozdział XIII
UNIWERSYTET

50.

Pelorat zmarszczył nos i skrzywił się, kiedy weszli z Trevizem na pokład „Odległej Gwiazdy".

Trevize zauważył to i wzruszył ramionami. — Ciało ludzkie wydziela mnóstwo nieprzyjemnych zapachów — powiedział. — Aparatura odświeżająca prawie nigdy nie usuwa ich natychmiast, a sztuczne zapachy też nie zastępują tych, które wydzielamy, ale po prostu nakładają się na nie.

— Przypuszczam, że wśród statków, na których przez pewien czas przebywali różni ludzie, nie znajdzie się dwóch o dokładnie takim samym zapachu.

— Zgadza się, ale powiedz mi lepiej, czy godzinę po wyjściu ze statku czułeś jeszcze zapach Sayshell?

— Nie — przyznał Pelorat.

— No widzisz. Niedługo przestaniesz też zwracać uwagę na zapach, który mamy tutaj. Prawdę mówiąc, jeśli przez dłuższy czas mieszka się na jakimś statku, to po powrocie na ten statek wita się ten zapach jak zapach własnego domu. Przy okazji, Janov… jeśli po tej podróży staniesz się kosmicznym obieżyświatem, to musisz zapamiętać, że mówienie o zapachu jakiegokolwiek statku czy świata w obecności tych, którzy na tym statku czy świecie mieszkają, jest wielkim nietaktem. Oczywiście między sobą możemy o tym rozmawiać.

— Szczerze mówiąc, Golan, ja naprawdę, choć to może być śmieszne, traktuję „Odległą Gwiazdę" jak nasz dom. Przynajmniej została zbudowana w Fundacji. — Uśmiechnął się. — Wiesz, nigdy nie uważałem się za patriotę. Chcę myśleć, że moim narodem jest cała ludzkość, ale muszę wyznać, że teraz, kiedy jestem daleko od Fundacji, czuję do niej miłość.

Trevize szykował łóżko do spania. — Nie jesteś wcale tak daleko od Fundacji, jak myślisz. Związek Sayshellski jest prawie ze wszystkich stron otoczony światami należącymi do Federacji. Mamy tu swojego ambasadora i wielu innych przedstawicieli, od konsuli w dół. Sayshellczycy nie przepuszczą żadnej okazji, żeby nam się słownie przeciwstawić, ale bardzo uważają, żeby nie robić niczego, co mogłoby wywołać nasze niezadowolenie… Kładź się spać, Janov. Nie udało nam się dzisiaj znaleźć nic ciekawego, więc jutro musimy się ostro zabrać do roboty.

Jednak w każdej z kabin, w których spali, słychać było dobrze, co się dzieje w drugiej, więc Pelorat, przewracając się bezsennie na łóżku, w końcu odezwał się niezbyt głośno:

— Golan…

— Tak?

— Nie śpisz?

— Jak mogę spać, kiedy gadasz?

— Jednak coś dzisiaj znaleźliśmy. Twój przyjaciel, Compor…

— Były przyjaciel — warknął Trevize.

— Nieważne. Otóż opowiadał nam o Ziemi i powiedział coś, z czym nie zetknąłem się w swoich dotychczasowych badaniach. Chodzi o radioaktywność.

Trevize uniósł się na łokciu. — Posłuchaj, Janov. Nawet jeśli Ziemia jest naprawdę martwa, to nie znaczy to wcale, że pakujemy się i wracamy do domu. Chcę znaleźć Gaje.

Pelorat wydał taki dźwięk, jakby coś zdmuchiwał z kołdry. — Ależ, oczywiście, przyjacielu. Ja też chcę. Zresztą nie sądzę, że Ziemia jest martwa. Compor mógł być nawet przekonany, że mówi nam szczerą prawdę, ale nie ma chyba w Galaktyce takiego sektora, w którym nie krążyłyby opowieści, że kolebka ludzkości znajdowała się na jakimś świecie właśnie w tym sektorze. I prawie zawsze taki świat nosi nazwę „Ziemia" albo jakąś inną o zbliżonym znaczeniu.

W antropologii nazywamy to globocentryzmem. Ludzie lubią uważać się za lepszych od swych sąsiadów, a swoją kulturę za starszą i wyższą niż na innych światach. Jeśli na innych światach jest coś dobrego, to jest zapożyczone od nich, a to, co jest zepsute lub zdegenerowane, zostało zepsute dopiero po wzięciu od nich albo po prostu zostało wynalezione gdzie indziej. Ta skłonność do wywyższania się wyraża się też w tym, że ową — rzekomą czy prawdziwą — wyższość swej kultury przypisują temu, że jest ona starsza od innych. Jeśli nie mogą twierdzić, bo przeczyłoby to oczywistym faktom, że ich własna planeta jest Ziemią albo jej odpowiednikiem, to prawie zawsze starają się udowodnić, że znajduje się w ich sektorze, nawet jeśli nie potrafią dokładnie wskazać jej położenia.

— Chcesz przez to powiedzieć, że kiedy Compor opowiadał nam o Ziemi, to po prostu zachowywał się zgodnie z pewną regułą i mówił to, co ludzie często mówią w takich sytuacjach… Ale sektor Syriusza ma naprawdę długą historię, a więc każdy świat z tego regionu powinien być dobrze znany i nawet nie lecąc tam nie powinniśmy mieć problemów ze sprawdzeniem, czy faktycznie jest tak, jak mówił.

Pelorat zachichotał. — Nawet gdybyś niezbicie wykazał, że żaden świat w sektorze Syriusza nie może być Ziemią, to i tak nic by to nie pomogło. Nie doceniasz, Golan, siły mitów. Myślenie magiczne i mistycyzm nie poddają się żadnym racjonalnym argumentom. Jest w Galaktyce przynajmniej z pół tuzina sektorów, gdzie cieszący się wielkim autorytetem uczeni powtarzają zupełnie serio miejscowe bajki, według których Ziemia — czy jak tam ją oni po swojemu

nazywają — znajduje się w nadprzestrzeni i można ją znaleźć chyba tylko przez przypadek.

— A czy według nich zdarzył się kiedykolwiek komuś taki przypadek?

— Zawsze można znaleźć takie opowieści, i miejscowi, z pobudek patriotycznych, święcie w nie wierzą, mimo iż są one zupełnie nieprawdopodobne i na innych światach nikt nie chciałby ich nawet słuchać.

— A zatem, Janov, my też w nie nie wierzymy. Proponuję, żebyśmy weszli w naszą prywatną nadprzestrzeń snu.

— Ale interesuje mnie, Golan, ta sprawa radioaktywności Ziemi. Według mnie, może być w tym ziarno prawdy… czy coś zbliżonego do prawdy.

— Co to znaczy „coś zbliżonego do prawdy”?

— Widzisz, świat, który jest radioaktywny, to świat, na którym promieniowanie twarde jest silniejsze niż na innych światach. Na takim świecie tempo powstawania mutacji byłoby większe niż na innych światach, w związku z czym proces ewolucji byłby szybszy i prowadziłby do powstania bardziej zróżnicowanych form życia. Może pamiętasz, że mówiłem ci już, iż jednym z punktów, w których zgadzają się ze sobą prawie wszystkie opowieści o Ziemi, jest przekonanie, że życie tam było niewiarygodnie zróżnicowane, że istniały miliony różnych gatunków zwierząt i roślin. To właśnie ta różnorodność form życia, ten gwałtowny rozwój, mogły doprowadzić do powstania na Ziemi istot inteligentnych, które następnie rozprzestrzeniły się na całą Galaktykę. Jeśli Ziemia była z jakiegoś powodu radioaktywna, to znaczy bardziej radioaktywna niż inne planety, to mogłoby to wyjaśnić wszystkie inne, unikalne cechy, które Ziemia posiada czy posiadała.

Trevize milczał przez chwilę. Potem powiedział:

— Po pierwsze, nie ma żadnego powodu, żebyśmy wierzyli, że Compor mówił prawdę. Mógł zmyślać na poczekaniu po to tylko, żeby nas skłonić do opuszczenia Sayshell i podróży na Syriusza. Jestem przekonany, że tak właśnie było. A poza tym, nawet jeśli mówił prawdę, to powiedział przecież, że to promieniowanie jest tak silne, że nie może tam istnieć życic w żadnej formie.

Pelorat znowu dmuchnął. — Promieniowanie nie było tak silne, żeby uniemożliwić rozwój życia na Ziemi, a chociaż życie nie powstaje tak łatwo, to kiedy już powstanie, trwa i szybko nie zamiera. Jest zatem pewne, że życie na Ziemi nie tylko powstało, ale i przetrwało. Dlatego poziom radioaktywności nie mógł przeszkodzić powstaniu życia, a z biegiem czasu mógł się tylko zmniejszyć. Nie ma niczego, co mogłoby zwiększyć ten poziom.

— A wybuchy jądrowe? — spytał Trevize.

— A co — one mogłyby mieć z tym wspólnego?

— No, załóżmy, że na Ziemi miały miejsce wybuchy jądrowe.

— Na powierzchni Ziemi? To niemożliwe. W historii Galaktyki nie ma nawet wzmianki, by kiedykolwiek istniało społeczeństwo tak głupie, żeby prowadzić wojnę za pomocą eksplozji jądrowych. Gdyby tak było, to nie przetrwalibyśmy. Podczas Powstania Trigelliańskiego, kiedy obie strony przymierały głodem i były zdecydowane na wszystko, Jendippurus Khoratt zasugerował, żeby skorzystać z reakcji termojądrowej i…

— Został powieszony przez swoich własnych ludzi. Znam historię Galaktyki. Chodziło mi o to, że mogło się to zdarzyć przypadkiem.

— Nie są znane żadne przypadki tego rodzaju, które mogłyby znacząco wzmóc intensywność promieniowania na jakiejś planecie. — Westchnął. — Myślę, że kiedy będziemy się mogli zająć tym problemem, to będziemy musieli polecieć do sektora Syriusza i rozejrzeć się tam trochę.

— Może któregoś dnia to zrobimy. Ale na razie…

— Tak, tak, już przestaję mówić…

Umilkł, a Trevize jeszcze prawie przez godzinę zastanawiał się, leżąc w ciemności, czy przypadkiem nie zwrócił już na siebie uwagi i czy nie byłoby jednak mądrzej polecieć do sektora Syriusza i wrócić do sprawy Gai dopiero wtedy, kiedy uwaga — uwaga wszystkich — skupi się na czymś innym.

W końcu zasnął, nie podjąwszy żadnego postanowienia. Miał przykre sny.

51.

Kiedy ponownie znaleźli się W centrum, dochodziło już południe. Tym razem w centralnej informacji turystycznej było tłoczno, ale udało im się dowiedzieć, jak dostać się do biblioteki, gdzie z kolei uzyskali instrukcje posługiwania się miejscowymi typami komputerów zbierających dane.

Przestudiowali dokładnie wykaz muzeów i uniwersytetów, zaczynając od tych, które były najbliżej, sprawdzając wszelkie dostępne dane o antropologach, archeologach i specjalistach od historii starożytnej.

— Aa! — rzekł w pewnej chwili Pelorat.

— Aa? — powtórzył nieco cierpko Trevize. — Co za „aa”?

— Quintesetz. To nazwisko wydaje mi się znajome.

— Znasz go?

— Nie, oczywiście, że nie, ale mogłem czytać jakieś jego artykuły. Kiedy znajdziemy się z powrotem na statku, zajrzę do mojej kartoteki…

— Nie wrócimy tam teraz, Janov. Jeśli nazwisko jest ci znane, to mamy punkt zaczepienia. Jeśli nie będzie mógł nam pomóc, to na pewno będzie nas mógł skierować do kogoś innego. — Podniósł się. — Musimy jakoś dostać się na Uniwersytet Sayshellski. A ponieważ teraz, w porze obiadu, nie zastaniemy tam nikogo, chodźmy najpierw coś zjeść.

Dopiero późnym popołudniem dotarli na uniwersytet i po krótkim błądzeniu w labiryncie korytarzy znaleźli się w jakiejś poczekalni. Siedzieli tam teraz czekając na młodą kobietę, która poszła zasięgnąć informacji i która mogła, albo nie, zaprowadzić ich do Quintesetza.

— Zastanawiam się — rzekł zmartwionym głosem Pelorat — jak długo będziemy musieli jeszcze tu czekać. Chyba zbliża się pora zamknięcia uniwersytetu.

I właśnie gdy kończył to mówić, zjawiła się, jak na zawołanie, kobieta, na którą czekali już od pół godziny. Podeszła do nich szybkim krokiem. Miała buty w kolorach jaskrawej czerwieni i fioletu, które przy chodzeniu wydawały ostre tony, niczym jakiś instrument muzyczny. Wysokość tonów zmieniała się w zależności od tempa kroków i siły nacisku stopy na podłoże.

Peloratowi ścierpły zęby od tych dźwięków. Przyszło mu na myśl, że tak jak każdy świat posiada swój własny, charakterystyczny zapach, tak też jego mieszkańcy mają swoje charakterystyczne sposoby porażania innych niż węch zmysłów człowieka. Ciekaw był, czy teraz, kiedy już nie raziła go specyficzna woń planety, przyzwyczai się również do tej kakofonii dźwięków towarzyszącej każdej idącej młodej

kobiecie i przestanie na to zwracać uwagę.

Dziewczyna podeszła do Pelorata i zatrzymała się. — Czy może mi pan podać swoje pełne nazwisko, profesorze? — spytała.

— Janov Pelorat, proszę pani.

— A pana ojczysta planeta?

Trevize podniósł nieznacznie rękę do góry, jakby chciał mu dać znak, by nie odpowiadał, ale Pelorat albo tego nie zauważył, albo zlekceważył, gdyż powiedział:

— Terminus.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko. Wydawało się, że była zadowolona z jego odpowiedzi. — Kiedy powiedziałam profesorowi Quintesetzowi, że szuka go jakiś profesor Pelorat, rzekł, że spotka się z nim tylko wtedy, kiedy będzie to profesor Janov Pelorat z Terminusa.

Pelorat szybko zamrugał powiekami. — Chce… chce pani powiedzieć, że słyszał o mnie?

— Na to wygląda.

Pelorat zdobył się na niepewny uśmiech i rzekł do Trevizego:

— On słyszał o mnie! Naprawdę nie myślałem… to znaczy napisałem zaledwie parę artykułów i nie myślałem, że ktokolwiek… — Potrząsnął głową. — To naprawdę nie były wazne artykuły.

— No, już dobrze — powiedział Trevize, sam się uśmiechając. — Skończ już wreszcie z tą swoją przesadną skromnością i niedocenianiem własnej osoby i chodźmy.

— Mam nadzieję — zwrócił się do dziewczyny — że jest tu jakiś środek komunikacji, którym będziemy mogli dojechać do niego?

— To bardzo blisko. Nie musimy nawet wychodzić z tego budynku. Z przyjemnością zaprowadzę tam panów… Obaj panowie jesteście z Terminusa? — spytała i ruszyła przodem.

Poszli za nią, a Trevize odparł z lekką nutą irytacji:

— Tak, obaj. A czy to ważne?

— Ależ nie, skądże. Wie pan, niektórzy ludzie na Sayshell nie lubią Fundacjonistów, ale tu, na uniwersytecie, jesteśmy większymi kosmopolitami. Zawsze mówię „żyj i pozwól żyć". To znaczy, uważam, że Fundacjoniści to tacy sami ludzie, jak my. Rozumie pan o co mi chodzi?

— Tak, wiem o co pani chodzi. U nas też wielu ludzi uważa, że Sayshellczycy to tacy sami ludzie, jak my.

— I tak właśnie powinno być. Nigdy nie widziałam Terminusa. To musi być wielkie miasto.

— Muszę panią rozczarować — rzekł Trevize. — Podejrzewam, że jest mniejsze od waszej stolicy.

— Nabiera mnie pan. Jest przecież stolicą Federacji Fundacji, prawda? Myślę, że nie ma innego miasta o tej nazwie, co?

— Nie, o ile mi wiadomo, jest tylko jeden Terminus; stolica

Federacji Fundacji, i właśnie stamtąd pochodzimy.

— A więc musi to być ogromne miasto… I lecieliście taki kawał drogi, żeby zobaczyć się z naszym profesorem. Musi pan wiedzieć, że jesteśmy z niego bardzo dumni. Jest on uważany za największy autorytet w całej Galaktyce.

— Naprawdę? — rzekł Trevize. — W czym?

Otworzyła szeroko oczy. — Ale pan się lubi przekomarzać! On zna lepiej historię starożytną niż… niż ja swoją rodzinę — odwróciła się i poprowadziła ich dalej, wygrywając jakąś melodię na swych butach.

Jeśli powie się komuś kilkakrotnie, że lubi się przekomarzać i nabierać innych, to niezawodnie wyzwoli się w nim chęć do takich żartów. A więc Trevize uśmiechnął się i powiedział:

— Myślę, że profesor wie wszystko na temat Ziemi.

— Na temat Ziemi? — zatrzymała się przed drzwiami gabinetu i spojrzała na nich ze zdziwieniem.

— No wie pani, tego świata, na którym powstał rodzaj ludzki.

— Ach, ma pan na myśli tę pierwszą planetę! Myślę, że tak. Myślę, że powinien o niej wiedzieć wszystko. W końcu znajduje się ona w naszym sektorze. Każdy o tym wie! Oto jego gabinet. Dam mu znać, że przyszliśmy.

— Nie, nie, chwileczkę — powiedział szybko Trevize. — Niech mi pani coś powie o Ziemi.

— Prawdę mówiąc, nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówił na nią „Ziemia”. Myślę, że to słowo używane w Fundacji. Tutaj nazywamy ją Gaja.

Trevize szybko zerknął na Pelorata. — Ach, tak! A gdzie ona leży?

— Nigdzie. Znajduje się w nadprzestrzeni i nikt nie ma pojęcia, jak się tam można dostać. Kiedy byłam mała, babcia mówiła mi, że kiedyś Gaja znajdowała się w rzeczywistej przestrzeni, ale nabrała takiego wstrętu do…

— Zbrodni i głupoty ludzkiej — mruknął Pelorat — że, wstydząc się takiego towarzystwa, opuściła przestrzeń i postanowiła nie mieć więcej nic wspólnego z ludźmi, którzy kiedyś wyruszyli z niej na podbój Galaktyki.

— A więc znacie tę historię. Widzi pan?… Moja przyjaciółka mówi, że to przesąd. No, teraz jej to powiem. Jeśli wierzą w to profesorowie z Fundacji…

Na matowej szybie z przydymionego szkła w drzwiach do gabinetu widniał błyszczący napis „Sotayn Quintesetz Abt”, złożony z trudnych do odczytania ozdobnych sayshellskich liter, a pod nim, wykonany tą samą czcionką inny — „Wydział Historii Starożytnej”.

Dziewczyna położyła palec na gładkim metalowym krążku. Nie usłyszeli żadnego dźwięku, ale szyba zmieniła na chwilę barwę na

mlecznobiałą i miękki, jakby nieco roztargniony głos rzekł:

— Proszę się przedstawić.

— Janov Pelorat z Terminusa — powiedział Pelorat — z Golanem Trevize z tego samego świata.

Drzwi natychmiast się otworzyły.

52.

Mężczyzna, który podniósł się z krzesła, obszedł biurko i podszedł, aby się z nimi przywitać, był postawny i niezbyt młody. Miał jasnobrązową skórę i kręcone stalowosiwe włosy, podniósł rękę i rzekł niskim, miękkim głosem:

— Jestem S.Q. Miło mi powitać u siebie panów profesorów.

— Nie posiadam tytułu akademickiego — powiedział Trevize. — Towarzyszę tylko profesorowi Peloratowi. Proszę się zwracać do mnie po prostu „Trevize". Miło mi poznać pana, profesorze Abt.

Quintesetz zmieszał się i podniósł do góry dłoń. — Nie, nie. Abt to taki głupi tytuł pewnego rodzaju, który liczy się tylko na Sayshell. Proszę zwracać się do mnie S.Q. W kontaktach towarzyskich używamy na Sayshell inicjałów. Cieszę się, że jest panów aż dwóch, bo spodziewałem się tylko jednego.

Zawahał się jakby na moment, a potem, wytarłszy dyskretnie prawą dłoń o spodnie, wyciągnął ją do nich.

Trevize potrząsnął nią, zastanawiając się, jaki sposób witania się przyjęty jest na Sayshell.

— Proszę usiąść — powiedział Quintesetz. — Obawiam się, że nie przypadną wam do gustu moje fotele, bo nie uginają się, ale nie lubię znajdować się w objęciach mebli. W dzisiejszych czasach jest moda na fotele obejmujące ciało, ale ja wolę inne objęcia. Trevize uśmiechnął się i rzekł:

— A kto nie woli? Pana nazwisko, S.Q., sugeruje, że pochodzi pan ze światów na obrzeżu, nie z Sayshell. Przepraszam, jeśli moja uwaga dotknęła pana.

— Ależ skąd! Jedna z linii mojego rodu wywodzi się z Askony. Moi prapradziadkowie porzucili Askonę, kiedy panowanie Fundacji stało się zbyt ciężkie.

— A my jesteśmy z Fundacji — rzekł Pelorat. — Przepraszamy.

Quintesetz machnął ręką. — Nie mam o to do was żalu. Trudno zachować urazę przez pięć pokoleń. No, oczywiście zdarza się i tak, ale to jeszcze gorzej. Może macie ochotę coś zjeść? Albo napić się? A może nastawić jakąś muzykę?

— Jeśli nie ma pan nic przeciw temu — powiedział Pelorat — to chciałbym od razu przejść do rzeczy, o ile nie jest to wbrew zwyczajom sayshellskim.

— Zwyczaje sayshellskie nie są tu przeszkodą, zapewniam pana… Nie ma pan pojęcia, profesorze Pelorat, jaki to fantastyczny zbieg okoliczności. Nie dalej jak dwa tygodnie temu przeczytałem w „Przeglądzie Archeologicznym" pana artykuł o pochodzeniu mitów. Uważam, że dał pan znakomitą syntezę tego problemu… Szkoda tylko,

że artykuł jest tak krótki.

Pelorat poczerwieniał z zadowolenia. — Jest mi niezmiernie przyjemnie usłyszeć, że pan to przeczy — tał. Rzecz jasna, musiałem wszystko przedstawić w skrócie, bo „Przegląd" nie zamieszcza pełnych studiów. Planuję napisać rozprawę na ten temat.

— Chciałbym, żeby pan to zrobił. W każdym razie, jak tylko go przeczytałem, zapragnąłem poznać pana. Myślałem nawet o podróży na Terminusa specjalnie w tym celu, choć byłoby mi to trudno załatwić…

— A dlaczego? — spytał Trevize.

Quintesetz zmieszał się. — Muszę z przykrością powiedzieć, że Sayshell nie chce przyłączyć się do Federacji Fundacji i w związku z tym stara się utrudniać kontakty między swymi obywatelami a obywatelami Fundacji. Widzicie, chlubimy się, że zawsze zachowywaliśmy neutralność. Nawet Muł dał nam spokój, wymuszając tylko na nas specjalną deklarację neutralności. Z tego powodu każde podanie o pozwolenie odwiedzenia terytorium Fundacji, a szczególnie Terminusa, jest traktowane podejrzliwie, chociaż naukowiec, taki jak ja, chcąc się tam udać w sprawach zawodowych otrzymałby prawdopodobnie w końcu paszport… Ale okazało się to niepotrzebne, bo pan przyleciał do mnie. Aż trudno mi w to uwierzyć. Sam sobie zadaję pytanie „Dlaczego"? Czyżby słyszał pan o mnie, tak jak ja o panu?

— Znam pana prace, S.Q. — powiedział Pelorat — i mam w swoim archiwum abstrakty pana artykułów. Właśnie dlatego przyszedłem. Zajmuję się badaniem problemu Ziemi, która była podobno kolebką ludzkości, jak też wczesnym okresem eksploracji i kolonizacji Galaktyki. W szczególności przyleciałem tu po to, żeby poznać historię powstania Sayshell.

— Sądząc z pana artykułu — rzekł Quintesetz — przypuszczam, że interesują pana mity i legendy.

— Jeszcze bardziej interesuje mnie historia — fakty… jeśli takie istnieją. Poza tym mity i legendy.

Quintesetz wstał z fotela, przeszedł szybkim krokiem pokój tam i z powrotem, popatrzył na Pelorata, a potem znowu zaczął chodzić.

— Proszę pana — powiedział niecierpliwie Trevize.

— To dziwne! Naprawdę dziwne! — powiedział Quintesetz. — Nie dalej jak wczoraj…

— Co się stało wczoraj? — spytał Pelorat.

— Mówiłem już panu, profesorze Pelorat… Przepraszam, czy mogę zwracać się do pana J.P.? Zwracanie się pełnym nazwiskiem wydaje mi się nieco sztuczne.

— Proszę bardzo.

— Mówiłem już panu, J.P., że bardzo podobał mi się pański

artykuł i że chciałem poznać pana. A powód tego był taki, że jakkolwiek posiada pan najwidoczniej ogromny zbiór legend dotyczących powstania różnych światów, to w zbiorze tym brakuje naszych, sayshellskich, legend. Mówiąc innymi słowy, chciałem poznać pana, aby powiedzieć panu akurat to, co — jak się okazuje — chce pan ode mnie usłyszeć.

— Ale mówił pan coś o dniu wczorajszym, S.Q. — rzekł Trevize.

— A więc mamy tu legendy. No, legendę. Jest ona dla nas bardzo ważna, gdyż stała się naszą główną tajemnicą…

— Tajemnicą? — spytał Trevize.

— Nie mam na myśli żadnej zagadki ani niczego innego w tym stylu. Takie, sądzę, znaczenie ma to słowo w języku ogólnogalaktycznym. U nas jednak ma ono inne znaczenie. Znaczy „coś ukrytego", coś, czego pełne znaczenie znają tylko wtajemniczeni, coś, o czym nie rozmawia się z przybyszami z innych planet… Otóż właśnie wczoraj był ten dzień.

— Jaki dzień, S.Q.? — spytał Trevize tonem oznaczającym pewne zniecierpliwienie.

— Dzień Ucieczki.

— Ach — rzekł Trevize — dzień spokoju i medytacji, który wszyscy powinni spędzić w zaciszu domowym.

— Teoretycznie tak, aczkolwiek w wielkich miastach, gdzie ludzie są bardziej wykształceni, nie przestrzega się tego tak ściśle… Ale widzę, że wiecie o tym.

Pelorat, którego zaniepokoiło zniecierpliwienie wyraźnie wyczuwalne w głosie Trevizego, wtrącił szybko:

— Słyszeliśmy coś o tym, bo przylecieliśmy wczoraj.

— Akurat wczoraj, a nie innego dnia — rzekł sarkastycznie Trevize. — Panie S.Q., jak już powiedziałem, nie jestem naukowcem, ale chciałbym panu zadać jedno pytanie. Otóż powiedział pan, że mówi o głównej tajemnicy, to znaczy o czymś, o czym nie powinno się rozmawiać z przybyszami z innych planet. Dlaczego zatem mówi pan nam o tym? Przecież jesteśmy przybyszami z innej planety.

— Owszem, jesteście. Ale ja osobiście jestem nie praktykujący i nawet jeśli została we mnie jeszcze jakaś wiara w ten przesąd, to nie jest ona głęboka. Tym niemniej artykuł J.P. umocnił mnie w przekonaniu, które miałem już od dość dawna. Mianowicie, żaden mit czy legenda nie powstaje z niczego. Nic nie powstaję z niczego. Zawsze jest tam jakieś źdźbło prawdy, aczkolwiek jest ona zniekształcona i trudna do wykrycia i chciałbym odkryć, co w rzeczywistości kryje się za legendą o Dniu Ucieczki.

— Czy to bezpiecznie mówić o tym? — spytał Trevize.

Quintesetz wzruszył ramionami. — Myślę, że nie całkiem. Konserwatywna część naszego społeczeństwa byłaby na pewno

zgorszona i oburzona. Ale oni akurat nie mają wpływów w rządzie, i to już od stu lat. Ruch świecki jest silny i byłby jeszcze silniejszy, gdyby — wybaczcie mi — konserwatyści nie wykorzystywali nastrojów antyfundacyjnych naszego społeczeństwa. Poza tym, w razie konieczności, poprze mnie Związek Nauczycieli Akademickich, gdyż zajmuję się tą sprawą z racji moich zawodowych zainteresowań historią starożytną.

— W takim razie — powiedział Pelorat — może zechciałby pan, S.Q., powiedzieć nam coś o waszej głównej tajemnicy?

— Chętnie, ale muszę się najpierw upewnić, że nam nikt nie przeszkodzi albo — skoro już o tym mowa — że nas nikt nie podsłucha. Jak mówi znane porzekadło, nawet jeśli trzeba stanąć oko w oko z bykiem, to nie musi się go od razu walić pięścią w nos.

Szybkim ruchem palca wcisnął klawisz jakiegoś urządzenia na biurku i powiedział:

— Teraz jesteśmy odizolowani.

— Jest pan pewien, że nie ma tu pluskwy?

— Pluskwy?

— Mikrofonu! Podsłuchu! Że nie ma tu żadnego urządzenia, za pomocą którego można śledzić co pan robi albo co pan mówi, albo i jedno i drugie.

Quintesetz wyglądał jakby przeżył wstrząs. — Nie na Sayshell!

Trevize wzruszył ramionami. — No, skoro pan tak twierdzi…

— Niech pan mówi, proszę — powiedział Pelorat.

Quintesetz zacisnął usta, usiadł wygodniej w fotelu (którego oparcie lekko się odgięło pod naciskiem jego pleców) i złożył dłonie na brzuchu, stykając je koniuszkami palców. Wydawał się zastanawiać, od czego ma zacząć.

— Wiecie co to robot? — spytał w końcu.

— Robot? — odparł Pelorat. — Nie.

Quintesetz spojrzał na Trevizego, który wolno potrząsnął głową. — Ale wiecie, co to komputer, prawda?

— Oczywiście — odparł ze zniecierpliwieniem Trevize.

— A więc skomputeryzowany samobieżny przyrząd…

— Jest skomputeryzowanym samobieżnym przyrządem — przerwał mu Trevize, który coraz bardziej się niecierpliwił. — Jest ich nieskończenie wiele rodzajów i nie znam na ich określenie żadnego ogólnego terminu, oprócz „skomputeryzowanego samobieżnego urządzenia”.

— …który wygląda dokładnie tak jak człowiek, to właśnie robot — dokończył spokojnie swoją definicję S.Q. — Cechą wyróżniającą robota jest jego człekokształtna forma.

— Dlaczego człekokształtna? — spytał ze szczerym zdziwieniem Pelorat.

— Nie wiem. Zapewniam was, że jest to wyjątkowo nieodpowiednia forma dla jakiegokolwiek urządzenia, bo utrudnia mu wykonywanie czynności, dla których jest przeznaczony, ale powtarzam tylko to, co podaje nasza legenda. „Robot" to archaiczne słowo z jakiegoś nieznanego języka, ale nasi uczeni twierdzą, że jego znaczenie ma coś wspólnego z pracą.

— Nie potrafię sobie przypomnieć żadnego słowa — powiedział sceptycznie Trevize — które choć w przybliżeniu brzmiałoby podobnie do tego i miało jakiś związek z pracą.

— Na pewno nie ma takiego słowa w języku ogólnogalaktycznym — zgodził się Quintesetz — ale tak twierdzą uczeni.

— To może być przypadek odwróconej etymologii — rzekł Pelorat. — Ponieważ przedmiotów tych używano do wykonywania pracy, stwierdzono, że słowo to znaczyło „praca"… Tak czy inaczej, dlaczego pan nam o tym mówi?

— Dlatego że u nas, na Sayshell, zachowało się podanie — w które ludzie niezłomnie wierzą — że roboty wynaleziono, kiedy Ziemia była jedynym światem, a cała Galaktyka była niezamieszkana. Były więc jak gdyby dwa rodzaje istot ludzkich — naturalne i sztuczne, biologiczne i mechaniczne, z ciała i z metalu, złożone i proste…

Quintesetz przerwał w tym momencie wyliczanie i rzekł ze smutnym uśmiechem:

— Przepraszam. Nie sposób mówić o robotach, nie cytując Księgi Ucieczki. Ludzie na Ziemi stworzyli roboty… i nie muszę mówić nic więcej. To jest wystarczająco jasne.

— A dlaczego je stworzyli? — spytał Trevize.

Quintesetz wzruszył ramionami. — A któż to wie po tylu latach? Może było ich niewielu i potrzebowali pomocy, szczególnie przy tak wielkim zadaniu, jakim był podbój i kolonizacja Galaktyki.

— To rozsądna hipoteza — powiedział Trevize. — Kiedy skolonizowano już Galaktykę, roboty stały się niepotrzebne. Teraz na pewno nie ma już nigdzie w Galaktyce skomputeryzowanych samobieżnych urządzeń o ludzkim kształcie.

— W — każdym razie — podjął na nowo Quintesetz — ta historia, w wielkim skrócie i bez poetyckich upiększeń, których — szczerze mówiąc — nie lubię, chociaż ogół je lubi, a przynajmniej udaje, że lubi, wygląda tak: wokół Ziemi powstały kolonie, światy krążące wokół sąsiednich gwiazd, które miały o wiele więcej robotów niż sama Ziemia. Na świeżo skolonizowanych planetach było większe zapotrzebowanie na roboty. Faktycznie, Ziemia wycofała się z tego, nie chciała już robotów i nawet zbuntowała się przeciw nim.

— Co się stało? — spytał Pelorat.

— Nowe światy były potężniejsze. Z pomocą robotów dzieci

pokonały Matkę — Ziemię. Przepraszam, nie potrafię tego opowiedzieć bez cytowania Księgi. Ale części Ziemian, która miała lepsze statki i lepiej opanowane zasady podróży przez nadprzestrzeń, udało się uciec. Uciekli na planety krążące wokół odległych gwiazd, daleko od wcześniej skolonizowanych światów. Założyli nowe kolonie, bez robotów, gdzie mogli żyć wolni. Były to tak zwane Czasy Ucieczki, a dzień, w którym pierwsi Ziemianie zjawili się w sektorze Sayshell, a dokładnie właśnie na tej planecie, stał się świętem obchodzonym corocznie od wielu tysięcy lat. To jest właśnie Dzień Ucieczki.

— Drogi przyjacielu — rzekł Pelorat — z tego, co pan mówi, wynika, że Sayshell założyli ludzie, którzy przybyli tu prosto z Ziemi.

Quintesetz myślał przez chwilę, a potem rzekł z ociąganiem:

— Takie panuje u nas przekonanie.

— Oczywiście — powiedział Trevize — pan w to nie wierzy.

— Wydaje mi się… — zaczął Quintesetz i nagle wybuchnął: — Och, na Wielkie Gwiazdy i Małe Planety, oczywiście, że nie wierzę! To jest zupełnie nieprawdopodobne, ale jest to oficjalnie uznawany dogmat i aczkolwiek rząd mamy teraz świecki, to nadal, przynajmniej głośno, twierdzi się, że tak właśnie było… Ale wracajmy do tematu. W pana artykule, J.P., nie znalazłem nic, co wskazywałoby, że zna pan tę opowieść o robotach i o dwóch falach kolonizatorów, mniejszej, z robotami i większej, bez robotów.

— Faktycznie nie znałem jej — przyznał Pelorat. — Usłyszałem ją teraz po raz pierwszy i jestem panu, drogi S.Q., dozgonnie wdzięczny, że mi ją pan opowiedział. Jestem zdumiony, że nie natrafiłem na żadne Wzmianki o niej w pracach, które…

— To dowodzi — powiedział Quintesetz — jak sprawny jest panujący u nas system społeczny. To nasz sayshellski sekret — nasza wielka tajemnica.

— Być może — rzekł sucho Trevize. — Jednak ta druga fala kolonizatorów, ta bez robotów, musiała się rozchodzić we wszystkich kierunkach. Dlaczego ta wielka tajemnica jest znana tylko na Sayshell?

— Może być znana również gdzie indziej i być takim samym sekretem, jak u nas — powiedział Quintesetz. — Nasi konserwatyści wierzą, że tylko Sayshell zostało założone przez kolonizatorów przybyłych prosto z Ziemi, a reszta Galaktyki została zasiedlona przez emigrantów z Sayshell. To, oczywiście, prawdopodobnie czysty nonsens.

— Z upływem czasu można rozwiązać te dodatkowe zagadki — powiedział Pelorat. — Teraz, kiedy mam punkt wyjścia, mogę poszukać podobnych informacji na innych światach. Liczy się to, że odkryłem odpowiednie pytanie, a właściwie pytanie jest oczywiście kluczem do uzyskania nieskończenie wielu odpowiedzi. Naprawdę

miałem wielkie szczęście, że…

— Tak, Janov — rzekł Trevize — ale S.Q. na pewno nie opowiedział nam wszystkiego. Co stało się

Że starymi koloniami i robotami? Czy mówią coś o tym wasze przekazy?

— Nie w szczegółach, ale ogólnie. Widocznie ludzie i humanoidy nie mogą żyć razem. Światy, na których były roboty, przestały istnieć. Nie można tam było żyć.

— A Ziemia?

— Ludzie ją porzucili i osiedlili się tutaj, jak również przypuszczalnie (choć nasi konserwatyści przeczą temu) na innych planetach.

— Na pewno nie wszyscy opuścili Ziemię. Ta planeta nie opustoszała.

— Przypuszczalnie nie. Ale ja nic nie wiem o tym.

— Czy była radioaktywna, kiedy ją porzucili? — rzekł nagle Trevize.

— Radioaktywna? — Quintesetz zrobił zdumioną minę.

— O to właśnie pytam.

— Nic mi o tym nie wiadomo. Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

Trevize w zamyśleniu obgryzał kłykieć palca. Wreszcie ocknął się i powiedział:

— S.Q., robi się późno i myślę, że zajęliśmy już panu dość czasu. (Pelorat zrobił ruch, jakby chciał zaprzeczyć, ale Trevize położył mu dłoń na kolanie i zmusił, by siedział spokojnie.)

— Jest mi niezmiernie miło, jeśli to, co powiedziałem, może się wam na coś przydać.

— Na pewno się przyda. Jeśli możemy się panu jakoś odwdzięczyć, to proszę powiedzieć.

Quintesetz roześmiał się. — Jeśli J.P. będzie tak uprzejmy i powstrzyma się przed wymienieniem mego nazwiska w związku z tym, co napisze na temat naszej państwowej tajemnicy, to będzie to dla mnie wystarczającą zapłatą.

Pelorat rzekł z zapałem:

— Gdyby otrzymał pan zezwolenie na podróż na Terminus, to dostałby pan na pewno to, na co pan zasługuje, a może nawet więcej. Może zatrudnilibyśmy pana na dłuższy okres na naszym uniwersytecie jako profesora kontraktowego. Moglibyśmy to załatwić. Sayshell może odnosić się niechętnie do Federacji, ale wątpię, czy odmówiłby, gdybyśmy skierowali bezpośrednio do władz prośbę, by umożliwiły panu — powiedzmy — wzięcie udziału w sesji naukowej na temat pewnych aspektów historii starożytnej zorganizowanej przez nasz uniwersytet.

Sayshellczyk aż uniósł się z miejsca. — Czy to znaczy, że macie odpowiednie dojścia, aby to załatwić?

— Faktycznie, nie pomyślałem o tym, ale J.P. ma rację. To dałoby się zrobić, gdybyśmy się postarali. I, oczywiście, będziemy tym bardziej się starać, im bardziej będziemy panu zobowiązani — rzekł Trevize.

Quintesetz milczał przez chwilę, a potem zmarszczył czoło i spytał:

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Tyle tylko, że wystarczy, by opowiedział nam pan o Gai, S.Q. — odparł Trevize.

W tym momencie twarz Quintesetza straciła cały swój poprzedni blask.

53.

Quintesetz utkwił wzrok w blacie biurka. Ręką gładził machinalnie swe krótkie, kędzierzawe włosy. W końcu podniósł wzrok, spojrzał na Trevizego i zacisnął usta. Wyglądało na to, że postanowił nic nie mówić.

Trevize uniósł brwi i czekał, aż w końcu Quintesetz rzekł zduszonym głosem:

— Istotnie robi się późno… zaczyna smierzchać.

Do tej pory mówił językiem ogólnogalaktycznym, ale teraz zaczął używać dziwnie zniekształconych słów, jak gdyby dialekt sayshellski wziął górę nad jego klasycznym wykształceniem. — Smierzchać, S.Q.?

— Już prawie wieczór.

Trevize kiwnął głową. — Jestem roztargniony. I głodny. Może zjadłby pan z nami kolację, S.Q.? My płacimy. Może moglibyśmy jeszcze porozmawiać… O Gai.

Quintesetz podniósł się ciężko z fotela. Był wyższy od Pelorata i Trevizego, ale jednocześnie starszy i grubszy i mimo wysokiego wzrostu, wcale nie wyglądał na silnego. Wydawał się bardziej znużony niż w chwili, kiedy weszli.

Zamrugał oczami i powiedział:

— Zapominam o zasadach gościnności. Jesteście obcoświatowcami i nie wypada, żebym to ja był panów gościem. Zapraszam do siebie. Mieszkam tu obok, w miasteczku uniwersyteckim i jeśli macie, panowie, chęć kontynuować naszą rozmowę, to możemy porozmawiać u mnie w swobodniejszej atmosferze. Żałuję tylko (wydawał się nieco zażenowany), że nie mogę panów podjąć wystawną kolacją. Oboje z żoną jesteśmy wegetarianami, a więc jeśli gustujecie w mięsie, to z góry przepraszam.

— J.P. i ja — powiedział Trevize — z ochotą zapomnimy, że jesteśmy mięsożerni. Mam nadzieję, że rozmowa z panem będzie dla nas prawdziwą ucztą.

— Jeśli nasze sayshellskie przyprawy przypadły panom do gustu, to zapewniam, nie będziecie żałować, że przyjęliście moje zaproszenie, bez względu na to, czy rozmowa okaże się dla was ciekawa — rzekł Quintesetz. — Oboje z żoną wkładamy wiele inwencji w urozmaicenie naszej kuchni.

— Z góry cieszę się na te egzotyczne dania, którymi nas pan podejmie, S.Q. — powiedział chłodno Trevize, ale Pelorat wydawał się nieco zdenerwowany taką perspektywą.

Quintesetz ruszył do wyjścia. Wyszli za nim z gabinetu i poszli korytarzem, który zdawał się nie mieć końca. Quintesetz od czasu do

czasu pozdrawiał mijanych studentów i kolegów, ale nie próbował przedstawić nikomu swoich towarzyszy. Trevize czuł się nieco speszony spojrzeniami, które rzucano na jego pas. Akurat był to jeden z popielatych. Spokojny, stonowany kolor nie był najwidoczniej modny w kręgach akademickich.

W końcu przeszli przez jakieś drzwi i znaleźli się na zewnątrz. Było już rzeczywiście ciemno i nieco chłodno. Szli alejką, po której obu stronach rosła raczę] mizerna trawa. W oddali rysowały się potężne kontury drzew.

Pelorat zatrzymał się nagle. Stał zwrócony tyłem do jarzącego się światłami gmachu, który przed chwilą opuścili i do rzędów latarń, ciągnących się wzdłuż alejek. Głowę zadarł do góry.

— Jakie to piękne! — powiedział. — Jest taki znany wiersz jednego z naszych lepszych poetów, który mówi o „roziskrzonym niebie nad Sayshell".

Trevize spojrzał na niebo i rzekł cicho:

— Jesteśmy z Terminusa, S.Q., i mój przyjaciel nie widział nigdy innego nieba niż nad naszą planetą. Z Terminusa widać tylko parę gwiazd, a i to słabo, a cała Galaktyka oglądana stamtąd wygląda jak niewyraźna mgiełka. Gdyby przyszło panu żyć na Terminusie, to doceniłby pan widok, jaki stąd macie.

— Zapewniam pana — odparł poważnie Quintesetz — że w pełni doceniamy ten widok. Jest on taki nie tyle dlatego, że żyjemy w niezbyt zagęszczonej części Galaktyki, ile dlatego, że gwiazdy są tu rozmieszczone tak równomiernie. Nie sądzę, żeby znalazł pan inne miejsce w Galaktyce, gdzie gwiazdy pierwszej wielkości znajdowałyby się w tak regularnych odstępach na niebie. A przy tym nie ma ich tak dużo. Oglądałem niebo z powierzchni światów znajdujących się na zewnętrznej krawędzi kulistych skupisk. Widać stamtąd zbyt wiele jasnych gwiazd, przez co niebo nocą nie jest tak czarne jak tutaj i nie wygląda tak wspaniale.

— Całkowicie zgadzam się z panem — powiedział Trevize.

— Ciekaw jestem — rzekł Quintesetz — czy zauważył pan ten prawie regularny pięciobok utworzony z gwiazd o niemal takiej samej jasności. Nazywamy go Pięcioma Siostrami. O tam, dokładnie ponad tym rzędem drzew. Widzi je pan?

— Tak — powiedział Trevize. — Wspaniały widok.

— Uważane są one u nas za symbol szczęścia w miłości i nie ma listu miłosnego, który nie kończyłby się ułożonym z kropek pięciobokiem. Znaczy to, że osoba pisząca list pragnie zbliżenia z tą, do której pisze. Każda z tych pięciu gwiazd symbolizuje inne stadium miłości i poeci prześcigają się, żeby dać jak najbardziej podniecający opis kolejnych stadiów. Kiedy byłem młody, sam próbowałem klecić wiersze na ten temat i nie podejrzewałem nawet, że przyjdzie kiedyś

taki czas, że będę mówił zupełnie obojętnie o Pięciu Siostrach. Cóż, przypuszczam, że każdego to czeka… Widzi pan tę ciemniejszą gwiazdę znajdującą się prawie w samym środku pięcioboku?

— Tak.

— Tę natomiast uważa się za symbol niespełnionej miłości. Legenda głosi, że kiedyś była ona tak jasna, jak pozostałe, ale ściemniała z żalu — powiedział Quintesetz i szybko ruszył dalej.

54.

Trevize musiał przyznać, że kolacja była pyszna. Było mnóstwo potraw, przyprawionych i przybranych subtelnie i z prawdziwym talentem.

— Te wszystkie jarzyny, które, nawiasem mówiąc, były wyborne, znane i jadane są w całej Galaktyce, prawda, S.Q.?

— Tak, oczywiście.

— Przypuszczam jednak, że są tu także jakieś endemiczne formy życia.

— Oczywiście. Kiedy przybyli pierwsi osadnicy, planeta Sayshell miała atmosferę tlenową, a więc musiało na niej istnieć życie. I niech mi pan wierzy, że zachowaliśmy wiele organizmów. Mamy całkiem duże parki narodowe, w których przetrwała w stanic niezmienionym zarówno stara flora, jak i fauna Sayshell.

— Więc jesteście w tym względzie lepsi od nas — powiedział ze smutkiem Pelorat. — Kiedy na Terminusie zjawili się pierwsi ludzie, istniało tam dosyć ubogie życie i myślę, że niestety przez długi czas nie podejmowano żadnych zorganizowanych działań, aby uchronić od zagłady organizmy morskie, które przecież produkowały tlen, dzięki czemu Terminus stał się planetą, na której można było żyć. Teraz na Terminusie mamy faunę i florę pochodzenia galaktycznego.

— Sayshell — rzekł Quintesetz z lekką nutą dumy — z dawien dawna chlubi się szacunkiem, jakim darzy wszelkie życie.

Właśnie w tym momencie Trevize zdecydował się skierować rozmowę na interesujący go temat.

— Zdaje mi się, S.Q., że kiedy wychodziliśmy z pana gabinetu, miał pan zamiar ugościć nas kolacją, a potem opowiedzieć nam o Gai.

Żona Quintesetza, pulchna kobieta o ciemnej karnacji skóry, która przyjęła ich bardzo życzliwie, choć prawie nie odzywała się podczas kolacji, spojrzała na nich teraz osłupiałym wzrokiem, a potem wstała i bez słowa wyszła z pokoju.

— Moja żona — powiedział z zakłopotaniem Quintesetz — jest zdecydowaną konserwatystką i obawiam się, że denerwuje się na samą wzmiankę o tym świecie. Proszę jej wybaczyć. Ale dlaczego tak to was interesuje?

— Zdaje mi się, że jest to bardzo istotne dla pracy J.P.

— Ale dlaczego pytacie o to właśnie mnie? Rozmawiamy o Ziemi, o robotach, o założeniu Sayshell… Co to wszystko ma wspólnego z tym, o co teraz, pytacie?

— Może nic, ale jest coś dziwnego w tej sprawie. Dlaczego pana żonę denerwuje sama ta nazwa? Dlaczego pan sam się denerwuje? Niektórzy mówią o tym zupełnie spokojnie. Powiedziano nam dzisiaj,

że Gaja to właśnie Ziemia i że przeniosła się w nadprzestrzeń z powodu zbrodni i głupoty ludzi.

Przez twarz Quintesetza przemknął grymas bólu. — Kto wam naopowiadał takich głupstw?

— Pewna osoba, którą spotkaliśmy na uniwersytecie.

— To zwykły przesąd.

— A więc nie ma to nic wspólnego z waszym głównym dogmatem i legendami na temat Ucieczki?

— Oczywiście, że nie. To zwykła bajka, która krąży wśród niewykształconych ludzi.

— Jest pan tego pewien? — spytał chłodno Trevize.

Quintesetz poprawił się w fotelu i zapatrzył się w stojący przed nim talerz z resztkami jedzenia. — Chodźmy do salonu — powiedział po chwili. — Moja żona nie sprzątnie ze stołu, jeśli będziemy tu siedzieli i rozmawiali o… tym.

— Jest pan pewien, że to zwykła bajka? — ponowił swe pytanie Trevize, kiedy siedli już w salonie, przy oknie wybrzuszającym się do góry, które pozwalało rozkoszować się cudownym widokiem nieba nad Sayshell. Światła w pokoju przygasły, aby nie przeszkadzać w kontemplacji tego widoku i ciemna twarz Quintesetza roztopiła się w mroku.

— A pan nie jest tego pewien? — odpowiedział pytaniem Quintesetz. — Może uważa pan, że jakiś świat może, ot tak, przejść sobie w nadprzestrzeń? Musi pan zrozumieć, że przeciętny człowiek ma bardzo słabe pojęcie o tym, czym jest nadprzestrzeń.

— Prawda jest taka — rzekł Trevize — że ja sam mam bardzo słabe pojęcie o tym, czym jest nadprzestrzeń, mimo iż podróżowałem przez nią setki razy.

— No więc powiem wam, jak jest naprawdę. Zapewniam was, że Ziemia — gdziekolwiek jest — nie leży w granicach Związku Sayshellskiego, a świat, o którym pan mówi, nie jest Ziemią.

— Ale nawet jeśli nie wie pan, S.Q., gdzie jest Ziemia, to powinien pan wiedzieć, gdzie jest świat, o którym mówię. Znajduje się on na pewno w granicach Związku Sayshellskiego. Tyle wiemy na pewno, prawda, Janov?

Pelorat, który spokojnie przysłuchiwał się rozmowie, drgnął i powiedział:

— Jeśli o to chodzi, Golan, to wiem, gdzie — ona leży.

Trevize odwrócił się i spojrzał na niego.

— Od kiedy?

— Od niedawna, Golan. Dowiedziałem się o tym dzisiejszego wieczoru. W drodze z uczelni do domu pokazał nam pan, S.Q., Pięć Sióstr. Zwrócił pan też naszą uwagę na ciemniejszą gwiazdę w środku pięcioboku. Jestem pewien, że to właśnie jest Gaja.

Quintesetz zawahał się chwilę. Z jego twarzy nie można było nic wyczytać, gdyż była skryta w mroku. Wreszcie odezwał się:

— No cóż, tak właśnie twierdzą nasi astronomowie… w prywatnych rozmowach. To planeta, która krąży wokół tej gwiazdy.

Trevize przyglądał się w zamyśleniu Peloratowi, ale twarz profesora była absolutnie nieruchoma. Po chwili odwrócił się do Quintesetza. — Niech pan nam opowie o tej gwieździe. Zna pan jej współrzędne?

— Ja? Nie — zaprzeczył pospiesznie. — Nie mam tu współrzędnych żadnej gwiazdy. Możecie je dostać na naszym wydziale astronomii, choć myślę, że nie bez kłopotów. Podróże na tę gwiazdę są zakazane.

— Dlaczego? Przecież znajduje się w granicach waszego związku, prawda?

— Spacjograficznie — tak, ale politycznie — nie.

Trevize czekał, aż Quintesetz powie coś jeszcze.

Profesor jednak milczał, więc Trevize podniósł się. — Profesorze Quintesetz — powiedział urzędowym tonem — nie jestem policjantem, dyplomatą, żołnierzem ani bandytą. Nie przyszedłem tu po to, żeby siłą wyciągnąć z pana odpowiednie informacje. Będę jednak, niestety, musiał zwrócić się w tej sprawie do naszego ambasadora. Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że nie wypytuję o to z własnej ciekawości. Wymaga tego interes Fundacji i nie chcę, żeby miał z tego powodu wyniknąć międzygwiezdny incydent. Myślę, że nie chciałby tego również Związek Sayshellski.

— A jaki to interes? — spytał niepewnie Quintesetz.

— Tego nie mogę panu powiedzieć. Jeśli natomiast pan nie może mi powiedzieć nic o Gai, to przekażę tę sprawę swojemu rządowi, a w tej sytuacji może to mieć przykre następstwa dla Sayshell. Sayshell zachował swą suwerenność i niezależność od Federacji i nie mam nic przeciw takiemu stanowi rzeczy. Nie mam żadnego powodu, aby życzyć źle pana ojczyźnie i wolałbym nie zwracać się z tą sprawą do ambasadora. Zresztą, szczerze mówiąc, narażę w ten sposób na szwank swoją własną karierę, gdyż otrzymałem ścisłe instrukcje, aby uzyskać potrzebne nam informacje bez wplątywania w to rządu. Proszę mi wobec tego powiedzieć, czy jest jakiś szczególny powód, dla którego nie może pan rozmawiać ze mną o Gai? Czy zostałby pan uwięziony albo ukarany w inny sposób, gdyby pan mi coś na ten temat powiedział? Czy powie mi pan wprost, że nie mam innego wyboru jak tylko zwrócić się do ambasadora?

— Nie, nie — rzekł niezwykle zmieszany Quintesetz. — Nic nie wiem o żadnych rządowych sprawach. My po prostu nie rozmawiamy o tym świecie.

— Przesąd?

— Hmm, tak! Przesąd! Na Niebo nad Sayshell, czy ja jestem lepszy vniż ten głupek, który naplótł wam, że Gaja znajduje się w nadprzestrzeni… albo niż moja żona, która boi się zostać w pokoju, gdzie ktoś wymienił nazwę Gai, i która może nawet uciekła z domu, bojąc się, że trafi ją…

— Piorun?

— Cios z nieba. I ja, nawet ja, wzdragam się wymówić to słowo! Gaja, Gaja! Te sylaby nie ranią! Nic mi się nie stało! A mimo to czuję wewnętrzny opór, gdy mam je wymówić… Ale, proszę, uwierzcie mi, że naprawdę nie znam współrzędnych gwiazdy Gai. Mówię szczerze. Spróbuję pomóc wam je uzyskać, ale musicie wiedzieć, że u nas unikamy tego słowa. Trzymamy ręce i myśli z dala od Gai. Mogę wam powiedzieć to, co wiadomo o tym świecie — co naprawdę wiadomo, a nie co się przypuszcza — ale wątpię, żebyście dowiedzieli się czegoś więcej na którymkolwiek ze światów naszego Związku.

— Wiemy, że Gaja została założona w pradawnych czasach, niektórzy utrzymują nawet, że jest najstarszym światem w tym sektorze Galaktyki, ale nie ma co do tego pewności. Patriotyzm każe nam uważać, że najstarszym światem jest Sayshell, strach — że Gaja. Jedynym rozsądnym wyjaśnieniem, które pozwala pogodzić ze sobą te dwa stanowiska, jest przyjęcie, że Gaja to Ziemia, ponieważ wiadomo, że Sayshell założyli przybysze z Ziemi.

Większość historyków uważa, ale po cichu, że Gaja została założona niezależnie od Sayshell. Sądzą oni, że ani Gaja nie jest kolonią założoną przez żaden świat należący do naszego Związku, ani że żadnej z planet, które należą do Związku, nie zasiedlili osadnicy przybyli z Gai. Nie ma zgody co do chronologii, to znaczy, czy Gaja została założona przed czy po Sayshell.

— To, co pan nam dotąd powiedział — rzekł Trevize — jest bez znaczenia, gdyż każde z alternatywnych wyjaśnień ma zwolenników.

Quintesetz skinął ponuro głową. — Tak by się wydawało. Dosyć późno zdaliśmy sobie sprawę z istnienia Gai. W początkowym okresie naszych dziejów byliśmy zajęci tworzeniem Związku, potem walką z Imperium Galaktycznym, a jeszcze potem próbami znalezienia się w roli jednej z jego prowincji i ograniczenia władzy wicekróla.

Dopiero w czasach, kiedy Imperium poważnie już osłabło, jeden z wicekrólów, który w owym czasie znacznie uniezależnił się od imperatora, zdał sobie sprawę z faktu istnienia Gai i z tego, że zdawała się ona być niezależna od Sayshell i nawet od samego Imperium. Po prostu odizolowała się, ona od reszty Galaktyki i utrzymywała swoje istnienie w tajemnicy, tak że dokładnie nic nie było o niej wiadomo, w każdym razie nie więcej niż dzisiaj. Otóż ten wicekról postanowił ją podbić. Nie znamy szczegółów tego, co się zdarzyło, ale jego wyprawa zakończyła się klęską. Powróciło zaledwie

kilka statków. Oczywiście w tamtych czasach statki nie były dobre i nie były dobrze prowadzone.

Sayshell ucieszył się z klęski wicekróla, którego uważano za tyrana z Imperium, i niemal natychmiast wykorzystał tę okazję, żeby odzyskać na powrót niepodległość. Związek Sayshellski zerwał wszelkie więzy łączące go z Imperium i do dzisiaj obchodzimy rocznicę tego wydarzenia jako Dzień Związku. Jak gdyby odwdzięczając się Gai, zostawiliśmy ją w spokoju na przeciąg prawie całego stulecia, ale w końcu poczuliśmy się sami na tyle silni, że zaczęliśmy myśleć o imperialistycznej ekspansji. Dlaczego nie mamy podbić Gai? Dlaczego by nie ustanowić z nią przynajmniej związku celnego? Tak wtedy myśleliśmy. Wysłaliśmy flotę i ona również została pobita. Potem ograniczyliśmy się do ponawianych co jakiś czas prób nawiązania stosunków handlowych, ale próby te nieodmiennie kończyły się fiaskiem. Gaja nadal trwała w zupełnej izolacji i nigdy — o ile wiadomo — nie zrobiła najmniejszego kroku, żeby nawiązać stosunki handlowe czy choćby skomunikować się z jakimkolwiek innym światem. Ale też nigdy nie uczyniła najmniejszego wrogiego gestu pod czyimkolwiek adresem. A potem…

Quintesetz włączył światło, dotykając kontaktu znajdującego się w poręczy fotela. W jego blasku widać było ironiczny uśmiech na twarzy Quintesetza. — Ponieważ jesteście obywatelami Fundacji, pamiętacie zapewne Muła.

Trevize poczerwieniał. W ciągu pięciuset lat swego istnienia Fundacja została podbita tylko jeden raz. Niewola trwała krótko i nie przeszkodziła poważniej Fundacji w jej wspinaniu się ku Drugiemu Imperium, ale oczywiście nikt, kto nie lubił Fundacji i chciał trochę jej dociąć, nie omieszkał wspomnieć o Mule, jedynym, który ją pokonał i podbił. I było zupełnie prawdopodobne (pomyślał Trevize), że Quintesetz zapalił światło specjalnie po to, żeby zobaczyć, jak przyjęli ten docinek.

— Tak, my w Fundacji pamiętamy Muła — powiedział głośno.

— Muł — mówił dalej Quintesetz — sprawował w swoim czasie władzę nad imperium dorównującym obszarem Federacji, którą kontroluje teraz Fundacja. Jednakże nie miał władzy nad nami. Zostawił nas w spokoju. Raz zjawił się przelotem na Sayshell. Podpisaliśmy deklarację neutralności i pakt o przyjaźni. Nie żądał nic więcej. Byliśmy jedynymi, od których nie żądał niczego więcej, zanim choroba nie położyła kresu jego ekspansji i nie zmusiła go do czekania na śmierć. Wiecie, że był rozsądnym człowiekiem. Nie stosował siły bez rzeczywistej potrzeby, nie był krwiożercą i jego rządy były ludzkie.

— Tyle tylko, że był zdobywcą — powiedział szyderczo Trevize.

— Jak Fundacja — odparł Quintesetz.

Trevize nic wiedział, co odpowiedzieć, więc rzekł z irytacją:

— Ma pan jeszcze coś do powiedzenia na temat Gai?

— Tylko to, co powiedział Muł. Według relacji z historycznego spotkania Muła z prezydentem Kalio, Muł miał powiedzieć, złożywszy swój ozdobny podpis na dokumencie: „Na mocy tego dokumentu jesteście neutralni nawet w stosunku do Gai i powinniście się z tego cieszyć. Nawet ja nie ośmielę zbliżyć się do Gai".

Trevize potrząsnął głową. — A dlaczego miałby to robić? Sayshell chętnie zgodził się na neutralność, a Gaja nigdy nikogo nie niepokoiła. Muł planował w tym czasie podbój całej Galaktyki, więc nie chciał tracić czasu na drobiazgi. Kiedy podbiłby Galaktykę, miałby czas wziąć się za Sayshell i za Gaje.

— Być może, być może — powiedział Quintesetz — ale zgodnie z relacją naocznego świadka, osoby wiarygodnej, Muł miał odłożyć pióro mówiąc „Nawet ja nie ośmielę zbliżyć się do Gai". Głos mu się wtedy załamał i dokończył szeptem, ale nikt nie słyszał: „po raz drugi".

— „Ale nikt nie usłyszał", mówi pan. No to jak to się stało, że ktoś to jednak usłyszał?

— Bo kiedy położył pióro na stół, stoczyło się ono na ziemię. Nasz rodak machinalnie schylił się, aby je podnieść i jego ucho znalazło się blisko ust Muła, kiedy ten mówił „po raz drugi". Dlatego to usłyszał. Nic nie mówił, dopóki Muł żył.

— Jak pan może udowodnić, że tego nie zmyślił?

— Całe życie tego człowieka dowodzi, że nie jest prawdopodobne, aby był to jego wymysł. Jego relacja jest uważana za prawdziwą.

— A jeśli nie jest prawdziwa?

— Muł, z wyjątkiem tego jednego razu, nigdy nie pojawił się ani w Związku Sayshellskim, ani nawet w jego pobliżu. Przynajmniej od czasu, kiedy pojawił się na galaktycznej scenie. Jeśli kiedykolwiek był na Gai, to musiało to mieć miejsce, zanim pojawił się na tej scenie.

— A więc?

— A więc gdzie Muł się urodził?

— Nie sądzę, żeby ktoś to wiedział — rzekł Trevize.

— Tu, w Związku Sayshellskim, panuje opinia, że urodził się na Gai.

— Z powodu tych trzech słów?

— Częściowo. Są i inne powody. Muła nie można było pokonać, gdyż dysponował niezwykłą siłą psychiczną. Gai też nie można pokonać.

— To, że Gaja nie została dotąd przez nikogo pokonana, niekoniecznie znaczy, że nie można jej pokonać.

— Nawet Muł nie ośmielił się do niej zbliżyć.

Niech pan przejrzy kroniki jego panowania. Niech pan sprawdzi,

czy jakikolwiek inny rejon został przez niego tak łagodnie potraktowany jak Związek Sayshellski. I jeszcze jedno… Wie pan, że nikt, kto kiedykolwiek udał się na Gaje w celach handlowych i w pokojowych zamiarach, stamtąd nie powrócił? Jak pan myśli, dlaczego wiemy o niej tak mało?

— Macie niemal zabobonny lęk przed Gają — rzekł Trevize.

— Może pan to nazwać, jak pan chce. Od czasów Muła usunęliśmy Gaje z naszych myśli. Nie chcemy, żeby oni o nas myśleli. Czujemy się bezpiecznie dopóki udajemy, że jej w ogóle nie ma. Nie jest wykluczone, że rząd celowo wymyślił i rozpowszechnił tę legendę o przejściu Gai do nadprzestrzeni, mając nadzieję, że ludzie zapomną, iż naprawdę istnieje gwiazda o tej nazwie.

— A zatem uważa pan, że Gaja jest światem Mułów?

— To zupełnie możliwe. Radzę wam, dla waszego dobra, żebyście tam nie lecieli. Jeśli polecicie, to już nigdy stamtąd nie wrócicie. Jeśli Fundacja zainteresuje się Gają, to okaże się, że ma mniej rozsądku, niż miał Muł. Może to pan powiedzieć waszemu ambasadorowi.

— Niech pan zdobędzie dla nas współrzędne Gai i natychmiast wyniesiemy się z Sayshell. Polecę na Gaje i powrócę.

— Zdobędę dla was te współrzędne — powiedział Quintesetz. — Wydział Astronomii pracuje oczywiście w nocy i jeśli będę mógł, załatwię wam to zaraz… Ale radzę wam jeszcze raz, żebyście nie próbowali dostać się na Gaje.

— Mam zamiar spróbować — rzekł stanowczo Trevize.

— A więc ma pan zamiar popełnić samobójstwo — rzekł głucho Quintesetz.

Rozdział XIV
NAPRZÓD

55.

Janov Pelorat popatrzył na krajobraz wyłaniający się z ciemności w szarym brzasku przedświtu z dziwnym uczuciem żalu zmieszanego z niepewnością.

— Nie zagrzaliśmy tu długo miejsca, Golan. Ten świat wydaje się zupełnie miły i interesujący. Chciałbym go lepiej poznać.

Trevize podniósł głowę znad komputera i rzekł z wymuszonym uśmiechem:

— A myślisz, że ja bym nie chciał? Zdążyliśmy tu zjeść zaledwie trzy posiłki. Każdy różnił się od poprzedniego, a wszystkie były znakomite. Chciałbym spróbować innych dań. A kobiety? Widzieliśmy ich niewiele i na krótko, a niektóre z nich były bardzo pociągające i w sam raz do… no, tego, o czym myślę.

Pelorat lekko zmarszczył nos. — Ach, drogi przyjacielu, te dzwonki i piszczałki, które nazywają butami, te gryzące się kolory ich ubrań… nie! A co one wyprawiają ze swoimi powiekami! Zauważyłeś, jakie mają powieki?

— Możesz być pewien, Janov, że zauważyłem wszystko, co trzeba. To, co ci się w nich nie podoba, jest akurat najmniej istotne. Na pewno dałyby się bez trudu przekonać, żeby zmyć makijaż, a jeśli chodzi o buty i kolorowe ciuchy, to w odpowiednim momencie idą one w kąt.

— Wierzę ci na słowo, Golan — rzekł Pelorat. — Ale ja myślałem o czym innym — o dokładniejszym zbadaniu sprawy Ziemi. To, czego dowiedzieliśmy się do tej pory, jest zupełnie niezadowalające i tak sprzeczne — według jednej osoby radiacja, według innej — roboty…

— Ale w obu wersjach koniec taki sam — śmierć.

— Prawda — zgodził się niechętnie Pelorat — ale może być tak, że jedna wersja jest prawdziwa, a druga nie, albo że obie są w pewnym stopniu prawdziwe, albo że żadna nie jest prawdziwa. Kiedy słyszysz opowieści, które otaczają jakąś sprawę gęstą mgłą tajemnicy, to na pewno korci cię, żeby zbadać, jak ta sprawa rzeczywiście wygląda.

— Korci mnie — powiedział Trevize. — Na wszystkie białe karły Galaktyki, korci mnie, i to jak! Teraz jednak najważniejsza jest Gaja. Kiedy już załatwimy tę sprawę, możemy lecieć na Ziemię albo wrócić z powrotem na Sayshell i zostać tu dłużej. Ale najpierw Gaja.

Pelorat pokiwał głową. — Najważniejsza jest Gaja! Jeśli wierzyć temu, co mówił nam Quintesetz, to na Gai czeka nas śmierć. Czy powinniśmy tam lecieć?

— Sam sobie zadaję to pytanie — odparł Trevize. — Boisz się?

Pelorat zastanawiał się przez chwilę, jak gdyby badał, co czuje, a

potem powiedział krótko i rzeczowo:

— Tak. Okropnie!

Trevize wyprostował się w fotelu i odwrócił do Pelorata. Rzekł równie spokojnie i rzeczowo, jak przed momentem Pelorat:

— Janov, nie ma żadnego powodu, żebyś leciał ze mną i narażał swe życie. Powiedz tylko, że nie chcesz, a zostawię cię na Sayshell z twoimi rzeczami i połową naszych kredytów. Zabiorę cię, kiedy wrócę i, jeśli chcesz, polecimy do sektora Syriusza, na Ziemię, jeśli tam się ona znajduje. A jeśli nie wrócę, to nasi ludzie na Sayshell zatroszczą się o ciebie i odstawią z powrotem na Terminusa. Nie obrażę się, jeśli nie polecisz ze mną, stary druhu.

Pelorat szybko zamrugał oczami i zacisnął usta. Potem rzekł nieco szorstkim tonem:

— Stary druhu? Tak długo się znamy? Ile to minęło od naszego pierwszego spotkania — tydzień czy coś koło tego, prawda? Czy to nie dziwne, że nie chcę cię zostawić? Boję się, ale chcę zostać z tobą.

Trevize rozłożył bezradnie ręce. — Ale dlaczego? Naprawdę nie żądam tego od ciebie.

— Nie wiem dlaczego. Sam się nad tym zastanawiam. Chyba… chyba dlatego, Golan, że wierzę w ciebie. Zdaje mi się, że zawsze wiesz, co robisz. Chciałem lecieć na Trantor, gdzie prawdopodobnie — widzę to teraz — nic bym nie znalazł. Ty nalegałeś, żeby lecieć na Gaje i Gaja musi być jakimś — jakby to powiedzieć — czułym miejscem Galaktyki. Wydaje się, że wszystko, co się dzieje, ma z nią jakiś związek. A jeśli to nie wystarczy, Golan, to widziałem przecież, jak zmusiłeś Quintesetza, żeby podał ci te informacje na temat Gai. To był wspaniały blef. Nie mogłem wyjść z podziwu dla twojej zręczności.

— A zatem wierzysz we mnie.

— Tak — odparł Pelorat.

Trevize położył dłoń na jego ramieniu i przez chwilę zdawał się szukać odpowiednich słów. W końcu powiedział:

— Janov, czy możesz mi z góry przebaczyć, jeśli okaże się, że się pomyliłem i jeśli w taki czy inny sposób spotkasz się z… czymś nieprzyjemnym, co może nas tam czekać?

— Ależ, przyjacielu, dlaczego mnie o to pytasz? — żachnął się Pelorat. — Podjąłem tę decyzję z własnej, nieprzymuszonej woli i mam ku temu własne powody. I, proszę, ruszajmy jak najszybciej. Nie jestem pewien, czy za chwilę nie wylezie ze mnie tchórz i nie zrobię czegoś, czego wstydziłbym się przez resztę życia.

— Jak chcesz, Janov — powiedział Trevize. — Wystartujemy, jak tylko pozwoli na to komputer. Tym razem polecimy grawitacyjnie, prosto do góry, kiedy tylko będziemy mieli pewność, że w atmosferze nad nami nie ma innych statków. A gdy znajdziemy się w rzadszych warstwach atmosfery, zwiększymy szybkość. W ciągu godziny

będziemy w otwartej przestrzeni.

— Dobrze — rzekł Pelorat i zerwał pokrywkę z plastykowego pojemniczka z kawą. Z otworu niemal natychmiast buchnęła para. Pelorat przyłożył dzióbek do ust i zaczął popijać kawę małymi łykami, czerpiąc przy tym tylko tyle powietrza, ile było trzeba, żeby się nie poparzyć.

Trevize wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Wspaniale sobie z tym radzisz. Stałeś się prawdziwym wygą przestrzeni, Janov.

Pelorat przyglądał się przez chwilę plastykowemu pojemnikowi. — Teraz, kiedy mamy statki, które mogą wytwarzać i zmieniać pole grawitacyjne według naszego życzenia, możemy chyba używać zwykłych naczyń, co? — powiedział.

— Oczywiście, ale nie tak łatwo skłonić ludzi przestrzeni, żeby porzucili swoje tradycje. Jak stary wyga przestrzeni miałby utrzymać dystans dzielący od niego szczura lądowego, jeśli by używał zwykłego kubka? Widzisz te pierścienie na ścianach i na suficie? Stosuje się je w statkach kosmicznych od dwudziestu tysięcy lat, ale w statkach poruszających się z wyzyskaniem siły grawitacji są one zupełnie niepotrzebne. Mimo to mamy je tutaj — i postawię ten statek przeciw filiżance kawy, że nasz wyga będzie udawał, iż przy starcie działa na niego taka siła, że jest bliski uduszenia, a potem będzie się poruszał, czepiając się tych pierścieni, jak gdyby grawitacja równała się zeru, podczas kiedy byłoby g — 1, to znaczy byłaby normalna w obu przypadkach.

— Żartujesz!

— No, może trochę, ale ludzie zawsze przyjmują nowości z oporami. Nawet postęp technologiczny. No i dzięki temu mamy te niepotrzebne pierścienie na ścianach i kubki z dzióbkami.

Pelorat pokiwał głową w zamyśleniu i dalej popijał swoją kawę. — A kiedy wystartujemy? — zapytał po chwili.

Trevize roześmiał się głośno i powiedział:

— Nabrałem cię. Zacząłem mówić o tych pierścieniach i nawet się nie zorientowałeś, że akurat w tym czasie zaczęliśmy się wznosić. Jesteśmy już milę nad powierzchnią planety.

— Nie mówisz poważnie. — No to wyjrzyj.

Pelorat wyjrzał i powiedział: — Absolutnie nic nie czułem.

— Bo nie powinieneś nic czuć.

— Czy nie łamiemy przepisów? Chyba powinniśmy się kierować sygnałem radiowym i wznosić się stopniowo, okrążając planetę tak, jak przy lądowaniu.

— A po co? Nikt nas nie zatrzyma, Janov. Absolutnie nikt.

— A kiedy lądowaliśmy, to mówiłeś…

— Wtedy była inna sytuacja. Nie byli zadowoleni z faktu, że przylatujemy, ale nie posiadają się ze szczęścia, że odlatujemy.

— Dlaczego tak mówisz, Golan? Jedyną osobą, z którą rozmawialiśmy o Gai, był Quintesetz, a on odradzał nam tę podróż.

— Nie bądź naiwny, Janov. To były pozory. Chciał mieć pewność, że polecimy na Gaje… Mówiłeś, że nie mogłeś wyjść z podziwu dla mojej zręczności i tego blefu, dzięki któremu wyciągnąłem z Quintesetza to, czego mi było trzeba. Otóż wcale nie zasłużyłem na twój podziw. Przekazałby mi te informacje, nawet gdybym w ogóle nic nie zrobił. A gdybym próbował zatkać uszy, to darłby się na całe gardło, żebym tylko to usłyszał.

— Dlaczego tak mówisz, Golan? To szaleństwo.

— Paranoja? Tak, wiem. — Trevize odwrócił się do komputera i skontaktował się z .nim. — Nie zatrzymują nas — powiedział. — Nie ma w pobliżu żadnego statku, nie ma żadnego ostrzeżenia.

Znowu okręcił się z fotelem w stronę Pelorata. — Powiedz mi, Janov, jak natrafiłeś na informację o Gai? Wiedziałeś o niej, kiedy jeszcze byliśmy na Terminusie. Wiedziałeś, że leży w sektorze Sayshell. Wiedziałeś, że jej nazwa znaczy „Ziemia". Gdzie o tym wszystkim usłyszałeś?

Pelorat jakby się żachnął. — Gdybym był w swoim gabinecie na Terminusie — powiedział — to mógłbym przejrzeć fiszki. Nie wszystko zabrałem ze sobą… a na pewno nie materiały, w których po raz pierwszy natknąłem się na takie czy inne dane.

— No, pomyśl o tym — powiedział ponuro Trevize. — Weź pod uwagę, że sami Sayshellczycy mają w tej sprawie usta zamknięte na kłódkę. Żywią tak wielką niechęć do mówienia o Gai, że celowo podtrzymują i rozpowszechniają przesądy prostych ludzi z tego sektora, którzy święcie wierzą, że nie ma takiej planety w zwykłej przestrzeni. Mogę ci powiedzieć coś jeszcze. Popatrz tu!

Trevize obrócił się do komputera, kładąc dłonie we wgłębieniach z szybkością i wprawą, jakie daje długa praktyka. Kiedy znalazły się już na właściwych miejscach, poczuł z przyjemnością ciepły dotyk komputera, który zdawał się je przyjaźnie ściskać. Jak zwykle, poczuł też, że jego wola jak gdyby sięga do wnętrza maszyny.

— Oto mapa Galaktyki, która znajdowała się w pamięci komputera, kiedy lądowaliśmy na Sayshell — powiedział. — Chcę ci pokazać tę jej część, która przedstawia niebo widziane nocą z Sayshell, tak jak my je oglądaliśmy minionej nocy.

Światło w kabinie zgasło i na ekranie pojawił się obraz nieba.

— Tak samo piękne, jak wtedy, kiedy oglądaliśmy je z Sayshell — rzekł cicho Pelorat.

— Jeszcze piękniejsze — powiedział ze zniecierpliwieniem Trevize. — Nie przesłaniają go żadne zjawiska atmosferyczne, nie ma chmur, nie niknie za horyzontem. Zaczekaj, zrobię zbliżenie.

Obraz przesuwał się, dzięki czemu Pelorat miał niemiłe uczucie,

że to oni się poruszają. Instynktownie złapał się za poręcz fotela.

— O, tam! — rzekł Trevize. — Poznajesz to?

— Oczywiście. To Pięć Sióstr, ten pięciobok utworzony z gwiazd, który pokazał nam Quintesetz. Nie można go pomylić z niczym innym.

— Faktycznie. Ale gdzie jest Gaja?

Pelorat aż zamrugał oczami z wrażenia. W środku pięcioboku nie było żadnej gwiazdy.

— Nie ma jej tu — powiedział.

— Zgadza się. Nie ma jej tu. A to dlatego, że jej współrzędnych nie ma w pamięci komputera. Ponieważ jest nieprawdopodobne, że do pamięci komputera wprowadzono specjalnie, z myślą o nas, niekompletne dane dotyczące tego regionu, to wypływa stąd prosty wniosek, że galaktografowie z Fundacji, którzy wprowadzali te dane — i którzy dysponowali ogromną liczbą informacji — nie wiedzieli nic o Gai.

— Przypuszczasz, że gdybyśmy polecieli na Trantor… — zaczął Pelorat.

— Przypuszczam, że tam też nie znaleźlibyśmy żadnych danych dotyczących Gai. Jej istnienie jest trzymane w tajemnicy przez Sayshellczyków, a nawet — podejrzewam — przez samych Gajan. Ty sam powiedziałeś parę dni temu, że nierzadko zdarza się, iż pewne światy celowo starają się, aby zapomniano o ich istnieniu, gdyż w ten sposób unikają płacenia podatków czy mieszania się innych do ich spraw.

— Kiedy galaktografowie albo statystycy — powiedział Pelorat — napotykają takie światy, to zazwyczaj okazuje się, że leżą one w rzadko zaludnionych częściach Galaktyki. To właśnie odizolowanie od innych światów sprawia, że mogą ukryć fakt swego istnienia. A Gaja nie jest odizolowana.

— Zgadza się. I to jest jeszcze jedna przyczyna, dla której jest to sprawa niezwykła. A więc zostawmy tę mapę na ekranie, żebyśmy wspólnie mogli rozmyślać nad zaskakującą niewiedzą naszych galaktografów… i pozwól, że powtórzę swoje pytanie… gdzie — w świetle tej niewiedzy ludzi, którzy powinni o tym wiedzieć — usłyszałeś o Gai?

— Zbierałem dane o mitach dotyczących Ziemi, o legendach o niej, o jej historii przez ponad trzydzieści lat. Jak, drogi przyjacielu, mogę ci odpowiedzieć, nie mając ze sobą wszystkich zapisków…

— Możemy zacząć od jakiejś daty, Janov. Czy dowiedziałeś się o tym, powiedzmy, w pierwszych piętnastu, czy w ostatnich piętnastu latach swoich poszukiwań?

— Och, jeśli na to patrzeć tak szeroko, to na pewno było to później.

— Na pewno możesz podać bardziej dokładną datę. Załóżmy, że

dowiedziałeś się o Gai w ostatnich paru latach.

Trevize spojrzał na Pelorata, ale w ciemności nie mógł nic wyczytać z jego twarzy, włączył więc słabe oświetlenie. W konsekwencji niebo widoczne na ekranie utraciło nieco ze swego majestatycznego piękna. Twarz Pelorata była nieruchoma jak kamień i nic nie pokazywała.

— No więc? — nalegał Trevize.

— Myślę — odparł Pelorat spokojnie. — Może masz rację. Nie mogę przysiąc, że tak było. Kiedy pisałem do Jimbora z Uniwersytetu w Ledbet, nie wspomniałem nic o Gai, chociaż w tym przypadku powinienem był to zrobić, a było to… zaraz… W 95, to znaczy trzy lata temu. Myślę, że masz rację, Golan.

— A jak na nią natrafiłeś? — pytał dalej Trevize. — W korespondencji? W książce? W artykule naukowym? W jakiejś starożytnej pieśni? Jak? No mów!

Pelorat usiadł głębiej w fotelu i założył ręce na piersi. Zamyślił się głęboko i siedział bez ruchu. Trevize nic nie mówił. Czekał.

W końcu Pelorat powiedział:

— W prywatnej korespondencji… Ale nie pytaj mnie z kim. Nie pamiętam.

Trevize wytarł dłonie o pas. Zwilgotniały mu z wysiłku, który wkładał w wydobycie z Pelorata interesujących informacji, powstrzymując się jednocześnie od podpowiadania mu odpowiedzi. Spytał:

— W korespondencji z kim? Z historykiem? A może z jakimś ekspertem od mitologii? A może z galaktografem?

— To bez sensu. Nie potrafię tego skojarzyć z żadnym nazwiskiem.

— A może po prostu nie było żadnego nazwiska?

— O nie, to raczej niemożliwe.

— Dlaczego? Zignorowałbyś anonimową informację?

— Chyba nie.

— A dostałeś kiedy taką?

— Czasem się zdarzało, ale rzadko. W ostatnich latach stałem się znany w pewnych kręgach naukowych jako zbieracz pewnego typu legend i mitów i niektórzy z uczonych, z którymi utrzymywałem korespondencję, przysyłali mi czasami materiały, które uzyskali z nienaukowych źródeł. Niekiedy nie można ich było przypisać żadnej konkretnej osobie.

— Dobrze, ale czy kiedykolwiek zdarzyło ci się otrzymać takie anonimowe informacje bezpośrednio, a nie za pośrednictwem innych uczonych?

— To się czasami zdarzało, ale bardzo rzadko.

— A jesteś pewien, że nie zdarzyło się tak w przypadku Gai?

— Takie, anonimowe listy były tak rzadkie, że sądzę, że na pewno bym zapamiętał, gdyby miało to miejsce w tym przypadku. Mimo to, nie mogę z całą pewnością stwierdzić, że nie była to informacja anonimowa. Zauważ jednak, że nie znaczy to, iż otrzymałem ją z anonimowego źródła.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Ale jednak istnieje taka możliwość, prawda?

Pelorat rzekł z ociąganiem:

— Myślę, że tak. Ale po co ci to?

— Jeszcze nie skończyłem — rzekł z naciskiem Trevize. — Skąd dostałeś tę informację? Mniejsza z tym, czy była anonimowa, czy nie. Z jakiego świata?

Pelorat wzruszył ramionami. — Daj spokój, nie mam najmniejszego pojęcia.

— Przypadkiem nie z Sayshell?

— Mówiłem ci już, że nie wiem.

— A ja myślę, że otrzymałeś ją z Sayshell.

— Myśl sobie, co chcesz, ale to wcale nie znaczy, że było tak, jak myślisz.

— Nie? Kiedy Quintesetz wskazał niezbyt jasną gwiazdę leżącą w środku gwiazdozbioru Pięciu Sióstr, od razu wiedziałeś, że to Gaja. Powiedziałeś to Quintesetzowi, zanim zdążył wymienić jej nazwę. Pamiętasz?

— Oczywiście, że pamiętam.

— Jak to możliwe, że od razu się zorientowałeś? Jak wpadłeś na to, że ta gwiazda to Gaja?

— Dlatego, że w tych materiałach na temat Gai, które udało mi się zdobyć, bardzo rzadko używa się jej właściwej nazwy. Zamiast tego występują w nich różne eufemizmy. Jeden, szczególnie często się powtarzający, to „mały Brat Pięciu Sióstr". Inny to „Środek Pięcioboku". Kiedy Quintesetz pokazał nam Pięć Sióstr i tę gwiazdę w środku, natychmiast przypomniałem sobie te aluzyjne nazwy.

— Nigdy wcześniej nie mówiłeś mi o nich.

— Nie wiedziałem, co znaczą i nie sądziłem, że warto rozmawiać o tym z tobą, jako że nie jesteś… — Pelorat zawahał się.

— Specjalistą?

— Tak.

— Zdajesz sobie sprawę, mam nadzieję, że pięcio — kątny kształ gwiazdozbioru Pięciu Sióstr to forma całkowicie względna.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Trevize roześmiał się szczerze. — Ty szczurze lądowy! Myślisz, że niebo ma samo w sobie jakiś obiektywny, stały kształt? Że gwiazdy tkwią w miejscu? Gwiazdozbiór Pięciu Sióstr ma kształt pięcioboku wtedy, kiedy ogląda się go ze światów systemu planetarnego, do

którego należy Sayshell, i tylko wtedy. Z planety krążącej wokół jakiejkolwiek innej gwiazdy gwiazdozbiór ten wygląda inaczej, ma inny kształt. Po pierwsze, ogląda się go pod innym kątem. Po drugie, każda z pięciu gwiazd, które tworzą ten pięciobok, znajduje się w innej odległości od Sayshell niż pozostałe i jeśli spojrzeć na nie pod innym kątem, to może się okazać, że nie tworzą one żadnej figury. Jedna albo dwie gwiazdy mogą się znaleźć na jednej połowie nieba, a reszta na drugiej. Popatrz…

Trevize ponownie zgasił światło i pochylił się nad komputerem. — Związek Sayshellski tworzy osiemdziesiąt sześć zamieszkanych systemów planetarnych. Zostawmy Gaje — albo to miejsce, w którym powinna znajdować się Gaja — tak, jak jest (kiedy to mówił, na ekranie w środku pięciokąta utworzonego przez Pięć Sióstr pojawiło się czerwone kółeczko) i zobaczymy obraz nieba, które widać z któregoś z tych osiemdziesięciu sześciu systemów. Wybierzemy jakiś na chybił trafił.

Obraz przesuwał się i Pelorat zamrugał oczami. Pośrodku ekranu nadal widać było czerwone kółeczko, ale Pięć Sióstr zniknęło. W sąsiedztwie czerwonego kółka znajdowały się co prawda jasne gwiazdy, ale nie tworzyły one pięcioboku. Trevize ponownie zmienił obraz, potem powtarzał to kilkakrotnie. Za każdym razem czerwone kółko znajdowało się w tym samym miejscu, ale ani razu nie pojawił się na ekranie pięciobok utworzony przez kilka jasnych gwiazd. Parę razy pokazało się coś, co można było od biedy uznać za pięciokąt, ale tworzące go gwiazdy były różnej jasności i w niczym nie przypominały pięknego gwiazdozbioru, który pokazał nam Quintesetz.

— Wystarczy? — spytał Trevize. — Zapewniam cię, że Pięć Sióstr w takim układzie, w jakim my je widzieliśmy, można zobaczyć tylko ze światów należących do tego samego systemu planetarnego co Sayshell i poza tym z żadnego innego miejsca w Galaktyce.

— Może widok nieba z Sayshell stał się znany na innych planetach — powiedział Pelorat. — W czasach Imperium w całej Galaktyce znane były przysłowia, które odnosiły się do realiów trantorskich. Część z nich dotrwała nawet do naszych czasów.

— Przy tej niechęci Sayshellczyków do mówienia o Gai? A zresztą dlaczego niby miałoby to interesować jakieś światy nie należące do Związku Sayshellskiego? Co ich mieszkańców obchodzi jakiś „mały Brat Pięciu Sióstr”, jeśli na niebie nad nimi nie ma żadnej gwiazdy, do której można by odnieść tę nazwę?

— Może masz racje.

— Widzisz zatem, że pierwsza informacja, którą uzyskałeś na ten temat, musiała pochodzić z samego Sayshell? Nie z jakiegoś dowolnego miejsca w Związku, ale dokładnie z tego systemu planetarnego, do którego należy stołeczny świat Związku.

Pelorat potrząsnął głową. — W twoich ustach brzmi to tak, jakby rzeczywiście musiała stamtąd pochodzić, ale niestety nie pamiętam, skąd ją dostałem. Po prostu nie pamiętam.

— Niemniej jednak zgadzasz się, że moje argumenty silnie za tym przemawiają, co?

— Tak.

— Idźmy dalej. Jak sądzisz, kiedy powstała ta legenda?

— A skąd mam wiedzieć? Przypuszczam, że jeszcze w epoce Imperium. Jest w niej antyczny klimat…

— Mylisz się, Janov. Gwiazdozbiór Pięciu Sióstr znajduje się dość blisko planety Sayshell. Właśnie dlatego świecą one tak — jasno. W rezultacie tego cztery z nich poruszają się dość szybko, a ponieważ nic ma wśród nich dwóch należących do tej samej rodziny, to zbliżają się z różnych kierunków. Popatrz, co się będzie działo, kiedy przesunę wolno obraz o jakiś czas wstecz.

I tym razem czerwone kółko oznaczające Gaje pozostało na miejscu, ale pięciokąt rozpadł się, gdyż cztery z tworzących go gwiazd odsunęły się w różne strony, a piąta lekko się przesunęła.

— Popatrz na ten widok, Janov — powiedział Trevize. — Czy uważasz, że jest to regularny pięciokąt?

— Jest wyraźnie skrzywiony — odparł Pelorat.

— A Gaja jest w środku?

— Nie, zupełnie z boku.

— Bardzo dobrze. Oto, jak ten układ wyglądał sto pięćdziesiąt lat temu. Półtora wieku, to wszystko… Materiały dotyczące „Środka Pięcioboku" i tak dalej, które od kogoś dostałeś, aż do naszego stulecia nie miały sensu nigdzie, nawet na Sayshell, bo nie opisywały żadnego rzeczywistego zjawiska. Musiały powstać na Sayshell, i to w naszym stuleciu, może nawet w ostatniej dekadzie. A co dziwniejsze, dostałeś je, mimo iż Sayshellczycy nie chcą w ogóle rozmawiać o Gai.

Trevize włączył światło, zgasił ekran i siedział, patrząc surowo na Pelorata.

— Nie mogę się w tym połapać — powiedział Pclorat. — O co tu chodzi?

— Ty mi to powiedz. Zastanów się! Przyszło mi kiedyś nagle do głowy, że Druga Fundacja nadal istnieje. Wygłaszałem akurat przemówienie podczas swojej kampanii wyborczej. Chcąc uzyskać głosy tych, którzy się jeszcze nie zdecydowali, postanowiłem zagrać na ich uczuciach i zacząłem dramatyczne: „Jeśli Druga Fundacja nadal istnieje…", a potem, tego samego dnia sam sobie zadałem pytanie: „A jeśli faktycznie nadal istnieje?" Zacząłem studiować książki historyczne i po tygodniu byłem przekonany, że tak jest. Nie było właściwie żadnych dowodów, ale zawsze czułem, że mam jakiś dar wyciągania właściwych wniosków z gmatwaniny nieskładnych

informacji. Chociaż tym razem…

Trevize zamyślił się, ale po chwili podjął na nowo. — No i popatrz tylko, co się zdarzyło od tamtej pory. Spośród różnych ludzi wybrałem i obdarzyłem zaufaniem akurat Compora, a on mnie zdradził. Na skutek tego burmistrz Branno kazała mnie aresztować i skazała na wygnanie. Dlaczego akurat na wygnanie, skoro mogła mnie po prostu uwięzić albo zmusić do milczenia? I dlaczego dała mi najnowszy model statku, którym mogę przelecieć całą Galaktykę praktycznie jedną serią skoków? A przede wszystkim dlaczego tak jej zależało, żebym zabrał ze sobą ciebie i pomógł ci odnaleźć Ziemię?

Dalej — dlaczego byłem tak pewien, że nie powinniśmy lecieć na Trantor? Byłem przekonany, że potrafisz wskazać lepszy cel naszych poszukiwań i od razu wyskoczyłeś z tą tajemniczą Gają, o której informacje — jak się teraz okazuje — dostałeś w nader zagadkowych okolicznościach.

Lecimy zatem na Sayshell, gdzie z naturalnych względów powinniśmy się zatrzymać po — raz pierwszy w tej podróży i od razu natykamy się na Compora, który przypadkowo opowiada nam historię Ziemi i jej zniszczenia. Potem zapewnia nas, że leży ona w sektorze Syriusza i nalega, żebyśmy tam polecieli.

— Tu cię mam! — powiedział Pelorat. — Zdajesz się sugerować, że wszystkie okoliczności tak się układają, żeby zmusić nas do lotu na Gaje, a tymczasem — jak sam mówisz — Compor próbował nas przekonać, żebyśmy polecieli gdzie indziej.

— W reakcji na co, przez zwykłą nieufność do niego, uparłem się, żebyśmy trzymali się naszego pierwotnego planu. Nie wydaje ci się, że mogło mu właśnie o to chodzić? Być może powiedział nam, żebyśmy polecieli gdzie indziej właśnie po to, żebyśmy nigdzie indziej nie lecieli.

— To czysta fantazja — mruknął Pelorat.

— Tak? No to idźmy dalej. Skontaktowaliśmy się z Quintesetzem po prostu dlatego, że znajdował się pod ręką…

— Nic podobnego — żachnął się Pelorat. — Znałem to nazwisko.

— Wydawało ci się, że gdzieś się z nim zetknąłeś. Nigdy nie przeczytałeś żadnej jego pracy… w każdym razie nie możesz sobie tego przypomnieć. Więc skąd znałeś to nazwisko?… W rezultacie okazało się, że czytał jakiś twój artykuł i był nim zachwycony. Czy to możliwe? Sam przyznajesz, że twoje prace nie są szeroko znane.

Co więcej, ta kobieta, która prowadzi nas do niego, zupełnie przypadkowo wymienia nazwę Gai i mówi nam, że znajduje się ona w nadprzestrzeni, zupełnie jakby chciała, żebyśmy to sobie dobrze zapamiętali.

Kiedy pytamy o Gaje Quintesetza, zachowuje się tak, jakby nie chciał o niej mówić, ale nie wyrzuca nas z gabinetu — nawet wtedy,

kiedy zwracam się do niego obcesowo i niegrzecznie. Zamiast tego zaprasza nas do siebie do domu, a po drodze zadaje sobie trud wskazania nam Pięciu" Sióstr. Upewnia się nawet, że dostrzegamy ciemniejszą gwiazdę w środku tego gwiazdozbioru. Dlaczego? Czy to nie jest zadziwiający zbieg okoliczności?

— Jeśli przedstawiasz to wszystko w taki sposób… — rzekł Pelorat.

— Możesz to przedstawić w jakikolwiek inny sposób, jeśli chcesz — powiedział Trevize. — Ja nie wierzę w zadziwiające zbiegi okoliczności.

— A zatem co to wszystko ma znaczyć? Że ktoś zabiega o to, żebyśmy polecieli na Gaje?

— Tak.

— Ale kto?

— Co do tego nie może być żadnych wątpliwości — odparł Trevize. — Kto potrafi wpływać na myśli innych ludzi, popychać ich w takim czy innym kierunku, sterować rozwojem wydarzeń?

— Chcesz powiedzieć, że to Druga Fundacja?

— No, a czego dowiedzieliśmy się o Gai? Jest nietykalna. Każda flota, która skieruje się w jej stronę, jest niszczona. Ludzie, którym udało się na nią dostać, nigdy nie wracają. Nawet Muł nie ośmielił się wystąpić przeciw niej… a Muł — nawiasem mówiąc — prawdopodobnie właśnie tam się urodził. Wszystko zdaje się wskazywać, że Gaja to Druga Fundacja, a odkrycie jej jest w końcu moim celem.

Pelorat potrząsnął głową. — Ale przecież według niektórych historyków Druga Fundacja powstrzymała Muła przed dalszymi podbojami. Jak byłoby to możliwe, gdyby był jednym z nich?

— Przypuszczam, że był renegatem.

— Ale dlaczego Druga Fundacja miałaby tak zabiegać o to, żebyśmy lecieli właśnie na Drugą Fundację?

Trevize zmarszczył czoło. Jego wzrok błądził po ścianach kabiny.

— Zastanówmy się — powiedział. — Wydaje się, że Drugiej Fundacji zawsze bardzo zależało na tym, aby Galaktyka wiedziała o niej jak najmniej. Najchętniej zatailiby w ogóle sam fakt swego istnienia. Tyle o nich wiemy. Przez sto dwadzieścia lat uważano, że Druga Fundacja już nie istnieje i musiało to im idealnie odpowiadać. A jednak kiedy zacząłem podejrzewać, że nadal istnieją, nie zrobili nic. Compor wiedział o moich podejrzeniach. Mogli kazać mu uciszyć mnie w taki czy inny sposób… nawet zabić. A jednak nic zrobili nic.

— Postarali się o to, żeby cię aresztowano, jeśli to też kładziesz na karb Drugiej Fundacji — powiedział Pelorat. — Zgodnie z tym, co mi powiedziałeś, skutek tego był taki, że mieszkańcy Terminusa nie dowiedzieli się o twoich podejrzeniach. Udało się to Drugiej Fundacji

osiągnąć bez użycia siły, a nie wykluczone, że są oni zwolennikami maksymy Sal — vora Hardina, iż „Siła to ostateczność, do której uciekają się nieudolni".

— Ale utrzymywanie tego w tajemnicy przed ogółem na Terminusie nic im nie daje. O moich podejrzeniach wic burmistrz Branno i — w najgorszym razie — musi się zastanawiać, czy nie mam racji. A więc teraz, jak widzisz, jest już za późno, żeby mogli nam coś zrobić. Gdyby pozbyli się mnie od razu, to dobrze by na tym wyszli. Gdyby zostawili mnie zupełnie w spokoju, to też mogliby na tym dobrze wyjść — wystarczyło tylko, żeby przekonali ludzi na Terminusie, że jestem maniakiem, a może wariatem. Groźba ruiny mojej kariery politycznej spowodowałaby może, że sam bym zamilknął widząc, jakie skutki przynosi głoszenie poglądów takich, jak moje.

Ale teraz jest już za późno, żeby mogli cokolwiek zrobić. Burmistrz Branno nabrała wystarczających podejrzeń, aby wysłać za mną Compora i — nie dowierzając również jemu, co pokazuje, że była mądrzejsza i bardziej przezorna niż ja — umieścić na jego statku nadajnik nadprzestrzenny. Skutkiem tego wie, że jesteśmy na Sayshell. Ostatniej nocy, kiedy spałeś, poleciłem naszemu komputerowi, żeby wprowadził bezpośrednio do komputera naszego ambasadora na Sayshell informację, że jesteśmy w drodze na Gaje. Przekazałem też jej współrzędne. Jeśli teraz Druga Fundacja coś nam zrobi, to jestem pewien, że Branno poleci zbadać tę sprawę, a stać się przedmiotem jej zainteresowania, to na pewno coś, czego nie chcą.

— Czy troszczyliby się o to, żeby nie zwracać na siebie uwagi Fundacji, jeśli są tak potężni?

— Tak — odparł Trevize. — Trzymają się w ukryciu, dlatego że muszą mieć słabe punkty i dlatego, że Fundacja rozwinęła technikę do takiego poziomu, że prawdopodobnie nawet Seldbn nie potrafił tego przewidzieć. Sposób, w jaki starają się nas ściągnąć na swoją planetę — po cichu, prawie ukradkiem — zdaje się świadczyć, że bardzo dbają o to, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. A jeśli tak, to już przegrali, przynajmniej częściowo, bo zwrócili na siebie uwagę i wątpię, czy są w stanie coś zrobić, aby zmienić tę sytuację.

— Ale po co robią to wszystko? — rzekł Pelorat. — Dlaczego ściągają na siebie groźbę zguby — jeśli twoje rozumowanie jest prawidłowe — wabiąc nas z drugiego końca Galaktyki? Czego od nas chcą?

Trevize spojrzał na Pelorata i zaczerwienił się. — Janov — powiedział — wyczuwam o co im chodzi. Mam — jak mówiłem — dar wyciągania prawidłowych wniosków z prawie żadnych przesłanek. Czuję w takich przypadkach, że mam rację, jestem pewien, że mam rację — i tak jest też teraz. Otóż czuję, że mam coś, czego potrzebują,

i to tak bardzo, że gotowi byli zaryzykować swoje istnienie. Nie wiem, co to może być, ale muszę to odkryć, bo jeśli ja faktycznie mam coś takiego i jeśli jest to takie ważne, to chcę to wykorzystać w celu, który ja uważam za słuszny — wzruszył lekko ramionami. — No i jak, stary druhu, czy teraz, kiedy wiesz już, jaki ze mnie wariat, dalej chcesz lecieć ze mną?

— Powiedziałem ci już, że wierzę w ciebie — odparł Pelorat. — Nadal chcę z tobą lecieć.

Trevize roześmiał się z widoczną ulgą. — Znakomicie! Ponieważ czuję też, że z jakichś powodów również ty grasz ważną rolę w tej całej sprawie. W takim razie, Janov, lecimy na Gaje tak szybko, jak się tylko da. Naprzód!

56.

Burmistrz Harla Branno wyglądała na znacznie więcej niż sześćdziesiąt dwa lata. Nie zawsze tak wyglądała, ale zdarzało się. Była tak pogrążona w myślach, że zapomniała zerknąć w lustro przed wyjściem i zobaczyła swe odbicie dopiero w drodze do sali map. Wiedziała już więc, że wygląda okropnie.

Westchnęła. Pięć lat na stanowisku burmistrza, a jeszcze wcześniej, zanim uzyskała faktyczną władzę, dwanaście jako zwykła marionetka wyssało z niej życie. Wszystkie te lata były spokojne, wszystkie znaczone, sukcesami, a mimo to — wszystkie wyniszczające. Zastanawiała się, co by było, gdyby wszystko układało się według zupełnie innego schematu: napięcie — porażka — katastrofa.

„Dla mnie osobiście nie byłoby to takie straszne" — doszła nagle do konkluzji. Działanie miałoby ożywczy wpływ. Wyniszczyła ją właśnie ta okropna świadomość, że możliwe jest tylko bierne płynięcie z prądem.

To były sukcesy Planu Seldona i to Druga Fundacja troszczyła się o to, żeby trwały one nadal. Ona, która trzymała silną dłonią ster Fundacji (właściwie Pierwszej Fundacji, ale nikt na Terminusie nie myślał nawet o dodawaniu tego liczebnika), po prostu płynęła na fali.

Historia nie powie o niej nic albo niewiele. Siedziała przecież tylko za pulpitem sterowniczym statku kosmicznego, którym kierowano z zewnątrz.

Nawet Indbur III, który sprawował władzę, kiedy Fundację podbił Muł, coś zrobił. On przynajmniej upadł. Natomiast burmistrz Branno nie miała szans na nic!

Chyba że ten Golan Trevize, ten bezmyślny radny, ten piorunochron, stworzy jej szansę…

Patrzyła w zamyśleniu na mapę. Nie była to struktura z rodzaju tych, które tworzyły współczesne komputery. Był to raczej trójwymiarowy rój świateł, który odtwarzał widok Galaktyki pośrodku sali. Chociaż obrazu tego nie można było poruszyć, odwrócić, zmniejszyć ani powiększyć, to można było go okrążyć i spojrzeć nań z dowolnej strony.

Duża część Galaktyki, może jedna trzecia całości (wyłączając środek, gdzie nie mogło istnieć życie), przybrała czerwony kolor, kiedy nacisnęła odpowiedni przycisk. Była to Federacja Fundacji, ponad siedem milionów zamieszkanych światów, którymi rządziła Rada i ona, Branno. Siedem milionów zamieszkanych światów, które miały swych przedstawicieli w Izbie Światów, gdzie omawiano sprawy mniejszej wagi i poddawano je pod głosowanie, ale gdzie nigdy, absolutnie nigdy, nie zajmowano się niczym o poważniejszym

znaczeniu.

Nacisnęła inny przycisk i tu i tam; w pewnych rejonach przyległych do granic Federacji pojawiły się bladoróżowe obłoczki. Strefy wpływów. Nie należały one do Federacji, ale choć nominalnie niezależne i niepodległe nie śmiały nawet śnić o jakimkolwiek oporze wobec posunięć Fundacji.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że żadna siła w Galaktyce (nawet Druga Fundacja, gdyby tylko było wiadomo, gdzie się znajduje) nie może się przeciwstawić Fundacji, że Fundacja może, jeśli zechce, wysłać swe floty złożone z najbardziej nowoczesnych statków i po prostu od zaraz ustanowić Drugie Imperium.

Ale od początku Planu minęło dopiero pięćset lat.

Plan przewidywał utworzenie Drugiego Imperium dopiero po upływie tysiąca lat i Druga Fundacja na pewno zadba o to, żeby nie odstąpiono od Planu. Branno potrząsnęła ze smutkiem głową. Gdyby Fundacja przystąpiła teraz do działania, to przegrałaby. Choć jej statki były niezwyciężone i nic nie mogło im się oprzeć, działanie w chwili obecnej skazane było na niepowodzenie.

Chyba że Trevize, ich piorunochron, ściągnie na siebie grom z Drugiej Fundacji i będzie można ustalić, z jakiego miejsca spadł ten grom.

Rozejrzała się po sali. Gdzie jest Kodell? To nie jest czas, w którym mógł sobie pozwolić na spóźnienie. Mogłoby się wydawać, że ściągnęła go myślą, bo właśnie wkroczył do sali, przyjaźnie uśmiechnięty i — z tym swoim siwym wąsem i opaloną twarzą — wyglądający bardziej dobrodusznie niż zazwyczaj. Dobrodusznie, ale nie staro. Oczywiście, był przecież osiem lat młodszy od niej.

Jak on to robił, że nie było po nim w ogóle widać znużenia? Czyżby piętnaście lat pracy na stanowisku dyrektora Służby Bezpieczeństwa nie zostawiło na nim żadnego śladu?

57.

Kodell skinął lekko głową w formalnym ukłonie, który należało złożyć zaczynając rozmowę z burmistrzem. Była to tradycja sięgająca korzeniami do złych czasów Indburów. Od tamtej pory zmieniło się prawie wszystko, ale najmniej etykieta.

— Przepraszam za spóźnienie, pani burmistrz — powiedział — ale fakt aresztowania radnego Trevize zaczyna w końcu docierać do Rady, która budzi się z narkozy.

— Ach tak? — rzekła flegmatycznie Branno. — Zanosi się na przewrót pałacowy?

— Ależ skąd! Panujemy nad wszystkim. Niemniej jednak będzie hałas.

— Niech sobie hałasują. To im poprawi samopoczucie, a ja… ja zostanę na uboczu. Przypuszczam, że mogę liczyć na opinię publiczną?

— Myślę, że tak. Szczególnie poza Terminusem. Nikogo poza Terminusem nie obchodzi, co dzieje się z jakimś zabłąkanym radnym.

— Mnie obchodzi.

— Oho! Są jakieś nowe wieści?

— Liono — powiedziała Branno — chcę informacji o Sayshell.

— Nie jestem chodzącą książką — odparł z uśmiechem Kodell.

— Nie interesuje mnie historia. Chcę znać prawdę. Dlaczego Sayshell jest od nas niezależny?… Niech pan tu spojrzy — wskazała na oznaczone czerwonym kolorem terytorium Fundacji na mapie holograficznej, gdzie w jednym miejscu, raczej w głębi wewnętrznej spirali znajdowała się biała enklawa.

— Prawie go otoczyliśmy… prawie wchłonęliśmy — powiedziała Branno — a jednak jest biały. Nawet nie zabarwiony na różowo, jak sojusznik.

Kodell wzruszył ramionami. — Oficjalnie nie jest sojusznikiem, ale nigdy nie sprawiał nam kłopotów. Jest neutralny.

— W porządku. No to niech pan spojrzy teraz. — Nacisnęła guzik. Czerwień objęła dalsze rejony przestrzeni. Pokrywała prawie pół Galaktyki. — Taki obszar — powiedziała Branno — zajmowało imperium Muła w chwili jego śmierci. Jeśli przyjrzy się pan dokładnie, to przekona się pan, że Związek Sayshellski był wtedy otoczony ze wszystkich stron, ale nadal biały. To jedyna enklawa, którą Mul pozostawił w spokoju.

— Wtedy też byli neutralni.

— Muł niezbyt szanował neutralność.

— W tym przypadku wydaje się, że uszanował.

— Wydaje się, że uszanował. Co takiego ma Sayshell?

— Nic! — odparł Kodell. — Naprawdę, pani burmistrz, jeśli tylko zechcemy, zaraz będzie nasz.

— Tak? Ale jakoś nie jest nasz.

— Bo nie ma potrzeby, żeby go przyłączać. Branno poprawiła się w fotelu i — przesunąwszy ręką po guzikach, wyłączyła obraz. — Myślę, że teraz go przyłączymy.

— Słucham, pani burmistrz?

— Liono, posłałam tego głupiego radnego w przestrzeń, żeby posłużył nam jako piorunochron. Czułam, że Druga Fundacja potraktuje go jako większe niebezpieczeństwo niż Pierwszą Fundację. Grom uderzyłby w niego i ujawnił nam ich położenie.

— Tak, pani burmistrz.

— Chciałam, żeby poleciał na Trantor, znalazł w ruinach Bibliotekę — jeśli coś z niej jeszcze zostało — i poszukał tam informacji na temat Ziemi. Pamięta pan, to ten świat, który według tych naszych nudnych mistyków miał być kolebką ludzkości, zupełnie jakby to miało jakieś znaczenie, nawet jeśli tak było naprawdę, co jest nieprawdopodobne. Druga Fundacja raczej nie uwierzyłaby, że to właśnie jest celem jego poszukiwań i postarałaby się dowiedzieć czego naprawdę szuka.

— Ale on nie poleciał na Trantor.

— Nie. Zupełnie niespodziewanie poleciał na Sayshell. Dlaczego?

— Nie wiem. Ale proszę wybaczyć staremu policjantowi, którego obowiązkiem jest podejrzewać wszystko i powiedzieć mi, skąd pani wie, że on i ten Pelorat polecieli na Sayshell? Wiem, że meldował o tym Compor, ale na ile możemy mu ufać?

— Nadajnik nadprzestrzenny zainstalowany na jego statku przekazał wiadomość, że Compor faktycznie wylądował na planecie Sayshell.

— Bez wątpienia zrobił to, ale skąd pani wie, że wylądowali tam Trevize i Pelorat? Compor mógł polecieć na Sayshell z sobie tylko znanych powodów i może nie wie — albo nie obchodzi go, gdzie są tamci.

— Nasz ambasador na Sayshell zawiadomił nas o wylądowaniu tam statku, na którym umieściliśmy Trevizego i Pelorata. Nie wierzę, żeby statek wylądował bez nich. Co więcej, Compor donosi, że rozmawiał z nimi, a jeśli jemu nie można ufać, to mamy też inne raporty, które donoszą, że byli oni na uniwersytecie sayshellskim, gdzie skontaktowali się z jakimś bliżej nieznanym historykiem.

— Żaden z tych raportów — rzekł Kodell — nie dotarł do mnie.

Branno prychnęła. — Niech się pan nie Czuje urażony. Zajmuję się tą sprawą osobiście, a raporty pewnie już do pana dotarły… z niewielkim opóźnieniem. Właśnie dostaliśmy najnowsze wiadomości od naszego ambasadora. Nasz piorunochron leci dalej. Był na Sayshell

dwa dni, potem odleciał. Donosi, że kieruje się do innego układu planetarnego, odległego od Sayshell o dziesięć parseków. Przekazał ambasadorowi nazwę i współrzędne tego układu, a ambasador przesłał je nam.

— Czy jest jakieś potwierdzenie tego od Compora?

— Wiadomość od Compora, że Trevize i Pelorat odlecieli z Sayshell, dotarła jeszcze przed raportem ambasadora. Compor nie podał jeszcze, dokąd kieruje się Trevize. Przypuszczalnie poleci za nim.

— Brak nam danych, dlaczego to zrobił — rzekł Kodell. Włożył do ust pastylkę i ssał ją w zamyśleniu. — Dlaczego Trevize poleciał na Sayshell? Dlaczego stamtąd odleciał?

— Najbardziej intryguje mnie, dokąd on leci. Dokąd?

— Powiedziała pani, że podał ambasadorowi nazwę i współrzędne celu swej podróży, prawda? Czy sugeruje pani, że skłamał? A może, że to ambasador okłamuje nas?

— Nawet zakładając, że wszyscy mówią prawdę i że nikt nie popełnił żadnego błędu, intryguje mnie ta nazwa. Trevize poinformował ambasadora, że leci na Gaje. To miejsce nazywa się G — A — J — A. Trevize przeliterował tę nazwę.

— Gaja? — rzekł Kodell. — Nigdy o niej nie słyszałem.

— Tak? To mnie wcale nie dziwi. — Branno wskazała na miejsce, gdzie przed paroma minutami znajdował się hologram Galaktyki. — Na tej mapie mogę raz dwa znaleźć każdą gwiazdę, wokół której krąży jakaś zamieszkana planeta i wiele gwiazd dużej wielkości, w których układzie nie ma zamieszkanych planet. Jeśli prawidłowo posługiwać się klawiaturą, to można wyodrębnić z tej mapy ponad trzydzieści milionów gwiazd — pojedynczo, parami albo w większych skupiskach. Można je oznaczyć pięcioma kolorami do wyboru, pojedynczo, jedną po drugiej albo wszystkie naraz. Ale nie można tu znaleźć Gai. Jeśli opierać się na tej mapie, to Gai nie ma.

— Na każdą gwiazdę umieszczoną na tej mapie przypada dziesięć tysięcy innych, których tu nie uwzględniono.

— Faktycznie, ale wokół tych, których nie uwzględniono, nie ma zamieszkanych planet, a dlaczego Trevize chciałby lecieć na niezamieszkaną planetę?

— Sprawdzała pani w Komputerze Centralnym? Zawiera dane o trzystu miliardach gwiazd Galaktyki.

— Tak mi mówiono, ale czy jest tak naprawdę? Wiemy oboje bardzo dobrze, że są całe tysiące zamieszkanych planet, którym udało się uniknąć umieszczenia na jakiejkolwiek mapie z tych, którymi, dysponujemy — nie tylko na tej mapie tutaj, ale także na tej, która znajduje się w Komputerze Centralnym. Najwidoczniej Gaja jest jedną z nich.

— Pani burmistrz — powiedział Kodell spokojnym, nawet przymilnym głosem — być może nie ma się w ogóle czym przejmować. Być może Trevize~ goni za czymś, co sobie ubzdurał, a może okłamał nas i nie ma w ogóle żadnej gwiazdy o nazwie Gaja i żadnej gwiazdy o tych współrzędnych, które nam podał. Teraz, kiedy spotkał Compora i być może domyślił się, że jest śledzony, próbuje skierować nas na fałszywy trop i wymknąć się.

— Jak może nas skierować na fałszywy trop? Compor będzie cały czas leciał za nim. Nie, Liono, ja mam inne wyjaśnienie, takie, które Wróży nam niezłe kłopoty. Niech no pan posłucha… — przerwała na chwilę i rzekła: — Ten pokój jest zabezpieczony przed podsłuchem. Nikt nie może nas podsłuchać, więc może pan mówić zupełnie swobodnie. Ja też będę mówiła swobodnie, co myślę… Otóż ta Gaja, jeśli przyjmiemy, że Trevize podał prawdziwe dane, znajduje się dziesięć parseków od planety Sayshell, a zatem jest częścią Związku Sayshellskiego. Związek Sayshellski jest dobrze zbadaną częścią Galaktyki. Wszystkie układy gwiezdne wchodzące w jego skład są dokładnie znane. Jedynym wyjątkiem jest Gaja. Czy jest zamieszkana, czy nie — nikt o niej nie słyszał, nie ma jej na żadnej mapie. Dodajmy do tego fakt, że Związek Sayshellski ma szczególny status, że jest niezależny od Fundacji i że zachował niezależność nawet za czasów Muła. Od czasu upadku Imperium Galaktycznego nie jest zależny od nikogo.

— No i co z tego? — spytał ostrożnie Kodell.

— Wniosek oczywisty, że te dwa fakty muszą się ze sobą łączyć. Sayshell obejmuje układ planetarny, który jest zupełnie nieznany i Sayshell jest nietykalny. Te dwie sprawy nie mogą się ze sobą nie łączyć. Bez względu na to czym jest Gaja, potrafi się bronić. Zadbała o to, żeby poza jej bezpośrednim otoczeniem nikt nie wiedział o jej istnieniu i broni to otoczenie przed zależnością od obcych.

— Chce pani przez to powiedzieć, że Gaja jest siedzibą Drugiej Fundacji?

— Chcę przez to powiedzieć, że trzeba zbadać sprawę Gai.

— Czy mogę wskazać na pewien punkt, który byłoby trudno wyjaśnić za pomocą tej teorii?

— Proszę bardzo.

— Jeśli Gaja to Druga Fundacja, jeśli przez stulecia broniła się przed intruzami, chroniąc przy okazji cały Związek Sayshellski, który służył jej jako tarcza i jeśli nawet udawało się jej zapobiec temu, aby wiedza o jej istnieniu przedostała się poza ten obszar, to dlaczego ta obrona przestała nagle działać? Trevize i Pelorat odlatują z Terminusa i mimo że radziła im pani udać się na Trantor, lecą natychmiast, bez wahania wprost na Sayshell, a teraz na Gaje. Co więcej, pani może myśleć o Gai i spekulować na jej temat. Dlaczego nie powstrzymują

pani przed tym? Burmistrz Branno długo nie odpowiadała. Pochyliła głowę. Jej siwe włosy matowo lśniły w świetle lamp. W końcu powiedziała:

— Dlatego że, moim zdaniem, radny Trevize jakimś sposobem wszystko pogmatwał. Zrobił albo robi coś, co w jakiś sposób zagraża Planowi Seldona.

— To na pewno niemożliwe, pani burmistrz.

— Myślę, że nie ma nic ani nikogo bez skazy. Na pewno nawet Hari Seldon nie był doskonały. Plan Seldona ma jakiś słaby punkt i Trevize natknął się na to, może nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Musimy wiedzieć, co się dzieje i musimy być na miejscu.

W końcu twarz Kodella przybrała wyraz powagi. — Pani burmistrz, niech pani nie podejmuje samodzielnie decyzji. Nie możemy wykonać żadnego ruchu bez należytego zastanowienia.

— Niech mnie pan nie bierze za idiotkę, Liono. Nie mam zamiaru wszczynać wojny. Nie mam zamiaru wysyłać żadnego korpusu ekspedycyjnego na Gaje. Chcę tylko być na miejscu albo — jeśli to bardziej panu odpowiada — w pobliżu. Liono, niech pan się dowie — nie cierpię rozmów z dowództwem naszej armii, bo są to strasznie ograniczeni ludzie, czemu zresztą nie można się dziwić, skoro od stu dwudziestu lat nie prowadziliśmy żadnej wojny — ile statków wojennych stacjonuje w pobliżu Sayshell. Czy można to tak zorganizować, żeby ruchy naszych flot wyglądały jak zwykłe manewry, a nie mobilizacja?

— W naszych sielankowych czasach, gdy wszędzie panuje pokój, nie ma tam na pewno zbyt wielu statków. Ale sprawdzę to.

— Wystarczy nawet jeden czy dwa, szczególnie jeśli byłyby klasy supernowa.

— A co pani chce zrobić?

— Chcę, żeby zbliżyły się do Sayshell na tyle, na ile jest to możliwe bez sprowokowania jakiegoś incydentu i żeby były na tyle blisko siebie, by w razie potrzeby zapewnić sobie wzajemną pomoc.

— A w jakim celu?

— Chcę, żebyśmy działali elastycznie. Chcę mieć możliwość uderzenia, jeśli zostanę do tego zmuszona.

— Na Drugą Fundację? Jeśli Gaja potrafiła oprzeć się Mułowi i pozostać w izolacji, to z pewnością może się oprzeć kilku statkom.

— Drogi przyjacielu — powiedziała Branno z wojowniczym błyskiem w oku — mówiłam ci już, że nic i nikt, nawet Hari Seldon, nie jest doskonały. Tworząc swój plan, nie przestał, bo nie mógł, być człowiekiem swojej epoki. Był matematykiem żyjącym w schyłkowym okresie Imperium, kiedy technika podupadła. Z tego wynika, że nie mógł w swym planie wziąć pod uwagę niezwykłego postępu technicznego, który się od tamtej pory dokonał. Na przykład

grawityka jest zupełnie nową dziedziną, której powstania chyba w ogóle nie przewidywał. Są zresztą inne nowe dziedziny.

— Gaja też mogła rozwinąć technikę.

— Będąc w izolacji? W naszej Federacji żyje dziesięć trylionów ludzi. Spośród nich rekrutują się wynalazcy i naukowcy. W porównaniu z nami, jeden samotny świat nie jest w stanie nic osiągnąć. Nasze statki polecą w ich kierunku, a ja razem z nimi.

— Przepraszam, pani burmistrz, co to miało znaczyć?

— To, że sama dołączę do statków, które zbiorą się na granicy z Sayshell. Chcę sama rozeznać się w sytuacji.

Kodell aż otworzył usta z wrażenia. Przełknął głośno ślinę. — Pani burmistrz, robi pani… niemądrze — powiedział. Jeśli Kodell chciał dać do zrozumienia, że ocenia to znacznie ostrzej, udało mu się to.

— Mądrze czy niemądrze — odparła gwałtownie Branno — ale tak zrobię. Jestem już zmęczona Terminusem, jego nieustannymi utarczkami politycznymi,* walkami wewnętrznymi, sojuszami i kontr — sojuszami, zdradami i ponownymi układami. Od siedemnastu lat tkwię w samym środku tego wszystkiego i chcę wreszcie zrobić coś innego… cokolwiek. Może w tej chwili tam — machnęła ręką w nieokreślonym kierunku — zmienia się cała historia Galaktyki. A ja chcę wziąć w tym udział.

— Nic pani nie wie o takich rzeczach, pani burmistrz.

— A kto wie, Liono? — podniosła się sztywnym ruchem. — Polecę, jak tylko dostarczy mi pan informacji o tych statkach, i jak tylko załatwię te głupie sprawy wewnętrzne… I niech pan nie próbuje, Liono, w żaden sposób przeszkadzać mi w tym, bo nie bacząc na naszą długą przyjaźń, zniszczę pana. Mogę to jeszcze zrobić.

Kodell pokiwał głową. — Wiem, że pani może, ale radzę, zanim podejmie pani ostateczną decyzję, raz jeszcze zastanowić się nad potęgą Planu Seldona. To, co pani zamierza zrobić, może okazać się samobójstwem.

— Jeśli o to chodzi, nie mam żadnych obaw, Liono. Plan okazał się błędny w przypadku Muła, którego pojawienia się nie mógł przewidzieć, a błąd w ocenie jednej sytuacji oznacza, że możliwa jest też błędna ocena innych sytuacji.

Kodell westchnął. — No cóż, skoro trwa pani niezłomnie przy swoim postanowieniu, to zrobię, co tylko będę mógł, żeby pani pomóc i pozostanę całkowicie lojalny.

— Dobrze. Ale ostrzegam pana raz jeszcze i radzę, żeby lepiej postępował pan zgodnie z tym, co teraz pan powiedział. A więc, Liono, proszę pamiętać o tym i ruszamy na Gaje. Naprzód!

Rozdział XV
GAJA — S

58.

Sura Novi weszła do sterowni małego, staromodnego raczej statku, — który niósł ją i Stora Gendibala w starannie obliczonych skokach przez nadprzestrzeń.

Widać było, że właśnie wyszła z niewielkiej łazienki, gdzie odświeżyła ciało za pomocą ciepłego powietrza, olejków i minimum wody. Była owinięta szlafrokiem, którego poły przytrzymywała wstydliwie obiema rękami. Włosy miała suche, ale rozwichrzone.

Powiedziała cichym głosem:

— Panie…

Gendibal uniósł głowę znad map i komputera. — Słucham, Novi.

— Ja nie rozumie… — zaczęła i przerwała, a potem powiedziała wolno: — Bardzo przepraszam, że cię niepokoję, panie (po czym znowu wpadła w gwarę trantorską), ale ni mam ubrania.

— Ubrania? — Gendibal przez chwilę patrzył na , nią nierozumiejącym wzrokiem. Nagle poderwał się i rzekł ze skruchą:

— Zupełnie zapomniałem, Novi. Twoje ubranie trzeba było wyprać, jest teraz w pralce, uprane, wysuszone i złożone. Powinienem był je wyjąć i położyć gdzieś na widoku. Zapomniałem.

— Nie chciałam… — spuściła oczy — …obrazić cię, panie.

— Nie obraziłaś mnie — rzekł uspokajającym tonem Gendibal. — Słuchaj, obiecuję ci, że kiedy to się skończy, zadbam o to, żebyś miała mnóstwo strojów — uszytych według najnowszej mody. Odlatywaliśmy w pośpiechu i nie przyszło mi do głowy, żeby zabrać zapas ubrań, ale przecież, Novi, jesteśmy tu tylko my dwoje i będziemy przez pewien czas bardzo blisko siebie, więc nie ma potrzeby, żeby się tak przejmować… tym… no… — zrobił nieokreślony ruch ręką, dostrzegł przerażenie w jej oczach i pomyślał: „No cóż, w końcu jest tylko wiejską dziewczyną i ma swoje zasady. Prawdopodobnie nie miałaby nic przeciwko różnym niestosownym rzeczom, ale pod warunkiem, że byłaby w ubraniu”.

Zrobiło mu się wstyd przed samym sobą i cieszył się, że Novi nie jest „badawcą” i nie potrafi odczytać jego myśli. — Mam ci przynieść ubranie? — spytał.

— O nie, panie! To nie uchodzi… Wiem, gdzie ono jest.

Przyszła potem znowu, już odpowiednio ubrana i uczesana. Była wyraźnie zawstydzona… — Wstyd mi, panie, że się tak zachowałam — powiedziała. — Ja sama powinna…m była go poszukać.

— Nie ma o czym mówić — odparł Gendibal. — Robisz znaczne postępy w ogólnogalaktycznym. Bardzo szybko uczysz się języka badaczy.

Novi nagle uśmiechnęła się szeroko. Miała nieco nierówne zęby,

ale nie psuło to ogólnego wrażenia, jakie sprawiała jej promieniejąca radością twarz. Gendibal pomyślał sobie, że to jest właśnie przyczyna, dla której woli ją chwalić niż ganić.

— Tutejsi będą mnie mieli za nic, kiedy wrócę do domu — powiedziała. — Będą mówili, że jestem słowotłuk. Tak nazywają każdego, kto mówi… dziwnie. Nie lubią takich.

— Wątpię, czy wrócisz do Tutejszych, Novi — rzekł Gendibal. — Myślę, że dalej będzie dla ciebie miejsce na uniwersytecie, to znaczy wśród badaczy, kiedy to się skończy.

— Bardzo bym tego chciała, panie.

— Myślę, że nie chciałabyś do mnie mówić „Mówco Gendibalu", albo po prostu… No tak, widzę, że nie — powiedział, dostrzegłszy jej zgorszoną minę. — No dobrze.

— To by nie było stosowne, panie… Ale czy mogę spytać, kiedy to się skończy?

Gendibal potrząsnął głową. — Nie wiem. Teraz muszę po prostu dostać się w pewne miejsce tak szybko, jak to tylko możliwe. Ten statek, zresztą bardzo dobry w swoim rodzaju, jest powolny i „tak szybko, jak to tylko możliwe", wcale nie znaczy szybko. Widzisz — wskazał na komputer i na mapy — muszę wytyczyć drogę przez duże obszary przestrzeni, ale komputer ma ograniczone możliwości, a ja nie mam zbyt dużej wprawy.

— Czy musisz, panie, być tam szybko, bo grozi nam niebezpieczeństwo?

— Dlaczego myślisz, że grozi nam niebezpieczeństwo, Novi?

— Bo patrzę czasami na ciebie, kiedy myślę, że mnie nie widzisz i twoja twarz wygląda jak… nie znam odpowiedniego słowa. Nie jak byś był zestrachany… to znaczy, przestraszony… i nie tak, jak byś spodziewał się czegoś złego, ale…

— Jak bym niepokoił się — mruknął Gendibal.

— Wyglądasz… jak byś martwił się. Czy to właściwe słowo?

— To zależy. Co ono dla ciebie znaczy, Novi?

— Znaczy, że wyglądasz tak, jakbyś mówił sam do siebie: „Co ja mam teraz zrobić w tej sytuacji?"

Gendibal miał zaskoczoną minę. — To jest faktycznie znaczenie tego słowa, ale czy widać to po mojej twarzy, Novi? W Mieście Badaczy bardzo uważam, żeby nikt nie wyczytał nic z mojej twarzy, ale myślałem, że tu, w przestrzeni, gdzie jestem sam… tylko z tobą… mogę się rozluźnić i pozwolić, żeby to wszystko — jakby to powiedzieć — siedziało sobie w bieliźnie. …Przepraszam. To cię zakłopotało. Chciałem powiedzieć, że skoro jesteś taka spostrzegawcza, będę musiał bardziej uważać. Nieraz zapominam o tym, że nawet niementaliści potrafią być bystrzy i dostrzec różne rzeczy.

Novi miała zmieszaną minę. — Nie rozumiem, panie.

— Mówię sam do siebie, Novi. Nie wiem, co znajdę, kiedy przybędziemy na Sayshell… to miejsce, gdzie lecimy. Mogę znaleźć się w bardzo trudnej sytuacji.

— Czy to oznacza niebezpieczeństwo?

— Nie, ponieważ będę w stanie opanować tę sytuację.

— Skąd o tym wiesz, panie?

— Stąd, że jestem… badaczem. I to najlepszym ze wszystkich. Nie ma takiej sytuacji w całej Galaktyce, której nie potrafiłbym opanować.

— Panie — zaczęła Novi. Jej rysy ściągnęła udręka. — Nie chciałabym cię obrazić i zgniewać… to znaczy rozgniewać… Widziałam cię z tym gburem Rufirantem. Byłeś w niebezpieczeństwie, a — on jest tylko chłopem. Teraz nie wiem, co cię czeka… i ty też nie wiesz.

Gendibal poczuł smutek. — Boisz się, Novi?

— Nie o siebie, panie. Obawiam się… boję się… o ciebie.

— Możesz mówić „obawiam się” — mruknął Gendibal. — To poprawne.

Zamyślił się. Po chwili podniósł głowę, ujął w swoje dłonie szorstkie ręce Novi i powiedział:

— Novi, nie chcę, żebyś obawiała się czegokolwiek. Pozwól, że ci wyjaśnię. Wiesz, jak mogłaś poznać z mojej twarzy, że grozi — a raczej, że może nam grozić niebezpieczeństwo? Zupełnie tak, jakbyś czytała w moich myślach.

— Tak.

— Potrafię czytać w myślach lepiej niż ty. Tego właśnie uczą się badacze, a ja jestem bardzo dobrym badaczem.

Oczy Novi rozszerzyły się, a jej ręce wyśliznęły się z jego dłoni. Wydawała się wstrzymywać oddech. — Możesz czytać w moich myślach?

Gendibal pospiesznie uniósł palec do góry. — Nie robię tego, Novi. Nie czytam w twoich myślach, chyba że muszę. Nie czytam w twoich myślach.

(Wiedział, że — praktycznie biorąc — kłamie. Było po prostu niemożliwe, żeby będąc z Surą Novi nie zdawać sobie sprawy z ogólnego tonu jej niektórych myśli. Do tego nie trzeba było umiejętności członka Drugiej Fundacji. Gendibal czuł, że niewiele brakuje, żeby się zarumienił. Ale też taki stosunek, nawet ze strony Tutejszej, bardzo mu pochlebiał… A jednak trzeba było… z czysto ludzkich względów… uspokoić ją i rozproszyć jej wątpliwości…)

— Potrafię również zmienić czyjś sposób myślenia — powiedział. — Mogę sprawić, żeby ktoś poczuł ból. Mogę…

Ale Novi potrząsnęła głową. — Jak możesz to zrobić, panie? Rufirant…

— Zapomnij o Rufirancie — rzekł z rozdrażnieniem Gendibal. — Mogłem go powstrzymać w jednej chwili. Mogłem sprawić, żeby upadł. Mogłem sprawić, żeby wszyscy Tutejsi… — przerwał nagle, bo uświadomił sobie z zażenowaniem, że się chwali, że stara się wywrzeć wrażenie na tej chłopce. A ona nadal kręciła głową.

— Panie — powiedziała — starasz się mnie uspokoić, ale ja boję się tylko o ciebie, nie musisz więc tego robić. Wiem, że jesteś wielkim badaczem i potrafisz sprawić, żeby ten statek leciał przez przestrzeń, gdzie, jak mi się wydaje, każdy by się zgubił. I korzystasz z maszyn, na których się nie rozumiem i na których żaden Tutejszy by się nie rozumiał, ale niepotrzebnie mówisz mi o tych mocach, których na pewno nie masz, bo nie zrobiłeś nic z tych rzeczy, które mówisz, że mogłeś zrobić Rufirantowi, chociaż byłeś w niebezpieczeństwie.

Gendibal zacisnął usta. „Niech tak już zostanie", pomyślał. Jeśli ta kobieta upiera się, że nie boi się o siebie, to niech już będzie, jak jest. Ale po prostu nie chciał, żeby miała go za słabeusza i samochwałę. Po prostu nie chciał.

— Jeśli nie zrobiłem nic Rufirantowi — powiedział — to tylko dlatego, że nie chciałem. Nam, badaczom, nie wolno pod żadnym pozorem zrobić coś jakiemukolwiek Tutejszemu. Jesteśmy gośćmi na waszym świecie. Rozumiesz?

— Jesteście panami. Zawsze tak mówimy.

Odwróciło to na chwilę uwagę Gendibala od tego, o czym mówił. — Jak to się wobec tego stało, że Rufirant mnie zaatakował?

— Nie wiem — odparła po prostu. — Nie sądzę, żeby on sam to wiedział. Musiał mieć głowę… no, stracić głowę.

Gendibal chrząknął. — W każdym razie nie robimy Tutejszym nic złego. Gdybym został zmuszony do tego, żeby go powstrzymać przez … zranienie, to inni badacze mieliby mi to za złe i mógłbym nawet utracić swoje stanowisko. Ale aby nie dopuścić do sytuacji, w której ja sam mógłbym odnieść poważne obrażenia, mogłem nim trochę pokierować… niedużo, tyle, ile było można.

Novi pochyliła głowę. — Więc ja sama nie musiałam wpadać między was jak głupia.

— Właśnie, że dobrze zrobiłaś — rzekł Gendibal. — Dopiero co powiedziałem, że zrobiłbym źle, gdybym mu wyrządził jakąś krzywdę. Dzięki tobie nie musiałem nic robić. Ty go powstrzymałaś i była to dobra robota. Jestem ci za to wdzięczny.

Znowu uśmiechnęła się radośnie. — Teraz wiem, dlaczego jesteś dla mnie taki dobry.

— Oczywiście, byłem ci wdzięczny — rzekł Gendibal nieco zirytowany — ale ważne jest to, żebyś zrozumiała, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Potrafię sobie poradzić z całą armią zwykłych ludzi. Każdy badacz to potrafi, szczególnie ci ważniejsi, a

mówiłem ci, że jestem z nich wszystkich najlepszy. Nie ma w całej Galaktyce nikogo, kto może mi stawić czoła.

— Skoro tak mówisz, panie, to jestem tego pewna.

— Tak mówię. No i jak, boisz się mnie teraz?

— Nie, panie, ale… czy tylko nasi badacze mogą czytać w myślach i… Czy są inni badacze, w innych miejscach, którzy mogą ci się przeciwstawić?

Gendibal na moment osłupiał. Ta kobieta miała zdumiewająco przenikliwy umysł.

Musiał skłamać. — Nie ma — odpowiedział.

— Ale jest tyle gwiazd na niebie. Kiedyś próbowałam je policzyć i nie mogłam. Jeśli światów, na których żyją ludzie, jest tyle, co gwiazd, to czy niektórzy z tych ludzi nie mogą być badaczami? To znaczy, oprócz badaczy na naszym świecie.

— Nie.

— A jeśli są?

— To nie są tak potężni, jak ja.

— A jeśli skoczą na ciebie nagle, zanim się spostrzeżesz?

— Nie mogą tego zrobić. Gdyby chciał się do mnie zbliżyć jakiś obcy badacz, to wiedziałbym o tym od razu. Dowiedziałbym się na długo przedtem, zanim mógłby mi coś zrobić.

— Mógłbyś uciec?

— Nie musiałbym uciekać… Ale (uprzedzając jej sprzeciw) gdybym musiał, to wkrótce znalazłbym się w nowym statku… lepszym od wszystkich innych, jakie są w Galaktyce. Nie złapaliby mnie.

— Czy nie mogliby zmienić twoich myśli i sprawić, że zostałbyś?

— Nie.

— Ale ich mogłoby być wielu. Ty jesteś tylko jeden.

— Jak tylko by się pojawili, zaraz wiedziałbym o tym, wcześniej niż mogliby sobie wyobrazić, i odleciałbym. Wtedy zwróciłby się przeciw nim cały nasz świat badaczy i nie oparliby się nam. Zresztą zdawaliby sobie z tego sprawę, więc nie ośmieliliby się nic mi zrobić. Prawdę mówiąc, nie chcieliby, żebym w ogóle się o nich dowiedział… a jednak, mimo to, dowiedziałbym się.

— Bo jesteś potężniejszy od nich? — spytała Novi. Jej twarz wyrażała podejrzaną dumę.

Gendibal nie mógł się oprzeć uczuciu zadowolenia. Jej wrodzona inteligencja, szybkość, z jaką chwytała to, co się mówiło, sprawiały, że przebywanie z nią było prawdziwą przyjemnością. Ten potwór o słodkim głosie, Mówca Delora Delarmi, wyświadczyła mu nieocenioną przysługę, zmuszając go, aby zabrał tę kobietę ze sobą.

— Nie, Novi — powiedział — nie dlatego, że jestem potężniejszy od nich, chociaż faktycznie jestem. Dlatego, że mam ze sobą ciebie.

— Mnie?

— Tak, Novi. Domyślałaś się tego?

— Nie, panie — odparła ze zdziwieniem. — A co ja takiego mogę zrobić?

— Chodzi o twój umysł. — Uniósł w górę obie ręce. — Nie, nie czytam w twych myślach. Widzę tylko ogólny zarys twego umysłu, a jest to bardzo gładki, nadzwyczaj gładki zarys.

Przyłożyła rękę do czoła. — Dlatego, że jestem niewykształcona? Dlatego, że jestem taka głupia?

— Nie, kochanie: — Nie zorientował się nawet, że nazwał ją w ten sposób. — Dlatego, że jesteś uczciwa i nie ma w tobie nic chytrości, dlatego, że jesteś prawdomówna i mówisz, co myślisz, dlatego, że masz gorące serce… i z powodu innych rzeczy. Gdyby inni badacze spróbowali w jakiś sposób wpłynąć na nasze mózgi, na twój i na mój, to na gładkiej powierzchni twego mózgu wpływ ten byłby zaraz widoczny. Dostrzegłbym to, zanim jeszcze zdążyłbym odczuć ich dotknięcie na własnym mózgu i miałbym wtedy czas, żeby obmyślić metody przeciwdziałania, to znaczy sposób odparcia ich ataku.

Po tym wyjaśnieniu zapanowała długa cisza. Gendibal spojrzał na Novi i dostrzegł w jej oczach już nie szczęście, ale prawdziwą egzaltację, a także dumę. — I właśnie z tego powodu wziąłeś mnie ze sobą? — spytała miękkim głosem.

Gendibal kiwnął głową. — Tak. To był ważny powód.

Zniżyła głos do szeptu. — Co mam robić, panie, żeby ci jak najwięcej pomóc?

— Bądź spokojna. Nie bój się. I… i pozostań taką, jak jesteś.

— Pozostanę taka, jaka jestem — odparła. — I stanę między tobą a niebezpieczeństwem jak wtedy, kiedy napadł na ciebie Rufirant.

Wyszła z kabiny. Gendibal popatrzył za nią. „To zdumiewające”, pomyślał, „jak wiele się w niej kryje. Jak to możliwe, żeby taka istota była aż tak skomplikowana? Równa, gładka struktura jej umysłu kryła wielką inteligencję, pojętność i odwagę. Czy mógł pragnąć — od kogokolwiek — czegoś więcej?”

Jakoś nasunął mu się obraz Sury Novi, która nie była Mówcą, — nie była nawet członkiem Drugiej Fundacji, ba — nawet nie miała wykształcenia, ale trwając nieustępliwie u jego boku, miała odegrać uboczną co prawda, lecz ważną rolę w zbliżającym się dramacie.

Niestety, obraz ten nie był zbyt wyraźny. Nie widział szczegółów… Nie potrafił precyzyjnie określić, co ich czeka.

59.

— Jeszcze jeden skok — mruknął Trevize — i będziemy tuż tuż.

— Gai? — spytał Pelorat, spoglądając przez ramię Trevizego na ekran.

— Słońca Gai — powiedział Trevize. — Żeby uniknąć nieporozumień, nazwijmy je — jeśli chcesz — Gają — S. Robią tak czasami galaktografowie.

— A gdzie wobec tego jest sama Gaja? A może nazwiemy ją Gają — P, od planety?

— Na określenie planety wystarczy nazwa Gaja. Na razie nie możemy jej jeszcze zobaczyć. Planetę nie jest tak łatwo dostrzec jak gwiazdę, a jesteśmy jeszcze o sto mikroparseków od Gai — S. Zwróć uwagę, że na razie wygląda ona tylko jak gwiazda, chociaż bardzo jasna. Nie jesteśmy jeszcze tak blisko, żeby zobaczyć jej tarczę… Ale nie patrz prosto na nią, Janov. Jest tak jasna, że możesz sobie uszkodzić wzrok. Jak tylko skończę obserwację, założę filtr. Wtedy będziesz mógł sobie patrzeć.

— A ile to jest sto mikroparseków w jednostkach, które mogą coś powiedzieć historykowi, Golan?

— Trzy miliardy kilometrów, mniej więcej dwadzieścia razy tyle, ile wynosi odległość Terminusa od jego słońca. Czy to ci coś mówi?

— Oczywiście… Ale czy nie możemy się bardziej zbliżyć?

— Nie! — Trevize spojrzał na niego ze zdumieniem. — Nie od razu. Czy po tym, co usłyszeliśmy o Gai, powinniśmy się spieszyć? Mieć odwagę, to nie znaczy być szalonym. Najpierw się przyjrzyjmy.

— Czemu, Golan? Powiedziałeś, że nie możemy jeszcze zobaczyć Gai.

— Gołym okiem — nie. Ale mamy teleskopy i świetny komputer do przeprowadzenia szybkich analiz. Na początek możemy zbadać Gaję — S i być może przeprowadzić trochę innych obserwacji… Odpręż się, Janov — odwrócił się i dobrodusznie klepnął go po ramieniu.

Po pewnym czasie Trevize powiedział:

— Gaja — S jest pojedynczą gwiazdą, a jeśli ma towarzyszkę, to znajduje się ona w tej chwili w większej odległości od niej niż my i jest w najlepszym wypadku czerwonym karłem, co znaczy, że nie musimy się nią zajmować. Gaja — S jest gwiazdą typu G4, co znaczy, że może mieć w swoim układzie planetę nadającą się do zamieszkania. To dobrze. Gdyby była typu A czy M, to musielibyśmy zawrócić i od razu odlecieć.

— Jestem co prawda tylko historykiem, ale czy nie mogliśmy określić klasy spektralnej Gai — S z Sayshell? — spytał Pelorat.

— Mogliśmy, Janov, i określiliśmy, ale nigdy nie zaszkodzi sprawdzić z bliska. Gaja — S jest centrum systemu planetarnego, co nie jest niespodzianką. Widać stąd dwa gazowe olbrzymy i, jeśli komputer prawidłowo oszacował odległość, jeden z nich jest całkiem niezły. Możliwe, że jest jeszcze jeden po drugiej stronie gwiazdy, ale trudno jest to stwierdzić, bo przypadkiem znaleźliśmy się dość blisko płaszczyzny, po której krążą planety. Nie mogę znaleźć niczego w rejonach środkowych, ale to też nie jest niespodzianką.

— Czy to źle?

— Niekoniecznie. Tego można się było spodziewać. Planety nadające się do zamieszkania powinny składać się ze skał i metali i być znacznie mniejsze od gazowych olbrzymów, a przy tym znajdować się bliżej gwiazdy, żeby było na nich wystarczająco ciepło. Z tych względów byłoby znacznie trudniej dostrzec je stąd.

To znaczy, że będziemy musieli znacznie bardziej zbliżyć się do centrum układu i zbadać przestrzeń w promieniu czterech mikroparseków od Gai — S.

— Jestem gotowy.

— Ale ja nie. Skok wykonamy jutro.

— Dlaczego jutro?

— A dlaczego nie? Dajmy im dzień czasu, żeby mogli nas zauważyć i przylecieć tu. A jeśli zobaczymy, że lecą i coś się nam nie spodoba, to może będziemy mieli jeszcze dość czasu, żeby uciec.

60.

Był to długi i powolny proces. Trevize przez cały dzień zajmował się obliczeniami. Polecił komputerowi opracować wiele różnych wariantów podejścia do Gai i próbował wybrać najlepszy z nich. Nie dysponując dokładnymi i pewnymi danymi, mógł polegać tylko na swej intuicji, która jednak, jak na złość, opuściła go tym razem. Nie odczuwał tej pewności siebie, jaką miewał czasami.

W końcu polecił komputerowi obliczyć parametry skoku, który wyniósł ich daleko ponad płaszczyznę torów planet.

— Dzięki temu będziemy mieli lepszy widok na cały ten rejon — powiedział. — Bo będziemy widzieli planety we wszystkich punktach ich orbit w maksymalnej odległości od słońca. A oni, kimkolwiek są, może nie obserwują tak uważnie rejonów leżących poza płaszczyzną torów planet… Mam taką nadzieję…

Znajdowali się teraz w takiej samej odległości od słońca jak najbliższy i największy z gazowych olbrzymów, około pół miliarda kilometrów od niego, Trevize wywołał na ekranie, specjalnie dla Pelorata, jego obraz w pełnym powiększeniu. Chociaż trzy wąskie i rzadkie pierścienie odłamków skalnych znalazły się poza ekranem, widok ten sprawiał wrażenie.

— Gaja — S ma normalny dla takich gwiazd sznur satelitów — powiedział Trevize — ale z tej odległości możemy stwierdzić, że żaden z nich nie nadaje się do zamieszkania. Żaden z nich nie jest też zamieszkany przez ludzi, którzy mogliby żyć, powiedzmy, pod szklaną kopułą czy w jakichś innych sztucznych warunkach.

— Skąd wiesz?

— Nie ma tu żadnych fal radiowych o cechach wskazujących na to, że są wysyłane przez istoty inteligentne. Oczywiście — dodał, zastrzegając się zaraz — można sobie wyobrazić, że jakaś placówka naukowa zadaje sobie trud ekranowania sygnałów radiowych, a poza tym ten olbrzym gazowy wysyła fale radiowe, które mogą maskować sygnały, jakich szukam. Jednakże nasz nasłuch jest bardzo czuły i dysponujemy świetnym komputerem. Powiedziałbym, że jest bardzo niewielka szansa, żeby któryś z tych satelitów był zamieszkany przez ludzi.

— Czy to znaczy, że nie ma tu żadnej Gai?

— Nie. Ale znaczy to, że jeśli jest tu jakaś Gaja, to nie starała się skolonizować tych satelitów. Może brak im odpowiednich umiejętności… a może nie interesuje ich to.

— No dobrze, ale czy jest tu jakaś Gaja? — , Cierpliwości, Janov. Cierpliwości.

Trevize analizował obraz nieba z pozornie nieskończoną

cierpliwością. W pewnej chwili przerwał i powiedział:

— Szczerze mówiąc, fakt, że nie zjawili się tu, żeby spaść na nas, jest w pewnym sensie przygnębiający. Jeśli mieliby takie umiejętności, jakie się im przypisuje, to na pewno do tej pory zareagowaliby już na nasze przybycie.

— Myślę — rzekł Pelorat — że jest całkiem możliwe, że te wszystkie opowieści to czysta fantazja.

— Możesz to nazwać mitem, Janov — powiedział Trevize, siląc się na uśmiech — i wtedy będzie to coś w sam raz dla ciebie. Ale jest tu planeta, która porusza się w ekosferze, co znaczy, że może być zamieszkana. Chcę ją poobserwować przynajmniej przez jeden dzień.

— Po co?

— Przede wszystkim po to, żeby się przekonać, czy nadaje się do zamieszkania.

— Przecież powiedziałeś, że jest w ekosferze.

— Tak, w tej chwili. Ale może mieć bardzo ekscentryczną orbitę, przebiegającą w odległości mikroparseka albo piętnastu mikroparseków od gwiazdy, a może też być i tak, że w pewnym punkcie przebiega w odległości mikroparseka, a w innych piętnastu. Będziemy musieli określić odległość tej planety od Gai — S i porównać ją z jej prędkością orbitalną. To nam pomoże obliczyć kierunek jej ruchu.

61.

Jeszcze jeden dzień.

— Orbita jest prawie kolista — powiedział w końcu Trevize — a to znaczy, że można już by było zaryzykować zakład, że jest zamieszkana. Problem w tym, że w dalszym ciągu nikt tu się nie zjawia, żeby nas złapać. Będziemy musieli spróbować przyjrzeć się jej z bliższej odległości.

— Dlaczego przygotowanie skoku zabiera teraz tyle czasu? — spytał Pelorat. — Przecież robisz tylko krótkie skoki.

— Co ty mówisz, człowieku! Trudniej jest zrobić mały skok niż duży. Co jest łatwiej znaleźć — skałę czy ziarenko piasku? Poza tym jesteśmy w pobliżu Gai — S i przestrzeń jest tu silnie zakrzywiona. To komplikuje obliczenia, nawet komputerowi. Nawet historyk powinien to zrozumieć.

Pelorat tylko coś mruknął.

— Teraz widać tę planetę gołym okiem — rzekł Trevize. — O tam! Widzisz ją? Okres jej obrotu wokół własnej osi wynosi około dwudziestu dwóch godzin galaktycznych, a odchylenie od osi dwanaście stopni. To praktycznie podręcznikowy przykład planety nadającej się do zamieszkania i faktycznie istnieje na niej życic.

— Skąd wiesz?

— W jej atmosferze znajduje się dość znaczna ilość wolnego tlenu. Byłoby to niemożliwe, gdyby nie istniała na niej dobrze rozwinięta flora.

— A co z istotami inteligentnymi?

— To zależy od analizy fal radiowych. Oczywiście możliwa jest, jak myślę, sytuacja, że istoty myślące odwróciły się od techniki, ale to raczej nieprawdopodobne.

— Zdarzały się takie wypadki — powiedział Pelorat.

— Wierzę ci na słowo. To twoja działka. Nie jest jednak prawdopodobne, żeby na planecie, która odstraszyła Muła, żyli tylko pasterze.

— Czy ma ona satelitę? — spytał Pelorat.

— Owszem, ma — odparł zdawkowo Trevize.

— Dużego? — spytał Pelorat zduszonym głosem.

— Trudno dokładnie powiedzieć. Ma chyba ze sto kilometrów w przekroju.

— Ojej! — westchnął Pelorat ze smutkiem. — Szkoda, że nie mam na zawołanie lepszego zestawu wykrzykników, ale była jednak, drogi przyjacielu, pewna mała szansa…

— Chcesz powiedzieć, że gdyby miała olbrzymiego satelitę, to mogłaby to być Ziemia?

— Tak, ale teraz jest jasne, że to nie Ziemia.

— No cóż, jeśli Compor ma rację, to Ziemia i tak nie może leżeć w tym sektorze Galaktyki. Jest gdzieś koło Syriusza… Naprawdę, Janov, przykro mi.

— Już dobrze.

— Słuchaj, poczekamy trochę i zrobimy jeszcze jeden mały skok. Jeśli nie odkryjemy żadnych oznak świadczących, że żyją tam ludzie, to będziemy mogli bezpiecznie wylądować… tylko że wtedy nie będzie po co, prawda?

62.

Po następnym skoku Trevize rzekł zdziwionym głosem:

— To wystarczy, Janov. Wszystko się zgadza, to Gaja. W każdym razie jest tu cywilizacja techniczna.

— Możesz to stwierdzić na podstawie fal radiowych?

— Lepiej. Planetę okrąża stacja kosmiczna. Widzisz ją?

Na ekranie widać było jakiś obiekt. Dla Pelorata nie było w nim nic nadzwyczajnego, ale Trevize powiedział pewnym głosem:

— To obiekt sztuczny, wykonany z metalu, a przy tym źródło fal radiowych.

— Co teraz zrobimy?

— Przez pewien czas nie będziemy nic robili. Mając taką technikę, nie mogą nas nie dostrzec. Jeśli nic nie zrobią, to wyślę do nich wiadomość przez radio. Jeśli i potem nic nie zrobią, to zbliżymy się ostrożnie.

— A co będzie, jeśli coś zrobią?

— To zależy od tego, co to będzie. Jeśli wyda mi się to podejrzane, to wykorzystam fakt, że jest raczej nieprawdopodobne, żeby dysponowali czymś, co mogłoby się równać z tym statkiem.

— To znaczy, że odlecimy stąd?

— Jak pocisk nadprzestrzenny.

— Ale wtedy nie będziemy mądrzejsi niż przed przylotem tutaj.

— Nic podobnego. Będziemy przynajmniej wiedzieli, że Gaja naprawdę istnieje, że dysponuje techniką i że zrobiła coś, żeby nas przestraszyć.

— Ale nie dajmy się zbyt łatwo przestraszyć, Golan.

— Wiem, Janov, że na niczym ci bardziej nie zależy niż na poznaniu za wszelką cenę Ziemi, ale pamiętaj, proszę, że ja jestem wolny od tej monomanii. Nasz statek nie jest uzbrojony, a ludzie na Gai od wieków żyją w izolacji. Przypuśćmy, że nigdy nie słyszeli o Fundacji i nie czują przed nią żadnego respektu. Albo przypuśćmy, że to Druga Fundacja. W takim przypadku, jeśli dostaniemy się w ich ręce i jeśli im się nie spodobamy, nigdy już nie będziemy sobą. Chcesz, żeby ci zupełnie wyczyścili mózg i żebyś nagle stwierdził, że już nie jesteś historykiem i nie wiesz nic o żadnych legendach?

Pelorat zrobił ponurą minę. — Jeśli przedstawiasz to w taki sposób… Ale co zrobimy, jak już stąd odlecimy?

— To proste. Wrócimy z tymi nowinami na Terminusa… Albo tak blisko Terminusa, jak nam pozwoli ta stara baba. Potem możemy tu wrócić, szybciej i bez tej ostrożności, ale w uzbrojonym statku albo nawet z całą flotą wojenną. Wtedy rzeczy mogą przybrać inny obrót.

63.

Czekali. Stało się to już normalne. Ostrożne zbliżanie się do Gai zabrało im o wiele więcej czasu niż lot z Terminusa na Sayshell.

Trevize nastawił komputer na samoczynny alarm i pozwolił sobie nawet na drzemkę w swym miękkim fotelu. Toteż aż podskoczył w fotelu, kiedy włączył się alarm. Pelorat wbiegł do jego kabiny. Był tak samo wystraszony. Alarm zaskoczył go w trakcie golenia.

— Dostaliśmy jakąś wiadomość? — spytał Pelorat.

— Nie — zaprzeczył energicznie Trevize. — Lecimy.

— Lecimy? Gdzie?

— W kierunku tej stacji orbitalnej.

— A to dlaczego?

— Nie wiem. Silniki są wyłączone, a komputer me reaguje na moje polecenia, ale lecimy. …Janov, złapali nas. Podeszliśmy za blisko do Gai.

Rozdział XVI
KONWERGENCJA

64.

Kiedy Stor Gendibal ujrzał wreszcie na swoim ekranie statek Compora, wydało mu się, że kończy niewiarygodnie długą podróż. Ale oczywiście był to nie koniec, lecz zaledwie początek. Podróż z Trantora na Sayshell była tylko wstępem.

Novi miała przestraszoną minę. — Czy to jest kosmostatek, panie?

— Statek kosmiczny, Novi. Tak. To ten, który chcieliśmy znaleźć. Jest większy niż nasz i lepszy. Może lecieć tak szybko, że gdyby uciekł przed nami, nie zdołalibyśmy go dogonić, a nawet zgubilibyśmy jego ślad.

— Szybszy niż statek badaczy? — Fakt ten wyraźnie zatrwożył Surę Novi.

Gendibal wzruszył ramionami. — To, że jestem, jak mówisz, badaczem, nie znaczy, że jestem mistrzem we wszystkim. My, badacze, nie mamy nie tylko takich statków jak ten, ale także wielu urządzeń, jakie posiadają ci, do których należy ten statek.

— Jak to możliwe, panie, że badacze nie mają takich rzeczy?

— Jesteśmy mistrzami w tym, co naprawdę ważne. Te wszystkie przedmioty, które mają inni, to fraszka przy tym, co my mamy.

Novi ściągnęła brwi i zamyśliła się. — Wydaje mi się — powiedziała — że móc poruszać się tak szybko, że nie może dogonić żaden badacz, to nie fraszka. Kim są ci ludzie, którzy mają takie cuda… takie rzeczy?

Rozbawiło to Gendibala. — Mówią o sobie Fundacja. Słyszałaś kiedy o Fundacji?

(Gendibal stwierdził, z zaskoczeniem, że interesuje go, co Tutejsi wiedzą o Galaktyce i zdziwił się, że Mówcom jakoś nigdy nie przyszło do głowy zbadać tę sprawę… A może był jedynym Mówcą, którego nie interesowały te sprawy, jedynym, który przypuszczał, że Tutejszych nie obchodzi nic poza uprawą roli?)

Novi potrząsnęła w zamyśleniu głową. — Nigdy o niej nie słyszałam, panie. Nauczyciel, który uczył mnie wiedzy o literach, to znaczy czytania, mówił, że jest wiele innych światów i nawet wymienił nazwy kilku z nich. Mówił, że nasz świat naprawdę nazywa się Trantor i że kiedyś rządził wszystkimi światami. Mówił, że Trantor pokryty był lśniącym żelazem i że miał imperatora, który był panem wszystkich.

Spojrzała na Gendibala z nieśmiałym uśmiechem. — Ale ja nie wierzę w większość tego, co mówił. Kiedy noce stają się długie, zbieramy się razem w dużych izbach i ludzie snują różne opowieści. Wierzyłam w nie, kiedy byłam mała, ale kiedy dorosłam, przekonałam się, że dużo z nich to nieprawda. Teraz wierzę tylko w niektóre, a

może w żadne. Nawet nauczyciele opowiadają niewiarygodne rzeczy.

— Niemniej jednak, Novi, akurat to, co mówił ci nauczyciel, jest prawdą, ale to było dawno temu. Trantor był faktycznie pokryty metalem i naprawdę miał imperatora, który władał całą Galaktyką. Teraz jednak sprawy wyglądają inaczej i to właśnie ludzie z Fundacji zapanują pewnego dnia nad Galaktyką. Są coraz silniejsi.

— Zapanują nad wszystkimi, panie?

— Nie od razu. Za pięćset lat.

— Nad badaczami też będą panować?

— Nic, nie. Będą panować nad światami. A my będziemy panować nad nimi, dla ich własnego bezpieczeństwa i dla bezpieczeństwa wszystkich światów.

Novi znowu zmarszczyła brwi. — Panie, czy ci ludzie z Fundacji mają dużo takich niezwykłych statków?

— Myślę, że tak, Novi.

— I inne rzeczy, które są takie… zadziwiające?

— Mają wiele rodzajów potężnych broni.

— A więc czy nie mogą już teraz zapanować nad wszystkimi światami?

— Nie, nie mogą. Jeszcze nie nadszedł na to czas.

— Ale dlaczego nie mogą? Czy powstrzymaliby ich badacze?

— Nie byłoby takiej potrzeby, Novi. Nawet gdybyśmy nic nie zrobili, nie zapanowaliby nad wszystkimi światami.

— A co ich powstrzyma?

— Widzisz — zaczął Gendibal — jest taki plan, który kiedyś stworzył pewien mądry człowiek…

Przerwał, uśmiechnął się lekko i potrząsnął głową. — To trudno wytłumaczyć, Novi. Może innym razem. Prawdę mówiąc, kiedy zobaczysz, co się zdarzy, zanim wrócimy na Trantor, zrozumiesz to może sama, bez moich wyjaśnień.

— A co się zdarzy, panie?

— Dokładnie nic wiem, Novi. Ale wszystko będzie dobrze.

Odwrócił się i przygotował do nawiązania kontaktu z Comporem. Ale robiąc to, nie mógł się powstrzymać, by nie rzec w duchu: „Przynajmniej mam taką nadzieję”.

Natychmiast ogarnęła go złość na siebie, bo wiedział, skąd wzięła się ta głupia i osłabiająca jego pewność siebie myśl. Wywołał ją obraz niesłychanej potęgi Fundacji widoczny w kształcie statku Compora i smutek z powodu nieskrywanego podziwu, z jakim Novi na niego patrzyła.

„Jestem głupi!” pomyślał. „Jak mogę w ogóle porównywać czystą siłę z umiejętnością sterowania zdarzeniami?” Było to to, co Mówcy od pokoleń określali jako „złudzenie, że ma się rękę na gardle”.

I pomyśleć, że nie uodpornił się jeszcze na takie złudzenia!

65.

Munn Li Compor nie wiedział, jak powinien się zachować. Przez większą część swego życia wyobrażał sobie jak wyglądają wszechmocni Mówcy, Mówcy, którzy trzymają w garści całą ludzkość, ale nigdy się z nimi nie spotkał. Od czasu do czasu nawiązywał tylko z nimi kontakt.

W ostatnich latach tym, do którego zwracał się po wskazówki, był Stor Gendibal. W większości wypadków nie słyszał nawet jego głosu, wyczuwał tylko umysłem jego obecność. Była to jak gdyby rozmowa nadprzestrzenna odbywająca się bez pomocy nadajnika nadprzestrzennego.

W tym względzie Druga Fundacja zostawiła daleko w tyle Pierwszą. Mogła, bez użycia żadnej aparatury, tylko za pośrednictwem odpowiednio rozwiniętych i wyćwiczonych zdolności ludzkiego umysłu, nawiązywać łączność z miejscami oddalonymi o wiele parseków, i to w taki sposób, że nie można było nic podsłuchać ani zniekształcić.

Ta niewidzialna i niewykrywalna sieć łączyła ze sobą, za pośrednictwem względnie nielicznych, oddanych sprawie osobników, wszystkie światy.

Compor nieraz już doświadczył szczególnego uniesienia na myśl o roli, jaką w tym odgrywał. Jak niewielu ich było, a jak wielki wpływ wywierali!… i jaką tajemnicą było to wszystko okryte! Nawet jego własna żona nie wiedziała absolutnie nic o jego ukrytym życiu.

A nitki do tego trzymali w swych rękach Mówcy, a więc i ten konkretny Mówca, ten Gendibal, który mógł (myślał Compor) zostać następnym Pierwszym. Mówcą, czymś większym niż imperator w czymś, co było większe niż imperium.

Teraz Gendibal znajdował się tutaj, w statku trantorskim i — Compor zdusił niezadowolenie, że spotkanie to nie odbędzie się na samym Trantorze.

Czy to może być statek trantorski? Każdy z dawnych Handlarzy, którzy przedzierali się z produktami Fundacji przez wrogą Galaktykę, miał lepszy.

Nic dziwnego, że tyle czasu zajęło Mówcy pokonanie odległości z Trantora na Sayshell.

Jego statek nie był nawet wyposażony w unidok, mechanizm łączący dwa statki i umożliwiający swobodne przejście z jednego na drugi. Takie urządzenia miała nawet kiepska flota sayshellska. Żeby dostać się na statek Compora, Mówca musiał dostosować do niego prędkość swego statku, a potem przerzucić zwijany łącznik i zsunąć się po nim, zupełnie jak za czasów Imperium.

„To tak to wygląda”, pomyślał ponuro Compor. Nie był w stanie opanować uczucia zawodu. Statek Mówcy był po prostu starodawnym produktem Imperium. Do tego był jeszcze mały.

Wzdłuż łącznika posuwały się dwie postaci, jedna z nich robiła to tak niezgrabnie, że było oczywiste, iż nigdy przedtem nie próbowała poruszać się w przestrzeni.

W końcu znaleźli się na pokładzie statku Compora i zdjęli skafandry. Mówca Stor Gendibal był średniego wzrostu i miał niezbyt imponujący wygląd; nie promieniowała od niego siła, ani nie otaczała go aura uczoności. Jedyną oznaką jego mądrości były ciemne, głęboko osadzone oczy. Ale teraz rozglądał się wokół siebie z miną, która wymownie świadczyła, że czuje szacunek zmieszany z lękiem. Drugą osobą była kobieta prawie dorównująca wzrostem Gendibalowi, o wyglądzie prostaczki. Rozglądała się z ustami szeroko otwartymi ze zdumienia.

66.

Poruszanie się wzdłuż liny nie było dla Gendibala całkiem niemiłym przeżyciem. Nie był człowiekiem przestrzeni, podobnie jak reszta członków Drugiej Fundacji, ale nie był też zupełnym naziemnym pełzakiem, bo nikomu z Drugiej Fundacji nie wolno było nim być. W końcu zawsze istniała niepokojąca możliwość, że trzeba będzie komuś z nich udać się w podróż kosmiczną, chociaż każdy miał nadzieję, że potrzeba ta nie będzie występować zbyt często.

(Preern Palver, którego podróże kosmiczne przeszły do legendy, rzekł niegdyś smętnie, że miarą sukcesu Mówcy jest niewielka liczba podróży kosmicznych, które musiał odbywać, aby zagwarantować powodzenie Planu.)

Gendibal do tej pory korzystał z łącza trzy razy. To był czwarty raz, ale nawet gdyby odczuwał z tego powodu jakieś napięcie, to pozbyłby się go ze względu na Surę Novi. Nie potrzebował znajomości reguł mentalistyki, żeby stwierdzić, że to schodzenie w nicość zupełnie wytrąciło ją z równowagi.

— Ja zastrachana, panie — powiedziała, kiedy wytłumaczył jej, co będą musieli zrobić. — Boje się wleźć. Tam nic ni ma. — Jej nagłe przejście na gwarę Tutejszych najlepiej świadczyło o tym, jak była zdenerwowana.

— Nie mogę cię zostawić tutaj, Novi — tłumaczył jej łagodnie Gendibal — bo przejdę na tamten statek i muszę cię mieć ze sobą. Nie grozi ci nic, bo będzie cię chronił skafander, a zresztą nie ma tam nic, na co mogłabyś upaść. Nawet jeśli lina wymknie ci się z ręki, to i tak zostaniesz w tym samym miejscu, a ponieważ będziesz w zasięgu mojego ramienia, będę mógł cię ściągnąć. No, śmiało, Novi, pokaż, że jesteś równie dzielna jak bystra i nadajesz się na badacza.

Przestała się sprzeciwiać, a Gendibal, aczkolwiek nie chciał robić niczego, co mogłoby zakłócić symetrię jej wystroju umysłowego, zdobył się na uspokajające „głaśnięcie" powierzchni jej mózgu.

— Możesz nadal mówić do mnie — powiedział, kiedy przywdziali skafandry. — Będę mógł cię słyszeć, jeśli intensywnie skupisz się na jakiejś myśli. Powtarzaj sobie w głowie to, co chcesz mi powiedzieć, wyraźnie i z naciskiem, słowo po słowie. Słyszysz mnie teraz, prawda?

— Tak, panie — odparła.

Przez przezroczystą osłonę twarzy widział jak porusza wargami. Powiedział:

— Powiedz to bez poruszania ustami, Novi. W skafandrach, których używają badacze, nie ma radia. Wszystko przekazuje się w myśli.

Przestała poruszać ustami, za to zrobiła zaciekawioną minę.

„Słyszysz mnie, panie?”

„Bardzo dobrze”, pomyślał Gendibal. Również on nie poruszył ustami. „Słyszysz mnie?” spytał.

„Słyszę, panie”.

„Więc idź za mną i rób to, co ja”.

Ruszyli. Gendibal dobrze znał zasady takiego przechodzenia, chociaż praktycznie miał je opanowane w stopniu zaledwie zadowalającym. Cały trick polegał na tym, żeby trzymać nogi złączone razem i wyciągnięte na całą długość i machać nimi bez zginania, uginając tylko tułów w biodrach. Dzięki temu środek ciężkości przemieszczał się w jednej linii, podczas gdy ręce przesuwało się do przodu. Wyjaśnił to Surze Novi i teraz obserwował ruchy jej ciała, nie odwracając się jednak, lecz badając ośrodek ruchu w mózgu.

Jak na nowicjuszkę, radziła sobie zupełnie dobrze, prawie tak dobrze, jak Gendibal. Stłumiła strach i postępowała zgodnie z jego wskazówkami. Gendibal raz jeszcze stwierdził, że jest z niej zadowolony.

Ucieszyła się jednak wyraźnie, kiedy znowu znaleźli się na statku. Gendibal zresztą też się ucieszył. Rozglądał się, zdejmując skafander. Widok luksusowego wyposażenia statku odebrał mu mowę. Nie znał prawie żadnego z tych urządzeń i na myśl, że może mieć bardzo mało czasu, aby nauczyć się posługiwać tym wszystkim, zrobiło mu się trochę nieswojo. Mógł co prawda przejąć wiedzę na ten temat wprost od człowieka, który był już na pokładzie, ale nigdy nie było to tak skuteczne jak prawdziwa nauka.

Potem skoncentrował się na Comporze. Compor był wysoki i szczupły, kilka lat starszy od niego, dość przystojny, choć raczej bezbarwny, o bardzo falujących włosach koloru masła.

Było jasne dla Gendibala, że Compor był rozczarowany Mówcą, którego teraz spotykał po raz pierwszy, a nawet odczuwał do niego pogardę. Co więcej, nie potrafił tego ukryć.

Ogólnie biorąc, Gendibalowi w niczym to nie przeszkadzało. Compor nie był Trantorczykiem ani pełnoprawnym członkiem Drugiej Fundacji i miał fantastyczne wyobrażenia o niej. Dowodziło tego nawet zupełnie powierzchowne badanie jego mózgu. Zgodnie z tymi wyobrażeniami prawdziwa siła była w sposób konieczny powiązana z wyglądem tego, który ją posiadał. Mógł oczywiście mieć takie wyobrażenie tak długo, jak długo nie kolidowało to z zamiarami Gendibala, .ale w tej chwili akurat było z nimi w kolizji.

To, co zrobił Gendibal, było psychicznym odpowiednikiem uderzenia po palcach. Compor zachwiał się lekko pod wpływem silnego bólu, który jednak zaraz minął. Narzucona z zewnątrz koncentracja pofalowała nieznacznie powierzchnię jego myśli i zostawiła go ze świadomością, że Mówca posiada straszną siłę, której

może użyć, kiedy uzna za stosowne. Compor poczuł wielki respekt przed Gendibalem.

— Compor, przyjacielu, staram się po prostu skupić twoją uwagę — powiedział uprzejmym tonem Gendibal. — Podaj mi, proszę, obecne miejsce pobytu twego przyjaciela Golana Trevize i jego przyjaciela, Janova Pelorata.

— Czy mam mówić przy tej kobiecie, Mówco? — spytał niepewnie Compor.

— Ta kobieta, Compor, jest przedłużeniem mnie samego. Nie widzę powodu, żebyś nie mógł mówić otwarcie.

— Jak sobie życzysz, Mówco. Trevize i Pelorat zbliżają się teraz do planety nazywanej Gają.

— To już mi zakomunikowałeś parę dni temu. Na pewno zdążyli już wylądować na Gai, a może udali się w podróż powrotną. Niedługo zabawili na Sayshell.

— Kiedy ich śledziłem, jeszcze nie wylądowali. Zbliżali się do tej planety bardzo ostrożnie, robiąc długie przerwy między kolejnymi mikroskokami. Jest dla mnie jasne, że nie mają żadnych informacji o planecie, na którą lecą. i dlatego zwlekają.

— A ty, Compor, masz jakieś informacje?

— Nie mam żadnych, Mówco, a przynajmniej nie ma ich w moim komputerze pokładowym — odparł Compor.

— To ten komputer? — spojrzenie Gendibala spoczęło na płycie sterującej. Zapytał z nagłym przypływem nadziei: — Czy jest bardzo pomocny w kierowaniu statkiem?

— Sam może nim całkowicie kierować, Mówco. Wystarczy tylko przekazać mu swoje życzenie w myśli.

Gendibal zaniepokoił się. — Tak daleko zaszła już Fundacja?

— Tak, ale na razie robią to niezgrabnie. Ten komputer nie działa zbyt dobrze. Muszę po kilka razy powtarzać polecenia, a i tak dostaję minimalne informacje.

— Może ja potrafię to zrobić lepiej — rzekł Gendibal.

— Jestem tego pewien, Mówco — powiedział z szacunkiem Compor.

— Ale zostawmy to na razie. Dlaczego nie ma w nim danych na temat Gai?.

— Nie wiem, Mówco. Utrzymuje — o ile można o komputerze w ogóle powiedzieć, że coś utrzymuje — że ma dane o wszystkich zamieszkanych planetach w Galaktyce.

— Nie może zawierać więcej danych niż do niego wprowadzono, a jeśli ci, którzy je wprowadzali, myśleli, że mają dane o wszystkich takich planetach, podczas gdy faktycznie ich nie mieli, to komputer powiela ich błędny sąd. Zgoda?

— Oczywiście, Mówco.

— Dowiadywałeś się o Gaje na Sayshell?

— Mówco — rzekł Compor z zakłopotaniem — są na Sayshell ludzie, którzy mówią o Gai, ale to, co mówią, jest zupełnie bezwartościowe. To oczywiste przesądy. Opowiadają, że Gaja jest potężnym światem, który kiedyś odparł nawet Muła.

— Naprawdę tak mówią? — spytał Gendibal, tłumiąc podniecenie. — Byłeś tak pewien, że to przesąd, że nie pytałeś o szczegóły?

— Nie, Mówco. Wypytywałem kogo mogłem, ale to, co ci powiedziałem, to wszystko, co mają do powiedzenia na ten temat. Mogą o niej długo rozprawiać, ale kiedy skończą, okazuje się, że wszystko sprowadza się tylko do tego.

— Najwidoczniej — powiedział Gendibal — Trevize też to słyszał i leci na Gaje z jakiegoś powodu, który się z tym wiąże, być może po to, aby wykorzystać tę potęgę. A postępuje tak ostrożnie, bo być może on także boi się tej potęgi.

— To na pewno możliwe, Mówco.

— A mimo to nie poleciałeś za nim?

— Leciałem za nim, Mówco, dotąd, dokąd nie upewniłem się, że naprawdę kieruje się na Gaje. Potem wróciłem tu, na obrzeże układu gajariskiego.

— Dlaczego?

— Z trzech powodów, Mówco. Po pierwsze, ty miałeś tu przybyć i chciałem cię spotkać w połowie drogi i jak najwcześniej — tak, jak mi poleciłeś — wziąć cię na pokład swojego statku. Ponieważ na moim statku jest nadajnik nadprzestrzenny, nie mogłem za bardzo oddalić się od Trevizego i Pelorata bez wzbudzenia podejrzeń na Terminusie, ale pomyślałem, że mogę zaryzykować i na tyle właśnie się oddalić. Po drugie, kiedy stało się już dla mnie jasne, że Trevize bardzo wolno zbliża się do Gai, pomyślałem, że będę miał dosyć czasu, aby wylecieć w twoją stronę i przyspieszyć nasze spotkanie bez obawy, że zaskoczy nas dalszy rozwój wypadków, szczególnie, że ty masz większe kwalifikacje niż ja, żeby lecieć za nim aż na samą planetę i pokierować wydarzeniami, gdyby przybrały niebezpieczny obrót.

— Racja. A trzeci powód?

— Od czasu naszej ostatniej rozmowy zdarzyło się coś, czego się nie spodziewałem i czego nie rozumiem. Czułem, że — również z tego powodu — lepiej będzie, jeśli przyspieszę nasze spotkanie o tyle, o ile mogę.

— A co to zdarzenie, którego nie spodziewałeś się i którego nie pojmujesz?

— Statki floty wojennej Fundacji skupiają się na granicy z Sayshell. Mój komputer wyłowił tę informację z sayshellskiego dziennika radiowego. W składzie tej flotylli jest przynajmniej pięć

najnowocześniejszych statków i dysponuje ona dostateczną siłą, aby podbić Sayshell.

Gendibal nie odpowiedział od razu, gdyż nie przystawało mu pokazać, że on również nie spodziewał się takiego posunięcia i też go nie rozumiał. A więc, odczekawszy chwilę, spytał niedbałym tonem:

— Myślisz, że to ma jakiś związek ze zwrotem Trevizego w stronę Gai?

— Na pewno nastąpiło po nim, a jeśli B następuje po A, to istnieje przynajmniej możliwość, że A spowodowało B — odparł Compor.

— A zatem wygląda na to, że wszyscy — Trevize, ja i Pierwsza Fundacja — dążymy do tego samego punktu, na Gaję… No cóż, Compor, dobrze się spisałeś — powiedział Gendibal — a oto, co zrobimy teraz. Po pierwsze, pokażesz mi, jak działa ten komputer i jak za jego pośrednictwem można kierować statkiem. Jestem pewien, że nie zabierze to nam dużo czasu.

Potem przesiądziesz się na mój statek. Do tej pory zdążę wpoić w twój umysł wiedzę o tym, jak nim sterować. Nie będziesz miał kłopotów z manewrowaniem nim, chociaż muszę ci powiedzieć, że — jak niewątpliwie domyśliłeś się z jego wyglądu — wyda ci się bardzo prymitywny. Kiedy już będziesz nim mógł pokierować, zostaniesz tu i poczekasz na mnie.

— Jak długo, Mówco?

— Dopóki nie przylecę. Nie sądzę, żeby nie było mnie tak długo, by zdążyły się wyczerpać zapasy żywności, ale jeśli będę się spóźniał, to możesz znaleźć drogę do jakiejś zamieszkanej planety Związku Sayshellskiego i tam zaczekać. Gdziekolwiek będziesz, znajdę cię.

— Jak sobie życzysz, Mówco.

— I nie wpadaj w popłoch. Potrafię sobie poradzić z tą tajemniczą Gają i — jeśli będzie potrzeba — z tymi pięcioma statkami Fundacji.

67.

Littoral Thoobing był od siedmiu lat ambasadorem Fundacji w Związku Sayshellskim. Był raczej zadowolony z tej funkcji.

Wysoki i raczej tęgi, miał gęsty, płowy wąs, mimo iż zarówno w Fundacji, jak i na Sayshell zarost na twarzy nie był już od lat w modzie. Twarz miał mocno pobrużdżoną, chociaż liczył dopiero pięćdziesiąt cztery lata. Gościł na niej zawsze wyraz wystudiowanej obojętności. Niełatwo było zorientować się, jaki ma stosunek do swej pracy.

Ale był raczej zadowolony ze swej funkcji. Dzięki niej mógł się trzymać z daleka od rozgrywek politycznych na Terminusie, a było to coś, co bardzo cenił. Poza tym stwarzało mu to możliwość prowadzenia życia sayshellskiego sybaryty i zapewnienia żonie i córce standardu, który bardzo kochały. Nie chciał, żeby mu w tym ktoś przeszkadzał.

Z drugiej strony, raczej nie darzył sympatią Liono Kodella, być może dlatego, że Kodell również miał wąsy, choć rzadsze, krótsze i siwe. Dawniej byli jedynymi spośród udzielających się publicznie i ogólnie znanych mężczyzn, którzy nosili wąsy i istniało między nimi w tym względzie swego rodzaju współzawodnictwo. „Teraz, pomyślał Thoobing, Kodell z tym mizernym wąsikiem nie może nawet marzyć o współzawodnictwie".

Kodell był szefem Urzędu Bezpieczeństwa, kiedy Thoobing, jeszcze wówczas na Terminusie, chciał przeszkodzić Harli Branno w ubieganiu się o stanowisko burmistrza, ale został przekupiony godnością ambasadora. Branno zrobiła to, oczywiście, z myślą o własnych interesach, ale odpłacał jej za to wdzięcznością.

Jej tak, ale nie Kodellowi. Może niechęć, którą żywił do Kodella, spowodowana była jego niczym nie zmąconą pogodą ducha, tą życzliwością i przyjacielskością, którą okazywał zawsze, nawet wtedy, gdy już podjął decyzję w jaki to konkretnie sposób ma swemu rozmówcy poderżnąć gardło.

Siedział teraz oto przed nim, jak zwykle dobroduszny, wprost promieniujący życzliwością. Ale był to tylko jego, przekazany przez nadprzestrzeń, obraz. Fizycznie, cieleśnie, znajdował się, oczywiście, na Terminusie, co zaoszczędziło Thoobingowi trudu udawania gościnności.

— Kodell — powiedział — chcę, żeby wycofano te statki.

Kodell uśmiechnął się promiennie. — Ba, ja też, ale nasza dama zadecydowała inaczej.

— Jest pan znany z — tego, że potrafi pan jej wyperswadować to czy tamto.

— Czasami. Być może. Kiedy sama chce, żeby jej coś wyperswadowano. Tym razem akurat nie chce… Thoobing, niech pan robi, co do pana należy. Niech się pan postara, żeby Sayshellczycy zachowali spokój.

— Nie myślę o Sayshell, Kodell. Myślę o Fundacji.

— Wszyscy o niej myślimy.

— Nie rób uników, Kodell. Chcę, żebyś posłuchał, co ci pragnę powiedzieć.

— Z chęcią, ale mamy teraz gorący czas na Terminusie i nie mogę cię słuchać w nieskończoność.

— Postaram się mówić tak krótko, jak to możliwe… kiedy mówi się o możliwości zagłady Fundacji.

Jeśli ta linia nadprzestrzenna nie jest na podsłuchu, to będę mówił otwarcie.

— Nie jest na podsłuchu.

— A więc przejdę do rzeczy. Kilka dni temu dostałem wiadomość od niejakiego Golana Trevize — go. Przypominam sobie, że kiedy zajmowałem się polityką na Terminusie, jakiś Trevize był pełnomocnikiem rządu do spraw transportu.

— To był wuj tego młodzieńca — rzekł Kodell.

— Aha, więc znasz tego Trevizego, który przekazał mi tę wiadomość. Według informacji, które potem zebrałem, był on radnym, ale po szczęśliwym zażegnaniu kryzysu Seldona został aresztowany i skazany na wygnanie.

— Zgadza się.

— Nie wierzę.

— W co nie wierzysz?

— Że został skazany na wygnanie.

— Dlaczego?

— Czy zdarzyło się choć raz w dziejach Fundacji, żeby jakiegoś jej obywatela skazano na wygnanie? — spytał Thoobing. — Albo się go aresztuje, albo nie. Jeśli się aresztuje, to sądzi się go albo nie. Jeśli się sądzi, to uznaje się go za winnego albo nie. Jeśli uznaje się za winnego, to się go degraduje, pozbawia praw obywatelskich, skazuje na karę grzywny, więzienie albo śmierć. Ale nikogo nie skazuje się na wygnanie.

— Wszystko kiedyś zdarza się po raz pierwszy.

— Bzdura! W supernowoczesnym statku wojennym? Trzeba być głupcem, żeby się nie zorientować, że stara wysłała go w jakiejś misji specjalnej. Kogo ona chce na to nabrać?

— A na czym miałaby polegać ta misja?

— Przypuszczalnie na znalezieniu planety o nazwie Gaja.

Twarz Kodella nie promieniowała już bezgraniczną życzliwością. W jego oczach pojawił się twardy błysk. Powiedział:

— Wiem, że nie kieruje panem, panie ambasadorze, przemożny impuls, aby uwierzyć moim zapewnieniom, ale usilnie proszę, aby zrobił pan wyjątek i uwierzył mi jednak w tym przypadku. Otóż w czasie, kiedy skazywaliśmy Trevizego na wygnanie, ani pani burmistrz, ani ja nie przypuszczaliśmy w ogóle, że istnieje jakaś Gaja. Po raz pierwszy usłyszeliśmy o niej parę dni temu. Jeśli pan mi wierzy, możemy kontynuować tę rozmowę.

— Postaram się, panie dyrektorze, stłumić swoją skłonność do sceptycyzmu i przyjąć pana zapewnienie, choć naprawdę trudno w to uwierzyć.

— Zgadzam się z panem, panie ambasadorze. Przyjąłem ten formalny ton tylko dlatego, że będzie pan musiał zaraz odpowiedzieć na parę pytań i nie będzie to dla pana przyjemne. Mówi pan tak, jakby wiedział pan o Gai. Jak to możliwe, że wie pan o czymś, o czym my nie wiedzieliśmy? Czy nie jest pana obowiązkiem zadbać o to, żebyśmy wiedzieli wszystko to, co panu wiadomo o państwie, w którym jest pan naszym przedstawicielem?

— Gaja nie należy do Związku Sayshellskiego — odparł łagodnym tonem Thoobing. — Szczerze mówiąc, prawdopodobnie w ogóle nie istnieje taka planeta. Czy mam przekazywać na Terminusa te wszystkie baśnie, które opowiadają o Gai przesądni Sayshellczycy z niższych sfer? Niektórzy z nich utrzymują, że Gaja znajduje się w nadprzestrzeni. Inni twierdzą, że jest to świat, który posiada nadprzyrodzone właściwości i opiekuje się Sayshell. Jeszcze inni, że Gaja specjalnie wysłała Muła, aby rozszarpał Galaktykę. Jeśli macie zamiar poinformować rząd sayshellski, że Trevize został wysłany po to, aby znaleźć Gaje i że pięć supernowoczesnych statków floty wojennej Fundacji ma go wesprzeć w tych poszukiwaniach, to ręczę panu, że wam nie uwierzą. Lud może sobie wierzyć w baśnie o Gai, ale rząd w nie nie wierzy i nie uwierzy, że Fundacji chodzi o Gaje. Będą przekonani, że Fundacja chce siłą wcielić Sayshell do Federacji.

— A jeśli właśnie to planujemy?

— To byłby fatalny błąd. Daj spokój, Kodell, czy w pięćsetletniej historii Fundacji zdarzyło się choć raz, żebyśmy zaczęli jakąś zaborczą wojnę? Prowadziliśmy wojny tylko po to, żeby sami nie znaleźć się pod zaborem — raz przegraliśmy — i nigdy w wyniku wojny nie poszerzyliśmy naszego obszaru. Przystąpienie do Federacji zawsze było dobrowolne i„ odbywało się na drodze pokojowej. Przystępowali do nas ci, którzy widzieli płynące z tego korzyści.

— A czy to niemożliwe, żeby Sayshell też dojrzał takie korzyści i przyłączył się do Federacji?

— Nie zrobią — tego, dopóki na granicy będą nasze statki. Wycofajcie je.

— To niemożliwe.

— Kodell, Sayshell jest najlepszym świadectwem dobrej woli i pokojowej polityki Fundacji. Jest prawie ze wszystkich stron otoczony przez terytoria należące do Federacji, jest szczególnie podatny na ciosy, a mimo to dotąd był bezpieczny, nic mu nie groziło z naszej strony, szedł swoją własną drogą, a nawet bez przeszkód prowadził politykę antyfundacyjną. Czy mamy lepszy sposób, żeby pokazać Galaktyce, że nikogo nie zmuszamy siłą do przystąpienia do Federacji, że jesteśmy do wszystkich nastawieni przyjaźnie? Jeśli teraz zaanektujemy Sayshell, to weźmiemy to, co praktycznie i tak już mamy. W końcu zdominowaliśmy go gospodarczo, choć spokojnie i po cichu. Ale jeśli zawładniemy nim siłą, to udowodnimy całej Galaktyce, że staliśmy się ekspansjonistami.

— A jeśli powiem panu, że rzeczywiście interesuje nas tylko Gaja?

— To, tak jak Związek Sayshellski, nie uwierzę w to. Ten człowiek, Trevize, przysyła mi wiadomość, że jest w drodze na Gaje i żąda, abym przekazał ją na Terminusa. Robię to, wbrew swojej woli, bo muszę i zanim zdążyła ostygnąć linia nad — przestrzenna łącząca mnie z Terminusem, flota wojenna Fundacji rusza do akcji. W jaki sposób chcecie dostać się na Gaje, nie naruszając przestrzeni Sayshell?

— Mój drogi, na pewno nie słucha pan tego, co pan sam mówi. Czy nie powiedział mi pan zaledwie kilka minut temu, że jeśli Gaja w ogóle istnieje, to nie jest częścią Związku Sayshellskiego? Przypuszczam też, że wie pan o tym, iż nadprzestrzeń nie należy do żadnego świata i że mogą z niej swobodnie korzystać wszyscy. A zatem jakie pretensje będzie mógł mieć do nas Sayshell, jeśli przez nadprzestrzeń skoczymy wprost na terytorium Gai, nie zająwszy po drodze ani jednego centymetra sześciennego terytorium sayshellskiego?

— Sayshell nie zinterpretuje tego w ten sposób, Kodell. Jeśli Gaja w ogóle istnieje, to jest ze wszystkich stron otoczona przez Związek Sayshellski, choć nie jest jego częścią, a historia dostarcza przykładów, że jeśli chodzi o statki wojenne nieprzyjaciela, to takie enklawy są faktycznie częścią otaczających je terytoriów.

— Nasze statki nie są statkami nieprzyjaciela. Mamy z Sayshell traktat pokojowy.

— Mówię panu, że Sayshell może wypowiedzieć wojnę. Oczywiście wiedzą, że nie mogą jej wygrać, ale faktem jest, że ta wojna wywoła w całej Galaktyce falę oburzenia i wzbudzi nastroje anty fundacyjne. Ekspansjonistyczna polityka Fundacji doprowadzi do tego, że zaczną się zawiązywać sojusze przeciw nam. Niektórzy z członków Federacji przemyślą raz jeszcze sprawę swoich związków z nami. Możemy przegrać tę wojnę z powodu rozbicia wewnętrznego, a wtedy z pewnością nie tylko zahamujemy, ale odwrócimy proces rozwoju i wzrostu, który tak dobrze służył Fundacji przez pięćset lat.

— Niech pan da spokój, Thoobing — powiedział obojętnym tonem Kodell. — Mówi pan, jakby pięćset lat nic nie znaczyło, jak gdybyśmy nadal byli tacy, jak za czasów Salvora Hardina i walczyli z kieszonkowymi królestwami w rodzaju Anakreona. Jesteśmy teraz o wiele potężniejsi niż Imperium Galaktyczne za czasów swej świetności. Eskadra naszych statków mogłaby pokonać całą flotę wojenną Imperium, zająć dowolnie duży sektor Galaktyki i nawet nie odczułaby, że stoczyła walkę.

— Nie walczymy z Imperium — Galaktycznym. Walczymy z planetami i sektorami w naszych czasach.

— Ale one nie są tak wysoko rozwinięte jak my. Moglibyśmy teraz zająć całą Galaktykę.

— Zgodnie z Planem Seldona nie możemy tego zrobić wcześniej niż za pięćset lat.

— Seldon nie docenił tempa postępu technicznego. Możemy zrobić to już teraz!… Proszę zrozumieć mnie właściwie — nie mówię, że zrobimy to teraz ani nawet że powinniśmy ta zrobić teraz. Po prostu stwierdzam fakt, że możemy to zrobić już teraz.

— Kodell, pan spędził całe życie na Terminusie i nie zna pan Galaktyki. Dzięki naszej flocie wojennej i technice możemy pokonać siły zbrojne innych światów, ale nie będziemy w stanie sprawować rządów nad buntującą się przeciw nam, przepojoną nienawiścią do nas Galaktyką. A na pewno zapanują w niej takie nastroje, jeśli zawładniemy nią siłą. Wycofajcie statki.

— To niemożliwe, Thoobing. Niech pan pomyśli… A może Gaja nie jest mitem?

Thoobing przez chwilę przyglądał się w milczeniu Kodellowi, jakby chciał z wyrazu jego twarzy poznać jego myśli. — Nie jest mitem? — powiedział w końcu. — Świat w nadprzestrzeni?

— To, że jest W nadprzestrzeni, to przesąd, ale nawet w przesądach może kryć się ziarnko prawdy. Ten Trevize, który został skazany na wygnanie, mówi o niej jak gdyby była rzeczywistym światem znajdującym się w normalnej przestrzeni. A może ma rację?

— Nonsens. Nie wierzę.

— Nie? Niech pan spróbuje uwierzyć tylko na chwilę. Realny świat, który zapewnił Sayshell ochronę przed Mułem i przed Fundacją!

— Sam pan sobie zaprzecza. W jaki sposób Gaja zapewnia Sayshell ochronę przed Fundacją? Czy nie wysyłamy przeciw niemu naszej floty?

— Nie przeciw niemu, ale przeciw Gai, która jest otoczona taką tajemnicą, której tak bardzo zależy, żeby o niej nic nie wiedziano, że mimo iż znajduje się w normalnej przestrzeni, zdołała jakoś przekonać mieszkańców sąsiadujących z nią światów, że leży w nadprzestrzeni, której nawet udało się uniknąć umieszczenia na najlepszych i

najpełniejszych mapach Galaktyki.

— Musi to zatem być bardzo niezwykły świat, który potrafi manipulować umysłami ludzi.

— No właśnie. Czy nie powiedział pan parę minut temu, że jest na Sayshell znana opowieść, zgodnie z którą Gaja wysłała Muła, aby rozszarpał Galaktykę? Czy Muł nie potrafił manipulować umysłami?

— A więc Gaja ma być światem Mułów?

— A jest pan pewien, że nie?

— A dlaczego wobec tego nie odrodzoną Drugą Fundacją?

— No właśnie. Czy nie powinniśmy tego zbadać?

Thoobing spoważniał. Podczas ostatniej wymiany zdań z Kodellem uśmiechał się drwiąco, ale teraz zwiesił głowę i spojrzał ponuro. — Jeśli mówi pan poważnie, to czy takie badanie nie jest niebezpieczne?

— A jest?

— Na moje pytania odpowiada pan pytaniami, bo nie ma pan na nie rozsądnych odpowiedzi. Na co zdadzą się statki przeciw Mułom albo przeciw Drugiej Fundacji? Prawdę mówiąc, czy nie jest możliwe, że — jeśli istnieją — chcą nas prowokować i zniszczyć? Niech pan tylko pomyśli. Mówi mi pan, że Fundacja może utworzyć Imperium już teraz, chociaż doszliśmy dopiero do połowy drogi wytyczonej przez Plan Seldona, a ja ostrzegam, że za bardzo się spieszycie i że zawiłości tego planu zmuszą was wbrew waszej woli do zwolnienia tempa. Być może, że — jeśli Gaja faktycznie istnieje i jest tym, co pan mówi — to wszystko jest tylko sprytnym podstępem, dzięki któremu zostaniecie zmuszeni do pohamowania waszych zapędów. Zróbcie lepiej z własnej woli to, do czego niedługo zostaniecie zmuszeni. Zróbcie pokojowo i bez rozlewu krwi to, do czego zmusi was klęska. Wycofajcie statki.

— To niemożliwe. Otóż, Thoobing, burmistrz Branno — zamierza sama dołączyć do tych statków, a statki zwiadowcze przedostały się już przed nadprzestrzeń w okolice, gdzie rzekomo znajduje się Gaja.

Thoobing wybałuszył oczy. — Na pewno wybuchnie wojna. Mówię to panu.

— Jest pan naszym ambasadorem. Niech pan temu zapobiegnie. Niech pan da Sayshellczykom takie gwarancje, jakich zażądają. Niech pan stanowczo odrzuca pomówienie nas o złą wolę. Jeśli będzie pan musiał, to niech pan im powie, że opłaci im się siedzieć cicho i czekać, aż Gaja nas zniszczy. Niech pan mówi, co pan chce, byleby siedzieli spokojnie.

Przerwał na chwilę, popatrzył na osłupiałą minę Thoobinga i powiedział:

— To wszystko. Naprawdę. O ile mi wiadomo, żaden statek Fundacji nie wyląduje na żadnym świecie należącym do Związku

Sayshellskiego ani nie znajdzie się w żadnym miejscu normalnej przestrzeni, która należy do Związku. Jednakże każdy statek sayshellski, który spróbuje sprowokować nas poza granicami Związku, a więc na terytorium Fundacji, zostanie natychmiast rozbity w pył. To też niech pan przedstawi jasno. Niech Sayshellczycy siedzą spokojnie. Jeśli się panu nie powiedzie, zostanie pan pociągnięty do odpowiedzialności. Dotąd miał pan, Thoobing, łatwą pracę, ale teraz przyszły dla pana ciężkie czasy. Najbliższych — kilka tygodni zadecyduje o wszystkim. Jeśli pan nas zawiedzie, to nie znajdzie pan miejsca w całej Galaktyce, żeby się przed nami schować.

Kiedy kończył to mówić, w jego twarzy nie było ani wesołości, ani przyjacielskiego uśmiechu. Połączenie urwało się i obraz zniknął. Thoobing gapił się z otwartymi ustami w miejsce, gdzie przed chwilą widział twarz Kodella.

68.

Golan Trevize schwycił się za włosy, jak gdyby chciał sprawdzić przez dotyk, co się dzieje w jego głowie. — Jaki jest stan twego umysłu? — spytał nagle Pelorata.

— Stan umysłu? — powtórzył bezbarwnym głosem Pelorat.

— Tak. Złapali nas. Statek jest pod kontrolą z zewnątrz i nieubłaganie kieruje się na świat, o którym nic nie wiemy. Wpadłeś w panikę?

Na długiej twarzy Pelorata pojawił się wyraz pewnej melancholii. — Nie — odparł. — Nie powiem, żebym czuł się radośnie. Czuję lekki niepokój, ale nie wpadłem w panikę.

— Ja też nie. Czy to nie dziwne? Dlaczego nie jesteśmy bardziej zdenerwowani?

— Spodziewaliśmy się czegoś takiego, Golan. Czegoś takiego jak to.

Trevize odwrócił się i spojrzał na ekran. Cały czas widać na nim było stację orbitalną. Była teraz większa, co oznaczało, że zbliżyli się do niej.

Nic wyglądała zbyt imponująco. Tak mu się przynajmniej wydawało. Nic w niej nie świadczyło o tym, że zbudowali ją ludzie dysponujący jakąś supernau — ką. Właściwie wydawała się nawet nieco prymitywna. Ale jednak trzymała ich w swych szponach.

— Jestem nastawiony zbyt analitycznie, Janov. Patrzę na to zbyt chłodno! Mówię sobie, że to dlatego, że nie jestem tchórzem i potrafię zachować zimną krew w trudnej sytuacji, ale zbytnio sobie tym pochlebiam. Każdy tak o sobie myśli. Powinienem teraz kulić się i pocić. To, że spodziewaliśmy się czegoś, nie zmienia faktu, że jesteśmy bezradni i że mogą nas zabić.

— Nie sądzę, Golan — rzekł Pelorat. — Skoro Gajanie potrafili na taką odległość zapanować nad naszym statkiem, to czy nie mogli nas zabić? Jeśli nadal żyjemy…

— Ale nie jesteśmy zupełnie nietknięci. Jesteśmy za bardzo spokojni, mówię ci. Myślę, że nas wyciszyli psychicznie.

— Dlaczego?

— Myślę, że chcą, żebyśmy byli w dobrej kondycji psychicznej. Możliwe, że chcą nas przepytać. Potem mogą nas zabić.

— Jeśli są na tyle rozsądni, żeby nas przepytać, to może są też na tyle rozsądni, żeby nas nie zabijać bez powodu.

Trevize usiadł głębiej w fotelu (oparcie odchyliło się pod naciskiem jego pleców do tyłu — przynajmniej fotel zostawili w spokoju i działał jak trzeba) i położył nogi na pulpicie, tam gdzie zazwyczaj kładł dłonie, aby nawiązać kontakt z komputerem. — Może

są na tyle pomysłowi, żeby znaleźć jakiś powód — powiedział. — Niemniej jednak, jeśli wpłynęli na nasze mózgi, to tylko nieznacznie. Gdyby to był Muł, na przykład, to sprawiłby, że pragnęlibyśmy tam lecieć — że bylibyśmy tym zachwyceni, że nie posiadalibyśmy się z radości, że tam lecimy, że każdą cząsteczką naszego ja chcielibyśmy się tam znaleźć. — Wskazał na stację orbitalną. — Czujesz coś takiego, Janov?

— Na pewno nie.

— Jak widzisz, nadal jestem w stanie, który pozwala mi na chłodną analizę naszej sytuacji. To bardzo dziwne! A zresztą, czy ja wiem? Może nie posiadam się ze strachu, może zwariowałem i tylko mi się wydaje, że przeprowadzam chłodną analizę?

Pelorat wzruszył ramionami. — Mnie wydajesz się normalny. Może, tak jak ty, zwariowałem i wydaje mi się to samo, co tobie, ale taka dyskusja donikąd nas nie zaprowadzi. Równie dobrze cała ludzkość może być szalona i żywić takie same złudzenia, w rzeczywistości będąc pogrążona w ogólnym chaosie. Nie sposób udowodnić, że to nieprawda, ale nie mamy innego wyjścia niż polegać na naszych zmysłach. — A potem dodał nagle: — Prawdę mówiąc, ja też trochę się zastanawiałem nad naszą sytuacją.

— Tak?

— Otóż rozmawiamy tu o Gai jako o świecie Mułów czy o odrodzonej Drugiej Fundacji. Czy nie przyszło ci do głowy, że istnieje jeszcze trzecie wytłumaczenie, bardziej sensowne niż te dwa?

— Jakie trzecie wytłumaczenie?

Pelorat nie patrzył na Trevizego. Zdawał się koncentrować na tym, co ma powiedzieć. Rzekł cicho i z namysłem:

— Mamy oto świat, Gaje, który przez nieokreślony czas robił, co mógł, żeby egzystować w ścisłej izolacji od reszty. W żaden sposób nie próbował nawiązać kontaktów z innymi światami, nawet z leżącymi w bezpośrednim sąsiedztwie światami należącymi do Związku Sayshellskiego. Mają wysoko rozwiniętą naukę, jeśli opowieści o zniszczeniu różnych flot wojennych są prawdziwe, a chyba tak, bo dowodzi tego fakt, że potrafią kierować naszym statkiem, a mimo to nie próbowali nikomu narzucić swej władzy. Chcą po prostu, żeby zostawić ich w spokoju.

Trevize zmrużył oczy. — Czyżby?

— To nie jest ludzka postawa. Ponad dwadzieścia tysięcy lat dziejów ludzkości w przestrzeni jest nieprzerwanym ciągiem ekspansji i usiłowań ekspansji. Prawie każdy znany świat, który nadaje się do zamieszkania, jest zamieszkany. O prawie każdy świat toczyły się spory i prawie każdy świat wojował w jakimś momencie z każdym ze swych sąsiadów. Jeśli Gaja ma w tym względzie taką nietypową, nieludzką postawę, to być może dlatego, że naprawdę nie jest światem

ludzi.

Trevize potrząsnął głową. — To niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe? — rzekł łagodnie Pelorat. — Mówiłem ci już, że to naprawdę zagadkowe, że rodzaj ludzki jest jedynym w Galaktyce rodzajem istot inteligentnych. A może jednak nie jedynym? Czy nie może istnieć jeszcze inny rodzaj takich istot — na jednej tylko planecie — którym obce jest dążenie człowieka do ekspansji? Właściwie — Pelorat podniecał się coraz bardziej — może nawet jest w Galaktyce milion rodzajów istot inteligentnych, a z nich tylko jeden — nasz — ma pęd do ekspansji? Pozostałe mogły pozostać tam, gdzie powstały, żyjąc w ukryciu, nie rzucając się w oczy…

— To śmieszne — powiedział Trevize. — Przecież natknęlibyśmy się na takie istoty. Wylądowalibyśmy na ich światach. Musiałyby być na różnym stopniu rozwoju i dysponować różnymi typami techniki. Na pewno większość z nich nie potrafiłaby nas powstrzymać. A nigdy się na coś takiego nie natknęliśmy. Na Przestrzeń! Przecież nigdy nawet nie natrafiliśmy na żadne szczątki cywilizacji nie stworzonej przez człowieka, może nie? To ty jesteś historykiem, więc powiedz mi. Natrafiliśmy?

Pelorat potrząsnął głową. — Nie. Ale jedna taka może istnieć, Golan. Ta jedna!

— Nie wierzę. Sam mówiłeś, że Gaja w jakimś starożytnym dialekcie znaczyła „Ziemia". Czy może tam być cywilizacja nie stworzona przez człowieka?

— Tę nazwę nadali jej ludzie… Kto wie dlaczego? Podobieństwo do archaicznego słowa może być przypadkowe… Pomyśl tylko — fakt, że zwabili nas w sąsiedztwo swojej planety i ściągają nas tam teraz wbrew naszej woli, jest argumentem na rzecz tezy, że Gajanie nie są ludźmi.

— Dlaczego? Co to ma wspólnego z nieludzkością?

— Interesują się nami, ludźmi.

— Jesteś szalony, Janov — powiedział Trevize. — Od tysięcy lat żyją w Galaktyce, otoczeni przez ludzi. Dlaczego mieliby się nami interesować akurat teraz? Dlaczego nie interesowali się nami wcześniej? A jeśli zainteresowali się dopiero teraz, to dlaczego akurat tobą i mną? Jeśli chcą zbadać istoty ludzkie i ich kulturę, to dlaczego nie zainteresowali się światami należącymi do Sayshell? Dlaczego mieliby nas ściągać aż z Terminusa?

— Mogą interesować się Fundacją.

— Bzdura! — żachnął się Trevize. — Janov, ty po prostu chcesz znaleźć jakieś istoty inteligentne nie będące ludźmi i to jest to. Myślę teraz, że gdybyś spodziewał się natrafić na takie istoty, to nie przejmowałbyś się w ogóle tym, że cię złapią, że będziesz bezbronny, nawet tym, że cię zabiją, bylebyś tylko zdołał zaspokoić swoją

ciekawość.

Pelorat chciał już z oburzeniem zaprzeczyć, nawet zaczął coś mówić, ale przerwał, wziął głęboki oddech i powiedział:

— Może masz rację, Golan, ale ja i tak będę twierdził swoje. Myślę, że nie będziemy musieli długo czekać, żeby przekonać się, kto z nas ma rację. …Spójrz!

Wskazał na ekran. Trevize, który w zapale dyskusji przestał zwracać uwagę na to, co się wokół nich dzieje, na słowa Pelorata odwrócił się. — Co to jest? — spytał.

— Czy z tej stacji nie startuje jakiś statek?

— Coś tam jest — przyznał niechętnie Trevize. — Nie mogę jeszcze rozróżnić szczegółów. Nie mogę dać większego zbliżenia, bo już jest maksymalne. — Po chwili rzekł: — Wydaje się, że kieruje się w naszą stronę. Myślę, że to statek. Założymy się?

— O co?

— Jeśli uda nam się kiedykolwiek wrócić na Terminus — powiedział drwiącym głosem Trevize — to zamówimy wystawny obiad dla nas i dla gości, jakich będziemy chcieli zaprosić, w liczbie — powiedzmy — czterech osób i jeśli na tym statku znajdują się istoty należące do innego niż my rodzaju, to płacę ja, a jeśli ludzie — to ty.

— Zgoda — odparł Pelorat.

— No to zakład stoi — rzekł Trevize, wpatrując się w ekran. Starał się dostrzec jakieś szczegóły statku i zastanawiał się, czy na podstawie jakichkolwiek szczegółów można bez wahania określić, że należ on do istot innego rodzaju (albo do ludzi).

69.

Siwe włosy Branno były ułożone nienagannie. Biorąc pod uwagę jej spokój, można by pomyśleć, że znajduje się w Pałacu Burmistrzowskim. Ani jednym gestem nie zdradziła, że jest w przestrzeni dopiero drugi raz w życiu. (Zresztą pierwszy raz, kiedy to rodzice zabrali ją na wycieczkę turystyczną na Kalgan, właściwie się nie liczył. Miała wtedy zaledwie trzy lata.)

— W końcu było obowiązkiem Thoobinga wyrazić swoją opinię i przestrzec mnie — powiedziała głosem, w którym brzmiało pewne zmęczenie.: — Ostrzegł mnie. Bardzo dobrze. Nie mam o to do niego pretensji.

Kodell, który wsiadł z nią na statek, aby móc rozmawiać swobodnie, bez trudności natury psychologicznej, które stwarzało komunikowanie się na odległość, powiedział:

— Za długo już jest na tej placówce. Zaczyna myśleć jak Sayshellczyk.

— To ryzyko zawodowe ambasadora, Liono. Poczekajmy, aż załatwimy tę sprawę. Potem damy mu rok urlopu i poślemy na jakąś inną placówkę. Zna się na swojej pracy… W końcu miał tyle rozumu, żeby przekazać nam bez zwłoki wiadomość od Trevizego.

Kodell uśmiechnął się lekko. — Tak, powiedział mi, że zrobił to wbrew swej woli. „Robię to, bo muszę", powiedział. Widzi pani, pani burmistrz, musiał to zrobić, nawet wbrew swej woli, ponieważ jak tylko Trevize przekroczył granicę Związku Sayshellskiego, poleciłem ambasadorowi Thoobingowi przekazywać nam natychmiast wszelkie dotyczące go wiadomości.

— Ach tak? — Branno obróciła się nieco na fotelu, aby lepiej widzieć twarz Kodella. — A co pana do tego skłoniło?

— Sprawy podstawowe. Trevize podróżuje najnowocześniejszym statkiem bojowym, co oczywiście nie mogło ujść uwadze Sayshellczyków. Jest nieroztropnym bałwanem, co też nie mogło ujść ich uwadze. Dlatego mógł wpaść w jakieś tarapaty, a każdy obywatel Fundacji wie na pewno jedno — że kiedy gdzieś w Galaktyce wpadnie w tarapaty, to może wezwać pomocy najbliższego przedstawiciela Fundacji. Osobiście nie miałbym nic przeciw temu, żeby Trevize wpakował się w jakąś awanturę — może to pomogłoby mu wreszcie wydorośleć i w sumie wyszłoby mu na dobre — ale wysłała go pani po to, żeby był naszym piorunochronem i chciałem, żeby mogła pani właściwie ocenić charakter gromu, który na niego spadnie, więc postarałem się, żeby miał go na oku znajdujący się najbliżej niego przedstawiciel Fundacji. To wszystko.

— A więc to tak! Rozumiem teraz dlaczego Thoobing tak

zareagował. Ja wysłałam mu podobne polecenie. Ponieważ otrzymał mniej więcej takie same instrukcje ode mnie i od pana, trudno się dziwić, że pomyślał, iż pojawienie się kilku statków Fundacji może zapowiadać coś znacznie poważniejszego… Liono, dlaczego nie porozumiał się pan ze mną, przed wysłaniem mu tego polecenia?

— Gdybym zaprzątał pani głowę wszystkim, — co robię, to nie starczyłoby pani czasu na wykonywanie obowiązków burmistrza — odparł chłodno Kodell. — Dlaczego nie powiadomiła mnie pani o swoich zamiarach?

— Gdybym informowała pana o wszystkich swoich zamiarach — rzekła cierpko Branno — to za dużo by pan wiedział… Ale to błaha sprawa, tak jak i niepokój Thoobinga, a nawet — mówiąc szczerze — jak ewentualny atak Sayshellczyków. Bardziej interesuje mnie Trevize.

— Nasi zwiadowcy zlokalizowali Compora. Leci za Trevizem, a obaj zbliżają się bardzo ostrożnie do Gai.

— Dostałam pełny raport tych zwiadowców, Liono. Najwyraźniej zarówno Trevize, jak i Compor traktują Gaje poważnie.

— Wszyscy kpią z przesądów na temat Gai, ale każdy myśli „A jeśli…" Nawet ambasador Thoobing zdaje się tym nieco zaniepokojony. To może być rezultatem sprytnej polityki Sayshellczyków. Jeśli się rozpowszechnia opowieści o tajemniczym, niezwyciężonym świecie, to ludzie starają się unikać nie tylko tego świata, ale też światów położonych w jego pobliżu… takich jak Związek Sayshellski.

— Myśli pan, że to dlatego Muł dał spokój Sayshell?

— Możliwe.

— Ale chyba nie sądzi pan, że Fundacja trzymała się z daleka od Sayshell z powodu Gai? Nie ma przecież żadnych wzmianek o tym, że kiedykolwiek przedtem słyszeliśmy o tym świecie.

— Przyznaję, że w naszych archiwach nie ma żadnej wzmianki o Gai, ale nie ma też żadnego rozsądnego wyjaśnienia naszej powściągliwości w stosunku do Związku Sayshellskiego.

— .Miejmy zatem nadzieję, że — wbrew opinii Thoobinga — rząd sayshellski wierzy w potęgę Gai i jej zdolności zniszczenia każdego przeciwnika.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że w takim przypadku Związek Sayshellski nie będzie miał nic przeciw naszej wyprawie na Gaje. Im bardziej nie będzie im się to podobać, tym bardziej będą skłonni uważać, że nie można nam przeszkadzać rzucać się na pewne pożarcie przez Gaje. „To będzie wspaniała lekcja, pomyślą sobie, dla tych agresorów".

— A jeśli okaże się, że mają rację, pani burmistrz? Jeśli okaże się, że Gaja faktycznie potrafi zniszczyć każdego przeciwnika?

Branno uśmiechnęła się. — Kiedy mówił pan, że każdy myśli „A

jeśli…”, to przedstawiał pan swoje własne wątpliwości, co, Liono?

— Muszę brać pod uwagę wszystkie możliwości. To mój obowiązek.

— Jeśli Gaja potrafi zniszczyć każdego przeciwnika, to dobiorą się do Tfevizego. To jego zadanie, jako tego, który ma ściągnąć burzę. Mam nadzieję, że to też zadanie Compora.

— Ma pani taką nadzieję? Dlaczego?

— Dlatego, że dzięki temu nabiorą za dużej pewności siebie. To nam na rękę. Zlekceważą nas i będziemy mogli łatwiej ich pokonać.

— .A jeśli to my jesteśmy za bardzo pewni siebie?

— Nie jesteśmy — odparła stanowczo Branno.

— Ci Gajanie to może być coś, o czym nie mamy żadnego pojęcia i przez co nie jesteśmy w stanie ocenić właściwie stopnia grożącego nam niebezpieczeństwa. Poddaję to po prostu pod rozwagę, pani burmistrz, bo trzeba się liczyć nawet z taką możliwością.

— Naprawdę? Skąd panu to przyszło do głowy, Liono?

— Stąd, że — jak myślę — czuje pani, że Gaja może okazać się Drugą Fundacją. Podejrzewam nawet, że pani uważa, że to jest Druga Fundacja. Jednak dzieje Sayshell są interesujące, nawet w okresie Imperium. Wtedy Sayshell był jedynym światem, który miał dość znaczną autonomię. Tylko Sayshell uniknął płacenia ogromnych podatków za panowania tak zwanych złych imperatorów. Krótko mówiąc, wydaje się, że Sayshell był pod opieką Gai nawet w czasach Imperium.

— No i co z tego?

— To, że Druga Fundacja została założona przez Hariego Seldona w tym samym czasie co nasza. W czasach Imperium. Druga Fundacja nie istniała, a Gaja tak. Dlatego Gaja nie jest Drugą Fundacją. Jest to coś innego, może nawet gorszego.

— Nie mam zamiaru bać się tego, czego nie znam, Liono. Istnieją tylko dwa źródła zagrożenia — broń fizyczna i broń psychiczna. I przed jedną, i przed drugą jesteśmy w pełni zabezpieczeni… Niech pan wraca teraz na swój statek i trzyma flotę w pogotowiu na granicy z Sayshell. Polecę w kierunku Gai tylko tym jednym statkiem,, ale cały czas będę w kontakcie z panem i niech pan będzie gotów dołączyć do nas jednym skokiem, jeśli zajdzie taka potrzeba… Niech pan już idzie, Liono, i nie robi takiej zmartwionej miny.

— Jeszcze tylko jedno pytanie. Jest pani pewna, że wie, co robi?

— Jestem — odparła ponuro. — Ja też przestudiowałam historię Sayshell i wiem, że Gaja nie może być Drugą Fundacją, ale — jak już mówiłam — dostałam pełny raport naszych zwiadowców i z niego…

— Tak?

— Dowiedziałam się, gdzie znajduje się Druga Fundacja. Zajmiemy się i nimi, Liono. Najpierw zajmiemy się Gają, a potem

Trantorem.

Rozdział XVII
GAJA

70.

Minęło wiele godzin, zanim statek ze stacji orbitalnej znalazł się w pobliżu „Odległej Gwiazdy". Trevizemu czas ten dłużył się straszliwie.

W normalnej sytuacji Trevize próbowałby wysłać w jego kierunku sygnał i czekałby na odpowiedź. Gdyby odpowiedzi nie dostał, postarałby się zejść mu z drogi.

Ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, a „Odległa Gwiazda" nie była uzbrojona, nie pozostawało im nic innego jak czekać. Komputer nie reagował .na żadne polecenie odnoszące się do tego, co było na zewnątrz. Przynajmniej wewnątrz wszystko działało bez zakłóceń. System urządzeń podtrzymujących warunki niezbędne dla życia funkcjonował bez zarzutu, więc fizycznie czuli się dobrze. Ale było to niewielką pociechą. Byli co prawda jeszcze żywi, ale Trevizego przytłaczała niepewność tego, co się z nimi stanie. Zauważył z irytacją, że Pelorat jest spokojny. Otworzył sobie puszkę z mięsem kurczęcia, które zaraz po otwarciu zostało podgrzane przez mechanizm znajdujący się w puszce, i teraz zajadał ze smakiem, gdy tymczasem Trevizemu nie w głowie było jedzenie.

— Na Przestrzeń, Janov — powiedział — przecież to śmierdzi.

Pelorat drgnął, spojrzał na niego, a potem powąchał zawartość puszki.

— Ja nic nie czuję — rzekł.

Trevize potrząsnął głową. — Wybacz mi, Janov. Jestem po prostu wytrącony z równowagi. Ale postaraj się jeść widelcem, bo przez cały dzień palce będą ci pachniały kurczakiem.

Pelorat spojrzał z zaskoczeniem na swoje palce. — Przepraszam. Nie zauważyłem. Myślałem o czymś innym.

— Może spróbujesz zgadnąć, co to za istoty znajdują się na — tym statku? — spytał ze złośliwym uśmieszkiem Trevize. Wstyd mu było, że Pelorat jest spokojniejszy niż on. Miał przecież za sobą służbę we flocie wojennej (choć oczywiście nigdy nie widział bitwy), podczas gdy Pelorat był tylko historykiem. A jednak to właśnie Pelorat zachowywał spokój.

— Nie można przewidzieć, jaki kierunek mogła przyjąć ewolucja w warunkach odmiennych od ziemskich. Liczba możliwych wariantów nie jest wprawdzie nieskończona, ale i tak dostatecznie duża, by można było praktycznie przyjąć, że jest ich nieskończenie wiele. Mimo to mogę przewidzieć, że nie zareagują gwałtownie, jeśli nie zostaną do tego zmuszeni i potraktują nas jak istoty cywilizowane. Gdyby było inaczej, to bylibyśmy już martwi.

— Ty przynajmniej potrafisz jeszcze logicznie rozumować i jesteś

spokojny. Na moje nerwy to ich uspokajające działanie, któremu nas poddali, jakoś nie działa. Nie mogę usiedzieć na miejscu. Dlaczego nie ma tu jeszcze tego w miotacz kopanego statku?

— Ja, Golan, jestem przyzwyczajony do czekania. Cale życie spędziłem siedząc nad jednymi materiałami i czekając na inne. Ty jesteś człowiekiem czynu i przeżywasz męki, kiedy nie możesz działać.

Trevize poczuł, że z wolna opuszcza go napięcie. — Nie doceniłem twojego zdrowego rozsądku, Janov — mruknął.

— Przesadzasz — odparł pogodnie Pelorat — ale nawet naiwny akademik może czasem rozsądnie spojrzeć na życie.

— A czasem może takiego spojrzenia zabraknąć nawet najsprytniejszemu politykowi.

— Tego nie powiedziałem.

— Ty nie, ale ja… No więc postaram się czymś zająć. Mogę dalej obserwować ten statek. Jest już na tyle blisko, że można o nim powiedzieć coś więcej. Wydaje się dość prymitywny.

— Wydaje się?

— Jeśli to nie jest wytwór ludzkiego umysłu i ludzkich rąk, to to, co wydaje się prymitywne, może w rzeczywistości być po prostu skutkiem tego faktu — powiedział Trevize.

— Myślisz, że to może być produkt nie stworzonej przez człowieka cywilizacji? — spytał z wypiekami na twarzy Pelorat.

— Trudno powiedzieć. Przypuszczam, że aczkolwiek wytwory techniki mogą się bardzo różnić od siebie w zależności od tego, w jakiej cywilizacji powstały, to różnice między nimi nie są tak wielkie jak różnice genetyczne.

— To tylko twoje przypuszczenie. Na razie znamy tylko różne cywilizacje stworzone przez człowieka. Nie znamy żadnych innych istot inteligentnych i nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo mogą się różnić od naszych wytwory ich techniki.

— Ryby, delfiny, pingwiny, kałamarnice, a nawet dwuzgiętki, które nie pochodzą przecież z Ziemi — zakładając, że inne gatunki są pochodzenia ziemskiego — poradziły sobie z problemem poruszania się w środowisku lepkim przybierając kształty opływowe, tak że zewnętrznie nie różnią się od siebie aż tak bardzo, jak można by przypuszczać na podstawie ich wyposażenia genetycznego. Tak — samo może być z wytworami techniki.

— Ramiona kałamarnicy i spiralne rzęski dwuzgiętka — odparł Pelorat — bardzo różnią się od siebie i od płetw, błon pławnych oraz odnóży kręgowców. Tak samo może być z wytworami techniki.

— W każdym razie — rzekł Trevize — czuję się lepiej. Rozmowa z tobą na takie nonsensowne tematy dobrze robi mi na nerwy. A poza tym spodziewam się, że wkrótce dowiemy się, z kim czy z czym mamy do czynienia. Ten statek nie będzie w stanie połączyć się z naszym,

wskutek czego ten ktoś czy to coś, co jest na nim, będzie musiało dostać się tu starym sposobem, po linie, albo zmusi nas jakoś, żebyśmy my przedostali się do niego w ten sposób… Chyba że te istoty mają całkiem inny sposób przechodzenia z jednego statku na drugi.

— Duży jest ten statek?

— Skoro nie możemy skorzystać z naszego komputera i obliczyć za pomocą radaru w jakiej odległości jest od nas, to w żaden sposób nie możemy się zorientować jakie ma wymiary.

Z obcego statku wysunęła się lina w kierunku „Odległej Gwiazdy".

— Albo są na nim ludzie, albo inne istoty używają tego samego urządzenia — powiedział Trevize. — Może nic innego nie nadaje się do tego celu.

— Mogliby używać rury albo poziomej drabiny — rzekł Pelorat.

— Brakuje im giętkości. Przerzucenie rury albo drabiny ze statku na statek byłoby za bardzo skomplikowaną operacją. Do tego trzeba czegoś, co jest jednocześnie mocne i giętkie.

Usłyszeli głuchy odgłos, kiedy lina zetknęła się z kadłubem „Odległej Gwiazdy" i wprawiła go (oraz powietrze wewnątrz niego) w drgania. Było to skutkiem normalnego w takich razach ześlizgiwania się liny, gdyż obcy dostosowywał swą prędkość do prędkości „Odległej Gwiazdy", ale lina przez ten czas była nieruchoma w stosunku do obu statków.

Na kadłubie obcego statku pojawił się ciemny punkt, który następnie rozszerzył się jak źrenica oka.

— Otwierająca się diafragma, zamiast płyty obrotowej — mruknął Trevize.

— To nie ludzie?

— Niekoniecznie. Ale to interesujące.

Z otworu wyłoniła się jakaś postać.

Pelorat zacisnął usta i po chwili powiedział z wyraźnym rozczarowaniem: — Niedobrze. To człowiek.

— Niekoniecznie — rzekł spokojnym głosem Trevize. — Na razie możemy stwierdzić tylko tyle, że ma pięć wybrzuszeń. Jedno to może być głowa, dwie — ręce i dwie — nogi, ale może to być coś innego… Czekaj!

— Co!

— Porusza się szybciej i lepiej, niż się spodziewałem… Aaa!

— Co?

— Ma jakiś napęd. O ile mogę się zorientować, to nie jest silnik odrzutowy, ale też nie przesuwa się siłą mięśni. Tak czy inaczej, to niekoniecznie człowiek.

Mimo szybkiego posuwania się przybysza wzdłuż liny, wydawało się im, że trwa to niewiarygodnie długo, ale w końcu usłyszeli

stuknięcie w kadłub.

— Cokolwiek to jest, wchodzi na statek — powiedział Trevize. — Korci mnie, żeby go rąbnąć, jak tylko się pokaże. — Zacisnął pięść.

— Myślę, że raczej powinniśmy się uspokoić — rzekł Pelorat. — To może być silniejsze niż my. Może potrafi kontrolować nasze myśli i zachowanie. Na pewno są jeszcze inne albo inni na tym statku. Lepiej zaczekajmy, aż zorientujemy się, z czym mamy do .czynienia…

— Z każdą minutą stajesz się coraz bardziej rozsądny, Janov, a ja coraz mniej — powiedział Trevize.

Usłyszeli, że otworzył się właz i w końcu przybysz znalazł się w środku.

— Wzrost ma prawie normalny — mruknął Pelorat. — Skafander pasowałby na człowieka.

— Nigdy takiego nie widziałem ani o takim nie słyszałem, ale wydaje mi się, że wygląda jak wyrób ludzki… Nic nie mówi.

Postać w skafandrze stanęła przed nimi i podniosła przednią kończynę do okrągłego kasku, który — jeśli był ze szkła — był przezroczysty tylko z jednej strony. Nie widać było, co jest w środku.

Kończyna dotknęła czegoś tak szybko, że Trevize nie zdążył się zorientować, co to było i kask natychmiast odłączył się od skafandra i zsunął się. Ujrzeli twarz młodej i bezsprzecznie ładnej kobiety.

71.

Na nieruchomej twarzy Pelorata pojawił się wyraz osłupienia. — Jesteś istotą ludzką? — spytał niepewnie.

Dziewczyna uniosła brwi w górę i wydęła usta. Trudno było powiedzieć na tej podstawie, czy usłyszała nieznany język i nie zrozumiała pytania, czy też zrozumiała pytanie, ale zaskoczyło ją ono.

Podniosła szybko rękę i dotknęła czegoś z lewej strony skafandra, który otworzył się jak futerał. Wyszła z niego. Pusty skafander stał przez chwilę nieruchomo, a potem przewrócił się, wydając dźwięk do złudzenia przypominający westchnienie.

Bez skafandra wyglądała jeszcze młodziej. Miała luźne, półprzeźroczyste ubranie. Przez długą do kolan sukienkę widać było skąpą bieliznę.

Miała małe piersi i była wąska w talii, ale biodra miała pełne i krągłe. Przez sukienkę widać było mocne uda i zgrabne łydki. Miała czarne, długie do ramion włosy, orzechowe oczy i pełne, nieco nieregularne usta.

Spojrzała po sobie, a potem rozwiała wątpliwości dotyczące jej ewentualnej nieznajomości języka mówiąc:

— Czy nie wyglądam jak istota ludzka?

Mówiła po ogólnogalaktycznemu, ale dość wolno, jak gdyby właściwa wymowa sprawiała jej nieco kłopotu.

Pelorat skinął głową i rzekł z uśmiechem.

— Nie mogę zaprzeczyć. Zupełnie jak istota ludzka. Jak rozkoszna istota.

Dziewczyna rozpostarła ramiona, jakby chciała zachęcić ich w ten sposób, by się jej przyjrzeli. — Mam nadzieję, panowie, że tak jest naprawdę. Mężczyźni umierają z pragnienia, by posiąść to ciało.

— Wolałbym żyć, by to zrobić — powiedział Pelorat z galanterią, która jego samego lekko zdumiała.

— To właściwa decyzja — powiedziała poważnie dziewczyna. — Kiedy już do tego dochodzi, to wszystkie westchnienia zmieniają się w okrzyki rozkoszy.

Roześmiała się. Zawtórował jej Pelorat.

Trevize, który słuchał ich rozmowy ze zmarszczonym czołem, spytał nagle:

— Ile masz lat?

Dziewczyna jakby nieco się skurczyła. — Dwadzieścia trzy… panowie. — Po co tu przyleciałaś? W jakim celu?

— Żeby eskortować was do Gai.

— Ma nas eskortować dziewczyna? Wyprostowała się dumnie. — Ja jestem tak samo Gają, jak ktoś inny — powiedziała. — Stacja to

mój odcinek pracy.

— Twój odcinek? Byłaś tam sama?

— Wystarczyło, że ja tam byłam — odparła z dumą.

— A więc teraz jest pusta?

— Mnie tam nie ma, ale nie jest pusta. Jest ona.

— Ona? Jaka ona?

— Stacja. Stacja to Gaja. Nie jestem tam potrzebna. Ona trzyma ten statek.

— No to co robiłaś na tej stacji?

— To jest mój odcinek.

Pelorat chwycił Trevizego za ramię, ale Trevize strząsnął jego rękę. Pelorat spróbował jeszcze raz. — Golan — rzekł półgłosem. — Nie krzycz na nią. To tylko dziewczyna. Pozwól, że ja z nią porozmawiam.

Trevize potrząsnął ze złością głową, ale Pelorat zwrócił się do dziewczyny:

— Jak masz na imię?

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie, jakby odwdzięczając się za łagodny ton. — Bliss — powiedziała.

— Bliss? — rzekł Pelorat. — Bardzo ładne imię. Na pewno nie jest to twoje pełne imię.

— Oczywiście, że nie. To by dopiero było, gdybym miała jednosylabowe imię. Powtarzałoby się we wszystkich sekcjach i nie można by się było zorientować o kogo chodzi, skutkiem czego mężczyźni umieraliby z pragnienia, żeby posiąść nie to ciało, o które im by chodziło. Moje imię w pełnym brzmieniu to Blissenobiarella.

— To z kolei za długie.

— Co? Sześć sylab? To niedużo. Mam przyjaciół, którzy mają piętnastosylabowe imiona i stale próbują tworzyć od nich nowe zdrobnienia. Odkąd skończyłam piętnaście lat, mówią na mnie Bliss. Mama mówiła na mnie „Nobby", jeśli możecie to sobie wyobrazić.

— W języku ogólnogalaktycznym „bliss" znaczy to samo, co rozkosz albo szczyt szczęścia.

— W gajańskim też. Nie różni się tak bardzo od ogólnogalaktycznego. Wolę, żeby kojarzyło się z rozkoszą.

— Ja nazywam się Janov Pelorat.

— Wiem o tym. A ten drugi dżentelmen, ten krzykacz, to Golan Trevize. Dostaliśmy wiadomość z Sayshell.

Trevize spytał natychmiast:

— Jak otrzymaliście wiadomość?

Bliss odwróciła się do niego i powiedziała spokojnie:

— To nie ja otrzymałam, ale Gaja.

— Panno Blissj czy pozwoli pani, że zamienię z przyjacielem kilka słów na osobności? — spytał Pelorat.

— Ależ oczywiście, tylko że zaraz musimy lecieć.

— To nie potrwa długo. — Pociągnął silnie Trevizego za łokieć. Ten trochę się opierał; ale wszedł za nim do drugiej kabiny.

— Po co to wszystko? — spytał szeptem Trevize. — Jestem pewien, że słyszy, co mówimy. Pewnie potrafi czytać w naszych myślach. Oby ją miotacz trafił!

— Potrafi czy nie, potrzeba nam przez chwilę trochę odosobnienia ze względów psychologicznych. Posłuchaj, stary, daj jej spokój. Nie możemy nic zrobić, ale nie ma sensu wyładowywać na niej złości. Ona prawdopodobnie też nie może nic zrobić. Ona tylko spełnia swoje zadanie. Wysłali ją po nas. Zresztą dopóki jest tutaj, prawdopodobnie nic nam nie grozi. Nie zostawialiby jej, gdyby mieli zamiar zniszczyć nasz statek. Wściekaj się tak dalej, a prawdopodobnie dopniesz swego — odwołają ją i zniszczą statek, a z nim nas.

— Nie lubię być bezradny — rzekł ze złością Trevize.

— A kto lubi? Ale wściekanie się nie poprawi naszej sytuacji. Będziesz po prostu bezradnym krzykaczem. Drogi przyjacielu, nie chcę cię jeszcze bardziej rozwścieczyć. Wybacz mi, że cię tak krytykuję,. ale nie możesz się czepiać tej dziewczyny.

— Janov, ona mogłaby być twoją córką.

Pelorat zesztywniał. — Tym bardziej należy traktować ją łagodnie. Zresztą nie wiem, co chciałeś przez to powiedzieć.

Trevize zastanawiał się chwilę. W końcu rozchmurzył się. — W porządku. Masz rację. Źle robię. Ale denerwuje mnie, że przysłali dziewczynę. Mogli przecież przysłać na przykład jakiegoś oficera. To by świadczyło, że — jakby to powiedzieć — trochę liczą się z nami. Ale dziewczyna. I ona utrzymuje, że to decyzja Gai?

— Prawdopodobnie ma na myśli władcę planety, której nazwa jest jego oficjalnym tytułem… a może radę planety. Dowiemy się, ale chyba nie będziemy pytać wprost o to.

— Mężczyźni umierają z pragnienia, by posiąść jej ciało! — rzekł Trevize. — Dobre sobie! Ma za duży tyłek.

— Nikt cię nie prosi, Golan, żebyś umierał z tego pragnienia — rzekł łagodnie Pelorat. — Daj spokój. Uważaj, że to autoironia z jej strony. Ja osobiście uważam, że to zabawne i nieszkodliwe.

Zastali Bliss pochyloną nad komputerem. Założyła ręce z tyłu, jakby bała się czegokolwiek dotknąć i gapiła się na urządzenie.

Podniosła głowę, kiedy weszli. — To zadziwiający statek — powiedziała. — Nie wiem do czego służy połowa tych rzeczy, które tu zobaczyłam, ale jeśli chcecie mi dać jakiś prezent, to proszę o to. To piękne. Teraz wydaje mi się, że mój statek jest okropny. — Naprawdę jesteście z Fundacji? — spytała z nagłym zaciekawieniem.

— Skąd wiesz o Fundacji? — spytał Pelorat.

— Uczą o tym w szkole. Głównie z powodu Muła.

— Dlaczego z powodu Muła, Bliss?

— Był jednym z nas, pa… którą sylabą pana imienia mogę się do pana zwracać?

— Możesz mówić Jan albo Pel — rzekł Pelorat. — Co wolisz?

— Był jednym z nas, Pel — powiedziała Bliss z przyjacielskim uśmiechem. — Urodził się na Gai, ale zdaje się, że nikt nie wie dokładnie gdzie.

— Przypuszczam, Bliss, że jest on waszym bohaterem, co? — rzekł Trevize zdecydowanie, niemal natrętnie przyjaznym tonem, rzucając porozumiewawcze spojrzenie w kierunku Pelorata. — Mów mi Trev — dodał.

— Ależ nie — odrzekła od razu. — To przestępca. Opuścił Gaje bez pozwolenia, a nikt nie powinien tego robić. Nikt nie wie, jak to zrobił. Ale zrobił i myślę, że dlatego źle skończył. Ostatecznie Fundacja go pokonała.

— Druga Fundacja? — spytał Trevize.

— To jest więcej niż jedna? Przypuszczam, że gdybym myślała o tym, to bym się dowiedziała, ale historia za bardzo mnie nie interesuje. Widzę to w taki sposób — interesuje mnie to, co zdaniem Gai powinno. Jeśli historia mnie nie obchodzi, to dlatego, że mamy dosyć historyków albo dlatego, że nie jestem do tego przystosowana. Chyba jestem przyuczana do zawodu technika pracującego w przestrzeni. Cały czas jestem przydzielana na takie odcinki pracy jak ten i wydaje mi się, że to lubię i jest rzeczą zrozumiałą, że nie lubiłabym tego, gdyby…

Mówiła szybko, prawie jednym tchem i Trevize z trudem przerwał jej. — Kto to jest Gaja? — spytał.

Bliss wyglądała na kompletnie zaskoczoną. — Po prostu Gaja… Pel, Trev, skończmy już, proszę. Musimy wylądować na powierzchni planety. — Przecież tam lecimy, prawda?

— Tak, ale powoli. Gaja uważa, że możecie poruszać się o wiele .szybciej, jeśli skorzystacie z waszych silników. Zrobicie to?

— Możemy — rzekł ponuro Trevize. — Ale czy nie jest bardziej prawdopodobne, że odlecę w przeciwnym kierunku, jak tylko odzyskam kontrolę nad statkiem?

Bliss roześmiała się. — Jesteś zabawny. Oczywiście, że nie możecie lecieć w kierunku, którego nie chce Gaja. Ale możecie lecieć szybciej w kierunku, w którym Gaja chce, żebyście lecieli. Rozumiesz?

— Rozumiemy — rzekł Trevize — i postaram się nie opowiadać już takich zabawnych dowcipów. Gdzie mam wylądować?

— Nieważne. Po prostu leć w dół prosto przed siebie. Wylądujesz we właściwym miejscu. Gaja o to zadba.

— Czy zostaniesz z nami, Bliss, i postarasz się, żeby nas dobrze

przyjęto? — spytał Pelorat.

— Myślę, że mogę to zrobić. Należność za moje usługi — to znaczy za usługi tego rodzaju — możecie przelać na moją kartę bilansową.

— A inne usługi?

Bliss zachichotała. — Jesteś miły, staruszku. Pelorat drgnął, jakby go coś ukłuło.

72.

Bliss obserwowała z wyraźnym podnieceniem ich gwałtowne opadanie na Gaje. — Nie czuje się w ogóle przyspieszenia — powiedziała.

— To jest lot grawitacyjny — powiedział Pelorat. — Wszystko, włączając w to nas, podlega przyspieszeniu jednocześnie i w takim samym stopniu, i dlatego nic nie czujemy.

— A jak to działa, Pel?

Pelorat wzruszył ramionami. — Myślę, że Trev to wie — powiedział — ale wydaje mi się, że nie jest w nastroju, żeby o tym mówić.

Trevize leciał w kierunku źródła siły ciężkości Gai prawie jak szaleniec. Tak, jak powiedziała Bliss, statek tylko częściowo reagował na jego polecenia. Próba przecięcia ukosem linii pola grawitacyjnego została zaakceptowana, choć po pewnym wahaniu. Natomiast próba wzniesienia się została zupełnie zignorowana.

Statek w dalszym ciągu nie należał do niego.

Pelorat spytał nieśmiało:

— Czy nie lecisz trochę za szybko, Golan? Trevize, starając się (raczej ze względu na Pelorata niż na cokolwiek innego) nie okazać złości, odparł nieco stłumionym głosem:

— Ta młoda dama twierdzi, że Gaja zadba o nas.

— Oczywiście, Pel — powiedziała Bliss. — Gaja nie pozwoli, aby statkowi coś się stało. Macie tu coś do jedzenia?

— Owszem, mamy — rzekł Pelorat. — Co byś chciała?

— Żadnego mięsa — powiedziała rzeczowym tonem. Bliss — ale może być ryba albo jajka, z warzywami, jeśli jakieś macie.

— Mamy tu trochę potraw sayshellskich — rzekł Pelorat. — Nie wiem, co w nich jest, ale może ci zasmakują.

— Dobrze, mogę spróbować — zgodziła się bez entuzjazmu Bliss.

— Czy Gajanie są wegetarianami? — spytał Pelorat.

— Nie wszyscy, ale wielu — skinęła energicznie głową Bliss. — To zależy od tego, jakiego rodzaju składników pokarmowych potrzebuje czyjś organizm. Ostatnio nie mam ochoty na mięso, więc przypuszczam, że mój organizm go nie potrzebuje. Tak samo nie kuszą mnie słodycze. Za to smakują mi sery i krewetki. Myślę, że chyba muszę zrzucić parę kilo. — Klapnęła się głośno w prawy pośladek. — Mam tu pięć albo sześć funtów za dużo.

— Nie sądzę — rzekł Pelorat. — Masz przynajmniej na czym siadać.

Bliss odwróciła głowę i popatrzyła przez ramię na swą pupę. — A zresztą, to nieważne. Waga sama się wyrównuje. Nie powinnam sobie

tym zaprzątać głowy.

Trevize nie odzywał się, gdyż walczył z „Odległą Gwiazdą". Trochę za długo zastanawiał się na jaką wejść orbitę i teraz z piskiem lecieli przez dolne warstwy egzosfery. Z wolna zaczynał w ogóle tracić kontrolę nad statkiem. Miał wrażenie, jak gdyby jakaś nieznana siła nauczyła się panować nad silnikami grawitacyjnymi. „Odległa Gwiazda" sama zmieniła kurs w. warstwie rzadszego powietrza i gwałtownie zwolniła. Potem sama wybrała kierunek lotu i zaczęła po łagodnej krzywej spływać w dół.

Bliss nie zwracała uwagi na przenikliwy świst, spowodowany oporem powietrza. Ostrożnie powąchała parującą puszkę. — To musi być coś dobrego, Pel — powiedziała — bo inaczej nie pachniałoby tak apetycznie. — Włożyła szczupły palec do puszki, wyjęła i oblizała. — Dobrze trafiłeś, Pel. To krewetki albo coś w tym rodzaju. Smaczne!

Trevize machnął ręką z niezadowoleniem i odwrócił się od komputera.

— Moja panno — rzekł, jakby dopiero teraz ją zobaczył.

— Mam na imię Bliss — rzekła stanowczo.

— A więc, Bliss! Znałaś nasze nazwiska.

— Tak, Trev.

— Skąd je znałaś?

— Musiałam je znać, żeby zrobić, co do mnie należało. Dlatego je poznałam.

— Wiesz, kto to jest Munn Li Compor?

— Wiedziałabym, gdybym musiała. Ponieważ nie wiem, pan Compor tu nie przybędzie. Jeśli o to chodzi — przerwała, po czym dokończyła — nikt tu nie przybędzie oprócz was dwóch.

— Zobaczymy.

Spoglądał w dół. Planeta była spowita chmurami. Nie tworzyły one jednolitej warstwy, lecz układały się w zadziwiająco równomiernie rozrzucone kłęby obłoków, sprawiając, że żadna część powierzchni planety nie była dobrze widoczna.

Przełączył ogląd na mikrofale. Rozbłysnął ekran radaroskopu. Powierzchnia planety była jakby odbiciem obrazu nieba. Wyglądało na to, że jest to świat wyspiarski, jak Terminus, ale z większą liczbą wysp. Żadna z wysp nie była specjalnie duża, ale też nie były od siebie bardzo oddalone. Było to coś w rodzaju archipelagu. Orbita statku znajdowała się blisko płaszczyzny równika, ale nie widać było czap lodowych na biegunach.

Nie widać było nieomylnych znaków nierównomiernego zagęszczenia ludności, tak, jak na przykład, światła po stronie pogrążonej w nocy.

— Czy wylądujemy w pobliżu stolicy, Bliss? — spytał Trevize.

— Gaja sprowadzi was w jakieś dogodne miejsce — odparła

obojętnie.

— Wolałbym duże miasto.

— Masz na myśli duże skupisko ludzi?

— Tak.

— To zależy od Gai.

Statek zniżał się coraz bardziej i Trevize starał się zabić czas zgadywaniem,, na której wyspie wylądują. Tak czy inaczej, wszystko wskazywało na to, że do momentu lądowania pozostała im niecała godzina.

73.

Statek wylądował spokojnie, bez żadnych wstrząsów, bez nienormalnych skutków działania siły ciężkości, prawie jak piórko. Pierwsza wyszła Bliss, potem Pelorat, a na końcu Trevize.

Pogoda przypominała wczesną wiosnę w stolicy Terminusa. Wiał łagodny wietrzyk, a na pokrytym obłokami niebie świeciło jasno, jak na Terminusie późnym rankiem, słońce. Pod stopami mieli zieleń, a w pewnej odległości widać było rzędy drzew, świadczące, że jest tam sad. W innej stronie widoczne było morze.

W powietrzu rozlegało się bzyczenie i brzęczenie — być może były to odgłosy wydawane przez owady — w górze przemknął ptak albo jakiś inny latający stwór, a z dala dobiegał dźwięk klak — klak, który mogła wydawać jakaś maszyna rolnicza.

Pierwszy odezwał się Pelorat. Nie mówił o tym, co widzi, ani o tym, co słyszy, ale pociągnąwszy głośno nosem, powiedział: — Ach, jaki przyjemny zapach, zupełnie przypomina mi świeżutki sos jabłkowy.

— Tam prawdopodobnie jest sad — rzekł Trevize — i, jak się domyślam, robią tam właśnie sos jabłkowy.

— Natomiast na waszym statku — powiedziała Bliss — pachniało jak… No, nieprzyjemnie.

— Nie mówiłaś nic, kiedy tam byłaś — mruknął Trevize.

— Nie mogłam być nieuprzejma. Byłam tam gościem.

— Nie możesz nadal być uprzejma?

— Teraz jestem na swoim świecie. Tu wy jesteście gośćmi. Wy powinniście być uprzejmi.

— Ona ma chyba rację z tym zapachem na statku, Golan — rzekł Pelorat. — Nie można by go przewietrzyć?

— Można — odparł sucho Trevize. — Można to zrobić, jeśli ta mała da nam słowo, że ze statkiem nic się nie stanie. Zdążyła już nam pokazać, że potrafi wyczyniać z nim różne rzeczy.

Bliss wyprostowała się na całą wysokość. — Wcale nie jestem taka mała, a jeśli po to, żebyście mogli oczyścić swój statek, trzeba zostawić go w spokoju, to zapewniam was, że zrobię to z przyjemnością.

— A potem możesz nas zabrać do tego, którego nazywasz Gają? — spytał Trevize.

Bliss zrobiła rozbawioną minę. — Nie wiem, czy mi uwierzysz, Trev, ale to ja jestem Gają.

Trevize osłupiał. Nieraz słyszał zwrot „nie móc pozbierać myśli” użyty w znaczeniu przenośnym. Teraz jednak, po raz pierwszy w życiu, czuł się tak, jak gdyby naprawdę nie mógł pozbierać myśli. W

końcu zdobył się tylko na jedno. — Ty? — rzekł.

— Tak. I ziemia. I te drzewa. I ten królik, który siedzi tam w trawie. I ten człowiek, którego widzicie wśród drzew. Ta cała planeta i wszystko, co na niej jest, to Gają. Wszyscy jesteśmy jednostkami, każdy z nas jest oddzielnym organizmem, ale mamy jedną ogólną świadomość. Planeta, materia nieożywiona, posiada ją w najmniejszym stopniu, różne formy życia w różnym stopniu, a ludzie w stopniu największym, ale jest to świadomość zbiorowa, nas wszystkich.

— Wydaje mi się, Golan — rzekł Pelorat — że ona chce powiedzieć, że Gają to coś w rodzaju świadomości grupowej.

Trevize skinął głową. — Tyle zrozumiałem… W takim razie, Bliss, kto rządzi tym światem?

— Sam się rządzi — powiedziała. — Te drzewa rosną w rzędach samorzutnie, z własnej woli. Rozmnażają się w takim tempie, jakie jest potrzebne, żeby zastąpić te, które z jakichś przyczyn zmarły. Ludzie zbierają tyle jabłek, ile im potrzeba, inne zwierzęta, również owady, jedzą tyle, ile im potrzeba, nie więcej.

— Owady wiedzą, ile im przypada, prawda? — rzekł ironicznie Trevize.

— Tak, w pewnym sensie. Deszcz pada, kiedy jest potrzebny. Czasami przechodzi nawet w ulewę, kiedy ta akurat jest konieczna, a czasami, kiedy to z kolei jest potrzebne, mamy suszę.

— I deszcz też wie, co ma robić, tak?

— Tak, wie — odparła bardzo poważnie Bliss. — Czy różne komórki, z których składa się twoje ciało, nie wiedzą co mają robić? Kiedy rosnąć i kiedy zakończyć swój rozwój? Kiedy wytwarzać pewne związki, a kiedy nie, a także w jakiej ilości je wytwarzać, żeby nie było za dużo ani za mało? Każda komórka jest w pewnym sensie samodzielną fabryką chemiczną, ale wszystkie czerpią surowce do produkcji ze wspólnych zasobów, których dostarcza wspólny układ komunikacyjny, wszystkie zrzucają odpady do wspólnych kanałów i wszystkie mają swój udział w grupowej świadomości.

— Ależ to nadzwyczajne! — krzyknął z entuzjazmem Pelorat. — Mówisz, że ta planeta jest jakimś superorganizmem, a ty komórką tego superorganizmu.

— Nie, tego nie powiedziałam, to tylko takie porównanie. Jesteśmy jakby odpowiednikami komórek żywego organizmu, ale to nie znaczy, że jesteśmy komórkami. Rozumiesz?

— A czym się różnicie od komórek? — spytał Trevize.

— Sami składamy się z komórek i każde z nas jest grupową świadomością tych komórek. Ta grupowa świadomość, ta świadomość poszczególnych organizmów, na przykład, w moim przypadku, świadomość istoty ludzkiej…

— Mającej ciało, które mężczyźni tak chcą posiąść, że aż umierają z tego pragnienia.

— Zgadza się. A więc moja świadomość zdecydowanie — wprost niewyobrażalnie — przewyższa świadomość każdej pojedynczej komórki. To, że my z kolei jesteśmy częścią świadomości zbiorowej wyższego stopnia, nie sprowadza nas do poziomu komórek. Pozostaję sobą, ale ponad nami istnieje świadomość zbiorowa, która przewyższa moją indywidualną świadomość w takim stopniu, w jakim moja świadomość jako jednostki przewyższa świadomość pojedynczej komórki mięśniowej mojego bicepsu.

— Na pewno ktoś wydał polecenie, aby zatrzymano nasz statek.

— Nie ktoś, ale Gaja! My wszyscy.

— Drzewa i. ziemia też?

— One przyczyniły się do tego w niewielkim stopniu, ale też miały w tym swój udział. Słuchaj, jeśli muzyk komponuje symfonię, to czy dociekasz, która to mianowicie komórka jego ciała poleciła napisać tę symfonię i nadzoruje ten proces?

— Rozumiem, że — żeby tak powiedzieć — zbiorowy umysł stworzony przez tę zbiorową świadomość jest o wiele potężniejszy niż umysł jednostki, tak jak mięsień jest silniejszy niż — którakolwiek z jego pojedynczych komórek. W rezultacie Gaja mogła zapanować nad naszym komputerem i przechwycić statek w dużej odległości od planety, mimo iż nikt z ludzi żyjących tu nie potrafiłby tego zrobić sam — powiedział Pelorat.

— A więc rozumiesz to doskonale, Pel — powiedziała Bliss.

— Ja też to rozumiem — rzekł Trevize. — Nie tak znowu trudno to zrozumieć. Ale czego od nas chce — cię? Nie przylecieliśmy tu, żeby na was napadać. Przylecieliśmy w poszukiwaniu informacji. Dlaczego nas schwytałaś?

— Aby z wami porozmawiać.

— Mogłaś z nami porozmawiać na statku.

Bliss potrząsnęła z powagą głową. — To nie ja mam to zrobić.

— Przecież jesteś częścią zbiorowego umysłu?

— Tak, ale nie potrafię latać jak ptak, brzęczeć jak owad czy wyrosnąć tak wysoko jak drzewo. Robię to, co potrafię robić najlepiej, a nie potrafię wam najlepiej przekazać tych informacji… chociaż potrzebna do tego wiedza mogłaby łatwo być mi przekazana.

— Kto zadecydował o tym, żeby ci jej nie przekazywać?

— My wszyscy.

— A kto przekaże nam te informacje?

— Dom.

— A kto to jest Dom?

— Jego pełne nazwisko brzmi Endomandiovizamarondeyaso… i tak dalej. Różni ludzie, zwracając się do niego przy różnych okazjach,

nazywają go różnymi sylabami, z których składa się jego nazwisko. Ja znam go jako Doma i myślę, że wy też możecie tak do niego mówić. On chyba ma największy ze wszystkich udział w świadomości Gai. Mieszka na tej wyspie. Prosił, żeby wolno mu było porozmawiać z wami i otrzymał na to pozwolenie.

— Od kogo? — spytał Trevize i zaraz sam sobie odpowiedział: — No tak, rozumiem, od was wszystkich.

Bliss skinęła potakująco głową.

— A kiedy się z nim zobaczymy, Bliss? — spytał Pelorat.

— Zaraz. Chodź ze mną, Pel. Zaprowadzę cię do niego. Ciebie, oczywiście też, Trev.

— A potem nas tam zostawisz? — spytał Pelorat.

— Nie chcesz, żebym to zrobiła, Pel?

— Prawdę mówiąc, nie.

— No i widzisz — powiedziała Bliss, idąc równą drogą obok sadu. — Mężczyźni momentalnie napalają się na mnie. Ten młodzieńczy żar nie omija nawet szacownych starszych panów.

Pelorat roześmiał się. — Nie liczyłbym tak bardzo na mój młodzieńczy żar, Bliss, ale gdyby mnie ogarnął, to na pewno byłaby to twoja zasługa.

— O, nie wyrzekaj się tak pochopnie młodzieńczego żaru. Potrafię czynić cuda.

— Długo będziemy musieli czekać na tego Doma, kiedy już znajdziemy się na miejscu? — spytał z niecierpliwością Trevize.

— To Dom będzie na was czekał. W końcu to on przez Gaje pracował od lat nad tym, żeby cię tu ściągnąć.

Trevize zatrzymał się w pół kroku i rzucił szybkie spojrzenie na Pelorata, który cicho szepnął:

— Miałeś rację.

Bliss, patrząc wprost przed siebie, powiedziała spokojnie:

— Wiem, Trev, że od pewnego czasu podejrzewasz, iż ja/my/Gaja interesuję/my się tobą.

— Ja — my — Gaja? — spytał cicho Pelorat.

Odwróciła się do niego z uśmiechem. — Mamy cały system różnych zaimków dla wyrażania różnych odcieni indywidualizmu istniejącego na Gai. Mogłabym wam je wyjaśnić, ale na razie zwrot „Ja/my/Gaja” da wam pewne pojęcie o tym, co chcę powiedzieć… Trev, chodź, proszę. Dom czeka, a nie chcę zmuszać twoich nóg, aby cię niosły wbrew twej woli. To nieprzyjemne uczucie dla kogoś, kto nie jest do tego przyzwyczajony.

Trevize ruszył za nią. Obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

74.

Dom był starszym człowiekiem. Wyrecytował swoje dwustupięćdziesięciotrzysylabowe nazwisko melodyjnym, to opadającym, to znów wznoszącym się tonem.

— W pewnym sensie — powiedział — jest to moja krótka biografia. Mówi słuchaczowi, czytelnikowi czy czuciowcowi kim jestem, jakie jest moje miejsce i rola w całości, co osiągnąłem. Jednak od ponad pięćdziesięciu lat zadowalam się zdrobnieniem Dom. Jeśli akurat znajduję się w towarzystwie innych Domów, to można do mnie zwracać się Domandio, a w odniesieniu do różnych moich zajęć używa się też innych sylab. Raz w roku, w dniu moich urodzin, recytuje się w myśli moje pełne nazwisko, tak jak przed chwilą zrobiłem to głośno. To bardzo efektowne, ale dla mnie kłopotliwe.

Był wysoki i tak chudy, że wyglądał na zagłodzonego . Choć poruszał się dość wolno, jego głęboko osadzone oczy błyszczały jak u młodzieńca. Miał sterczący nos, długi i chudy, ale o szerokich nozdrzach. Na rękach, mimo iż pokryte były siecią obrzmiałych żył, nie widać było śladów artretyzmu. Miał na sobie długą, sięgającą aż do kostek szatę, równie siwą jak jego włosy. Na bosych stopach nosił sandały.

— Ile pan ma lat? — spytał Trevize.

— Proszę, mów mi Dom, Trev. Inne formy wprowadzają niepotrzebnie oficjalność do rozmowy i krępują swobodę wypowiedzi. Według uniwersalnego kalendarza galaktycznego skończyłem właśnie dziewięćdziesiąt trzy lata, ale urodziny będę obchodził dopiero za kilka miesięcy, kiedy ukończę dziewięćdziesiąt lat według kalendarza gajańskiego.

— Nie wygląda pan… nie wyglądasz, Dom, na więcej niż siedemdziesiąt pięć — rzekł Trevize.

— Tu, na Gai, ani taki wiek ani taki wygląd nie są niczym nadzwyczajnym, Trev… Ale mniejsza z tym. Najedliście się?

Pelorat popatrzył na swój talerz, na którym widać było resztki niewyszukanej i byle jak przyrządzonej potrawy. — Dom, czy mogę ci zadać raczej kłopotliwe pytanie? — spytał. — Oczywiście, jeśli poczujesz się obrażony to uznamy, że pytania nie było.

— Pytaj śmiało — powiedział z uśmiechem Dom. — Pragnę wyjaśnić wam wszystko, co chcecie wiedzieć na temat Gai.

— Dlaczego? — spytał natychmiast Trevize.

— Bo jesteście naszymi honorowymi gośćmi… Co to za pytanie, Pel?

— Skoro wszystkie rzeczy na Gai mają swój udział w zbiorowej świadomości, to jak to się dzieje, że ty — jeden z elementów tej

zbiorowości — zjadasz to, co najwyraźniej było innym elementem tej zbiorowości?

— To prawda. Ale wszystkie rzeczy podlegają przemianom. Musimy jeść, i wszystko, co jemy, rośliny, jak i zwierzęta, nawet przyprawy będące materią nieożywioną, składa się na Gaje. Ale, widzisz, niczego — nie zabijamy dla przyjemności czy dla sportu. Nie sprawiamy żadnemu stworzeniu niepotrzebnego bólu. I przypuszczam, że nie dbamy w ogóle o to, żeby nasze potrawy były apetyczne. Nie smakowało ci to danie, prawda, Pel? A tobie, Trev? No cóż, nie jada się dla przyjemności.

A zresztą to, co się zje, nadal ma swój udział w świadomości planety. Te części pożywienia, które zostały przyswojone przez mój organizm, będą miały udział w większej porcji zbiorowej świadomości. Kiedy umrę, ja też zostanę zjedzony, chociażby tylko przez bakterie gnilne, i w ten sposób będę miał udział w o wiele mniejszej porcji świadomości. Ale kiedyś cząstki mojego ciała staną się cząstkami ciał innych ludzi, wielu ludzi.

— Rodzaj wędrówki dusz — rzekł Pelorat.

— Czego, Pel?

— To taki stary mit, który jest nadal popularny na pewnych światach.

— Ach tak. Nie słyszałem o tym. Musisz mi kiedyś opowiedzieć.

— Ale twoja indywidualna świadomość, to, co jest Domem, nigdy już się w pełni nie odtworzy — powiedział Trevize.

— Oczywiście, że nie. Ale czy to Ważne? Nadal będę częścią Gai, a tylko to się liczy. Są u nas mistycy, którzy zastanawiają się, czy nie powinniśmy podjąć działań, aby stworzyć zbiorową pamięć o minionych istnieniach, ale Gaj a uważa, że nie da się tego zrobić w żaden praktyczny sposób i że nie byłoby z tego żadnego pożytku. Zmąciłoby to tylko aktualną świadomość… Oczywiście jeśli zmienią się warunki, to może się również zmienić nastawienie Gai do tego pomysłu, ale osobiście uważam, że jest to niemożliwe w dającej się przewidzieć przyszłości.

— Dlaczego musisz umrzeć, Dom? — spytał Trevize. — Popatrz tylko, jak wyglądasz przy swojej dziewięćdziesiątce. Czy świadomość zbiorowa nie mogłaby…

Po raz pierwszy Dom zachmurzył się. — Nigdy! — powiedział. — Mogę wnieść tylko tyle. Każde nowe istnienie to kolejne przemieszanie cząsteczek i genów, dające w efekcie coś nowego. Nowe zdolności, nowe talenty, nowy wkład do Gai. Musimy je mieć, a jedyny sposób, żeby je uzyskać, to zrobić dla nich miejsce. Zrobiłem więcej niż inni, ale nawet moje życie ma kres. Ten kres się zbliża. Pragnienie, żeby żyć dłużej niż się powinno, jest tak samo bezsensowne i nienaturalne jak pragnienie, żeby żyć krócej.

W tym momencie, jak gdyby uświadomiwszy sobie, że do rozmowy wkradła się nagle ponura nuta, powstał i wyciągnął do nich ręce. — Trev, Pel, przejdźmy do mojej pracowni. Pokażę wam moje dzieła. Mam nadzieję, że wybaczycie starcowi jego słabostkę.

Zaprowadził ich do pokoju, w którym, na małym, okrągłym stoliku leżały, ułożone parami, przydymione soczewki.

— To są partycypacje, które sam obmyśliłem — rzekł Dom. — Nie jestem mistrzem, ale zajmuję się obiektami nieożywionymi, co interesuje tylko nielir cznych mistrzów.

— Mogę wziąć którąś do ręki? — spytał Pelorat. — A może są kruche.

— Nie, nie. Możesz je rzucić na podłogę, jeśli chcesz… Ale może lepiej nie rób tego. Wstrząs mógłby zepsuć ostrość widzenia.

— Jak się ich używa, Dom?

— Przyłóż je do oczu. Przylgną. Nie przepuszczają światła. Przeciwnie, zatrzymują światło, które mogłoby rozproszyć twoją uwagę, chociaż wrażenia dotrą do twego mózgu przez nerw wzrokowy. Twoja świadomość się wyostrzy i będzie mogła partycypować w innych aspektach Gai. Mówiąc innymi słowy, jeśli spojrzysz na tę ścianę, to ujrzysz ją taką, jaką się sama sobie wydaje.

— To fascynujące — mruknął Pelorat. — Czy mogę założyć tę?

— Oczywiście, Pel. Możesz wziąć, które chcesz. Każda para ma inną konstrukcję i ukazuje ścianę albo jakikolwiek inny przedmiot nieożywiony w innym aspekcie jego świadomości.

Pelorat przyłożył partycypacje do oczu. Przylgnęły od razu, jak szkła kontaktowe. Wzdrygnął się, czując ich dotyk na oczach, a potem przez długi czas trwał bez ruchu.

— Kiedy będziesz miał dosyć — powiedział Dom — przyłóż dłonie do partycypacji i naciśnij je lekko ku sobie. Zaraz zejdą.

Pelorat postąpił zgodnie ze wskazówką, zamrugał szybko powiekami, a potem przetarł oczy.

— No i co widziałeś? — spytał Dom.

— To trudno opisać — odparł Pelorat. — Ściana zdawała się lśnić i migotać, a chwilami sprawiała wrażenie substancji płynnej. Wydawało mi się, jakby miała żebra i zmienną symetrię. Ja… przykro mi, Dom, ale nie bardzo mi się to podobało.

Dom westchnął. — Nie jesteś częścią Gai, więc nie widzisz tego, co my. Przyznam, że spodziewałem się tego. Szkoda! Zapewniam cię, że chociaż te partycypacje ceni się głównie ze względu na ich walory estetyczne, to mają one również praktyczne zastosowanie. Szczęśliwa ściana to trwała, praktyczna, dobra ściana.

— Szczęśliwa ściana? — rzekł z uśmieszkiem Trevize.

— Mamy niejasne wrażenie, że ściana doświadcza czegoś, co jest odpowiednikiem stanu, który określamy mianem szczęścia. Ściana jest

szczęśliwa, kiedy jest dobrze zaprojektowana, kiedy opiera się na solidnych fundamentach, kiedy ma symetrię, która nie powoduje nieprzyjemnych napięć. Dobry projekt można zrobić na podstawie matematycznych zasad mechaniki, ale używając odpowiedniej partycypacji można go precyzyjnie opracować nawet w najdrobniejszych, atomowych wręcz, szczegółach. Tu, na Gai żaden rzeźbiarz nie jest w stanie stworzyć pierwszorzędnego dzieła sztuki bez pomocy dobrej partycypacji, a te, które ja wytwarzam, są uważane za znakomite — jeśli wypada mi się chwalić.

Partycypacje do uczestniczenia w odczuciach materii ożywionej — mówił Dom z zapałem typowym dla kogoś, kto dosiadł swego ulubionego konika — którymi się osobiście nie zajmuję, umożliwiają nam z kolei bezpośrednie odczuwanie równowagi ekologicznej. Na Gai, jak na wszystkich światach, równowaga ekologiczna jest raczej prosta, ale tu przynajmniej mamy nadzieję, że uda nam się uczynić ją bardziej złożoną i w ten sposób niezwykle wzbogacić ogólną świadomość.

Trevize wyciągnął rękę, powstrzymując Pelorata i zmuszając go do milczenia. — Skąd wiecie, że jakaś planeta może utrzymać bardziej złożoną równowagę ekologiczną, skoro na wszystkich ta równowaga jest prosta?

— Aha — rzekł Dom spoglądając na niego bystro — chcesz wypróbować starca. Wiesz równie dobrze jak ja, że pierwotna siedziba ludzkości, Ziemia, miała niezwykle skomplikowaną równowagę ekologiczną. Prosta jest tylko na wtórnych, założonych przez Ziemian, światach.

Tu już Pelorat nie mógł wytrzymać w milczeniu. — Ależ to jest właśnie problem, którego rozwiązanie jest dla mnie nadrzędnym celem! Dlaczego Ziemia była jedyną planetą o tak złożonej ekologii? Czym różniła się od innych światów? Dlaczego na milionach milionów innych światów w Galaktyce, światów, na których mogło istnieć życie, powstało tylko niezróżnicowane życie roślinne i rozwinęły się jedynie niewielkie, nieinteligentne organizmy zwierzęce? — Istnieje u nas opowieść o tym — powiedział Dom. — Może to bajka. Nie ręczę za jej autentyczność. Prawdę mówiąc, kiedy się jej słucha bez zastanowienia, brzmi zupełnie jak bajka.

Właśnie w tym momencie weszła Bliss, która nie towarzyszyła im podczas posiłku. Miała na sobie srebrzystą, zupełnie przezroczystą bluzkę. Uśmiechnęła się do Pelorata.

Pelorat poderwał się z miejsca. — Myślałem, że cię już nie zobaczymy.

— Miałam pracę do zrobienia. Musiałam sporządzić raporty. Mogę się teraz do was przyłączyć, Dom?

Dom również się podniósł (ale Trevize siedział dalej). — Proszę

bardzo. To prawdziwa przyjemność dla moich starczych oczu patrzeć na ciebie.

— Właśnie dlatego włożyłam tę bluzkę. Pel jest ponad takie rzeczy, a Trev ich nie lubi.

— Jeśli myślisz, Bliss, że jestem ponad to, to mogę cię któregoś dnia zaskoczyć — rzekł Pelorat.

— Byłoby to przyjemne zaskoczenie — powiedziała Bliss i usiadła. Pelorat i Dom również usiedli. — Nie przeszkadzajcie sobie.

— Miałem właśnie przedstawić naszych gościom opowieść o Wieczności — rzekł Dom. — Aby ją zrozumieć, musicie najpierw uświadomić sobie, że może istnieć wiele różnych wszechświatów, faktycznie nieskończenie wiele. Każde wydarzenie, które ma miejsce, może zaistnieć albo nie, a jeśli zaistnieje, to może przebiegać w taki albo inny sposób. Istnieje bardzo wiele takich alternatyw i każda z tych możliwości zapoczątkowuje cały łańcuch przyszłych wydarzeń, które różnią się od innych, będących następstwami innych możliwych wydarzeń, przynajmniej w pewnym stopniu.

Na przykład Bliss, zamiast przyjść akurat teraz, mogła przyjść trochę wcześniej albo dużo wcześniej, albo — przychodząc teraz — mogła mieć inną bluzkę, albo — mając nawet na sobie tę bluzkę — mogła się nie uśmiechać tak prowokująco do starca, jak to ma w zwyczaju. W każdym z tych przypadków, jak również w przypadku bardzo dużej liczby innych możliwych wariantów tego zdarzenia, wypadki w naszym wszechświecie potoczyłyby się innym torem. To samo odnosi się do każdego wariantu każdego innego wydarzenia, choćby było ono nie wiem jak małej wagi.

Trevize wiercił się niecierpliwie na krześle pod — , czas tej przemowy. — To są ogólnie znane rozważania na gruncie mechaniki kwantowej — powiedział w końcu. — Zresztą znane były już w starożytności.

— Aha, więc słyszałeś o tym. Ale idźmy dalej. Wyobraźcie sobie, że ludzie potrafią zaktualizować i utrwalić tę nieskończoną liczbę możliwych wszechświatów, przenikać do woli z jednego do drugiego i wybrać taki, który ma być „rzeczywistym”, bez względu na to, co w tym kontekście znaczy ten termin.

— Słucham tego, co mówisz i mogę sobie nawet wyobrazić to, co opisujesz, ale nie jestem w stanie uwierzyć, że coś takiego mogłoby się kiedykolwiek naprawdę wydarzyć.

— Ja też nie — powiedział Dom. — Właśnie dlatego mówię, że to wszystko wygląda na baśń. Tak czy inaczej, ta baśń głosi, że byli tacy, którzy potrafili znaleźć się poza czasem i sprawdzić jak wygląda nieskończona liczba potencjalnych wersji rzeczywistości, Ludzi tych zwano Wiecznymi, a ich pobyt poza czasem — Wiecznością.

Ich zadaniem było wybrać rzeczywistość, która najlepiej

odpowiadałaby ludzkości. Zmieniali jej warianty bez końca — ta opowieść jest bardzo szczegółowa, bo musicie wiedzieć, że została spisana w formie poematu epickiego o nadzwyczajnej długości. W końcu — jak powiada ta opowieść — znaleźli wszechświat, w którym jedyną planetą w Galaktyce, na której mógł powstać bardzo złożony system ekologiczny i wykształcić się rodzaj istot inteligentnych zdolnych do stworzenia wysoko rozwiniętej cywilizacji technicznej, była Ziemia.

Doszli do wniosku, że to właśnie jest ta sytuacja, w której ludzkość byłaby najbezpieczniejsza. Utrwalili ten wariant rzeczywistości i w tym momencie zaprzestali działania. Teraz żyjemy w galaktyce, która została zasiedlona tylko przez ludzi oraz przez rośliny, zwierzęta i mikroorganizmy, które ludzie — z własnej woli lub niechcący — przenoszą ze sobą z planety na planetę i które w końcu wypierają gatunki endemiczne.

Gdzieś w mrokach prawdopodobieństwa istnieją inne rzeczywistości, w których nasza Galaktyka jest domem dla wielu rodzajów istot inteligentnych, ale rzeczywistości te są nieosiągalne. W naszej rzeczywistości jesteśmy tylko my . Każde działanie i każde wydarzenie w naszej rzeczywistości daje początek nowym wariantom, z których — w każdym przypadku — tylko jeden jest kontynuacją rzeczywistości, tak że istnieje wielka, może nawet nieskończona liczba potencjalnych wszechświatów wywodzących się z naszego wszechświata, ale przypuszczalnie wszystkie z nich są takie same pod jednym względem, mianowicie, że jest tam Galaktyka, w której żyje tylko jeden rodzaj istot inteligentnych, Galaktyka, w której my żyjemy.

Przerwał, wzruszył lekko ramionami i dodał:

— Przynajmniej tak głosi ta opowieść. Pochodzi ona z czasów, kiedy została założona Gaja. Nie ręczę za jej prawdziwość.

Pelorat, Trevize i Bilss słuchali uważnie. Bliss kiwała głową, jakby znała tę opowieść i potwierdzała relację Doma.

Pelorat milczał przez dobrą minutę, a potem walnął pięścią w poręcz krzesła.

— Nie — powiedział zduszonym głosem. — To niczego nie dowodzi. Nie można potwierdzić prawdziwości tej opowieści ani obserwacyjnie, ani teoretycznie, a więc nie może być niczym innym niż czystą fantazją, a poza tym… Załóżmy, że jest prawdziwa. Wszechświat, w którym żyjemy, jest tym, w którym tylko na Ziemi powstało bogactwo różnych form życia i rozwinął się rodzaj istot inteligentnych, tak że w tym wszechświecie, bez względu na to, czy jest jedynym czy tylko jednym z nieskończenie wielu możliwych, planeta Ziemia musi odznaczać się czymś wyjątkowym. I dalej nie wiemy, na czym polega jej wyjątkowość.

Po oświadczeniu Pelorata zapadła cisza. Przerwał ją w końcu Trevize. Potrząsnął głową i rzekł:

— Nie, Janov, to nie tak. Powiedzmy, że jest jedna szansa na miliard trylionów, jedna na 1021, że spośród miliarda planet w Galaktyce, które mają warunki, aby mogło powstać na nich życie, tylko na Ziemi, przez czysty przypadek, powstał bogaty system ekologiczny i w końcu wykształciły się istoty inteligentne. Jeśli tak, to jeden spośród l O21 wariantów potencjalnych rzeczywistości odpowiadałby takiej Galaktyce i ten właśnie wariant wybrali Wieczni. A zatem żyjemy we wszechświecie, w którym Ziemia jest jedyną planetą, gdzie wytworzył się bogaty system ekologiczny, powstały istoty inteligentne i rozwinięta cywilizacja techniczna nie dlatego, że są tam jakieś specyficzne warunki, ale po prostu dlatego, że przez przypadek stało się to na Ziemi i nigdzie więcej.

Prawdę mówiąc — ciągnął Trevize po namyśle — sądzę, że istnieją takie warianty rzeczywistości, w których istoty inteligentne powstały tylko na Gai albo tylko na Sayshell, albo tylko na Terminusie, albo na jakiejś planecie, na której w tej rzeczywistości w ogóle nic istnieje życie. A wszystkie te przypadki to tylko znikomy procent ogólnej liczby rzeczywistości, w których żyje w Galaktyce więcej niż jeden rodzaj istot inteligentnych… Myślę, że gdyby ci Wieczni szukali wystarczająco długo, to znaleźliby potencjalną rzeczywistość, w której istoty inteligentne powstały na każdej planecie mającej warunki umożliwiające powstanie życia.

— A czy nie można równie dobrze przyjąć — powiedział Pelorat — że znaleziono taką rzeczywistość, w której Ziemia, z jakichś powodów, nie była taka, jak w innych rzeczywistościach, ale w pewien sposób specyficznie ukształtowana, tak, aby mogły na niej powstać istoty inteligentne? Można nawet posunąć się dalej i twierdzić, że znaleziono rzeczywistość, w której cała Galaktyka nie była taka jak w innych rzeczywistościach, ale znajdowała się w takim stanie rozwoju, że tylko na Ziemi mogły powstać istoty inteligentne.

— Można to przyjąć — odparł Trevize — ale przypuszczam, że moja wersja jest bardziej sensowna.

— To twoja subiektywna opinia… — zaczął z zapałem Pelorat, ale przerwał mu Dom, mówiąc:

— Ta dyskusja jest jałowa. Dajcie już temu spokój i nie psujcie wieczoru, który — przynajmniej moim zdaniem — zapowiada się miło i przyjemnie.

Pelorat z trudem pohamował siei ale starał się uspokoić. W końcu uśmiechnął się i powiedział:

— Jak sobie życzysz, Dom.

Trevize, który rzucał ukradkowe spojrzenia na Bliss siedzącą z rękami na kolanach i sztucznie skromną miną, spytał:

— A w jaki sposób powstał ten świat, Dom? Gaja, ze swoją zbiorową świadomością?

Dom odchylił do tyłu swą sędziwą głowę i roześmiał się głośno.

— Znowu baśnie i legendy — powiedział, marszcząc twarz. — Myślę o tym czasami, kiedy przeglądam nasze archiwa zawierające materiały, które dotyczą dziejów ludzkości. Choćby nie wiem jak starannie przechowywać, katalogować i komputeryzować takie zapiski, to i tak z upływem czasu stają się coraz bardziej niejasne. Obrastają różnymi opowieściami, które osiadają na nich jak kurz. Im dłuższy czas, tym więcej tego kurzu, aż w końcu historia wyradza się w legendy.

— My, historycy, dobrze znamy ten proces, Dom — powiedział Pelorat. — Ludzie wolą legendy. „To, co dramatyczne, choć nieprawdziwe, wypiera to, co prawdziwe, lecz nudne", powiedział prawie piętnaście wieków temu Liebel Gennerat. Teraz jego stwierdzenie znane jest jako prawo Gennerata.

— Naprawdę? — spytał Dom. — A ja myślałem, że ta cyniczna uwaga to mój własny wymysł. No cóż, prawo Gennerata dodaje naszym dziejom splendoru, ale okrywa je mgłą niejasności… Wiecie, co to robot?

— Dowiedzieliśmy się na Sayshell; — rzekł oschle Trevize.

— Widzieliście jakiegoś?

— Nie. Zapytano nas o to, a kiedy odparliśmy, że nie mamy pojęcia, wyjaśniono nam.

— Rozumiem. Widzicie, ludzie żyli kiedyś z robotami, ale nie było to udane życie.

— Tak właśnie nam powiedziano.

— Roboty miały głęboko wpojone pewne zasady, zwane trzema prawami robotów, które zostały sformułowane w czasach prehistorycznych. Znane są różne wersje tych praw. W wersji klasycznej brzmią one tak: (1) Robot nie może wyrządzić krzywdy człowiekowi albo, przez powstrzymanie się od działania, dopuścić do tego, by człowiekowi stała się krzywda; (2) Robot musi słuchać poleceń dawanych mu przez człowieka, chyba że polecenia te stoją w sprzeczności z prawem pierwszym; (3) Robot musi chronić swe istnienie, o ile ochrona taka nie jest sprzeczna z prawami pierwszym lub drugim.

W miarę jak roboty stawały się coraz bardziej inteligentne i wszechstronne, interpretowały te prawa, szczególnie pierwsze, które było nadrzędne, coraz bardziej rozszerzające i przyjmowały rolę opiekunów ludzkości. Ta opieka coraz bardziej ciążyła ludziom, aż w końcu stała się nie do zniesienia.

Roboty były do gruntu dobre. Prace, które wykonywały, były całkowicie humanitarne i miały na celu dobro wszystkich ludzi, co w

jakiś sposób sprawiało, iż było je jeszcze trudniej znieść.

Każdy postęp w dziedzinie robotyki pogarszał jeszcze tę sytuację. Stworzono roboty o zdolnościach telepatycznych, co oznaczało, że kontrolowały one nawet myśli ludzi.W rezultacie zachowania ludzi stały się jeszcze bardziej zależne od robotów.

Poza tym roboty coraz bardziej upodobniały się z wyglądu do ludzi, ale ich zachowania były typowe dla robotów, co sprawiało, że ich człekopodobny wygląd napawał ludzi wstrętem. No i oczywiście musiało to się wreszcie skończyć.

— Dlaczego „oczywiście”? — spytał Pelorat, który uważnie słuchał opowieści Doma.

— To logiczna konsekwencja tych trzech praw robotyki — rzekł Dom. — W końcu roboty tak się udoskonaliły, że nabrały wystarczająco dużo ludzkich cech, by zrozumieć, że ludzkość nie chce być pozbawiona, w imię swego własnego dobra, wszystkiego, co ludzkie. I tak, ostatecznie, roboty musiały uznać, że lepiej dla ludzi będzie, jeśli sami będą troszczyć się o siebie, nawet jeśli będą to robili niewłaściwie i nieskutecznie.

Dlatego, jak podaje nasza opowieść, to właśnie roboty stworzyły w jakiś sposób Wieczność i stały się Wiecznymi. Znalazły rzeczywistość, w której — jak uważały — ludzkość byłaby tak bezpieczna, jak to tylko możliwe. Była to rzeczywistość, w której ludzie byli jedynymi inteligentnymi istotami w Galaktyce. Potem, zrobiwszy, co mogły, aby zapewnić nam bezpieczeństwo i postępując zgodnie z pierwszym prawem robotyki w jego najgłębszym sensie, przestały z własnej woli funkcjonować. Od tamtej pory my, ludzie, rządzimy się i rozwijamy sami.

Przerwał. Popatrzył na Trevizego, potem na Pelorata i spytał:

— No i cóż, wierzycie w to?

Trevize wolno pokręcił głową. — Nie. W znanych mi, choćby ze słyszenia przekazach historycznych nie ma absolutnie nic takiego. A co ty na to, Janov?

— Są mity, które zdradzają do tego pewne podobieństwa.

— Daj spokój, Janov, są mity, w których — jeśli się je odpowiednio zinterpretuje — można znaleźć podobieństwo do wszystkiego, co ktoś z nas jest w stanie wymyślić. Mówię nie o mitach, ale o historii, o wiarygodnych przekazach.

— Ach tak! O ile mi wiadomo, nie ma takich przekazów.

— Nie dziwi mnie to — rzekł Dom. — Zanim roboty się wycofały, wiele grup ludzi wyruszyło skolonizować światy w głębi przestrzeni, aby żyć tam bez robotów, w poczuciu wolności. Pochodzili przeważnie z przeludnionej Ziemi, gdzie opór przeciw robotom miał długą historię. Na nowo założonych światach chcieli zapomnieć o upokorzeniach, których doznali znajdując się niczym bezradne dzieci

pod opieką robotów. Unikali wszelkich wzmianek o tym i w końcu faktycznie zapomnieli.

— To nieprawdopodobne — rzekł Trevize.

Pelorat odwrócił się do niego. — Nies Golan. To wcale nie jest nieprawdopodobne. Każde społeczeństwo samo tworzy własną historię i stara się wymazać z niej pamięć o niezbyt chlubnych początkach albo zapominając o nich, albo zmyślając opowieści o herosach. Rząd Imperium starał się stłumić wszelką wiedzę o czasach przedimperialnych, aby w ten sposób otoczyć mistyczną aurą swoje panowanie i stworzyć wrażenie, że jest wieczne. Nie ma również prawie zupełnie przekazów z czasów przed wynalezieniem metod podróży przez nadprzestrzeń i sam wiesz, że dziś większość ludzi w ogóle nie wie, że istniała Ziemia.

— Musisz się na coś zdecydować, Janov — rzekł na to Trevize. — Jeśli cała Galaktyka zapomniała o robotach, to jakim cudem pamięć o nich przetrwała na Gai?

Bliss nagle wybuchnęła wesołym, sopranowym śmiechem. — My różnimy się od innych — powiedziała.

— Tak? — spytał Trevize. — W czym?

— Pozwól, Bliss, że ja to wyjaśnię — odezwał się Dom. — My jesteśmy inni. My, którzy w końcu dotarliśmy na Gaje (idąc w ślady tych, którzy wylądowali na Sayshell), byliśmy jedyną spośród wszystkich grup uchodźców uciekających przed dominacją robotów, która nauczyła się od robotów sztuki telepatii.

Bo to jest sztuka. Mózg ludzki posiada odpowiednie predyspozycje, ale muszą być one rozwinięte. Jest to bardzo delikatne i trudne zadanie. Potrzeba pracy wielu pokoleń, aby wykorzystać je w pełni, ale kiedy zrobi się początek, to potem idzie o wiele łatwiej. Pracujemy nad tym od ponad dwudziestu tysięcy lat i Gaja czuje, że jeszcze nie osiągnęliśmy pełni możliwości. Już dawno temu dzięki rozwojowi telepatii zdaliśmy sobie sprawę z możliwości stworzenia świadomości zbiorowej. Najpierw odnosiło się to tylko do ludzi, później również do zwierząt, jeszcze później do roślin, aż w końcu, zaledwie kilkaset lat temu, włączyliśmy do niej także nieożywioną materię planety.

No a ponieważ zawdzięczaliśmy to robotom, nie zapomnieliśmy o nich. Uważaliśmy je za naszych nauczycieli, a nie za niańki. Czuliśmy, że otworzyły nam drogę do czegoś, czego za nic nie chcielibyśmy się pozbawić. Dlatego wspominamy je z wdzięcznością.

— Ale tak jak niegdyś byliście ubezwłasnowolnieni przez roboty, tak teraz jesteście ubezwłasnowolnieni przez tę świadomość zbiorową — powiedział Trevize. — Czy teraz, tak jak przedtem, nie zatraciliście typowo ludzkich cech?

— To jest zupełnie inna sytuacja, Trev. To, co teraz robimy,

robimy z własnego wyboru — z naszego własnego wyboru. To jest to, co się liczy. Świadomość zbiorowa nie została nam narzucona z zewnątrz, lecz została przez nas stworzona. Nigdy o tym nie zapominamy. A poza tym, jesteśmy inni także pod innym względem. Jesteśmy wyjątkiem w Galaktyce. Nie ma drugiego takiego świata jak" Gaja.

— Skąd macie taką pewność?

— Gdyby było inaczej, wiedzielibyśmy o tym, Trev. Zbiorową świadomość, taką jak nasza, wykrylibyśmy nawet gdyby znajdowała się na drugim końcu Galaktyki. Odkryliśmy, na przykład, zalążki takiej świadomości w Drugiej Fundacji, ale dopiero dwieście lat temu.

— W czasach Muła?

— Tak. Jednego z nas — rzekł Dom z ponurą miną. — Był nienormalny, inny niż my i opuścił Gaje. Byliśmy tak naiwni, że wydawało się nam, iż to niemożliwe. Dlatego nie podjęliśmy w porę odpowiednich kroków, aby go zatrzymać. Potem, kiedy zwróciliśmy uwagę na inne światy, uświadomiliśmy sobie, że istnieje coś, co nazywacie Drugą Fundacją i zostawiliśmy to im.

Trevize gapił się na niego tępym wzrokiem przez dobrych parę minut, a potem mruknął:

— Oto ile warte są nasze podręczniki historii! — Potrząsnął głową i powiedział głośniej: — Zachowaliście się chyba dość tchórzliwie, co? To wy ponosiliście za niego odpowiedzialność.

— Masz rację. Ale kiedy zwróciliśmy wzrok na Galaktykę, zobaczyliśmy coś, czego dotąd nie dostrzegaliśmy, tak że ta smutna historia z Mułem okazała się w ostatecznym rachunku zbawienna dla nas. Wtedy to bowiem zdaliśmy sobie sprawę z faktu, że grozi nam niebezpieczny kryzys. I nadszedł, ale dzięki incydentowi z Mułem mogliśmy podjąć pewne środki zaradcze.

— Jaki kryzys?

— Grożący nam unicestwieniem.

— Nie mogę w to uwierzyć. Oparliście się Imperium, Mułowi i Sayshell. Macie świadomość zbiorową, dzięki której możecie ściągnąć statek kosmiczny z odległości wielu milionów kilometrów. Czego możecie się obawiać? Popatrz na Bliss. Nie wygląda w najmniejszym stopniu na zaniepokojoną. Ona nie uważa, że grozi wam kryzys.

Bliss założyła kształtną nogę na poręcz fotela i pomachała stopą w jego stronę. — Oczywiście, że się nie przejmuję, Trev. Ty go opanujesz.

— Ja? — rzekł z naciskiem Trevize.

— Gaja sprowadziła cię tu dzięki setce subtelnych zabiegów — rzekł Dom. — To właśnie ty musisz stawić czoła naszemu kryzysowi.

Trevize gapił się na niego i z wolna wyraz osłupienia na jego twarzy zaczął ustępować miejsca złości. — Ja? Dlaczego, z całej

przestrzeni, właśnie ja? Nie mam z tym nic wspólnego!

— Niemniej jednak, Trev — powiedział Dom z prawie hipnotycznym spokojem — to musisz zrobić ty. Tylko ty. Z całej przestrzeni właśnie ty.

Rozdział XVIII
KOLIZJA

75.

Stor Gendibal .skradał się ku Gai prawie tak ostrożnie, jak Trevize i teraz, kiedy jej gwiazda była już widoczna jako rozjarzony krąg i można ją było obserwować tylko przez silne filtry, zatrzymał się, aby zastanowić się, co robić dalej.

Z boku siedziała Sura Novi, rzucając na niego od czasu do czasu trwożliwe spojrzenia.

— Panie… — rzekła cicho.

— O co chodzi, Novi? — spytał z roztargnieniem.

— Czujesz się źle?

Spojrzał na nią szybko. — Nie. Zastanawiam się. Pamiętasz to słowo? Zastanawiam się, czy mam ruszyć szybko dalej, czy jeszcze poczekać. Czy będę tak odważny, Novi?

— Myślę, że zawsze jesteś bardzo odważny, panie.

— Czasami być bardzo odważnym znaczy to samo, co być głupim.

Novi uśmiechnęła się. — Czy badacz może być głupi?… To słońce, prawda, panie? — wskazała na ekran.

Gendibal skinął potakująco głową.

Novi zawahała się chwilę i spytała: — Czy to jest to słońce, które świeci na Trantorze? — Czy to nasze słońce?

— Nie, Novi — odparł Gendibal. — To jest zupełnie inne słońce. Jest wiele słońc, całe miliardy.

— Aha, przyszło mi to do głowy, ale trudno mi było w to uwierzyć. Jak to się dzieje, panie, że coś przychodzi do głowy, że się wie, że tak jest, ale trudno w to uwierzyć?.

Gendibal uśmiechnął się lekko. — W twojej głowie, Novi… — zaczął i natychmiast kiedy tylko to powiedział, znalazł się w jej głowie. Pogładził ją lekko, jak robił zawsze, kiedy się tam znalazł — było to tylko kojące muśnięcie, które miało zapewnić jej spokój i usunąć niepewność — i już miał się wycofać, gdy nagle coś go powstrzymało.

Tego, co zobaczył nie można opisać inaczej niż przy użyciu terminów mentalistycznych, ale metaforycznie można powiedzieć, że mózg Novi otaczała poświata. Była ona zaledwie zauważalna, ale była. Jej obecność wskazywała na istnienie pola psychicznego wytworzonego na zewnątrz, pola o tak małym napięciu, że nawet odbierający tego typu sygnały ośrodek znajdujący się w świetnie wyćwiczonym mózgu Gendibala wychwycił je z trudem, i to mimo iż znajdowały się na gładkim tle struktury umysłowej Novi.

— Novi, jak się czujesz? — spytał ostro.

Otworzyła szeroko oczy. — Dobrze, panie.

— Nie czujesz się oszołomiona albo zmieszana? Zamknij oczy i

siedź absolutnie spokojnie, dopóki nie powiem „Już”.

Zamknęła posłusznie oczy. Gendibal ostrożnie usunął z jej mózgu wszystkie doznania płynące z zewnątrz, uciszył jej myśli, pogładził ją, jeszcze raz… Nie zostawił nic oprócz tej poświaty. Była tak nikła, że przez chwilę zdawało mu się, że uległ złudzeniu. — Już — powiedział i Novi otworzyła oczy.

— Co czujesz, Novi?

— Spokój, panie. Odprężenie.

Wyraźnie pole było zbyt słabe, aby wywrzeć na nią jakikolwiek zauważalny wpływ.

Odwrócił się do komputera, żeby sprawdzić, czy w okolicy nie ma jakiegoś statku. Jego praca z komputerem przypominała zmagania. Musiał przyznać sam przed sobą, że trudno mu było nawiązać kontakt z maszyną. Być może było to skutkiem tego, że za bardzo nawykł do bezpośredniego używania swego umysłu i nie potrafił korzystać z pośrednictwa żadnej osoby czy urządzenia. Teraz jednak szukał statku, a nie innego umysłu, i te wstępne poszukiwania można było przeprowadzić bardziej skutecznie za pomocą komputera.

No i znalazł statek takiego rodzaju, jak podejrzewał. Był oddalony od nich o pół miliona kilometrów i bardzo podobny do ich statku, ale o wiele większy i bardziej skomplikowany.

Kiedy już zlokalizował go komputer pokładowy, Gendibal mógł sobie pozwolić na to, by uchwycić go bezpośrednio swym umysłem. Wysłał w jego stronę silnie skoncentrowaną wiązkę myśli i wyczuł go (a właściwie był to mentalistyczny odpowiednik tego, co normalnie określa się tym słowem).

Potem skierował myśli w stronę Gai, zbliżając się do niej o parę milionów kilometrów i cofnął się. Zabiegi te nie na wiele się jednak zdały.

W dalszym ciągu nie wiedział, który z tych dwu obiektów był źródłem pola, a nawet, czy na pewno było ono wytwarzane przez któryś z nich.

— Novi, chciałbym, żebyś przez najbliższy czas siedziała obok mnie — powiedział.

— Czy coś nam zagraża, panie?

— Niczego się nie obawiaj. Zadbam o to, żeby nic ci się nie stało.

— Panie, ja nie obawiam się, że coś mi się stanie. Jeśli nam coś zagraża, to chciałabym ci pomóc, jeśli będę w stanie.

Gendibal rozrzewnił się. — Już mi pomogłaś, Novi. Dzięki tobie odkryłem coś bardzo drobnego, ale bardzo dla mnie ważnego. Bez ciebie mógłbym zabrnąć w tarapaty, z których niełatwo byłoby mi się później wydobyć.

— Czy odkryłeś to dzięki mojemu umysłowi, panie? — spytała zdumionym głosem Novi. — Tak, jak mi to kiedyś tłumaczyłeś?

— Tak, Novi. Żaden instrument nie jest tak czuły, jak twój umysł. Mój własny umysł nie jest tak czuły, jest na to zbyt skomplikowany.

Twarz Novi rozjaśniła radość. — Tak się cieszę, panie, że mogłam ci pomóc.

Gendibal uśmiechnął się i skinął głową, ale zaraz pomyślał ponuro, że będzie też potrzebował innej pomocy. Czul jakiś dziecinny opór przed zwróceniem się o pomoc. To było jego zadanie — tylko jego.

Ale przełamał się. To już nie była tylko jego sprawa. Zagrożenie wzrastało…

76.

Na Trantorze Quindor Shandess coraz dotkliwiej odczuwał ciążącą na nim, jako na Pierwszym Mówcy, odpowiedzialność. Odkąd statek Gendibala zniknął w ciemnościach przestrzeni rozciągających się za atmosferą Trantora, Shandess nie zwołał ani jednego posiedzenia Stołu. Cały czas przesiadywał sam, pogrążony w niewesołych myślach.

Czy mądrze zrobił, pozwalając Gendibalowi wyruszyć samemu? Gendibal był genialny, ale nie na tyle, żeby nie być zbyt pewnym siebie. Wielką wadą Gendibala była buta, tak jak wielką wadą jego samego, Shandessa (pomyślał gorzko) było starcze znużenie.

Dręczyła go myśl, że Preem Palver przemierzając sam Galaktykę, aby skierować sprawy na właściwe tory, stworzył niebezpieczny precedens. Czy ktoś mógłby zostać drugim Preemem Palverem? Nawet Gendibal? Poza tym Palver miał ze sobą żonę.

Oczywiście, Gendibal miał ze sobą tę Tutejszą, ale ona nic nie znaczyła. Żona Palyera sama była Mówczynią.

Czekając na wiadomość od Gendibala, Shandess czuł, że z dnia na dzień coraz bardziej się starzeje, a ponieważ oczekiwane wiadomości nie nadchodziły, czuł również coraz większe napięcie.

Powinni byli wysłać całą flotę statków, przynajmniej eskadrę…

Nie. Stół nie zgodziłby się na to.

A jednak…

Kiedy wreszcie dotarł do niego sygnał od Gendibala, był akurat pogrążony w męczącym, nie przynoszącym ukojenia śnie. W ogóle zacząć trzeba od tego, że noc była wietrzna i miał trudności z zaśnięciem. Wydawało mu się, jak dziecku, że słyszy w podmuchach wiatru jakieś głosy.

Zanim zapadł w niespokojny sen, pomyślał jeszcze z utęsknieniem o rezygnacji ze swej funkcji. Pragnieniu, by to zrobić jak najszybciej, towarzyszyła jednak świadomość, że nie może sobie na to pozwolić, gdyż w tej samej chwili jego stanowisko objęłaby Delarmi.

A potem nadszedł sygnał od Gendibala i Shandess, nagle rozbudzony, usiadł w łóżku.

— Czujesz się dobrze? — spytał.

— Bardzo dobrze, Pierwszy Mówco — odparł Gendibal. — Może dla ściślejszej wymiany informacji nawiążemy kontakt wzrokowy?

— Może później — powiedział Shandess. — Przede wszystkim, jak wygląda sytuacja?

Gendibal mówił starannie, gdyż zorientował się, że wyrwał Shandessa ze snu, a poza tym wyczuwał jego znużenie:

— Jestem w sąsiedztwie zamieszkanej planety o nazwie Gaja,

która — o ile się orientuję — nie jest odnotowana w żadnych źródłach w Galaktyce — powiedział.

— Czy to jest świat zamieszkany przez tych, którzy dbają o to, żeby Plan był zrealizowany bez zakłóceń? Przez anty — Mułów?

— Możliwe, Pierwszy Mówco. Są powody, żeby tak myśleć. Po pierwsze, statek z Trevizem i Peloratem na pokładzie zbliżył się do tej planety i prawdopodobnie wylądował tam. Po drugie, w przestrzeni, około pół miliona kilometrów ode mnie, znajduje się statek wojenny Pierwszej Fundacji.

— Nie może się tam znajdować bez powodu.

— To nie może być przypadek, Pierwszy Mówco. Jestem tu tylko dlatego, że śledzę Trevizego i ten statek wojenny może tu być z tej samej przyczyny. Pozostaje tylko dowiedzieć się, dlaczego jest tutaj.

— Masz zamiar lecieć za nim w kierunku tej planety, Mówco?

— Myślałem o tym, ale wynikły pewne nieoczekiwane okoliczności. Znajduję się teraz sto milionów kilometrów od Gai i wyczuwam w przestrzeni wokół siebie pole psychiczne, bardzo słabe, jednorodne pole. W ogóle bym go nie zauważył, gdyby nie niezwykła zdolność skupiania mózgu tej Tutejszej. To niezwykły mózg; właśnie dlatego zgodziłem się zabrać ją ze sobą.

— Miałeś zatem rację, przypuszczając, że może tak być… Jak myślisz, czy Mówca Delarmi wiedziała o tym?

— Kiedy nalegała, żebym wziął ze sobą tę kobietę? Nie sądzę… ale z przyjemnością skorzystałem z tej okazji, Pierwszy Mówco.

— Cieszę się, że to zrobiłeś. Czy twoim zdaniem, Mówco Gendibalu, źródłem tego pola jest ta planeta?

— Aby to stwierdzić, musiałbym przeprowadzić pomiary w znacznie oddalonych od siebie punktach przestrzeni i sprawdzić, czy pole to charakteryzuje się ogólną symetrią sferyczną. Moja jednokierunkowa sonda wykazała, że nie jest to pewne, choć prawdopodobne. Ale nie byłoby mądrze badać to dalej, mając w pobliżu statek wojenny Pierwszej Fundacji.

— No, on na pewno nie jest groźny.

— Nie wiadomo. Nie jestem pewien, czy to przypadkiem nie on wytwarza to pole, Pierwszy Mówco.

— Ale przecież oni…

— Przepraszam, Pierwszy Mówco, że przerywam, ale pozwól mi coś powiedzieć. Nie wiemy jakimi zdobyczami techniki dysponuje Pierwsza Fundacja. Działają z zadziwiającą pewnością siebie i mogą mieć dla nas przykre niespodzianki. Trzeba się zorientować, czy nie nauczyli się kontrolować umysłów za pośrednictwem jakichś urządzeń. Krótko mówiąc, Pierwszy Mówco, muszę stawić czoła albo statkowi, albo planecie mentalistów.

Jeśli okaże się, że to statek, to ich pole może być za słabe, aby

mnie unieruchomić, ale na tyle silne, żeby spowolnić moje ruchy, a wtedy broń fizyczna, którą mają na pokładzie, wystarczy, żeby mnie zniszczyć. Z drugiej strony, jeśli okaże się, że źródłem tego pola jest planeta, to fakt, że można je wykryć w takiej odległości od niej, może oznaczać, że przy jej powierzchni natężenie pola jest tak ogromne, że nawet ja nie potrafię sobie z nim poradzić.

Tak czy inaczej, trzeba koniecznie utworzyć sieć, kompletną sieć, za pomocą której będę mógł, w razie potrzeby, skorzystać z pełnych zasobów Trantora.

Pierwszy Mówca zawahał się. — Kompletna sieć? Nigdy tego nie robiono, nawet nie proponowano… z wyjątkiem czasów Muła.

— Pierwszy Mówco, obecny kryzys może być groźniejszy niż ten z czasów Muła.

— Nie wiem, czy Stół się na to zgodzi.

— Sądzę, że nie powinieneś ich pytać o zgodę, Pierwszy Mówco. Powinieneś ogłosić stan zagrożenia.

— A jakie mam przedstawić usprawiedliwienie takiego posunięcia?

— Powiedz im to, co usłyszałeś ode mnie.

— Mówca Delarmi powie, że jesteś niezdarnym tchórzem, którego strach doprowadził do szaleństwa.

Gendibal milczał przez chwilę, zanim odpowiedział. Potem rzekł:

— Wyobrażam sobie, Pierwszy Mówco, że powie coś w tym rodzaju, ale niech sobie mówi, co chce. Przeżyję to. Zagrożona jest nie moja duma czy miłość własna, ale samo istnienie Drugiej Fundacji.

77.

Harla Branno uśmiechnęła się cierpko, przy czyni jej pobrużdżona twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej. — Myślę, że możemy to przyspieszyć — powiedziała. — Jestem gotowa na spotkanie z nimi.

— Jest pani nadal pewna, że wie, co robi? — spytał Kodell.

— Czy gdybym była taka szalona, jak pan uważa, Liono, to nalegałby pan tak bardzo, żeby zostać tu ze mną?

Kodell wzruszył ramionami i rzekł:

— Prawdopodobnie tak. Zostałbym tu wtedy z nadzieją, że może uda mi się panią powstrzymać, odwrócić pani uwagę, a przynajmniej pohamować, zanim posunie się pani za daleko. Ale oczywiście, jeśli nie jest pani szalona…

— To co?

— No cóż, to w takiej sytuacji nie chciałbym, żeby przyszli historycy poświęcili całą uwagę tylko pani. Wolę, żeby stwierdzili fakt, że byłem tu z panią i być może zastanawiali się, komu naprawdę przypisać tę zasługę… Co pani na to?

— Sprytnie, Liono, bardzo sprytnie… ale to wszystko na nic. Za kadencji zbyt wielu burmistrzów dzierżyłam faktyczną władzę w swoich rękach, aby ktokolwiek uwierzył, że tolerowałam kogoś takiego w swojej własnej administracji.

— Zobaczymy.

— Nie zobaczymy, bo nie będziemy już żyli, kiedy historycy będą formułować swoje sądy. Nie boję się jednak. Ani o swoje miejsce w historii, ani o to — powiedziała, wskazując na ekran.

— Statek Compora — rzekł Kodell.

— Faktycznie, statek Compora — powiedziała Branno — ale bez Compora na pokładzie. Jeden z naszych statków zwiadowczych zaobserwował moment zmiany załogi. Statek Compora został zatrzymany przez inny. Przeszło na niego dwoje ludzi z tego statku, a potem Compor przesiadł się na ich statek.

Branno zatarła ręce. — Trevize znakomicie wywiązał się ze swojej roli. Wysłałam go w przestrzeń, żeby spełniał rolę piorunochronu i faktycznie ją spełnił. Ściągnął piorun. Statek, który zatrzymał Compora pochodził z Drugiej Fundacji.

— Zastanawiam się, skąd pani ma tę pewność — powiedział Kodell, wyjmując fajkę i napełniając ją tytoniem.

— Stąd, że zawsze zastanawiałam się, czy Compor nie jest pod wpływem Drugiej Fundacji. Życie układało mu się zbyt gładko. Sprawy zawsze obracały się na jego korzyść i był takim asem pościgów w nadprzestrzeni. Do zdradzenia Trevizego mogłaby go popchnąć po prostu jego niepohamowana ambicja, ale zrobił to z tak niepotrzebną

skrupulatnością, jakby kryło się za tym coś więcej, niż tylko ambicja.

— To wszystko domysły, pani burmistrz.

— Te domysły skończyły się, kiedy poleciał za Trevizem, który wykonał całą serię skoków z taką łatwością, jak gdyby tamten zrobił tylko jeden skok.

— Miał do pomocy komputer. Branno odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się. — Mój drogi Liono, tyle czasu poświęca pan obmyślaniu skomplikowanych intryg, że zapomina pan jak skuteczne bywają proste metody. Posłałam Compora za Trevizem wcale nie dlatego, że chciałam, aby Trevize był śledzony. Nie było takiej potrzeby. Trevize, choćby nie wiem jak się starał utrzymać w tajemnicy swoje ruchy, nie mógł na siebie nie ściągnąć uwagi na każdym nie należącym do Federacji świecie, na którym by się zatrzymał. Jego supernowoczesny statek, jego silny akcent terminuski, jego kredyty fundacyjne musiały automatycznie wpaść każdemu w oko. A w nagłym przypadku zwróciłby się o pomoc do oficjalnych przedstawicieli Fundacji, tak jak to zrobił na Sayshell, gdzie . dowiedzieliśmy się, co zrobił zaraz po tym, jak to zrobił, i to zupełnie niezależnie od relacji Compora.

O, nie — mówiła dalej z zadumą. — Compor został wysłany po to, żeby sprawdzić Compora. I udało nam się to, bo celowo daliśmy mu uszkodzony komputer. Nie był uszkodzony w stopniu uniemożliwiającym kierowanie statkiem, ale na tyle niesprawny, aby Compor nie mógł z niego skorzystać przy obliczaniu parametrów serii skoków przez nadprzestrzeń, które zrobił Trevize. A jednak bez kłopotu znalazł Trevizego.

— Widzę, że jest mnóstwo spraw, pani burmistrz, o których dowiaduję się dopiero wtedy, kiedy pani zdecyduje się powiedzieć mi o nich.

— Trzymam pana z daleka od tych spraw, Lio — no, tylko dlatego, .żeby to panu nie zaszkodziło. Cenię pana i korzystam z pana umiejętności, ale moje zaufanie ma granice, tak zresztą jak zaufanie pana do mnie i niech pan nie próbuje temu zaprzeczyć.

— Nie zaprzeczam — rzekł oschle Kodell — i któregoś dnia pozwolę sobie to pani przypomnieć… Ale tymczasem może ma pani jeszcze coś, o czym powinienem się teraz dowiedzieć? Co to był za statek, ten, który go zatrzymał? Jeśli Compor należy do Drugiej Fundacji, to na pewno ten drugi też.

— Rozmowa z panem, Liono, zawsze jest prawdziwą przyjemnością. Szybko pan się orientuje w sytuacji. Otóż, widzi pan, Druga Fundacja wcale nie stara się zacierać swych śladów. Dysponuje odpowiednimi środkami, żeby uczynić te ślady niewidzialnymi, nawet wtedy, kiedy dobrze je widać. Nigdy nie przyszło im do głowy, żeby używać statków produkowanych na innych planetach, chociaż

doskonale wiedzą, że potrafimy dokładnie zidentyfikować każdy statek na podstawie jego wzoru energetycznego. Zawsze potrafili usunąć tę wiedzę z każdego umysłu, w jakim by się znalazła, dlaczego więc mieliby się ukrywać? No i w rezultacie naszemu statkowi zwiadowczemu udało się w ciągu paru minut ustalić miejsce pochodzenia statku, który zbliżył się do Compora.

— No to przypuszczam, że teraz Druga Fundacja usunie tę wiedzę z naszych umysłów.

— Jeśli potrafi — rzekła Branno — bo mogą się przekonać, że sprawy się zmieniły.

— Powiedziała pani wcześniej, że wie pani, gdzie znajduje się Druga Fundacja. Miała pani zająć się najpierw Gają, a potem Trantorem. Wnioskuję stąd, że ten statek pochodził z Trantora.

— Rozumuje pan poprawnie. Zaskoczyło to pana?

Kodell wolno potrząsnął głową. — Gdy teraz o tym pomyślę, to nie. Ebling Mis, Toran Darell i Bayta Darell byli na Trantorze w czasie, kiedy Muł został powstrzymany. Arkady Darell, wnuczka Bayty, urodziła się na Trantorze i znalazła się tam znowu, kiedy została rzekomo powstrzymana sama Druga Fundacja. W jej relacji z tych wydarzeń występuje niejaki Preem Palver, który odegrał w tym wszystkim kluczową rolę, pojawiając się w odpowiednich momentach, a który był kupcem trantorskim. — Myślę, że powinno być jasne, że Druga Fundacja znajduje się na Trantorze, gdzie — nawiasem mówiąc — mieszkał Hari Seldon w czasie, kiedy zakładał obie Fundacje.

— Zupełnie jasne, tyle tylko, że nikt nigdy nie brał pod uwagę takiej możliwości. Postarała się o to Druga Fundacja. To właśnie miałam na myśli, mówiąc, że nie muszą zacierać swych śladów, skoro mogą tak łatwo sprawić, żeby nikt nie spojrzał nawet w tamtą stronę, albo wymazać pamięć o tych śladach, gdyby zostały jednak zauważone.

— W takim przypadku — powiedział Kodell — nie spieszmy się tak ze spoglądaniem w stronę, w którą nie życzą sobie, żebyśmy spoglądali. Jak pani myśli, dlaczego w takim stanie rzeczy Trevize mógł wpaść na pomysł, że Druga Fundacja nadal istnieje? Dlaczego Druga Fundacja na to pozwoliła?

Branno wyciągnęła dłoń i zginając po kolei sękate palce, zaczęła wyliczać swoje argumenty. Po pierwsze, Trevize jest niezwykłym człowiekiem, w którym, mimo jego całej nieostrożności, jest coś, czego nie potrafię określić. To może być szczególny przypadek. Po drugie, Druga Fundacja nie była całkowicie nieświadoma tego, co się dzieje. Compor natychmiast wyczuł pismo nosem i złożył mi na niego donos. Liczyli na to, że powstrzymam Trevizego i że nie będą musieli ryzykować i otwarcie zaangażować się w tę sprawę. Po trzecie, kiedy zareagowałam niezupełnie tak, jak się spodziewali, kiedy nie kazałam

go zgładzić, uwięzić, zastosować sondy psychicznej ani wymazać tego z jego pamięci, ale po prostu skazałam go na wygnanie, Druga Fundacja zrobiła następny ruch. Posunęli się dalej, aż do tego, żeby wysłać za nim jeden ze swoich statków… To naprawdę znakomity piorunochron — dodała z wyraźną satysfakcją.

— A jaki będzie nasz następny ruch? — spytał Kodell.

— Zmierzymy się z tym Drugofundacjonistą, na którego się natknęliśmy. Prawdę mówiąc, powoli zbliżamy się już do niego.

78.

Gendibal i Novi siedzieli razem, ramię przy ramieniu, patrząc w ekran.

Novi była przestraszona. Było to dla Gendibala zupełnie jasne, tak samo jak fakt, że rozpaczliwie starała się przezwyciężyć strach. Nie mógł zrobić nic, aby pomóc jej w tej walce, gdyż uważał, że jeśli nie chce przesłonić jej reakcji na otaczające ich słabe , pole mentalne, nie może absolutnie dotykać jej mózgu.

Statek wojenny Fundacji zbliżał się powoli, ale nieubłaganie. Był duży i sądząc z poprzednich doświadczeń ze statkami Fundacji, mógł mieć nawet sześcioosobową załogę. Gendibal był pewien, że broń, którą miał na pokładzie, wystarczyłaby, aby powstrzymać i w razie konieczności zniszczyć całą flotę, jaką dysponowała Druga Fundacja… gdyby jej statki zdane były tylko na broń fizyczną.

Na razie zbliżanie się tego statku, nawet w obliczu faktu, że Gendibal był sam, pozwalało na wyciągnięcie pewnych wniosków. Otóż nawet gdyby statek Fundacji dysponował aparaturą do wytwarzania pola mentalnego, byłoby raczej nieprawdopodobne, żeby pakował się w taki sposób wprost w paszczę Drugiej Fundacji. Bardziej prawdopodobne było, że nie wie, co robi, przy czym ta niewiedza mogła być większa lub mniejsza.

Mogło to znaczyć, że dowódca tego statku nie zdawał sobie sprawy, iż Compora zastąpił ktoś inny lub — jeśli zdawał sobie z tego sprawę, — nie wiedział, że tym innym był członek Drugiej Fundacji, a może nawet nie zdawał sobie sprawy kim może być członek Drugiej Fundacji.

A może (Gendibal chciał rozważyć wszystkie możliwości) statek ten posiada jednak aparaturę do wytwarzania pola mentalnego i — wbrew przypuszczeniom Gendibala — dlatego zbliża się w sposób, który świadczy o niezwykłej pewności siebie jego dowódcy? To by znaczyło albo tyle, że dowodzi nim megaloman, albo że aparatura ta posiada taką moc, jakiej Gendibal nie podejrzewa.

Ale to, co podejrzewa, czy co mu się wydaje możliwe, nie musi być prawdziwe…

Ostrożnie zbadał mózg Novi. Novi nie potrafiła świadomie wyczuć pola mentalnego, podczas gdy Gendibal, oczywiście, mógł, ale z. drugiej strony mózg Gendibala nie był w stanie zrobić tego tak delikatnie ani wykryć tak słabego pola, jak mózg Novi. Był to paradoks, który należało zbadać w przyszłości. Być może wyniki tych badań okazałyby się na dłuższą metę o wiele ważniejsze niż obecny problem, który stwarzał zbliżający się statek.

Gendibal intuicyjnie dostrzegł tę możliwość, kiedy uświadomił

sobie jak niezwykłą symetrią i gładkością charakteryzuje się umysł Novi i teraz czuł posępną dumę ze swej niezwykłej intuicji. Mówcy zawsze byli dumni ze swej intuicji, ale w jakim stopniu była ona wynikiem braku umiejętności mierzenia pól za pomocą prostych, fizykalnych metod, a więc niemożliwości zrozumienia tego, co w rzeczywistości było tą intuicją, którą się tak chełpili? Łatwo było ukryć niewiedzę za mistycznym słowem „intuicja". A czy ta ich niewiedza nie mogła w dużym stopniu być konsekwencją niedoceniania wagi fizyki, a przeceniania mentalistyki?

A ile się za tym kryło ślepej pychy? „Kiedy ja zostanę Pierwszym Mówcą, pomyślał Gendibal, to się musi zmienić". Trzeba będzie zmniejszyć dystans dzielący ich od Pierwszej Fundacji w zakresie fizyki. Druga Fundacja nie mogła narażać się na zniszczenie za każdym razem, kiedy jej monopol na mentalistykę choć trochę się kurczył.

Prawdę powiedziawszy, właśnie teraz mogła zaistnieć taka sytuacja. Być może Pierwsza Fundacja dokonała postępu w tej dziedzinie, a może sprzymierzyła się z Antymułami. (Dopiero teraz pomyślał o takiej możliwości i zadrżał.)

Myśli te przemykały mu przez głowę z niezwykłą, charakterystyczną dla Mówców, szybkością, a rozmyślając tak, śledził jednocześnie uważnie poświatę, która otaczała mózg Novi i była reakcją na słabe połę mentalne wokół nich. Choć statek Fundacji zbliżał się coraz bardziej, natężenie pola nie wzrastało.

Nie świadczyło to jeszcze o tym, że nie posiada on urządzeń do wytwarzania pola mentalnego. Było rzeczą dobrze znaną, że — w odróżnieniu od pola elektromagnetycznego i grawitacyjnego — natężenie pola mentalnego nie było odwrotnie proporcjonalne do kwadratu odległości między jego źródłem a odbiornikiem. Nie wzrastało proporcjonalnie w miarę zmniejszania się tej odległości. Z drugiej strony, aczkolwiek natężenie pola mentalnego nie zależało od odległości w takim stopniu jak różne pola fizyczne, to nie było też zupełnie od niej niezależne. W miarę jak statek się zbliżał, reakcja mózgu Novi na wytwarzane przez niego pole powinna się zauważalnie zmieniać — powinna wskazywać pewien wzrost jego natężenia.

(„Jak to możliwe, że w ciągu pięciuset lat istnienia Drugiej Fundacji, od czasów Seldona aż do chwili obecnej, żaden z jej członków nie pomyślał nawet o matematycznym ustaleniu zależności między natężeniem pola a odległością? To lekceważenie fizyki musi się wreszcie skończyć. I skończy się", przyrzekł sobie Gendibal.)

Jeśli statek posiadał urządzenie do wytwarzania pola mentalnego i jeśli jego załoga była pewna, że zbliża się do członka Drugiej Fundacji, to czy nie powinna zwiększyć natężenia swego pola do maksimum? A w takim przypadku mózg Novi na pewno wykazałby to

jakąś silniejszą reakcją… Ale nic takiego się nie stało!

Wobec tego Gendibal zdecydowanie odrzucił możliwość istnienia na statku jakichkolwiek urządzeń tego typu. Zbliżali się, nie mając pojęcia do kogo faktycznie się zbliżają, w związku z czym nie przedstawiali sobą specjalnego zagrożenia.

Pole mentalne oczywiście istniało, ale jego źródło musiało mieścić się na Gai. Było to wystarczająco niepokojące, ale na razie musiał załatwić sprawę statku. Kiedy się z tym upora, będzie mógł skierować uwagę na świat Antymułów.

Czekał. Statek wykona jakiś, manewr albo zbliży się na tyle, by mógł mieć pewność, że jego działanie obronne przyniesie spodziewany skutek.

Statek nadal się zbliżał, teraz dość szybko, i nadal nie podejmował żadnej akcji. W końcu Gendibal doszedł do wniosku, że może już uderzyć z wystarczającą siłą. Załoga nie odczuje żadnego bólu ani innych dolegliwości, ale wszyscy jej członkowie stwierdzą nagle, że mięśnie ich rąk, nóg i grzbietu opornie poddają się działaniu ich woli.

Gendibal zawęził pole mentalne wytwarzane przez jego mózg. Jego energia wzrosła i — przebyła z szybkością światła odległość między statkami (były już tak blisko siebie, że kontakt nadprzestrzenny, który w sposób nieunikniony zmniejszał precyzję trafienia, stal się zbyteczny).

I natychmiast, kompletnie zaskoczony, cofnął się.

Statek Fundacji był wyposażony w skuteczny ekran, którego gęstość rosła proporcjonalnie do wzrostu natężenia pola wytwarzanego przez Gendibala… A więc jednak wiedzieli do kogo się zbliżają — dysponowali bronią, która — choć defensywna — całkowicie zaskoczyła Gendibala.

79.

— Aha — powiedziała Branno. — Zdecydował się zaatakować. Patrz, Liono!

Wskazówka psychometru wychyliła się i lekko drgała. Uczeni Fundacji przez sto dwadzieścia lat pracowali nad skonstruowaniem ekranu mentalnego. Był to, może z wyjątkiem samotnej pracy Hariego Seldona nad zasadami analizy psychohistorycznej, najbardziej tajny projekt badawczy w historii ludzkości. Pięć pokoleń uczonych stopniowo udoskonalało urządzenie, którego konstrukcji ani działania nic wyjaśniała w zadowalającym stopniu żadna teoria.

W pracach tych nie byłby możliwy żaden postęp, gdyby nie wynaleziono psychometru, który stał się swego rodzaju gwiazdą przewodnią, wskazując w każdym stadium badań kierunek, w którym powinny być prowadzone dalsze prace oraz stopień ich zaawansowania. Nikt nie potrafił wyjaśnić zasady jego działania, ale wszystko wskazywało na to, że mierzy on to, czego nie można zmierzyć i pokazuje wartości liczbowe tego, czego nie sposób opisać. Branno (jak również niektórzy z uczonych pracujących nad tym urządzeniem) miała wrażenie, że gdyby Fundacji udało się kiedyś wyjaśnić teoretycznie zasady działania psychometru, to dorównałaby ona Drugiej Fundacji w dziedzinie kontroli psychicznej.

Ale to było zadanie przyszłości. W chwili obecnej musi wystarczyć ekran, poparty miażdżącą przewagą w dziedzinie broni fizycznej.

Branno wysłała ultimatum. Zostało ono przekazane męskim głosem, z którego usunięto najdrobniejszy cień emocji, tak że brzmiał matowo i groźnie.

— Wzywam statek „Jasna Gwiazda” i tych, którzy znajdują się na jego pokładzie. Zajęliście siłą statek należący do floty wojennej Fundacji. Macie natychmiast poddać się. W przeciwnym wypadku zaatakujemy.

W odpowiedzi usłyszeli wypowiedziane naturalnym głosem:

— Burmistrz Branno z Terminusa, wiem, że jesteś na statku. „Jasna Gwiazda” nie została zajęta siłą. Zostałem zaproszony na jej pokład przez jej legalnego dowódcę, Munn Li Compora z Terminusa, który zrobił to z własnej woli. Proszę o chwilowy rozejm, abyśmy mogli porozmawiać o sprawach, które są ważne dla nas obojga.

— Proszę pozwolić mi odpowiedzieć — rzekł szeptem Kodell.

Branno podniosła dumnie rękę. — Odpowiedzialność spoczywa na mnie, Liono.

Nastawiła transmiter i powiedziała tylko nieznacznie mniej stanowczym i bezemocjonalnym tonem niż sztuczny głos, z którego

skorzystała przedtem:

— Człowieku z Drugiej Fundacji, zastanów się nad swoim położeniem. Jeśli nie poddasz się bezzwłocznie, to możemy zniszczyć twój statek w czasie, którego potrzebuje światło, żeby dotrzeć od nas do ciebie. Jesteśmy zdecydowani to zrobić. Nic na tym nie stracimy, bo nie posiadasz żadnych informacji, dla których warto by cię było utrzymać przy życiu. Wiemy, że jesteś z Trantora i jak tylko rozprawimy się z tobą, zajmiemy się Trantorem. Dajemy ci czas, żebyś mógł. odpowiedzieć, ale ponieważ nie masz nam nic interesującego do powiedzenia, nie będziemy długo słuchać.

— W takim razie — rzekł Gendibal — będę mówił krótko i od razu przejdę do rzeczy. Wasz ekran nie jest doskonały i nie może taki być. Przeceniliście go, a nie doceniliście mnie. Mogę zapanować nad waszymi umysłami. Być może nie przyjdzie mi to tak łatwo, jak w sytuacji, gdybyście nie mieli ekranu, ale i tak nie będzie to trudne. W chwili kiedy zdecydujecie się użyć broni, uderzę i musicie zrozumieć jedno — gdybyście nie mieli ekranu, poszłoby mi to gładko i nie wyrządziłbym wam żadnej krzywdy. Ponieważ jednak macie ekran, muszę się przez niego przebić, a jestem w stanie to zrobić, i wtedy nie będę mógł działać precyzyjnie. Wasze umysły zostaną zniszczone, tak jak ekran, i będzie to stan nieodwracalny. Innymi słowy, nie możecie mnie powstrzymać, natomiast ja mogę, będąc przez was zmuszony do zrobienia czegoś, co będzie dla was gorsze niż śmierć. Zostaną z was bezmyślne wraki. Chcecie podjąć takie ryzyko?

— Wiesz, że nie potrafisz zrobić tego, o czym mówisz — rzekła Branno.

— A więc chcesz zaryzykować i narazić się na konsekwencje, które przedstawiłem? — spytał Gendibal z chłodną obojętnością.

Kodell nachylił się i szepnął: — Na miłość Seldo — na, pani burmistrz…

— Śledzę twoje myśli, Kodell — powiedział Gendibal niezupełnie od razu, ponieważ światło i wszystko, co poruszało się z prędkością światła, potrzebowało nieco ponad sekundę, aby przebyć odległość dzielącą oba statki. — Nie musisz mówić szeptem. Śledzę także myśli burmistrz Branno. Jest niezdecydowana, nie musisz więc zaraz wpadać w panikę. Sam fakt, że wiem o tym, świadczy dobitnie, że wasz ekran przepuszcza.

— Można go wzmocnić — rzekła wyzywająco Branno.

— Moją siłę psychiczną też — odparł Gendibal.

— Ale ja siedzę tutaj spokojnie, zużywając tylko energię fizyczną dla utrzymania tego ekranu, a mam jej dosyć, żeby utrzymać ekran przez bardzo długi czas. Ty musisz zużywać swoją energię psychiczną, żeby przedostać się przez nasz ekran i w końcu opadniesz z sił.

— Nie opadłem — rzekł Gendibal. — W tej chwili, żadne z was

nie jest w stanie wydać jakiegokolwiek rozkazu jakiemukolwiek członkowi załogi waszego statku ani jakiemukolwiek człowiekowi na jakimkolwiek innym statku. Mogę tyle osiągnąć nie wyrządzając wam żadnej krzywdy, ale nie czyńcie żadnych nadzwyczajnych wysiłków, żeby wydostać się spod mojej kontroli, bo jak tylko zorientuję się, że to robicie, a zorientuję się natychmiast, zostaniecie — jak już powiedziałem — zniszczeni.

— Poczekam — powiedziała Branno, zakładając z widocznym spokojem ręce na piersi. — Zmęczysz się, a kiedy się to stanie, wydam rozkaz, ale nie zniszczenia ciebie, bo wtedy będziesz nieszkodliwy. Wydam rozkaz, aby główna flota wojenna Fundacji ruszyła na Trantor. Jeśli chcesz ocalić swój świat, poddaj się. Druga fala zniszczenia nie zostawi, tak jak to się stało w czasie Wielkiej Grabieży, waszej organizacji nietkniętej.

— Nie rozumiesz, kobieto, że jeśli zorientuję się, że tracę siły, do czego zresztą nie dojdzie, to mogę ocalić swój świat po prostu niszcząc was?

— Tego nie zrobisz. Waszym głównym zadaniem jest ochrona Planu Seldona. Zniszczenie burmistrza Terminusa, a przez to zadanie ciosu prestiżowi i znaczeniu Pierwszej Fundacji, osłabiając jej potęgę i ośmielając jej wszystkich nieprzyjaciół, spowodowałoby takie zakłócenie Planu, że byłoby to dla was równie niedobre jak zniszczenie Trantora. Lepiej się poddaj.

— Wolisz zaryzykować i postawić na to, że będę czuł opór, żeby was zniszczyć?

Branno wzięła tak głęboki oddech, że aż zafalowała jej pierś. — Tak — powiedziała zdecydowanym głosem.

Kodell, który siedział u jej boku, zbladł.

80.

Gendibal patrzył na sylwetkę Branno widoczną w głębi kabiny, tuż pod ścianą. Zakłócenia spowodowane przez ekran sprawiały, iż obraz był nieco zamglony i drgał. Mężczyznę siedzącego obok Branno widział tak niewyraźnie, że prawie nie można było rozróżnić rysów jego twarzy, ale nie mógł sobie pozwolić na tracenie energii na jego obraz. Musiał skoncentrować się na pani burmistrz.

Oczywiście ona nie widziała Gendibala. Nie mogła, na przykład, w żaden sposób zorientować się, że on też ma towarzysza, a właściwie towarzyszkę. Nie mogła dowiedzieć się niczego z wyrazu jego twarzy, język jego ciała nic jej nie mówił. W tym względzie była w gorszej sytuacji.

Mówił szczerą prawdę. Mógł ich unieszkodliwić, co prawda kosztem olbrzymiej utraty siły mentalnej, a gdyby został do tego zmuszony, to raczej nie potrafiłby tego przeprowadzić bez nieodwracalnego uszkodzenia ich mózgów.

Ale ona też mówiła prawdę. Zniszczenie jej byłoby równie niebezpieczne dla Planu jak działanie Muła. Prawdę mówiąc, mogłoby mieć nawet poważniejsze następstwa, gdyż realizacja Planu była teraz znacznie bardziej zaawansowana i być może nie starczyłoby czasu, aby naprawić szkody.

Co gorsze, była jeszcze Gaja, która ze swym słabym, ledwie wyczuwalnym polem mentalnym, pozostawała nadal tajemnicą.

Musnął mózg Novi, aby przekonać się, czy pole to nadal istnieje. Istniało i nie wykazywało żadnych zmian.

Nie mogła odczuć tego muśnięcia, ale obróciła się do niego i spytała trwożliwym szeptem.

— Panie, jest tu jakaś delikatna mgiełka. Czy to do niej mówisz?

Musiała zauważyć tę mgiełkę dzięki słabemu połączeniu między ich umysłami. Gendibal położył palec na ustach, — Nie bój się, Novi. Zamknij oczy i odpręż się.

Podniósł głos:

— Burmistrz Branno, tym razem dobrze zagrałaś. Nie chcę was natychmiast zniszczyć, ponieważ myślę, że jeśli ci coś wyjaśnię, to posłuchasz głosu rozsądku i żadne z nas nie będzie musiało niszczyć drugiego.

Załóżmy, że wygrasz i poddam się. Co stanie się potem? W swoim zadufaniu i wierze w siłę ekranu mentalnego, ty i twoi następcy spróbujecie narzucić, z fatalnym w skutkach pośpiechem, swoje panowanie całej Galaktyce. Robiąc to, faktycznie odsuniecie moment ustanowienia Drugiego Imperium, ponieważ w ten sposób wy też zniszczycie Plan Seldona.

— Nie dziwi mnie — rzekła Branno — że nie chcesz nas natychmiast zniszczyć i myślę, że siedząc tam, będziesz musiał sobie w końcu uświadomić, że w ogóle, ani teraz, ani nigdy, nie wolno ci mnie zniszczyć.

— Nie bądź taka pewna siebie, bo może to okazać się zgubne. Posłuchaj mnie. Większa część Galaktyki nadal znajduje się poza sferą wpływów Fundacji i ma do niej wrogie nastawienie. Nawet w samej Federacji Fundacyjnej istnieją obszary, gdzie nie zapomniano jeszcze o czasach, kiedy były one suwerennymi, niepodległymi światami. Jeśli, w wyniku mojego poddania się, Fundacja zanadto się pośpieszy, to jej działania usuną z Galaktyki największe źródło jej słabości — rozbicie i chwiejność. Zagrożenie z waszej strony zmusi rozbitą wewnętrznie Galaktykę do zjednoczenia się w oporze, a wewnątrz Federacji podsyci nastroje do buntu.

— To są papierowe strachy — powiedziała Branno. — Mamy dość siły, aby z łatwością pokonać wszystkich nieprzyjaciół, nawet gdyby wszystkie światy leżące poza sferą naszych wpływów zjednoczyły się przeciw nam i gdyby wybuchło w tym samym czasie powstanie na połowie światów należących do Federacji. Nie mielibyśmy z tym żadnych problemów.

— Na początku. Nie ograniczaj się do dostrzegania tylko skutków, które będą widoczne od razu, bo to błąd. Możesz stworzyć Drugie Imperium, po prostu proklamując jego powstanie, ale nie dacie rady utrzymać go przy istnieniu. Będziecie musieli co dziesięć lat podbijać Galaktykę na nowo.

— To będziemy podbijać, dopóki nie osłabną, tak jak ty teraz.

— Ani oni nic osłabną, ani — ja na razie nie słabnę. Zresztą proces ten nie będzie trwał zbyt długo, bo temu waszemu pseudoimperium zagrozi inne, większe niebezpieczeństwo. Ponieważ będzie się mogło utrzymać przy istnieniu tylko dzięki stale rosnącej sile militarnej, z której stale będziecie musieli korzystać, to po raz pierwszy w historii dowódcy armii Fundacji staną się ważniejsi i potężniejsi niż władze cywilne. Wasze pseudoimperium rozpadnie się na okręgi wojskowe, w których naczelną władzą będą ich dowódcy. Doprowadzi to do anarchii i powrotu do barbarzyństwa, które może trwać dłużej niż te trzydzieści tysięcy lat, które prorokował Seldon, zanim jego Plan został wcielony w życie.

— To dziecinne pogróżki. Nawet jeśli w wyliczeniach Planu Seldona przewidziane są takie skutki, to są to tylko możliwe, a nie nieuniknione wersje rozwoju wydarzeń.

— Burmistrz Branno — powiedział z naciskiem Gendibal — nie mówmy ó Planie Seldona. Nie rozumiesz matematyki, na której się opiera i nie potrafisz wyobrazić sobie jego schematu. Ale być może nie jest to potrzebne. Jesteś doświadczonym, a przy tym — sądząc ze

stanowiska, które obecnie piastujesz — zręcznym oraz — jak wskazuje na to gra, którą teraz prowadzisz — odważnym politykiem. A więc odwołaj się do swej znajomości polityki i do swojego doświadczenia w tej dziedzinie… Weź pod uwagę całą polityczną i wojskową historię ludzkości, oceń ją w świetle tego, co wiesz o naturze ludzkiej, o sposobach reagowania ludzi, polityków i oficerów i zastanów się, czy nie mam racji.

— Nawet gdybyś miał rację, to jest i ryzyko, które musimy podjąć — odpowiedziała Branno. — Mając odpowiednich przywódców i korzystając z coraz nowszych zdobyczy nauki, zarówno w fizyce, jak i w mentalistyce, możemy pokonać wszystkie przeszkody. Hari Seldon nie był w stanie właściwie ocenić znaczenia tych zdobyczy. Czy gdzieś w swoim Planie dopuszcza możliwość skonstruowania przez Pierwszą Fundację ekranu mentalnego? A zresztą, dlaczego mielibyśmy chcieć spełnienia tego Planu? Zaryzykujemy i stworzymy nowe imperium bez niego. W końcu lepiej jeśli się nam nie uda bez planu, niż gdyby miało udać się z jego pomocą. Nie chcemy imperium, w którym mielibyśmy być marionetkami poruszanymi z ukrycia przez manipulatorów z Drugiej Fundacji.

— Mówisz tak tylko dlatego, bo nie rozumiesz, co wasza porażka oznaczałaby dla ludzi w Galaktyce.

— Być może — rzekła kamiennym głosem Branno. — Zaczynasz tracić siły?

— Skądże… Pozwól, że zaproponuję akcję, której nie wzięłaś pod uwagę, a która nie będzie wymagała, żebym poddał się wam ani wy mnie… Jesteśmy w sąsiedztwie planety o nazwie Gaja.

— Wiem o tym.

— A wiesz, że jest to miejsce, gdzie prawdopodobnie urodził się Muł?

— Musiałabym mieć na to dowody. Twoje twierdzenie nie wystarczy.

— Ta planeta jest otoczona polem mentalnym. Jest ojczyzną wielu Mułów. Jeśli zrealizujesz swoje marzenie o zniszczeniu Drugiej Fundacji, to tym samym staniecie się ich niewolnikami. Czy Druga Fundacja wyrządziła wam kiedykolwiek jakąś krzywdę?… Myślę o rzeczywistej, a nie wyimaginowanej czy teoretycznej krzywdzie. A pomyśl o tym, ile złego wyrządził wam jeden Muł.

— To w dalszym ciągu tylko czcze słowa.

— Jak długo tu pozostaniemy, nie mogę dostarczyć żadnych innych argumentów… Dlatego proponuję zawieszenie broni. Pozostaw, ekran, jeśli mi nie ufasz, ale bądź przygotowana na współpracę ze mną. Zbliżmy się razem do tej planety, a kiedy przekonasz się, że jest groźna, ja unieszkodliwię ich pole mentalne, a ty wydasz rozkaz swoim statkom, żeby ją zajęły.

— A potem?

— A potem zostanie już tylko Pierwsza Fundacja przeciw Drugiej Fundacji i nie trzeba będzie brać pod uwagę żadnej siły z zewnątrz. Walka będzie wtedy jasna, natomiast teraz, jak widzisz, nie mamy odwagi, żeby zacząć walkę, bo obydwie Fundacje są zagrożorU.

— Dlaczego nie powiedziałeś tak od razu?

— Bo myślałem, że może uda mi się przekonać cię, że nie jesteśmy nieprzyjaciółmi i że możemy współpracować ze sobą. Ponieważ mi się to nie udało, tak czy inaczej proponuję współpracę.

Branno milczała, siedząc z pochyloną głową, pogrążona w myślach. Potem powiedziała:

— Chcesz uśpić moją czujność. W jaki sposób zdołasz sam unieszkodliwić pole mentalne całej planety Mułów? Ta myśl jest tak absurdalna, że nie mogę ci uwierzyć.

— Nie jestem sam — odparł Gendibal. — Mam za sobą całą potęgę Drugiej Fundacji. To ona, skupiona we mnie, powstrzyma Gaje. Mało tego, ta siła może w każdej chwili zdmuchnąć wasz ekran, tak jakby była to rzadka mgiełka.

— No to po co potrzebna ci moja pomoc?

— Przede wszystkim dlatego, że nie wystarczy unieszkodliwić ich pole. Druga Fundacja nie może się poświęcić temu jednemu zadaniu i przez całą wieczność neutralizować ich pole, tak jak ja nie mogę tu w nieskończoność tańczyć z tobą tego konwersacyjnego menueta. Potrzebna nam jest akcja fizyczna, którą mogą przeprowadzić wasze statki… A poza tym, skoro moje argumenty, że obydwie Fundacje powinny się traktować nawzajem jako sojusznicy, nie trafiają ci do przekonania, to może przekona cię bezpośrednie wspólne działanie — w sprawie niezwykłej wagi. Może czyny przemówią silniej niż słowa.

Znowu nastąpiło dłuższe milczenie, po czym Branno rzekła:

— Jeśli możemy to zrobić razem, to chcę podejść bliżej do Gai. Poza tym niczego nie obiecuję.

— To wystarczy — powiedział Gendibal, pochylając się nad komputerem.

W tym momencie odezwała się Novi:

— Nie,, panie, aż do tej chwili to nie miało znaczenia, ale teraz, proszę, nie rób żadnych ruchów. Musimy poczekać na radnego Trevize z Terminusa.

Rozdział XIX
DECYZJA

81.

Janov Pelorat powiedział z lekkim rozdrażnieniem w głosie: — Naprawdę, Golan, wydaje mi się, że nikogo nie obchodzi fakt, że po raz pierwszy w dosyć długim życiu — nie za długim, zapewniam cię, Bliss — podróżuję przez Galaktykę. Za każdym razem kiedy tylko przylecę na jakiś świat, zaraz muszę się zbierać z powrotem. Nie dadzą mi się nawet rozejrzeć. Teraz to już drugi raz.

— No — powiedziała Bliss — gdybyś nie odleciał z tego świata, gdzie byłeś poprzednio, tak szybko, to spotkałbyś mnie nie wiadomo kiedy. To chyba usprawiedliwia ten pierwszy raz.

— Usprawiedliwia. Mówię szczerze, moja… moja droga. Usprawiedliwia.

— A tym razem, Pel, jesteś co prawda poza planetą, ale masz mnie, a ja jestem tak samo Gają, jak każda jej cząstka, jak cała planeta.

— Jesteś i nie chcę żadnej innej cząstki. Trevize, który słuchał tej rozmowy ze zmarszczonymi brwiami powiedział:

— To oburzające. Dlaczego nie ma z nami Doma? Na przestrzeń, nigdy nie przyzwyczaję się do tej monosylabizacji. Nazwisko składa się z dwustu pięćdziesięciu sylab, a my używamy tylko jednej z nich… Dlaczego nie ma z nami Doma i tych jego dwustu pięćdziesięciu sylab? Jeśli to wszystko jest naprawdę tak ważne, jeśli od tego zależy samo istnienie Gai, to dlaczego nie ma go tu, żeby nami pokierował?

— Ja tu jestem, Trev — powiedziała Bliss — a ja jestem tak samo Gają, jak on. — A potem obrzuciwszy go szybkim spojrzeniem swych czarnych oczu, dodała: — A może irytuje cię, że mówię do ciebie „Trev”?

— Tak, irytuje. Mam takie samo prawo do swoich przyzwyczajeń jak wy. Nazywam się Trevize. Trzy sylaby Trevize.

— Świetnie. Nie chcę cię złościć, Trevize.

— Nie jestem zły. Irytuję się. — Podniósł się nagle, przeszedł z jednego końca kabiny w drugi, przekraczając wyciągnięte nogi Pelorata, a potem wrócił. Zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na Bliss.

Wyciągnął palec w jej stronę. — Słuchaj! Nie jestem panem swojej woli. Zostałem podstępnie ściągnięty z Terminusa na Gaje i nawet kiedy zacząłem podejrzewać, że to tak wygląda, nie mogłem nic zrobić, żeby wyrwać się z waszych rąk. A potem, kiedy dotarłem na Gaje, dowiaduję się, że potrzebny tu jestem po to, żeby ją ocalić. Dlaczego? Jak? Czym jest Gaja dla mnie albo ja dla Gai, żebym miał ją ocalić? Czy pośród trylionów ludzi w Galaktyce nic ma nikogo innego, kto mógłby to zrobić?

— Trevize, proszę — powiedziała Bliss z nagłym przygnębieniem.

Znikła gdzieś jej cała poprzednia wesołość. — Nie złość się. Widzisz, że zwracam się do ciebie pełnym nazwiskiem. Będę mówiła zupełnie poważnie. Dom prosił, żebyś był cierpliwy.

— Na wszystkie planety w Galaktyce, zamieszkane czy nie, nie chcę być cierpliwy! Jeśli jestem taki ważny, to czy nie należy mi się jakieś wyjaśnienie? Najpierw chcę wiedzieć, dlaczego nie ma z nami Doma? Czy to nie jest wystarczająco ważne, żeby był tu, na „Odległej Gwieździe", razem z nami?

— On tu jest, Trevize — powiedziała" Bliss. — Dopóki ja tu jestem, on też tu jest, tak samo jak każdy mieszkaniec Gai, jak każde stworzenie żyjące na niej, jak każda jej drobina.

— Ciebie to zadowala, ale ja nie myślę w ten sposób. Nie jestem Gajaninem. Nie możemy wtłoczyć na mój statek całej planety, możemy tu wcisnąć tylko jedną osobę. Mamy ciebie, a Dom jest częścią ciebie. W porządku. Dlaczego więc nie mamy tu Doma, skoro ty możesz być jego częścią?

— Przede wszystkim — rzekła Bliss — Pel… to znaczy Pelorat — prosił, żebym była z wami. Ja, a nie Dom.

— To była kurtuazja. Kto brałby to poważnie?

— No nie, drogi przyjacielu — rzekł Pelorat, podnosząc się z nagle poczerwieniałą twarzą. — Mówiłem zupełnie poważnie. Nie chcę, żebyś tak to zbył. Zgadzam się, że to nieważne jaką część Gai mamy na pokładzie, a w takiej sytuacji sprawia mi większą przyjemność mieć tu Bliss niż Doma, i tak samo powinno sprawiać to większą przyjemność tobie. Daj spokój, Golan, zachowujesz się jak dziecko.

— Tak? Jak dziecko? — powiedział Trevize, chmurząc twarz. — No więc dobrze, zachowuję się jak dziecko. Tak czy inaczej — znowu wysunął palec w stronę Bliss — zapewniam cię, że bez względu na to, co mam zrobić, nie zrobię tego, jeśli nie będę traktowany jak człowiek. Na początek dwa pytania… Co mam zrobić? I dlaczego właśnie ja?

Bliss patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i cofała się. — Nie mogę ci tego teraz powiedzieć. Zrozum to, proszę. Gaja nie może ci powiedzieć. Musisz przybyć na miejsce, nie wiedząc nic na początek. Musisz się tego dowiedzieć tam, na miejscu. Potem musisz zrobić to, co musisz, ale spokojnie, bez żadnych emocji. Jeśli nadal będziesz w takim stanie jak teraz, to nic z tego nie wyjdzie i, tak czy inaczej, będzie to koniec Gai. Musisz zmienić ten swój nastrój, a ja nie wiem jak to zrobić.

— A Dom by wiedział, gdyby był tutaj? — spytał bez skrupułów Trevize.

— On jest tutaj — odparła Bliss. — On — ja — my nie wiemy jak zmienić twój nastrój albo uspokoić cię. Nie potrafimy zrozumieć

człowieka, który nie umie wyczuć swego miejsca w ogólnym porządku rzeczy i który nie czuje się częścią większej całości.

— Nie jest tak — rzekł Trevize. — Potrafiliście ściągnąć mój statek z odległości miliona kilometrów, a nawet większej… i sprawić, że byliśmy spokojni, mimo że czuliśmy się bezradni. No to uspokójcie mnie teraz. Nie udawajcie, że nie potraficie tego zrobić.

— Ale nie wolno nam tego zrobić. Nie teraz. Gdybyśmy teraz odmienili cię albo w jakiś inny sposób wpłynęli na ciebie, to byłbyś dla nas tyle samo wart, co jakakolwiek inna osoba w Galaktyce i nie mielibyśmy z ciebie żadnego pożytku. Możemy mieć z ciebie pożytek tylko dlatego, że jesteś tym, kim jesteś, i musisz pozostać sobą. Jeśli w tej chwili wpłyniemy na ciebie w jakikolwiek sposób, to jeteśmy zgubieni. Musisz być spokojny z własnej, nieprzymuszonej woli. Proszę cię o to.

— Nic z tego, moja panno, jeśli nie zaspokoisz choć w części mojej ciekawości.

— Bliss, pozwól, że ja z nim porozmawiam — wtrącił się Pelorat. — Przejdź do drugiej kabiny.

Bliss wolno wyszła. Pelorat zamknął za nią drzwi.

— Przecież ona wszystko widzi i słyszy — rzekł Trevize. — Co to za różnica, czy jest tu, czy tam?

— Dla mnie to istotna różnica — odparł Pelorat. — Chcę porozmawiać z tobą bez świadków, nawet jeśli to, że nikt nas nie słyszy, jest iluzją… Golan, ty się boisz.

— Nie gadaj głupstw.

— Oczywiście, że się boisz. Nie wiesz, gdzie lecisz, co spotkasz, czego oczekują od ciebie. Masz prawo się bać.

— Ale się nie boję.

— Właśnie, że się boisz. Być może nie boisz się fizycznego niebezpieczeństwa tak, jak ja. Ja bałem się wyruszyć w przestrzeń, boję się każdego nowego świata, który widzę, boję się każdej nowości, każdej zmiany. W końcu przez pół wieku prowadziłem ciche, spokojne życie, do niczego się nie mieszałem, w niczym nie uczestniczyłem, natomiast ty służyłeś we flocie wojennej, zajmowałeś się polityką i brałeś żywy udział w tym, co działo się u nas i w przestrzeni. Jednak starałem się opanować swój lęk, a ty mi w tym pomogłeś. Przez cały ten czas kiedy jesteśmy razem, byłeś cierpliwy i miły dla mnie, znosiłeś wszystko ze zrozumieniem i dzięki tobie udało mi się opanować lęk i zachowywać tak, jak trzeba. Pozwól, że teraz ja się zrewanżuję i pomogę tobie.

— Mówię ci, że się nie boję.

— Właśnie, że boisz się. Jeśli nie jakiegoś niebezpieczeństwa, to przynajmniej odpowiedzialności, która na tobie spoczywa. Wygląda na to, że zależą od ciebie losy całego świata, a więc jeśli zawiedziesz,

będziesz musiał żyć ze świadomością, że świat ten zginął przez ciebie. Zadajesz sobie pytanie dlaczego niby masz odpowiadać za losy świata, który nic dla ciebie nic znaczy, jakie mają prawo, żeby składać taki — ciężar na twoje barki. Nie tylko boisz się, że zawiedziesz, co jest zupełnie naturalne i co czułby każdy na twoim miejscu, ale jesteś wściekły, że postawili cię w sytuacji, w której musisz się bać.

— Całkowicie się mylisz.

— Nie sądzę. A zatem pozwól, że cię zastąpię. Ja ” to zrobię. Bez względu na to, czego od ciebie oczekują, zgłaszam się na ochotnika, .żeby cię zastąpić. Przypuszczam, że nie jest to coś, co wymagałoby wielkiej siły fizycznej czy energii, gdyż w takim przypadku proste mechaniczne urządzenie zrobiłoby to lepiej niż ty. Przypuszczam też, że nie wymaga to siły psychicznej, gdyż tej sami mają dosyć. To raczej coś, co… no, nie wiem, ale jeśli nie wymaga to ani krzepy, ani specjalnych zdolności psychicznych, to nadaję się do tego równie dobrze jak ty i jestem gotów wziąć na siebie tę odpowiedzialność.

— A dlaczego jesteś taki chętny, żeby wziąć na siebie ten ciężar? — spytał ostro Trevize.

Pelorat utkwił wzrok w podłogę, jakby nie chciał spojrzeć Trevizemu prosto w oczy. — Miałem żonę, Golan — powiedział. — Znałem kobiety. Jednak jakoś nigdy nie przywiązywałem wagi do tych spraw. Było to, owszem, ciekawe. Przyjemne… Ale nigdy specjalnie ważne. Jednak ona…

— Kto? Bliss?

— Ona jest jakaś inna… według mnie.

— Na Terminusa, Janov, przecież ona słyszy każde twoje słowo!

— To mnie nie obchodzi. Ona i tak o tym wie… Chcę jej sprawić przyjemność. Podejmę się tego zadania, choćby to było nie wiadomo co, zgodzę się na każde ryzyko, przyjmę każdą odpowiedzialność, jeśli będę miał choćby najmniejszą nadzieję, że dzięki temu będzie o mnie dobrze myślała.

— Ależ to dziecko, Janov.

— Nie jest dzieckiem… a poza tym to, co o niej myślisz, nie obchodzi mnie.

— Nie zdajesz sobie sprawy z tego, kim musisz się jej wydawać?

— Starym facetem? No i co z tego? Ona jest częścią większej całości, a ja nie i już to samo oddziela nas od siebie nieprzebytym murem. Myślisz, że ja tego nie wiem? Ale ja nie proszę jej o nic, tylko o to, żeby…

— Myślała o tobie dobrze?

— Tak. Albo z jakimkolwiek innym uczuciem, na które może się zdobyć.

— I dlatego chcesz się podjąć za mnie tego zadania? Nie słuchałeś chyba, Janov, dobrze tego, co mówili. Oni nie chcą ciebie — chcą

mnie, choć nie mogę zrozumieć z jakiego powodu.

— Ale jeśli nie mogą mieć ciebie, a muszą kogoś mieć, to na pewno będę lepszy niż nikt.

Trevize potrząsnął głową. — Nie wierzę własnym uszom. Na starość przeżywasz drugą młodość, Janov. Usiłujesz zostać bohaterem, żeby umrzeć dla tego ciała.

— Nie mów tak, Golan. To nie jest temat do żartów.

Trevize próbował się roześmiać, ale spojrzał na poważną twarz Pelorata i tylko chrząknął. — Masz rację — powiedział. — Przepraszam cię. Zawołaj ją, Janov. Zawołaj ją.

Weszła z pewnym ociąganiem. Powiedziała cicho: — Przepraszam, Pel, ale nie możesz go zastąpić. To może być tylko Trevize i nikt inny.

— Dobrze — rzekł Trevize. — Będę spokojny. Postaram się zrobić to, czego ode mnie chcecie. Zrobię wszystko, żeby tylko powstrzymać Janova od prób odgrywania, w jego wieku, bohatera romantycznego.

— Znam swój wiek — mruknął Pelorat.

Bliss wolno podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. — Pel — powiedziała — ja… ja myślę o tobie dobrze.

Pelorat odwrócił wzrok. — W porządku, Bliss. Nie musisz się starać być miła.

— Nie staram się być miła, Pel. Myślę o tobie dobrze.

82.

Najpierw niejasno, a potem coraz wyraźniej, Sura Novi uświadomiła sobie, że naprawdę nazywa się Suranoviremblastiran i przypomniała sobie, że kiedy była dzieckiem, rodzice mówili do niej Su, a przyjaciele Vi.

Oczywiście, tak naprawdę nigdy o tym nie zapomniała, ale fakty te były czasami głęboko ukryte w jej pamięci. I nigdy nie były ukryte aż tak głęboko, jak przez ostatni miesiąc, gdyż nigdy nie znajdowała się tak blisko tak potężnego umysłu.

Ale teraz nadszedł już czas, aby mogła sobie o nich przypomnieć. To nie było jej własne postanowienie. To nie ona tego chciała. Nie czuła takiej potrzeby. Ukryta strona jej osobowości wyłaniała się z głębi jej pamięci, gdyż taka była potrzeba całego globu.

Towarzyszyło temu nieokreślone, ale nieprzyjemne uczucie, coś w rodzaju swędzenia, które jednak szybko ustąpiło miejsca przyjemnej świadomości, że oto ukazała się taka, jaką była naprawdę, że stała się sobą. Od wielu lat nie była tak blisko Gai, jak teraz. Przypomniała sobie jedną z form życia, którą bardzo lubiła, kiedy była dzieckiem i mieszkała na Gai. Zdając sobie wówczas niejasno sprawę z tego, że odczucia tego stworzenia są częścią jej własnych odczuć, teraz wyraźniej uświadomiła sobie swoje własne. Była motylem wykluwającym się z kokonu.

83.

Stor Gendibal patrzył ostro i przenikliwie na Novi. Był przy tym tak zaskoczony, że o mały włos nie wypuścił z mentalnego uchwytu burmistrz Branno. To, że do tego nie doszło, zawdzięczał być może niespodziewanej pomocy z zewnątrz, która podtrzymała go, a na którą w owej chwili nie zwrócił uwagi.

— Co wiesz o radnym Trevize, Novi? — spytał. A potem, zaniepokojony nagłą zmianą w jej mózgu, który stawał się coraz bardziej skomplikowany, krzyknął: — Kim ty jesteś?

Chciał uzyskać kontrolę nad jej umysłem, ale nie mógł do niego przeniknąć. W tym momencie zdał sobie sprawę z faktu, że uchwyt, w którym trzyma Branno, został przez kogoś wzmocniony. — Kim ty jesteś? — powtórzył.

Twarz Novi przybrała na chwilę tragiczny wyraz. — Panie — powiedziała i zaraz poprawiła się: — Mówco Gendibalu, moje prawdziwe nazwisko brzmi Suranoviremblastiran, a jestem Gają.

To było wszystko, co powiedziała głośno. Gendibal, w przypływie wściekłości, wytężył swe psychiczne siły, zręcznie przemknął ponad wspomagającym jego uchwyt polem i ze zdwojoną energią ścisnął Branno, zmagając się jednocześnie z umysłem Novi.

Novi odrzuciła go z taką samą zręcznością, z jaką on pozbył się pomocy przy trzymaniu Branno, ale nie mogła — a może nie chciała — schować przed nim swych myśli.

Przemówił do niej jak do innego Mówcy:

— Dobrze zagrałaś swoją role, oszukałaś mnie i podstępnie zwabiłaś mnie tu. Należysz do tej samej rasy, z której wywodził się Muł.

— Muł był dewiantem, Mówco. Ja/my nie jesteśmy Mułami. Ja/my jesteśmy Gają.

W tym, co mu przekazała, została przedstawiona cała istota Gai, i to o wiele precyzyjniej niż można by to było zrobić za pomocą jakichkolwiek słów.

— Żyjąca planeta! — rzekł Gendibal.

— O polu mentalnym silniejszym niż twoje indywidualne pole. Nie zmagaj się, proszę, z taką siłą. Obawiam się, żeby ci się coś nie stało. Nie chciałabym tego.

— Nawet jako żyjąca planeta nie jesteś silniejsza od moich towarzyszy zespolonych na Trantorze. My również jesteśmy w pewnym sensie żyjącą planetą.

— To tylko parę tysięcy ludzi zespolonych w mentalnym współdziałaniu, Mówco. Poza tym nie możesz liczyć na ich pomoc, gdyż odcięłam ją od ciebie. Sprawdź to, a sam się przekonasz.

— Co masz zamiar zrobić, Gajo?

— Miałam nadzieję, Mówco, że nadal będziesz do mnie mówił „Novi”. To, co teraz robię, robię jako Gaja, ale jestem także Novi… a jeśli chodzi o mój stosunek do ciebie, to tylko Novi.

— Co masz zamiar zrobić, Gajo?

Novi zrobiła coś, co było mentalnym odpowiednikiem westchnienia i powiedziała:

— Jesteśmy teraz w martwym punkcie, w sytuacji patowej. Będziesz nadal trzymał burmistrz Branno, mimo jej ekranu. Ja ci w tym pomogę, więc nie opadniemy z sił. Przypuszczam też, że nie wypuścisz mnie z uchwytu, ja z kolei nie wypuszczę ciebie i tu również żadne z nas nie opadnie z sił i pozostaniemy w tym potrójnym uchwycie.

— A jak to się skończy?

— Powiedziałam ci już… Czekamy na radnego Trevize z Terminusa. To właśnie on rozstrzygnie… tak, jak uzna za stosowne.

84.

Komputer pokładowy „Odległej Gwiazdy” zlokalizował dwa statki. Trevize polecił mu pokazać ich obraz na ekranie.

Obydwa pochodziły z Fundacji. Jeden dokładnie przypominał „Odległą Gwiazdę”. Był to bez wątpienia statek Compora. Drugi był większy i o wiele potężniejszy.

Trevize obrócił się w stronę Bliss i rzekł:

— Nie wiesz, co tu się dzieje? Czy teraz możesz mi wreszcie coś powiedzieć?

— Tak. Nie bój się! Nic ci nie zrobią.

— Dlaczego wszyscy uważają, że siedzę tu trzęsąc się ze strachu? — rzekł z rozdrażnieniem Trevize.

— Pozwól jej mówić, Golan — wtrącił pospiesznie Pelorat. — Nie złość się na nią.

Trevize podniósł obie ręce, oznajmiając, że się poddaje. — Nie będę się na nią złościł — rzekł z niecierpliwością. — Mów, moja panno.

— Na tym dużym statku jest władczyni waszej Fundacji — powiedziała Bliss. — Jest z nią…

— Władczyni? — spytał zaskoczony Trevize. — Chcesz przez to powiedzieć, że jest tam ta stara baba Branno?

— To chyba nie jest jej tytuł — rzekła Bliss z wyrazem lekkiego zdziwienia na twarzy. — Ale faktycznie jest to kobieta. — Przerwała na chwilę, jakby wsłuchując się uważnie w to, co mówi potężny organizm, którego była częścią. — Nazywa się Harlabranno. To dziwne, żeby ktoś tak ważny na swoim świecie miał nazwisko składające się tylko z czterech sylab, ale przypuszczam, że nie — Gajanie mają inne zwyczaje niż my.

— Ja też tak przypuszczam — rzekł zimno Trevize. — Myślę, że wy mówilibyście do niej Brann. Ale co ona tutaj robi? Dlaczego nie jest na… Aha, rozumiem. Ją też ściągnęła tu Gaja. Po co?

Bliss nie odpowiedziała na to pytanie. — Jest z nią Lionokodell, pięć sylab, choć to jej podwładny. To wygląda na brak szacunku. To ważna figura na waszym świecie. Jest z nimi jeszcze czterech ludzi, którzy obsługują broń pokładową. Chcesz znać ich nazwiska?

— Nie. O ile się nie mylę, to na drugim statku jest tylko jeden człowiek, Munn Li Compor, który reprezentuje Drugą Fundację. Najwidoczniej ściągnęliście tu obydwie Fundacje. Po co?

— Niezupełnie jest tak, jak myślisz. Trev… chciałam powiedzieć Trevize.

— Och, daj spokój. Możesz mówić Trev. Nie będę się nadymał jak kometa.

— Niezupełnie, Trev. Compor zszedł ze statku i został zastąpiony przez dwie osoby. Jedna z nich to Storgendibal, ważna postać w Drugiej Fundacji. Nazywają go Mówcą.

— Ważna postać. Myślę, że dysponuje siłą mentalną.

— O tak, bardzo dużą.

— Potraficie dać sobie z nim radę?

— Oczywiście. Druga osoba, która jest z nim na statku, to Gaja.

— Ktoś z waszych ludzi.

— Tak. Nazywa się Suranoviremblastiran. Powinna mieć dużo dłuższe nazwisko, ale już dość długo jest z dala ode mnie/nas/reszty.

— Ona potrafi powstrzymać ważną osobę z Drugiej Fundacji?

— To nie ona go powstrzymuje, ale Gaja. Ona/ja/my/wszyscy możemy go zniszczyć.

— I właśnie ona ma to zrobić? Ma zniszczyć jego i Branno? Co to znaczy ? Czyżby Gaja chciała zniszczyć obie Fundacje i sama ustanowić Imperium Galaktyczne? Czyżby był to powrót Muła? Potężniejszego Muła…

— Nie, nie, Trev. Nie gorączkuj się. Nie możesz tego robić. Cała trójka trzyma się nawzajem w szachu. Czekają.

— Na co?

— Na twoją decyzję.

— I znowu to samo. Na jaką decyzję? Dlaczego ja mam ją podjąć?

— Trev, uspokój się, proszę — rzekła Bliss. — Wkrótce ci to wyjaśnimy. Ja/my/ona powiedzieliśmy tyle, ile teraz możemy powiedzieć.

85.

— Teraz jest już jasne, Liono, że popełniłam błąd, który może mieć fatalne skutki — powiedziała znużonym głosem Branno.

— Czy trzeba o tym głośno mówić? — mruknął Kodell przez zaciśnięte usta.

— Wiedzą, co myślę. To, że o tym mówię, nie może już bardziej pogorszyć naszej sytuacji. Niech pan nie sądzi, że nie będą znali też i pana myśli, jeśli nie będzie pan poruszał wargami… Powinnam poczekać, aż ekran zostanie udoskonalony.

— A skąd miała pani o tym wiedzieć? Gdybyśmy czekali, aż nasze zabezpieczenie stanie się dwa, trzy, cztery czy nie wiadomo ile razy pewniejsze, to czekalibyśmy w nieskończoność… Oczywiście żałuję, że my sami wyruszyliśmy na tę wyprawę. Lepiej byłoby wysłać na próbę kogoś innego, może na przykład Trevizego.

Branno westchnęła. — Nie chciałam, żeby się zorientowali, Liono, a taka próba byłaby dla nich ostrzeżeniem. Ale wskazał pan na źródło mojego błędu. Mogłam zaczekać, aż ekran będzie możliwie jak najmniej nieprzepuszczalny. Nie absolutnie, ale możliwie jak najmniej przepuszczalny. Wiedziałam, że są w nim dziury, ale nie mogłam już znieść czekania. Czekać aż te dziury zostaną załatane, znaczyłoby czekać dłużej, niż trwać będzie moja kadencja, a ja chciałam, żeby stało się to za moich rządów i chciałam być na miejscu. I przez to, jak głupia, wmówiłam sobie, że ekran jest odpowiedni. Nie słuchałam żadnych ostrzeżeń… na przykład wątpliwości, które pan zgłaszał, Liono.

— Może jeszcze wygramy, jeśli będziemy cierpliwi.

— Może pan wydać rozkaz naszej załodze, żeby ostrzelała tamten statek?

— Nie, nie mogę. Jakoś nie mogę znieść samej myśli o tym.

— Ja też. A gdyby któremuś z nas udało się wydać taki rozkaz, to jestem pewna, że załoga by go. nie posłuchała, że nie byłaby zdolna go wykonać.

— W obecnej sytuacji nie, ale sytuacja może się zmienić, pani burmistrz. Prawdę mówiąc, na scenie pojawił się nowy aktor.

Wskazał na ekran. Komputer pokładowy automatycznie włączył ekran, kiedy nowy statek znalazł się w jego zasięgu. Statek ten nadlatywał z prawej strony.

— Może pan powiększyć obraz, Liono?

— Bez problemu. Ten człowiek z Drugiej Fundacji jest bardzo zręczny. Możemy robić wszystko, co nic sprawia mu kłopotu.

— To na pewno „Odległa Gwiazda” — powiedziała Branno, wpatrując się w ekran. — 7 — 1 przypuszczam, że na jej pokładzie są

Trevize i Pelorat. — Po chwili dodała gorzko: — Chyba że ich też zastąpili ludzie z Drugiej Fundacji. Mój piorunochron okazał się wyśmienity… Gdyby tylko nasz ekran był lepszy!

— Cierpliwości! — rzekł Kodell.

W sterowni rozległ się czyjś głoś. Branno nie wiedziała skąd czerpie tę pewność, ale mogłaby przysiąc, że nie dociera on do niej za pośrednictwem fal dźwiękowych. Słyszała go bezpośrednio w głowie, a rzut oka na Kodella wystarczył, aby stwierdzić, że on również go słyszy.

Głos mówił:

— Słyszysz mnie, burmistrz Branno? Jeśli tak, to nie musisz odpowiadać. Wystarczy, że to pomyślisz.

— Kto ty jesteś? — spytała spokojnie Branno.

— Jestem Gaja.

86.

Każdy z trzech statków znajdował się w stosunku do pozostałych dwóch w bezruchu. Wszystkie trzy okrążały wolno Gaje, jak gdyby były jej odległym, trzyczęściowym satelitą. Wszystkie trzy towarzyszyły Gai w jej niekończącej się wędrówce wokół słońca.

Trevize siedział, patrząc na ekran, zmęczony zgadywaniem, jaka była jego rola w tym wszystkim — po co ściągnięto go z odległości wielu tysięcy parseków.

Głos, który zabrzmiał w jego mózgu, nie przestraszył go. Zachował się zupełnie tak, jakby na to czekał.

— Słyszysz mnie, Golanie Trevize? — mówił głos. Jeśli tak, to nie musisz odpowiadać. Wystarczy, że o tym pomyślisz.

Trevize rozejrzał się. Pelorat, wyraźnie spłoszony, rozglądał się na wszystkie strony, jak gdyby chciał znaleźć źródło głosu. Bliss siedziała cicho, z rękami złożonymi na brzuchu. Trevize ani przez chwilę nie wątpił, że ona też słyszy ten głos.

Puścił mimo uszu polecenie, aby odpowiedzieć w myśli i rzekł specjalnie dobitnie i wyraźnie:

— Jeśli nie dowiem się o co tu chodzi, nie zrobię absolutnie nic z tego, czego się ode mnie oczekuje.

— Zaraz się dowiesz — odparł głos.

87.

— Słyszycie mnie wszyscy w swoich głowach — powiedziała Novi. — Wszyscy możecie mi swobodnie odpowiadać w swoich myślach. Postaram się, żeby każde z was słyszało pozostałych. Jak wszyscy wiecie, znajdujemy się na tyle blisko od siebie, że — biorąc pod uwagę normalną prędkość rozchodzenia się fal pola mentalnego, równą prędkości światła — myśli każdego z nas będą docierały do reszty bez kłopotliwych opóźnień. Zacznijmy od tego, że spotkanie nasze zostało wcześniej przygotowane.

— W jaki sposób? — zabrzmiał głos Branno.

— Bez wpływania na czyjekolwiek myśli — powiedziała Novi. — Gaja nie ingerowała w niczyj mózg. To nie w naszym stylu. Po prostu wykorzystaliśmy wasze ambicje. Burmistrz Branno chciała natychmiast ustanowić Drugie Imperium, Mówca Gendibal chciał zostać Pierwszym Mówcą. Wystarczyło tylko umocnić was w tych pragnieniach i ostrożnie płynąć na tej fali.

— Wiem, w jaki sposób mnie tu ściągnięto — rzekł zimno Gendibal. I rzeczywiście wiedział. Wiedział, dlaczego tak się palił do wyprawy w przestrzeń, dlaczego tak mu zależało na tym, aby lecieć za Trevizem, dlaczego był taki pewien, że poradzi sobie z tym wszystkim. To wszystko było sprawką Novi! Och, Novi!

— Twój przypadek, Mówco Gendibalu, był szczególny. Miałeś ogromne ambicje, ale była w tobie życzliwość, która umożliwiała nam/mnie szybsze działanie. Jesteś osobą, która odnosi się życzliwie w stosunku do kogoś, kogo nauczono się uważać za ustępującego ci pod każdym względem. Wykorzystałam to i obróciłam przeciw tobie. Jest mi/nam bardzo wstyd z tego powodu. Na swoje usprawiedliwienie mogę/możemy powiedzieć, że chodzi o przyszłość Galaktyki, która znalazła się w niebezpieczeństwie.

Novi przerwała na chwilę, a potem jej głos (choć nie mówiła za pośrednictwem strun głosowych) stał się poważniejszy, a twarz smutniejsza.

— Był już najwyższy czas. Gaja nie mogła dłużej czekać. Od ponad stulecia ludzie Fundacji doskonalili ekran mentalny. Gdyby jeszcze przez jedno pokolenie pozostawiono ich samym sobie, to udoskonaliliby go tak, że stałby się nie do przeniknięcia nawet dla Gai, a wtedy mogliby używać swej broni fizycznej wedle woli. Galaktyka nie byłaby w stanie im się oprzeć i powstałoby Drugie Imperium Galaktyczne na modłę Terminusa, a wbrew Planowi Seldona, ludziom z Trantora i Gai. Trzeba było jakoś doprowadzić do tego, aby burmistrz Branno przystąpiła do działania, póki ekran był jeszcze niedoskonały.

Poza tym jest jeszcze Trantor. Plan Seldona realizowany był bezbłędnie, bo sama Gaja dbała o to, żeby tak się działo. Od ponad stu lat Pierwsi Mówcy byli najspokojniejszymi ludźmi pod słońcem, tak że Trantor wegetował. Ostatnio jednak coraz szybciej i wyżej wznosił się Mówca Gendibal. Zostałby na pewno Pierwszym Mówcą, a pod jego przewodem Trantor zacząłby prowadzić aktywną politykę. Na pewno skoncentrowałby swą uwagę na broni fizycznej, dostrzegłby niebezpieczeństwo grożące mu ze strony Terminusa i podjąłby przeciwdziałania. Gdyby wystąpił przeciw Terminusowi, zanim ten zdążyłby udoskonalić swój ekran, to wtedy Plan Seldona zostałby zrealizowany do końca poprzez ustanowienie Drugiego Imperium Galaktycznego na modłę Trantora, a wbrew ludziom Terminusa i wbrew Gai. A zatem należało jakoś doprowadzić do tego, aby Gendibal przystąpił do działania, zanim zostanie Pierwszym Mówcą.

Na szczęście, ponieważ Gaja już od paru dziesiątków lat starannie przygotowywała się do tego, sprowadziliśmy obie Fundacje we właściwe miejsce we właściwym czasie. Powtarzam to głównie po to, aby zrozumiał wszystko radny Trevize z Terminusa.

Trevize natychmiast się wtrącił i, tak jak poprzednio, zignorował wskazówkę, żeby mówić w myśli. Powiedział stanowczo:

— Ale ja nie rozumiem. Co jest złego w obu wariantach Drugiego Imperium Galaktycznego?

— Drugie Imperium Galaktyczne stworzone na modłę Terminusa — rzekła Novi — będzie imperium militarnym, stworzonym siłą, utrzymywanym przy istnieniu siłą i w końcu zniszczonym przez tę siłę. Będzie to nic innego, jak odtworzone na nowo Pierwsze Imperium Galaktyczne. Taka jest opinia Gai.

Drugie Imperium Galaktyczne stworzone na modłę Trantora będzie imperium paternalistycznym, stworzonym przez chłodną kalkulację, utrzymywanym przy istnieniu dzięki chłodnej kalkulacji i pogrążającym się, dzięki tej kalkulacji, w śmierci za życia. Będzie to ślepy zaułek. Taka jest opinia Gai.

— A jaką alternatywę proponuje Gaja? — spytał Trevize.

— Większą Gaje! Galaxię. Każda zamieszkana planeta będzie żyjącym tworem, jak Gaja. Wszystkie żyjące planety utworzą większy nadprzestrzenny organizm. Będą do niego należały również wszystkie niezamieszkane planety. Wszystkie gwiazdy. Każde pasmo międzygwiezdnego gazu. Może nawet wielka czarna dziura w centrum Galaktyki. Galaktyka będzie żywym tworem, w którym będą panowały sprzyjające warunki dla każdego życia, takie, jakich nie potrafimy nawet przewidzieć. Sposób życia zasadniczo różny od wszystkiego, co było dotychczas, nie powielający starych błędów.

— Za to tworzący nowe — mruknął sarkastycznie Gendibal.

— Gaja miała wiele tysięcy lat na to, żeby je wyeliminować.

— Ale nie w skali Galaktyki.

Trevize, nic zwracając uwagi na tę krótką wymianę myśli i uparcie dążąc do swojego celu, spytał:

— A jaka jest w tym moja rola?

Zagrzmiał donośnie, skierowany przez mózg Novi, głos Gai:

— Wybierz! Który wariant wybierasz? Zapanowała długa, głucha cisza. W końcu rozległ się w niej, tym razem mentalny, gdyż Trevize był zbyt zaskoczony, aby mówić, głos Trevizego:

— Dlaczego mam to zrobić ja? — Brzmiał w tym wyraźny bunt.

— Chociaż zorientowaliśmy się — powiedziała Novi — że nadszedł moment, kiedy nie można już dłużej czekać, bo albo Terminus, albo Trantor stanie się zbyt potężny, żeby można go było później powstrzymać, albo — co jeszcze gorsze — że obydwa staną się równie potężne i że doprowadzi to w rezultacie do zniszczenia Galaktyki, to nie mogliśmy przystąpić do działania. Potrzebowaliśmy dla naszych celów kogoś, kto ma talent do wyciągania słusznych wniosków. No i znaleźliśmy ciebie… Nie, nie możemy sobie przypisać tej zasługi. Odkryli cię, z pomocą człowieka o nazwisku Compor, ludzie z Trantora, choć nie zdawali sobie sprawy z wagi swojego odkrycia. Zwróciło to na ciebie naszą uwagę. Golanie Trevize, ty masz dar znajdowania właściwych rozwiązań, ty zawsze wiesz, co należy w danej sytuacji zrobić.

— Nieprawda — powiedział Trevize.

— Zawsze jesteś pewien, że trzeba postąpić tak, a nie inaczej. Więc tym razem chcemy, żebyś miał pewność w sprawie losów całej Galaktyki. Być może nie chcesz przyjmować na siebie takiej odpowiedzialności. Niemniej jednak zrozumiesz, że trzeba to zrobić. Będziesz miał tę pewność! A wtedy wybierzesz. Jak tylko cię odkryliśmy, wiedzieliśmy już, że nasze poszukiwania się skończyły. Od tamtej pory przez wiele lat pracowaliśmy nad tym, aby wypadki tak się ułożyły, by cała wasza trójka — burmistrz Branno, Mówca Gendibal i ty, radny Trevize — znalazła się w tym samym czasie w sąsiedztwie Gai. I dokonaliśmy tego.

— Czy nie jest tak, Gajo — jeśli chcesz, bym tak cię nazywał — że w obecnych warunkach w tym miejscu przestrzeni możesz pokonać zarówno burmistrz Branno, jak i Mówcę Gendibala? — spytał Trevize. — Czy nie jest tak, że możesz ustanowić tę swoją żywą Galaktykę bez mojej pomocy? Dlaczego zatem tego nie zrobisz?

— Nie wiem, czy potrafię ci to zadowalająco wyjaśnić — odparła Novi. — Gaja została stworzona wiele tysięcy lat temu z pomocą robotów, które kiedyś, przez krótki czas, służyły ludziom, ale już im nie służą. Przedstawiły nam zupełnie jasno, że możemy przetrwać tylko wtedy, kiedy będziemy ściśle przestrzegali trzech praw robotyki w odniesieniu do wszelkiego życia. W tej interpretacji pierwsze prawo

robotyki brzmi: „Gaja nie może wyrządzić krzywdy żadnej żywej istocie albo, przez powstrzymanie się od działania, dopuścić do tego, by jakiejś żywej istocie stała się krzywda”. Przez cały czas naszego istnienia przestrzegaliśmy tej zasady i nie możemy postępować inaczej.

W efekcie jesteśmy teraz bezradni. Nie możemy siłą narzucić naszej wizji żywej Galaktyki trylionom ludzi i niezliczonej liczbie innych żywych istot, bo być może w ten sposób skrzywdzilibyśmy wielu i wiele z nich. Ale nie możemy też siedzieć z założonymi rękami i przyglądać się, jak Galaktyka niszczy się sama w walce, której moglibyśmy zapobiec. Nie wiemy, czy mniej kosztować będzie Galaktykę nasze działanie czy powstrzymanie się od działania albo — jeśli zdecydujemy się na działanie — czy mniej będzie kosztować Galaktykę poparcie Terminusa czy może Trantora. Niech zadecyduje o tym radny Trevize. Jakakolwiek będzie jego decyzja, Gaja się jej podporządkuje.

— W jaki sposób mam podjąć tę decyzję? — spytał Trevize. — Co mam zrobić?

— Masz komputer odparła Novi. — Ludzie na Terminusie nie zdawali sobie sprawy z tego, że kiedy go zrobili, to zrobili to lepiej, niż pozwalałby na to stan ich wiedzy. Komputer na twoim statku zawiera część Gai. Połóż dłonie na łączach i pomyśl. Możesz na przykład pomyśleć, że ekran na statku burmistrz Branno jest absolutnie nieprzepuszczalny. Jeśli to zrobisz, to możliwe, że Branno natychmiast skorzysta ze swej broni, aby unieszkodliwić czy zniszczyć pozostałe dwa statki i zapanować fizycznie nad Gają, a później nad Trantorem.

— I nic nie zrobisz, żeby jej przeszkodzić? — spytał Trevize ze zdumieniem.

— Absolutnie nic. Jeśli będziesz miał pewność, że dominacja Terminusa wyrządzi Galaktyce mniej zła niż którakolwiek z pozostałych możliwości, to z zadowoleniem przyjmiemy tę decyzję, choćby miała ona pociągnąć za sobą naszą zagładę.

Z drugiej strony, możesz poszukać pola mentalnego Mówcy Gendibala, połączyć się z nim i wzmocnić je za pomocą komputera. W takim przypadku on na pewno wyswobodzi się z mojego uchwytu i odepchnie mnie. Potem może opanować myśli Branno i, korzystając z jej statków, zapanować fizycznie nad Gają i zapewnić dalszą realizację Planu Seldona. Gaja nie zrobi nic, żeby temu przeszkodzić.

No i wreszcie możesz poszukać mojego pola mentalnego, połączyć się ze mną i tym samym zapoczątkować utworzenie żywej Galaktyki, co ostatecznie nastąpi nie za życia tego pokolenia ani następnego, ale dopiero po wielu wiekach pracy, po wiekach, w czasie których będzie dalej realizowany Plan Seldona. Wybór należy do ciebie.

— Zaczekaj! — krzyknęła Branno. — Nie podejmuj jeszcze decyzji. Czy mogę coś powiedzieć?

— Możesz mówić swobodnie — rzekła Novi. — Tak samo Mówca Gendibal.

— Radny Trevize — rzekła Branno. — Kiedy widzieliśmy się ostatni raz na Terminusie, powiedział pan: „Może nadejść taki moment, pani burmistrz, że poprosi mnie pani o przysługę, a ja wtedy zrobię tak, jak będę chciał i nie zapomnę ostatnich dwóch dni". Nie wiem, czy pan przewidział obecną sytuację, czy czuł pan intuicyjnie, co się ma zdarzyć, czy po prostu ma pan to, co ta kobieta mówiąca o żywej Galaktyce nazywa darem znajdowania właściwych rozwiązań. W każdym razie miał pan rację. Proszę pana o przysługę dla dobra Federacji.

Może uważa pan, że powinien mi odpłacić za to, że kazałam pana aresztować i skazałam na wygnanie. Proszę, żeby pan pamiętał, że zrobiłam to, gdyż uważałam, że wymaga tego dobro Federacji. Nawet jeśli zrobiłam źle albo działałam tylko we własnym interesie, to niech pan pamięta, że zrobiłam to ja, a nie Federacja. Niech pan nie niszczy całej Federacji tylko po to, żeby wyrównać rachunki ze mną. Niech pan pamięta, że jest pan z Fundacji i że jest pan człowiekiem, że nie chce pan być tylko cyfrą w planach bezdusznych matematyków z Trantora albo czymś nawet mniej ważnym niż cyfra w jakimś galaktycznym galimatiasie życia i nie — życia. Chce pan być niezależnym organizmem mającym wolną wolę. Chce pan, żeby takimi byli pana potomkowie i ziomkowie. Wszystko inne się nie liczy.

Oni mówią, że nasze Imperium doprowadzi do rozlewu krwi i nieszczęść, ale przecież nie musi tak być. Mamy wolną wolę i od nas zależy, co wybierze — my i czy będzie tak czy inaczej. Możemy przecież wybrać inną drogę. W każdym razie lepiej jest z własnej woli zaryzykować klęskę niż żyć bezpiecznie będąc kółkiem w jakiejś maszynie. Niech pan zauważy, że proszę teraz pana, żeby podjął pan decyzję jako człowiek mający wolną wolę. Te przedmioty z Gai nie są w stanie powziąć żadnej decyzji, bo nie pozwala im na to ten mechanizm, którego są częściami, więc zdają się na pana. I jeśli pan im to rozkaże, to sami się zniszczą. Czy chce pan, żeby cała Galaktyka stała się taka?

— Nie wiem, pani burmistrz, czy mam wolną wolę — odparł Trevize. — Być może mój umysł został odpowiednio nastawiony i podejmę decyzję, której chcą.

— Twój umysł jest absolutnie nietknięty — powiedziała Novi. — Gdybyśmy mogli posunąć się do tego, żeby odpowiednio do naszych celów zmienić , twój umysł, to całe spotkanie byłoby zupełnie niepotrzebne. Gdybyśmy byli tak pozbawieni zasad, to moglibyśmy robić to, co najbardziej by nam odpowiadało, nie oglądając się na

interesy i dobro całej ludzkości.

— Myślę, że teraz moja kolej — powiedział Gendibal. — Radny Trevize, niech pan nie kieruje się zaściankowymi interesami. Fakt, że urodził się pan na Terminusie nie powinien mieć wpływu na pana decyzję. Nie powinien pan stawiać Terminusa ponad Galaktykę. Już od pięciuset lat Galaktyka rozwija się zgodnie z Planem Seldona. Proces ten realizuje się i w Federacji Fundacyjnej, i poza nią.

Jest pan przede wszystkim częścią Planu Seldona, a dopiero potem obywatelem Fundacji. Niech pan, kierując się wąsko pojętym patriotyzmem czy romantyczną tęsknotą za czymś nowym i nieznanym, nie zrobi czegoś, co mogłoby zniweczyć Plan. Druga Fundacja w żaden sposób nie skrępuje wolnej woli ludzkości. Jesteśmy przewodnikami, a nie despotami.

Proponujemy Drugie Imperium Galaktyczne, które będzie się zasadniczo różniło od Pierwszego. W tych kilkudziesięciu tysiącleciach, które minęły od wynalezienia metod podróżowania w nadprzestrzeni, nie było ani jednego dziesięciolecia, kiedy gdzieś w Galaktyce nie byłoby rozlewu krwi, kiedy nie ginęliby ludzie. Było tak nawet wówczas, kiedy w samej Fundacji panował pokój. Jeśli wybierze pan burmistrz Branno, to sytuacja taka będzie trwała w nieskończoność. Będzie to wciąż ten sam ponury cykl śmierci i zagłady. Plan Seldona jest dla ludzkości wyjściem z tego błędnego koła, i to nie za cenę stania się jeszcze jednym zbiorem atomów w Galaktyce składającej się z atomów, nie za cenę zredukowania ludzi do jednego poziomu z trawą, bakteriami i kurzem.

— Z tym, co Mówca Gendibal mówi o Drugim Imperium Pierwszej Fundacji — rzekła Novi — zgadzam się. Z tym, co mówi o ich własnym imperium — nie. Mówcy z Trantora są w końcu niezależnymi ludźmi o wolnej woli i są tacy sami, jak zawsze byli. Czy są wolni od ambicji, czy nie ma u nich destrukcyjnej rywalizacji, polityki i pięcia się w górę za wszelką cenę? Czy wśród członków Stołu Mówców nie ma kłótni, a nawet nienawiści, i czy zawsze będą przewodnikami, za którymi nie będziecie się bali iść? Spytaj o to Mówce Gendibala, niech ci zaświadczy słowem honoru.

— Nie trzeba mnie zaklinać na mój honor — rzekł Gendibal. — Szczerze przyznaję, że wśród członków Stołu zdarza się i nienawiść, i rywalizacja, i zdrada. Ale kiedy już zostanie podjęta decyzja, wszyscy się do niej stosują. Nigdy nie było wyjątku od tej zasady.

— A jeśli nie dokonam żadnego wyboru? — spytał Trevize.

— Musisz dokonać — odparła Novi. — Sam dojdziesz do wniosku, że należy tak zrobić i wtedy dokonasz wyboru.

— A jeśli spróbuję i nie będę mógł niczego wybrać?

— Musisz wybrać.

— Ile mam czasu? — spytał Trevize.

— Tyle, ile będzie ci trzeba, żeby uzyskać pewność, choćby trwało to nie wiem jak długo.

Trevize siedział w milczeniu.

Chociaż pozostali też milczeli, Trevizemu wydawało się, że słyszy pulsowanie swego serca.

Słyszał stanowczy głos Branno: „Wolna wola".

Brzmiał mu w uszach apodyktyczny glos Gendibala: „Przewodzenie i pokój"!

I smutny głos Novi: „Życie".

Trevize obrócił się i zobaczył, że Pelorat wpatruje się w niego z napięciem. — Słyszałeś to wszystko, Janov? — spytał.

— Tak, Golan, słyszałem.

— I co o tym myślisz?

— Decyzja nie należy do mnie.

— Wiem, ale powiedz, co o tym myślisz.

— Nie wiem. Przerażają mnie wszystkie trzy możliwości. Ale przyszła mi do głowy szczególna myśl…

— Tak?

— Kiedy znaleźliśmy się w przestrzeni, pokazałeś mi Galaktykę. Pamiętasz?

— Oczywiście.

— Przyspieszyłeś czas i Galaktyka zaczęła się obracać tak, że można to było dostrzec. I wtedy powiedziałem, jak gdybym przeczuwał obecną sytuację, że Galaktyka wygląda jak żywa istota, pełznąca przez przestrzeń. Myślisz, że jest już w jakimś sensie żywa?

Trevize, przypomniawszy sobie ten moment, poczuł nagle pewność. Przypomniał sobie nagle, że miał wtedy wrażenie, iż także Pelorat odegra w ich wyprawie istotną rolę. Odwrócił się pospiesznie, aby już o tym nie myśleć, aby nie opadły go wątpliwości, aby nie stracić pewności.

Położył dłonie na łączach i skoncentrował się na jednej myśli. Myślał tak intensywnie, jak nigdy przedtem.

Powziął decyzję, decyzję, od której zależał los Galaktyki.

Rozdział XX
ZAKOŃCZENIE

88.

Burmistrz Harla Branno miała powody do zadowolenia. Wizyta oficjalna nie trwała długo, ale była bardzo owocna.

— Oczywiście, nie możemy im całkowicie ufać — powiedziała, jakby bojąc się, że może wpaść w zbytnią pychę.

Obserwowała ekran. Statki floty wojennej Fundacji wchodziły, jeden po drugim, w nadprzestrzeń i wracały do swoich baz.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że ich obecność wywarła wielkie wrażenie na Sayshell, ale też Sayshellczycy nie mogli nie zauważyć dwu rzeczy — po pierwsze, że wszystkie statki cały czas znajdowały się w przestrzeni należącej do Fundacji, po drugie, że kiedy tylko Branno wydała polecenie, by odleciały, zrobiły to bez zwłoki.

Z drugiej strony Sayshellczycy nie zapomną, że te statki mogą być ponownie wezwane na granicę w ciągu jednego dnia albo nawet w jeszcze krótszym czasie. W sumie manewr ten był zarówno demonstracją siły, jak i dobrej woli.

— Zupełnie zgadzam się z tym, że nie możemy im całkowicie ufać — rzekł Kodell — ale w końcu nikomu w Galaktyce nie można całkowicie ufać, a dotrzymanie warunków umowy leży w interesie Sayshell. Byliśmy wspaniałomyślni.

— Dużo będzie zależało od opracowania szczegółów umowy — powiedziała Branno — i przewiduję, że potrwa to dobrych parę miesięcy. Postanowienia ogólne można zaakceptować w jednej chwili, ale gorzej jest z detalami — jak załatwić sprawę kwarantanny dla towarów importowanych i eksportowanych, jak ustalić wartość ich ziarna i bydła w porównaniu z naszym ziarnem i bydłem, i tak dalej.

— Wiem o tym, ale w końcu załatwi się to wszystko i będzie to pani zasługa, pani burmistrz. Było to śmiałe posunięcie i przyznaję, że miałem wątpliwości, czy jest rozsądne.

— Niech pan da spokój, Liono. Wszystko sprowadzało się do tego, żeby Fundacja doceniła godność własną i dumę Sayshellczyków. Od czasów wczesnego Imperium zachowywali mniej lub bardziej ograniczoną niepodległość. Faktycznie można ich za to podziwiać.

— Tak, teraz, kiedy już nie są dla nas niewygodni.

— Otóż to. A więc musieliśmy powściągnąć nieco naszą własną dumę i zrobić jakiś gest w ich stronę. Przyznaję, że, jako burmistrzowi trzęsącej Galaktyką Fundacji, niełatwo mi było powziąć decyzję złożenia oficjalnej wizyty w jakimś prowincjonalnym gwiazdozbiorze, ale kiedy już ją podjęłam, to okazało się, że nie jest ona wcale tak bolesna, jak to się początkowo wydawało. A ich mile to połechtało. Musieliśmy zaryzykować i założyć, że jeśli przesuniemy nasze statki

na granicę, to zgodzą się na tę wizytę, ale oznaczało to, że będziemy musieli udawać skromność i uśmiechać się szeroko.

Kodell skinął głową. — Zrezygnowaliśmy z pozorów siły, aby zachować jej istotę.

— Otóż to… Kto to powiedział?

— Zdaje mi się, że ktoś w jednej ze sztuk Eridena, ale nie jestem pewien. Możemy o to spytać luminarzy naszej literatury, kiedy wrócimy na Terminusa.

— Jeśli o tym będę pamiętać. Musimy skłonić Sayshellczyków do szybkiej rewizyty i postarać się, żeby przyjęto ich jak równorzędnych partnerów. Obawiam się, Liono, że będzie pan im musiał zapewnić silną ochronę. Nasi zapaleńcy na pewno będą oburzeni tym układem i byłoby nierozsądnie z naszej strony, gdybyśmy dopuścili do tego, żeby czuli się upokorzeni przez jakieś manifestacje protestacyjne.

— Absolutnie zgadzam się z panią — rzekł Kodell. — A propos, wysłanie Trevizego to było bardzo sprytne posuniecie.

— Mojego piorunochrona? Spisał się lepiej, niż się spodziewałam. Zdążył tak szybko narozrabiać na Sayshell, że aż trudno mi w to było uwierzyć. No i ściągnął burzę. Na przestrzeń, trudno było o lepszy pretekst dla mojej wizyty! Wykazałam troskę o to, żeby żaden obywatel Fundacji nie sprawiał im kłopotów i wdzięczność za ich wyrozumiałość i cierpliwość.

— Tak, to było dobrze pomyślane… Ale czy nie uważa pani, że byłoby lepiej, gdybyśmy zabrali Trevizego z powrotem?

— Nie. Niech sobie będzie, gdzie chce, tylko nie na Terminusie. U nas stale by mącił. To jego idiotyczne gadanie o istnieniu Drugiej Fundacji dało mi znakomity pretekst, żeby się go pozbyć. Oczywiście liczyliśmy na to, że Pelorat nakłoni go, aby udali się na Sayshell, ale nie chcę mieć go, z tym jego bzdurnym gadaniem, z powrotem na Terminusie. Nie można przewidzieć, czym by się to mogło skończyć.

Kodell zachichotał:

— Wątpię, czy uda nam się kiedykolwiek znaleźć kogoś bardziej łatwowiernego niż taki akademicki intelektualista. Ciekaw jestem, w co jeszcze Pelorat mógłby uwierzyć, gdybyśmy go do tego zachęcili.

— Wystarczy, że uwierzył w faktyczne istnienie tej mitycznej Gai, ale dajmy temu spokój. Kiedy wrócimy, będziemy musieli stawić czoła Radzie. Potrzebujemy ich głosów dla zatwierdzenia umowy z Sayshell. Na szczęście mamy oświadczenie Trevizego, z jego indywidualnymi śladami głosowymi i tak dalej, że opuścił Terminusa dobrowolnie. Przeproszę oficjalnie Radę za krótkotrwałe zatrzymanie Trevizego w areszcie, złożę wyrazy ubolewania i to ich w pełni zadowoli.

— Jeśli chodzi o ten kit, który im pani wepchnie, to jestem całkowicie spokojny — rzekł sucho Kodell. — Ale czy nie pomyślała pani o tym, że Trevize może dalej szukać Drugiej Fundacji?

— A niech sobie szuka ile chce, byleby nie na Terminusie — odparła Branno, wzruszając ramionami. — To go zaabsorbuje i donikąd nie doprowadzi. Dalsze istnienie Drugiej Fundacji jest u nas takim samym mitem, jak Gaja na Sayshell.

Usiadła wygodniej, z zadowoloną miną. — I teraz mamy Sayihell w garści, a kiedy sobie to uświadomią, będzie już za późno, żeby mogli się wyrwać. I w ten sposób Fundacja nadal się rozrasta i będzie się rozrastać, regularnie i bez zakłóceń.

— I będzie to całkowicie pani zasługa.

— Nie uszło to mojej uwagi — powiedziała Branno. Ich statek zanurzył się w nadprzestrzeń i wyszedł z niej blisko Terminusa.

89.

Kiedy Mówca Stor Gendibal znalazł się z powrotem na swoim statku, miał powody do zadowolenia. Spotkanie z Pierwszą Fundacją nie trwało długo, ale było bardzo owocne.

Wysłał o tym wiadomość starannie maskując przepełniające go uczucie tryumfu. W tej chwili trzeba było tylko powiadomić Pierwszego Mówcę o tym, że wszystko poszło dobrze (czego zresztą mógł się sam domyśleć, skoro nie było potrzeby użycia całej siły, którą dysponowała Druga Fundacja). Na szczegóły przyjdzie czas później.

Opisze wówczas, jak staranny, choć niewielki zabieg na mózgu Branno spowodował, że przestała myśleć o utworzeniu wielkiego imperium, a zaczęła o praktycznej umowie handlowej, jak równie staranny, o raczej dalekosiężnych skutkach, zabieg na przywódcy Związku Sayshellskiego doprowadził do zaproszenia przez niego burmistrz Branno na rozmowy i jak, w konsekwencji obu tych zabiegów, doszło — bez potrzeby uciekania się do dalszych manipulacji — do zawarcia porozumienia między Pierwszą Fundacją a Sayshell, po czym Compor wrócił na swym własnym statku na Terminusa, aby dopilnować dotrzymania przez Fundację postanowień owego porozumienia. Był to — myślał Gendibal z zadowoleniem — niemal podręcznikowy przykład tego, jak wspaniałe rezultaty można osiągnąć dzięki dokładnemu opanowaniu mentalistyki.

Był pewien, że to wszystko zmiażdży Mówcę Dclarmi i — wkrótce po przedstawieniu na oficjalnym posiedzeniu Stołu szczegółów jego misji — doprowadzi go do godności Pierwszego Mówcy.

Nie mógł zaprzeczyć sam przed sobą, że ważną rolę w powodzeniu całego przedsięwzięcia odegrała obecność Sury Novi, choć nie muszą się o tym dowiedzieć wszyscy Mówcy. Nie tylko walnie przyczyniła się do jego zwycięstwa, ale — odnosząc się do niego z ogromnym podziwem — dostarczyła mu również tak potrzebnego w tej chwili pretekstu dla wyładowania przepełniającej go dziecinnej (i bardzo ludzkiej, gdyż nawet Mówcy są tylko ludźmi) dumy i radości.

Wiedział, że nie rozumie nic z tego, co się stało, ale że zdaje sobie sprawę, iż pokierował wszystkim tak, jak chciał i że z tego powodu przepełnia ją duma. Dotknął gładkiej powierzchni jej mózgu i poczuł ciepło bijące od tej dumy.

— Nie zdołałbym tego zrobić bez ciebie, Novi — powiedział. — Dzięki tobie mogłem stwierdzić, że Pierwsza Fundacja… ci na tym dużym statku…

— Tak, panie, wiem o kim mówisz.

— Dzięki tobie mogłem stwierdzić, że mają ekran, ale słabe siły

psychiczne. Na podstawie ich oddziaływania na twój mózg byłem w stanie określić własności i jednego, i drugiego. Zorientowałem się też, jak przebić się przez ekran i skrępować ich umysły.

— Nie bardzo rozumiem, panie, o czym mówisz — rzekła wyczekująco Novi — ale gdybym potrafiła, postarałabym się pomóc ci jeszcze bardziej.

— Wiem, Novi. Ale zrobiłaś wystarczająco dużo. To doprawdy zdumiewające, jak bardzo mogliby być groźni. Jednak teraz, gdy udało się nam złapać ich, zanim zdążyli udoskonalić ekran czy wzmocnić pole, możemy ich powstrzymać. Burmistrz wraca teraz na Terminusa, zapomniawszy o ekranie i o polu, zadowolona, że udało się jej zawrzeć z Sayshell układ handlowy, który czyni go częścią Federacji. Nie przeczę, że trzeba jeszcze dużo zrobić, żeby zniweczyć to, co udało im się osiągnąć w zakresie ekranu i pola — w tym względzie, niestety, zaspaliśmy sprawę — ale to się zrobi.

Zastanawiał się chwilę nad tą kwestią, po czym podjął na nowo cichym głosem:

— Byliśmy zanadto pewni siebie, jeśli chodzi o Pierwszą Fundację. Będziemy musieli ich baczniej obserwować. Będziemy musieli w jakiś sposób bardziej zespolić Galaktykę. Będziemy musieli wykorzystać mentalistykę do stworzenia ściślejszego współdziałania świadomości poszczególnych jednostek. Będzie to z pożytkiem dla Planu. Jestem o tym przekonany i dopilnuję tego.

— Panie… — rzekła z niepokojem Novi.

Gehdibal nagle uśmiechnął się. — Przepraszam.

Mówię sam do siebie… Pamiętasz Rufiranta, Novi? — Tego tępego wieśniaka, który cię napadł, panie? Oczywiście.

— Jestem przekonany, że zaaranżowali to, podobnie jak inne anomalie, które nas nękają, agenci Pierwszej Fundacji, wyposażeni w ekrany osobiste. Wyobraź sobie — być ślepym na takie rzeczy! Ale, z drugiej strony, ogłupiła mnie i zupełnie przesłoniła sprawę Pierwszej Fundacji ta bajka o tajemniczym świecie, te sayshellskie przesądy wiążące się z Gają. i w tym przypadku pomógł mi twój mózg. Pozwolił mi stwierdzić, że źródłem pola mentalnego był statek wojenny Fundacji i nic więcej.

Zatarł ręce.

— Panie… — rzekła nieśmiało Novi.

— Tak, Novi?

— Czy nie zostaniesz wynagrodzony za to, co zrobiłeś?

— Oczywiście, że zostanę. Shandess zrezygnuje z funkcji i zostanę Pierwszym Mówcą. Wtedy nadejdzie moja chwila i będę mógł wpłynąć na to, żebyśmy odegrali aktywną rolę w zrewolucjonizowaniu Galaktyki.

— Pierwszym Mówcą?

— Tak, Novi. Będę najważniejszym i najpotężniejszym badaczem.

— Najważniejszym? — Miała przygnębioną minę.

— Dlaczego robisz taką minę, Novi? Czyżbyś nie chciała, żeby mnie wynagrodzono?

— Ależ chcę tego, panie… Ale jeśli będziesz najważniejszym badaczem, to nie będziesz chciał mieć obok siebie Tutejszej. Nie byłoby to właściwe.

— Naprawdę? A kto mi zabroni? — poczuł przypływ sympatii do niej. — Novi, gdziekolwiek będę i kimkolwiek będę, zostaniesz ze mną. Myślisz, że chciałbym mieć do czynienia z tymi żmijami, które czasami bywają wśród członków Stołu, gdybym nie miał przy sobie twego mózgu, który zawsze pokaże mi ich uczucia, nawet zanim sami zdadzą sobie z nich sprawę, twojego niewinnego, absolutnie gładkiego mózgu? Poza tym… — wydawało się, że doznał nagłego olśnienia. — Poza tym ja… ja po prostu lubię mieć cię przy sobie i chcę cię mieć przy sobie… To znaczy, jeśli się na to zgadzasz.

— Och, panie… — wyszeptała Novi i, gdy objął dłonią jej kibić, skłoniła głowę na jego ramię.

Gdzieś w głębi, gdzie niemal nie sięgała świadomość Novi, skryta pod osłoną jej gładkiego mózgu, trwała istota Gai i ona to kierowała przebiegiem wypadków, ale to właśnie ta nieprzenikniona maska umożliwiała kontynuowanie owego wielkiego zadania.

Natomiast ta maska, to, co należało do Tutejszej, była całkowicie szczęśliwa. Była tak przepełniona szczęściem, że Novi niemal pogodziła się z tym, że jest tak daleko od siebie, od nich — od wszystkich i była zadowolona, że ma być tym, kim przez nieokreślony czas ma pozornie być.

90.

Pelorat zatarł ręce i rzekł ze starannie kontrolowanym entuzjazmem:

— Jakże się cieszę, że jestem z powrotem na Gai.

— Mhm — mruknął z roztargnieniem Trevize.

— Wiesz, co powiedziała mi Bliss? Burmistrz Branno wraca na Terminusa z umową handlową z Sayshell. Ten Mówca z Drugiej Fundacji wraca na Trantor przekonany, że to on wszystko tak ułożył… a ta kobieta, Novi, wraca razem z nim, aby dopilnować, żeby zaczęły się zmiany, które mają doprowadzić do powstania Galaxii. I żadna z Fundacji nie ma najmniejszego pojęcia o tym, że Gaja faktycznie istnieje. To naprawdę zadziwiające!

— Wiem — odparł Trevize. — Mnie też o tym powiedziano. Ale my wiemy, że Gaja istnieje i możemy o tym mówić.

— Bliss jest innego zdania. Mówi, że nikt by nam nie uwierzył, że wiemy o tym. Poza tym, ja nie mam najmniejszego zamiaru kiedykolwiek wyprowadzić się z Gai.

Trevize nagle oprzytomniał. — Co?!

— Mam zamiar pozostać tu… Wiesz, sam nie mogę w to uwierzyć. Zaledwie parę tygodni temu żyłem na Terminusie życiem samotnika, życiem, które prowadziłem od paru dziesiątków lat, zagłębiony po uszy w swoich notatkach i myślach, nigdy nie marząc nawet o niczym innym jak tylko o tym, bym do śmierci, kiedykolwiek miałaby ona nastąpić, mógł dalej zajmować się tymi notatkami i myślami i prowadzić dalej życie samotnika, po prostu spokojnie wegetować. I potem, nagle, niespodziewanie, stałem się podróżnikiem galaktycznym, zostałem wciągnięty w kryzys galaktyczny i — nie śmiej się, Golan — znalazłem Bliss.

— Nie śmieję się, Janov — odparł Trevize — ale czy jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

— Ależ tak! Sprawa Ziemi przestała być dla mnie ważna. To, że była jedynym światem o zróżnicowanej ekologii i jedynym, na którym powstały istoty inteligentne, zostało zadowalająco wyjaśnione. No wiesz, Wieczni…

— Tak, wiem. I masz zamiar zostać na Gai?

— Stanowczy zamiar. Ziemia należy do przeszłości, a przeszłości mam już dość. Przyszłością jest Gaja.

— Nie jesteś częścią Gai, Janov. A może myślisz, że możesz się stać jej częścią?

— Bliss mówi, że mogę się stać czymś w rodzaju jej części. Jeśli nie biologicznie, to przynajmniej intelektualnie. Ona mi oczywiście pomoże.

— Ale skoro ona jest częścią Gai, to jak wy dwoje możecie znaleźć wspólny punkt widzenia, mieć wspólne sprawy i prowadzić wspólne życie?

Rozmawiali na dworze. Trevize popatrzył poważnym wzrokiem na cichą, żyzną wyspę, na morze za nią, na odległy, siny horyzont, na inną wyspę — wszystko to było spokojne, cywilizowane i żywe, i wszystko to tworzyło jedność.

— Janov — powiedział — ona jest światem, ty — skromną jednostką. A co będzie, jeśli się tobą znudzi? Jest młoda…

— Myślałem o tym, Golan. Przez ostatnie dni nie myślałem o niczym innym. Spodziewam się, że się mną znudzi. Nie jestem jakimś romantycznym idiotą. Ale wystarczy mi to, co mi da wcześniej. Już dała mi dosyć. Otrzymałem od niej więcej, niż mógłbym kiedykolwiek marzyć. Nawet gdybym już więcej jej nie ujrzał, to i tak uważam się za szczęśliwca.

— Nie wierzę ci — rzekł spokojnie Trevize. — Myślę, że jednak jesteś romantycznym idiotą, ale wiedz, że wolę cię właśnie takim. Nie chciałbym, żebyś był inny. Janov, znamy się od niedawna, ale przez parę tygodni byliśmy razem i — przepraszam, jeśli to zabrzmi głupio — bardzo cię polubiłem.

— Ja ciebie też, Golan — odparł Pelorat.

— I nie chcę, żeby cię ktoś zranił. Muszę porozmawiać z Bliss.

— Nie, nie! Proszę, nie rób tego. Wygłosisz jej kazanie.

— Nie będę wygłaszał żadnego kazania. Tu chodzi nie tylko o ciebie; i dlatego muszę z nią porozmawiać na osobności. Słuchaj, Janov, nie chcę robić tego za twoimi plecami, a więc pozwól, że pomówię z nią i postawię jasno parę spraw. Jeśli będę zadowolony z tej rozmowy, to złożę ci gratulacje z całego serca i cokolwiek się stanie, zachowam spokój.

Pelorat potrząsnął głową. — Wszystko zepsujesz.

— Obiecuję ci, że nie. Bardzo cię proszę…

— No cóż… ale proszę cię, drogi przyjacielu, uważaj na to, co. będziesz mówił, dobrze?

— Daję ci słowo honoru, że będę uważał.

91.

— Pel mówi, że chciałeś się ze mną zobaczyć — rzekła Bliss.

— Tak — odparł Trevize.

Znajdowali się w przydzielonym mu małym apartamencie.

Usiadła z gracją, założyła nogę na nogę i spojrzała na niego przenikliwie pięknymi orzechowymi oczami.

— Nie lubisz mnie, prawda? Od początku ci się nie spodobałam — rzekła.

Trevize — pozostał w postawie stojącej. — Znasz ludzkie umysły i to, co się w nich dzieje. Wiesz, co myślę o tobie i dlaczego tak myślę — powiedział.

Bliss wolno pokręciła głową. — Twój umysł jest dla Gai terenem zakazanym. Wiesz o tym. Potrzebowaliśmy twojej decyzji i musiała ona powstać w czystym, nietkniętym umyśle. Kiedy przechwyciliśmy wasz statek, umieściłam ciebie i Pela w polu uspokajającym, ale to było konieczne. Panika czy wściekłość zaszkodziłaby ci i być może w kluczowym momencie stałbyś się bezużyteczny. I to wszystko. Nie mogłam zrobić i nie zrobiłam nic ponadto, nie wiem więc, co myślisz.

— Podjąłem decyzję, którą musiałem podjąć — powiedział Trevize. — Zdecydowałem na korzyść Gai i Galaxii. Po co więc ta cała gadka o czystym i nietkniętym umyśle? Macie to, czego chcieliście i teraz możecie zrobić ze mną, co wam się podoba.

— Nic podobnego, Trev. W przyszłości mogą być potrzebne inne decyzje. Pozostaniesz tym, kim jesteś i, dopóki będziesz żył, będziesz naturalnym źródłem rzadkiego w Galaktyce dobra. Bez wątpienia są teraz w Galaktyce, i pojawią się w przyszłości, inni ludzie o takich jak twoje zdolnościach, ale nie znamy ich. Wiemy tylko o tobie. I dlatego nie możemy cię nawet tknąć.

Trevize zastanawiał się przez chwilę. — Jesteś Gają — powiedział w końcu — a ja nie chcę rozmawiać z Gają. Chcę mówić z tobą jako jednostką, jeśli to w ogóle znaczy coś dla ciebie.

— Owszem, znaczy. Jesteśmy dalecy od tego, żeby stopić się w jedną wspólną masę. Mogę na pewien czas odizolować się od Gai.

— Myślę, że możesz — rzekł Trevize. — Czy już to zrobiłaś?

— Tak.

— A zatem, po pierwsze, pozwól, że ci powiem, że nie grałaś czysto. Być może faktycznie nie ingerowałaś w mój umysł, żeby wpłynąć na moją decyzję, ale na pewno zajęłaś się umysłem Janova, żeby na mnie wpłynąć. Może nie?

— Myślisz, że to zrobiłam?

— Myślę, że to zrobiłaś. W kluczowym momencie Pelorat przypomniał mi, że Galaktyka zrobiła na nim wrażenie żywej istoty i

ta myśl skłoniła mnie do podjęcia decyzji. Sama myśl może była jego własną, ale to twój umysł ją wyzwolił, prawda?

— Ta myśl istniała w jego głowie, ale było tam również wiele innych myśli. Przetarłam szlak dla przywołania akurat tego, a nie jakiegokolwiek innego wrażenia i dlatego mogło ono wyłonić się z jego świadomości i przybrać kształt słów. Ale zauważ, że nie ja stworzyłam tę myśl. Ona już istniała w jego umyśle.

— Niemniej jednak, choć pośrednio, naruszyło to moją niezależność podejmowania decyzji, może nie?

— Gaja uważała, że to konieczne.

— Naprawdę? A więc może poprawi się wam samopoczucie, jeśli powiem, że chociaż w tamtej chwili uwaga Janova skłoniła mnie do podjęcia decyzji na waszą korzyść, to myślę, że podjąłbym taką samą decyzję, nawet gdyby on nic nie powiedział albo gdyby próbował mnie nakłonić do podjęcia innej decyzji. Chcę, żebyś to wiedziała.

— Ulżyło mi — rzekła chłodno Bliss. — To właśnie chciałeś mi powiedzieć, kiedy zażyczyłeś sobie spotkać się ze mną?

— Nie.

— A co jeszcze?

Teraz Trevize usiadł na krześle, które postawił tak blisko, że ich kolana niemal stykały się. Pochylił się ku niej.

— To ty byłaś na stacji orbitalnej, kiedy zbliżyliśmy się do Gai. To ty złapałaś nas, ty weszłaś na pokład naszego statku, żeby nas zabrać tutaj, ty przez cały czas od tamtej pory, z wyjątkiem obiadu u Doma, w którym nie wzięłaś udziału, byłaś z nami. I, co bardziej istotne, to ty byłaś, na „Odległej Gwieździe" w chwili, kiedy podjąłem swą decyzję. Zawsze ty.

— Jestem Gają.

— To nie wyjaśnia sprawy. Królik też jest Gają. Kamyk jest Gają. Wszystko na tej planecie jest Gają, ale nie wszystko i nie wszyscy są Gają w równym stopniu. Niektórzy są równiejsi. Dlaczego ty?

— A jak myślisz?

Trevize zagrał ostro. — Dlatego że — jak myślę — ty nie jesteś Gają. Myślę, że jesteś czymś więcej niż Gają.

Bliss wydęła usta i drwiąco prychnęła.

Trevize nic dawał za wygraną i nie zbaczał z kursu: — Kiedy zastanawiałem się, jaką podjąć decyzję, ta kobieta, która była z Mówcą…

— Zwracał się do niej „Novi".

— A więc ta Novi powiedziała, że na ten tor rozwoju, którym podąża, skierowały Gaje roboty, które już nie istnieją i że nauczyły ją one przestrzegać pewnej wersji trzech praw robotyki.

— To prawda.

— I tych robotów już nie ma?

— Tak powiedziała Novi.

— Tak n i c powiedziała. Dokładnie pamiętam jej słowa. Powiedziała: „Gają została założona wiele tysięcy lat temu z pomocą robotów, które kiedyś, przez krótki okres czas, służyły rodzajowi ludzkiemu, lecz już mu nie służą".

— A czy to nie znaczy, że ich już nie ma?

— Nie, to znaczy, że już nie służą ludziom. Może teraz nimi rządzą?

— To absurdalne!

— Albo może ich pilnują? Dlaczego byłaś przy mnie, kiedy miałem podjąć decyzję? Wydawało się, że nie byłaś tam potrzebna. To Novi kierowała wszystkim. Właśnie ona była Gają. Więc po co ty tam byłaś? Chyba że…

— Chyba że co?

— Chyba że jesteś właśnie takim nadzorcą, który ma dopilnować, aby Gają nie zapomniała o trzech prawach robotyki. Chyba że jesteś robotem tak przemyślnie skonstruowanym, że nie można cię odróżnić od istoty ludzkiej.

— Jeśli nie można mnie odróżnić od istoty ludzkiej — spytała Bliss z sarkazmem — to na jakiej podstawie uważasz, że możesz to zrobić?

Trevize wyprostował się na krześle. — A czy wy wszyscy nie zapewniacie mnie cały czas, że mam dar podejmowania właściwych decyzji, dostrzegania właściwych rozwiązań i wyciągania poprawnych wniosków? To nie ja tak twierdzę, to wy tak mówicie. Otóż od chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, czuję się niespokojnie. Z tobą jest coś nie tak. Na pewno jestem równie wrażliwy na wdzięki kobiet jak Pelorat, powiedziałbym, że nawet bardziej niż on, a ty jesteś na pozór bardzo atrakcyjną dziewczyną. Jednak mimo to nawet przez chwilę nie czułem do ciebie pociągu. W najmniejszym stopniu.

— Jestem załamana!

Trevize puścił to mimo uszu. Powiedział: — Kiedy po raz pierwszy pojawiłaś się na naszym statku, rozmawialiśmy akurat z Janovem na temat możliwości istnienia na Gai cywilizacji nie stworzonej przez człowieka, więc Janov, kiedy cię ujrzał, zapytał w swej naiwności: „Czy jesteś istotą ludzką?" A ty odpowiedziałaś wymijająco: „Czy nie wyglądam jak istota ludzka?" Owszem, Bliss, wyglądasz jak istota ludzka, ale pozwól, że teraz ja zadam ci to samo pytanie: Czy jesteś istotą ludzką?

Bliss milczała, więc Trevize mówił dalej: — Myślę, że już wówczas, w tej pierwszej chwili wyczułem, że nie jesteś kobietą. Jesteś robotem i jakimś sposobem udało mi się to rozpoznać. I z tego powodu, z powodu tego nie dającego mi spokoju uczucia, wszystko, co zdarzyło się potem, szczególnie brak ciebie podczas obiadu u Doma,

miało dla mnie znaczenie.

— Myślisz, że nie potrafię jeść, Trev? — spytała Bliss. — Zapomniałeś już, jak jadłam krewetki na waszym statku? Zapewniam cię, że jestem w stanie jeść i wykonywać inne funkcje biologiczne… Uprzedzając twoje pytanie, dodam od razu, że seksualne też. Ale mogę ci też powiedzieć, że to jeszcze nie dowodzi, że nie jestem robotem. Roboty osiągnęły szczyt doskonałości już wiele tysięcy lat temu. Tylko mózgi różniły je od istot ludzkich, a i to mogli dostrzec jedynie ci, którzy potrafili operować polem magnetycznym. Gdyby Mówca Gendibal zechciał był zwrócić na mnie uwagę, to potrafiłby zorientować się, czy jestem robotem, czy nie. Ale oczywiście nie zrobił tego.

— Niemniej jednak ja, chociaż nie mam do pomocy mentalistyki, jestem przekonany, że jesteś robotem.

— A jeśli jestem, te co z tego? — odparła Bliss. — Nie przyznaję, że masz rację, ale jestem ciekawa. Co z tego?

— Nie musisz mi przyznawać racji. Wiem, że jesteś robotem. Gdybym potrzebował jeszcze jakiegoś ostatecznego dowodu, to dostarczyła mi go absolutna pewność, z jaką stwierdziłaś, że potrafisz odizolować się od Gai i rozmawiać ze mną jako jednostka. Nie sądzę, żebyś mogła to zrobić, gdybyś była częścią Gai. Ale nie jesteś nią. Jesteś robotem — nadzorcą i stąd nie należysz do Gai. Teraz, kiedy o tym pomyślałem, ciekaw jestem ilu nadzorców potrzeba tutaj i ilu ich jest?

— Powtarzam: nie przyznaję, że masz rację, ale jestem ciekawa. Co z tego, że jestem robotem, jeśli nim jestem?

— W takim przypadku chcę wiedzieć, czego chcesz od Janova Pelorata. Jest moim przyjacielem i, w pewnym sensie, dzieckiem. On uważa, że cię kocha, że chce od ciebie tylko tyle, ile zgodzisz się mu dać i że już dałaś mu dosyć. Nie wie, i nie jest sobie w stanie wyobrazić, co to ból po utracie kochanej osoby czy, jeśli już o tym mowa, jak bolesna może być wiadomość, że nie jesteś istotą ludzką…

— A ty wiesz, co to ból po utracie osoby kochanej? Znasz to uczucie?

— Miałem okazję, żeby poznać. Nie prowadziłem życia samotnika, jak Janov. Nie podporządkowałem całego życia rozwiązaniu problemu, pogoni za przygodą intelektualną, która odsunęła na dalszy plan nawet żonę i dziecko. On to zrobił. A teraz nagle rzuca to wszystko dla ciebie. Nie chcę, żeby go zraniono. Nie .dopuszczę do tego. Skoro położyłem takie zasługi dla Gai, to zasługuję na nagrodę, a tą nagrodą będzie twoje zapewnienie, że zachowa on dobre samopoczucie.

— Czy mam udać, że jestem robotem i odpowiedzieć ci?

— Tak. I to zaraz — odparł Trevize.

— A zatem dobrze. Załóżmy, Trev, że jestem robotem i że sprawuję tu nadzór. Załóżmy, że jest nas tu bardzo niewiele, zaledwie kilka robotów i że się rzadko spotykamy. Załóżmy, że kieruje nami potrzeba opieki nad ludźmi i że na Gai nie ma prawdziwie ludzkich istot, gdyż wszyscy są elementami większego, obejmującego całą planetę, organizmu.

Załóżmy, że troska o Gaje zaspokaja naszą potrzebę opieki, ale nie całkowicie. Załóżmy, że jest w nas coś prymitywnego, co każe nam tęsknić do ludzi takich, jakimi byli wówczas, gdy stworzono i zaprogramowano w pewnym celu pierwsze roboty. Nie zrozum mnie źle — nie twierdzę, że jestem aż taka stara (zakładając, że jestem robotem). Mam tyle lat, ile ci powiedziałam, że mam, a przynajmniej (zakładając, że jestem robotem) moje podstawowe przeznaczenie jest identyczne jak wszystkich robotów, a zatem tęsknię do prawdziwie ludzkiej istoty.

Pel jest taką istotą. Nie jest częścią Gai. Jest za stary, żeby kiedykolwiek zostać naprawdę jej częścią. Chce pozostać ze mną na Gai, ponieważ nie czuje w stosunku do mnie tego, co ty. Nie sądzi, że jestem robotem. I ja też chcę go. Jeśli przyjmiesz, że jestem robotem, to musisz się zgodzić, że chcę tego. Jestem zdolna do ludzkich reakcji i kochałabym go". Gdybyś upierał się przy tym, że jestem robotem, to mógłbyś uważać, że nie jestem zdolna do miłości w jakimś mistycznym, ludzkim sensie tego słowa, ale nie potrafiłbyś odróżnić moich zachowań od tych, które nazywasz miłością, więc jakie miałoby to znaczenie?

Przerwała i popatrzyła na niego dumnie.

— Mówisz, że nie porzuciłabyś go? — spytał Trevize.

— Jeśli założysz, że jestem robotem, to sam dojdziesz do wniosku, że — zgodnie z pierwszym prawem robotyki — nie mogłabym go nigdy porzucić, chyba że sam kazałby mi to zrobić i byłabym w dodatku pewna, że faktycznie chce tego, co mówi oraz ze sprawiłabym mu większą przykrość zostając z nim niż opuszczając go.

— A czy młodszy mężczyzna…

— Jaki młodszy mężczyzna? Ty jesteś młodszym mężczyzną, ale nie sądzę, żebyś potrzebował mnie w takim samym sensie jak Pel, a poza tym, nie chcesz mnie, więc pierwsze prawo powstrzymałoby mnie przed próbą przylgnięcia do ciebie.

— Nie ja. Jakiś inny młodszy mężczyzna…

— Nie ma żadnego innego. Czy jest na Gai, poza tobą i Pelem, jakiś inny mężczyzna, który byłby istotą ludzką w niegajańskim sensie?

— A jeśli nie jesteś robotem? — spytał łagodniej Trevize.

— Zdecyduj się — rzekła Bliss.

— Pytam, jeśli nie jesteś robotem?

— To, w takim przypadku, nie masz żadnego prawa, żeby mnie w ogóle o to pytać. To sprawa moja i Pela.

— Wobec tego wrócę do pierwszego punktu — rzekł Trevize. — Chcę nagrody, a tą nagrodą będzie zapewnienie, że będziesz go dobrze traktowała. Nie będę już dociekał, kim jesteś. Obiecaj mi tylko, jak jedna istota inteligentna innej, że będziesz go dobrze traktowała.

— Będę go dobrze traktowała — powiedziała miękko Bliss — nie w nagrodę za twoją przysługę, ale dlatego, że tego chcę. Jest to moim serdecznym pragnieniem. Będę go traktowała dobrze. Pel! — zawołała. — Pel!

Pelorat pojawił się w drzwiach. — Słucham, Bliss — powiedział.

Bliss wyciągnęła do niego rękę. — Myślę, że Trev chce nam coś powiedzieć.

Pelorat wziął ją za rękę, a Trevize ujął ich złączone dłonie. — Janov — powiedział — cieszę się, że jesteście razem.

— Och, drogi przyjacielu — odparł tylko Pelorat.

— Prawdopodobnie opuszczę Gaję — powiedział Trevize. — Idę teraz porozmawiać o tym z Domem. Nie wiem, Janov, czy się jeszcze kiedyś spotkamy, ale w każdym razie obaj dobrze się spisaliśmy.

— Dobrze — odparł Pelorat z uśmiechem.

— Żegnaj, Bliss, i z góry ci dziękuję.

— Żegnaj, Trev.

Pomachawszy im ręką, Trevize wyszedł.

92.

— Dobrze się spisałeś, Trev — rzekł Dom. — Ale przypuszczałem, że tak właśnie postąpisz.

Siedzieli przy obiedzie, równie niesmacznym jak pierwszy, ale Trevizemu to nie przeszkadzało. Może nie będzie już miał okazji jeść na Gai. Powiedział:

— Zrobiłem, jak przypuszczałeś, ale prawdopodobnie z innego powodu, niż przypuszczałeś.

— Na pewno byłeś przekonany, że podejmujesz właściwą decyzję.

— Tak, ale nie dlatego, że mam jakiś tajemniczy dar uzyskiwania pewności. Jeśli wybrałem Galaxię, to w wyniku prostego rozumowania/ rozumowania, które mógłby przeprowadzić ktoś inny i dojść do tego samego wniosku. Chcesz, żebym ci to wyjaśnił?

— Bardzo chcę, Trev.

— Były trzy rzeczy, które mogłem zrobić. Mog — fan stanąć po stronie Pierwszej Fundacji albo po stronie Drugiej Fundacji, albo po stronie Gai.

Gdybym stanął po stronie Pierwszej Fundacji, to burmistrz Branno natychmiast podjęłaby akcję mającą na celu ustanowienie panowania nad Drugą Fundacją i nad Gają. Gdybym wziął stronę Drugiej Fundacji, to Mówca Gendibal natychmiast podjąłby akcję mającą na celu ustanowienie panowania nad Pierwszą Fundacją i nad Gają. I w jednym, i w drugim przypadku to, co by się stało, byłoby nie do odwrócenia i gdyby któreś z tych rozwiązań było złe, to groziłaby nam nieodwracalnie katastrofa.

Gdybym jednak stanął po stronie Gai, to wówczas i Pierwsza, i Druga Fundacja zostałaby z przekonaniem, że odniosły, nieco mniejsze co prawda, zwycięstwo. Wówczas wszystko, potoczyłoby się tak, jak dotąd, gdyż — jak mi powiedziano — utworzenie Galaxii to sprawa wielu pokoleń, nawet stuleci.

A zatem opowiedzenie się przeze mnie po stronie Gai było swego rodzaju grą na zwłokę, uzyskaniem pewności, że zostanie jeszcze dosyć czasu, żeby zmienić wszystko, nawet całkowicie, jeśli okaże się, że moja decyzja była niewłaściwa.

Dom uniósł brwi. Poza tym jego starcza, niemal trupia twarz była bez wyrazu. Powiedział swym piskliwym głosem: — A czy uważasz, że twoja decyzja może okazać się niewłaściwa?

Trevize wzruszył ramionami. — Nie sądzę, żeby tak miało być, ale jest jedna rzecz, którą muszę zrobić, żebym mógł się o tym przekonać. Mam zamiar odwiedzić Ziemię, jeśli uda mi się odnaleźć ten świat.

— Na pewno nie będziemy cię zatrzymywać, Trev, jeśli będziesz

chciał nas opuścić…

— Ja nie pasuję do waszego świata.

— Pel też nie, a jednak zostaje. Bylibyśmy bardzo radzi, gdybyś został też i ty. W każdym razie nie będziemy cię zatrzymywać… Ale powiedz mi, dlaczego chcesz odwiedzić Ziemię?

— Myślę, że rozumiesz to — odparł Trevize.

— Nie rozumiem.

— Powstrzymałeś się od udzielenia mi pewnej informacji, Dom. Być może miałeś ku temu powody, ale wolałbym, żebyś ich nie miał.

— Nie rozumiem, o czym mówisz — rzekł Dom.

— Słuchaj, Dom, po to, żeby podjąć wtedy tę decyzję, skorzystałem ze swojego komputera i przez krótką chwilę miałem bezpośredni kontakt z umysłami wszystkich, którzy się znajdowali wokół mnie — burmistrz Branno. Mówcy Gendibala, Novi. Uchwyciłem w przelocie wiele spraw, które w oderwaniu od siebie nic Ha mnie nie znaczyły, na przykład te różne wydarzenia, które Gaj a, poprzez Novi, wywołała na Trantorze, wydarzenia, które miały na celu skłonić tego Mówcę do podróży na Gaje.

— No i?

— Jedną z tych spraw było wyczyszczenie biblioteki trantorskiej z wszystkich wzmianek na temat Ziemi.

— Wyczyszczenie ze Wzmianek na temat Ziemi?

— Tak. A więc Ziemia musi być ważna i okazuje się, że nie tylko Druga Fundacja, ale także ja nie mogę nic o niej wiedzieć. Lecz jeśli mam przyjąć odpowiedzialność za przyszły kierunek rozwoju Galaktyki, to nie zaakceptuję takiego stanu rzeczy. Czy możesz powiedzieć mi, dlaczego było tak ważne, aby utrzymać przede mną w tajemnicy wiedzę o Ziemi?

— Trev, Gai nie jest nic wiadomo o takim wyczyszczeniu biblioteki — rzekł uroczyście Dom. — Nic!

— Chcesz powiedzieć, że to nie jest sprawka Gai?

— Tak.

Trevize dumał przez chwilę, przygryzając wargę. — No to czyja to sprawka? — spytał.

— Nie wiem. Nie rozumiem, jaki mógł być tego cel.

Popatrzyli na siebie, po czym Dom powiedział: — Masz rację. Wydawało się nam, że wszystko zakończyło się bardzo pomyślnie, ale dopóki ta sprawa pozostaje niewyjaśniona, nie wolno nam spocząć… Zostań jeszcze trochę z nami. Zobaczymy, czy uda się nam znaleźć jakieś wyjaśnienie. Potem możesz odlecieć. Pomożemy ci w miarę naszych sił.

— Dziękuję — odparł Trevize.

Koniec

(na razie)